



Krzysztof
Spadło

Skazaniec

Tom I

Krzysztof Spadł o

SKAZANI EC

© Copyright by Krzysztof Spadło

Grafika i projekt okładki:
Hektor Werios & Dariusz Herbowski

ISBN:
978-83-937489-9-0
978-83-937489-5-2

Wydawca: Krzysztof Spadło
www.krzysztofspadlo.com
www.skazaniec.com
Kontakt: post@krzysztofspadlo.com

Korekta: Małgorzata Majewska

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2013

Mojemu bratu Leszkowi

PROLOG

Miewałem takie dni w swoim życiu, kiedy czułem, że mój umysł zanurza się w otchłań szaleństwa. Wówczas niewiele brakowało, aby jedna przelotna myśl strąciła mnie w przepaść wyimaginowanego świata. Znałem takich, którzy nie potrafili się temu oprzeć i zupełnie bezsilni pogrążali się w koszmarnych krainach ciemności. Widziałem, jak stają się niewolnikami własnych demonów i fobii. Odchodzili przeważnie na dwa sposoby. Jednych ogarniało kamienne misterium, przepełnione milczącym zapomnieniem, a drugich rozpierała wściekłość. Zresztą co tu dużo mówić, w tak mrocznym miejscu jak więzienie we Wronkach każdy miał prawo sfiksować.

Nigdy nie zapomnę, kiedy we wrześniu 1925 – a swoją drogą, był to parszywy rok – kompletnie odbiło staremu Klockiewiczowi. Wtedy po raz pierwszy w życiu ujrzałem, jak zwykły człowiek zniecka przeistacza się w rozwścieczoną bestię.

Nazywaliśmy go „Kloc”, ale jego ksywa nie była tylko pochodną od nazwiska. Z wyglądu również przypominał prawdziwy kloc. Potężny, zwalisty, ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ten jego charakterystyczny, ciężki, kołyszący chód. Zawsze sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego, a kiedy się garbił, jego dłonie sięgały niemal kolan. Co dziwne, nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widział go podenerwowanego.

Pamiętam, że to była niedziela, jak zawsze słodka i leniwa. Jedyny dzień w tygodniu, kiedy strażnicy, wbrew zarządzeniu naczelnika, nie ponaglali nas przy posiłkach. Poranne słońce, pokonawszy więzienny mur, wpadało do stołówki przez duże, okratowane okna i na kilku stołach rozścieliło swoje złociste obrusy. Sączyliśmy cierpką kawę, siedzieliśmy jak paniska, rozprawialiśmy o bzdu-rach i chyba nikt nie zwrócił uwagi na to, że Kloc wygląda na jeszcze bardziej zmęczonego niż zazwyczaj. Brak apetytu, zmierzwione włosy i tępe spojrzenie były tutaj czymś zupełnie normalnym. Średnio raz w miesiącu każdemu trafiała się kiepska noc. Noc pełna dławiących koszmarów lub gorzkich łez.

Mimo panującego gwaru usłyszałem za plecami czyjś zatroskany głos:

– Kloc, co z tobą? Dobrze się czujesz? Hej, Kloc...

Machinalnie obróciłem głowę. Przeraził mnie widok starczej twarzy Klockiewicza. Podkrążone oczy jakby zapadły się bardziej w głąb czaszki i spoglądały na świat matowym, pustym wzrokiem. Widziałem wyraźnie, jak za drżącymi ustami, które przybrały siny odcień, z bólem zaciska zęby. Mięśnie żuchwy nerwowo pulsowały, unosząc się pod pergaminem pomarszczonych i wyblakłych policzków, a zorane bruzdami czoło połyskiwało szklistymi perełkami potu. W ogóle wydawał się skurczony i zapadnięty. Chyba wcale nie ruszył swojego śniadania, bo nadal leżało na blaszanej tacy tak, jakby przed chwilą odebrał je z okienka wydawki. Nagle jego nozdrza zaczęły nerwowo tikać, a oddech stał się szybki i płytki.

– Kloc, nie wygłupiaj się, do ciężkiej cholery – powiedział ktoś i wtedy się stało.

Ponadsześćdziesięcioletni mężczyzna wydobył z gardła nienaturalny, przerażający ryk, który rozbił się pośród ścian. Zanim oczy wszystkich zebranych powędrowały w jego kierunku, poderwał się na równe nogi i pchnął przed siebie duży, dębowy stół. Towarzystwo z drugiej strony runęło na nas pod ciężarem mebla. Przygniataliśmy się nawzajem, resztki jedzenia rozsypały się po kamiennej posadzce. Zrobiło się zamieszanie. Kątem oka dostrzegłem, że od strony wejścia biegnie kilku strażników. Jeden z więźniów starał się uspokoić rozszalałego Kłoca, ale osiągnął odwrotny skutek i Klockiewicz rzucił się na niego z pięściami. Chryste Panie, przemknęło mi przez myśl, kiedy ujrzałem, jak stary błyskawicznie przeistacza się w rozwścieczonego tura. Jednym ruchem pochwycił w dłonie masywną ławę, uniósł ją ponad głowę niczym Jurand ze Spychowa, zakręcił w powietrzu młynka i cisnął na oślep jak bezużyteczną kłodę. Krzyczał. Boże miłosierny, jak przeraźliwie krzyczał! Młócił tym swoimi wielgachnymi rękami, kopał gdzie popadło i zamieniał wszystko dookoła siebie w pobojobowisko. W ten niedzielny poranek nasza stołówka przypominała pogańską arenę. W kręgu utworzonym przez zaskoczonych skazańców Kloc odstawał swój ostatni szalony taniec.

Kilku klawiszy dzierżących w dłoniach drewniane pałki otoczyło starego, ale chyba nie bardzo wiedzieli, w jaki sposób zabrać się do rzeczy. Pierwszego z nich Kloc powalił jednym uderzeniem w klatkę piersiową.

Momentalnie obrócił się na pięcie i rozkładając szeroko ręce, rzucił się na kolejnych dwóch. Chyba liczył na to, że jeśli przerwie ich kordon, będzie wolny. Wpadł na nich niczym smok i obydwaj mężczyźni runęli na podłogę. Widocznie wtedy jego palce natknęły się na jakąś zbłąkaną łyżkę. Zdążył jeszcze wziąć potężny zamach i zupełnie przypadkowo zatopił przedmiot w prawym oku Mroczkowskiego. Chwilę później stracił przytomność w lawinie drewnianych grzmotów i zamaszystych kopniaków.

Tego dnia po raz ostatni widzieliśmy Kloca. Co do Mroczkowskiego powiem wam, że nie był złym strażnikiem, i nawet go lubiłem. Miał szczęście, że przeżył, ale do końca swoich dni nosił na prawym oku czarną opaskę.

Wiele razy zastanawiałem się nad tym, co spotkało tego nieszczęsnego starca. Nie wymyśliłem jednak niczego mądrego. Było mnie stać, podobnie jak resztę chłopaków, tylko na wzruszenie ramionami i banalne stwierdzenie, że Kloc po prostu zwariował. Naprawdę czuliśmy jednak coś innego. Czuliśmy ten najgorszy rodzaj strachu, który – jeśli raz zakiełkuje w ludzkiej duszy – pozostaje na zawsze. Waruje na dnie wszelkich lęków i bojaźni, czasami odezwie się gwałtownym szarpnięciem, poganiając serce do oszalałego galopu i czeka... cierpliwie czeka na swoją szansę. Taki strach posiada niezwykłą moc, z jednej strony może być twoim największym wrogiem – bo wiesz, że jeśli cię dopadnie w chwili słabości, to jesteś stracony – z drugiej strony zaś może być twoim jedynym sprzymierzeńcem. Dzięki niemu masz świadomość, kim możesz się stać i dokąd może cię zaprowadzić. To coś

takiego jak choroba i lekarstwo w jednym.

W każdym więzieniu świata obowiązują niepisane prawa, zasady i świętości. Są sprawy, o których się nigdy nie rozmawia, rzeczy, o które nigdy nie należy pytać, i uczucia, których się nigdy nie okazuje. Słabość nie ma miejsca bytu, a strach jest nierozłącznym towarzyszem.

Miewałem takie dni w swoim życiu, kiedy byłem załedwie o krok, żeby skończyć z tym wszystkim. Chciałem jednym ruchem zatrzaskać za sobą drzwi i zdmuchnąć płomień mojego życia. Każdy z nas był tutaj potencjalnym samobójcą. Znałem takich, jadałem z nimi przy jednym stole, chodziliśmy razem po spacerniaku. Czy wiecie, jakie to uczucie, kiedy pewnego ranka dowiadujesz się, że parę godzin temu pośród mroków nocy twój kumpel zadyndał na konopi albo podciął sobie żyły kawałkiem szkła?

Jest tysiąc powodów, by walczyć o przetrwanie, i milion, żeby targnąć się na życie. Kiedy nie ma nadziei, kiedy gasną ostatnie latarnie złudzeń, jaki jest sens dalszej egzystencji, albo raczej wegetacji. Doskonale poznałem oblicze śmierci, obcowałem z kostuchą jak z najśłodszą kochanką, spoglądałem jej w oczy, ale nigdy nie zdobyłem się na odwagę, by złożyć na jej trupich ustach ostatni pocałunek. Może dlatego, że miałem swój cel? A może po prostu za każdym razem brakowało mi odwagi?

Byli wśród nas i tacy, których skazano na śmierć w majestacie prawa. Na początku wydawało mi się, że ich podziwiam, ponieważ do samego końca grali twardych jak

stal. Nie liczyli się z nikim i z niczym, siebie samych nazywali „elitą”. Pewnie do dzisiaj miałbym o nich takie zdanie, ale kiedy pokutowałem ósmy rok z dożywocia, jednemu z klawiszy rozwiązał się język.

Tak się złożyło, że pewnego dnia wybrano mnie do ekipy, która miała posprzątać strych budynku administracyjnego. Poddasze było wypełnione stertą niepotrzebnych gratów, worów ze szmatami, połaciami duszącego kurzu i tonami gołębih odchodów. Pośród masywnych, drewnianych krokwi rozpościerały się misternie utkane pajęczce sieci. Naczelnik Zalewski – nawiasem mówiąc, był z niego kawał sukinsyna – wpadł na pomysł, by na strychu urządzić archiwum. W naszej grupie sprzątaczy był jeden sznurowiec. Do waszej wiadomości, „sznurowcami” nazywaliśmy skazanych na śmierć. Ów człowiek chełpił się brutalnością i zepsuciem. Godzinami potrafił opowiadać o skrzywdzonych przez niego ludziach, zgwałconych kobietach i swojej życiowej misji, której motto miał wytatuowane na plecach. Litery pieczołowicie wydziergane mieszanką atramentu i sadzy układały się w zdanie pisane gotycką czcionką: „Urodziłem się po to, by czynić na ziemi piekło”. Wszyscy nazywali go „Zimny”, może i taki był, kto wie? W każdym razie uwielbiał stwarzać problemy i być zagrożeniem dla innych. Prowokował na każdym kroku, jakby tylko czekał na okazję, żeby dać upust drzemiącej w nim agresji. Nikt z nas oczywiście nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w żadną bójkę, a już tym bardziej z człowiekiem, który gardził własnym życiem. Kiedy znaleźliśmy się na strychu, Zimny usiadł

na spróchniałym krześle i stwierdził, że ma w dupie to całe porządkowanie. Było mi wszystko jedno, co będzie robił, ale swoim zachowaniem postawił strażników w dość niezręcznej sytuacji. Nie mogli sobie pozwolić na uległość w stosunku do skazanego. Utrata autorytetu w obecności więźniów była niedopuszczalna i mogła nawet oznaczać pożegnanie się z posadą. Powiem wam, że to były ciężkie czasy, na zewnątrz praca znaczyła – chleb. Gdyby wśród cyngli nie było Robalskiego, nasz twardziel dostałby taki łomot, że znowu przez miesiąc dochodziłby do siebie w izbie chorych, co zdarzało mu się już nieraz. To właśnie Robalski jednym ruchem ręki powstrzymał swoich współpracowników. Podeszedł do sznurowca, stanął przed nim w rozkroku i spokojnym głosem oznajmił:

– Słuchaj, chłopcze, jestem tu dłużej niż ty i możesz mi wierzyć, że widziałem nie takich gerojów. Wiem, o co dba taka gnida jak ty! O twarz, prawda? Chcesz zaimponować innym, pokazać, że twoje ciało i umysł są niczym skała. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, w kogo niebawem się zmienisz. Wiesz, jak to jest? Któregoś wieczoru przyjdziemy bez zapowiedzi, staniemy w drzwiach twojej celi, a ty w mig pojmiesz, że dzisiejszej nocy kat założy ci pętlę na szyję. Jeżeli twoje nerwy nie zawiodą, wyjdiesz z bloku o własnych siłach, ale kiedy znikniemy w korytarzu, wszystko się zmieni. Będziesz płakał jak dziecko, będziesz błagał i skomlał o litość, zaczniesz się szarpać i wierzgać, ale nasze dłonie pochwyć cię mocno. Oblejesz się lodowatym potem, może nawet tak jak inni narobisz w gacie i będziesz obiecywał

poprawę. Wprowadzimy cię na drewniane podium, ksiądz udzieli ci ostatniej posługi, najpierw nałożą ci na głowę czarny kaptur, a potem poczujesz, jak sznur oplata twoją szyję. Będziesz krzyczał, błagając o wybaczenie, a w duchu przeklinał noc, kiedy cię splotzono. Będziesz chciał do mamusi, ale nic z tego. Na koniec usłyszysz zgrzyt zapadni i poczujesz, że lecisz w dół. Niektórzy powiadają, że w takich chwilach człowiek widzi całe swoje życie. I nagle potworne szarpnięcie! – Zamilkł na moment i spojrzął mu prosto w oczy. – A wiesz, co ja zrobię następnego dnia? Opowiem każdemu więźniowi, którego znałeś, jak naprawdę wyglądał twój koniec. Wyobraź sobie, że już w dniu pochówku będą wspominali twoją marną osobę z największą pogardą, może jeden z nich odleje się nawet na twój grób. Chcesz tego, synu?! Jeśli tak, to siedź, odpoczywaj i nie ruszaj się z tego miejsca.

Zauważyłem, że oczy sznurowca zrobiły się nagle nerwowe i rozbiegane. Strzelał wzrokiem we wszystkich kierunkach, niczym skarcony przez ojca chłopiec. Chyba dotarło do jego świadomości, że jeśli chce zachować swoją próżność, musi teraz tańczyć, jak mu zagrają.

– Wąchaj mi dupę, śmierdzieliu! – syknął przez poźółkłe zęby za odchodzącym strażnikiem, po czym ruszył razem z nami do roboty.

Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, jakieś dwa miesiące później było tak, jak mówił Robalski. Przyszli po niego tuż przed ciszą nocną. Kiedy pod eskortą strażników przemierzał więzienny korytarz, zachowywał się godnie,

jak przystało na człowieka z elity. Szedł na spotkanie ze śmiercią prężnym krokiem i z dumnie uniesioną głową. Co się stało potem? Nigdy nie dowiedzieliśmy się, jaki naprawdę był jego koniec.

Miewałem takie dni w swoim życiu, kiedy podróżowałem po krainie marzeń i wyobrażałem sobie, jak mogło wyglądać moje życie. Nurtowały mnie pytania: kim mogłem zostać? czego dokonać? jakie miejsca zobaczyć? Chociaż doskonale wiedziałem, że takie rozmyślania są gorsze od całej zgryzoty świata, nie potrafiłem powstrzymać uporczywych myśli. Kiedy człowiek raz zapuścił się na ścieżki urojonej rzeczywistości, wpadał w bezlitosną pułapkę własnych pragnień. Potrzebowałem wielu lat, aby zrozumieć, że nadzieja jest mrzonką, a moim przeznaczeniem jest cierpienie. Najgorsze w więzieniu były noce pełne samotności i odrętwienia. Bezsenne godziny wlokły się w nieskończoność. Tylko ja i blask księżyca, przeciskający się pomiędzy kratami więziennego okna. Zwinięty w kłębek, z twarzą wtuloną w cuchnącą poduszkę płakałem za utraconym rajem.

Właściwie nie mam ochoty opowiadać wam o mojej rozpacz, tęsknocie i żalu, tym bardziej dzisiaj, kiedy już jestem u schyłku życia. Teraz moim jedynym wrogiem jest umykający czas. Nie spłodziłem syna, nie zbudowałem domu, nie posadziłem drzewa. Nic po sobie nie zostawiłem. Czy to nie jest przerażające?! Od dawna chciałem zapisać swoje wspomnienia, ale do tej pory nic z tego nie wyszło. Swoją drogą, nadal powątpiewam we

własne siły. W głębi duszy chciałem tego dokonać, i to nawet bardzo, ale boję się, że nie zdążę skończyć, zanim krew na zawsze zastygnie w moich żyłach.

Stare powiedzenie mówi, że lepiej późno niż wcale. Wiem sam po sobie, przeżyłem blisko ćwierć wieku, zanim nauczyłem się czytać i pisać! Kiedy jednak poznałem litery i kiedy już potrafiłem rozszyfrować wyrazy, książki stały się moimi przyjaciółmi. Skromną, więzienną bibliotekę we Wronkach strawiłem w całości niezliczoną ilość razy, prawie do znudzenia. Natura obdarzyła mnie dobrą pamięcią, nawet teraz mógłbym wyrecytować dwanaście ksiąg *Pana Tadeusza*. Oczywiście mogłoby się zdarzyć, że potknąłbym się kilka razy, ale dopiąłbym celu. Wystukanie na pamięć epepei zajęło mi w pudle tylko dwa lata. Śmieszna sprawa, poszło o zakład, o jedyne dziesięć paczek papierosów i dziesięć opakowań herbaty, ale o tym może później. Do czego jednak zmierzam? Chciałbym, żeby wspomnienia, które wciąż niezatarte żyją w mojej pamięci, nie umarły wraz ze mną. Takie właśnie mam marzenie. Jedyne, co mogę po sobie zostawić, to opowieść o własnym życiu. Nie oczekuję od was współczucia ani zrozumienia, nie mam także zamiaru rozgrzeszać nikogo ani wybaczać winnym, nie o to chodzi.

Opowiem wam o podłości, bólu, cierpieniu i nadziei, która potrafi zabijać. Doskonale wiem, do jakich granic może posunąć się istota rodzaju ludzkiego. Znam świat wybrukowany zepsuciem i zwyrodnieniem, gdzie koszmar jest normalnością, a śmierć – krótkim i gorzkim westchnieniem. Opowiem wam o prawdziwej wolności,

obsesyjnej, pełnej goryczy zemście, zwątpieniu, niegodziwości i przewrotności losu, przyjaźni okupionej krwią, marzeniach prowadzących na szafot i przede wszystkim o ludziach, których istnienie przeminęło jak beztroski podmuch wiatru.

TOM I

Na pohybel całemu światu!

W dzieciństwie czasami widywałem na ulicach Kalisza automobile. Wystarczyło, aby rozległ się w pobliżu charakterystyczny dźwięk silnika, a już z chłopakami biegliśmy na złamanie karku, żeby zobaczyć, jak dostojnie potrafi sunąć taka maszyna. Piękna i dumna. Połyskująca w promieniach słońca oślepiającym chromem i wypucowanym lakierem, niczym bajeczny rumak w stalowej zbroi. Możecie mi wierzyć na słowo, ale nie było takiego przechodnia, który odmówiłby sobie spojrzenia na ów cud techniki. Nigdy bym nie przypuszczał – do dziś nie mogę uwierzyć – że moja pierwsza podróż spalinowym wehikułem powiodła mnie wprost do ponurego miejsca mojego zesłania.

Takich dni i takich podróży nie zapomina się do końca życia.

Był piątek, 21 lipca 1922 roku.

Ze snu wyszarpał mnie miarowy i energiczny odgłos kroków rozbrzmiewających w korytarzu. Nie trudno sobie wyobrazić, jaki dźwięk wydają o czwartej nad ranem podkute metalowymi zelówkami podeszwy butów, składając pocałunki na kamiennej posadzce. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale wiedziałem, że idą po mnie, że nadszedł już mój czas. Otworzyłem oczy i nasłuchiwałem. Byli coraz bliżej. Wstrzymałem oddech. Po drugiej stronie drzwi zbliżały się prężne łąpanięcia. Dudniły w tej bezdusznej ciszy, jakby maszerował cały batalion rekrutów. Moje serce pochwyciło ten sam rytm i poczułem, jak fala nieprzyjemnego ciepła rozlewa się w moim ciele. Obroza strachu ścisnęła mi krtań. Nagle rozległo się

znajome szurnięcie krążka w wizjerze drzwi. Ktoś zerknął przez mały otwór do wnętrza celi, a potem pociągnął za masywną zasuwę. Solidne zawiasy drewnianych drzwi złowieszczo zaskrzypiały. Ponury zgrzyt stalowej melodii na chwilę uraczył ten kawałek świata swoją króciutką etiudą i momentalnie rozpierchł się w sennej przestrzeni.

Moim oczom ukazały się dwie postacie odziane w wojskowe mundury. Czarne buty z wysokimi cholewami aż błyszcząły od nieskazitelności. Perfekcyjnie wypastowane sprawiały wrażenie, że można się przejrzeć w ich zaokrąglonych czubkach. Pieczołowicie wyprasowane bryczesy, równomiernie obciążone bluzy, wszystko dopięte na ostatni guzik. A te rogatywki z czerwonym otokiem i srebrnym orzełkiem nad daszkiem! Ech, nie ma co, prezentowali się wyśmienicie!

Ten głos rozpoznałbym nawet na drugim końcu świata. To był wachmistrz Łapicki we własnej osobie.

– Ooo, Żabikowski? Czekaleś na nas? – zapytał jak zawsze drwiącym tonem.

– Chyba przeczucie – odparłem.

– No to jak widać, tym razem cię nie zawiodło. Wstawaj, idziemy!

Podniosłem się. Dla zachowania pozorów wygładziłem dłonią stary, pledowy koc i wyświechtaną poduszkę. Omiotłem wzrokiem małą celę, w której przeżyłem ostatnie trzy miesiące życia. Trzy parszywie długie miesiące oczekiwania i niepokoju. Trzy miesiące wpatrywania się w te same ściany.

Musicie wiedzieć, że każda cela to miejsce kaźni,

gdzie czas znęca się nad człowiekiem. Jesteś tylko ty, twoje myśli i czas płynący w zwolnionym tempie. Sunie leniwie i pastwi się nad tobą, zagląda ci w umysł, budzi wspomnienia, zadaje pytania, na które nie ma odpowiedzi.

Ruszyłem w stronę otwartych drzwi. Kiedy szedłem korytarzem, już nie miałem tego złudzenia, że odgłos marszu rozsadza cały budynek.

– Tak, Żabikowski, najwyższa pora zamienić ciepłe, garnizonowe gniazdko na zimną, więzienną norę, prawda? – Łapicki nie mógł sobie odpuścić docinków.

Nie odpowiedziałem, nie było nic do dodania.

Widziałem nieraz, w jaki sposób Łapicki ścigał młode wojsko. Potrafił się diabelsko wydzierać, jak na ułana przystało, ale w gruncie rzeczy był porządnym i honorowym człowiekiem. Nikogo nie traktował podle, nawet mnie. Kiedy miał humor, częstował papierosem i zamieniał kilka słów. Chyba lubiłem go właśnie za sposób bycia. Lubiałem też słuchać, kiedy mówił. Gość potrafił wesoło opowiadać i zawsze miał w zanadrzu jakieś przasne powiedzenie.

Jedno z nich szczególnie utkwilo mi w pamięci.

To było chyba miesiąc wcześniej, kiedy Piętnasty Pułk Ułanów przygotowywał się do inspekcji. Ktoś ważny miał przybyć prosto z samej stolicy, dlatego wszystkich oficerów ogarnęła dziwna, nerwowa gorączka. Owego dnia ja i kilku innych aresztantów pracowaliśmy obok garnizonowej kuźni, wojsko zaś stało w kolumnach na placu. Łapicki przechadzał się wzdłuż szeregów i grzmiał donośnym głosem:

– Drogie panie i miłe dziewczęta! – Na dźwięk tych słów wszyscy żołdacy jak jeden zanieśli się gromkim śmiechem. Wachmistrz poczekał cierpliwie, aż ucichnie salwa rozbawienia, po czym mówił dalej: – Już dziś będziecie mieli okazję poznać prawdziwe znaczenie słowa „porządek”! Ja, jak każdy prawdziwy żołnierz, uwielbiam bałagan i gnój, ale z tym wyjątkiem, że ja lubię gnój tylko w kupkach!

Urzekła mnie złota myśl Łapickiego „Lubię gnój tylko w kupkach” i zapamiętałem ją na zawsze.

Kiedy po raz ostatni przemierzałem korytarz garnizonowego aresztu, opuścił mnie strach i niemal czułem ulgę. Mając świadomość, że za kilka godzin moje życie na zawsze legnie w gruzach, nie potrafiłem wykrzesać z siebie żadnych uczuć. Nie umiałem nawet pomyśleć o czymś sensownym. Umysł wypełniały mi abstrakcyjne wspomnienia, takie jak to o porządku i umiłowaniu do gnoju.

Wyszliśmy z budynku. Na dworze jawił się cudowny, lipcowy świt. Od wschodu niebo delikatnie jaśniało w pierwszych promieniach słońca. Ponad naszymi głowami migotały jeszcze niezliczone punkciki gwiazd i unosił się srebrny półksiężyc. Powietrze było świeże i rześkie, cudownie pachniało rosą i... radością.

– To ile się u nas byczyłeś? – zapytał Łapicki i wyjął swoją mosiężną papierośnicę.

– Prawie od świąt Wielkiej Nocy – odparłem po krótkiej chwili udawanego namysłu.

Tak do końca nie była to prawda, ale po co miałem

zagłębiać się w szczegóły. Jakie to miało teraz znaczenie? Zostałem zatrzymany pod koniec lutego i osadzony w areszcie kaliskiego sądu na czas prowadzenia śledztwa. Potem była pokazowa i błyskawiczna rozprawa. Przed sądem stanąłem w czwartek, szóstego kwietnia, a jedenaście dni później, czyli w poniedziałek, siedemnastego zapadł wyrok. Następnego dnia, nawet nie mam pojęcia dlaczego, wylądowałem tutaj. Wiedziałem tylko tyle, że kiedy nadejdzie czas, mają mnie stąd przetransportować do Wronek na całą, niewiadomą, resztę mojego żywota.

– Masz, zapal sobie. – Poczęstował mnie precyzyjnie skręconym papierosem. – Powiedz mi jeszcze, Żabkowski, żałujesz chociaż trochę?

Zaciągnąłem się głęboko dymem i poczułem w ustach przedni tytoń o rozkosznym smaku. Najbardziej jednak idiotyczne pytanie, jakie mogłem usłyszeć, zabiło smak papierosa. Czy żałuję? Miałem ochotę krzyknąć mu w twarz. Mogłem też udawać, że puściłem jego słowa mimo uszu. Spojrzałem mu jednak prosto w oczy i skinąłem głową. Gdyby ten chłop wiedział, ilu rzeczy żałuję! Ale co tam mój żal, po tysiackroć była dla mnie gorsza świadomość własnej niemocy! Kto tego uczucia nie doświadczył, ten nigdy nie pojmie.

– Noo taak – powiedział przeciągle Łapicki i zerknął na zegarek. – Mieli tutaj być już jakiś czas temu. Ha, niech żyje służba więzienna i jej punktualność! – Pogardliwie splunął na trawnik.

Ze stajni za budynkiem wartowni dobiegały odgłosy życia. W porannej ciszy zabarwionej śpiewem ptaków

dało się usłyszeć rzenie i parskanie koni, przestępowanie kopyt i niewyraźne bluznierstwa stajennego.

Nagle po drugiej stronie muru rozległ się warkot jadącego samochodu, a po chwili zza rogu budynku wyłoniła się ciemna sylwetka furgonetki.

Zatrzymała się przed nami na wyciągnięcie ręki. Dwa miejsca siedzące z przodu i obudowana paka. Za kierownicą siedział w średnim wieku mężczyzna odziany w brązowy mundur, a miejsce obok niego zajmował pasażer w cywilnym ubraniu.

Wysiedli. Człowiek w szarym garniturze kiwnął głową na Łapickiego. Na wachmistrza ten błahy gest podziałał jak komenda przełożonego. Natychmiast podszedł do niego prężnym krokiem, strzelił obcasami i zasalutował. Nawet idiota by się domyślił, że szpakowaty cywil z czarnym, delikatnym wąsikiem był kimś ważnym. Mężczyźni odeszli kilka kroków w tył i przez krótką chwilę rozmawiali. Warkot silnika skutecznie zagłuszał ich głosy. Patrząc na ruchy warg tajemniczego jegomości, czułem, jak w moim sercu zaczyna rodzić się niepokój. Zmroziły mnie jego bystre, przenikliwe i pełne chłodu oczy. Kiedy kilka razy nasze spojrzenia skrzyżowały się niczym stalowe ostrza, jego nienawistny wzrok przeszywał mnie na wskroś. W pewnym momencie rzucił w moim kierunku:

– Skuć go! – Mężczyzna miał groźny i władczy głos.

Kierowca furgonetki podszedł do tylnych drzwi pojazdu, otworzył je energicznym ruchem i sięgnął po

kajdany. Kiedy szedł w moją stronę, w prawej dłoni trzymał pęk łańcuchów, które ponuro szczękały, kołyszając się w rytm jego kroków. Kazał mi stanąć w lekkim rozkroku. Nad kostkami stóp poczułem zimne, stalowe obejmy połączone oczkami łańcucha. Potem założył mi identyczne na przeguby dłoni. Kiedy skończył, kazał opuścić mi ręce wzdłuż ciała i kolejnym elementem połączył łańcuchy u stóp i rąk.

Powiem wam jedno, kiedy człowiek jest w ten sposób spętany, czuje się okropnie. Chyba za nisko opuściłem górne kończyny, bo stałem tak, jakby barki ciągnęły mnie w dół. Nie wiem, czy tamten to zauważył, czy po prostu zignorował. A może stwierdził, że to nie jego problem. W każdym razie było mi potwornie niewygodnie.

Minęła długa chwila, zanim wachmistrz i cywil skończyli rozmowę.

Podeszli w naszą stronę.

– Skocz na dyżurkę i przynieś jego akta – rzucił Łapicki do młodego żołnierza.

Chłopak tylko kiwnął głową, obrócił się na pięcie i wbiegł do budynku.

– Na budę! – syknął cywil.

Ten, który mnie skuł, chwycił moje ramię i pociągnął w kierunku okratowanej paki samochodu. Łańcuchy u stóp skutecznie uniemożliwiały zrobienie normalnego kroku. Musiałem drobić i szybko przebierać nogami, żeby się nie wyrwać. Z trudem ulokowałem swoje ciało na małej, drewnianej ławce wewnątrz furgonetki. Kiedy ja wykonywałem złożone kombinacje, żeby usiąść, człowiek

o przerażającym wzroku miał już w rękach moje akta. Przez nieduże okno na przeciwnej burcie widziałem, jak sprawdzał, czy są w nich wszystkie papiery, zarówno te ważne, jak i te mniej istotne.

Hm, teraz mi przyszło do głowy, jak absurdalne jest nasze życie. Pomyślcie sami, wszystko, co stanowi o naszym jestestwie, musi mieć pokrycie na papierze. Dokumenty, cenzurki, metryki, akta, banknoty... papier, papier, papier... bez niego nie istniejemy, nic nie znaczymy. Jest nieodłącznym towarzyszem człowieka, takim materialnym cieniem, snującym się razem z nami przez całe życie. Albo jeszcze inaczej, może to nie on nam, tylko my jemu jesteśmy podporządkowani? Sądzę, że ludzie zawsze będą niewolnikami papieru.

Nie miałem pojęcia, jak długo przyjdzie nam jechać, ale bardzo szybko zrozumiałem, że ta podróż będzie daleka od przyjemności. Samochód toczył się po wybrukowanych ulicach, podskakiwał, a ja czułem na tyłku uderzenia każdej granitowej kostki. Dłonie trzymałem pomiędzy rozchylonymi udami, a palce kurczowo ścisnęły krawędź drewnianej ławki. Właściwie mogłem się położyć na podłodze, chyba byłoby wygodniej, ale tym samym pozbawiłbym się możliwości spoglądania przez okno.

Okno na świat, jakże przewrotna metafora! Moje okno na świat było okratowane i ulokowane w drzwiach więziennej furgonetki, a ów świat za szybą dopiero budził się do życia. Mijaliśmy zaspane kamienice, puste podwórza i głuche bramy. Kilka razy dostrzegłem handlarzy

rozstawiających pierwsze stragany. W pewnym momencie przejechaliśmy obok grupy rozkrzyczanych dzieciaków. Żaden z nich nie miał więcej niż dziesięć lat. Uśmiechnąłem się pod nosem, bo przypomniałem sobie, że kiedy byłem w ich wieku, również sprzedawałem gazety i wstawałem wcześniej rano, aby zdążyć do drukarni. Tak właśnie było... Na samo wspomnienie tamtych beztróskich dni moje oczy zrobiły się mokre od łez. Doskonale znam to uczucie, kiedy biegniesz o świcie ulicami miasta, kiedy czujesz, jak w twoich młodych żyłach tętni krew, kiedy wszystko wydaje się możliwe i kiedy nie planujesz, jak przetrwać kolejny dzień, bo wiesz, że wszystko, co się dzisiaj wydarzy, będzie jedną wielką niespodzianką. Przez krótką chwilę to piękne wspomnienie oderwało mnie od rzeczywistości, jakbym sięgnął pamięcią w swoje inne wcielenie, w swoje inne życie.

Chyba dopiero wtedy, gdy przejeżdżaliśmy przez most łączący brzegi Warty, dotarło do mojej świadomości, dokąd mnie wiozą. Nie miałem żadnych wyobrażeń na temat więzienia. Kilka razy słyszałem, że ponoć jest tam gorzej niż w piekle. Równie dobrze jednak mógłby mi ktoś powiedzieć, że jest gdzieś na świecie miejsce piękniejsze od raju, a też nie potrafiłbym go sobie wyobrazić.

Most na Warcie. Pamiętam, jakby to było wczoraj. W duszy przewijają się wspomnienia niczym kadry filmowej taśmy. Widzę, jak uśmiechy słońca biegają po rzece, miasto na tle błękitnego nieba oddala się wraz z drugim brzegiem, a ja, choć wydaje się to cholernie głupie, jestem podekscytowany, że niebawem spotka mnie

w życiu coś nowego. Miałem zaledwie dwadzieścia dwa lata i chyba tylko młody wiek mógł być dla mnie usprawiedliwieniem. Przecież byłem tylko naiwnym młodzieńcem, który cisnął swoje życie w rynsztok, zanim się ono tak naprawdę zaczęło.

Dziś jestem dużo starszy i nieco mądrzejszy do tamtego młokosa; na powrozie splecionym z przeżyć ciągnę za sobą kufry pełne doświadczeń. Kiedy czasami jednak zastanawiam się nad tym wszystkim, pojmuję, że im więcej wiem i poznaję, tym bardziej się boję. Prawda jest taka, iż nieświadomość uwalnia człowieka od strachu. Gdybym dzisiaj siedział w tej furgonetce i zdawał sobie sprawę z tego, co tracę i co mnie czeka, myślę, że moje serce pękłoby z żalu.

Niespełna kilometr dalej minęliśmy ostatnie zabudowania i droga zmieniła się w polny trakt. Wyboje i koleiny powodowały, że samochodem rzucało na boki. Lipcowe, poranne słońce wspinało się ponad horyzontem, a jego promienie wpadały przez okratowane okno i łaskotały moje policzki. Dookoła rozpościerały się połacie barwnych pól, a ich widok działał na mnie kojąco. Delikatne podmuchy wiatru poruszały kłosami zbóż, które leniwie falowały. Diamenty rosy szklily się na żdźbłach traw i ni stąd, ni zowąd przypomniały mi tamto lato, kiedy ja, Trufel i Pesteczka rąbnęliśmy staremu Alojzemu pół butelki wina porzeczkowego. Właściwie to Trufel ukradł, bo my z Pesteczką staliśmy na czatach. To dopiero była przygoda! Uśmiechnąłem się do swoich wspomnień. Potem biegnęliśmy ile sił w nogach przez łąkę, która rozpo-

ścierała się za młynem i ciągnęła aż do samego lasu. Trawa była wysoka, bo sięgała niemal do połowy łydki. Pędziliśmy jak szaleni. Pesteczka pierwszy, ja tuż za nim, a otyły Trufel z butelką za pazuchą daleko z tyłu. Kiedy zdyszani zatrzymaliśmy się przed ścianą lasu, najpierw poczułem, a potem zauważyłem, że moje buty i spodnie od kolan w dół są mokre od rosy.

Mieliśmy w lesie takie miejsce, które nazwaliśmy „Jelenia Górka”. Dlaczego Jelenia Górka? Nie mam pojęcia, tak się utarło, a w sumie to nawet nie była żadna górka, tylko zwykła polanka.

Usiedliśmy na zwalonym konarze drzewa.

– Kto pali? – zapytał Pesteczka i wyciągnął przed siebie otwartą dłoń, na której spoczywały trzy niezdarnie skręcone papierosy.

– A jak myślisz, durniu? – bardziej oznajmił, niż zapytał Trufel. Prawą ręką sięgnął po papierosa, ocierając jednocześnie lewą dłonią spocone czoło.

– Trufel, baryłko, nie musisz się do mnie zwracać tak samo, jak mówi do ciebie twoja matka.

Parsknąłem z rozbawienia i zakrztusiłem się dymem. Dyskusje w tym stylu toczyliśmy między sobą każdego dnia i przeważnie chodziło w nich tylko o to, żeby obrazić lub upokorzyć swojego rozmówcę. Jedynym niebezpieczeństwem było czasami zachowanie Trufla. Kiedy stawał się bezradny w słownej potyczce, rzucał się na człowieka i dawał mu wycisk. W fizycznym starciu nie mieliśmy z nim najmniejszych szans.

– Pesteczka, gamoniu, ostrzegam cię, jeszcze jedno

słowo o mojej matce i włożę ci twój nos do mojej dupy. Zrozumiałeś?

– Dajcie spokój, chłopaki, jest fajnie – wtrąciłem się do rozmowy. Wiedziałem, że wystarczy jeden epitet więcej i zaczną się przepychanki. – Las, wietrzyk szumi, ptaszki śpiewają, winko, papieroski. Czego chceć więcej?

– Dobrze, dobrze – powiedział Trufel i machnął dłonią. – Nie ja zacząłem, tylko ten wypierdek dowalił się do mojej matki!

– No to napijmy się – wpadłem mu w zdanie – po łyku na zgodę. Pasuje?

– A ty, Ropuch, nie rób się taki wielki rozjemca, dobra? – powiedział z takim wyrzutem Trufel, jakby miał przeciwko sobie cały świat.

– Sztama, Trufel? – zapytał Pesteczka i wystawił w jego kierunku zaciśniętą dłoń. Dało się usłyszeć jednak w jego głosie nutkę drwiny.

– Sztama – odparł i delikatnie zderzyli się pięściami.

Mieliśmy swój zwyczaj, że sztama i stuknięcie zawsze były na zgodę, czyli chwilowe zawieszenie broni.

Trzech trzynastoletnich gówniarzy siedziało w lesie, paliło papierosy i raczyło się trunkiem, który na pewno nie był odpowiedni do ich wieku. Cóż, nie powiem, żebym się wstydził, w końcu tacy byliśmy. Swoją drogą, Pesteczkę i Trufla kochałem jak braci. Znaliśmy się od zawsze i wychowaliśmy przy jednej, robotniczej, ulicy.

Furgonetka wpadła w ramiona lasu. Warkot silnika

wydawał się tutaj pięć razy głośniejszy niż na otwartym terenie. Patrząc przez okno, miałem wrażenie, że suniemy zielonym tunelem. Korony drzew tworzyły półkuliste sklepienie, przez które gdzieniegdzie przebijały się smugi słonecznego światła.

Droga biegła na wprost.

Las oddychał spokojem, czułem go wyraźnie, otulał mnie i przenikał. Była w nim magia, której bezwolnie się poddałem. Przyszło mi do głowy, że mógłbym tak jechać bez końca. Ta słodka, zbłąkana myśl pozwoliła mi na krótką chwilę zatracić się w zapomnieniu.

Nagle samochód się zatrzymał, a chwilę potem usłyszałem trzaśnięcia drzwiami. Silnik pracował nadal.

Kierowca i pasażer wyszli z szoferki. Jeden z nich otwartą dłonią dwa razy uderzył w blaszaną burtę.

Wzdrygnąłem się.

Rozległ się metalowy zgrzyt, a chwilę później drzwi rozwarły się na oścież. W moje nozdrza uderzył podmuch świeżego powietrza.

– Wsiadaj – powiedział cywil, wbijając we mnie swój zimny wzrok.

Strażnik, stojący nieco z lewej strony, trzymał broń skierowaną w moim kierunku.

W jednej chwili zrozumiałem, że coś jest nie w porządku. Przestraszyłem się.

– Wsiadaj, ścierwo! – krzyknął mężczyzna. Chwyć dłonią za łańcuch pomiędzy moimi stopami i pociągnął z wściekłością w swoim kierunku.

Poczułem, że stalowe obroże wżynają się w moje

ciało i zdierają skórę. Potwornie zabołało! Zleciałem z ławki. Człowiek w garniturze ciągnął, a ja szarpałem się niczym piskorz w rybackiej sieci. Krzyknąłem z bólu, kiedy mój kręgosłup wygięty w łuk orał drewnianą podłogę. W pewnym momencie moje stopy dotknęły ziemi, a reszta ciała, od pasa w górę, była w furgonetcie. Szpakowaty mężczyzna nadepnął na łańcuch pomiędzy moimi stopami i pochyliwszy się, prawą dłonią ścisnął mnie za gardło.

– Uspokój się, bo cię zatłukę! – wycodził przez zęby.

Nie mogłem odpowiedzieć, miałem wrażenie, że zaraz zmiążdży mi grdykę.

– Rozumiesz, co do ciebie mówię?!

Na znak potwierdzenia mrugałem oczami i starałem się potakiwać głową. Chyba to dostrzegł, bo nieco zwolnił swój uścisk.

– Niech pan posłucha... – próbowałem mówić, chociaż sam nie wiem, co chciałem z siebie wydusić.

– Zamknij się! – wrzasnął. – Cokolwiek masz do powiedzenia, gównu mnie to obchodzi. Mam cię żywego dostarczyć do więzienia. Żywego, rozumiesz? Gdyby to ode mnie zależało, załatwiłbym sprawę jedną kulą i zakopałbym cię tu, gdzieś przy drodze. Jesteś ścierwem – wysyczał z nienawiścią, patrząc mi przez chwilę prosto w oczy. – Nie, nie zakopałbym twoich zwłok, padliny się nie grzebie. Teraz ci daruję, ale jeśli wykonasz jakiś ruch, choćby pierdniesz, strażnik strzeli ci prosto w łeb.

Zerknąłem na lufę karabinu skierowaną prosto

w punkt pomiędzy moimi oczami.

Wiedziałem, że człowiek w idealnie skrojonym garniturze nie rzucał słów na wiatr.

Mężczyzna zwolnił uścisk, złapał moją czuprynę, zrobił krok w tył i ciągnął mnie za włosy.

Przeczuwałem, co się za chwilę stanie.

– A teraz masz za swoje! – warknął.

Dostrzegłem, że kolba karabinu zmierza w kierunku mojego brzucha, a sekundę później poczułem nieznośny ból w trzewiach. Zgięło mnie w pół. Z moich ust wydobył się gardłowy jęk. Nie zdążyłem złapać oddechu, kiedy kolejne uderzenie rozszarpało mi ucho i policzek z prawej strony i odrzuciło moją głowę w bok. Zielona trawa zbliżała się do moich oczu, a chwilę później poczułem w ustach piach. Plecy, głowa, krocze, pierś, wszystko eksplodowało. Tłukli mnie i kopali na oślep. Instynktownie starałem się tylko ochronić swoją głowę.

Ostatnią rzeczą, którą zapamiętałem, było potężne uderzenie nad lewym uchem. Poczułem, jakby błyskawica rozdzierała moją czaszkę od środka, i zaraz potem zapadłem się w ciemność.

Do moich uszu dobiegały niewyraźne głosy. Ktoś coś mówił, ale nie rozróżniałem słów i wszystko zlewało się w jeden bełkot. Z trudem otwierałem oczy i miałem wrażenie, że moje powieki są ciężkie niczym stalowe przyłbice. Z każdą chwilą czułem, jak w moim ciele zaczynają płonąć ogniska, najpierw tuż nad stopami, potem na plecach, w głowie, na przegubach rąk, na brzu-

chu. Po prostu wszędzie. Pulsujące i intensywne. Kiedy jedno nieco przygasało, inne wzbierało na sile, i tak na zmianę.

Nagle uderzyła we mnie kaskada wody. Wzburzony, zimy haust wodospadu, który rozbił się o moją osobliwość świadomość. Mokry, orzeźwiający pocałunek pobudził mnie do życia i z sykiem ugasił wszystkie potworne pochodnie.

Już wiedziałem, gdzie jestem i – co najważniejsze – kim jestem.

W świetle otwartych drzwi furgonetki dostrzegłem trzy postacie, a za ich plecami tak przeraźliwie ostry błękit nieba, że aż ranił źrenice.

– Podnieś się i wysiadaj! – padła krótka komenda.

Polecenie było oczywiste i proste, tyle że ja nie miałem siły się dźwignąć. Leżałem na boku, po mojej twarzy ściekały krople wody, czułem przyjemną wilgoć, ale nie umiałem się poruszyć, jakbym był sparaliżowany.

– Do ciebie mówię, więźniu! Wysiadaj!

Mogłem jedynie spojrzeć w kierunku, skąd dobiegał głos. Chciałem się odezwać, powiedzieć tym ludziom, że nie mam siły, że nie potrafię.

– Zawleczcie go do klęcznika! – zabrzmiał dziwny rozkaz.

Dwóch mężczyzn odzianych w brązowe mundury brutalnie wyciągnęło mnie na zewnątrz. Pochwycili moje ramiona i ruszyliśmy przed siebie. Z trudem przebierałem stopami, gubiłem krok, nie nadążałem ich tempem. Miałem wrażenie, że świat dookoła się rozplywa, zupełnie

jakbym spoglądał przez łyzy. Po naszej lewej stronie mijaliśmy okazały gmach z bordowej cegły, ale nie widziałem żadnych szczegółów, wszystko zlewało się w całość. Stalowe obroże na nogach kasały i parzyły, czułem, jak zdzierają mi skórę aż do kości. Gdyby nie mocne ręce strażników, pewnie padłbym bezwładnie na twarz. Byłem przytomny, wiedziałem, co się dzieje, ale nie miałem kontroli nad swoim ciałem. Unosiłem do góry głowę, która niemal natychmiast ciężko opadała na moją pierś. Wydawało mi się, że połowa czoła i skroń w dziwny sposób zsunęły się na moje prawe oko. Miałem wrażenie, że cała krew z mojego ciała jest pompowana do górnej wargi. Była tak nabrzmiąta, jakby za kilka sekund gigantyczne ciśnienie miało roznieść ją w strzępy. Każde uderzenie pulsu było falą bólu, która rozlewała się po moim ciele.

Zatrzymaliśmy się.

Jeden z mężczyzn mocno złapał mnie za szczękę, zbliżył swoją twarz i powiedział przez zaciśnięte zęby:

– Słyszysz mnie? Słyszysz, co mówię?

– Tak – wyszeptalem i spojrzałem na jego oblicze spod wpół przymkniętych oczu. Niestety nie potrafiłem dostrzec żadnych rysów.

– Jesteśmy na więziennym dziecińcu. Zostaniesz tutaj i uklęknieš jak w kościele do modlitwy. Nie wolno ci usiąść, wstać ani się położyć. – Z każdym słowem czułem, jak wbija palce w moje policzki. – Jeżeli stanie się inaczej, niż powiedziałem, i jeżeli będę zmuszony wrócić tutaj i powtórzyć to jeszcze raz, pożałujesz, żeś się

urodził. Zrozumiałeś!?

Odpowiedziałem skinieniem głowy.

– Zrozumiałeś, gnoju!? – krzyknął i ścisnął moją żuchwę z całych sił.

– Tak – jęknąłem.

– A teraz na kolana, pokutniku. Wróć po siebie, gdy dzwony zabiją na Anioł Pański.

Osunąłem się w dół i poczułem pod kolanami granitową kostkę.

Świat kołysał się wraz ze mną. Kiedy momentami ogarniał mnie bezwład, miałem wrażenie, że spadam w dół. Wówczas całym sobą starałem się powstrzymać ten lot, bo wewnątrz mnie krążyła myśl, która krzyczała, że dam radę, że wytrzymam. Ból przemieszczał się w moim ciele z miejsca na miejsce niczym wędrujący szczur w labiryncie bez wyjścia. Wiedziałem, że muszę mieć otwarte oczy, że nie mogę pozwolić, aby moje powieki opadły i porwała mnie ciemność. Chwilami szum w głowie dmuchał w najwyższe tony i przeistaczał się w świdrujący pisk, jakby chciał tym dźwiękiem rozsadzić mi czaszkę.

Ni stąd, ni zowąd zacząłem się w duchu modlić. Błagałem Boga, żeby mnie wspierał, żeby dodał mi sił i odwagi, żeby zlitował się nad moim losem, żeby wybaczył mi wszystkie grzechy i żeby... uwolnił mnie od strachu przed budynkiem, który znajdował się przede mną. Front potężnej budowli wzniesionej z krwistej cegły bardziej kojarzył się z klasztorem lub kościołem niż więzieniem. Widziałem pośrodku strzelistą wieżę zakoń-

czoną dachem w kształcie trapezu, ozdobne gzymsy, wycięcia, łuki, witraże w oknach. Mniej więcej na dwóch trzecich jej wysokości po obu stronach odrastały masywne ramiona i biegły w dół, by jeszcze nieco niżej rozejść się całkiem na boki i na końcach wysunąć do przodu. Kiedy patrzyłem na gmach, miałem wrażenie, że pragnie mnie uściskać i przytulić. Wydawało mi się, że posępne mury szepczą zakłęte powitanie.

Chciałbym wam powiedzieć, że dałem radę i nie złamałem się tego pierwszego dnia, ale niestety tak nie było.

Doskonale przypominam sobie to przedpołudniowe lipcowe słońce i rozkoszne ciepło na mojej twarzy. Pamiętam, jak kolana pęcznią mi z bólu, ale nie mogę odnaleźć w pamięci dźwięku dzwonów na Anioł Pański.

Nie dotrwałem i straciłem przytomność. Na pewien czas świat po prostu zniknął. W jednej chwili klęczę na dziedzińcu, a chwilę później leżę i spoglądam w biały sufit.

Usłyszawszy z lewej strony przytłumione głosy, obróciłem głowę w tamtym kierunku. Byłem w sali, która przypominała szpitalną izbę. Mężczyzna w białym fartuchu zbliżał się do mojego łóżka. Poczulem, że przyłożył mi do nosa wilgotną szmatę.

– To sole trzeźwiące – oznajmił.

Sekundę później coś gruchnęło pod moją czaszką i rzeczywistość momentalnie stała się znowu jaskrawa i wyraźna. Może zbyt wyraźna, bo aż zakreśliło mi się w głowie.

Mężczyzna pomógł mi usiąść na łóżku.

– Jak się czujesz? – zapytał bez jakiegokolwiek troski w głosie. – Możesz poruszać rękami i nogami? Możesz pokręcić głową?

– Chyba tak – odparłem.

– Wstań.

Posłusznie wykonałem polecenie.

Byłem ubrany tylko w bieliznę.

– Zrób kilka kroków.

Zauważyłem, że na przegubach dłoni mam bandaże. Spojrzałem w dół na moje bose stopy. Ponad kostkami również były opatrunki. W kilku miejscach na moim poranionym ciele dostrzegłem ślady kremowego proszku.

– Zdezynfekowałem rany jodoformem – powiedział, widząc mój zdziwiony wyraz twarzy. – Czujesz jakiś silny, nienaturalny lub bardzo niepokojący ból? – zapytał głosem pełnym obojętności.

– Nie, chyba nie, wszędzie boli tak samo – odparłem. – Nic nie widzę na prawe oko.

– Za jakiś czas będziesz widział – skwitował. – Musi zejść opuchlizna.

Delikatnie dotknąłem dłońmi swojej twarzy, prawdopodobnie musiała wyglądać jak kawałek surowego, przeżutego mięsa.

– Ubierz się. – Wskazał głową na moje ubranie, leżące na krawędzi łóżka. Podszedł do stalowych drzwi, uchylił je do połowy i krzyknął: – Dozorca! Odebrać więźnia! – Obrócił się na pięcie, spojrzał mi w oczy i powiedział tym samym beznamiętnym tonem: – Nie daj

się im!

Zupełnie zaskoczony jego słowami odpowiedziałem tylko nieznacznym skinieniem głowy.

Chwilę później barczysty mężczyzna w brązowym mundurze prowadził mnie pustymi korytarzami.

Udaliśmy się do jakiegoś magazynu. Za długą i szeroką ladą siedział otyły strażnik z sumiastymi wąsami. Na nasz widok wyjął grubą księgę. Musiałem podać imię i nazwisko, wagę, wzrost i numer buta.

– To worek depozytowy – odezwał się grubym głosem, kładąc przedmiot na ladzie przed sobą. – Rozbierz się do naga i włóż tam ubranie. Możesz zatrzymać swój prywatny pasek od spodni. Na pewno ci się przyda.

Spojrzałem na duży, jutowy pokrowiec z rzędem popielatych guzików i drewnianym wieszakiem. Zarzuciłem na wieszak spodnie, marynarkę i koszulę, a buty i bieliznę włożyłem do środka luzem. Posłuchałem rady funkcjonariusza i zatrzymałem swój skórzany pasek. Strażnik przywiązał do worka dużą, białą kartkę, na której napisał prawdopodobnie moje nazwisko, po czym zabrał go i ulokował w rzędzie po prawej stronie, gdzie wisały dziesiątki identycznych, jutowych pokrowców. W zamian dostałem szary uniform, bieliznę, koc, poszewkę na poduszkę, kostkę mydła, ręcznik, onuce i parę wysłużonych butów. Wymieniał na głos każdą rzecz i jednocześnie zaznaczał krzyżykiem odpowiednią rubrykę w księdze. Kiedy skończył, skinął głową do klawisza, który mnie eskortował.

– Łap się za to i idziemy – warknął ten drugi.

Zebrałem otrzymane rzeczy i ruszyłem tak jak mnie Pan Bóg stworzył.

Przeszliśmy na drugą stronę korytarza. W kolejnym pomieszczeniu posadzili mnie na krześle i identyczną maszynką, jaką strzyże się owce, ogolili mi głowę niemal do gołej skóry. Potem musiałem stanąć przed kamienną ścianą, gdzie najpierw potraktowali mnie jakimś ciekłym świństwem, prawdopodobnie do dezynfekcji, a następnie splukali to ze mnie obfitym strumieniem wody. Dopiero po tych zabiegach padła komenda, że mam się ubrać.

Strażnik prowadził mnie schodami w górę.

Znalazłem się w obszernym gabinecie. Za biurkiem siedział posępny jegomość, który na moje oko miał jakieś czterdzieści lat.

Mężczyzna, jakby od niechcenia, kołysał się na krześle, ale jednocześnie bacznie mi się przyglądał. Przed nim leżały dokumenty, kilka szarych teczek, pióro, parę luźnych kartek, gazeta i ciemny, metalowy kubek.

– Aspirant Teodor Szumski – przedstawił się spokojnym głosem. – A to pomieszczenie – omiół pokój wzrokiem – to brama do mojego królestwa, gdzie jestem niepodzielnym władcą. Od tej chwili należysz do mnie. – Kciukami wskazał sam na siebie. – Najpierw jednak dowiemy się czegoś o tobie. – Sięgnął po teczkę leżącą na wierzchu. – Ja pytam, ty odpowiadasz, krótko i na temat, jasne?

– Tak – odparłem i jednocześnie kiwnąłem głową.

– Imię?

– Stanisław.

- Nazwisko?
 - Żabikowski.
 - Urodzony?
 - Siedemnastego października tysiąc dziewięćsetnego roku w Kaliszu.
 - Masz matkę, ojca?
 - Matka żyje. Ojciec zmarł, kiedy miałem pięć lat.
 - Masz rodzeństwo?
 - Nie.
 - Masz żonę, dzieci?
 - Nie.
 - Umiesz pisać, czytać?
 - Nie, ale znam cyfry i potrafię rachować.
 - Potrafisz, no dobrze. Masz jakiś fach?
 - Jestem stolarzem.
 - Stoolarz, aha... – powiedział przeciągle i coś zanotował w dokumentach. – Chorowałeś? Gruźlica, tyfus, szkorbut albo jakieś inne świństwa?
 - Nie.
- Aspirant Szumski pogładził się dłonią po brodzie i pstryknął palcami.
- A co ci się stało w twarz? – zapytał, podnosząc się z krzesła.
 - Nic – bąknąłem niezdecydowanie i wbiłem wzrok w podłogę.
 - Hm, ciekawe rzeczy opowiadasz, no dobrze... – mówił spokojnym głosem. Sięgnął po kubek, podszedł do szafy przy ścianie i nalał sobie czegoś z brązowej butelki.
 - Mam rozumieć, że nie powinienem się niepokoić, jeśli

kiedykolwiek twój pysk będzie tak wyglądał? – zapytał, ale nie oczekiwał żadnej odpowiedzi. – Bo widzisz, Żabikowski – rzekł po chwili – nie interesuje mnie, jakie grzechy popełniłeś, i mam gdzieś, jak wyglądało wcześniej twoje życie. Teraz tutaj będzie twój dom, a ja będę dla ciebie surową matką i groźnym ojcem. Masz przestrzegać zasad, które tu panują, masz posłuszenie wypełniać rozkazy dozorców i trzymać się z dala od problemów. Wierzę w dwie sprawy... – najpierw wskazał dłonią ponad drzwi, gdzie wisiał krzyż, a potem na ścianę z godłem narodowym, po czym uniósł nieco kubek w górę, jakby chciał wznieść toast na ich cześć, i wychylił jego zawartość na jeden raz. – wierzę w Boga i ojczyznę – dokończył myśl. Zbliżył się do biurka i puknął dłonią w szarą teczkę. – Z tego, co tutaj wyczytałem, to wydaje mi się, Żabikowski, że ty w nic nie wierzysz. A to bardzo niedobrze – pokręcił głową – będziemy musieli nad tym popracować... Jeśli chodzi o regulamin, o wszystkie zasady i obowiązki, to masz je znać, i to już twój problem, jak się tego nauczysz. Od tej chwili jesteś uświadomionym więźniem numer dwadzieścia dziewięć-jedenaście, skazanym na dożywocie i odbywającym karę w Centralnym Więzieniu we Wronkach, blok B, oddział dziesiąty. – Stał przed mną i teatralnym gestem podrapał się w nos. – Zapamiętałeś?

– Tak – odparłem prawie szeptem.

– Tak jest, panie aspirancie! – wrzasnął mi prosto w twarz. Był tak blisko, że dokładnie widziałem jego pośótkle zęby. – Tak masz odpowiadać – dokończył

spokojnym tonem.

– Tak jest, panie aspirancie – powiedziałem drżącym głosem.

– A teraz ładnie powtórz, czego jesteś świadom – rozkazał.

– Jestem więźniem numer dwadzieścia dziewięć-jedenastie, skazanym na dożywocie, karę odbywam w Centralnym Więzieniu we Wronkach, blok B, oddział dziesiąty – zakończyłem niepewnym tonem.

Szumski przez dłuższą chwilę świdrował mnie wzrokiem. Staliśmy tak na przeciw siebie, a ja czułem, że narasta we mnie obawa przed tym człowiekiem. Dobrze o tym wiedział i zadbał, żeby wlać we mnie strach i respekt.

– Dobrze. A teraz wbij sobie jeszcze do tego głupiego łba – cedził słowa, delikatnie stukając mnie w środek czoła kantem metalowego kubka – że nie masz tutaj żadnych praw i jeśli mnie do tego zmusisz, mogę zamienić twoje życie w piekło. Zapamiętaj to sobie. Ponieważ dostałeś dożywocie, nikt nie będzie się przejmował twoim losem. Co za różnica, kiedy umrzesz? Dzisiaj, pojutrze, za pięć lat. Co za różnica? – przemawiał niczym aktor wygłaszający monolog. – Dla mnie żadna, dla ciebie istotna, prawda? – skwitował, wzruszając ramionami i patrząc na mnie z uniesionymi brwiami, jakby oczekiwał odpowiedzi.

– Tak jest, panie aspirancie – odparłem pospiesznie.

– Dobrze, chyba zaczynasz rozumieć. Myślę, że spotkamy się jeszcze nieraz.

Kilka minut później w towarzystwie strażnika zostawiłem za sobą okratowane przejście. W jednej chwili zimny dreszcz oplótł moje plecy. Jakkolwiek bym sobie wyobrażał to miejsce, każda wizja minęłaby się z prawdą.

Podniosłem wzrok.

W górę pięły się posępne ściany szarego muru, stalowych prętów i ciszy.

Ponura katedra odkupienia.

Metalowe poręcze i barierki, drewniane schody i podesty. Cele ciągnęły się w rzędach po obu stronach bloku i mieściły się za masywnymi, drewnianymi drzwiami. W oddali ściana na wprost wpuszczała do środka światło dnia przez potężne, okratowane okno, które biegło jednym ciągiem przez wszystkie kondygnacje. Właściwie była to olbrzymia konstrukcja, która przypominała jednobarwną szachownicę zbudowaną ze stalowych poprzeczek i prostokątów z grubego, nieprzejrzystego szkła.

Szedłem przed siebie co kilka kroków lekko popychany przez eskortującego dozorcę. Czułem, że drżą mi nogi, a serce wściekle łopocze w piersiach. Nieuchronnie zbliżał się moment, kiedy będę musiał przekroczyć próg celi. Obawiałem się tego, co spotkam w środku, po drugiej stronie drzwi.

– Otworzyć sześćdziesiąt siedem! – krzyknął mundurowy za moimi plecami i pchnął mnie, kierując w stronę schodów po prawej.

– Otwieram! – odpowiedział czyjś głos.

Kiedy stąpaliśmy po drewnianych stopniach, na-

szym krokom towarzyszyło echo. Dotarliśmy na drugi poziom.

W ustach miałem tak sucho, że język przykleił mi się do podniebienia.

Kilkanaście metrów przede mną stał w rozkroku kolejny strażnik i trzymał w dłoni czarną pałkę. Pokiwał nią w moim kierunku.

Serce waliło mi tak, jakby za moment miało eksplodować, a niewidzialne palce coraz mocniej ścisnęły za gardło.

– Witam w apartamencie numer sześćdziesiąt siedem. – Mężczyzna kiwnął głową w stronę otwartych drzwi.

Kiedy zobaczyłem małą, pustą celę, pryczę, drewniany stół, taboret, niedużą szafkę wiszącą na ścianie, miskę na pokrzywionym trójnogu i dwa metalowe wiadra, pamiętające chyba jeszcze dziewiętnasty wiek, poczułem się tak lekko, jakby jakaś boska siła wystrzeliła mnie aż do chmur. Wszystkie moje nieuzasadnione obawy, strach i panika opuściły mnie jak za dotknięciem magicznej różdżki. Właściwie to sam nie wiem, dlaczego się bałem. Co gorszego mogło mnie jeszcze dzisiaj spotkać oprócz tego, czego już zdążyłem doświadczyć? Jeszcze jedno bolesne lanie?

– Wchodzisz czy mam ci pomóc? – syknął strażnik i delikatnie trzepnął mnie pałką w obojczyk.

Nigdy nie trzeba było mi dwa razy powtarzać.

Wszedłem do środka.

– To wiadro z pokrywą jest puste i to jest twój ki-

bel, tam szczasz i srasz. Drugie jest pełne wody – powiedział dozorca, wskazując na kubły. – Wody używasz do picia, do mycia i do zalewania tego, czym zapaskudzisz kibel. Wodę oszczędzasz, bo jest uzupełniana tylko raz na kilka dni. Kible są opróżniane każdego ranka. Reszty dowiesz się później. – Obrócił się na pięcie i wyszedł z celi.

Stałem przez dłuższą chwilę i obserwowałem pomieszczenie. Na szarych, podrapanych ścianach były wyryte znaki przypominające litery. Coś jak inicjały, może imiona, nazwiska albo nazwy. Były też cyfry. Domyśliłem się, że to daty. Zauważyłem również kilka nieudolnych rysunków. Ślizgając się wzrokiem po ścianach, przyszło mi na myśl, że kilka osób musiało zostawić tutaj część swojego smutnego życia. Spojrzałem na metalową pryczę, rzuciłem ekwipunek na stół i ostrożnie położyłem się na łóżku. Wymiętolony siennik i nieduża poduszka cuchnęły stęchlizną. Leżałem na wznak z zamkniętymi oczami i chłonałem ciszę, która mnie otulała.

Poderwałem się na równe nogi, kiedy usłyszałem wściekły i natarczywy dźwięk. Zupełnie jakby ktoś energicznie ciągnął za sznur dzwonu lub walił w jego kielich metalowym trzonkiem. Po chwili z drugiej strony drzwi rozległa się nerwowa wrzawa. Uderzenie, zgrzyt metalu i wykrzyczana komenda: „wychodzić!”. Uderzenie, zgrzyt metalu, „wychodzić!”. Uderzenie, zgrzyt metalu, „wychodzić!”. Ta czynność pędziła korytarzem niczym spocona lokomotywa i dotarła również do mojej celi.

Zasuwa po drugiej stronie moich drzwi uderzyła z trzaskiem.

Ostrożnie wyjrzałem na zewnątrz. Więźniowie wychodzili ze swoich klatek, stawiali krok do przodu i zamierali w miejscu. Zrobiłem to samo co reszta. Sąsiad po lewej spojrział na mnie oczami bez wyrazu i kiwnął głową. Nie wiem, jak miałem odczytać ten gest. Chciał powiedzieć zwyczajowe „czołem”? A może to miało znaczyć „czego się gapisz”? Odwzajemniłem jego skinienie.

Chociaż nigdy nie chodziłem do szkoły, poczułem się wtedy jak pierwszoklasista.

Obserwowałem i powieliałem zachowanie innych. We wszystkim, co się działo dookoła, we wszystkich czynnościach, które wykonywali więźniowie i strażnicy, był opracowany system. Kiedy rozległ się gwizdek, skazańcy wykonali obrót przez ramię, kolejny gwizdek i ruszyliśmy gęsiego w stronę schodów. Nikt się nie odzywał. Szliśmy rzędem wzdłuż ściany korytarza, niczym bydłęta prowadzone na rzeź.

Usłyszałem gwar z pomieszczenia, do którego wkraczał nasz szereg. To była więzienna stołówka.

– Tutaj już można gadać. – Mężczyzna za mną wypowiedział te słowa prosto do mojego ucha i poczułem jego ciepły oddech.

Obróciłem głowę i ujrzałem twarz człowieka, który mógłby być moim dziadkiem.

– Świeżak? – zapytał.

– Słucham? – odparłem zdziwiony.

– Nie ważne – mruknął – po gębie widać, żeś świeżak.

Nasz szereg dość szybko przesuwał się do przodu. Śniadanie wydawali dwaj rośli faceci w brudnych, szarych fartuchach i kucharskich czapach. Pierwszy czerpał chochlą z dużego kotła jakąś strawę i wlewał do metalowej miski, drugi zaś podawał każdemu więźniowi kromkę czarnego chleba i łyżkę.

Kiedy nadeszła moja kolej, ten przy kotle spojrzał na mnie i uśmiechnął się na widok mojej twarzy.

– Świeżak? – rzucił w moją stronę.

Domyśliłem się, że tak nazywają tutaj nowych skazańców.

– Tak – potwierdziłem.

Mężczyzna zaciągnął chochlą z dna kotła, jakby chciał zebrać co lepsze kąski, a potem dolał samej wody aż po brzegi. Już miał mi podać miskę, ale jeszcze zapytał:

– Który oddział?

– Dziesiąty – odparłem.

Wyraz jego twarzy zmienił się w jednej sekundzie. Przechylił miskę i wlał prawie całą strawę z powrotem do gara. Wcisnął mi ją w dłonie z resztkami tego, co zatrzymało się na dnie, i syknął przez zaciśnięte zęby:

– Wypierdalaj!

Strażnik, który stał obok, nawet nie zareagował.

Ten świat rządził się niezrozumiałymi dla mnie zasadami.

Trzymając jedzenie, szedłem przed siebie i nie wiedziałem, co mam teraz zrobić, gdzie mam usiąść, jak

się zachować. Tutaj istniały jakieś podziały pomiędzy więźniami, królowały dziwne i nieznanne mi prawa.

– Hej, świeżak! – Dziadek, który stał za mną w kolejce, teraz znalazł się tuż obok mnie. – Siadamy tutaj. – Pociągnął mnie za mankiet bluzy.

Zajęliśmy miejsca naprzeciwko siebie.

Przy każdym stole mogło usiąść sześć osób. Tylko przez krótką chwilę byliśmy sami. Kilka sekund później dołączyli do nas czterej mężczyźni.

– On jest z naszego oddziału – powiedział do nich starszek.

– A ty szczęśliwy, że możesz pomóc kolejnej duszyczce? – zapytał jeden z nich.

Pozostali sprawiali wrażenie rozbawionych.

– O, słyszę, że już zapomniałeś, jak byłeś świeżakiem – odciął się dziadek.

Reszta prawie wybuchła śmiechem.

– A ja pamiętam twój pierwszy dzień, prawie nasrałeś w gacie – rzucił inny.

Nagle zrobiło się gwarno, mówili jeden przez drugiego.

– Ile masz lat, synu? – spytał mężczyzna po mojej prawej stronie.

– Dwadzieścia dwa – odparłem.

– Jaki wyrok? – dociekał inny.

Przez moment wahałem się, czy mam powiedzieć prawdę.

– Dożywocie – wykrztusiłem w końcu.

Mężczyzna siedzący na wprost mnie zamarł w bez-

ruchu i spojrział mi prosto w oczy. Może myślał, że wyczyta w nich coś innego, może szukał jakiegoś cienia kłamstwa?

– Co zrobiłeś, że dali ci dożywocie? – W głosie starszuka brzmiało zaskoczenie.

Oczy współbiedniaków były wpatrzone w moje oblicze i widziałem w nich niecierpliwe oczekiwanie, które domagało się zaspokożenia.

– Nie chcę o tym rozmawiać – wydusiłem z siebie nieco przestraszonym tonem.

– Tajemniczy – skwitował sąsiad dziadka, a na jego twarzy zawitał dziwny grymas.

– Tak tylko pytałem – odparł spokojnie starzec – ze zwykłej ciekawości.

Przez kilka minut siedzieliśmy bez słowa.

– Więźniowie i strażnicy nazywają mnie „Ojczulek” – zaczął mówić. – Tak samo jak ty odbywam swoją karę na oddziale dziesiątym. Jeżeli nie chcesz mieć tutaj kłopotów, jeżeli nie szukasz wrogów wśród skazanych, nigdy nie mów, z jakiego jesteś oddziału. Nigdy. Możesz powiedzieć, że jesteś z bloku B, i to wcale nie będzie miało się z prawdą. Mam rację, chłopaki? – zapytał kumpli, ale nie czekał na potwierdzenie. – Blok B składa się z kilku oddziałów, a każdy z nich ma swoją literę lub cyfrę. Potraktuj to jako życzliwą radę i zapamiętaj raz na zawsze, nigdy nie przyznawaj się, z którego jesteś oddziału. Twój pierwszy więzienny posiłek, twoja pierwsza kolacja i sam widzisz, co się stało. Nawet nie dostałeś za wiele do jedzenia, prawda? Następnym razem może być

gorzej. Myślę, że tamten kuchta – wskazał głową w kierunku mężczyzny – podzieli się informacją z innymi.

– Na pewno to zrobi – wtrącił się jeden z więźniów siedzący po przekątnej. – A ty dla własnego bezpieczeństwa czym prędzej wyhoduj sobie oczy z tyłu głowy.

– Jeszcze przez jakiś czas będziesz nosił na twarzy znamię świeżaka – ciągnął Ojczulek, spoglądając na moje sińce i opuchliznę – więc przygotuj się na szykany, kuksańce i nieprzyjemne traktowanie. To miejsce ma niewiele wspólnego ze światem, który znasz. Niebawem się o tym przekonasz. – Ton jego głosu był bardzo spokojny.

Udzielił mi pierwszej lekcji, a ja poczułem się zaskoczony i zawstydzony.

– Dziękuję za radę – odpowiedziałem po chwili. – Nazywam się Stanisław Żabikowski. – Spojrzałem po twarzach mężczyzn i każdemu kiwnąłem nieznacznie głową. – W tamtym świecie, który znam, przyjaciele wołali na mnie „Ropuch”.

Ojczulek uśmiechnął się lekko.

– Ten Ropuch to od nazwiska? – zapytał któryś.

– Tak – odparłem. – Poza tym brzmi zdecydowanie lepiej i bardziej męsko niż żabcia lub kijanka.

Chyba ich rozbawiłem, bo parsknęli śmiechem.

Chciałem jeszcze o coś zapytać, ale w tym samym momencie rozległy się dwa krótkie i ostre gwizdy.

– Ten sygnał oznacza, że blok B kończy posiłek i wracamy do naszych cel – powiedział siedzący z mojej prawej. Wstając, klepnął mnie w ramię. – Mam na imię

Roman. Za drzwiami stołówki nie wolno rozmawiać. Musisz być czujny i ucz się, obserwując innych.

Szliśmy gęsiego po prawej stronie korytarza. Z lewej maszerował kolejny sznur skazańców, którzy zmierzali do stołówki.

Wydawało się, że system pracuje precyzyjnie.

Nikt mi tego nie powiedział i nikt mnie nie ostrzegł, że pierwsza noc w więzieniu jest najgorsza. Zanim zapadnie zmierzch, siedzisz zamknięty w celi, widzisz, jak z każdą minutą gaśnie światło dnia, i czujesz, że skrada się mrok. Prawie go słyszysz. Otula świat, przenika przez twoją skórę, wchodzi w głąb ciebie i wypełnia duszę. Czujesz się porzucony, bezbronny i samotny. Modlisz się w myślach, klepiesz pacierze, składasz przyrzeczenia i obietnice, błagasz o łaskę i nagle zdajesz sobie sprawę, że Bóg cię nie słyszy, bo dawno temu opuścił to miejsce. Zostałeś sam. Pierwszej nocy cela zaczyna cię przerażać. Uświadamiasz sobie, że twój cały świat skurczył się do jej rozmiarów. Być może wszyscy ci, którzy mają przed sobą wyrok kilku miesięcy lub lat, przyjmują to inaczej. Może potrafią sobie powiedzieć – dam radę, wytrzymam, to tylko tymczasowa klatka, to miejsce mnie nie zniszczy, bo pewnego dnia opuszczę mury. A co może sobie pomyśleć skazany na dożywocie? Z takim wyrokiem nie dumasz o przyszłości, nie patrzysz w przód, ale bezustannie oglądasz się za siebie. Liczy się tylko to, co dzieje się dzisiaj, wczoraj, kilka dni temu. Nie snujesz planów, na nic nie czekasz. Wydaje się to cholernie proste i oczywi-

ste, ale zapewniam was, że wcale takie nie jest.

Pierwsza noc może cię zniszczyć. Siedzisz na pryczy i kiedy twoje oczy przywykną do ciemności, widzisz wyraźnie wszystkie cienie malujące się na podrapanych ścianach. Wsłuchujesz się w ciszę, która dzwoni w uszach, i masz wrażenie, że wypełnia cię bezgraniczna pustka. Świadomość własnego istnienia staje się ciężarem, nie potrafisz ogarnąć rozumem tego, co się stało, i przeraża cię myśl o tym, jaki masz przed sobą los. Dotykasz dłonią zimnych ścian i ich chłód jest taki sam jak ten, który zaczyna się rodzić w tobie. Wzdrygasz się na myśl, że niebawem przesiąkniesz nim na wskroś, aż do szpiku kości. Ta myśl najpierw niesie zdziwienie, potem ból, aż wreszcie zamienia się w paraliżujący strach. Padasz na pryczę, podkulone nogi oplatasz uściskiem ramion, każdy mięsień twojego ciała jest napięty do granic możliwości, a wewnątrz drżysz z przerażenia.

Pierwszej nocy we Wronkach otarłem się o szaleństwo.

Kolejne tygodnie były dla mnie nauką nowego życia. Miałem się na baczności i wszystko obserwowałem. Bardzo szybko zrozumiałem, że więzienne życie to przede wszystkim idealnie doszlifowana rutyna. Sztywny cykl zajęć i obowiązków. Po miesiącu zaczynasz odpowiednio reagować na przeróżne bodźce, na gwizdy, na dzwonki, na wykrzykiwane komendy. Po dwóch miesiącach z chaosu wyłania się żelazny szablon i już wiesz, że do każdego sygnału jest przypisana konkretna godzina. Po trzech

miesiącach trudno jest zapanować nad własnymi odruchami, zaczynasz się czuć jak pies Pawłowa i jeśli masz odrobinę oleju w głowie, wszystko staje się jasne. Twoje życie zamienia się w bezbarwny schemat, toczy się od gwizdka do gwizdka. Jesz na sygnał, sikasz na sygnał, srasz na sygnał...

Spędziłem w więzieniu większość życia, więc śmiało mogę o sobie powiedzieć, że jestem ekspertem, prawdziwym znawcą z wieloletnią praktyką. Myślę, że gdyby jakaś instytucja przyznawała tytuły naukowe za odsiadkę, to z marszu dostałbym profesora. Jako niekwestionowany biegły w tej sprawie powiem wam jedno, w pudle najgorszy jest pierwszy rok. Każdy, kto dostał dłuższy wyrok, potwierdzi moje słowa. Możecie się nawet pokusić o sprawdzenie więziennych statystyk, największy odsetek samobójstw przypada w pierwszych dwunastu miesiącach odbywania zasądzonego wyroku.

Więzienne mury i królująca w nich rutyna potrafią złamać każdego. Widziałem to wiele razy. A jeżeli zdobędziesz jeszcze wrogów wśród innych skazanych, albo co gorsza wśród strażników, masz naprawdę przesrane. W tym świecie dobrze jest mieć pomocnych znajomych, życzliwych kumpli albo oddanych przyjaciół. Dobre układy to w więzieniu bardzo cenny nabytek.

Sądzę, że człowiek potrafi się zmienić z dnia na dzień. Bynajmniej tak stało się w moim wypadku. Zanim tutaj trafiłem, byłem pogodnym młodzieńcem, otwartym na ludzi. Czasami miałem wrażenie, że znam połowę mieszkańców Kalisza. Lubiłem rozmawiać, byłem śmiały,

bezpośredni w kontaktach z innymi, szczerzy i ufny. We Wronkach wystarczyło kilka dni, żebym stał się dokładnym przeciwieństwem swojego poprzedniego ja. Zupełnie jakby ktoś rzucił na mnie ponure zaklęcie, stałem się ostrożny, skryty, małomówny i podejrzliwy.

Moje pierwsze miesiące były naprawdę parszywe. Według niepisanego zwyczaju nowo osadzeni zawsze dostają najgorszą robotę, chyba że mają jakiś dar, cudowne umiejętności albo są ulubieńcami Boga, wtedy trafia się im dobra posadka. Ja pierwszego dnia zostałem przydzielony do łodygowni i tym samym stałem się kolejną parą rąk do obdzierania świeżej trzciny i wikliny. Teraz może to kogoś dziwić, ale w tamtych czasach wyroby z tych roślin były bardzo popularne, a Centralne Więzienie w Wronkach – jednym z największych dostawców w kraju. Chłopaکی pletli takie cuda, że dnia nie starczyłoby, aby je wszystkie wymienić. Robili kosze i koszyki, fotele, stoły, płoty, wieszaki, krzesła, miotły, kufry, skrzynie, taborety, stojaki, maty ściennie, parawany, strzechy dachowe, ozdoby świąteczne i mnóstwo innych rzeczy, czego dusza lub ciało zapragną. Rynek był chłonny niczym gąbka, więc produkcja szła pełną parą. Mieli gdzieś nasze zakrwawione dłonie. Sześć dni w tygodniu, przez ponad dziesięć godzin dziennie czyściłem łodygi trzciny pospolitej z pochewek liściowych – tak to się fachowo określa – albo przygotowywałem wiklinę do korowania. Żmudna i monotonna praca. Masz do pomocy tylko kawałek drewnianego klocka, a to świństwo z łodyg tnie

skórę jak brzytwa, wdziera się pod paznokcie, rani, kaleczy i kłuje. Po kilku dniach pracy twoje dłonie wyglądają, jakby ktoś potraktował je tłuczkiem do mięsa. Skóra na palcach nie nadaża z gojeniem, nie dosyć na tym, że krwawi, to jeszcze staje się niesamowicie sucha i pęka. Wdzięczność należy się Bogu i temu, kto obok wejścia na łodygownię postawił starą, drewnianą bekę z gęstym, śmierdzącym olejem lnianym. W przerwach i na koniec dniówki można było zanurzyć tam spracowane dłonie lub nasączyć jakiś skrawek szmaty, żeby wieczorem albo nocą ulżyć sobie w bólu. Nikt się nie przejmował zasadami higieny. Olej pomagał, i to było najważniejsze.

Wiele tygodni zajęło mi opracowanie odpowiedniej techniki obchodzenia się z tymi cholernymi witkami.

Każde więzienie oferuje skazanym dwa miejsca towarzyskich spotkań, pierwsze – to stołówka, drugie – spaceriak. Krąg twoich znajomych przeważnie zawęży się do ludzi z tego samego bloku lub oddziału. Instynktownie wyczułem, że warto łączyć się do tych drugich. Na początku nie było łatwo. Rozmawiali ze mną, czasami powiedzieli coś miłego, coś poradzili, ale zachowywali się ostrożnie i trzymali mnie na dystans. Wiele razy widziałem, jak dyskutowali o czymś gorliwie, ale kiedy się zbliżałem, nagle zmieniali temat. Wiem, że tak się działo. A czasami bywało i tak, że kiedy pojawiłem się w pobliżu, słyszałem krótkie:

– Spadaj, Ropuch, pędzisz stąd! No już!

Jedyną osobą, która odstawała od reszty, był Ojczu-

lek.

W więzieniu uczysz się wszystkiego powoli, poznajesz sekrety i obyczaje metodą małych kroczków, czasami musisz zasłużyć sobie na radę czy informację, a przy okazji sam jesteś testowany. To jest miejsce, które zmienia człowieka. Za murami mogłeś być uczciwy i lojalny wobec przyjaciół, mogłeś cieszyć się zaufaniem ludzi, ale tutaj... tutaj to co innego. Albo trzymałeś z ferajną, albo byłeś pupilkiem strażników, którzy uwielbiali wiedzieć, co się dzieje. W zamian mogli zaoferować coś ekstra – więcej żarcia, lepszą pracę, więcej swobody i przede wszystkim ochronę. Tych, którzy wchodzili w ten układ, nazywano „kurwami”. Niestety nikt mi nie powiedział, że użycie słowa „kurwa”, najśrodszego z polskich przekleństw, jest tutaj bardzo niebezpieczne.

Przekonałem się o tym bardzo szybko i w dość bolesny sposób w pewien październikowy dzień 1922 roku. Miałem już za sobą prawie trzy miesiące odsiadki, ale ciągle uczyłem się nowego życia. Jak się później okazało, ta lekcja w pewnym sensie wyszła mi na dobre.

W łodygowni pracowało zawsze około dwudziestu osób, które zbierano ze wszystkich bloków i oddziałów. Oprócz nowych trafiali tutaj najbardziej niepokorni i ci, którzy mieli na pieńku z klawiszami. To była taka wewnętrzna kolonia karna.

Z początkiem października pojawiło się kilku osobników z bloku A. Skoro tutaj trafili, musieli coś przeszkrobać. Byli bardzo pewni siebie i zachowywali się dość nonszalancko, ale nie na tyle, żeby drażnić strażni-

ków. Na jednego z nich, który dominował nad resztą, wołali „Prezes”. Krępy koleś, krótko ostrzyżone włosy i przedziwnie płaski nos, zupełnie jakby zaraz po narodzinach ktoś pomylił jego gębę z tyłkiem i zamiast klapsa w dupsko, przywalił mu z otwartej centralnie w facjatę.

Są tacy ludzie, od których już na kilometr kipi agresją, i właśnie on do takich należał.

Drapieżnik.

Nie mam pojęcia, jak wyglądał jego układ ze strażnikami, ale Prezes nie pracował. Jego kumple tak, ale nie on. Koleś tylko prezesował. Spacerował po łodygowni, przechadzając się tam i z powrotem, czasami do kogoś zagadał, ale najczęściej szturchał, szeptał coś z klawiszami albo znikał gdzieś na długie godziny. Słowem, zachowywał się jak prawdziwy prezes.

Po pewnym czasie upodobał sobie moją skromną osobę. Podchodził, zaczynał o coś wypytywać, a ja grzecznie udzielałem skąpych odpowiedzi. Potem coś mu się przestało w tym wszystkim podobać i zaczął mi dukać. Momentami był nawet boleśnie dotkliwy. Coraz częściej pojawiały się kuksańce i klepnięcia. Strażnicy przyglądali się z półuśmiechem na twarzy i nie reagowali. Pozwalali Prezesowi panoszyć się tutaj jak na swoim terenie. Był niczym zawiadacki kogut pośród bezbronnych kurcząt.

Napięcie pomiędzy nami zaczynało iskrzyć, tylko że to ja siedziałem na beczce prochu, a nie płaskonosy Prezes.

Pewnego dnia zatrzymał się przy moim stanowisku.

– Dzisiaj pracujesz za mnie – syknął mi do ucha w ten słoneczny, październikowy poranek. – Nadeszła twoja kolej, zrozumiano?

Wiedziałem jedno – nie mogę ulec temu człowiekowi, choćby miał się zawalić cały świat. Jeśli się poddam, będzie po mnie, będą mnie niszczyć każdego dnia, będą powoli i skutecznie odbierać mi resztki mojej godności.

– Zrozumiałeś, popaprańcu? – szepnął i końcem języka polizał mi ucho.

Poniosły mnie nerwy. Poderwałem się na równe nogi i patrząc wystraszonym wzrokiem w jego oczy, wyrzuciłem z siebie łamiącym się głosem:

– Ty, kurwa, odwal się ode mnie.

– Co?! – ryknął. W jednej sekundzie jego oblicze przybrało buraczkową barwę, a wszystkie ścięgna i żyły łączące głowę z torsem wyglądały jak napięte sznury. – Coś ty powiedział?! – Chwycił mnie za poły szarej bluzy i przyciągnął ku sobie. – Hej, chłopaki, słyszeliście to?!

Zrobiło się małe przedstawienie, a ja grałem jedną z głównych ról.

Żaden z cyngli nawet nie kiwnął palcem, większość więźniów obserwowała sytuację, czekając na dalszy rozwój wypadków, a świta Prezesa dołączyła do zabawy.

– Nazwał mnie „kurwą”. Słyszeliście to? – zapytał retorycznie. – Ten śmieć twierdzi, że ja jestem kurwą!

– Nie to miałem na myśli – próbowałem się wybronić słowem.

– Zamknij ryj! – Uderzył mnie otwartą dłonią

w policzek. – Nazwałeś mnie „kurwą”, a to najgorsza zniewaga, jaka mnie tutaj spotkała!

– Ale nie o to mi... – nie zdążyłem dokończyć. Prezes posłał mi celny podbródkowy. Potem wystarczyły jeszcze dwa uderzenia w szczękę i padłem na podłogę. Dostarczyła reszta jego przydupasów i zatańczyli ze mną kujawiaka, bardzo nietypową odmianę tego tańca, gdzie jeden leży, a reszta go kopie.

Chociaż wszystko trwało zaledwie moment, to i tak zdążyłem solidnie oberwać. Najwidoczniej jeden ze strażników zobaczył, że sprawy zaczynają brnąć za daleko, i rozpuścił towarzystwo.

– Rozejść się! Spokój mi tutaj, dziewczęta, no już, starczy tego tupania. – Podeszedł do mnie, przykucnął, szturchnął mnie pałką i powiedział: – Co jest? Wstawaj i do roboty, nie przyszedłeś się tutaj wylegiwać.

Z trudem podniosłem się z posadzki. Czułem, jak moja twarz puchnie od bólu. Przemknęło mi przez myśl, że za pół godziny pewnie znowu będę wyglądał jak świeżak. Odnalazłem wzrokiem Prezesa, który stał nieco dalej po prawej stronie, uśmiechając się tym swoim głupawym grymasem. Wymierzył we mnie palec wskazujący, a potem wykonał nim charakterystyczny gest symbolizujący poderżnięcie gardła. Z ruchu jego ust wyczytałem jedno krótkie zdanie: „Jesteś trup”.

Kiedy wieczorem na stołówce usiadłem na tym samym miejscu co zawsze, widok mojej twarzy wywołał niemałe poruszenie.

– A ty coś się tak upiększył? – zapytał Roman.
Opowiedziałem ze szczegółami, co mnie dzisiaj spotkało.

– No widzisz, a wystarczyło powiedzieć tylko „mać” i obeszloby się bez łomotu – skwitował Suchy.

– Mać? – powtórzyłem zdziwiony.

– Tak – odparł. – Jeżeli w rozmowie użyjesz samego słowa „kurwa”, możesz kogoś obrazić, tak jak Prezesa, ale jeśli powiesz „kurwa mać”, wszystko jest w porządku. Kapujesz? – Kiwnął głową. – A tak między nami – ciągnął Suchy – ten cały Prezes to zwykła pierdoła, ale radziłbym ci, nie wchodzić mu w drogę. Trzyma się blisko z jednym niebezpiecznym gościem i ma układ z klawiszami... ale ten układ nie jest skurwiony, tam chodzi o coś zupełnie innego.

– Dlaczego „mać” jest takie ważne? Co ono właściwie znaczy? – dociekałem.

– „Mać” to znaczy matka – wtrącił się Ojczulek. – Kiedy powiesz „kurwa mać”, mówisz właściwie o czyjej matce? Mojej, twojej, jego? Jeżeli powiesz do Prezesa „kurwa twoja mać”, pewnie cię zatłucze za to, że bluzgasz na jego matkę. Rozumiesz?

Tak, teraz chyba pojąłem, o co w tym wszystkim chodzi.

– Jak długo już tutaj jesteś? – zapytał Roman.

– Trzy miesiące.

Suchy wpatrywał się we mnie tym swoim świdrującym wzrokiem, jakby chciał dostrzec Bóg wie co.

– Ropuszku, a może w końcu powiesz, za co wła-

ściwie siedzisz? – zapytał, nie odrywając wzroku od moich oczu. Doskonale wiedział, że nie lubię, kiedy nazywa się mnie „Ropuszkiem”. Suchy był mistrzem złościwości.

Przez moment mierzyliśmy się spojrzeniami.

Otuliło nas niecierpliwe milczenie, kiedy nagle Roman przekrzywił ciało nieznacznie w jedną stronę i puścił długiego, siarczystego bąka. To było tak, jakby z balonu nadmuchanego do granic wytrzymałości niespodziewanie uszło z wściekłym gwizdem powietrze. Napięcie przy naszym stole zamieniło się w salwę śmiechu, kanonadę przekleństw i wyszukanych wyzwisk.

Były niekiedy takie chwile, które pozwalały zapomnieć, w jakim miejscu się znajdujemy. Czasami taką chwilę potrafiło przynieść zwykłe pierdnięcie.

Tamtego dnia stało się jednak coś więcej. Ci, z którymi jadałem przy jednym stole, czyli Ojczulek, Roman, Suchy, Kazik i Franek, dostali wyraźny sygnał, że nie chcę im zaszkodzić ani nie gram w przeciwnej drużynie. Zostałem skatowany przez grupę więźniów na oczach strażników, a skoro tak się stało, to znaczy, że nie należałem do grona uprzywilejowanych i nikt nie roztaczał nade mną nadzwyczajnej ochrony. Byłem tylko młodym więźniem, skazanym za swe grzechy na dożywocie.

W tym czasie, kiedy ja zdobywałem zaufanie współwięźniów, na południu Europy Benito Mussolini zdobywał władzę marszem na Rzym.

Zima 1922 roku przyszła prawie miesiąc wcześniej.

Pod koniec listopada ścięło mrozem jak diabli, a na początku grudnia obficie sypnęło śniegiem. Przez okno mojej celi widziałem, jak świat chował się pod pierzyną puszystej bieli. Nie był to pocztówkowy widoczek, ale chętnie wybiegałem wzorkiem ponad więzienny mur i patrzyłem na dachy domów z dymiącymi kominami i złoty blask świec płonących w oknach poddaszy. Widziałem korony drzew dźwigające białe czapy, a hen daleko, na całej linii horyzontu ciągnęła się ciemna ściana lasu. I oczywiście niebo, które w mroźne, bezchmurne noce mieniło się milionami błyszczących gwiazd.

Zawsze uwielbiałem patrzeć w rozgwieżdżone niebo.

Im bliżej było do świąt Bożego Narodzenia, tym bardziej wierzały w mojej duszy smutek, żal i zrezygnowanie. W głowie bezustannie przewijałem wspomnienia wszystkich wigilijnych wieczery, do których tylko potrafiłem sięgnąć pamięcią. Przywoływałem w myślach widok przystrojonej choinki, zapach świątecznych potraw, dzielenie się opłatkiem, nocne wyjścia na pasterkę, wspólne kolędowanie. Każdego wieczoru otulałem się tymi wspomnieniami i rozpaczliwie szlochałem z żalu. Gdyby było możliwe, bez zastanowienia sprzedałbym diabłu swoją duszę, byleby tylko cofnąć czas.

Wszyscy więźniowie z dziesiątki, bez względu na wiek i staż odsiadki, mieli ograniczony dostęp do usług kapłańskich. Rezydentom z oddziału dziesiątego celowo i skutecznie ten kontakt utrudniano. Byliśmy perfidnie

i z pełną świadomością izolowani. Żaden punkt regulaminu więziennego ani żadne wewnętrzne przepisy nic o tym nie mówiły, ale strażnicy bezwzględnie pilnowali, aby nie doszło do łamania niepisanego prawa.

Czy zasłużyliśmy sobie na takie traktowanie?

Nie wiem. Być może.

Nie powiem, że wszyscy – byłaby to wierutna bzdura – ale wielu z nas potrzebowało dostępu do Boga, modlitwy w kościele, spowiedzi, słów płynących z Biblii... Ja też tego potrzebowałem. Oczywiście znałem takich, którzy całymi miesiącami żyli jak przykładni i zatwardziali ateści, ale kiedy przychodziły święta, po prostu pękali. Kończyła się gra pozorów i na polu bitwy pozostawała tylko skrucha.

Niektórych wtedy dopadał płacz.

Najzwyczajniejszy, gorzki płacz.

Czy macie pojęcie o tym, że szczerze łzy niosą z sobą moc oczyszczenia?

Wiem, o czym teraz myślicie, że moje słowa są absurdalne i niedorzeczne. Nie chcę was przekonywać, że skazani za morderstwa, gwałty, kradzieże czy zło wszelkiej maści to potulne baranki, które zbłądziły i którym bardzo brakuje liturgii. Nic z tych rzeczy. Chcę tylko powiedzieć, że większość tych ludzi, która z różnych powodów zamieniła swoje życie w piekło i trafiła tutaj, do tego czyścica na ziemi, czasami potrzebowała nadziei dla swojej grzesznej duszy.

Kiedy myślę o mojej pierwszej Wigilii w więzieniu, czuję, jakby ktoś dźgał wściekle moje serce zimnym,

stalowym ostrzem. I chociaż od tamtej pory minęła prawie cała wieczność, wspomnienia tego dnia są dla mnie wciąż żywe. Zupełnie jakby to było kilka dni temu.

24 grudnia 1922 roku.

Niedziela.

Rutyna.

Plan dnia jak zawsze był realizowany konsekwentnie. Kwadrans przed południem wszyscy więźniowie z bloku B stali w dwuszeregu na spacerunku. Było mroźno i biało, a ponad naszymi głowami, rozpościerało się nieskazitelnie błękitne niebo. Ciepłe promienie słońca biegały wesoło po naszych twarzach.

– Chętni na mszę niech wystąpią dwa kroki do przodu – padła komenda z ust Blasarskiego. Mężczyzna w stopniu przodownika służby więziennej był ostrym gościem. Nie cackał się z więźniami i miał ciężką rękę. Skazańcy nazwali go „Blacha”.

Wiedziałem, jak będzie, ale mimo wszystko zerknąłem najpierw w stronę Romana, a potem na Suchego. Ten drugi nieznacznie wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „A co mi tam, najwyżej mnie cofną”. Puścił do mnie oko i razem z innymi chętnymi zrobiliśmy dwa kroki do przodu. Spojrzałem wstecz i przekonałem się, że dziś, jak nigdy, tylko nieliczni zostali na swoich miejscach. Wśród nich był Ojczulek.

– Taaa – powiedział przeciągle Blacha i przechylił nieco na tył głowy czapkę. – Tylu ministrantów to nam dziś nie potrzeba. Dziesiątka cofnąć się o dwa kroki! – Nie było sensu manifestować sprzeciwu i tym samym

prosić się o klapsa. Wszyscy z naszego oddziału wykonali polecenie. – Reszta ustawić się w dwuszeregu! – wydał kolejne polecenie. Chwilę później szedł wzdłuż kolumny skazanych, spoglądał na ich twarze, co jakiś czas wskazywał palcem i mówił: – Spacerniak, spacerniak, spacerniak... – Każdy wskazany dołączał do naszego rzędu.

– No co, warto było spróbować – skwitował Suchy, kiedy usiedliśmy wygodnie na odśnieżonych ławkach. – Chciałem tylko sprawdzić, czy dzisiaj choć trochę zmiękła im dupy.

– Eee, coś ty – rzucił pucułowaty Franek. – Zapomnij o takim prezencie. Jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś z dziesiątki łapał się na mszę czy nabożeństwo.

– Chyba że na własny pogrzeb, tak jak Mietek Kożuch – włączył się Roman.

– A to ja dziękuję bardzo, ale nie skorzystam – powiedział Suchy. Zamknął oczy i wystawił swoją pomarszczoną twarz w kierunku słońca.

– Ropuch, a ty jesteś wierzący? – zapytał Franek.

– Tak.

– Tylko że z twoim wyrokiem najbliższy sakrament, jaki możesz dostać, to ostatnie namaszczenie – dociął mi jak zwykle Suchy.

Chłopaki zachichotali rozbawieni.

– Dajcie mu spokój – powiedział Roman i klepnął mnie w ramię. – To są idioci, nie przejmuj się ich głupim gadaniem.

– A co, niech się przyzwyczajają – nie odpuszczał

Suchy. Nie sądzę, żeby miał coś do mnie, po prostu urodził się mendziarzem. Lubił te swoje malutkie złośliwości, bawiły go, dobrze się z nimi czuł. – Przecież będziesz tu do końca świata, prawda? – Szturchnął mnie lekko łokciem. – No dobrze, już dobrze – zmienił ton głosu na słodszy – masz, zapal sobie. – Wyciągnął w moim kierunku paczkę papierosów. – Wujcio Suchy nie chciał cię zmartwić.

Nie reagowałem na jego docinki, zdążyłem się do nich przyzwyczaić i naprawdę wołałem odpuścić, niż wdawać się z Suchym w jego durne, słowne potyczki. Siedziałem na ławce, grzejąc się w promieniach grudniowego słońca i przez chwilę poczułem się tak, jakbym siedział na ganku własnego domu, leniwie palił papierosa i niczym się nie przejmował.

– Wychodzę za niecałe trzy lata – odezwał się nagle Kazik. – I wiecie, co będę robił o tej porze za te trzy cholerne lata? – zapytał, ale nie czekał na żadną odpowiedź. – Razem z moją Bogną będę szykował świąteczne potrawy – powiedział z rozmarzeniem. – Tylko Bóg jeden wie, jak ja za nią tęsknię... – Nagle jego oczy zrobiły się smutne.

Potem każdy z nas opowiadał, co lubi jeść, co podaje się na wigilijne stoły w naszych rodzinnych domach, jaki smak mają potrawy, jak najlepiej przyrządzić karpia albo rybę po grecku. Mieli chłopaki, o czym opowiadać. Kiedy się ich słuchało, żołądek kurczył się i skręcał z głodu we wszystkie strony. Czar prysnął, kiedy przez mój umysł przemknęła straszna myśl o dożywociu. To

wystarczyło, żeby obedrzeć mnie ze złudzeń. Przecież ja nigdy nie wrócę do domu i nie będę smażył świątecznego karpia – pomyślałem. Co racja, to racja, chyba będzie lepiej, jeśli zacznę się przyzwyczajać.

– Hej, Ropuch – Suchy miał zamiar znowu zacząć swoją śpiewkę – a może powinienes...

– Zamknij się! – warknął Roman, wchodząc mu w zdanie i wskazując palcem w jego kierunku. – Daruj sobie, Suchy. Przynajmniej dzisiaj nie bądź gnojkiem. Do cholery, jest Wigilia. – Chwilę później odezwał się spokojnym głosem: – Zostań naszym Świętym Mikołajem i poślij skrzynkę dla działonu.

Propozycja spotkała się z ogólnym poparciem.

– No dajesz, Suchy, dajesz! – dopingowaliśmy go, przekrzykując się nawzajem.

Spojrzał tylko spode łba na Romana, po czym wyjął paczkę papierosów i rzucił nam na pożarcie.

– Mam nadzieję, że wam zaszkodzi – oznajmił z kwaśnym uśmiechem.

– Suchy – Franek zawołał z entuzjazmem – człowieku, jesteś wielki!

Nasz darczyńca miał jedną zaletę, był niezłym kombinatorem. Wiecznie kręcił jakieś interesiki z różnymi typami i był chyba jednym skazańcem, który nigdy nie narzekał na brak fajek. Pewnie słyszeliście, że papierosy to najbardziej pożądany towar we wszystkich więzieniach świata.

Z zadowoleniem podzieliliśmy fajki między sobą.

– Chyba zanosi się dzisiaj na dłuższe wietrzenie –

zauważył Roman. – Zrywka, rozruszajmy kosteczki. Hej, co jest? – ponagłał. – Dźwigać się, gamonie, zrobmy klika rundek po spacerniaku!

Suchy, Kazik i Franek snuli się z przodu i opowiadali sobie niestworzone historie. Ja i Roman kroczyliśmy za nimi w milczeniu. Śnieg skrzypiał pod podeszwami butów, przy każdym oddechu pojawiały się kłęby mlecznej pary, a ostre powietrze szczypało w nozdrza.

– Nad czym się tak zastanawiasz? – zagadnął Roman i potarł dla rozgrzewki dłonie.

– Sam nie wiem... chyba nad niczym.

Spojrzałem w prawo i zauważyłem, że na ławce siedział Ojczulek i rozmawiał z jakimś więźniem. Ten drugi pochylał się w jego stronę i sprawiał wrażenie, jakby zdradzał mu coś sekretnego. Nieopodal stała grupa kilku skazańców, którzy zerkali w ich stronę. Delikatnie szarpnąłem Romana za rękaw kurtki i zapytałem z zaciekawieniem:

– Co jest grane? Co to za ekipa? Ojczulek ma z nimi jakieś interesy?

– Interesy? – Uśmiechnął się nieznacznie. – Można powiedzieć, że w pewnym sensie jest to interes.

– Nie rozu...

– Oni się spowiadają – nie dał mi dokończyć.

– Że co?! – prawie krzyknąłem.

– Oni się spowiadają. Ojczulek był kiedyś księdzem. – Zatrzymał się i spojrzał mi w oczy. – Tylko mi nie mów, że nie wiedziałeś? – Był naprawdę zaskoczony, chyba nawet bardziej niż ja.

– A niby skąd miałem wiedzieć? Jeszcze ty mi powiedz, że jesteś prawnikiem albo lekarzem, i wszystko będzie jasne.

Wydawało mi się wręcz niepojęte, że Ojczulek był księdzem. Nie mogłem w to uwierzyć. Ksiądz więźniem?! Za co?! Jak to?! Cóż takiego zrobił?! W jednej chwili zrodziło się w mojej głowie milion pytań. Potrzebowałem odpowiedzi, może nie na wszystkie, ale na kilka tych najważniejszych.

– Robisz ze mnie wała, tak? – Byłem prawie przekonany, że Roman zaraz ryknie z zadowolenia, że dałem się tak naiwnie wkłócić, a potem złapie się za boki i zaniesie śmiechem aż do łez.

– Nie. Mówię całkiem poważnie. Zapytaj chłopaków. – Kiwnął głową w ich stronę. – Facet był kiedyś księdzem, dlatego nazywają go „Ojczulek”.

– Za co siedzi? – dociekałem.

– Nie wiem, nie mam pojęcia.

– Skąd wiecie, że jest – poprawiłem się – że był księdzem?

– Zobacz na nich. – Wskazał ręką w kierunku mężczyzn, którzy prawdopodobnie czekali na swoją kolej, by wyznać grzeszne tajemnice człowiekowi siedzącemu na ławce. – Myślisz, że gdyby to była plotka, któryś z nich sterczałby tam?

– A wy? Ty, Suchy, Kazik, Franek, czy wy też...

– Nie – odpowiedział, uprzedzając moje pytanie. – Suchy i Franek zapomnieli o Bogu dawno temu i chyba on też o nich zapomniał, ja i Kazik jesteśmy katolikami, ale

jesteśmy też blisko z Ojczulkiem, przyjaźnimy się, i to raczej przekreśla szanse, żeby został naszym spowiednikiem. Rozumiesz?

W tej chwili trudno mi było cokolwiek zrozumieć.

– Co tam spiskujecie, matyły? – krzyknął Suchy i posłał śnieżkę w naszym kierunku.

Chwilę później staliśmy w piątkę, przestępując w miejscu z nogi na nogę.

– Żabcia się zdziwił, że Ojczulek to klecha – poinformował Roman.

– No coś ty! – Franek aż nadał policzki. – Naprawdę nie wiedziałeś?!

– Litości – odparłem z rezygnacją. – Następny zdziwiony, kurwa – i zaraz dodałem: – mać, a niby skąd miałem wiedzieć?

Mój rozmówca nieporadnie wzruszył tłustymi ramionami.

– On nikomu o tym nie wspomniał, nigdy – odezwał się Suchy, wskazując wzrokiem na Ojczulka. – Tutaj takie wieści, kto kim jest i za co pudłuje, rozchodzą się od strażników. Klawisze puszczają w świat tylko wiadomości o zbrodnicach i gwałcicielach. Też nienawidzę takich popapranych skurwieli. Jeżeli chodzi o Ojczulka, kiedyś szepnął mi taki jeden co nieco, ale to nie była informacja z pierwszego języka. Ten ziomek dowiedział się od innego, ale gdzie tamten przytulał ucho, tego już nie wiem. – Zamilkł i spokojnie palił papierosa.

– I co dalej? – zapytałem z lekkim zniecierpliwieniem chwilę później, oczekując sensowniejszego wyja-

śnienia.

– Nic – odparł Suchy i splunął. – Był kiedyś księdzem. Koniec, kropka.

– Tylko tyle?

– Jak chcesz wiedzieć więcej, ćwoku, to sam go o to zapytaj – odparł, dając do zrozumienia, że temat został zamknięty.

Nie wiem, dlaczego ta wiadomość wywarła na mnie takie silne wrażenie. Nie potrafiłem ogarnąć rozumem tego, że jednym ze skazańców jest osoba duchowna. I chociaż cała sytuacja była tu i teraz, to jednocześnie znajdowała się poza zasięgiem mojej wyobraźni.

Robiliśmy kolejne okrążenie wokół spacerniaka, a ja bezustannie zerkałem w stronę ławki, która dzisiaj zastępowała konfesjonał. Jednego byłem pewien, że moje relacje z Ojczulkiem już nigdy nie będą takie same. Nie łączyła nas gorliwa zażyłość, był dla mnie po prostu miły i życzliwy, a ja starałem się odpłacać tym samym. Udzielał mi wielu cennych rad, wiele rzeczy wyjaśnił i przed wieloma przestrzegał.

Od kilku miesięcy jadamy przy tym samym stole, śmiejemy się z tych samych głupich dowcipów, którymi Suchy katuje nas podczas posiłków, i tylko jedno przestało mi w tej chwili pasować – jakim cudem ktoś taki jak Ojczulek mógł odbywać karę na oddziale dziesiątym?!

Nie wiem, dlaczego nie zauważyłem tego wcześniej. Pewnie gdybym był lepszym obserwatorem, niż jestem, zorientowałbym się prędzej, że coś jest nie tak. Dopiero teraz do mnie dotarło, iż nigdy nie widziałem,

aby jakiś skazaniec w stosunku do Ojczulka był nieprzyjemny lub agresywny, i nigdy nie słyszałem, żeby któryś ze strażników podniósł na niego głos. Zupełnie jakby niewidzialna aura chroniła go przed ponurą rzeczywistością więziennego świata.

– Z tym wietrzeniem to chyba miałeś rację – powiedziałem do Romana, kiedy zobaczyłem, że od strony więziennej kaplicy zmierza w naszym kierunku kolumna skazańców.

– Posiedzimy tu jeszcze z godzinkę jak nic – skwitował Kazik. – Najpierw dali im się pomodlić, a teraz każą im wdychać świeże powietrze.

– Skoro mamy dużo czasu, ulepmy bałwana! – rzucił z promiennym uśmiechem Suchy.

– A może wytarzaj się w śniegu, to na jedno wyjdzie – zdobyłem się na złośliwy docinek.

Towarzystwo parsknęło śmiechem.

– Ooo, patrzcie, proszę państwa, jak się wyżarł. – Suchemu nagle zabrakło pomysłu na ripostę. Niewątpliwie go zaskoczyłem.

Na placu zrobiło się nieco gwarniej i ciasniej, niektórzy więźniowie wymieniali uściski dłoni i składali sobie świąteczne życzenia. W powietrzu dało się wyczuć namiastkę serdeczności. To chyba prawda, święta Bożego Narodzenia mają w sobie jakąś magiczną moc.

Nasza piątka siedziała na ławce, kiedy nagle podszedł Kloc i odezwał się:

– Ty Żabikowski – rzucił w moją stronę – masz się zgłosić do strażnika przy wyjściu.

– Ja? – Po raz drugi dzisiejszego popołudnia byłem ogromnie zaskoczony.

Kloc tylko spojrział na mnie, jakby od niechcenia, po czym obrócił się na pięcie i odszedł.

– Co jest grane? – spytał Franek.

– Nie mam pojęcia – odparłem i ruszyłem w kierunku strażnika.

Po kilku krokach obejrzałem się przez ramię i widziałem wyraźnie, że cztery pary zdziwionych oczu odprowadzają mnie podejrziwym wzrokiem.

Przy wyjściu ze spacerniaka, po drugiej stronie ogrodzenia czekało dwóch mundurowych. Jednym z nich był Zdzisław Mroczkowski, strażnik z naszego bloku, a tego drugiego nie znałem. Zatrzymałem się przed okratowaną bramką i wypowiedziałem regulaminową formułkę:

– Więzień dwadzieścia dziewięć-jedenaście zgłasza się na wezwanie.

Klawisz odciągnął metalowy rygiel.

– Chodź.

Wykonałem polecenie.

– Aspirant Szumski chce z tobą gadać. Żabikowski, coś ty przeskrobał? – zapytał Mroczkowski.

– Ja nic nie zrobiłem – powiedziałem drżącym głosem.

Aspirant Szumski? Rozmawiać? Ze mną? – myśli pełne zaskoczenia galopowały przez moją głowę.

– Gdybyś nic nie zrobił, to nie siedziałbyś tutaj – skwitował ten drugi z nieukrywaną wesołością w głosie.

– Ruszaj przed siebie. – Mroczkowski trącił mnie lekko w plecy kolbą karabinu.

Kilka minut później stałem na baczność w gabinecie aspiranta Szumskiego. Pan i władca tego miejsca opierał się o framugę okna i spoglądał z góry na spacerniak. Stąd, z trzeciego piętra, miał panoramę całego placu.

– Masz mi coś do powiedzenia, Żabikowski? – zapytał, wciąż spoglądając w okno.

Zupełnie zdurniałem, niby co miałem mu powiedzieć?

– Nie bardzo wiem co, panie aspirancie – odparłem zgodne z prawdą.

Na kilka sekund zapadła martwa cisza, po czym Szumski odwrócił się w moją stronę.

– Może pożyczylbyś mi wesołych świąt? – zaproponował raczej ironicznie.

Naprawdę nie wiedziałem, czego on chce i jak mam się zachować.

– Wesołych świąt, panie aspirancie – powiedziałem niepewnie.

– Żabikowski, nie rób się głupszy, niż jesteś. – Usiadł na krześle za biurkiem, wsparł łokcie o jego blat i zapytał: – Powiedz mi, jak te święta mają być dla mnie wesołe, skoro w Wigilię mam, kurwa, służbę?

Nie sądzę, żeby było właściwe zwrócenie mu uwagi na to, że za tym „kurwa” powinien powiedzieć „mac”, albo stwierdzenie, że służba nie drużba. Przełknąłem tylko ślinę i patrzyłem na niego nieco przestraszonym wzrokiem. Jego osoba budziła we mnie lęk i myślę, że dobrze

o tym wiedział.

– Żabikowski, ostrzegam cię, nie staraj się mnie dzisiaj drażnić.

Coraz bardziej nabierałem przekonania, że chyba zaszła jakaś straszliwa pomyłka.

Nagle Szumski wstał, podszedł do szafy i wyjął z niej nieduży pakunek. To był obcięty w połowie worek jutowy. Ściskając go w dłoni, podszedł do mnie i powiedział:

– Parę dni temu dostałeś paczkę. Trzymaj.

Pochwyciłem pakunek w ręce i przytuliłem do pierśsi niczym matka niemowlaka.

– Paczka? Do mnie? – nie mogłem się nadziwić. Co za dzień! Co za szalony dzień!

– Tak, Żabikowski, paczka i list. Wieści z domu. – Obszedł biurko, otworzył szufladę, wyjął rozdartą kopertę i położył ją przed sobą. – Wiesz, że w pierwszym roku odsiadki nie przysługują ci żadne paczki, żadne listy i żadne odwiedziny – oznajmił, ale jednocześnie patrzył na mnie tym swoim pytającym wzrokiem i czekał na odpowiedź.

– Tak jest, panie aspirancie, wiem o tym. – Na przegubach dłoni czułem twarde kanty, a z wnętrza worka... Chryste Przenajświętszy! Zapach jakiegoś mięsiwa!

– Żabikowski, potraktuj to jako nagrodę i wyróżnienie. Nie sprawiałeś kłopotów, byłeś grzeczny i nikt na ciebie nie narzekał. Chociaż z drugiej strony nie ma co przesadzać, tak właśnie powinno być. Powiedzmy sobie prawdę, to, że daję ci tę paczkę, i to, że być może dam ci

ten list – uderzył w niego palcem – to dowód mojej dobrej woli. Skoro ja jestem dla ciebie dobry, to oczekuję, że będziesz mi za to wdzięczny. Rozumiesz?

Nie bardzo rozumiałem o jakiej wdzięczności mówi, ale w mojej głowie zapaliła się jasnym światłem tabliczka z napisem „ostrożnie”.

Przez chwilę patrzył na mnie tym swoim przenikliwym wzrokiem, po czym rzekł:

– No na co czekasz, poczęstuj się. W końcu to twoja paczka, prawda?

Stałem przez moment, nie wiedząc, co powinienem zrobić. Położyłem worek na podłodze, rozchyliłem brzegi i zerknąłem do środka. Kilka pętek kiełbasy, wędzona szynka pokrojona na grube plastry, chleb razowy rozdarty na czworo, kawałki drożdżowego ciasta, pokruszone pierniki, coś zawinięte w arkusz gazety. Najpewniej paczka była dokładnie skontrolowana, ale w tej chwili to się zupełnie nie liczyło. Teraz czułem tylko, jak drżą mi dłonie, jak oszalałe serce łomocze w piersiach, jak potoki łez cisną się do oczu. Kiedy chwyciłem plaster pachnącej szynki i poczułem jej smak w ustach, cały świat zniknął. *Bóg się rodzi!*

Jadłem łapczywie, jakbym od tygodni nie miał w ustach żadnej strawy. Rozkoszny smak rozpływał się w ustach, znałem go dobrze, nikt nie potrafił tak doskonale uwędzić szynki jak... I nagle zrobiło mi się wstyd... wstyd przed samym sobą. Doskonale wiedziałem, kto nadał tę paczkę! Nie wiem, być może Szumski to dostarczył, a być może kontynuował swoją chorą grę.

– Dwa dni temu była tutaj twoja matka. Ona to przywiozła. I list też. – Znowu postukał w niego palcem. – Obiecałem jej, że zobaczę, co da się zrobić. Wszystko zależy od ciebie. Może zanim upłynie regulaminowy rok, będziesz mógł wysłać do domu jakąś wiadomość? W szczególnych wypadkach mogę nieco nagiąć przepisy. Wiem, że nie umiesz pisać, ale to da się załatwić, mogę pomóc... Pozostaje tylko pytanie, czy tego chcesz. – Aspirant sięgnął do kieszeni i wyjął srebrną papierośnicę. – Zapalisz?

Sięgnąłem po papierosa.

Szumski wstał.

– Podejdz do okna – powiedział.

Stałem obok niego i spojrzałem z góry na teren spacerownika, który tonął w śnieżnej bieli. Więźniowie spacerowali, siedzieli na ławkach, stali w kilkuosobowych grupach, niektórzy rzucali w siebie śnieżnymi kulkami. Jaskrawe promienie grudniowego słońca odbijały się w drobinkach zmarzniętego śniegu, sprawiając wrażenie minimalnego ruchu. Świat po drugiej stronie szyby wyglądał tak, jakby aniołowie obsypali go błyszczącym, diamentowym pyłem.

– Piękny dzień, prawda? O proszę, a tam twoi najlepsi kumple: Adam Sucharski, na którego wołacie Suchy, Kazimierz Furman, Franciszek Wencel, Eryk von Gerwalde, czyli Ojczulek – położył mi dłoń na karku – i Roman Szpulski. – Gdzieś w środku mojej głowy wszystkie dzwony biły na alarm. – Rozumiesz, Żabikowski, co mam na myśli, mówiąc o wdzięczności? Ty znasz

ich, oni znają innych. Na oddziale dziesiątym siedzi was sporo, wieści krążą z ust do ust, a ja też chciałbym wiedzieć jakie. Interesuje mnie wszystko.

Poczułem się jak w pułapce, jakby ktoś zamknął mnie w celi i chwilę później zamurował drzwi i okno. Szumski najwyraźniej starał się mnie zwerbować. Liczył na to, że dam się skurwić.

– Od dawna mam na ciebie oko i wiem, że trzymasz się z nimi blisko – ciągnął – a dziś, ot tak, obserwo wałem was, spacerek grupowy, dyskusje... No właśnie, o czym tak zaciekle rozmawialiście?

Wydawało mi się, że jakby nieco mocniej ścisnął mój kark.

– O niczym szczególnym, panie aspirancie. Wspominaliśmy święta Bożego Narodzenia z czasów wolności – odparłem zgodnie z prawdą.

– I tylko tyle? Nic więcej? – zapytał podejrzliwie i wskazał palcem na kopertę z listem.

To był silny impuls. W jednej chwili zdecydowałem, że powiem mu szczerze o wszystkim, nawet o tym, że dokładnie za trzy cholerne lata Kazik będzie się krzątał ze swoją ślubną po kuchni. Wiedziałem, że w mojej opowieści nie ma nic, co mogłoby komuś zaszkodzić. Boże, tak bardzo chciałem dostać ten list!

Aspirant Szumski pilnie słuchał moich słów.

– Myślę, że jesteście na dobrej drodze, żeby czasami odwzajemniać sobie wdzięczności. Proszę, list jest twój. – Podał mi białą kopertę. – Paczkę możesz zabrać na spaceriak, ale niestety wszystko musi zostać zjedzone.

Żadnego prowiantu w celi. Chyba nadarza się wyśmienita okazja, żebyś pozyskał czyjąś wdzięczność – powiedział z naciskiem na ostatnie słowo. – I najlepiej będzie, jeśli nasza dzisiejsza rozmowa zostanie między nami.

Patrzyłem w twarz tego człowieka i oprócz strachu czułem jeszcze obrzydzenie. Przez moment wydawało mi się, że mój żołądek skurczył się do wielkości jabłka, i o mało nie zwymiotowałem.

– Nie, panie aspirancie, między nami nie będzie żadnego układu – wypowiedziałem to zdanie, ale nie wierzyłem własnym uszom. – Proszę bardzo – włożyłem kopertę do worka i położyłem go na biurku – to tylko trochę żarcia i list od matki.

– Taki jesteś kozak?! – Zmrużył oczy, zacisnął zęby i doskoczył do mnie.

Nic nie odpowiedziałem, po prostu stałem, napiąłem wszystkie możliwe mięśnie i czekałem na pierwszy bolesny cios. Szumski zaś zrobił coś zupełnie nieprzewidywalnego, obrócił się na pięcie i podszedł do drzwi. Wyjrzał na korytarz i krzyknął:

– Strażnik!

– Jestem! – odpowiedział czyjś głos.

Zza drzwi gabinetu usłyszałem miarowy odgłos zbliżających się kroków.

– Odprowadzić więźnia na plac – padła komenda z ust aspiranta.

Ruszyłem w kierunku drzwi. Miałem już przejść przez próg, kiedy nagle Szumski zastąpił mi drogę.

– Zabierz swoją paczkę z mojego biurka – syknął.

Przez dwie sekundy czułem się, jakby mnie sparaliżowało. Sprytny jestem i nie trzeba mi dwa razy powtarzać, złapałem jutowy worek i już mnie tam nie było.

Wracałem pod strażą na spaceriak, a w mojej głowie pulsowało od nadmiaru wrażeń. List, zapach wędzonki, trochę kielbasy, kawałek chleba, jeszcze chwila i zwariuję do reszty. Cieszyłem się jak dziecko.

– Szkoda, że nie możecie siebie zobaczyć, ale macie głupie miny – powiedziałem, podchodząc do ławki, na której siedziała ferajna. A w duchu pomyślałem, że wcale im się nie dziwię.

Kiedy zajadaliśmy cudowne, matczyne smakołyki, opowiedziałem im wszystko jak na spowiedzi. Chciałem, żeby nie było między nami żadnych niedomówień. Mogło wydawać się dziwne, że młody więzień nagle dostaje podarunek od najtwardszego urzędasza z bloku B. Cała sytuacja, delikatnie mówiąc, była bardzo podejrzana.

– Jesteś jakimś cholernym dzieckiem szczęścia? – zapytał Suchy. – Nie znam nikogo, komu pozwolono wnieść paczkę na teren więzienia. Nawet podczas odwiedzin wolno jeść tylko na sali widzeń. A może jest coś jeszcze, o czym chciałbyś nam opowiedzieć, co? – dociekał.

– Daj spokój, Suchy. – Po raz pierwszy Franek nie wziął jęgo strony. – Do chuja jasnego, czy ty rzeczywiście nie wiesz, kiedy przestać? Okaż trochę wdzięczności chłopakowi.

– No co – powiedział zmieszany – przecież nic takiego nie mówię, żeby od razu się czepiać, prawda,

Ropuszku? – Uśmiechnął się półgębkiem i puścił do mnie oko.

– Facet się nigdy nie zmieni – skwitował Roman.

– Nie ma sprawy, Suchy. Smacznego. – Rzuciłem mu gruby plaster szynki.

– Umm, ależ pachnie... – zachwycił się, długą chwilę wachając wędlinę – jak najśodsze marzenie.

Cieszył mnie widok zadowolonych kumpli. Naprawdę.

Kazik ni stąd, ni zowąd palnął nagle coś o jakimś poście, ale Ojczulek natychmiast go rozgrzeszył.

– Nie sądzę, żeby Bóg za to skierował na nas swój gniew – powiedział. – Biblia tego nie zabrania, to ludzie ustanawiają zasady i hołdują tradycji. Liczy się wiara, musisz ją mieć tu – wskazał na serce – i tu – potem na głowę. – Smacznego, panowie. – Posłał nam serdeczny uśmiech i poczęstował się kiełbasą.

Nigdy wcześniej w swoim życiu nie usłyszałem tylu podziękowań co tego dnia na tej ławce. Siedzieliśmy z sytymi brzuchami. Suchy w przypiływie rozmarzenia stwierdził, że gdyby teraz jeszcze jakiś dobry anioł zesłał mu kufel piwa, mógłby go wychylić i zaraz potem umrzeć.

– Czy możemy pogadać w cztery oczy? – skierowałem pytanie do Ojczulka.

– Możemy – odparł. – To co, przejdziemy się?

Szliśmy wolnym krokiem, kierując się w pusty róg spacerniaka.

– Jesteś księdzem? – zapytałem bez ogródek.

– Byłem kiedyś, dawno temu.

– Jesteś Niemcem?

– Tylko w połowie, ale w tej ważniejszej połowie, po ojcu. – Uśmiechnął się. – Moja matka była Polką i nauczyła mnie swojego ojczystego języka. Właściwie to zawsze rozmawiała ze mną tylko po polsku. Dlaczego mnie tak wypytujesz? – zmienił nagle temat.

– Nie chcę być wścibski... – szukałem odpowiednich słów, żeby go nie urazić.

– To nie bądź – nie dał mi dokończyć.

– Dobrze, postaram się – obiecałem nieco zmieszany. – Muszę to powiedzieć, to jest silniejsze ode mnie. – Wziąłem głęboki oddech. – Wiesz, to dużo zmienia, że jesteś, byłeś, osobą duchowną – dukałem jak nieśmiały chłopak na pierwszej randce. – Dzisiaj widziałem, jak spowiadałeś tych, którzy tego chcą, czy też potrzebują. Potem usłyszałem twoje nazwisko i domyślałem się, że masz chyba arystokratyczne pochodzenie. To wszystko jest takie dziwne, nie mieści mi się w głowie, rozumiesz? Uważam, że nie pasujesz tutaj.

Ojczulek zatrzymał się, spojrzął na mnie i powiedział:

– Jesteś w błędzie, mój młody przyjacielu, pasuję. Pasuję jak ulał, ale nie będziemy o tym rozmawiać – oznajmił stanowczym głosem. – Rozejrzyj się, popatrz na tych wszystkich ludzi, każdy z nich, podobnie jak my, zasłużył sobie na ten los. Ty i ja zostaliśmy skazani na dożywocie. Nie musisz mi mówić, co zrobiłeś, ja wiem, że za każdym takim wyrokiem czai się śmierć. Zresztą

nieważne... Obaj wiemy, że będziemy pokutować za swoje grzechy do końca naszych dni, a może nawet jeszcze dłużej.

– Wiem – odparłem. – Wiem o tym.

Przez kilka minut szliśmy w milczeniu.

– Jesteśmy kumplami, prawda? – zapytałem.

– Tak sędzę. – Ojczulek się uśmiechnął.

– Czy możesz coś dla mnie zrobić jako kumpel i zachować to dla siebie jako ksiądz?

Spojrzał na mnie bardzo zaskoczony.

– To znaczy, chciałbym, żeby wszystko zostało między nami – poprawiłem się.

– Masz moje słowo – powiedział. – Potraktuję to jak tajemnicę spowiedzi.

– Jesteś tutaj jedyną znaną mi osobą, która potrafi czytać i pisać. Dostałem list od matki. – Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem rozdartą kopertę. – Cenzor Szumski zrobił swoje, ale nic mi nie powiedział, co jest w liście. Możesz mi go przeczytać?

– Oczywiście.

Chwilę później wsłuchiwałem się w słowa czytane przez Ojczulka.

Kalisz, 19 grudnia 1922

Kochany Synku!

Już któryś raz proszę pana Alfreda, żeby napisał kolejny list. Mam nadzieję, że tym razem go dostaniesz i będzie tam ktoś życzliwy, kto Ci go przeczyta. Nie wiem, od czego zacząć. Chciałabym wiedzieć, jak Ci tam

jest, czy jesteś zdrowy, czy dobrze Cię traktują? Od wielu miesięcy staram się wyprosić odwiedziny. Jeszcze w Poznaniu wynajęłam adwokata, ale on też nic nie wskórał. Wszystkie moje wcześniejsze listy i paczki do Ciebie wracają pocztą z powrotem. Martwię się.

Byłam we Wronkach w sierpniu, we wrześniu, potem pod koniec października i za każdym razem słyszałam, że czujesz się dobrze, ale nie masz pozwolenia na odwiedziny. Nie wiem, co za ludzie wymyślają takie prawo, ale jest złe i okrutne. Postanowiłam, że pojedę tuż przed samymi świętami, przywiozę Ci coś do jedzenia, może Cię w końcu zobaczę, może Pan Naczelnik się zgodzi na widzenie? Może się nade mną zlituje? Proszę Boga, żeby tak się stało.

Chciałabym Ci powiedzieć, że u mnie wszystko w porządku, ale niestety tak nie jest. Pozmieniało się Syneczku, i to bardzo. Złe wieści szybko się rozchodzą. Po Twojej rozprawie straciłam pracę w fabryce, potem właściciel kamienicy, kiedy się o tym dowiedział, dał mi miesiąc na opuszczenie mieszkania. Niektórzy ludzie potrafią być podli, dzięki Bogu nie wszyscy. Państwo Leśniakowie za drobną opłatą odstąpili mi nieduży pokój na poddaszu. Wcześniej sprzedałam większość mebli, żeby zapłacić adwokatowi, i dobrze, że tak się stało, bo teraz nie miałabym gdzie ich trzymać. Jakoś dają sobie radę. Za marne grosze sprzątam cudze domy i piorę brudy po ludziach. Czasami odzywa się mój reumatyzm i stawy w rękach łupią straszliwie. Co niedziela chodzę do kościoła, daję na ofiarę i modłę się do Boga o zdrowie i łaskę dla

Ciebie. Musi przecież być jakaś sprawiedliwość na tym świecie.

Wiele razy sąsiedzi z naszej ulicy mówili, że bardzo mi współczują, ale ja wiem swoje, wiem, co oni myślą naprawdę. Uważają, że sprawiedliwości stało się zadość, a ja jako Twoja matka nie potrafię tej myśli dopuścić do siebie. Raz nawet ktoś mi powiedział, że jestem zaślepiona matczyną miłością. Może i moja miłość jest ślepa, ale na pewno prawdziwa. Chcę, żebyś zawsze o tym pamiętał.

W maju rodzina Kozłowskich wyjechała z Kalisza na dobre, a o Wiktorze słuch zaginął. Tak, Synku, musisz wiedzieć, że obwiniam go za to wszystko, za wszelkie zło, które się stało i za które ty musisz teraz płacić.

Nie wiem, co dzieje się z Agnieszką. Tak bardzo mi przykro. Wiem, że to musi boleć. Ostatni raz widziałam ją po Twojej pierwszej rozprawie. To dobra dziewczyna, ale ma surowego ojca, sam rozumiesz. Pani Leśniakowa słyszała, że ponoć stary Wykoś wysłał ją do rodziny pod Krakowem. Kiedyś spotkałam go przypadkiem na ulicy, spojrzał na mnie i przeszedł obojętnie obok, jakby w ogóle mnie nie znał.

Niekiedy wieczorami siedzę sama przy stole i wspominam. Łzy lecą ciurkiem, ciężko mi wtedy na duszy i nie wiem, co robić. Czuję się taka bezradna i oszukana prze los. Nie tak miało wyglądać Twoje życie.

Czekam na wieści od Ciebie. Jeśli będziesz mógł pisać listy, wysyłaj je na adres – ulica Przemysłowa 14, Kalisz.

Niechaj w te święta Bożego Narodzenia łaska Pań-

ska będzie z Tobą.

Kochająca mama

Ojczulek skończył czytać, a ja czułem, jak ciepłe łzy spływają po moich zmarzniętych policzkach. Strach i bezsilność panoszyły się w mojej duszy. Nie mogłem nic zrobić... nic. Przetarłem rękawem wilgotne oczy i wysyczałem:

– Niech to szlag, Ojczulku, niech to szlag! – Nigdy bym nie przypuszczał, że wiadomości od matki może tak rozhuścić moją psychikę.

– Zaufaj Bogu, musisz być silny – próbował mnie pocieszyć.

– Nie mów mi takich rzeczy – cedziłem każde słowo powoli i z wściekłością. – Pierdolę to wszystko, rozumiesz?! – Zupełnie nie wiem, co mnie opętało. – Sram na to, co ze mną będzie. Nie mam już nic do stracenia, kapujesz?! Mam zaufać Bogu? – Zaśmiałem się szyderczo. – Któremu?! No, któremu Bogu, twojemu czy mojemu?! Hę? Myślisz, że tacy jak my cokolwiek go obchodzą? Naprawdę tak myślisz? – Nerwy zaczynały mi puszczać i z każdą sekundą przestawałem kontrolować swoje słowa i zachowanie.

Nie wiem, co jeszcze powiedziałem, czy też wykrzyczałem, ale kiedy wróciła jasność umysłu, czułem, jak Ojczulek mocno ściska mnie ramionami i przytula do siebie. Chyba ryczałem jak dzieciak, bo przeraźliwie siorbałem nosem.

– Już mi lepiej, już dobrze – powiedziałem, powstrzymując łkanie.

Ojczulek wypuścił mnie ze swoich objęć. Staliśmy przez chwilę w milczeniu i głupio mi było spojrzeć mu w oczy. Mankietem kurtki przetałem wilgotną twarz. Sięgnąłem po papierosa. Głęboko zaciągałem się dymem, czując nadal wyraźny łomot serca. Kątem oka zerknąłem w stronę ławki, na której siedziała reszta towarzystwa. Rozmawiali o czymś i co chwila spoglądali w naszą stronę.

– Jeżeli chcesz zachować ten list na pamiątkę – powiedział były ksiądz – to dobrze go ukryj.

Gdy zegar na wieży wybił kwadrans po trzeciej, wszyscy zrozumieli, że chyba z okazji świąt wydłużono nam czas na wybiegu. Chwilę później krótki ryk syreny wymusił na nas odpowiednią reakcję. Więźniowie zgromadzeni na spacerniaku bez pośpiechu ustawiali się w dwuszeregu. Wtem zza rogu budynku wyłonił się Blaszański w towarzystwie czterech strażników. Prężnym krokiem zmierzali w naszą stronę. Kiedy się zatrzymali, Blacha sięgnął do kieszeni, wyjął kartkę i donośnym głosem odczytał sześć nazwisk:

– Sucharski, Furman, Wencel, Gerswalde, Szpulski, Żabikowski, wystąp!

Byłem tak samo zdziwiony jak pozostali.

Reszta więźniów pod eskortą straży ruszyła w stronę bloku B.

– Wy zostajecie na spacerniaku – zakomunikował Blacha.

– Jak to zostajemy? – Suchy był oburzony. – Dlaczego?

– Jest pora obiadowa. – Blaszański najwyraźniej miał ubaw. – Pojedliście domowych wypieków, to teraz do kolacji posiedzicie sobie na powietrzu. Widzimy się za cztery godziny. – Klawisz obrócił się na pięcie i odszedł.

– No bez jaj – jęknął Kazik.

Podniosłem nieco wzrok i spojrzałem w okna gabinetu aspiranta Szumskiego. Był tam i patrzył na nas. Jestem pewien, że uśmiechał się tym swoim szczurzym grymasem.

– To Szumski organizuje nam dzisiejszą zabawę – powiedziałem.

– Niech się jebie, pierdolony cwel w brązowym mundurku. – Suchy był wściekły.

– Schłodzi nas trochę, bo żarliśmy Ropuchową paczkę – skwitował Franek.

– Może tak, a może nie. Zresztą co za różnica – dodał zrezygnowanym głosem Roman.

– A taka różnica, że będziemy tu marznąć jeszcze przez cztery godziny – nie wytrzymał Franek.

– No i co z tego?! Miałeś już gorsze niewygody – naskoczył na niego Kazik.

– A ty co?! Ktoś cię pytał o zdanie?! – odpyskował Franek.

– Co jest, może szyneczka ci nie smakowała, co?!
Zanosilo się na kłótnię.

– Hej, co z wami?! – zapytał podniesionym głosem Ojczulek. – Co wy wyprawiacie? To tylko taka gra, oni

przeciwko nam. Pan aspirant rzucił pomiędzy nas ziarno niezgody i teraz czeka na jego plon. Powstrzymajcie nerwy, zapalcie sobie, Suchy opowie nam zaraz jakiś marny dowcip, będziemy spacerować i cieszyć się tym, że cały plac należy tylko do nas. Nie kłóćcie się, bo to niczego nie zmieni.

Na moment zapadła cisza.

– Przecież my się nie kłócimy. – Franek jeszcze sapął, ale po przyjacielsku szturchnął Kazika w ramię. – Chciałem tylko powiedzieć, że kurewsko nienawidzę zimna.

– Ulepmy największego bałwana, jakiego tylko damy radę, a przed nim zróbmy napis „aspirant Szumski” – wypalił Suchy. – Co wy na to?

Zanieśliśmy się szczerym śmiechem. Pomysł był przedni, ale cena zbyt wysoka. Każdy z nas wiedział, że taki numer drogo by nas kosztował. Zbyt drogo.

Zdecydowanie Szumski nie był tego wart.

Chodziliśmy po spacerniaku wzdłuż i wszerz. Trzeba przyznać, że były to długie i chłodne godziny. Kiedy słońce schowało się za horyzontem, a zmierzch powoli zaczynał przechodzić najpierw w wieczór, a potem w ciemną noc naprawdę zrobiło się mroźno.

Tamtego dnia to, co łączyło życzliwie nastawionych do siebie skazańców – jakimś trafem – stało się jeszcze silniejsze i zamieniło się w coś zupełnie przeciwnego, niż planował Szumski.

Gdyby dziś, po tak wielu latach, ktoś przyszedł i powiedział mi, że wielki pan aspirant miał wtedy spier-

dolone całe święta, myślę, że poczułbym rozkoszny smak satysfakcji.

Końcówka roku 1922 była dla mnie pierwszym ponurym i głębokim okresem tęsknoty za moją przeszłością. Jeszcze nie tak dawno, zaledwie rok temu, żyłem gdzieś daleko stąd w zupełnie innym świecie, ciesząc się każdą chwilą podarowaną przez Stwórcę. A teraz? Siedziałem samotnie w celi numer sześćdziesiąt siedem i katowałem się wspomnieniami.

Wszyscy, którzy intensywnie przeżyli barwną młodość, dobrze wiedzą, jak sprawy się mają. W tym zwariowanym czasie z łatwością można zrobić setkę najgłupszych rzeczy lub bez zastanowienia wcielić w życie tysiące szalonych pomysłów. Można śmiać się do łez, kochać na zabój, pić i tańczyć przez całą noc, bić się za przyjaciela albo popełniać takie błędy, że następnego dnia aż wstyd spojrzeć w lustro. Młodość nie zna rozsądku, kieruje się emocjami i dzikością serca, jest pełna brawury i kipiącego niepokoju. Przypomina porywisty huragan, którego nic nie jest w stanie zatrzymać lub zawrócić.

Podobno tylko młodość i miłość potrafią sprawić, że możemy poczuć, jak pulsuje życie. Przekonałem się o tym wtedy, kiedy po raz pierwszy ujrzałem Agnieszkę. Wówczas zadrżały fundamenty mojego świata... Teraz jednak była to tylko przeszłość, która pozostawiła po sobie wyłącznie wspomnienia i niezalutowane sprawy. W więziennej celi człowiek inaczej postrzega to, co stracił

i zaprzepaścił. Ma się ochotę walić głową w mur, żeby roztrzaskać ten cholerny, durny łeb. W pudle jedyne, co masz, to dużo czasu na analizowanie własnej przeszłości. Kiedy zaczynasz się zadręczać swoimi błędami, dostrzegać sprawy, które spieprzyłeś w mistrzowski sposób, chce ci się wyć. Czasami trudno jest udźwignąć ten ciężar. W takich chwilach samotność staje się twoim największym wrogiem.

W więzieniu robi się wszystko, żeby tylko zająć czymś myśli. Może to być cokolwiek, byleby tylko wypełnić czas i jak najmniej tęsknić. Jeśli odsiadujesz wyrok i codziennie klawisze zapędzają cię do roboty, ale każdego dnia masz kontakt z innymi więźniami, jesteś farciarzem. To nic, że czasami możesz dostać od kogoś po pysku, tak już bywa w przyrodzie. Ale możesz też zyskać nowego kumpla, ubić dobry interes albo po prostu pogadać z kimś miłym.

To jest ważne, cholernie ważne, żeby twoja codzienność była urozmaicona.

Dni wolne od pracy i pojedyncza cela potrafią zamęczyć, doprowadzić do obłądu, a nawet zabić. Z tego powodu bardzo szybko znienawidziłem wszelkie święta, zarówno te religijne, jak i państwowe.

Zaledwie po kilku miesiącach odsiadki byłem przekonany – nie wiem dlaczego – że tak właśnie będzie zawsze wyglądać moja rutyna. Ciężki tydzień pracy, wolne niedziele, posiłki na stołówce, ekwiwalent papierosowy i wyjścia na spacerki. Nie miałem również pojęcia, że świat będzie się zmieniał w tak zastraszającym

tempie, a wraz z nim więzienne życie.

Przez kilka pierwszych dni lutego, podczas każdego posiłku, trwała pomiędzy nami zażarta dyskusja na temat, co jest bardziej humanitarne – śmierć przez powieszenie czy przez rozstrzelanie. Nasze umysły rozpałiło wydarzenie z 31 stycznia 1923 roku, kiedy przed plutonem egzekucyjnym stanął Eligiusz Niewiadomski. Wybitny malarz, wykładowca, publicysta, krytyk sztuki i... pierwszy zamachowiec II Rzeczypospolitej. Przekonania polityczne pchnęły go w sidła szaleństwa, kiedy niespełna półtora miesiąca wcześniej wpakował trzy kule w prezydenta Gabriela Narutowicza. Prezydenta, który zapisał się w dziejach Polski jako polityk, który najkrócej piastował ten najwyższy urząd państwowy.

Wczesną wiosną, akurat tuż przed świętami Wielkiej Nocy, zostałem wezwany przed oblicze aspiranta Szumskiego. Kiedy prowadzono mnie do jego gabinetu, czułem się tak, jakbym po raz drugi szedł do teatru na to samo, kiepskie przedstawienie.

Pomieszczenie Szumskiego w ogóle nie zmieniło się od mojej ostatniej wizyty, tylko on sam wydawał się nieco bardziej zadowolony. Siedział za biurkiem, huśtał się na krześle i palił papierosa. Tuż przed nim na blacie biurka leżał... jutowy worek i biała, rozdarta koperta.

– Dzień dobry, Żabikowski – powiedział z drwiną w głosie i nieznacznie skinął głową.

– Dzień dobry, panie aspirancie! – odpowiedziałem,

stając na baczność jak prawdziwy żołdak.

– Żabikowski, pamiętasz naszą ostatnią rozmowę?

– Pamiętam, panie aspirancie!

– Czy tym razem mogę liczyć na wdzięczność? –

Gestem dłoni wskazał na rzeczy leżące na biurku.

– To jest niemożliwe, panie aspirancie – odparłem bez chwili zastanowienia.

– W takim razie nie dajesz mi wyboru. – Szumski wziął list do ręki, drugą zaś dłonią pstryknął mosiężną zapalniczkę. Sekundę później białą kopertę otulił jasny płomień.

Stałem tam i z wściekłością zaciskałem szczęki. Widziałem, jak ogniste języki zjadają papier i zamieniają go w popiół. Nie sądzę, żebym dobrze maskował swoje emocje, ale nie powiedziałem ani słowa, nie wydobyłem nawet najmniejszego jęku, nie dałem mu żadnego powodu do satysfakcji.

– Jebany w dupę aspirancik! – wyraził dobitnie swoje zdanie Suchy. – Jak można być takim skurwysynem, co? Musiał być niechcianym dzieckiem i dlatego mamusia go nie kochała. Nie widzę inaczej.

– A może chciał cię tylko urobić? – zapytał Roman i dalej łapczywie zajadał swoją zupę.

– Nie wiem, co o tym sądzić, po prostu nie wiem – zastanawiałem się głośno. – Myślisz, że ze mną pogrywał?

– Poczekaj – odparł mój rozmówca – nie życzę ci tego, ale jeśli będziesz miał pecha, przekonasz się, do czego oni są zdolni. Na razie Szumski chciał cię kupić

i pogroził tylko paluszkciem, nic straszego. Pojechał ci po uczuciach. Normalka. Ale jak się klawiszowska brać wkurwi, to dopiero wtedy dostaniesz popalić. Tak było z Mieciem Kozuchem, pamiętacie chłopaki?

– Szkoda gościa – skwitował Kazik.

– Świeć Panie nad jego duszą – dodał Ojczulek.

– Mietek był równy koleś – ciągnął Roman – ale od chwili, kiedy tu trafił, odwróciła się od niego fortuna. Klawisze jakby się zmówili, nie miał tutaj łatwo, a jego sińce nie nadążały z gojeniem. Podpadł też strasznie Blaszaarskiemu. Miał do odsiadki tylko trzy lata...

– A wyszedł po sześciu miesiącach... tylko że nogami do przodu – dokończył Suchy.

– Po prostu pewnego dnia – kontynuował Roman – znaleziono go w łazni pobitego do nieprzytomności. Nigdy się nie ocknął. Zmarł w lazarecie po czterech dniach. Plotka głosi, że to Blacha z dwójką innych cyngli tak go złali. Zresztą co za różnica, skoro chłopca nie ma wśród żywych.

Przykre i smutne wspomnienia czasami proszą o milczenie. Tak właśnie stało się tym razem. Jedliśmy obiad w ciszy i nikt już nie wspominał o Mietku Kozuchu.

Jakiś czas potem, stojąc w kolejce do okienka wydawki, ni stąd, ni zowąd zagadnął do mnie Kazik i zapytał:

– Chciałbyś wysłać list do matki?

– No coś ty – zadrwiłem – po co mam pisać, lepiej wyskoczę do niej na parę dni w odwiedzin. Pewnie się ucieszy.

– Przestań, człowieku – rzucił. – Mówię poważnie.
Z tonu jego głosu wywnioskowałem, że nie jest to jakiś idiotyczny żart.

– No pewnie, że chcę.

– Słuchaj – prawie szeptał – jest taki jeden gość z bloku A, szemrany typek. Pracuje razem ze mną na magazynach. Pochodzi z twoich stron i ma pewne możliwości...

– Jakie możliwości? – nie zdążył dokończyć.

– Raz w miesiącu jego kobieta przyjeżdża do niego w odwiedziny. Rozumiesz, człowieku?

No pewnie, że rozumiałem.

– Zapytaj go, ile to będzie kosztować.

– Już pytałem. Za wysłanie listu po drugiej stronie chce pięć skrzynek.

– To chyba trochę dużo, jak myślisz? – zapytałem.

– Czy ja wiem? Niektórzy biorą więcej.

– Ręczysz za niego?

– No coś ty, człowieku – prawie się zaśmiał. – Za nic i za nikogo nie ręczę. Mówię ci jeszcze raz, gościu ma możliwości, zapytałem, człowiek podał cenę, i to wszystko. Wchodzisz?

– Dobra.

Pomyślałem, że warto zaryzykować. A swoją drogę, czasami Kazik dobijał mnie nadużywaniem słowa „człowiek”.

O pomoc mogłem się zwrócić tylko do Ojczulka. Wprowadziłem go w temat, powiedziałem, jak sprawy się mają

i co chciałbym, żeby napisał. Niczego mi nie doradzał, pokiwał tylko głową i zaproponował, że może zdobyć papier i ołówek, ale nie ma nic darmo. Wszystko kosztuje. To była kolejna paczka fajek.

System opłat nawet za najdrobniejsze przysługi był tutaj czymś zupełnie normalnym. Każdy, kto miał tylko okazję wycisnąć coś z bliźniego, czynił to z uśmiechem na ustach. Rachunek był prosty, wysłanie listu miało mnie kosztować tygodniowy ekwiwalent fajek. To nie była radosna perspektywa dla takiego palacza jak ja. W 1923 roku miałem już za sobą dziesięć przepalonych lat i nigdy nawet nie pomyślałem o tym, żeby rzucić to świństwo. Mało tego, pokochałem palenie od pierwszego papierosa i ta miłość towarzyszy mi aż do dzisiaj. Nie wyobrażam sobie życia bez tytoniu. Nie ma takiej możliwości.

Najszybszą metodą zdobycia dodatkowych skrzynek była wymiana żarcia na szlugi. Idealnym miejscem dla takich transakcji była stołówka w porze obiadowej.

Siła ludzkich słabości i nałogów potrafi być przerażająca, wiem, o czym mówię, przerabiałem ten temat na tysiące sposobów.

W niedzielę, podczas spaceru, podszedł do mnie wysoki mężczyzna o przyjemnej aparycji. Pochylił się nieznacznie w moją stronę i powiedział:

– Siemasz, ziomek. Wołają na mnie Hrabia – przedstawił się.

– A na mnie Ropuch – odparłem. Od razu domyśliłem się, kim jest.

– Kazik wspominał, że chcesz słać listy na drugą stronę – powiedział z uśmiechem i odsłonił dwa rzędy idealnych, śnieżnobiałych zębów.

Czyż to nie jest dziwne, że czasami zapadają nam w pamięci zupełnie nieistotne drobiazgi? Przez całe moje życie u nikogo nie widziałem tak ślicznych zębów jak u Hrabiego.

– Tak – kiwnąłem głową.

– Przejdźmy się – zaproponował. – Jesteś z Kalisza. A skąd dokładnie?

– Ze Złotych Dachów – powiedziałem celowo nieoficjalną nazwę mojej dzielnicy. Chciałem mieć pewność, że jest rzeczywiście moim krajanem.

– Złote Dachy – powtórzył takim tonem, jakby szukał w myślach wspomnień związanych z tym miejscem – czyli Czaszki, ma się rozumieć.

– W rzeczy samej – uśmiechnąłem się.

– Jest tak, jak mówił Kazik, jeden list za pięć skrzynek. Pasuje? – Zatrzymał się i spojrzał mi w oczy.

– Pasuje – odparłem.

– No to się chyba dogadaliśmy. – Ponownie uraczył mnie widokiem swoich zębów.

– Chyba tak.

– Już niedługo twój list może powędrować w świat. Moja kobieta zjawi się w przyszłą niedzielę po obiedzie. List i fajki przekażesz mi na spacerku, tutaj. I broń Boże nie pisz adresu. Nazwisko i ulicę, gdzie trzeba dostarczyć przesyłkę, podasz mi dopiero w niedzielę. Rozumiemy się? Pisz, co chcesz, ale list musi być bezpieczny, żadnych

imion, żadnych nazwisk i konkretnych miejsc. Pamiętaj, że robię ci przysługę.

– Jasne.

– Mogę cię o coś zapytać? – Poczekał, aż skinąłem głową. – Nie moja sprawa, ale dlaczego nie wyślesz tego listu oficjalną drogą? – Spoglądał podejrzliwie, wietrząc podstęp.

– Brakuje mi jeszcze trochę do pełnego roku.

– Ach tak – powiedział, jak gdyby nagle doznał olśnienia – wy z dziesiątki macie pierwszy roczek na ścisłym poście. Rozumiesz chyba, że nie chcę się wpakować w jakąś niepotrzebną historię i...

– Możesz być spokojny – nie czekałem, aż dokończy swój wywód, domyśliłem się, o co mu chodzi. – To list do matki.

– Skoro tak, to gra i buczy. Tymczasem, ziomek, widzimy się za tydzień. – Klepnął mnie w ramię i oddalił się w przeciwnym kierunku.

Przez chwilę stałem i spoglądałem na jego oddalającą się sylwetkę. Jaśnie wielmożny pan Hrabia – przemknęło mi przez głowę. Miałem mieszane uczucia, nie wiedziałem, co o nim myśleć.

Musiałem w krótkim czasie prehandlować sześć obiadów, żeby zdobyć środki na swoją pierwszą przesyłkę. Zapowiadał się bardzo głodny tydzień. Pracując na łodygowni, nie miałem żadnych możliwości dodatkowego „zarobkowania”. Ot, cała prawda o łodygowni. Parszywe miejsce bez żadnych perspektyw. Wszelkie inne zajęcia,

które oferowało skazanym Centralne Więzienie we Wronkach, dawały chłopakom wspaniałe możliwości. Facet z dostępem do narzędzi i materiałów mógł zdziałać cuda, ale facet z dostępem do drewnianego klocka wielkości pudełka zapalek i całej sterty trzciny mógł co najwyżej podłubać sobie w nosie.

– Musisz coś wykombinować, żeby się stamtąd wyrwać – pouczał mnie Suchy. – Bo w tej chwili, powiem ci, chłopie, jesteś głęboko w dupie. Nic mądrego nie zdziałasz, nie dorobisz na boku, chyba że... – urwał w pół zdania, robiąc tajemniczą minę.

– Że co? – spytałem.

– Weźmiesz na kogoś zlecenie, wykonasz je i dzięki temu ustawisz się tutaj na bardzo długo – powiedział pół tonu ciszej.

Spojrzałem na niego zdumionym wzrokiem.

– Chyba cię popierdoliło do reszty – fuknąłem.

– W sumie to wcale nie brzmi tak głupio – skwitował Roman.

– Nie wierzę, kurwa mać, nie wierzę w to, co słyszę – powiedziałem oburzony. – Hej, co jest z wami?

– Nie musisz się zaraz gorączkować – dorzucił Franek. – Tutaj to normalna rzecz.

Ojczulek nic nie mówił, zajadał kromkę chleba i lekko uśmiechał się pod nosem.

– Też tak myślisz? – skierowałem do niego pytanie.

– To nie ma znaczenia, co myślę. Oni sądzą, że skoro dostałeś dożywocie, nie masz już nic do stracenia.

Łapiesz? Możesz poczęstować kogoś kozikiem albo spowodować, oczywiście zupełnie nieumyślnie, jakieś tragiczne zdarzenie. Jak sądzisz, ile jeszcze mogą ci dołożyć do dożywocia?

– Jesteście chyba nienormalni. – Czułem, że za chwilę wybuchnę. – Nie muszę...

Suchy nie dał mi dokończyć. Uderzył otwartą dłonią w blat stołu, a wtedy reszta towarzystwa zaniósła się szczerym śmiechem.

– Dał się złapać na zlecenie – kwiczał z radości Suchy.

– Widzieliście, jaką miał minę? – Roman kantem dłoni wycierał łzy rozbawienia.

Potrzebowałem kilku sekund, żeby dotarła do mnie istota ich dowcipu.

– O w mordę – jęknąłem. – Fajnie, że tak dobrze się bawicie.

– Nie było tak źle. – Kazik klepnął mnie w plecy. – Wiesz, co by się działo, gdybyś chciał przyjąć ofertę?!

Wolałem nawet o tym nie myśleć. Chyba ich śmiech rozszarpałby mnie na strzępy.

Ciekawie się obserwuje własne życie z perspektywy minionych lat. Człowiek dostrzega, że to, co go kiedyś przerażało lub wydawało się kompletnie odrealnione, później wcale takie nie jest. Z wiekiem nabywamy doświadczenia i wiedzy, ale nie tej książkowej, tylko prawdziwej, życiowej, wytłoczonej z krwi, potu i łez. Zaczynamy rozumieć, że świat kręci się po swojemu. Z wiekiem

człowiek przekonuje się, że życie potrafi zmiażdżyć wzniosłe ideały i wskazać nam nasze miejsce w szeregu. Życie nie oferuje kompromisu, ale jest jak dyktator, który nie zna słowa sprzeciwu. Trzeba być posłusznym i sprostać jego oczekiwaniom.

Kiedys naprawdę wydawało mi chore i szalone to, co powiedział Suchy: „weźmiesz na kogoś zlecenie”. Nie chodzi o to, że ja coś takiego zrobiłem. Nic z tych rzeczy. Absolutnie. Chodzi o to, że życie i upływający czas zaszczepiły we mnie znieczulicę na takie zdarzenia. W ciągu tych wszystkich lat odsiadki byłem świadkiem kilku brutalnych mordów, aktów gwałtu i okrutnej przemocy. Zdziwilibyście się, co jeden człowiek potrafi uczynić drugiemu.

Ludzie czasami w nerwach lub w żartach potrafią powiedzieć, że zabiliby tego czy tamtego. Każdy z was mógłby teraz przez chwilę pomyśleć i stworzyć listę osób, których chciałby się pozbyć na dobre. Na szczęście to tylko puste gadanie, bo gdyby za każdym takim życzeniem stała prawdziwa zbrodnia, świat broczyłby we krwi.

Czy myślałem o tym, żeby kogoś zabić tutaj w więzieniu?

Tak.

W dniu dwudziestych piątych urodzin poznałem gorzką prawdę. Wówczas moim sercem i umysłem zawładnęła zemsta.

Planowałem morderstwo, ale nie wybiegajmy tak daleko w przyszłość.

Najpierw zaczęły się listy.

– Siemasz, ziomek – przywitał mnie Hrabia. Wydawało się, że było to jego ulubione pozdrowienie. – Jak tam? Jesteś przygotowany do zajęć?

– Jasne – odparłem i dyskretnie podałem mu kopertę.

Dwa dni wcześniej Ojczulek przeczytał mi list. Nic szczególnego, żadnej zbędnej wylewności i faktów, które mogłyby pomóc zidentyfikować nadawcę w razie nieprzewidzianych kłopotów. Kilka linijek tekstu, z których wynikało, że u mnie wszystko w porządku, jestem zdrow i daję sobie radę, że za jakiś czas postaram się napisać znowu, a na koniec krótka informacja, żeby nie przyjeżdżali do mnie w odwiedziny. Spodobał mi się pomysł Ojczulka, że list był adresowany do całej rodziny, a nie do jednej osoby. To było cwane. Miałem też nadzieję, że moja mama zrozumie wszystko we właściwy sposób.

Nie pytałem Ojczulka o to, ale myślę, że wcześniej kreślił już podobne wiadomości.

Z ręką na sercu zapewniłem mojego krajana, że wiadomość jest bezpieczna.

– Oby tak było, bo nie chcę, żeby moja kobieta miała nieprzyjemności. Pewnie słyszałeś, że strażnicy w tym więzieniu mają różne ciekawe pomysły. Zdarza się, że rewidują wychodzących z odwiedzin. Jeżeli mojej pani przytrafi się w związku z tym listem jakiś problem, dopadną mnie kłopoty, a wtedy nie chciałbym być w twojej skórze. – Słowa Hrabiego zabrzmiały jak przestroga.

– Nie ma tam nic niewłaściwego – powiedziałem. – Możesz być spokojny.

– Dobra, ziomek – przez moment patrzył mi prosto w oczy – muszę ci zaufać. Jutro moja dama pójdzie na pocztę i wyśle ten list. Podaj mi nazwisko i adres.

– Zofia Żabikowska, ulica Przemysłowa czternaście, Kalisz.

Półgłosem kilkakrotnie powtórzył w mojej obecności dane.

– Masz skrzynki? – zapytał chwilę później.

Podąłem mu pięć paczek, od których delikatnie zionęło zapachem kwaśnego tytoniu. Hrabia uśmiechnął się z zadowoleniem.

– A ile będzie kosztowało przywiezienie wiadomości z zewnątrz? – zapytałem.

– To zależy jakich wiadomości i skąd – odparł po chwili.

– Nic szczególnego, chciałbym wiedzieć tylko, co u mojej matki.

– Rozumiem, że chcesz, aby moja kobieta pojechała na ulicę Przemysłową czternaście i odnalazła tam Zofię Żabikowską. Zgadza się? – zapytał tak, jakby chciał mi udowodnić, że ma idealną pamięć.

– Właśnie – potwierdziłem jego trafne przypuszczenie.

– Piętnaście skrzyń, płatne z góry i załatwiam sprawę w ciągu dwóch tygodni.

– Co?! Aż tyle?! – oburzyłem się, słysząc przesadnie wygórowaną cenę.

– Samo życie, ziomek – skwitował. – Tak brzmi moja oferta i wcale nie musisz z niej korzystać. Zdajesz sobie sprawę, jakie trzeba ponieść koszty. Dojechać, stracić pół dnia na załatwienie sprawy, wrócić... Jeśli ci nie pasuje, to znajdź kogoś tańszego.

– Dziesięć – postanowiłem się targować – i za miesiąc, kiedy twoja kobieta znowu przyjedzie cię odwiedzić. Wtedy przywiezie też coś dla mnie, co ty na to?

Przez chwilę stał w milczeniu, gładził dłonią po szorstkim zarostie i pewnie kalkulował w myślach, na ile dam się oskubać.

– Tuzin, to moje ostatnie słowo.

– Weź dziesięć i będzie dobrze. Wolę załatwić to z ziomkiem, niż szukać innego kontaktu. Co ty na to? – próbowałem nadal coś ugrać.

Przez moment bacznie mi się przyglądał.

– Nic z tego – zdecydował. – Tuzin i płacisz z góry.

– No trudno – odparłem bez entuzjazmu. – W takim razie muszę skorzystać z usług konkurencji – blefowałem niczym zawodowy pokerzysta.

Przez moment Hrabia patrzył mi prosto w oczy.

– Stoi, niech będzie dziesięć, ale tylko dlatego, że jesteśmy ziomkami – powiedział i uściśnił mi sobie dłoń.

Może wydać się to śmieszne, ale czułem się tak, jakbym miał do zrealizowania cholernie ważny cel w życiu. Dręczyło mnie poczucie zawodu, który sprawiłem moim bliskim. Nosilem w sobie gorzką świadomość, że zniszczyłem ważną część naszego wspólnego życia.

Byłem to winien mojej mamie i Agnieszce.

Wierzyłem też z całego serca, że pozytywne załatwienie tej sprawy przyniesie mi odrobinę odkupienia.

Miałem tylko miesiąc na zdobycie dziesięciu paczek papierosów i co najgorsze nie widziałem żadnych możliwości, jak tego dokonać. Jedynym człowiekiem, który mógł mi pomóc i którego znałem, był Suchy.

Opowiedziałem mu całą historię.

– To proste – odparł bez namysłu – rzuć palenie.

Spodziewałem się właśnie takiej odpowiedzi – najprostsze rozwiązania najszybciej przychodzą do głowy. Tylko że ja chciałem czegoś więcej.

– Odpada, poza tym nie proszę cię o jakieś gówniane rady czy złote myśli, proszę cię o przysługę. Powiedz mi, co mam zrobić, żeby zdobyć te fajki?

– Już ci kiedyś mówiłem, że...

– Przestań – wpadłem mu w zdanie – nie bądź chytrym chujkiem. Pomóż mi, proszę cię. Dobrze wiesz, że nie mogę przez pół miesiąca sprzedawać obiadów, bo zdechnę z głodu. Załatw mi coś. Wiem, że możesz. Mam cię prosić na kolanach?

– Dobra, przestań już jęczeć – syknął. – Pomyślę. Co można, kurwa mać, zaproponować koleśowi z łodygowni? – I z właściwą sobie drwiną odpowiedział: – Chyba żeby sobie włożył słomkę w dupę. Powiedz mi, Ropuszku – powtórzę się, ale nienawidziłem, kiedy się tak do mnie zwracał – czemu nie poczekaś spokojnie, aż minie twój roczek? Ile ci jeszcze zostało?

– Jeszcze trzy miesiące – odparłem.

– No to co jest z tobą? Jesteś jakiś głupi, czy co? Naucz się cierpliwości, odpocznij. Sam zobaczysz, szybko zleci – ciągnął. – Po co ci ten cyrk? Za trzy miesiące dostaniesz pozwolenie na legalne listy i wizyty. Chcesz to spieszyć tuż przed metą? Przecież jak wpadniesz na swoich kombinacjach, będziesz miał przesrane. Po ci to?

– Muszę to zrobić – powiedziałem stanowczo. – Rozumiesz? Po prostu muszę.

– Co, chcesz się sprawdzić, tak? Chcesz sobie udowodnić, że potrafisz? Ruszysz z podniesioną głową, przejdziesz przez piekło, ale dopniesz celu, tak? Myślisz, że to złagodzi w tobie poczucie winy? O to chodzi? Zgadłem? – pytania zadawane przez Suchego zmierzały w dobrym kierunku.

– Nie ważne, o co chodzi. – Obaj wiedzieliśmy, że wszystko, co powiedział, to prawda, ale było coś jeszcze. – Przyszedłem z tym do ciebie, bo ty jeden ze wszystkich, których znam, najlepiej dajesz sobie radę. Za ile wychodzisz?

Suchego zaskoczyło to pytanie.

– Za siedem lat, dokładnie w trzecią dziesiątkę stulecia – odpowiedział, a jego twarz pojaśniała uśmiechem.

– Naucz mnie, jak robić tutaj interesy – mówiłem opanowanym głosem. – Dobrze wiesz, że będę siedział w tym miejscu do końca życia. Taka umiejętność może mi się przydać. Proszę cię, pomóż mi. Potrafię się odwdziżyć, nie będę ci wchodził w paradę. Wciągnij mnie

w temat, poznaj z ludźmi. Dobrze wiesz, że swoje i tak zarobisz na mnie.

Przez chwilę patrzył na mnie zaskoczonym wzrokiem. Jeśli wcześniej miał mnie za głupka, teraz najwyraźniej zmienił zdanie.

– Dobra, coś ci załatwię – odparł poważnym tonem. – Dostaniesz swoją szansę.

– Dzięki.

– Ale i tak uważam, że popełniasz błąd – skwitował. – Na twoim miejscu przez te trzy miesiące srałbym spokojnie pod siebie i czekał.

– Wiesz, że nie mogę. Prawda? – zapytałem, ale nie oczekiwałem potwierdzenia. – Wiesz, o czym mówię, doskonale znasz to uczucie.

Suchy spoglądał mi w oczy zimnym i przenikliwym wzrokiem.

Nic nie odpowiedział.

Święto Narodowe Trzeciego Maja. Oczywiście poza murami więzienia na pewno było hucznie i wesoło. Orkiestry, festyny, dzieci z flagami, wszędzie tłumy, wszyscy odświętnie ubrani i uroczyste msze w kościołach. Dobrze pamiętam tę radosną wrzawę na ulicach i okrzyki: „Bóg! Honor! Ojczyzna!”.

W więzieniu był to dla mnie niepotrzebny, wolny dzień w środku tygodnia. Czwartek z niedzielnym harmonogramem zajęć i obowiązków.

Właśnie takich dni nienawidziłem!

Ta data szczególnie zapadła mi w pamięci, ponie-

waż wtedy Suchy podszedł do mnie na spacerunku i powiedział:

– Mam dla ciebie fuchę. Trzeba zdobyć morfinę w tabletkach. Im więcej, tym lepiej. Jak się postarasz, tak będziesz miał. Za dwie tabletki płacę paczkę fajek.

– Jak, u licha, mam to zrobić? – zapytałem zaskoczony.

– Chcesz mnie rozczarować? Co to za pytanie? Jak mam to zrobić, no jak mam to zrobić – parodiował moje słowa. – Skocz na miasto do apteki, jeśli nie masz żadnych pomysłów. Nie rób się głupszy, niż jesteś – powiedział, patrząc na mnie jak na idiotę. – Lekarstwa możesz zdobyć tylko na izbie chorych. – Kiwnął głową w stronę głównego budynku.

– A jak mam się tam dostać? – Wydawało mi się, że Suchy żąda czegoś niemożliwego.

– Normalnie – odparł. – Złam nogę, wydłub oko, wyrwij sobie głowę, rozchoruj się na gruźlicę, połknij łyżkę, odgryź sobie jądra – zaczynał się rozkręcać. – Wiesz, kiedy podają człowiekowi morfinę?

– Nie wiem. – Naprawdę nie miałem pojęcia.

– O ja pierdołę. – W głosie Suchego było słycać bezgraniczną rozpacz. – Morfinę podają choremu wtedy, kiedy go coś tak kurewsko boli, że nie potrafi tego znieść. Rozumiesz? Wiesz, jak masz teraz główkować. Musisz się stać kimś takim. Tylko morda w kubeł. Jeśli się komuś wygadasz, że coś razem kręcimy, nie będzie żadnego interesu. Jasne?

– Jasne, ty tu rządzisz.

Wieczorem siedziałem na więziennej pryczy i uśmiechałem się pod nosem. Byłem przekonany, że dzisiejszy dzień wyznaczy nowy kurs w moim życiu.

Teraz nie miałem najmniejszych wątpliwości, że maj to mój szczęśliwy miesiąc. Leżałem na wznak i spoglądałem w okno na malutkie punkciki błyszczących gwiazd, a myślami sięgnąłem do moich najcudowniejszych wspomnień.

– Agnieszka – wyszeptalem imię miłości mojego życia i uśmiechnąłem się pod nosem.

Nasze drogi zeszyły się w maju.

Nie będę zbyt odkrywczy, jeżeli stwierdzę, że wiosna to najradośniejsza pora roku. Wiem... klasyka banału, ale w każdym komunale jest prawda, którą warto czasami przypomnieć. Żebyśmy się źle nie zrozumieli, nie mam na myśli tej marcowej odwilży ani jej szarych roztopów, ani też kwietniowych zrywów buchających pierwszą zielenią i łagodnym ciepłem. Mówię o tym najbardziej uroczym miesiącu, któremu na imię maj.

Wspaniały, cudowny maj!

Kiedy wszystko dookoła budzi się z entuzjazmem do życia, a przyroda eksploduje w całej okazałości. Kiedy w rozgrzanym słońcu tryskają pąki drzew, a wszystkie skwerki i trawniki świata zamieniają się w dywany soczystej zieleni. Maj, kiedy powietrze pachnie rześką świeżością, jaskrawy błękit nieba wyciska z oczu łzy, a my czujemy, że wypełnia nas radość. Kiedy wszystkie problemy i kłopoty dnia codziennego znikają w beztróskich

powiewach wiatru niosącego na swych niewidzialnych skrzydłach zapach kwitnących bzów. Maj połyskujący brokatem porannej rosy i rozptywający się w promieniach wesołego słońca. Te upalne popołudnia i leniwe wieczory wypełnione melodią koncertujących chrabąszczy, te czarodziejskie noce podziurawione miliardami błyszczących gwiazd. Maj pełen uduchowionych nadziei, przepelniony radością i niecierpliwym oczekiwaniem. Maj spowity cieniem rozłożystych kasztanów i namiętym szeptem dojrzewających liści.

Znacie ten klimat? Czujecie go, prawda?

Albo taki maj, kiedy znienacka nastaje burza i w jednej chwili cały świat tonie w strugach ulewnego deszczu, a ty trzymasz ją mocno za rękę i biegniecie, żeby się gdziekolwiek schronić... Dla mnie maj zawsze będzie wyglądał jak dziewczyna z rozwianymi blond włosami, szmaragdowymi oczami i najpiękniejszym uśmiechem na świecie.

Nic tego nie przebije.

Dobry Boże, jakież ja byłem w niej zakochany!

Mieliśmy po dwadzieścia lat, koszmar pierwszej wojny światowej był już za nami, żyliśmy w wolnej i niepodległej Polsce. Ja byłem czeladnikiem w zakładzie meblowo-stolarskim Skoczyński i Synowie, Agnieszka była zdolną krawcową i marzyła o własnym punkcie usługowym. Między nami wszystko układało się dobrze. Czego mogłem chcieć więcej? Miałem szczęście w swoich rękach i musiałem je tylko odpowiednio pielęgnować. Mogliśmy mieć wspaniałe życie.

I do czego doprowadziłem?

Zniszczyłem to, co los dał mi najcenniejszego.

Mogłem być królem życia, a zamiast tego spoglądałem przez kraty na niebo pełne gwiazd.

Nie widziałem innej możliwości, więc postanowiłem, że targnę się na własne zdrowie. W izbie chorych jak na razie widzieli mnie tylko raz. Było to tego dnia, kiedy trafiłem do Wronek. Istniało więc nikłe prawdopodobieństwo, że zostanę posądzony o umyślne działanie lub symulację.

Następnego dnia byłem jedynym na łodygowni, który solidnie zabrał się do pracy. Świadomie narażałem swoją lewą dłoń na zranienia i rozcięcia. Po kilku godzinach czułem już potworny ból. Niecałą dobę później wewnętrzna powierzchnia mojej dłoni przypominała niezdatną próbę szatkowania sztuki mięsa. Ma się rozumieć, że do prowizorycznego opatrunku, który wykonałem sam, użyłem brudnej i stęchłej szmaty. W sobotę wieczorem wysoka gorączka powaliła mnie na prycę i miałem koszmarne sny.

Kiedy starszy dozorca Alfred Robalski zobaczył mnie w niedzielny poranek tuż przed wyjściem na śniadanie, stwierdził, że wyglądam jak kawałek szurzego gówna. Natychmiast kazał mnie odprowadzić do lazaretu.

– Trafiłeś w zły czas, chłopie. – W głosie sanitariusza nie było żadnego współczucia. – Jedyne, co mogę zrobić, to przemyć ranę, założyć świeży opatrunek i dać ci coś na gorączkę. Jest niedziela i doktor ma wolne. Obejrzy

cię dopiero jutro.

Izba chorych składała się z trzech pomieszczeń. Pierwsze, dość spore, mieściło dwanaście łóżek, drugie było jednocześnie gabinetem lekarskim i pokojem zabiegowym, trzecie zaś służyło jako toaleta.

– Nieźle się załatwiłeś, koleżko – dodał, przemywając letnią wodą moją poranioną dłoń.

Bolało jak jasna cholera.

Czułem się potwornie, ale starałem się zachować trzeźwość umysłu i bacznie lustrowałem gabinet.

Po lewej stronie stały dwie metalowe szafki z oszklonymi drzwiami. Wewnątrz leżały medyczne akcesoria. Dostrzegłem strzykawki, gaziki, bandaże, plastry, fiołki z jakimiś płynami, słoiki z tabletkami, maści, kłęby śnieżnobiałej waty i mnóstwo innych rzeczy. Na wprost było duże biurko, tuż za nim okno, w rogu drewniany wieszak, po prawej parawan i łóżko, nieco dalej umywalka, a na ścianach wisiały kolorowe reprodukcje przedstawiające jakieś ludzkie organy.

Czułem wyraźnie, jak krople zimnego potu zrosiły mi czoło. Drżałem.

– Chyba masz wysoką gorączkę – powiedział sanitariusz. – Możesz zacisnąć pięść?

Wykonałem polecenie i natychmiast jęknąłem z bólu. Moja dłoń płonęła żywym ogniem.

– Dobrze, a teraz otwórz. – Popatrzył na ranę. – Jak na moje oko, nie wygląda to najlepiej.

Mężczyzna sięgnął po klucz, który miał zawieszony na szyi, i otworzył nim pierwszą gablotę. Wyjął dużą

butelkę z bezbarwnym płynem, kilka arkuszy ligniny, gazę i rolkę bandaża.

Chwilę później miałem profesjonalny opatrunek.

– Tylko tyle mogę dla ciebie zrobić... i oczywiście dać coś na gorączkę. Bardzo boli? – zapytał.

– Okropnie. – W tonie mojego głosu było słychać ból.

– Wybacz, przyjacielu, ale nie mam dostępu do mocnych leków. Musisz sobie dzisiaj poradzić z bólem, a jutro lekarz obejrzy twoją dłoń i coś poradzi. To dobry fachowiec. Połknij. – Podał mi dwie białe tabletki – Aspiryna uspokoi gorączkę.

Pod opieką strażnika dotarłem z powrotem do celi. Czuję się podle, padłem na łóżko, nakryłem się kocem i dygocząc z zimna, zapadłem w głęboki sen.

Chyba musiałem wyglądać upiornie, bo kiedy chłopaki zobaczyli mnie podczas obiadu, ich twarze mówiły same za siebie.

– Co jest z tobą? – zapytał Roman.

– Nic szczególnego, wdała mi się jakaś gówniana infekcja – uniosłem obandażowaną dłoń – i rozłożyła mnie na łopatki.

– No widać, blady jesteś jak trup – skwitował Franek.

– Podbite oczy, przekrwione białka, spękane usta – relacjonował Kazik, jak prawdziwy ekspert. – No co jest? – Nieco się speszył, kiedy dostrzegł, że reszta towarzystwa spogląda na niego z wyrazami uznania. – Moja

Bogna jest pielęgniarką, to nauczyłem się od niej kilku mądrych, lekarskich słów.

– Ty i ta twoja Bogna – westchnął Franek. – Normalnie Romeo i Julia. Czasami gadasz, jakby ona tutaj cały czas była. Ile lat z nią przeżyłeś?

– W tym roku będzie osiemnaście – odparł bez żadnego namysłu. – Bo ona jest ze mną cały czas, rozumiesz? Noszę ją tutaj, w sercu. – Położył dłoń w miejscu, o którym mówił. – Odkąd ją znam, nie było w moim życiu takiego dnia, żebym o niej nie myślał. Jeszcze trzy lata i cztery miesiące, a potem jak wyjdę, to przysięgam na Boga Wszechmogącego, że nie wpakuję się już w żadne szambo. Nigdy. Znajdę sobie pracę i będę się cieszył życiem z moją kobietą.

– Amen, brachu – podsumował Roman. – Piękne jest to, co mówisz.

W głębi duszy zgadzałem się z tym twierdzeniem i nawet trochę zazdrościłem Kazikowi.

– Baba zawsze będzie babą – skwitował Suchy. – Mówcie, co chcecie, ciskajcie sobie dalej farmazony, ale baba to jest takie stworzenie, któremu za bardzo nie można ufać. A ty nie musiałeś wtykać tam łapy, gdzie nie powinieneś – rzucił w moją stronę.

Nie wiem, czy mi się tylko zdawało, ale chyba dostrzegłem w jego oczach błysk zadowolenia. Co najmniej, jakby chciał powiedzieć, że jak na razie to nieźle mi idzie.

Wieczorem powróciła gorączka, a ból dłoni stał się

wręcz nie do wytrzymania. Każde uderzenie pulsu eksplodowało pod bandażem niczym noworoczne fajerwerki. Powoli zaczynałem żałować, że zdecydowałem się na ten krok. Skulony jak embrion, owinąłem się kocem. Moje ciało przeszywały nagłe i niekontrolowane drgawki, nie potrafiłem powstrzymać szcękania zębów.

Chryste, jeszcze nigdy w życiu nie było mi tak zimno!

Nie wiem, jak długo to trwało, ale w pewnym momencie zapadłem we wszechogarniającą ciemność.

Lekarz okazał się zadbanym, szpakowatym mężczyzną po pięćdziesiątce i miał bardzo sympatyczny głos. Zanim przystąpił do oględzin mojej dłoni, najpierw wypełnił kilka formularzy i pytał o różne rzeczy.

Odpowiadałem krótko i rzeczowo. Moim największym atutem, który przekreślał podejrzenie o samookaleczenie, było jedno wyjątkowe słowo „łodygownia”.

– No to zobaczymy, co tam masz. – Podeszedł do mnie, zdjął opatrunek, a zużyty bandaż cisnął do kosza obok.

Oglądał moją dłoń ze wszystkich stron, dotykał, naciskał, kazał ruszać palcami, nadgarstkiem i składać w pięść. Przetarł czystym gazikiem jej wewnętrzną powierzchnię i dokładnie studiował zgromadzony wysięk. Kilka razy podsuwał sobie gazik pod nozdrza, żeby zidentyfikować zapach.

– Chyba masz szczęście – powiedział po chwili. – Jeszcze dzień lub dwa i mielibyśmy tutaj książkowy

zgorzel.

– Nie bardzo rozumiem – odpowiedziałem.

– Gangrena.

Przeraziło mnie to słowo, w przeszłości słyszałem je nieraz. Widziałem podczas wojny ludzi, którym z tego powodu amputowano nawet całe kończyny. Ich ręce i nogi po prostugniły. Coś potwornego.

– W którym miejscu boli najbardziej? – zapytał.

– Trudno mi powiedzieć, mam wrażenie, jakbym trzymał moją dłoń w rozżarzonych węglach, a przy każdym uderzeniu serca czuję ucisk. – W moim głosie było słyhać prawdziwe cierpienie.

– Taak – powiedział przeciągle, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym wstał i podszedł do biurka. – Żadnej pracy przez najbliższe dwa tygodnie. Dwa razy dziennie zmiana opatrunku, pierwszy po śniadaniu, drugi po kolacji. – Otworzył szary skoroszyt, wyjął eleganckie czarne pióro i zaczął pisać. Kiedy skończył, spojrzął na mnie i powiedział: – Przez najbliższe cztery dni będziesz dostawał morfinę. To bardzo silny środek przeciwbólowy. – Podszedł do gabloty stojącej bliżej biurka. Wyjął klucz z kieszeni białego kitla i otworzył oszklone drzwi. Jego ręka powędrowała na drugą półkę i sięgnęła po nieduży, brązowy słoik z żółtą nakrętką. Otworzył go, wyjął jedną tabletkę, po czym odstawił go na miejsce. Podszedł do umywalki i kiedy nalewał wody do glinianego kubka, ja wpatrywałem się w dwa pojemniki ze słonecznymi zakrętkami.

– Proszę, popij obficie. – Podał mi lekarstwo

i wodę.

Posłusznie wykonałem polecenie.

– Za jakiś czas możesz się poczuć inaczej niż zwykle, że tak to ujmę najprościej – przez moment szukał w głowie odpowiednich słów – bardziej rozluźniony, rozleniwiony, obojętny, otępiały, ale na pewno pozbawiony uczucia bólu. Mogą też wystąpić nudności lub biegunka. Za chwilę sanitariusz zmieni ci opatrunek i przez najbliższe trzydzieści minut zostaniesz na izbie chorych. Jeżeli nie będzie się działo nic niepokojącego, dozorca odprowadzi cię do celi i powiadomi przełożonego na bloku o twojej dolegliwości. Po kolacji przyprowadzą cię tutaj ponownie. Pielęgniarka zmieni ci opatrunek i otrzymasz swoją dawkę leków. My zobaczymy się jutro o tej samej porze .

Zawołał sanitariusza, podał mu jakąś kartkę i chwilę z nim rozmawiał. Ten drugi kiwał tylko głową i często powtarzał jedno słowo:

– Oczywiście, oczywiście, oczywiście.

Siedziałem na krawędzi łóżka i zaczynało mnie ogarniać intensywne, miłe uczucie. Wszystko dookoła wydawało się jakies inne, takie... gładkie i miękkie. W mojej duszy rozkwitały dziwne, ale przyjemne doznania.

Ból odszedł w nieznane.

– Hej, kolego, pst – zwrócił się do mnie szeptem męczyzna leżący na łóżku obok. – Kolego, masz jakieś fajki? Możesz mnie poratować?

Nie chodzi o to, że język stanął mi kołkiem, ale po

prostu nie potrafiłem mu odpowiedzieć. Uśmiechałem się tylko. Doskonale rozumiałem, o co pytał, ale bałem się odezwać. Uległem przeświadczeniu, że jeśli otworzę usta, zniknie ta cała tajemnicza euforia. Sięgnąłem do kieszeni, wyjąłem paczkę papierosów i poczęstowałem go.

– Dzięki, stary – powiedział z wdzięcznością. – Nakarmili cię opiatym, co? – Uśmiechnął się. Chyba wiedział, jakie to wspaniałe uczucie być w takim stanie. Jakkolwiek nazywał to cudo, które dostałem do połknięcia, pomyślałem, że chciałbym je zjadać codziennie. – Mogę wziąć dwie fajeczki? – zapytał. Skinąłem przyzwalająco głową.

Stan uniesienia zaczął blednąć wczesnym popołudniem, a na grubo przed kolacją powrócił rozkrzyczany ból dłoni. Z jednej strony marzyłem, żeby czym prędzej zjawić się na izbie chorych i dostać kolejną dawkę, a z drugiej zaczynałem być wściekły sam na siebie. Czas pracował na moją niekorzyść. Postanowiłem, że zamiast skupiać się na przyjemnościach, muszę zacząć coś robić.

Na początek trzeźwo myśleć.

Po kolacji klawisz doprowadził mnie do izby chorych. Kiedy pielęgniarz zdjął opatrunek i zobaczyłem moją dłoń, przysiągłem sobie w duchu, że już nigdy w moim durnym życiu nie zrobię podobnej głupoty. Zdałem sobie też sprawę, że zdobycie słoika z tabletkami morfiny jest tak samo prawdopodobne jak uzyskanie przeze mnie aktu ułaskawienia w trybie natychmiastowym. Nie wiem, co sobie właściwie wyobrażałem. To była zupełnie nieprzemyślana decyzja. Tak, Suchy miał

rację. Trzy miesiące szybko miną.

Sanitariusz zrobił swoje, po czym podał mi kubek z wodą i zestaw lekarstw. Przełykałem kolejne tabletki, ale tę najważniejszą w odpowiednim momencie ukryłem pod bandażem opatrunku.

Najwyraźniej w lazarecie obowiązywały konkretne procedury bez względu na porę dnia i musiałem odsiedzieć swoje pół godziny. Oczywiście, żeby nie wzbudzić niczych podejrzeń, starałem się zachowywać i wyglądać, jakbym naprawdę przyjął dawkę morfiny.

– Przyjacielu – zwrócił się do mnie ten sam mężczyzna, który zaczepił mnie rankiem. Rozpoznałem jego głos. Teraz miałem okazję, żeby się mu przyjrzeć. Jak na moje oko, miał około pięćdziesiątki, pospolita, pomarszczona twarz, szare oczy, szpakowate włosy i bardzo charakterystyczna, szeroka blizna tuż nad prawym łukiem brwiowym. – Może będziesz tak samo szczodry jak rankiem? – W jego pytaniu słyszałem wyraźną prośbę.

Sam nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Po prostu wyjąłem dwa papierosy i podałem mu bez słowa.

– Dzięki, koleżko – naprawdę się cieszył. – Wyzdrowieję, dojdę do siebie, wrócę do celi, a potem spotkamy się na spacerunku i oddam. – Kiwnął fajkami, które trzymał w palcach. – Oddam z nawiązką. Jesteś równy gość.

Nie odezwałem się ani słowem. Grałem swoją rolę.

Leżałem na wznak i czekałem, aż po drugiej stronie drzwi usłyszę kroki klawisza na wieczornym obchodzie. Do tej

pory tylko raz miałem trzepanie celi. Za radą Ojczulka wiedziałem, że jeśli chcę zachować list od matki, muszę go dobrze ukryć. Moją skrytką została okrągła noga metalowej pryczy o średnicy jednego cala.

Kiedy kroki strażnika oddaliły się za drzwiami, ostrożnie zdjąłem koc, poduszkę i siennik, powoli podniosłem łóżko i położyłem je na boku. Najpierw wyjąłem drewniany klin tkwiący w środku nogi i wydobyłem list zwinięty w rulon, a potem włożyłem do wnętrza koperty tabletkę morfiny i ponownie wsunąłem wszystko na swoje miejsce.

Pół nocy przeleżałem, rozmyślając o różnych sprawach i szczerze żałowałem, że dałem się wplątać w tą hecę z listami i morfiną. Skoro jednak zabrnąłem w tę uliczkę, uszkodziłem sobie dłoń, cierpiałem cholerny ból i znosiłem wysoką gorączkę, wypadałoby doprowadzić temat do końca. Postanowiłem twardo brnąć dalej. Musiałem sobie udowodnić, że dam radę. Potrzebowałem celu, żeby moje obecne życie miało jakikolwiek sens.

Udało mi się zdobyć aż siedem tabletek morfiny, a przy okazji straciłem dziesięć fajek i miałem ponad trzy tygodnie zwolnienia z łodygowni. Łudziłem się, że dzięki temu trafi mi się inny przydział do codziennej pracy, ale skończyło się tylko na mrzonkach. Czas wolny od przymusowego zajęcia przesiedziałem w celi i ćwiczyłem walkę z nudą. Jedyne rozrywkami były wyjścia na posiłki dwa razy dziennie, zmiana opatrunku w izbie chorych i spacerniak. Wówczas dowiedziałem się, że facet

ze szramą nad prawą brwią jest z bloku A i nazywają go „Góral”. Jeśli wierzyć więziennym plotkom, miał porąbane życie i skończył we Wronkach jako sznurowiec.

Suchy zdobył się na hojny gest i nagiął nieco warunki naszej umowy na moją korzyść. Za siedem tabletek dał mi cztery paczki fajek. Podobało mi się to rozliczenie.

Kolejne sześć skrzynek postanowiłem zdobyć na stołówce. Pomyślałem, że jeśli co drugi dzień zrezygnuję z obiadu, to w ostatnim tygodniu maja będę mógł zapłacić Hrabiemu za przysługę.

Przystąpiłem konsekwentnie do realizacji mojego planu.

Niestety po trzech dniach wszystko trafił szlag.

Trzynastka naprawdę przynosi pecha.

W niedzielę, trzynastego maja, kiedy byliśmy na spacerunku, w celi Suchego przeprowadzono dokładny kipsisz. Może to był czysty przypadek, może mój kumpel wyhodował sobie w pudle jakiegoś wroga lub pomogła mu życzliwa konkurencja? Nie wiem, po prostu nie wiem. Przypuszczam jednak, że ktoś go sprzedał. Rewizji dokonał własnoręcznie przodownik Blaszański. Na kilka niedozwolonych drobiazgów, parę produktów z kontrabandy mógłby od biedy przymknąć oko, ale na znalezione tabletki morfiny musiał zareagować. Pieprzone, magiczne krążki, z których każdy potrafił, zaledwie w kwadrans, zabrać człowieka w międzygalaktyczną podróż.

Sprawa nabrała błyskawicznego tempa. Powiado-

miono starszego bloku, a następnego dnia zameldowano o wszystkim Szumskiemu. Aspirant zaś napisał raport, który trafił do dowódcy straży więziennej i naczelnika.

Rozpoczęto wewnętrzne dochodzenie, a wraz z nim ruszyła proceduralna machina.

Suchy od razu trafił do „pokoju zwierzeń”, tak pieśczośliwie więźniowie nazywali obskurną salę przesłuchań w piwnicy naszego bloku. Po obu stronach długiego, piwnicznego korytarza znajdowały się także ciemne i wilgotne izolatki. Niewielkie pomieszczenia, zwane potocznie karcercami, skutecznie pomagały uzyskać zeznania lub złamać nawet najbardziej opornych. Kilka razy coś słyszałem o tym miejscu, ale zawsze miałem wrażenie, że opowieści były wyolbrzymione.

Ostatni raz przesłuchiowano mnie w kaliskim areszcie przed moim procesem. Nie miałem najmniejszego pojęcia, jak wygląda taka czynność przeprowadzana przez więziennych strażników, a nie policyjnych śledczych. Zdawałem sobie też sprawę, że niebawem się o tym przekonam. Było pewne, że będę miał swój udział w przesłuchaniu. To było nieuniknione.

Nie myliłem się.

Jeszcze tego samego dnia zostałem doprowadzony do gabinetu Szumskiego.

– I co, Żabikowski? – Aspirant siedział za biurkiem i bacznie mnie obserwował. – A może ty masz coś ciekawego do powiedzenia w sprawie morfiny? – zapytał.

– Zupełnie nie wiem, o co chodzi, panie aspirancie – postanowiłem iść w zaparte. Pomyślałem, że bez wzglę-

du na okoliczności zastosuję się do polecenia Suchego i będę trzymał mordę w kubel.

– Nie drażnij mnie, Żabikowski – prawie wrzasnął.

– W ciągu ostatnich dwóch tygodni byłeś jedynym więźniem we Wronkach, który dostał tak silne lekarstwo.

– Mam chorą dłoń – próbowałem się tłumaczyć i udawać, że zupełnie nie wiem, o co chodzi.

– Żabikowski, daruj sobie! – wydzierał się znowu.

– Bardzo nie lubię, kiedy ktoś ma mnie za idiotę. Sądziś, że jestem imbecylem? Tak twierdzisz?

– Nie, panie aspirancie.

– Taki jesteś cwaniak, tak? A ja myślę, że wdałeś się z Sucharskim w szemrane interesiki i dostarczyłeś mu te tabletki. – Przyglądał mi się badawczym wzrokiem, nic nie mówiąc. – Jak chcesz – dodał po chwili. – Kiedy pójdziesz na dół do lochu, a tam Blaszański porozmawia z tobą po swojemu, wtedy powiesz wszystko jak na spowiedzi, a nawet więcej. Strażnik! – wrzasnął. Kilka sekund później drzwi otworzyły się na oścież. – Zaprowadzić więźnia na przesłuchanie!

Do piwnicy bloku B prowadziły kręte, kamienne schody. Mdle, żółte światło sączyło się z żarówek umieszczonych w okratowanych kloszach, nadając temu miejscu jeszcze bardziej ponury wygląd, niż miało w rzeczywistości. W powietrzu podziemnego korytarza unosił się ciężki zapach stęchlizny zmieszany z nikotynowym dymem.

Klawisz wprowadził mnie do pierwszego pomieszczenia po prawej.

– O, a któż to przyszedł nas odwiedzić? – powiedział na mój widok przodownik Blaszański, siedząc wygodnie na krześle i paląc papierosa. – Witamy w pokoju zwierzeń.

Omiotłem wzrokiem pomieszczenie. Zdecydowanie nie było to przyjemne miejsce. Szare, obdrapane ściany, podłoga pokryta ciemnymi plamami, w rogu biurko i krzesło, a po środku kwadratowy taboret.

– Siadaj – zwrócił się do mnie i wskazał głową na samotny mebel. Kiedy chciałem wykonać jego polecenie, powiedział: – Nie, nie w ten sposób. Obróć go nogami do góry. – Zrobiłem, co kazał, ale jeszcze nie bardzo rozumiałem, do czego zmierza. – Wybierz sobie którąś nogę i siadaj!

Po krótkiej serii pytań Blaszańskiego natychmiast zorientowałem się, że jestem głównym podejrzanym o dostarczenie Suchemu morfiny. Chociaż istniało również prawdopodobieństwo, że mógł ją zdobyć inną drogą, na przykład, że tabletki przeszmuglował ktoś z zewnątrz. Bardzo szybko przekonałem się, że rzeczywistość z perspektywy człowieka siedzącego na nodze od taboretu wygląda nieciekawie. Trudno wytrzymać. Kiedy po kilkunastu minutach mięśnie nóg odmawiają posłuszeństwa i ucisk promieniuje na całą miednicę, człowiek boi się, że wystarczy jeden mały, niewłaściwy ruch, a noga taboretu wciśnie się prosto w odbył.

Blacha przysiadł na krawędzi biurka i poprawił podwinięte rękawy białej koszuli. Klawisz siedzący za nim spisywał protokół z przesłuchania, a drugi strażnik

krążył przy mnie niczym ćma wokół płomienia świecy.

Na razie cały czas tylko zadawali pytania i nikt nawet mnie nie musnął palcem.

– Chodź no tu – rzucił w moim kierunku Blaszar-ski.

Wstałem z ulgą i wykonałem polecenie.

– Co ci się stało w rękę?

– Poraniłem się podczas pracy na łodygowni – trzymałem się oficjalnej wersji.

– Ściągnij opatrunek – rozkazał.

Chwilę później spoglądał na moją wewnętrzną powierzchnię dłoni, która przypominała wielki skrzep.

Złapał mnie za chorą dłoń i ścisnął.

– Boli? – zapytał. Na moment aż ugiąłem się w kolanach i pociemniało mi w oczach. – Chyba tak – zakpił. – Coś ci pokażę – powiedział i pchnął mnie w kierunku wyjścia.

Podszedł do drzwi naprzeciw i szeroko je otworzył.

Do ciemnego pomieszczenia wpadł snop światła. Na podłodze leżał Suchy. Twarz i więzienną bluzę miał wymazane krwią. Mrużył nerwowo powieki, oddychał powoli i ciężko, jakby przed chwilą zakończył jakąś morderczą pracę.

– Wiesz co – powiedział po chwili Blacha. – Wiem, że to ty dałeś mu te tabletki. Im prędzej się przyznasz, tym szybciej pozbawisz go cierpienia.

Strażnik, który wcześniej krążył wokół mnie, wszedł teraz do celi, złapał Suchego za kołnierz i zmusił, żeby ukląkł.

– Zaczynaj! – padła komenda.

Klawisz posłał Suchemu uderzenie pałką w brzuch, potem drugie, trzecie i jeszcze kilka, po czym zaczął okładać go po plecach. Mój kumpel zwinął się w kłębek i odruchowo osłaniał rękami głowę. Podwładny Blaszarzkiego nie żałował mu razów. Przeraził mnie odgłos pałki wystukującej rytm na ciele Suchego. Stałem tam i nie umiałem pojąć, jak jeden człowiek może tak perfidnie znęcać się nad drugim. Bez powodu, właściwie za nic.

Nie wiem, jak długo ten pokaz mógłby trwać, ale – kiedy spostrzegłem, że Suchy leży jak kłoda i nie próbuje się osłonić – wołałem tego nie sprawdzać.

– Przestańcie, na litość boską! To ja dałem mu morfinę – prawie krzyknąłem.

– Co powiedziałeś?! – Blacha chwycił mnie za dolną szczękę i mocno pchnął na ścianę. Uderzyłem potylicą o twardy mur. – Ty parszywy śmieciu! Ty mówisz mi o litości?! Naprawdę masz czelność mówić o litości?! – Zamachnął się drugą ręką, w której trzymał pałkę, i uderzył mnie jej trzonkiem prosto w splot słoneczny. Cios był zaskakująco bolesny. Zgięło mnie w pół i przez kilka chwil nie mogłem złapać oddechu. – Dobrze wiem, co zrobiłeś! Gdzie wtedy była twoja cholerna litość? Wszystkich możesz nabrać, ale nie mnie, ty mały skurwysynu. Wszystkich tylko nie mnie! Wróćmy jednak do naszych spraw. – Ze zdwojoną siłą ścisnął mnie za szczękę. – Skąd wzięłeś morfinę? Ukradłeś z izby chorych czy zahandlowałeś swoim przydziałem?

– Niczego nie ukradłem – brzmiały moje ostatnie

słowa zapamiętane z przesłuchania.

Klawisze postanowili się ze mną zabawić. Zanim straciłem świadomość, najpierw poznałem, jak można domowym sposobem przeprowadzić symulację niekontrolowanego koziołkowania po kamiennym zboczu.

Kiedy otworzyłem oczy, dookoła panowała nieprzenikniona ciemność, a ja czułem się tak, jakby stratowało mnie stado pędzących koni. W powietrzu unosił się zapach zgnilizny. Powoli i ostrożnie wyciągnąłem prawą rękę do przodu. Dłoń natknęła się na wilgotną ścianę. Delikatnie podciągnąłem obolałe ciało, najpierw nieśmiało wsparłem się na łokciach, potem wykonałem kilka manewrów i po chwili siedziałem oparty plecami o chłodny mur. Jak na ironię pomyślałem, że przydałaby mi się teraz tabletką morfiny. Nie wiem, ile czasu spędziłem w tych ciemnościach, nie wiem, czy spałem i śniłem, czy tylko mój umysł i wyobraźnia płatały mi gorzkie figle.

Ciemność i cisza.

Cisza tak przeraźliwa, że aż piszcziała w uszach. Chwilami wydawało mi się, że wśród tego drażliwego dźwięku słyszę znajome głosy. Cholernie paskudne złudzenie. Prawdziwe przerażenie poczułem jednak dopiero wtedy, kiedy przyłapałem się na tym, że nastawiam uszu, aby zrozumieć sens tych słów. Zacząłem mówić do siebie pod nosem na tyle głośno, żeby usłyszeć swoje słowa i żeby kontrolować najbardziej niebezpieczną rzecz w tej chwili – własny umysł. Skutek był różny. Kiedy w mroku rozlegał się głos Agnieszki, błagałem ją szeptem:

– To ty? Naprawdę do mnie przyszedłeś? Nie zapomniałeś? Mów do mnie, kochanie, proszę mów do mnie...

Nie wiem, doprawdy nie wiem, czy tylko o tym śniłem, czy może podsycił się we mnie obłąd?

Człowiek zamknięty w izolatce kompletnie traci poczucie czasu. Raz po raz uchyla się nieduża klapka w drzwiach i do środka wpada strumień tak jasnego światła, że aż wypala źrenice. To takie wrażenie, jakby patrzeć z kilkudziesięciu centymetrów w szparę uchylonego włazu pieca hutniczego. W takich momentach najlepiej odwrócić wzrok w przeciwnym kierunku. Po chwili ktoś po drugiej stronie podaje ci przez otwór w drzwiach kubek wody i coś do jedzenia. Zjadasz łapczywie, co dostałeś, i przez chwilę czujesz, że jeszcze żyjesz, a potem głos dozorczy bezlitośnie oznajmia:

– Koniec posiłku!

I znowu zapada ciemność.

Leżałem na wznak, kiedy drzwi karceru otworzyły się z trzaskiem. Do wnętrza wtargnęła eksplozja blasku. Momentalnie obróciłem twarz w drugą stronę i mocniej zacisnąłem powieki.

– Wstawaj, wychodzisz! – rozkazał władcym głosem strażnik.

Nie byłem pewien, czy to się dzieje naprawdę.

– Jak sobie życzysz, szefie – odparłem po dłuższej pauzie i podniosłem się, zasłaniając oczy obolałą dłonią.

Minęła długa chwila, zanim mój wzrok przyzwyczaił się do światła.

– Jak długo tutaj byłem? – spytałem.

– Trzy doby – padła odpowiedź.

Klawisz odeskortował mnie do pomieszczenia aspiranta Szumskiego. Zdecydowanie nie byłem w najlepszej kondycji, przez całą drogę ledwo powłóczyłem nogami i z trudem pokonywałem schody. Miałem wrażenie, że ból pulsujący w schorowanej dłoni niczym fala nieprzyjemnego ciepła rozlewa się w moim wnętrzu.

Czułem się podle.

– Więzień dwadzieścia dziewięć-jedenaście melduje się na wezwanie – wyrecytowałem zaraz po przekroczeniu drzwi.

W gabinecie było trzech mężczyzn: przodownik Blaszański, aspirant Szumski oraz naczelnik Wojciechowski, którego wcześniej widziałem tylko raz.

– Panie Żabikowski – odezwał się najważniejszy człowiek w tym pokoju – czuję się rozczarowany pańską postawą, zachowaniem i problemami, które pan stwarza. Wygląda na to, że będziemy musieli skończyć z uprzejmościami i przerzucić się na bardziej radykalne metody resocjalizacji. Pan marnujesz mój cenny czas, panie Żabikowski, a ja tego bardzo nie lubię. Jakikolwiek handel na terenie mojego więzienia – powiedział z naciskiem na dwa ostatnie słowa – jest absolutnie zakazany, a handel środkami odurzającymi to w świetle prawa przestępstwo. Ponadto – sięgnął po szarą teczkę leżącą przed nim i wyjął z niej jakąś kartkę – pozwolę sobie zacytować słowa dostarczonego do mnie raportu: „Po dokładnej rewizji

w celi numer sześćdziesiąt siedem znaleziono list ukryty w nodze od łóżka”. Więc pytam się pana, panie Żabikowski, co ma znaczyć, do diaska?! – ryknął.

Przemknęło mi przez myśl, że chociaż słownictwo naczelnika było bardzo subtelne, to chyba wpadłem w prawdziwe kłopoty.

– Jesteś tutaj raptem od dziesięciu miesięcy – teraz jego głos brzmiał surowo – a zaczynasz kombinować jak stary galernik. Świadomie dopuszczasz się przestępstwa i łamiesz przepisy regulaminu. Zapewniam cię, że z całą stanowczością nie będę tego tolerował. Poniesiesz zasłużoną karę. W moim imieniu powiadomi cię o decyzji aspirant Szumski. – Naczelnik wstał i kiwnął głową w jego stronę. Na odchodne spojrzął mi w oczy i oznajmił: – Jeżeli jeszcze raz swoim wybrykiem zmarnujesz mój czas, będziesz tego gorzko żałował. Nie odpuszczę ci, dopóki będę rządził tym więzieniem. Dopilnuję tego osobiście, masz moje słowo. – Obrócił się na pięcie i wyszedł z gabinetu.

Na chwilę zapadła cisza.

– No, Żabikowski, jak widzisz, to teraz już całkiem zasrałeś sobie swoje i tak gówniane życie. – Aspirant najwyraźniej czuł się usatysfakcjonowany i rozpierała go duma, że to właśnie on powiadomi mnie o karze. Podeszedł do biurka i sięgnął po tę samą, szarą teczkę. Otworzył ją i zaczął czytać: – „W związku z naruszeniem szóstego punktu regulaminu paragraf czternaście o posiadaniu zakazanych przedmiotów, szóstego punktu regulaminu paragraf dwadzieścia dwa o ukrywaniu zakazanych

przedmiotów, za złamanie osiemnastego punktu regulaminu paragraf dwadzieścia trzy o posiadaniu towarów zabronionych oraz za złamanie dziewiętnastego punktu regulaminu paragraf trzy o niedozwolonej wymianie towarów na terenie zakładu karnego więzień Stanisław Żabikowski, numer ewidencyjny dwadzieścia dziewięć-jedenaste, w myśl rozkazu dwanaście/pięć z dnia siedemnastego maja tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku, podpisanego przez Naczelnika Centralnego Więzienia we Wronkach Bronisława Wojciechowskiego, zostaje ukarany w następujący sposób: zakaz otrzymywania i wysyłania prywatnej korespondencji, zakaz otrzymywania paczek oraz zakaz odwiedzin zostaje wydłużony z dwunastu do dwudziestu czterech miesięcy. Wymienione wcześniej przywileje zostaną przywrócone skazanemu z dniem dwudziestym pierwszym lipca tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku”.

Szumski zamknął teczkę. Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, po czym rzekł z westchnięciem:

– Oj, Żabikowski, i po ci to było? Młody jesteś i głupi – skwitował. – A może chciałeś coś komuś udowodnić? Albo ktoś cię do tego zmusił? Co? – zapytał podejrzliwie, jakby zwęszył spisek.

– Nie, panie aspirancie – starałem się zachować spokój, ale w głębi duszy miałem ochotę wrzeszczeć. Mogłem spokojnie przeczekać trzy miesiące i moje życie byłoby prostsze. Gdybym tylko przez chwilę pomyślał o konsekwencjach!

– To dlaczego to zrobiłeś? – zapytał.

– Dla papierosów – odparłem bez wahania.
– A ja myślę, że kręcisz – odezwał się Blaszański. –
Uważaj, chłopcze, bo od dzisiaj będę miał na ciebie oko.

– Co się właściwie wydarzyło? – zapytał Roman
podczas kolacji, a pozostali nadstawili uszu.

– Nic szczególnego...

– Nic szczególnego?! – wpadł mi w zdanie Kazik.

– Co ty bredzisz, człowieku?! Spójrz na siebie, pysk cały
w siniakach, trzy dni w karcerze, Suchy przewieziony do
szpitala, a ty mówisz nic szczególnego?!

Spojrzałem na niego ze złością.

– Nie bój się, tobie nic nie będzie – wycodziłem
przez zęby.

Kazik się nieco zmieszał, a pozostali patrzyli na nas
zaskoczeni.

– W porządku – odezwał się Ojczulek. – Nie chcesz
mówić, to nie mów.

– Nie w tym rzecz – powiedziałem półgłosem. –
Miałem z Suchym interes, zrobili mu kipsisz i znaleźli
u niego towar. Myślę, że jakiś gnojek go wystawił.

– Jaki towar? – dociekał Roman.

Podniosłem moją obandażowaną dłoń nieco ponad
blat stołu i powiedziałem:

– Siedem tabletek morfiny. – Spojrzałem na ich
twarze, które wyrażały, że teraz wszystko stało się dla
nich jasne. – W poniedziałek zgarnęli mnie do pokoju
zwierzeń, potem pokazali mi Suchego. Musiał nieźle
oberwać, jego twarz i bluza były we krwi. Nie wiem, co

im powiedział i do czego się przyznał, ale Blacha był święcie przekonany, że działaliśmy we dwójkę. Później kazał mi patrzeć, jak klawisz leje Suchego. Tylko po to, żebym się przyznał do winy.

– I co zrobiłeś? – zapytał Franek.

– A jak myślisz?! – rzuciłem w jego stronę. – Od razu się przyznałem, przecież mogli go zatłuc na śmierć. A wtedy zatańczyli ze mną. Dzisiaj w południe wyszedłem. Wcześniej miałem krótką pogadankę z naczelnikiem i przedłużył mi post o kolejne dwanaście miesięcy. Potem zabrali mnie do izby chorych, a lekarz stwierdził, że od takich obrażeń się nie umiera. – Podniosłem nieco w górę więzienna bluza i pokazałem im sine pręgi rozlane po moim ciele.

Problem z dłonią wykluczył mnie z pracy i miałem teraz dożo wolnego czasu tylko dla siebie. Nawet za dużo. Całymi godzinami potrafiłem leżeć na wznak i wpatrywać się w popękany sufit. Próbowałem oszczędzać papierosy, ale nie dałem rady. Ten nałóg zawsze miał nade mną władzę. Kiedy plecy zaczynały już boleć od leżenia, sterczałem w oknie i wpatrywałem się w znajomy fragment świata albo aż do znudzenia dreptałem wzdłuż celi w tę i z powrotem. Najgorsze jednak były samotne wieczory. Nawet nie potrafię powiedzieć, jak bardzo tęskniłem za tamtym utraconym życiem, za tamtym światem i za dziewczyną o blond włosach. Byłem też realistą i zdawałem sobie sprawę, że wszystko zostało bezpowrotnie stracone. W głębi duszy chciałem tylko jednego, chciałem

jeszcze raz spojrzeć w jej zielone oczy, usłyszeć jej głos, poczuć zapach jej ciała i powiedzieć, jak bardzo mi przykro. Kiedy po kilku dniach nie było już co odgrzebywać w pamięci, zacząłem się zadrećcać wizjami swojej przyszłości. Im dalej brnąłem myślami w tym kierunku, tym bardziej stawało się dla mnie jasne, że moje życie właściwie nie ma żadnego sensu. Dożywocie to najgorsza kara, jaką może otrzymać człowiek. Nikt i nic mnie nie przekona, nawet dzisiaj, że jest inaczej. Po co kogoś trzymać w więzieniu do końca jego dni? W jakim celu? Po jaką cholere łożyć na jego utrzymanie? Prawo powinno być bardzo surowe, ale należałoby je nieco zmodyfikować. Powiedzmy, że najdłuższa odsiadka – dwadzieścia pięć lat, a jeśli ktoś zasłużył – to czapa. Nadzieja na wyjście, choćby po ćwierć wieku, daje człowiekowi chęć przetrwania. A co daje wyrok dożywocia? Jedyne świadomość, że cały świat, razem z tobą samym, może się bezustannie nad tobą pastwić. O to chodzi? Naprawdę? Kara śmierci w porównaniu z dożywociem – to akt łaski. Takie jest moje zdanie.

Samobójcze myśli w więzieniu są czymś zupełnie naturalnym, ale pomiędzy myśleniem a czynem istnieje ogromna różnica. Człowiek jako jedyne stworzenie w przyrodzie potrafi się targnąć na swoje życie. W moim wypadku wszystko przemawiało za tym, żebym wybrał takie rozwiązanie. Myślałem o tym nieraz, ale nie byłem w stanie przekroczyć tej niewidzialnej granicy. Zawsze powstrzymywało mnie coś, czego nawet nie potrafię nazwać.

Nie wiem, czy kiedykolwiek sam doszedłbym do rozsądnych wniosków na temat życia, śmierci i kary dożywocia. Nowe horyzonty odkryły przede mną słowa Górala, znajomego z izby chorych, którego spotkałem na spacerunku pod koniec maja. Zabawne, ale kiedy inni więźniowie dostrzegli, że łączy mnie z nim znajomość, ujrzeni również nowe horyzonty, choć dotyczyły one czegoś zupełnie odmiennego.

Pięknie było siedzieć na dworze i upajać się zapachem świeżego powietrza. Niby jeszcze wiosna, a pogoda prawie jak w środku lata. Przyjemne podmuchy wiatru pozwalały na chwilę zapomnieć o murach i kratkach. Siedzieliśmy w piątkę na kamiennym stopniu obok placu apelowego i wygrzewaliśmy się w promieniach majowego słońca.

– Brakuje mi czasami Suchego – powiedział Franek.

– Czekaj, czekaj. Niech tylko wróci ze szpitala, to będziesz miał go jeszcze dość – rzucił Roman. – Znowu nas zacznie męczyć swoimi durnymi kawałami.

– Albo snuć niestworzone opowieści o tym, czegoż to nie przeżył albo czegoż to nie widział – zaśmiał się Ojczulek.

Mieli rację. Muszę przyznać, że ja też stęskniłem się za jego towarzystwem, nawet za jego złośliwymi docinkami i potokami bezustannych drwin.

– A z tobą co? – zapytał Roman. – Łapsko prawie wyleczone. Kiedy przestajesz się wczasować?

– Od jutra koniec laby. – Spojrzałem na moją lewą dłoń pokrytą już tylko nielicznymi strupami. – Pora zwiększyć normy na łodygowni.

Wizja powrotu do tej parszywej pracy budziła we mnie odruch wymiotny. Gdybym jednak miał wybierać pomiędzy całą a czyszczeniem trzciny, to bez mrugnięcia okiem zdecydowałbym się na to drugie zajęcie. Wszystko było lepsze od siedzenia w zaryglowanej klatce.

Nagle do naszych uszu dotarł czyjś szczerze uradowany głos:

– Bracie! Dobrodzieju serdeczny! W końcu cię znalazłem – zawołał Góral, zmierzając w moją stronę. – Chodzę po spacerniku, wypatruję o człowieka z obandażowaną dłonią, a ty widzę już zdrów! Niech cię uścisk. – Wyciągnął prawą dłoń w moim kierunku. Myślałem, że chce tylko odwzajemnić uścisk, a on pociągnął mnie i objął ramionami, jakbym był jego najlepszym przyjacielem. Spojrzałem na chłopaków, mieli nietęgą minę. – No i co dobrego u ciebie? Masz, bracie, zapal sobie. – Poczęstował mnie papierosem. – Chodź, przejdziemy się i pogadamy. – Pociągnął mnie i ruszyliśmy przed siebie. – Jak zdrówko, wykaraskałeś się? Widzę, że tak – nie dał mi szansy na odpowiedź. – Pamiętam, jestem ci coś winien. – Sięgnął do kieszeni i wyjął dwie paczki papierosów. – Masz, oddaję zawiązką i wiedz, że nadal jestem twoim dłużnikiem. Jak się nazywasz? – zapytał zniecierpliwiony.

– Wołają na mnie Ropuch – odparłem.

– A na mnie Góral, ale to chyba dlatego, że trochę wariat jestem – zaśmiał się. – Jaki masz wyrok, na

którym bloku siedzisz i za co?

Trajkotał jak najęty i co chwila poklepywał mnie dłonią po plecach, ale zauważyłem, że jego oczy były opanowane i czujne.

– Mam dożywocie i siedzę w bloku B. A ty? – chciałem zmienić temat. Właściwie to chciałem wrócić z powrotem do chłopaków, siedzieć w ich towarzystwie i wygrzewać się w słońcu.

– Ja na sznurek czekam – powiedział z taką obojętnością, jakby mówił o czymś zupełnie naturalnym. – Zanim jednak trafię do kata, to jeszcze trochę tutaj narozrabiam – zaśmiał się. – Ale ty, dobrodzieju, nie obawiaj się mnie, nic a nic. Jestem twoim dłużnikiem. Jak mi ktoś raz pomógł, już zawsze może liczyć na mają wdzięczność. Słowo. – Wykonał dłonią gest, jakby składał uroczystą przysięgę. – Tutaj każdy wie, że ze mną nie ma co zadzierać. Nawet klawisze to wiedzą, bo ja wariat trochę jestem, wiesz? – zaśmiał się znowu. – I mówisz, że dali ci dożywocie – zmienił nagle temat. – Masz w takim razie dużo czasu, żeby im wszystkim pokazać na cię stać. I powiem ci coś – zatrzymał się i spojrzał mi głęboko w oczy – nigdy nie pozwól, żeby cię złamali, rozumiesz? Ani te śmiecie, ci wszyscy popierdoleni kryminaliści – omiół dookoła wzrokiem – ani cała reszta tych ciuli w brązowych mundurkach... Co się gapisz?! – ryknął nagle w stronę jednego ze skazańców, a potem zupełnie spokojnym głosem zapytał: – Ktoś ci tutaj dokuczał, masz z kimś na pieńku, ktoś ci zrobił jakąś krzywdę?

– Nie, ale dzięki, że pytasz – odparłem zaskoczony

i trochę przerażony jego dziwnym zachowaniem.

– No bo wiesz, gdybyś czegoś potrzebował, to powiedz tylko słówko, dla ciebie wszystko. – Uderzył się dłonią w pierś, jakby chciał mnie zapewnić, że to, co mówi, to najszczęsza prawda.

W pierwszym momencie pomyślałem o listach, ale równie szybko porzuciłem tę myśl. Kiedy szliśmy spacerniakiem, zauważyłem, że niektórzy więźniowie ustępują nam z drogi i szepczą coś między sobą, spoglądając w naszą stronę.

– A gdzie zaganiają cię do roboty?

– Na łodygownię.

– Ciężka i nudna praca – skwitował. – Może chciałbyś ją zmienić? – zapytał ni stąd, ni zowąd.

– No jasne – rzuciłem bez zastanowienia. Podobała mi się ta myśl. – Właściwie, to o niczym innym nie marzę.

– No to masz dzisiaj fart, przyjacielu. Znam gościa, który w try miga załatwi ci coś lepszego. Zaraz go namierzemy. – Omiótł spacerniak wzrokiem. – Już możesz uważać sprawę za załatwioną. A co robiłeś na wolności?

– Od najmłodszych lat miałem do czynienia ze stolarką – odparłem. – Lubię pracować w drewnie. Robiłem w warsztacie, który produkował naprawdę solidne meble.

– Dobry fach – wypowiedział te słowa z uznaniem.

– Też kiedyś miałem do czynienia z drzewem. Byłem drwalem. – Zatrzymał się i spojrzał na swoje dłonie. – Pomyślałbyś? Byłem kiedyś cholernym drwalem. – W jego głosie brzmiało radosne wspomnienie. – To było

życie – westchnął. – To było piękne życie.

Miałem wrażenie, że chciał mi powiedzieć coś więcej, ale nagle z jego twarzy uciekł rozmarzony grymas, jakby jakaś niewidzialna siła w jednej sekundzie przegoniła jego wszystkie miłe wspomnienia. Przez chwilę szliśmy obok siebie w milczeniu.

– Poczekaj – zatrzymał się – tam jest człowiek, który zmieni twoje życie. – Kiwnął głową w stronę kilku więźniów, stojących nieco dalej po prawej, i podszedł do jednego z nich.

Mężczyzna był obrócony do mnie tyłem i miał na głowie czapkę z daszkiem, zawadiacko przekrzywioną w bok. Podczas tych kilku minut rozmowy Góral bezustannie się uśmiechał i co chwila poklepywał swojego rozmówcę po ramieniu. Wyglądało na to, że są dobrymi kumplami. Po chwili mężczyzna obrócił się i obaj ruszyli w moim kierunku. Kiedy ujrzałem jego twarz, poczułem równocześnie wściekłość i zakłopotanie. To był facet o najbardziej płaskim nosie, jaki kiedykolwiek widziałem.

To był Prezes we własnej osobie.

Nie wiem, dlaczego to zrobiłem, ale stanąłem tak, żeby nie miał okazji rozpoznać mnie wcześniej, nim obaj podejdą. Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, dlaczego się tak zachowałem. Zupełnie jakby kierowało mną przeczucie, że tu i teraz to ja jestem górą.

– Przyjacielu – usłyszałem głos Górala tuż za swoimi plecami – chciałbym cię z kimś poznać. – Obróciłem się na pięcie i spojrzałem prosto w twarz człowieka, który kilka miesięcy temu, razem ze swoimi kolesiami,

użył mojego ciała jako worka treningowego.

Grymas, który dostrzegłem na jego obliczu, był tak naturalny i szczery, że aż piękny.

– Mieliśmy już okazję – dodałem z wyraźnym naciskiem – poznać się nieco bliżej.

Góral zerknął najpierw na mnie, potem na Prezesa i chyba zobaczył bezgraniczne zaskoczenie w jego oczach. Staliśmy we trójkę przez dłuższą chwilę i nikt z nas nie odezwał się ani słowem.

– Dobra, dzieciaki – odezwał się w końcu i położył nam dłonie na ramionach. – Z tego, co widzę, wasze ostatnie spotkanie nie należało do udanych, ale mniejsza o przeszłość. Dla was najważniejsze jest to, żeby przetrwać. Tak naprawdę tylko to się liczy. A przetrwacie wtedy, kiedy w przyrodzie będzie panowała równowaga. Zrobimy tak, ty – spojrzał na Prezesa – jesteś mi coś winien, tobie – zwrócił się do mnie – chcę oddać przysługę. Wszystko się pięknie zązębia, prawda?

– Tak, myślę, że tak – odparłem.

– Jasne – potwierdził płaskonosy, ale jakby bez większego przekonania.

– Skoro jesteśmy zgodni, pozostaje nam tylko ustalić szczegóły. Panie Prezesie – wydawało mi się, że usłyszałem w jego głosie lekką ironię – załatwisz temu młodzieńcowi pracę na stolarni.

Kilkanaście minut wcześniej przysięgłbym, że ta dwójka to dobrzy kumple. Teraz byłem pewien, że fundamenty ich znajomości zostały zbudowane na strachu.

– W stolarni?! – wypowiedział to tak, jakby mówił

o czymś nieosiągalnym i niedorzecznym.

– Czy proszę o coś niemożliwego? – zabrzmiała nutka pretensji w pytaniu Górala.

– Nie, no skądże, da się zrobić. Jasne. Nie ma problemu, tylko... tylko to może zająć trochę czasu.

– Ile?

– No nie wiem, trzy... może cztery tygodnie... i poza tym trzeba się na tym znać – mówił, jakby poszukiwał jakiegoś argumentu, który pozwoli mu wyplątać się z tej niewygodnej sytuacji.

– On jest stolarzem, i to dobrym – powiedział Góral i spojrzał na mnie. – Prawda?

– Prawda – potwierdziłem.

– W takim razie za miesiąc będziesz już na stolarni – zadeklarował Prezes. – Pasuje?

Wszyscy trzej spojrzeliśmy po sobie i skinęliśmy głowami.

– Pasuje – powiedziałem.

– Dzięki, brachu. – Góral klepnął płaskonosego w ramię. – Nie zatrzymuję cię dłużej – zwrócił się do niego, dając mu w kulturalny sposób do zrozumienia, że może odejść.

– Dlaczego to robisz? – zapytałem, kiedy Prezes się oddalił. – Wystarczyło, że oddałeś mi fajki, i to z solidną nawiązką. Jesteśmy kwita, a ty załatwiasz mi pracę? Dlaczego?

– Dlaczego to robię? – powtórzył moje pytanie. – Z wielu powodów – uśmiechnął się usatysfakcjonowany moim pytaniem – poratowałeś mnie, kiedy byłem

w potrzebie, to po pierwsze. Czasami czuję potrzebę zrobienia czegoś dobrego, to po drugie. Po trzecie, warto niekiedy sprawiać dobre wrażenie. Po czwarte, wieści tutaj rozchodzą się w szybkim tempie i uważam, że trzeba mieć jaja, żeby kombinować z morfiną. No i wreszcie po piąte, będziesz mi wdzięczny za to, że zmieniłem twój los. Takie jest życie, tak funkcjonuje ten świat. Musimy sobie pomagać. Być może któregoś dnia poproszę cię o małą przysługę, a być może nie zrobię tego nigdy, bo na przykład nie zdążę – zaśmiał się szyderczo ze swojego ponurego dowcipu. – Nie wiem, kiedy przyjdzie moja kolej. Jutro? Może za tydzień albo za miesiąc? A może powieszą mnie dopiero za dwa lata? Nie mam pojęcia. W każdym razie trzeba jakoś żyć. – Sięgnął do kieszeni, wyjął paczkę papierosów i poczęstował mnie. – Jak myślisz, czy ty i ja damy radę?

– Myślę, że tak – odparłem, chociaż tak do końca nie byłem pewien, co ma na myśli.

– W takim razie sztama. – Wyciągnął w moim kierunku prawą dłoń na znak przypiecztowania naszego interesu i uścisnęliśmy sobie ręce. – Pewnie już coś o mnie słyszałeś i wiesz, jaką mam opinię. Pamiętaj, gdybyś miał z kimś problem, powiedz tylko słowo.

– Będę o tym pamiętał.

– Wracaj do swoich kumpli – powiedział i klepnął mnie w ramię. – Ja mam jeszcze coś do załatwienia. Tymczasem.

– Bywaj.

Góral obrócił się przez ramię i ruszył przed siebie.

Stałem jeszcze przez chwilę i patrzyłem na jego oddalającą się postać. Szedł na wprost i nie zważał na nikogo, wszyscy usuwali się mu z drogi.

Sprytne – pomyślałem. Najpierw dostajesz to, czego pragniesz, a potem dowiadujesz się, że jednak wszystko ma swoją cenę. Chociaż z drugiej strony teraz liczyło się tylko to, że niebawem opuszczę łodygownię, a ludzie pokroju Prezesa będą się trzymać ode mnie z daleka.

– Skazaniec dwadzieścia dziewięć-jedenaście szuka nowych kumpli? – zapytał Franek, kiedy zjawiłem się z powrotem.

– Raczej bym tak tego nie nazwał – odpowiedziałem.

– Nieważne, jak to nazwiesz – wtrącił się Roman. – Lepiej uważaj, kogo zaczynasz adorować. Ten facet to niebezpieczny typ.

– Każdy, kto nie ma nic do stracenia, może być niebezpieczny – oznajmił Ojczulek.

– Człowieku, ale nie każdy ma taki bajzel pod czaszką jak tamten. – Kazik był chyba najlepiej zorientowany ze wszystkich. – Wiecie, co on zrobił? – zapytał, ale nie czekał na odpowiedź. – Facet miał żonę, która znalazła sobie kogoś na boku. Kiedy się o tym dowiedział, zabił ją i jej kochanka. Odrąbał im głowy. Siekierą. A wiecie, kim był kochaś jego połowicy? To był jego rodzony brat.

– O w mordę – jęknął Franek. – Takie rzeczy naprawdę się zdarzają?

– Gościowi odwalilo kompletnie – ciągnął Kazik. – Zresztą nie ma się co dziwić, po takich przeżyciach chyba żaden człowiek nie potrafiłby normalnie funkcjonować.

– Kaziu – wtrącił się Roman. – A ty masz brata?

Parsknęliśmy śmiechem.

– Walcie się na ryj – powiedział na wpół rozbawionym tonem. – I nie mam brata, jeśli chcecie wiedzieć.

– No to w twojej sytuacji pozostaje tylko życzliwy sąsiad – dołał oliwy do ognia Franek.

– Czy zaczynacie w mojej obecności powątpiewać w uczciwość i lojalność mojej Bogny? – zapytał oburzony dowcipem chłopaków.

– Nie, no skądże, nic z tych rzeczy – zaproponował Roman. – Nikt z nas czegoś takiego nie powiedział. Zastanawiamy się tylko, czy któryś twój sąsiad nie ślini się na jej widok.

Rechotaliśmy z rozbawienia, widząc, jak Kazika rozsadza złość.

– Pierdolicie się, pajace – prawie się zagotował. – Nie macie pojęcia, jak to jest kochać, ufać mu, tęsknić. Nic, kurwa mać, o tym nie wiecie. Żal mi was.

– Dobra, rozluźnij się, chłopie – powiedział Roman, chcąc załagodzić jego oburzenie. – To tylko takie niewinne żarty. Nie bierz tego za bardzo do siebie.

– Naśmiewać się z ludzkich uczuć to kiepski żart – skwitował. – Z drugiej strony, czego można oczekiwać po bandzie takich jełopów jak wy?

– Czy chcesz teraz obrazić Ojczulka? – zapytał Franek.

I znowu wszyscy zanieśliśmy się szczerym śmiechem. Po chwili rozmowa ruszyła innym torem.

Dalszą ich dyskusję puściłem mimo uszu. W moim sercu rozkwitała wizja na lepszą przyszłość, o ile skazany na dożywocie może mówić cokolwiek o lepszej przyszłości. Miałem nadzieję, że niebawem mój powszedni dzień będzie wyglądał inaczej niż dotychczas, i nie obchodziło mnie, komu to będę zawdzięczał. Morderca, gwałcieciel, rabuś, rewolucjonista, oszust, złodziej, nie miało znaczenia, który z nich mi pomoże. Więzienie zmienia człowieka, buduje nową hierarchię wartości i priorytetów, a ja przesiedziałem już tyle, że doskonale wiedziałem, co jest dla mnie najlepsze i czego chcę. Kiedy jesteś otoczony przez mury i kraty, musisz się nauczyć dbać o własne interesy. Zgadza się, należy być ostrożnym, wysłuchać innych, przyjąć czyjeś rady, ale czasami człowiek musi też podjąć ryzyko, wejść w jakiś układ, zrobić komuś przysługę. Poza tym egzystując w takim miejscu, nie masz dużego wyboru, jeśli idzie o towarzystwo. Byłem w stanie postawić na jedną kartę bardzo wiele i przyjąć pomoc od każdego, byleby tylko wyrwać się z łodygowni. Pomyślałem również, że w końcu szczęście się do mnie uśmiechnęło, ponieważ nie wykazałem żadnej inicjatywy, a prezent, jakim była szansa na nową pracę, został mi niemal bezinteresownie ofiarowany.

Byłbym głupcem, gdybym nie skorzystał z okazji.

Mimo usilnych starań nie było mnie stać, żeby kobieta Hrabiego pojechała do mojej matki. Do końca miesiąca

udało mi się jednak odłożyć pięć paczek, żeby opłacić wysłanie listu. Oczywiście dodatkowo jedną skrzynkę musiałem odpalić Ojczulkowi za papier, kopertę i napisanie kilku tych samych słów co poprzednio.

Pewnej nocy nie mogłem zasnąć i znowu rozmyślałem o domu, matce, Agnieszce... wtedy poczułem, jak bardzo osłabły moje uczucia. Nie, nie miałem do siebie o to żalu, nic z tych rzeczy. Po prostu tamten świat stawał mi się coraz bardziej odległy i obcy, a ten, w którym toczyłem swoją egzystencję, pochłaniał mnie bez końca. Mogłem już spokojnie słuchać opowieści Kazika o jego uczuciach, planach i o jego żonce, za którą tak szalenie tęsknił. Mogłem już tego słuchać prawie bez żadnych emocji. Skorupa znieczulicy z każdym dniem otulała mnie szczelniej swoim mrokiem.

Docierało coraz mniej światła.

Uodporniałem się.

Mimo wszystko postawiłem sobie za punkt honoru wysyłanie wiadomości do mojej matki. To była idea, dla której chciałem „ruszyć z podniesioną głową i przejść przez piekło”, jak to określił kiedyś Suchy.

Właśnie tak. Nic dodać, nic ująć.

Potrzebowałem konkretnego celu, aby normalnie funkcjonować.

Nowa praca dawało mi również nadzieję na większe zarobki. Przynajmniej takie miałem wyobrażenie. Przysięgłem sobie w duchu, że jeżeli nie będzie mnie stać na opłacenie Hrabiego, zrobię wszystko, żeby miesiąc po miesiącu samemu słać wieści. Wytrwale raz w miesiącu

jeden list, aż do chwili, kiedy skończy się mój dodatkowy rok postu. Taki sobie obrałem cel.

Suchy wrócił do celi w połowie czerwca i wyglądał, jakby postarzał się o dziesięć lat. Zmarniał, schudł i sprawiał wrażenie schorowanego. To już nie był ten sam facet co kiedyś. Zupełnie stracił pogodę ducha i swój sarkastyczny humor.

Tego samego wieczoru, podczas kolacji powiedział do nas:

– Załatwili mnie gnoje na cacy i chyba już się z tego nie wylizę. – W jego głosie było słychać ból. – Wiecie, co lekarz mi powiedział po pierwszym badaniu? Pęknięty obojczyk, połamane żebra, fragment kości wbił się w lewe płuco, odbite nerki i obrzęk narządów wewnętrznych. Ponad miesiąc w łóżku i na lekach. Siniaki do teraz nie zeszły. Wypisali mnie dzisiaj i usłyszałem, że jeszcze przez jakiś czas będę czuł się podle, a potem przyjdzie poprawa. Zwykle pieprzenie bzdur. Wiem, jak jest. Mam potworne bóle w piersiach, ataki kaszlu i pluję krwią. To nie wróży nic dobrego – skwitował.

– Wyjdiesz z tego – pocieszał go Franek. – Potrzebujesz czasu i musisz się dobrze prowadzić – zażartował.

– Ta, jasne. – Entuzjazm Suchego nas nie powalał. – Teraz już wiecie, co mogą z nami zrobić. Blaszański zawsze coś do mnie miał, a kiedy trafiła się okazja, pokazał mi, kto tu rządzi.

Słuchałem tego i czułem się winny jak jasna chole-

ra. Nikt mnie o nic nie oskarżał, nikt nawet krzywo nie spojrzął ani nie powiedział żadnego słowa, ale czułem się winny i odpowiedzialny za to, co spotkało Suchego. Razem taplaliśmy się w tym samym gównie.

Po kolacji Suchy podszedł i odciągnął mnie nieco na bok.

– Chciałem ci podziękować – szepnął. – Gdybyś się wtedy nie odezwał, mogliby zatłuc mnie na śmierć. Dziękuję, Ropuch. – Klepnął mnie w ramię i odszedł.

Tak, to było niespodziewane i zarazem miłe z jego strony i jakby trochę ugłaskało moje najeżone poczucie winy.

Hrabia zdecydowanie dbał o własne interesy i w czerwcu, dokładnie na tydzień przed przyjazdem swojej kobiety, niby mimochodem przypomniał mi o tym.

Myślę, że od samego początku wiedział, że ustrzelił we mnie wymarzonego klienta. To pewne, jak jutrzejszy dzień, że liczył na to, iż przez najbliższy rok co miesiąc będzie miał dodatkowe pięć szufladek. Zresztą, gdybym był na jego miejscu, myślałbym tak samo. Mógł jeszcze pofantazjować, że jeśli niektóre moje sprawy ułożą się dobrze, wycisnie ze mnie dziesięć paczek ekstra. Jeśli to robił, jego prognozy były jak najbardziej słuszne.

Lato 1923 roku zapowiadało się wyjątkowo upalnie. Zapewne po drugiej stronie murów rolnicy klęli na czym świat stoi i błagali Boga o deszcz, obawiając się suszy i klęski nieurodzaju. My za to podczas przesiadywania na

spacerniaku, czuliśmy się niemal jak pensjonariusze w wiecznie słonecznym kurorcie. Cudownie było w wolne dni siedzieć godzinami na dworze i wygrzewać się w gorących promieniach. Z niczym też nie mogę porównać tego uczucia, kiedy w powszedni dzień po ciężkich i długich godzinach pracy w gorącym baraku łodygowni, człowiek wracał do swojej małej celi, padał na łóżko i otulał się chłodem więziennych murów. To była sama rozkosz. Dziwne, jak niewiele czasami trzeba, żeby poczuć smak normalności.

Przed południem, w ostatni poniedziałek czerwca na łodygowni pojawił się Prezes. Rozmawiał przez chwilę ze strażnikiem, a potem dyskretnie podał mu jakąś niedużą rzecz. Klawisz schował to do kieszeni i obaj spojrzeli w moją stronę. Kilka sekund później płaskonosy podszedł do mnie, pochylił się i powiedział ściszym głosem:

– Musimy pogadać w bardziej ustronnym miejscu. Chodź.

Poszliśmy na drugi koniec baraku, gdzie nie było żadnych niepożądanych uszu.

– Nie wiem, co cię łączy z Góralelem – powiedział – i chyba nie chcę wiedzieć. Nie moja sprawa. To, co się stało kiedyś między nami, nie powinno się wydarzyć. Było, minęło. Czasu nie cofniemy, trzeba żyć dalej. – Słowa Prezesa zabrzmiały jak przeprosiny. – W tym tygodniu będzie mały nabór, dostaniesz robotę na stolarni. Jak długo tam zagrzejesz miejsce i co będziesz robił, będzie zależeć od ciebie i od tego, co potrafisz. I dla

własnego dobra nikomu się nie chwał, że pomogłem ci wyrwać się z łodygowni. Mam nadzieję, że nie żywisz urazy. – Wyciągnął do mnie prawą dłoń.

Odwzajemniłem uścisk, zachowując się jak doświadczony dyplomata. Wydawało mi się, że moje zachowanie spełniło jego oczekiwania. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że Prezes czuł strach przed Góralem i że z jakiś nieznanych mi przyczyn był mu posłuszny. Wiedziałem jednak, że ten strach któregoś dnia zniknie, a wtedy wszystko może się zmienić. Swoją drogą, wcale nie wierzyłem, że taki gość jak Prezes potrafi zapomnieć o urazach albo szukać pojednania.

Obaj graliśmy w tej samej sztuce.

Posłuchałem też jego rady i postanowiłem zachować w tajemnicy przed całym światem informację o tym, komu zawdzięczam moją nową pracę.

Jak funkcjonował mechanizm zatrudniania więźniów na konkretne stanowiska? Nie wiem. W moim przypadku zaczęło się od tego, że trzy dni później na łodygowni w asyście dozorca Mroczkowskiego pojawił się cywilny goguś w koszuli pod krawatem, okrągłych okularkach i z plikiem papierów w ręce. Podchodzili kolejno do każdego z pracujących więźniów. Elegancik zadawał kilka pytań i równocześnie skrzętnie coś notował w swoich papierkach.

Nastała moja kolej.

– Wstać – rzucił klawisz.

Posłusznie wykonałem polecenie.

– Numer? – odezwał się cywil aksamitnym głosem, patrząc mi prosto w oczy.

– Dwadzieścia dziewięć-jedenastcie – odparłem.

– Zobaczmy – mruknął pod nosem i przeciągnął ołówkiem wzdłuż kartki. – Żabikowski Stanisław?

– Tak jest – potwierdziłem.

– Stolarz?

– Tak jest.

– Jaki wyrok?

– Dożywocie.

– Chciałbyś podnieść swoje kwalifikacje i doskonalić umiejętności zawodowe jako pracownik więziennej stolarni?

– Tak jest, chciałbym. – W moim głosie wyraźnie było słychać entuzjazm.

– To wszystko – zwrócił się elegancik do strażnika.

– Wracaj do pracy – powiedział mundurowy i lekko trącił mnie w ramię.

Wiele bym dał, żeby zaspokoić swoją ciekawość i dowiedzieć się, jak to możliwe, aby ktoś taki jak płaskonosy Prezes miał takie znajomości?! Jak zwykły więzień, skazaniec taki sam jak reszta z nas, odizolowany od świata i pozbawiony jego dobrodziejstw mógł dokonać tutaj rzeczy wręcz niemożliwej? Mogę śmiało stwierdzić, że ten facet był szarą eminencją w gabinecie personalnym Centralnego Więzienia we Wronkach.

Stało się tak, jak obiecał. Moje nowe życie rozpoczęło się w poniedziałek, 2 lipca 1923 roku. Tego dnia

zacząłem pracę w więziennej stolarni i tego samego dnia złożyłem w duchu kolejną przysięgę, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby tylko zachować tę posadę.

Dzień później jak Polska długa i szeroka rozeszła się wieść o decyzji marszałka Piłsudskiego. Trzeciego lipca wygłosił swoje słynne przemówienie w Sali Malinowej hotelu Bristol i wycofał się z życia politycznego.

Chłopaki byli zaskoczeni moim awansem. Wypytywali mnie co i jak, ale trzymałem się kurczowo oficjalnej wersji – przyszli, zapytali o kilka rzeczy, przenieśli.

– To jest cholerny farciarz – skwitował Suchy. – Pamiętacie, jak pozwolili mu na święta wnieść paczkę na spacerniak? Nie ma co się dziwić, kiedy w niebie dzielili szczęściem, koleś przez pomyłkę dostał podwójną porcję.

Jedynym człowiekiem, który zdradzał niezdrowe zaciekawienie moją nową pracą, był aspirant Szumski. I chyba z tego powodu dwa tygodnie później zostałem doprowadzony przed jego oblicze. Władca naszego bloku siedział za swoim biurkiem, wpatrywał się we mnie tymi swoimi szuczurzymi oczkami i nonszalancko demonstrował swoją wyższość.

– Jak to się dzieje, Żabikowski, że najpierw narozrabiasz, potem obrywasz, dostajesz surową karę, a na koniec, nie wiadomo dlaczego, serwują ci ciepły stołeczek na stolarni?

– Nie wiem, panie aspirancie – odpowiedziałem szczerym tonem.

– Czy ty naprawdę się znasz na stolarce? A może

miałeś do czynienia jedynie z zmiataniem trocin?

– Znam się na tym, panie aspirancie – mówiłem pewnym głosem. – Potrafię zrobić i naprawić każdy mebel. Pracowałem w warsztacie, który cieszył się bardzo dobrą opinią. Po wojnie brałem udział w przywracaniu dostojnego wnętrza w Sanktuarium Świętego Józefa w Kaliszu, znanym również jako Polskie Nazaret. Firma, w której byłem zatrudniony, wykonywała usługi na najwyższym poziomie. Naszymi klientami byli lekarze, prawnicy, właściciele ziemscy...

– Dość! – wrzasnął i uderzył otwartą dłońią w blat biurka. – Mam gdzieś, czym się zajmowałeś poza tymi murami. – Wskazał dłońią w kierunku okna. – Dla mnie liczy się to, czego się tam dopuściłeś! Wydaje ci się, że jesteś cwany i możesz wszystkich wodzić za nos. Raz, tylko jeden raz wyciągnąłem do ciebie pomocną dłoń, a ty ją odrzuciłeś. – Podniósł się zza biurka, obciągnął brązową bluzę munduru i wolno ruszył w moim kierunku. – Wiesz, że mogę ci tutaj uprzyjemnić życie, prawda? Nie wiem, jak się stało, że przydzielono cię do stolarni, ale możesz być pewien, że to sprawdzę! A już na pewno sprawdzę twoje umiejętności – zagroził.

W pierwszym momencie wydało mi się to śmieszne, ale Szumski chyba naprawdę poczuł się urażony decyzją swoich zwierzchników. Nikt go nie poinformował o tak błahym zajściu, jak zmiana mojego stanowiska pracy. Może do tej pory myślał o sobie jako o kimś bardzo ważnym, z odpowiedzialną funkcją i samodzielnym stanowiskiem, a tu nagle okazało się, że on też ma swoje

miejsce w szeregu. Tak na dobrą sprawę, był tylko woźnym, który miał pod komendą kilku strażników i proste zadanie – utrzymać regulaminowy porządek na przydzielonym bloku.

Tego dnia zrozumiałem, że aspirant Szumski był człowiekiem o niespełnionych i przerośniętych ambicjach, a tacy ludzie balansują na cienkiej linii zawieszanej pomiędzy skrajnymi emocjami. Wystarczy słowo krytyki pod adresem takiego człowieka, a wpada we wściekłość, wystarczy słowo pochwały lub uznania, a będzie go rozpierać duma. Wiem, co teraz go bolało. Chodziło o to, że nikt nie zapytał go o zdanie i tylko oficjalnie, drogą służbową, powiadomiono go, że więzień dwadzieścia dziewięć-jedenaście od drugiego lipca 1923 został przydzielony do pracy w stolarni. Pamiętam dokładnie, co mi powiedział podczas naszego pierwszego spotkania: „to brama do mojego królestwa, gdzie jestem niepodzielnym władcą”. Tylko co to za władca, który nie może kontrolować swoich poddanych? Daleko mi do tego, żeby się obwołać biegłym w psychologii, ale myślę, że Szumski czuł się upokorzony, a jedyną osobą, na której mógł się odegrać, byłem ja.

– Mam dla ciebie nowinę, panie Żabikowski – cedził każde słowo, kartkując gruby, czarny notes. Zapisał coś ołówkiem na jednej ze stron i powiedział: – Aż do mojego odwołania zostaniesz niedzielnym funkcyjnym. Mianuję cię na kalefaktora latryn. Zaczynasz od najbliższej niedzieli. Zadowolony? – zapytał przekornie i posłał mi kwaśny uśmiech, znaczący mniej więcej: „teraz wiesz, kto

tu rządzi, chłopcze, prawda?”.

– Tak jest, panie aspirancie. – Nie pozostało mi nic innego, jak tylko odpowiedzieć w regulaminowy sposób.

– O, fuj! – Suchy westchnął przeciągle, kiedy obwieściłem moją nowinę podczas kolacji. – No to mamy wśród nas kajfusa od kibelków. Koniecznie musisz nam opowiedzieć o swoich wrażeniach po niedzielnym poranku, kiedy spojrzysz prawie w setkę obsranych wiader.

Oprócz mnie wszyscy zanieśli się śmiechem.

– Może dojrzysz tam coś ciekawego – rzucił Roman. – A może smród którejś kupy do ciebie przemówi.

Mieli cholerny ubaw.

– Gówniane zajęcie – skwitował Ojczulek. – W przenośni i dosłownie.

– Dobra, dzięki za wsparcie, ale może już skończyćcie?

– A co? Jeśli nie skończymy, to spotka nas jakaś gówniana zemsta? – Suchy zaśmiał się szczerze i nagle jego śmiech zamienił się w dławiący, mokry kaszel. Zaniósł się tak potwornie, jakby zaraz miało mu rozerwać płuca. Przyłożył mankiet bluzy, żeby zasłonić usta. Na materiale pokazała się rozlana plama krwi. – Mój dziadek też pluł krwią – powiedział, wycierając dłonią kąciuki ust. – I umarł tydzień później – próbował błysnąć makabrycznym żartem, ale nikomu już nie było do śmiechu.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu, kiedy nagle Kazik mnie zapytał, chyba tylko po to, żeby przerwać

ciszę:

– A jak tam, Ropuch, w nowej robocie?

– Całkiem nieźle, spokojnie – odparłem. – Jest nas czterech i przez cały dzień mamy zajęcie. Goście, z którymi pracuję, wydają się w porządku. Przez pierwszych kilka dni chcieli mnie sprawdzić, czy wiem, o co w tym wszystkim chodzi, czy nie znalazłem się tam przypadkiem albo za czymś poparciem.

– Pracuje tam jeszcze stary Klemens? – zapytał nagle Ojczulek.

– Tak – odparłem zupełnie zaskoczony. – Znasz go?

– Były ksiądz uśmiechnął się i skinął głową. – Wołamy na niego „Dziadunio” i naprawdę jest dobry w tym fachu. Mam nadzieję, że dużo się od niego nauczę. Pozostali dwaj też są dobrzy, nazywamy ich „Jaśki”, bo każdy z nich nazywa się Jan. Dziadunio jednak zjada ich razem z butami, mnie zresztą też. Prawdziwy artysta w tym rzemiośle, i dlatego ma swoją robotę.

– Co robi? – rzucił z zaciekawieniem Kazik.

– Teoretycznie wszyscy powinniśmy tam zbijać skrzynki – zniżyłem nieco głos. – Mamy konkretny plan i zapotrzebowanie, ale skrzynkami zajmuje się tylko dwóch... Dziadunio bierze codziennie innego z nas i robimy meble.

– Meble? Jakie meble? Dla kogo? – dociekał Kazik.

– Kaziu, nie bądź idiotą – rzucił Suchy. – Jak to dla kogo? Dla wybranych braci ze służby więziennej, prawda? – skierował pytanie w moja stronę.

– Właśnie – odparłem.

– Coś wam powiem. – Suchy pochylił się nieco nad stołem. – Czy macie pojęcie, jak niektórym dobrze się żyje dzięki temu więzieniu? Ruszcie trochę tymi pustymi łbami. Mam wyliczać, co tutaj jest i skąd niektórzy mogą brać całymi garściami? – Widząc nasze miny, postanowił nas uświadomić. – Tuczarnia świń, stołówka, pralnia, stolarnia, magazyn produktów i zaopatrzenia, magazyn wyrobów gotowych, darmowa siła robocza, pełna kontrola nad dostawami towarów i ich podziałem. Ludzie, obudźcie się. Dozorcy, przodownicy i aspiranci to małe robaczki, dorabiają sobie z kontrabandy, no może czasami coś skubną na boku albo dostaną jakąś marną premię. Kilku jest czystych, zgadza się, ale reszta... wiem, co mówię, bo sam z nimi handlowałem i chyba jeszcze pohandluję. Prawdziwy luksus zaczyna się bliżej władzy. Proszę bardzo, dla przykładu nasz wielce szanowny szef straży więziennej nadkomisarz Józef Kalinowski. Co zapewnia mu więzienie, i to całkiem za darmo? Pełne umundurowanie, trzy mundury, w tym jeden galowy, służbowy garnitur, koszule, krawaty, buty letnie i zimowe, oficerki, płaszcz jesienny i zimowy, kurtka wiosenna, rękawiczki, szaliki, czapki. Zakwaterowanie w komfortowym mieszkaniu, dostęp do służbowego samochodu, darmowe bilety kolejowe, darmowe posiłki z więziennej stołówki. Widzieliście kiedyś, jakie mu tutaj robią potrawy? I to wszystko jest legalne, bo pozwala na to cholerne prawo. Sam byłem świadkiem, jak podjechał kiedyś pod pralnię i przywiózł dwa pełne kosze brudnych rzeczy. Były tam nawet koron-

kowe majteczki jego żonki. Jezusie najśłodszy, jak one wspaniale pachniały słodką cipką... możecie mi wierzyć – zaśmiał się. – Tego samego dnia wszystko zostało wyprane i uprasowane. Na jego ucztę urodzinową zaszlachtowano najtłustszego wieprza z tuczarni i usmażono na ruszcie. Myślicie, że zapłacił za mięsiwo? Albo remont mieszkania, w którym przez dwa tygodnie tyrało kilku więźniów. Farby, tapety, nowy parkiet... Myślicie, że coś to go kosztowało? Nic! Ani grosza. Niestety, ale musimy utrzymywać wszystkich, którzy tutaj się znajdują. Wszystkich powtarzam, zarówno pracowników cywilnych, mundurowych, jak i skazanych, takich jak my. Im gorzej dzieje się więźniom, tym lepiej ma się cała reszta. Proste. Zobaczcie, jakie żarcie nam podają – trącił dłonią swoją miskę – na wolności bezdomne kundle lepiej jadają. To my ciężko pracujemy za marne wypiski...

– Suchy – wszedł mu w zdanie Ojczulek – nawet nie masz pojęcia, o czym gadasz. Nie wiesz, czym jest prawdziwe więzienie. Klepiesz bzdury i zaczynasz przekładać swoje proletariackie przekonania na rzeczywistość, której zdajesz się nie rozumieć. Tak jest skonstruowany świat i nie przeskoczysz tego. Twierdzisz, że masz tutaj źle? Jak długo siedzisz? Dwa roczki, trzy? – zapytał i spojrzał mu w oczy.

– Prawie trzy – padła krótka odpowiedź.

– Jestem stary, mam siedemdziesiąt dwa lata i większość swojego życia spędziłem za kratami. – Spojrzał po naszych twarzach zmęczonym wzrokiem. – Wiem, że jesteście ciekawi, dlaczego ktoś taki jak ja, były ksiądz,

został skazany na dożywocie i na dodatek siedzi na oddziale dziesiątym. Powiem wam. Zabiłem człowieka. Popełniłem najokrutniejszą ze zbrodni, odebrałem życie bliźniemu i zasłużyłem na karę. Miałem dwadzieścia osiem lat, kiedy ja, sługa boży, swoim czynem skazałem się na wieczne potępienie.

Przeniknął mnie dreszcz. Po raz pierwszy, odkąd się tu znalazłem, usłyszałem tak smutne i szczere wyznanie.

– Byłem w różnych więzieniach – opowiadał Ojczulek – przenoszono mnie wielokrotnie i za każdym razem czułem się tak, jakby zabierano mnie z piekła. Do Wroniek trafiłem ćwierć wieku temu i już wtedy to miejsce miało koszmarną opinię. W grudniu tysiąc dziewięćset osiemnastego roku, kiedy nagle wybuchło powstanie wielkopolskie, wszystko się zmieniło. Część przerażonych pracowników więzienia porzuciła swoje posady, zabrali rodziny, trochę dobytku i w popłochu uciekli jak najdalej stąd. Zostało kilkunastu niemieckich klawiszy uzbrojonych w pistolety, strzelby i jeden karabin maszynowy. Z tego, co wiem, zaryglowali główną bramę i postanowili czekać na dalszy rozwój wypadków. Trudno powiedzieć, jakie myśli kłębiły im się w głowach, na co liczyli, jakie mieli nadzieje? Myślę jednak, że na pewno nie chcieli ginąć w obronie zatrudniającej ich instytucji oraz bandy osadzonych tutaj kryminalistów i wywrotowców. Powstańcy dotarli pod mury wronieckiego więzienia tuż przed południem, trzydziestego pierwszego grudnia tysiąc dziewięćset osiemnastego roku. Widziałem ich z okna

mojej celi. Wtedy pomyślałem, że gdzieś tam w normalnym świecie ludzie szykują się na noworoczne bale, a tutaj trwa wojenna zawierucha. To było bardzo dziwne uczucie. Kto wie jak potoczyłaby się cała sytuacja, gdyby nie więzienny kapelan. Dzięki niemu obie strony podjęły mediacje i bardzo szybko doszły do porozumienia. Przez te kilka dni więzienie funkcjonowało tak jak zawsze. W tamtym czasie w celach było wielu Polaków. Na korytarzach dało się słyszeć ich nawołujące prośby o uwolnienie. Cała sytuacja była bardzo dziwna, ponieważ oddział waszych powstańców musiał współpracować z niemieckimi strażnikami. Nie pamiętam, jak długo to trwało, ale wydaje mi się, że około tygodnia. Potem niemieccy pracownicy opuścili teren więzienia i zostali odprowadzeni pod eskortą na dworzec kolejowy. Wsiedli do pociągu i bezpiecznie odjechali do Szczecina. Wszyscy więźniowie zaś zostali przetransportowani wagonami towarowymi do Rawicza i Poznania. Wronieckie więzienie przeszło pod jurysdykcję wojska i zostało przemianowane na tymczasowe koszary, a nas, więźniów, czekała weryfikacja wyroków. Wiem, że to, co teraz mówię, wydaje się wam głupie, ale dopuściłem się zbrodni, za którą miałem odpokutować, a nie unikać odpowiedzialności. Miałem nadzieję, że nikt tego nie zmieni. Co dziwne, znaleźli się ludzie, którzy na siłę chcieli mnie ułaskawić – powiedział z nutką lekkiej ironii w głosie. – Nie rozumieli, jakiej okrutnej zbrodni dopuściłem się w przeszłości. Nie mogłem odbywać kary w polskim więzieniu na podstawie wyroku sądu niemieckiego, ponieważ było to sprzeczne

z waszym prawem. Kiedy wiosną tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku pojawiły się problemy natury formalnej, zażądałem rozpatrzenia mojej sprawy przed polskim sądem. Przydzielono mi obrońcę z urzędu i odbyła się tylko jedna rozprawa. Przyznałem się publicznie, że ja, niemiecki ksiądz, zabiłem z premedytacją polskiego obywatela. Świadomie powoływałem się na moją narodowość, żeby zagrać na waszych patriotycznych uczuciach. Prokurator zadawał mi różne pytania, a ja z każdą odpowiedzią się pogrążałem. Wszystko po to, aby mój wyrok skazujący sprzed blisko czterdziestu lat został utrzymany w mocy. Ku mojemu zadowoleniu, tak też się stało. Kiedy kilka miesięcy później więzienie wronieckie odzyskało swój pierwotny status, wróciłem na jego łono niczym syn marnotrawny. Wiele się tutaj zmieniło w tym czasie, choć nie wszystko na lepsze. Wewnątrz sporo zostało zdewastowane. Ale na przykład stołówkę, przerozbioną z magazynów, zawdzięczamy waszym wojakom. No i rozwalili w kaplicy te koszmarnie boksy, które zastąpili zwykłymi ławkami.

– Jakie boksy? – zainteresował się Kazik.

– Zamknij się, Kazik! – prawie ryknął na niego Suchy.

– Spokojnie, Suchy, spokojnie. – Ojczulek uniósł nieznacznie dłoń w pokojowym geście. – Skąd macie wiedzieć o boksach, skoro nie wpuszczają was do kaplicy? – Uśmiechnął się smutno. – Powiem wam, jak było kiedyś. Oczywiście, to nie dotyczyło wszystkich. Praca była przywilejem dla nielicznych, a pozostali całymi

dniami siedzieli zamknięci w pojedynkę w celach. Posiłek był dostarczany dwa razy dziennie. Co jedliśmy? Zimne pomyje, kromkę spleśniałego chleba, stare solone śledzie, zgniłe ziemniaki. Spaceriak nie tętnił życiem tak jak teraz. Wypuszczano nas na zewnątrz tylko raz w tygodniu w dwudziestoosobowych grupach. Żadnych dyskusji i wygodnego siedzenia. Maszerowaliśmy, zataczając duże koło na placu, a po półgodzinnym dreptaniu wracaliśmy do cel. W niedzielę prowadzono nas do kaplicy, w której były jednoosobowe boksy, pieśczośliwie nazywane przez nas „trumienkami”. Kiedy tam wszedłeś, nie widziałeś swoich sąsiadów, ani tych po bokach, ani z przodu. Na tym właśnie polega istota systemu celkowego, kompletna izolacja od innych. Do twoich uszu docierał tylko głos księdza sprawującego posługę, a jedyne, co mogłeś zobaczyć podczas mszy, to wizerunek krzyża na tle witraża znajdującego się u góry, tuż pod półkulistym sklepieniem. Wychodząc na wolność, spójrzcie w tył, a zobaczycie ten witraż na wieży, ponad głównym wejściem. Oprócz mnie żaden z was nigdy nie był w więziennej kaplicy, ponieważ obecna władza odmawia takim jak my prawa zaspokojenia duchowych potrzeb. Wojacy rozwalili trumienki i wstawili ławki. Jedyne, co pozostało z systemu celkowego, to nasze cele. Reszta jest już tylko wspomnieniem i zamierzchną przeszłością. Dziś możecie sobie jedynie wyobrazić, że trzymają was w tej celi całymi dniami, przynoszą tam posiłki i wypuszczają raz na tydzień na krótki spacer albo w niedzielę na mszę. Prawie nie rozmawiasz, chyba że sam ze sobą. Niektórzy nie dawali rady, popadali w apatię

albo w szaleństwo. Tak to wyglądało. Dzisiaj śmiejecie się z Ropucha, że będzie funkcyjnym na latrynie, ale w tamtych czasach było to jedno z najbardziej pożądanых zajęć. Kiedyś kajfus zaliczał się do najlepiej ustawionych więźniów w takiej placówce jak ta. Nie chcę być złowieszczym prorokiem, ale przygotujcie się na nadejście ciężkich dni, ja mam tylko nadzieję, że nie będzie mi dane ich doczekać. Jestem już zmęczony... – westchnął ciężko. – Dużo by o tym gadać. Wyobrażam sobie, że trudno wam zrozumieć, o czym mówię. Popytajcie innych, którzy siedzą teraz i siedzieli kiedyś za czasów zaborów, powiedzą wam, czym jest więzienie. Najlepsze, co zostało po waszym powstaniu i całej tej niepodległości, to właśnie ta stołówka. – Uśmiechnął się szczerze i omiół wzrokiem dookoła. – Wiem jednak, że któregoś dnia to wszystko się skończy... – zawiesił głos. – Powtórzę jeszcze raz, a wy zapamiętajcie sobie moje słowa. Więziennictwo Drugiej Rzeczypospolitej i jej służba więzienna dopiero się rodzi, rozwija, raczkuje, nabiera doświadczenia. Kiedy porównuję mój pobyt tutaj sprzed kilkunastu lat z obecnym, możecie mi wierzyć na słowo, że dzisiaj macie się tak dobrze, jak w jakimś pensjonacie albo sanatorium, które jest odseparowane od świata zewnętrznego. Kto z was siedział w więzieniu przed tysiąc dziewięćset osiemnastym? – Omiół nas wzrokiem. – Tak jak myślałem, żaden. Nie macie o niczym pojęcia, ale możecie być pewni, że zmiany nadciągają. To już tylko kwestia czasu. A ty – Ojczulek kiwnął głową w stronę Suchego – nie przejmuj się tymi, którzy czerpią stąd pełnymi garściami. Czy widziałeś

kiedyś grabie, które grabią od siebie? Nie marnuj czasu na myślenie o tym, bo i tak niczego nie zmienisz, a możesz jeszcze oberwać albo napytać sobie innej biedy. System przypomina maszynę, w której wszystkie tryby i trybiki muszą współpracować. Jeżeli nie pasujesz do tej konstrukcji, maszyna cię zmiażdży, zmiele i wypluje jak coś bezużytecznego. Pamiętam jednego ambitnego strażnika o szlachetnych zasadach. Był porządnym człowiekiem. Nazywał się Erich Mross. Nazwiska dobrych ludzi trzeba pamiętać – powiedział takim tonem, jakby udzielał nam lekcji. – Siedziałem wtedy w więzieniu w Spandau. Tam było naprawdę ciężko. Erich nie pasował do systemu i chciał go zmienić. Zainteresował się tym, czym nie powinien. Podjął działania, które zaszkodziły wielu ludziom i dlatego... zginął na służbie. Biedak przepracował zaledwie kilka miesięcy. Oficjalnie orzeczono, że jego śmierć była wynikiem rażących błędów, które popełnił podczas wykonywania czynności służbowych. – Ojczulek zamilkł na chwilę i sprawiał wrażenie, jakby sięgał do najgłębszych zakamarków pamięci, przywołując wspomnienie o tamtym człowieku. – Powiem wam jedno, ludzie ogarnięci chciwością są zdolni do przerażających i podłych czynów. Chcę wam też uświadomić, że wszystkie więzienia funkcjonują podobnie, a każde z nich ma swoje grzechy i tajemnice. Dopóki trzymają was pośród tych murów, nie mówcie głośno o tym, czego nie chcą usłyszeć sprawujący nad wami władzę. Tutaj nie warto strugać bohatera.

Mama dość często mi powtarzała: „Staszek, zawsze słuchaj się starszych”. Przyznam się, że w przeszłości ta dobra rada nie miała to dla mnie większego znaczenia. Prawda jest taka, że człowiek musi dorosnąć do słuchania, a już tym bardziej do słuchania starszych.

Kiedy żyjesz sobie beztrąsko i czujesz rozpięającą cię energię, dzięki której w każdej chwili mógłbyś walczyć sam przeciwko całemu światu, nie zastanawiasz się nad wieloma ważnymi sprawami. Horyzonty wyobraźni są tak szerokie, że nie sposób ich ani ogarnąć, ani tym bardziej kontrolować. Inni mogą ci radzić, życzyć, polecać, nauczać, a ty i tak możesz się na tę całą słodką gadkę po prostu wypiąć i zrobić, co zechcesz. Życiową mądrość zdobywa się na garbach własnych doświadczeń, na swoich błędach i porażkach. Myślę, że tak właśnie jest skonstruowany świat. Rzeczywistość za murami jednak nie przystaje do tego świata. Więzienie nie jest odpowiednim miejscem, żeby przeprowadzać nieudane eksperymenty, czy też podejmować złe decyzje. Tutaj nawet banalny błąd może kosztować utratę życia.

Zawsze byłem i nadal jestem niezmiernie wdzięczny matczynym radom, niebiosom i wszystkim dobrym aniołom, które nade mną czuwają. Myślę, właściwie odpowiedniejszym słowem jest wierzę, że otrzymałem pewien dar. Jeden dostanie talent artystyczny, drugi smykałkę do handlu, trzeci ma powodzenie u kobiet, a ja... wierzę, że dostałem umiejętność słuchania. Kiedy tak spoglądam dziś na swoje życie, widzę, że jakimś cudem zawsze wiedziałem, kiedy należy nadstawić uszu.

Teraz kiedy przebijam się przez pokłady swoich wspomnień i przypominam sobie słowa Ojczulka, który powiedział, że dawniej praca funkcyjnego od latryn była niezłą fuchą, dopada mnie dziwne, niespokojne wrażenie. To głupie. Przecież doskonale wiem, że tamta chwila nie miała nic wspólnego z tym, co się później zdarzyło, a ja i tak uparcie dopatruję się w niej jakiegoś powiązania. Sam już nie wiem, być może przemknęło mi wtedy przez myśl albo tchnęło mnie jakieś przeczucie? Wiedziałem jednak, że chociaż czeka mnie niebawem gówniane zajęcie, to dzięki niemu stanie się w moim życiu coś bardzo ważnego.

Nie wiem, czy łatwiej się pisze autobiografię, spoglądając z pułapu przeżytych lat, ale jestem pewien, że dzięki temu można ją napisać ciekawiej. W tym samym czasie, kiedy ja – skazaniec – ścierałem się z idiotycznymi tematami, gdzieś w dalekim świecie działy się bardzo interesujące rzeczy, o których nic nie słyszałem. Teraz, kiedy zapisuje kolejne stronicie, mam ten luksus, że znam nieco historię i dzięki temu mogę wspomnieć kilka słów o tych ważnych, moim zdaniem, wydarzeniach historycznych. Taki skromny, autorski przywilej, którego nikt mi nie zabroni.

Dobrze myślicie, właśnie uśmiecham się pod nosem.

Wróćmy jednak do rzeczy... Latem 1923 roku nawet nie przypuszczałem, jak bardzo zafascynuje mnie nie tyle wynalazek braci Lumière, ile jego praktyczne wykorzystanie. Moja bezwarunkowa miłość do kina

pojawiła się dopiero w 1935 roku. Wszystko dzięki komuś ważnemu z ministerstwa sprawiedliwości, pod które podlegał resort więziennictwa. Ów człowiek najpierw wpadł na zwariowany pomysł, a następnie stworzył ideę i wcielił ją w życie w postaci doświadczalnego programu resocjalizacji. Obowiązki zastępcy naczelnika sprawował wtedy Konrad Czubała, który był urodzonym służbistą. Dla niego polecenia zwierzchników były rzeczą świętą. Program miał bardzo szumną nazwę, która zapadła mi w pamięć – *Sztuka i kultura jako skuteczna metoda przywracania wartości i ideałów*. Nie wiem dokładnie, co autor projektu chciał osiągnąć, ale jeśli idzie o mnie, dzięki tej metodzie moja dusza przepadła dla filmu.

Już po pierwszej projekcji zrozumiałem, że kino to wspaniały, zaczarowany świat wykreowany na płaskim ekranie, gdzie wszystko jest możliwe. Gdyby mój los potoczył się inaczej i gdyby nie więzienie, w którym przyszło mi żyć, zrobiłbym wszystko, żeby pracować w branży filmowej. Nie chodzi o to, że chciałem być drugim Rudolfem Valentino czy Eugeniuszem Bodo. Myślałem bardziej o pracy związanej z moim wyuczonym zawodem, na przykład jako osoba, która buduje dekoracje na planie filmowym... Ech, słodkie, nieszkodliwe marzenia. Najbardziej lubiłem filmy amerykańskie, a właściwie nadal je lubię. Czy wiecie, że na wzgórzach w pobliżu Los Angeles właśnie w lipcu 1923 roku umieszczono ten chyba najbardziej znany napis kojarzący się ze światem filmu? Wtedy ta nazwa brzmiała „Hollywoodland”. Dopiero dwadzieścia sześć lat później podczas renowacji

skasowano cztery ostatnie litery i dzięki temu świat powitał Hollywood.

W sobotę 21 lipca 1923 roku siedzieliśmy w szóstkę na spacerunku i opierając się plecami o południową ścianę budynku, prażyliśmy się w promieniach letniego słońca. Chciałem w jakiś sposób upamiętnić ten dzień, dokładnie dzisiaj mijał rok mojego pobytu we Wronkach. Ponieważ udało mi się już odłożyć cztery skrzynki dla Hrabiego, postanowiłem zaskoczyć moich kumpli i pokazać im, że chociaż bida, stać mnie na szczodry gest.

– Mam coś dzisiaj dla was, panowie – powiedziałem i wyjąłem z kieszeni spodni paczkę fajek. – Palcie i niech wam pójdzie na zdrowie.

– A z jakiej to okazji? – Kazik był naprawdę zaskoczony.

– Dzisiaj stuknął mi pierwszy rok odsiadki – odparłem, jakbym był z tego dumny.

– Tak? No to nieźle, człowieku!

– Eee, no to bez trzepanego się chyba nie obejdzie. Co wy na to? – zapytał Suchy rozochoconym głosem.

– Jakiego trzepanego? – Nie bardzo rozumiałem, o co chodzi. Zanim obudziły się we mnie jakiekolwiek podejrzenia, rzucili się na mnie, przekrzykując się jeden przez drugiego jak dzieci. Dołączył się nawet Ojczulek.

Chwilę później unieruchomili mnie w dziwnej pozycji. Wykręcone ręce, nogi zgięte w kolanach i podkulone pod brzuchem, tyłek wypięty jak balon i uniesiony w górę, a czoło przyciśnięte do ziemi.

– No to ładuj za każdy miesiąc! – krzyknął Suchy.

Ktoś jednym energicznym ruchem zsunął mi portki z dupska i z całej siły przyłożył mi otwartą dłońią w goły pośladek. Chyba nigdy w życiu nie dostałem tak mocnego klapsa. Miałem wrażenie, że czyjaś dłoń odbiła się na moim półdupku gorącym ogniem. Po czwartym uderzeniu byłem już pewien, że posadziłem zadek na patelni z wrzącą oliwą. Zacisnąłem powieki równie mocno jak zęby i z całych sił starałem się powstrzymać okrzyk bólu, który rodził się w moim gardle. Słyszałem, jak roześmiane męskie głosy chórem odliczają kolejne liczby: osiem... dziewięć... dziesięć... jedenaście... dwanaście!

Kiedy mnie wypuścili ze swoich kleszczy, oblała mnie ulga pełna chłodu. Przez chwilę trwałem bez ruchu z gołym, wypiętym tyłkiem w pozycji, która mogła przypominać gigantyczny embrion, i żałowałem z całego serca, że powiedziałem im o mojej skromnej rocznicy.

– Na Boga miłosiernego – odezwałem się po chwili. – Nigdy wcześniej nie spotkało mnie coś równie idiotycznego! – oznajmiłem wściekle. Wciągając na dupsko więzienne gacie, widziałem ich durnowate uśmiešky i cwaniackie miny. – Co, fajnie się bawiliście? Podobało się? – dodałem zirytowany.

– A jakże! – wyskoczył z odpowiedzią Suchy, jak zwykle pierwszy, a pozostali zarechotali rozbawieni.

Nagle z prawej strony pojawił się Blacha z jeszcze jednym klawiszem. Zmierzali do nas prężnym krokiem.

– Co tu się dzieje, do kurwy nędzy?! – ryknął.

– Nic się nie dzieje, panie przodowniku – odpowie-

dział Franek. – Ot, takie wygłupy. – Wzruszył ramionami.

Błaszarki podszedł do niego, położył mu dłonie na barkach, kiwnął z politowaniem głową i posłał mu zgiętym kolanem wściekłego kopniaka prosto w podbrzusze. To był silny cios. Franek najpierw otworzył szeroko usta i z jego gardła wypłynął cichy, przeciągły jęk, a potem złapał się obiema dłońmi za krocze, jakby wierzył, że dotyk złagodzi jego ból. Sekundę później jego drżące nogi złamały się w pół i osunął się na klęczki przed człowiekiem w mundurze. Błaszarski chwycił go za czuprynę i patrząc każdemu z nas po kolei w oczy, odezwał się głosem pełnym gniewu:

– Co tu się, kurwa, dzieje?!

– Szefie, nie ma się co denerwować – zaryzykował Suchy. – Młodzian ma za sobą dzisiaj rok odsiadki – wskazał na mnie głową – to i przetrzepaliśmy futerko. Dostał dwanaście strzałów. Taka niewinna zabawa, rozrywka. Naprawdę nic się nie działo.

– Tak? – Blacha spojrzał na mnie. – Mów, jak było!

– To szczerą prawdą, panie przodowniku – odparłem regulaminowo. – Nic się nie stało.

– Nic? – Pchnął do tyłu głowę Franka i podszedł do mnie. Złapał mnie za szyję i spojrzał mi prosto w oczy. – Pamiętam cię, śmieciu – rzucił. – Ty jesteś tym gnojkiem, który kradł morfinę. – Na sekundę odwrócił wzrok ode mnie i popatrzył na Suchego. – A teraz zabawiacie się głaskaniem dupy? Lubisz to? – najwyraźniej do mnie kierował swoje pytanie. – Hę?

– Nie, panie przodowniku.

– Może chciałbyś trafić do łaźni razem z grupą sodomitów, co? Nie ma sprawy, mogę ci to umożliwić. Oni chętnie zapoznają się z twoim ciasnym dupalem.

– Nie ma takiej potrzeby, panie przodowniku. – Przestraszyłem się nie na żarty.

– Chodź tu, skurwysynu! – wrzasnął i złapał mnie za kołnierz bluzy.

Ciągnął mnie za sobą i prowadził w prawą stronę spacerniaka.

– Co ty sobie myślisz, że to jakiś plac zabaw?! – niemal krzyczał. – Jak chcesz się rozerwać, to nie ma problemu! Wydaje ci się, że ja nie mam nic innego do roboty, tylko biegać i sprawdzać, co wyprawiacie? – W tonie jego głosu dominowała wściekłość. Zatrzymaliśmy się. – Jak mnie jeszcze raz podkurwisz albo jeśli z twojego powodu będę musiał się oderwać od swoich zajęć, to Bóg mi świadkiem, że oddam cię tym zbokom z dwunastki. Widzisz tam uzbrojonego strażnika? – Wskazał wzrokiem w kierunku wieżyczki. – Ktoś z was mógł dziś oberwać kulkę. Przysięgam na moje dzieci, że jak podpadniesz mi jeszcze raz, zamienię twoją dupę w jaskinię rozkoszy, kapujesz?! – wrzasnął mi prosto w twarz.

– Tak jest, panie przodowniku – odparłem skruszonym głosem, którego wcale nie musiałem udawać.

– To dobrze, że się rozumiemy. – Spojrzał mi w oczy. – Wynoś się!

Nie wiem po co, ale kiwnąłem mu głową, obróciłem się na pięcie i szybkim krokiem wróciłem z powro-

tem.

Franek nie wyglądał najlepiej. Po takim uderzeniu w jądra trudno było o promienny uśmiech. Cera przybrała odcień nieskazitelnie biały, a krople potu, które połyskiwały na jego skroniach i czole, na pewno nie pojawiły się tutaj z powodu upału.

– Jak na ciebie patrzę, to mnie też boli – powiedział Suchy.

– Daj spokój, kiedyś jak byłem chłopcem – zacząć snuć swoją opowieść Kazik – zleciałem z drzewa i uderzyłem...

– Daruj sobie te historyjki z życia wzięte – fuknął z wyrzutem Ojczulek. – Nie widzisz, że facet czuje się, jakby cały świat skakał mu po jajach, a ty wyjeżdżasz ze swoimi przygodami. Nie wiem, czy zauważyliście – ciągnął – ale zawsze tak jest, że kiedy człowieka coś boli, wszyscy dookoła zaczynają wspominać, jak im też kiedyś coś dolegało, i nagle znają tysiąc domowych sposobów, które przynoszą ulgę. Zawsze tak jest.

– W takim razie skupmy uwagę na dzisiejszym solenizancie – zaproponował Roman.

– O, no właśnie – zawtórował Suchy. – Może nam opowiesz, jak minął ci ten rok. Jakieś refleksje, spostrzeżenia, plany na przyszłość? – W tonie jego głosu rozbrzmiewała znajoma, prześmiewcza melodia. Nasza dusza towarzystwa jak zwykle błyszczała swoistym poczuciem humoru, budząc powszechne rozbawienie.

– Hej, człowieku! – Kazik jak to Kazik, ocknął się jak zwykle w najmniej odpowiednim momencie. – Prze-

cież ty jutro rządzisz na latrynie, tak?

– Racja – Suchy jak zwykle błyskawicznie odnajdywał się w tematach – nasz Ropuszek od jutra zaczyna kolejny etap swojego zasranego życia.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Nawet Franek zarechotał, chociaż miałem wrażenie, że takie podrygiwanie sprawia mu więcej bólu niż radości.

– Walcie się – odparłem z uśmiechem. W sumie, nie miałem im za złe, że przez chwilę nabijali się ze mnie. Nie było w tym nic, co mogłoby przynieść ujmę mojej godności, czy też stanowić obrazę na honorze. No może z wyjątkiem stwierdzenia, że mam zasrane życie. Gdyby się jednak nad tym zastanowić, wcale nie miało się to z prawdą.

Leżałem na pryczy i wpatrywałem się w mroczne freski, które malowało na ścianach światło księżyca. Już rok, dobry Boże! Jak to możliwe? Bywało różnie, ale kiedy trafiały się parszywe dni, wydawało się, że nigdy się nie skończą. Wówczas dopadały mnie i kąsały tak podłe myśli, że wolałbym ich nigdy nie poznać. Dławiłem się rozpaczą i tęsknotą za życiem, które utraciłem na zawsze. Nie było łatwo, ale mimo wszystko dałem radę. Swoje przeszedłem i doświadczyłem. Zmieniłem się i dojrzałem. Zyskałem duchową siłę, odporność i nabrałem dystansu do współczucia zarówno dla siebie samego, jak i dla innych. Przez ostatni rok codziennie zabijałem w sobie część człowieka, którym byłem po drugiej stronie murów. Robiłem to dla jego dobra, ponieważ tutaj nie

było dla niego miejsca. Na początku myślałem, że wraz z nim umierają również jego uczucia, ale bardzo się myliłem. Uczucia to muzyka dla naszych wspomnień. Czy naprawdę umiałbym zapomnieć o dziewczynie, w której zakochałem się do szaleństwa? Staralem się o niej nie myśleć, wzbraniałem się przed przywoływaniem przeszłości, ale nigdy o niej nie zapomniałem. Nigdy.

Czy człowiek pozbawiony uczuć postawiłby sobie za cel – bez względu na cenę i wbrew wszystkim przeciwnościom – utrzymanie kontaktu ze swoją rodziną? Chyba nie.

Uczuć w żaden sposób nie da się wyplewić z zakamarków duszy. Jedyne, co można zrobić, to nauczyć się wprowadzać je w stan hibernacji. To trudna i bardzo bolesna sztuka, ale przy odpowiednim nastawieniu i bezwarunkowej akceptacji własnego losu przynosi rewelacyjne efekty. Kiedy człowiek potrafi pogodzić się sam ze sobą, kiedy zrozumie, że taka duchowa więź jest dla niego ciężarem, czy też powodem do zadręczania się, wtedy dostrzega potrzebę wygłuszenia swoich emocji. Kiedy już uda mu się osiągnąć ten poziom świadomości, życie za kratami staje się nieco lżejsze.

Co stało się ze mną przez te ostatnie dwanaście miesięcy? Najpierw przygasłem, a potem każdego dnia, każdej godziny, minuta po minucie obrastałem skorupą znieczulenia. Tak jak więzienna cela osaczała mnie z każdej strony, tak samo i ja zamknąłem w sobie moje uczucia. Kolorowy świat zaczął blednąć, aż została tylko paleta szarych odcieni – idealny grunt dla obojętności.

Rok. Z jednej strony szmat czasu, a z drugiej zaledwie chwila. Słyszałem kiedyś, że jakiś mądrała wymyślił teorię, iż czas to pojęcie względne i nie dla wszystkich płynie tym samym tempem. Chyba miał rację, bo niekiedy wydawało mi się, że minęła co najmniej dekada.

Dwanaście miesięcy wypełnionych pustką, osamotnieniem i ponurą akceptacją nowego modelu życia. Przetrwiałem. Nie dałem sobą pomiatać ani poniewierać, stawiałem czoło wyzwaniom. W duchu dziękowałem opatrności za wszystkie chwile, w których mi sprzyjała.

Pięćdziesiąt dwa długie tygodnie przytłaczającej wegetacji, a zarazem wściekłej walki.

Trzysta sześćdziesiąt pięć dni i nocy bezustannych myśli, wspomnień, tęsknoty i nadziei zepchniętej gdzieś na samo dno duszy.

Rok życia. Jak zmierzyć jego wartość? Jak oszacować? Brać pod uwagę sukcesy i osiągnięcia czy porażki i zaprzepaszczone szanse? Tej nocy, z dwudziestego pierwszego na dwudziestego drugiego lipca 1923 roku po raz pierwszy w moim przegranym życiu postawiłem sobie pytanie, jaka byłaby moja rzeczywistość, gdybym nie był skazańcem. Przyznam się, wcale mi nie wstyd, ryczałem jak bóbr, płakałem jak nigdy wcześniej. Ponieważ nie chciałem, żeby inni słyszeli, jak wyję z rozpaczony na całe gardło, zwinąłem róg koca w rulon, włożyłem go pomiędzy zęby i zacisnąłem szczęki. Przez pół nocy jawił mi się w myślach świat, o jakim teraz mogłem tylko marzyć, i życie, jakie teraz mogłem sobie jedynie wyśnić. To były

długie i koszmarne godziny. Zanim Morfeusz łaskawie zlitował się i porwał mnie w swoje ramiona, bezustannie powtarzałem w myślach słowa modlitwy: *Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina. Przeto błagam...*

W niedzielny poranek, w ten pierwszy dzień, który rozpoczął drugi rok mojej odsiadki, drzwi celi otworzyły się z trzaskiem i zobaczyłem w ich świetle dozorcę Mroczkowskiego.

– Wstajesz, Żabikowski – rozkazał zdecydowanym tonem. – Zakładaj gacie, wskakuj w buty i idziesz ze mną na krótki instruktaż.

– Robi się, szefie – odparłem. Choć czułem się zmęczony i niewyspany, zebrałem się w jednej chwili.

– Byłeś już kiedyś funkcyjnym na latrynie? – zapytał, kiedy staliśmy na podeście przed moją celą.

– Nie, jeszcze nie miałem okazji.

– Na dole, przy wejściu do dyżurki są dwa wiadra.

– Z góry wskazał pałką w ich kierunku. – Widzisz?

– Tak jest.

– Za dziesięć minut pobudka na bloku i wszyscy idą na śniadanie, drzwi od cel zostają otwarte i wtedy ty ruszasz do działania. Zaczynasz od drugiego piętra. Jak wiesz, obok drzwi powinno stać wiadro, do którego się szcza i sra. Przelewasz zawartość do swojego, a potem ruszasz dalej, następne drzwi i robisz to samo. Nie wchodzisz do żadnej z cel. Zapełnisz swoją bombę... – spojrzał na mnie i chyba zorientował się, że używa niezrozumiałych dla mnie określeń – bomba to wiadro pełne gówna –

wyjaśnił. – Łapiesz drugie i powtarzasz wszystko od początku. Średnio wychodzi tak, że jak zlejesz dziesięć kibli, to masz co dźwigać w jednej ręce. Robisz dwadzieścia sztuk, łapiesz za obie bomby, schodzisz ostrożnie po schodach. Ważne, żeby tego syfu nie rozlać, bo jak nachlapiesz, to każę ci to, kurwa, zlizać! Tak więc uważaj. – Podniósł wskazujący palec, jakby chciał podkreślić, że to, co mówi, jest naprawdę ważne. – Z wiadrami zasuwasz do latryn. – Wskazał pałką w kierunku drugiego końca korytarza. – Wiesz gdzie? – zapytał.

– Tak, wiem – potwierdziłem.

– I pamiętaj o tym, że będę cię obserwował. – Spojrzał na mnie spod byka. – I żeby cię nie korciło włączyć do czyjejs nory. Dziś na bloku mamy otwarte dziewięćdziesiąt trzy cele i musisz się wyrobić ze wszystkim, zanim reszta wróci z posiłku. Żadnego obijania się. Czy to jasne?

– Tak jest.

– Jakież pytania, problemy, prośby, wnioski?

– Co z moim śniadaniem? – zapytałem.

– Skończysz swoją robotę, to pójdziesz na stołówkę razem ze mną. A teraz stawaj przy wiadrach i czekaj, aż wyprowadzą wszystkich z bloku.

Sterczałem obok drzwi dyżurki i obserwowałem, jak wygląda początek dnia. Dziwne uczucie, spoglądać na schemat, który budował również moją codzienność.

Uwijałem się, żeby zdążyć. Obijanie się nie miało sensu, ponieważ nieraz słyszałem o karaniu funkcyjnych, którym

brakowało zaangażowania. Jak mawiają, lepiej dmuchać na zimne. Nie chciałem też w żaden sposób zaszkodzić sobie, dlatego uważałem jak diabli, żeby nie nachlapać na bloku.

Latryną nazywano miejsce, gdzie każdego dnia opróżniano bomby. To było nieduże pomieszczenie na końcu bloku. Wchodziło się tam przez drzwi, potem znajdował się krótki, mniej więcej półtorametrowej szerokości korytarz, prowadzący do następnych drzwi. Na ścianie w przejściu były dwa nieduże otwory wentylacyjne, które umożliwiały odpowiednią cyrkulację powietrza i dzięki którym smród nie wydostawał się na teren bloku. Za drugimi drzwiami mieściło się właściwe pomieszczenie z dwoma dużymi, metalowymi kubłami zamykanymi na klapy, potocznie nazywanymi „silosami”. Całe jedzenie, które przerabialiśmy na gówno, lądowało w tych pojemnikach. Nie pamiętam, kto to mówił, ale ponoć raz na dwa tygodnie przyjeżdżał z okolicy jakiś rolnik swoim gnojowozem, otwierał duży zawór, który wystawał na zewnątrz ze ściany, i zabierał nasz stuprocentowo ekologiczny nawóz. Plotka głosiła, że za sprawą więziennego łajna, kłosa zbóż rosły na potęgę i były grube jak palce.

Łącznie zrobiłem pięć kursów i czułem już wyraźne zmęczenie. Najgorzej było lawirować na wąskich schodach pomiędzy piętami. Odkryłem przy okazji pewną zasadę: kiedy robisz przy gównie, to na pewno się nim pobrudzisz. Podczas przelewania odchodów zachlapałem sobie rękawy bluzy, a podczas marszu załatwiłem swoje nogawki na wysokości łydek. Za szybko i za dużo.

Najgorsze jednak było to, że poczułem obrzydliwie śliską wilgoć w butach.

– Gdzie się ciśniesz, pacanie, z tymi brudnymi wiadrami! – ryknął na mnie Mroczkowski, kiedy stanąłem w drzwiach dyżurki. – Skończyłeś?

– Tak jest – rzuciłem. – Skończyłem!

– Wynocha mi z tym smrodem na dwór! – rozkazał.
– Masz przerwę na papierosa i pilnujesz wiader!

– Tak jest – powiedziałem i zniknąłem mu z oczu.

Oparłem się plecami o ścianę budynku. Sięgnąłem po papierosa i z rozkoszą zaciągnąłem się dymem.

Po kilku chwilach Mroczkowski pojawił się na zewnątrz.

– Dobry masz czas jak na pierwszy raz – skwitował, spoglądając na zegarek. – Tylko ubabrałeś się gorzej niż dziecko. – Pokiwał z politowaniem głową. – Teraz szoruj jeszcze na samą górę, przy schodach stoi jeszcze jedna bomba. Opróżnić!

Kiwnąłem głową, obróciłem się na pięcie, ruszyłem w kierunku schodów i czułem, jak moje oczy robią się duże ze zdziwienia. Skąd?! – przemknęło mi przez myśl. Zgadza się, od strony sterowni było kilka, może kilkanaście, cel, których nigdy nie otwierano. Zawsze wydawało mi się, że nie ma w nich osadzonych. Nigdy tam nikogo nie widziałem. Dotarłem na szczyt schodów. U góry czekało wiadro wypełnione treścią. Bez pośpiechu, zwyczajnym krokiem wykonałem swój ostatni kurs. Mroczkowski stał przed wejściem w lekkim rozkroku, palił papierosa i spoglądał przed siebie.

– Spokojnie, Żabikowski – powiedział. – Odsapnij sobie. Znów można palić.

Skorzystałem z okazji.

– Myślałem, że pozamykane cele są puste, że nikt w nich nie siedzi – powiedziałem niby od niechcienia.

Klawisz spojrział na mnie spođe łba i w tym samym momencie pożałowałem, że w ogóle się odezwałem i poruszyłem ten temat. Lepiej było się wcześniej ugryźć w język.

– Może i są puste – wycedził przez zęby. – A ty się nie interesuj, bo możesz dostać kociej mordy i tak ci już zostanie na zawsze. Rozumiesz?!

– Tak jest, wszystko jasne – odparłem pospiesznie.

– A co zrobić z tymi wiadrami? – zmieniłem szybko temat.

– Zabieraj je i idziemy do łaźni. Tam je wypłuczesz. – Kiwnął głową i obrócił się na pięcie.

Nie dał mi szansy na wypalenie papierosa. Strzepnąłem końcówkę żaru, włożyłem niedopałek do kieszeni, pochwyliłem wiadra i pomaszerowałem za nim.

Mroczkowski nie był przesadnie ostrym cynglem. Wprawdzie był cholernym służbistą, ale dał się lubić. Miał w sobie więcej wyrozumiałości niż jego kumple po fachu. W łaźni dał mi pięć minut, żebym zrobił ze sobą porządek. Uprałem w pośpiechu nogawki spodni, rękawy bluzy oraz dwie zużyte szmaty służące mi za onuce i wypłukałem łajno z butów.

Ledwo postawiłem tacę z obiadem na stole i nie zdążyłem

jeszcze dobrze usiąść, a Suchy już zaczął swoją śpiewkę:

– No i co tam słyhać, a może raczej czuć w zasrannym świecie latryniarzy?

Oczywiście pozostali jak zwykle rechotali rozba-wieni.

– Nic ciekawego – odparłem. – Same śmierdzące sprawy. Chociaż słyszałem – zrobiłem krótką pauzę – że poszukują jakiegoś błazna, który na okrągło opowiadałby swoje gówniane dowcipy. Nie wiem czemu, ale od razu pomyślałem o tobie i zgłosiłem twoją kandydaturę.

Chłopaki zanieśli się szczerym śmiechem.

– Aleś się wyszczekał. Patrzcie państwo, jaki się młodzian robi pyskaty z każdym dniem! – Suchy posłał mi grymas, który krył w sobie namiastkę uznania. – Widzę, że szybko się uczysz. Zaczynasz dawać radę i te dyskusje robią się dla mnie niebezpieczne – skwitował i puścił do mnie oko. Chwilę później paskudnie się rozkaszał.

– Dlaczego nie jesz? – zwrócił się Kazik do Franka.

– Nie jesteś godny?

– Nie mam apetytu – odpowiedział zmęczonym głosem. – Muli mnie od samego rana, źle się czuję, od wczoraj jaja mnie bolą jak jasna cholera. Normalnie nie daję rady... – westchnął ciężko. – Chcesz? – Podsunął tacę w kierunku swego rozmówcy.

– Jasne, człowieku, dzięki! – Kazik był uradowany.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu. Spojrzałem na oblicze Franka, rzeczywiście nie był w najlepszej formie. W jego oczach czaił się ból.

Pochyliłem się nieco nad stołem i zapytałem:

– Czy wiecie coś na temat zawsze zamkniętych cel na naszym bloku?

Chłopaki spojrzeli na mnie, potem po sobie, jeden wzruszył bezradnie ramionami, inny pokiwał przecząco głową. Suchy chciał coś powiedzieć, lecz nagle znowu okropnie się rozkaszał. Zasłonił usta dłońmi, ale i tak było widać, że przy każdym kaszlnięciu odpluwa krew.

– Jeszcze kilka takich ataków i płuca wyskoczą mi przez gardło – postawił sobie koszmarną diagnozę. – Chciałem tylko powiedzieć, że nic, kurwa mać, o tym nie wiem. A co się stało? Chcesz się przenieść do innego apartamentu? – Sarkazm go nie opuszczał mimo kiepskiego samopoczucia.

– Tak, i to najlepiej z dużym tarasem i z widokiem na morze, bo go jeszcze nigdy nie widziałem – skwitowałem, a potem opowiedziałem im całą historię, która mi się dzisiaj przytrafiła.

– A to ciekawe. – Roman był zdziwiony, zresztą tak samo jak pozostali.

– Pamiętacie, jak kiedyś mówiłem wam, że każde więzienie ma swoje tajemnice – powiedział półgłosem Ojczulek i właściwie zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie. – A na twoim miejscu – zwrócił się do mnie dość ostrym i stanowczym tonem – przestałbym o tym gadać.

Bardzo mnie zaskoczyły jego słowa i poczułem się kompletnie zbity z tropu. Najzwyczajniej w świecie mnie skarcił, zupełnie jakbym powiedział coś obraźliwego lub

cholernie niestosownego. Żałuję, że wtedy nie zrozumiałem tego przekazu. To był sygnał ostrzegawczy, a rozszyfrowana wiadomość brzmiała: „nie paplaj jak stara przekupa, bo będziesz miał kłopoty”.

Jest takie mądre powiedzenie, że człowiek uczy się przez całe życie. Powiem wam, że jest to cholerna prawda. Jakkolwiek by na to patrzeć, wszelkie sytuacje, czy też zdarzenia, które nas spotykają, niosą ze sobą ogromną wiedzę. W jaki sposób ją spożytkujemy, to już zależy tylko od nas samych. Czy wyciągniemy odpowiednie wnioski, czy nie będziemy powielać tych samych błędów, a może staniemy się ostrożniejsi? Jak szybko uda nam się dostrzec różnicę pomiędzy złudzeniem a rzeczywistością? Każdy człowieka miewa złudzenia. To coś zupełnie naturalnego. Wiele rzeczy nam się wydaje albo chcielibyśmy je widzieć w odpowiednim świetle, albo co najgorsze zdarza nam się w niektóre bezgranicznie uwierzyć lub przyjąć je za oczywiste. Ja też miałem swój świat pełen złudzeń i chociaż nie był duży, bo zamykał się w obrębie więziennych murów, jednak istniał. Każdego dnia tętnił swoim życiem, a ja byłem jego częścią. Nasza codzienność kręciła się wokół spraw aktualnych. Rozmawialiśmy o tym, co dotyczyło nas samych, i narzekaliśmy na parszywą egzystencję, w której przyszło nam żyć. Wydawało mi się, że losy naszej szóstki w pewnym sensie były ze sobą powiązane. Miałem wrażenie, że jeśli zaistnieje taka potrzeba, będę mógł liczyć na życzliwość i wsparcie moich kumpli. Sęk w tym, że moje wyobrażenie miało się

nijk do rzeczywistości, ale o tym miałem się dopiero przekonać.

Od chwili, kiedy sekret zamkniętych cel wtargnął w moją monotonną codzienność, nie potrafiłem opanować odruchu zerkania w ich kierunku. Dokładnie osiemnaścioro drzwi, których nigdy nie otwierano. Zupełnie jakbym oczekiwał, że w pewnym momencie ujrzę tam nieznanych mi więźniów. Za każdym razem, gdy opuszczałem celę lub wracałem na blok, moje oczy i myśli goniły w tamtą stronę. Kiedy tylko znajome drzwi znajdowały się w zasięgu mojego wzroku, zaczynała mnie trawić niezdrówia ciekawość.

Tak samo było rankiem dwudziestego piątego lipca, w dniu świętego Krzysztofa. Zapamiętałem tę datę, ponieważ w moim domu rodzinnym, w stołowym pokoju wisiał na ścianie duży obraz przedstawiający oblicze świętego. Duży, brodaty mężczyzna z muskularnym torsem, niosący na swych barkach błogosławione dziecko. Moja matka modliła się do tego patrona podróżników, aby czuwał nad nami na naszej drodze życia, bo uważała, że ludzkie życie to podróż, a my jesteśmy pielgrzymami. Z tego też powodu dwudziesty piąty lipca był dla niej szczególnym dniem i przez to tak mocno wyrył się również w mojej pamięci.

Tego dnia wszystkie czynności przebiegały jak zazwyczaj. Pobudka, otwarcie drzwi i wyjście z cel. Pomknąłem oczywiście wzrokiem w kierunku, który mnie magnetyzował, ale tam jak zwykle nic się nie działo.

Wtem z dołu rozległ się donośny głos dozorczy:

– Więzień dwadzieścia-zero, sześć, wyjść z celi!

W pierwszym momencie nie wiedziałem, o kogo chodzi, chociaż każdego dnia miałem okazję zerkać na ten numer, namalowany czarną farbą tuż nad klapą kieszeni szarej, więziennej bluzy.

– Wencel, zaczynasz opóźniać nasze wyjście! – mówił strażnik coraz wyższym tonem.

Kiedy usłyszałem nazwisko, poczułem niepokój. Franek!? – przemknęło mi przez myśl i zerknąłem w stronę jego celi. Drzwi były otwarte, ale nie było przed nimi nikogo.

Po schodach szybkimi krokami zmierzało w tamtym kierunku dwóch strażników.

– Wencel, słodziutki tłuszczochu, już po ciebie idziemy! – W głosie pierwszego było słycać nutkę satysfakcji, że za chwilę ktoś dostanie nauczkę. – Lepiej żebyś... – Staął w drzwiach celi i nie dokończył swojej kwestii.

– Ożeż kurwa twoja mać! – powiedział z nieukrywaniem przerażeniem drugi klawisz.

– Co jest grane?! – krzyknął funkcjonariusz stojący przy drzwiach dyżurki.

– Wencel dzisiaj nie idzie na śniadanie! – padła odpowiedź.

Jeden z klawiszy przymknął drzwi celi i stanął przed nimi, a drugi zbiegł schodami w dół.

Mimo wszelkich niespodziewanych wydarzeń, które mogły się tutaj przytrafić w każdej chwili, system

musiał funkcjonować, a plan dnia przebiegać zgodnie z utartym harmonogramem.

Chwilę później wyprowadzono nas z bloku.

Nie było żadną tajemnicą, że Suchy i Franek są w dobrych układach. Nikogo więc nie zdziwiło, że jeszcze tego samego dnia Suchy miał najświeższe wiadomości.

– Kiedy rano otworzyli drzwi jego celi – opowiadał – leżał plackiem na podłodze i był zakrwawiony poniżej pasa. Trudno powiedzieć, kiedy stracił przytomność. Może w środku nocy, a może zaraz po pobudce? Gdy my w najlepsze zajadaliśmy śniadanie, dwóch sanitariuszy zatargało go na noszach do izby chorych. Jeden z nich powiedział, że w życiu nie widział tak spuchniętych jaj. Wyglądały jak niekształtna bryła obciążona napiętą skórą w sinobordowym kolorze z odstającym, przekrwionym kutasem. Ponoć kiedy lekarz to zobaczył, bez zastanowienia stwierdził, że prawdopodobnie temu człowiekowi amputują jądra. Rozumiecie ten dramat? – zapytał ni to nas, ni to siebie. – W tym parszywym więziennym lazarecie nie ma ani odpowiedniego sprzętu, ani warunków, żeby przeprowadzić jakikolwiek poważny zabieg. Tam mogą ci dać najwyżej coś przeciwbólowego, zrobić zwykły opatrunek, odwszawić, odrobaczyć, zdezynfekować lub podać coś od zatwardzenia. Nic ponadto. Z Frankiem musi być kiepska sprawa, bo parę godzin później zabrali go do wojskowego szpitala w Poznaniu... To wszystko jest jakieś pochrzanione! Że niby co? Że niby to zaczęło się od jednego kopnięcia, które Blacha mu

posłał w krocze? Tak go mocno uderzył, że zmiażdżył mu jądra? Oczywiście, nie mówię, że nie. Chłop pojękiwał, skarżył się na ból w jajach i nie był w najlepszej kondycji, ale w życiu bym nie pomyślał, że może dojść aż do czegoś takiego! A swoją drogą, to co miał zrobić? Pokazywać nam opuchnięte i zsiniałe przyrodzenie? Szukać u nas rady?

– Mówisz, że krwawił. A skąd wzięła się ta krew? – dociekał Kazik.

– Nie mam pojęcia skąd! Pewnie trysnęła mu z fiuta – odparł, a na jego twarzy pojawił się gorzki grymas.

– Powiadają, że kiedy człowiek szcza krwią, to jakby jedną nogą stał już nad własnym grobem. – Kazik jak zwykle wyskakiwał w najmniej odpowiednim momencie z najbardziej niestosownym stwierdzeniem.

– Czy ty, kurwa mać, zawsze musisz krakać? – warknął na niego Suchy.

– Ale co ja takiego powiedziałem – odburknął. – I wcale nie kraczę.

– Czasami to najlepiej nic nie mów – powiedział Suchy, ucinając dyskusję. – I teraz widzicie, kim dla nich tak naprawdę jesteśmy – rzucił po chwili. – Mogą ci odbić płuca – najwyraźniej siebie miał na myśli – mogą ci zmiażdżyć jaja, mogą cię zeszmacić i zgnoić, a nawet zupełnie bezkarnie zabić... tak jak Mietka. Co za popieprzony świat! Co za cholerny los! – Suchy huśtał się na skrajnych emocjach, raz był miękki jak wosk, a za chwilę pluł wściekłością. – Zdechniemy tu jak parszywe kundle!

– Może nie wszyscy tu i może nie w ten sposób – odezwał się spokojnym głosem Ojczulek. – Ale to prawda, na pewno wszyscy zdechniemy.

Gdy tak słuchałem, o czym rozmawiali, przyszło mi na myśl, że jeśli mielibyśmy wódkę, wzniosłbym teraz toast za godną śmierć każdego z nas.

Jak to zwykle w więziennej rzeczywistości bywa, przez pewien czas żyliśmy aferą, która na kilka dni rozniosła schemat naszej szarej codzienności. Było o czym pogadać na stołówce, a potem... potem temat sam zaczynał stygnąć i człowiek znowu wpadał w ponury, beznamiętny cykl.

Starąłem się, żeby moje życie sunęło prostym szlakiem. Obok wielu spraw przechodziłem zupełnie obojętnie. Nadal robiłem interesy z Hrabią, dzięki któremu między innymi hartowałem swój upór. Czasami byłem zmuszony do prehandlowania posiłku, ale w duchu snułem plany, że pewnego dnia znajdę inny sposób na zdobycie fajek. W niedzielne poranki biegałem z zasranymi wiadrami i dręczyłem się niewiedzą o ostatnim pięttrze. Niekiedy spoglądałem na wewnętrzną powierzchnię mojej dłoni, która straszyla szpetnymi bliznami i przypominała mi o mojej głupocie. Mimo wszystko czułem się szczęściarzem. Miałem cholerny fart, że moja rutyna wyglądała teraz zupełnie inaczej niż kilka miesięcy temu. Zawsze będę powtarzał, że najlepszą rzeczą, która może cię spotkać w pudle, jest odpowiednia praca. Wykonywanie jej przynosi radość i satysfakcję, pozwala poznać smak tych wszystkich uczuć, które są tak ważne i potrzeb-

ne w codziennej egzystencji. Baczenie obserwowałem świat dookoła mnie i wyciągałem odpowiednie wnioski, ale nie przyszło mi do głowy, że ktoś inny może w ten sam sposób śledzić moje poczynania.

Tym człowiekiem był stary Klemens, którego na stolarni nazywaliśmy „Dziadunio”.

Niewiele mogłem o nim powiedzieć, oprócz tego, że był świetnym fachurą i milczkiem. Prawie wcale się nie odzywał. Otwierał usta tylko wtedy, kiedy udzielał instrukcji lub wydawał polecenia dotyczące zajęć w warsztacie. Z biegiem dni zauważyłem, że z naszej trójki to właśnie mnie najczęściej wybierał do specjalnych prac. Chłopakom nie było to w smak. No cóż, Jaśki całymi dniami zbijali skrzynki, od czego naprawdę można było zgłupieć, ja zaś rozwijałem swoje umiejętności w prawdziwym, stolarskim rzemiośle.

Dziadunio cierpliwie i dokładnie demonstrował, jak mam coś zrobić, żeby wykonać to dobrze. Oczywiście czasami zdarzało mu się mnie skarcić. Nie wiem dlaczego, ale miałem wciąż nieodparte wrażenie, że cieszyła go praca ze mną. Widziałem to w jego starych, zmęczonych oczach. Praca to może zbyt duże słowo. Sądzę, że więcej w tym było nauczania i poznawania tajników zawodu. Całkiem możliwe, że czuł się wtedy jak mistrz, który jest dumny ze swojego czeladnika. A może w takich chwilach zapominał po prostu o tym miejscu, o murach, kratkach i strażnikach, może ten świat po prostu znikał? Domyślam się, że praca ze mną dawała mu namiastkę normalnego, zwykłego życia, które kiedyś miał. Przecież każdy z nas

miał kiedyś zwykłe życie...

W pewne sierpniowe przedpołudnie na stolarni pojawił się w asyście dozorczy najważniejszy człowiek w tym więzieniu, naczelnik Bronisław Wojciechowski we własnej osobie. Natychmiast przerwaliśmy pracę i każdy z nas stanął w postawie na bacność.

Tamtego dnia nawet przez myśl mi nie przeszło, że w moim życiu nadciągają wielkie zmiany. Dzisiaj, kiedy spoglądam wstecz na swoje życie, śmiało jednak mogę powiedzieć, że to właśnie wtedy wygrałem szczęśliwy los. Do końca nie wiem, komu powinienem to zawdzięczać. Bogu? Przeznaczeniu? Opatrzności? A może ziemskiej istocie w osobie naczelnika Wojciechowskiego? Przecież to on był architektem tego pomysłu.

Naczelnik, ubrany w elegancki, dwurzędowy garnitur, przechadzał się wolnym krokiem po warsztacie i lustrował efekty naszej pracy. Mina, która zagościła na jego twarzy, jednoznacznie wyrażała zadowolenie. W pewnym momencie zatrzymał się, spojrzał po kolei na każdego i kiwnął palcem w kierunku Dziadunia, dając mu wyraźny sygnał, że ma podejść.

– Ilu pracuje przy produkcji skrzynek? – zapytał.

– Dwóch panie, naczelniku – padła krótka odpowiedź.

– Dobrze sobie radzą. – Zdanie miało w sobie melodię pochwały.

Z ich rozmowy tylko tyle udało się nam usłyszeć, ponieważ naczelnik objął Dziadunia ramieniem, kładąc

swoją dłoń na jego przeciwległym barku, i wolnym krokiem udali się na drugi koniec stolarni. Rozmawiali o czymś, od czasu do czasu zerkając w naszą stronę.

Chwilę później naczelnik przywołał mnie swoim donośnym głosem:

– Więzień Żabikowski! Podejść!

– Tak jest! – odparłem i szybkim krokiem udałem się w jego kierunku.

Wojciechowski przez chwilę przyglądał mi się badawczym wzrokiem, po czym rzekł:

– Pamiętam twoją twarz. – Zmarszczył brwi i sprawiał wrażenie, jakby kartkował księgę swojej pamięci. – Ty jesteś tym, który szmuglował morfinę z izby chorych – ni pytał, ni stwierdził, ale patrzył na mnie w taki sposób, jakby oczekiwał odpowiedzi.

– Tak jest, panie naczelniku – odparłem. Stałem tak blisko niego, że aż zakrećilo mi się w nosie od zapachu jego wody kolońskiej.

– Klemens mówi, że jesteś bardzo zdolnym stolarzem. – Pokiwał z uznaniem głową. – Nie wiem, Żabikowski, czy, biorąc pod uwagę twój ostatni wybryk, mogę dać ci szansę.

– Panie naczelniku – wykorzystałem okazję, żeby grzecznie wskoczyć mu w zdanie – popełniłem błąd, którego bardzo żałuję – wyraziłem skruchę głosem pełnym szczerości, patrząc mu prosto w oczy.

Mężczyzna pokiwał głową, jakby się zastanawiał nad tym, co powinien zrobić.

– Dobrze, Żabikowski – powiedział po chwili. –

Każdy zasługuje na drugą szansę. Dostaniesz swoją, ale nie zawieź mnie, synu. Nie lubię, kiedy ktoś sprawia mi zawód.

Prawda była chyba nieco inna. Tutaj nie chodziło o dawanie jakiegokolwiek szansy, po prostu ja byłem jedynym sensownym wyborem. A tego wyboru dokonał Dziadunio, który zdążył się na mnie poznać i wskazał mnie naczelnikowi jako najodpowiedniejszego człowieka do tego zajęcia.

Wojciechowski postanowił pewnego dnia przebudować swój gabinet i nadać mu majestatyczny charakter. Zażyczył sobie regał, szafę i dwie komody w stylu kolonialnym, które miały zapełnić wolną ścianę w jego gabinecie i sięgać od podłogi aż po sufit. Taką robotę mogli wykonać tylko ludzie znający się na stolarce.

Dwa dni później ja i Dziadunio poruszaliśmy się po terenie Centralnego Więzienia we Wronkach z taką samą swobodą jak jego personel pracowniczy. Dostaliśmy specjalne przepustki z podpisem Wojciechowskiego. Wystarczyło tylko pokazać ten świstek papieru, a prawie wszystkie drzwi otwierano przed nami na oścież. Machałeś komuś przed oczami karteczką i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszyscy ustępowali ci z drogi! Pracowaliśmy bezpośrednio dla samego pana naczelnika, a jemu nikt nie chciał się narazić. Byliśmy nietykalni, a każdy klawisz co najwyżej mógł nam skoczyć. Nas dwóch nie obowiązywał żaden regulamin i żadne wewnętrzne przepisy.

Skazańcy poruszający się bez jakiegokolwiek eskorty

to obraz dość nietypowy i bardzo niepokojący. W pierwszych dniach zdarzyło się kilka razy, że na nasz widok kilku z zaskoczonych strażników sięgnęło po broń i kazało nam się zatrzymać, a niektórzy nawet rzucali komendę, żebyśmy padli twarzą na posadzkę. Powiem wam, że było to naprawdę bezcenne, móc chwilę później obserwować zdziwienie traktujące ich twarze. Coś pięknego! Największą satysfakcję jednak miałem po spotkaniu z aspirantem Szumskim. Pewnego dnia Dziadunio wysłał mnie, żebym sprawdził w gabinecie naczelnika kilka wymiarów, bo coś mu się nie zgadzało. Kiedy wracałem, natknąłem się na schodach na mojego ulubionego aspirancika. Gdy spojrzał na moją przepustkę, jego oczy zrobiły się duże, jakby dostał ataku wytrzeszczu, a twarz nabrała purpurowego koloru. I oto po raz kolejny zostałem koronnym świadkiem, kiedy władca królestwa nie miał żadnego pojęcia, co dzieje się z jego poddanymi. To była przeurocza chwila. Jakie to typowe dla ciemnej strony ludzkiej natury, prawda? Poczucie triumfu i dominacji nad drugim człowiekiem bez użycia siły. Czerpanie rozkoszy z czyjejś bezsilności, która w jednej chwili zamienia się w upokorzenie. Jeśli taka relacja pojawia się pomiędzy przełożonym a podwładnym i jeśli ten pierwszy jest górą, to nie ma w tym nic niezwykłego. Kiedy jednak role się odwracają, sytuacja nabiera zupełnie innego kolorytu. W więzieniu zaś wszystko liczy się podwójnie. Przez chwilę poczułem się niekwestionowanym władcą życia.

Ojczulek spojrzał na blankiet mojej przepustki, gwizdnął

przeciągle i powiedział z uznaniem:

– No, no, widzę, że zaczniesz robić karierę. – A potem przeczytał na głos treść przepustki, żeby chłopaki wiedzieli, o co chodzi.

– Brawo, Ropuszku – skwitował Suchy. – A ja głupi myślałem, że jeśli się czegoś dotkniesz, od razu zamieniasz to w gówno. – Miał talent, ledwo coś powiedział, a reszta już trzęsła się rozbawiona. – A tu proszę jaka niespodzianka. Nasz człowiek obraca się na więziennych salonach. Może szepnąłbyś naczelnikowi o paru sprawach. Wiesz, teraz jesteście tak blisko siebie. – Ostentacyjnie puścił oko. – Załatwiłbyś kolegom kilka drobnych tematów, rozumiesz, krótszy dzień pracy, dłuższe przerwy, lepsze żarcie.

Oczywiście było do przewidzenia, że reszta podłapie jego dowcip. Chwilę później zaczęli wyliczać i licytować się, czyja propozycja jest lepsza. Patrzyłem na ich roześmiane twarze, na radość tryskającą z ich oczu i wiedziałem, że mówią teraz o swoich małych marzeniach. O tym wszystkim, czego im brakuje i za czym tak bardzo tęsknią.

Pod dowództwem i czujnym okiem Dziadunia, nasza praca nad meblami dla naczelnika zdecydowanie posuwała się do przodu. Wojciechowski zaś pojawiał się co kilka dni w warsztacie, żeby osobiście sprawdzić efekty. Nie zabawiał u nas zbyt długo i najwyraźniej był zadowolony.

– A twoim zdaniem – zapytał mnie pewnego dnia Dziadunio – co będzie lepsze: wosk czy politura?

– Zdecydowanie politura – odparłem bez wahania.

Może nie miałem tak dużego doświadczenia jak on, ale swoje też przerobiłem w tej branży. Politurowałem i woskowałem meble od dwunastego roku życia. Nie musiałem dotykać powierzchni, żeby wiedzieć, czym została pokryta i jaką metodę stosowano. Poza tym politura ma swój urok, nadaje meblom dostojność i elegancję, a przy okazji wydobywa ze struktury drewna jego naturalną głębię. Jak mawiają pokerzyści, miałem swojego asa w rękawie, a właściwie dwa asy. Pierwszy tuz, znałem receptę na najlepszą politurę świata. Drugi as, miałem swój czarodziejski sposób na arcy mistrzowskie wykonanie. Jedyne, czego potrzebowałem, to odpowiednich składników i czasu.

Klemens zrobił listę potrzebnych rzeczy, wyjaśnił Wojciechowskiemu, o co chodzi, i po kilku dniach do warsztatu dostarczono nam wszystkie zamówione produkty. A nawet aż nadto.

Franek wrócił tego samego dnia, kiedy Hrabia zjawił się przed moim obliczem, aby w delikatny sposób mi przypomnieć, że niebawem mam szansę wysłać kolejny list.

– Trochę ci zeszło w tym szpitalu – powiedział Roman. – I jak się czujesz?

Wencel popatrzył na rozmówcę obojętnym wzrokiem.

– No, trochę mi zeszło – odburknął i bez pośpiechu dalej zjadał swój obiad.

Wymieniliśmy się spojrzeniami. Kazik zrobił

zdziwioną minę, Ojczulek lekko wzruszył ramionami, a Suchy pociągnął nosem. Przez dłuższą chwilę jedliśmy w milczeniu.

– Coś wam powiem – odezwał się Franek. – Prędeż czy później i tak się dowiecie. Nie chciałbym, żebyście za moimi plecami szeptali między sobą, a przede mną udawali, że o niczym nie wiecie. Miałem operację i wycięli mi jądra. Nie chcę o tym więcej gadać. Nigdy. Rozumiecie?

Na kilka minut zaległa pomiędzy nami kompletna cisza.

– Franek – kiedy usłyszałem głos Kazika, poczułem dziwne mrowienie na karku, jakby nadciągający odgłos globalnej katastrofy – a siostrzyczki w tym szpitalu to chociaż jakieś fajne i zdrowe dziewczuchy?

Chyba wszystkich zatkało.

– Kurwa mać – syknął Suchy. – Nie mam już najmniejszych wątpliwości, że jesteś popierdolonym kretynek. – W tonie jego głosu brzmiało zwątpienie.

– Odwal się ode mnie, człowieku. Co ja takiego złego znowu powiedziałem?

Siedziałem dokładnie na przeciwko Franka i widziałem, jak jego usta powoli zaczynają wyginać się w uśmiechnięty rogal. Coraz bardziej i bardziej, aż klika sekund później facet parsknął szczerym i zabójczo zaraźliwym śmiechem. Po chwili my również wyliśmy bez opamiętania. Cudem udało się Frankowi złapać oddech i zdążył przed następną salwą powiedzieć:

– Zdrowe dziewczuchy, człowieku, dupy miały jak

rasowe klacze. Nic tylko rżnąć i pchać aż po same jaja!

Suchy był tak rozbawiony, że łzy ciekły mu ciurkiem po policzkach. Roman tłukł pięścią w swoje udo, jakby miało to powstrzymać atak głupawki, która go ogarnęła. Ja i Ojczulek nie byliśmy gorsi. Tylko Kazik siedział jak markotne cielę i patrzył na nas jak na zjawisko. Kolesie przy stołach obok pewnie zastanawiali się, dlaczego niemal szczamy w gacie i kwiczymy jak prosięta. Opamiętanie przyszło wraz z uderzeniem pałki o blat naszego stołu.

– Zamknąć mordy! – wrzasnął klawisz. – Albo wam pomogę!

Kiedy po wielu latach zdarzało mi się czasami opowiadać tę historię, a jedynym dowodem na jej istnienie były już tylko moje wspomnienia, zawsze kończyłem ją tą samą sentencją: „W życiu trzeba odważnie stawiać czoło wszystkim podłościom, które nas spotykają”.

Nie wydaje wam się trochę śmieszne, że te najbardziej delikatne męskie organy są symbolem żelaznego charakteru. Kiedy jakiś mężczyzna porwie się na coś niezwykłego albo szalonego, albo coś, co innych przyprawia o gęsią skórkę, wielkie zdziwienie czy podziw, można czasami usłyszeć: „trzeba mieć jaja, żeby to zrobić”. Ja też zostałem tak oceniony, chociaż uważam, że zrobiłem coś durnego. Gdzie zatem leży prawda? Myślę, że brawurę od głupoty dzieli bardzo delikatna granica. Czy naprawdę potrafimy jednomyślnie odróżnić bohatera od idioty? Z drugiej strony łatwo jest oceniać innych, kiedy stoimy z boku i kierujemy się jedynie własną hie-

rarchią wartości. Wiem, że czasami jednak człowiek po prostu musi coś zrobić bez względu na konsekwencje.

Myślę, że Franek bardzo szybko pogodził się z utratą symbolu męskości. Może stało się to nawet tego dnia, kiedy zanieśliśmy się gromkim śmiechem? Jestem jednak przekonany, że tamtego dnia już wiedział, co musi zrobić.

Dzięki pracy, która wypełniała moje dni, więzienie stało się dla mnie zupełnie inne. Nie było już tym samym miejsce co kiedyś. Przepustka z podpisem naczelnika dawała mi swobodę. Kiedy zgłaszałem dozorczy bloku lub oddziału, że w sobotę po obiedzie muszę iść na stolarnię, nikt nie śmiał się sprzeciwić. Dostawałem pełne przyzwolenie. W niedzielne poranki tradycyjnie biegałem z wiadrami do latryny, ale jeśli przed południem nie miałem ochoty siedzieć w celi, meldowałem, że muszę iść robić meble dla naczelnika, i puszczali mnie wolno. Tak na dobrą sprawę, pałętałem się tutaj co najmniej jak jakiś waźniak na państwowym garnuszku, a nie skazaniec odbywający karę dożywocia. Z drugiej strony byłem jednak pracowity i nie przychodziłem do warsztatu, żeby się obijać. Naprawdę kochałem to zajęcie. Kochałem też zapach suchego drewna, gładki dotyk oheblowanej deski, puszystość trocin... to wszystko w pewnym sensie przypominało mi o innej, lepszej wersji mojego życia. Cieszyły mnie efekty mojej pracy, kiedy wszystko powoli nabierało odpowiednich kształtów, zmieniało swoją barwę i dostawało blasku od kolejnej warstwy politur. Potrafi-

łem zatracić się w tym, co robię.

Gabinet naczelnika Wojciechowskiego był bardzo przestronny i mieścił się w osobnym budynku zwanym przez wszystkich „administracyjnym”. W związku z tym, że znajdował się w jego narożnej części, trzy okna spoglądały bezpośrednio na więzienne zabudowania, dziedziniec i główne wejście, a trzy następne wychodziły na cudowny, normalny świat. Świat oddzielony jedynie wysokim więziennym murem. Można było spojrzeć przez okna pozbawione krat i zobaczyć tam ludzi, drzewa, domy... I chociaż fizycznie było to niemożliwe, wydawało się, że wystarczy jeden porządny skok i człowiek znajdzie się po drugiej stronie.

Z końcem lata zaczęliśmy z Dziaduniem montaż mebli. Specjalnie rozłożyliśmy się z kłopotami prawie na całej powierzchni podłogi, żeby Wojciechowski sam uznał za stosowne i wyniósł się na czas naszej pracy. Oczywiście nie spieszyło się nam za bardzo.

Pewnego dnia stałem w oknie i paliłem papierosa, kiedy nagle przed więzienną bramą rozległ się donośny, samochodowy klakson. Chwilę później na dziedziniec wjechała ciemna furgonetka.

– Co, przypominasz sobie, jak było z tobą? – odezwał się Klemens, który stał tuż obok.

– Tylko raz w życiu jechałem takim pojazdem – odparłem. – I jak na złość, to nie była zwykła wycieczka, tylko transport do tego parszywego miejsca.

– To i tak masz, co wspominać – skwitował. – Mnie

przywieźli tutaj razem z dziesięcioma innymi więźniami na zwykłej okratowanej furmance, zaprzęgniętej w dwa stare konie. Pewnie kiedyś jeszcze się przejadę automobilem, ale wtedy będę leżał w drewnianej skrzyni. A szkoda, bo chciałbym poczuć, jak to jest wozić się czymś takim – westchnął.

Byłem naprawdę zaskoczony, po raz pierwszy mówił tak dużo i o czymś innym niż praca!

– Zapalisz? – Poczęstowałem go papierosem.

Na zewnątrz rozgrywała się czyjaś historia. Dwóch strażników pomagało jakiemuś człowiekowi wykaraskać się z samochodowej paki. Klawisze nie byli zbyt delikatni. Skuty w kajdany mężczyzna był postawny i co dziwne ubrany w więzienny drelich. Nieco inny niż nasz, ale na pewno więzienny. Bluzy skazańców miały wtedy charakterystyczną cechę – naszytą na lewej piersi, tuż pod numerem więźnia, kieszeń w znacznie ciemniejszym kolorze niż reszta uniformu. Powiadali, że ciemna kieszeń znajdowała się tam tylko w jednym celu – służyła za punkt, w który należało mierzyć i strzelać, jeśli ktoś ubrany w takie wdzianko podjąłby się ucieczki.

– Chyba komuś zmienili miejsce zakwaterowania – wywnioskowałem.

Na dziedzińcu dostrzegłem naczelnika i szefa straży. Kalinowski najpierw coś mówił do nowo przybyłego więźnia, a potem niespodziewanie wymierzył mu kilka siarczystych policzków. Kiedy dozorczy chcieli pochwycić mężczyznę w kajdanach, zaczął stawiać zdecydowany opór. Wówczas podbiegło dwóch kolejnych klawiszów

i zaczęli go wściekle okładać pałkami. Tłukli po plecach, po barkach, po nogach. Długo trzymał się twardo niczym kamienny posąg, ale w końcu padł na bruk. Dopiero wtedy przestali go lać. Na wpół przytomnego zawlekli przed front wieży z zegarem. Tam najwyraźniej, w myśl niepisanej tradycji, kazali mu klęknąć. Jeden ze strażników stanął mu za plecami, złapał go za czuprynę i pociągnął do siebie, a drugi chlusnął mu prosto w twarz wiadrem pełnym wody.

Zegar na wieży pokazywał kwadrans po dziewiątej.

– I będzie tam musiał klęczeć do południa – powiedziałem. – Ciekawe, czy da radę? Ja nie podołałem.

– Skoro nagrzeszył, to niech klęczy – skwitował Dziadunio. – Widocznie zasłużył na swój los, tak samo jak my.

– Za co cię skazali? – zapytałem wprost.

Spojrzał mi w oczy i odparł:

– Za wściekłość.

Nie wiem dlaczego, ale poczułem zimny dreszcz, kiedy to usłyszałem. Nigdy więcej nie wróciliśmy do tego tematu.

Prawie przez cały tydzień cackaliśmy się ze zbijaniem regału oraz skręcaniem szafy i komód, ale kiedy zamontowaliśmy ostatnie elementy, całość wyglądała imponująco. Prawdę powiedziawszy, sam byłem zaskoczony, że tak dobrze wyszło. Dziadunio wykazywał mniej entuzjazmu i efekt naszej pracy skwitował jakby od niechcienia:

– No, może być.

Naczelnik Wojciechowski wprost nie mógł wyjść z podziwu. Zachwycony swoim nowym nabytkiem cieszył się niczym dzieciak nową zabawką.

– Zrobicie mi jeszcze w tym samym stylu nowe biurko, bo to zupełnie teraz tutaj nie pasuje. – Uderzył dłonią w jego blat. – I jeszcze stół i sześć krzeseł, żeby wszystko wyglądało jak z jednego sortu – postanowił. – Dobra robota, zasłużyliście na nagrodę – powiedział, wyjmując z kieszeni pęk kluczy, którymi otworzył drzwiczki biurka po prawej stronie. Sięgnął do środka, wyciągnął czarną, pękatą butelkę i trzy fantazyjne, kryształowe szklaneczki. – Francuski koniak, bardzo dobry – powiedział z uznaniem. – Tylko na wyjątkowe okazje. – Zappełnił szkło w połowie. – Proszę bardzo, częstujcie się.

– Ja dziękuję – odparł Dziadunio. – Niestety, nie mogę.

– A co, zdrowko nie pozwala? – zapytał pierwszy po Bogu.

– Nie, panie naczelniku, rzuciłem picie dawno temu. Alkohol mi nie służy.

Pomyślałem, że toast z największą szychą w tym więzieniu i dwa łyki koniaku to naprawdę marna nagroda. Wojciechowski stracił w moich oczach. Wcześniej byłem przekonany, że ten facet ma w sobie klasę, odpowiadając marce noszonych przez siebie garniturów. Z drugiej jednak strony, jak miał nas potraktować? Utwierdziło mnie to jedynie w przekonaniu, że w tym świecie, jeśli czegoś chcesz, musisz się o to po prostu bezczelnie upomnieć.

Wychyliłem alkohol do dna. Naczelnik spojrzał na mnie, podał mi porcję Dziadunia i powiedział:

– Na zdrowie, młodzieńcze.

– Na zdrowie – odparłem i ponownie jednym haustem wlałem w siebie całą zawartość.

Wojciechowski patrzył na mnie z lekkim niesmakiem i zaskoczeniem, jakby chciał powiedzieć, że zbeczczyłem tak przedni i szlachetny trunek, że nie doceniłem unikalnego bukietu smaków i nie delektowałem się małymi łyčzkami, by poczuć rozkosz na podniebieniu, i w ogóle zachowałem się jak prostak i cham.

Niewielka porcja alkoholu dodała mi animuszu i nie bacząc na konsekwencje moich słów, odezwałem się:

– Panie naczelniku, wykonaliśmy kawał dobrej roboty i nie sądzę, żeby ten przedni napój był dla nas wystarczającą nagrodą. – Spojrzałem na Klemensa i zobaczyłem krzyk zdziwienia bijący z jego oczu. Przeniosłem wzrok na naczelnika, który zastygł w bezruchu ze szklanką przy ustach.

– Proszę mi wybaczyć, że ja tak bez ogródek, ale jestem prostym człowiekiem i co leży mi na sercu, to powiem. Będziemy szczęśliwi, jeśli każdy z nas w nagrodę dostanie tygodniowy przydział papierosów. To naprawdę niewiele za tak solidną pracę. – Wskażałem dłonią na rząd mebli połyskujących nieskazitelnym blaskiem. – A gdyby jeszcze była taka możliwość, żeby Klemens mógł się przejechać po więziennym dziedzińcu automobilem. Miałby pan świadomość, że spełnił czyjeś skryte marzenie. To tyle, co chciałem powiedzieć.

Przez chwilę wszyscy trzej staliśmy, patrząc po

sobie. Czułem, jak moje serce wściekle łopocze w pierśsiach. Sam nie wiem, czy to przez alkohol, czy przez odwagę, na jaką się zdobyłem, wysuwając swoje skromne żądania. Skromne. Prawie banalne. Błahe. Trudno mi znaleźć w tej chwili najodpowiedniejsze słowo, ale mam nadzieję, że rozumiecie, o czym mówię. Fajki, jeden tuzin, po sześć paczek na łeb i rundka samochodem po placu, czy to coś wygórowanego za tygodnie solidnej pracy? Naczelnik spojrział na mnie spod uniesionych brwi i powiedział:

– Żabikowski, w pewnym sensie jesteś zuchwały, ale... dobrze, niech będzie. Dostaniecie papierosy, a ty – wskazał palcem na Dziadunia – spełnisz swoje motoryzacyjne marzenie. Chodźmy! A co mi tam.

Poczułem się tak, jakby cały świat, który do tej pory mnie przygniatał, zeskoczył z moich ramion. Usłyszałem też ulgę w oddechu Klemensa.

Wrześniowe słońce otulało ciepłem swoich promieni więzienny dziedziniec. W powietrzu unosił się zapach nadchodzącej jesieni. Korony drzew, które wychylały się z drugiej strony wysokiego muru, mieniły się paletą cudownych barw, zupełnie jakby wyszły spod pędzla boga impresjonistów. Na tle błękitnego nieba ich soczysta zieleń tworzyła zmysłowy kontrast. Gdzieś tam dojrzałe liście zaczynały już przechodzić w złocistą żółć, intensywny pomarańcz lub krwistą czerwień. Lekki wietrzyk baraszkował pośród kolorów i nucił szeleszczącą melodię. Wszystkie liście na drzewach tańczyły i wirowały pełne wdzięku, swobody i naturalnej gracji. To było

takie czyste i piękne. Gdybym tylko potrafił, zatrzymałbym tę chwilę na zawsze.

Stałem tuż obok naczelnika Wojciechowskiego, paliłem papierosa i z radością w duszy patrzyłem, jak sam przodownik Blaszański, kręcąc ósemki po wybrukowanym placu, woził rozpromienionego Dziadunia. Blacha miał nietęgą minę i prawdopodobnie czuł się jak ostatni idiota, zupełnie nie pojmując, dlaczego jego przełożony każe mu dla zabawy wozić jednego z najstarszych skazańców.

Naczelnik Wojciechowski, ubrany w jeden ze swoich świetnie skrojonych garniturów, z fioletową poszetką wetkniętą w kieszonkę tuż nad lewą piersią, i ja w więziennym drelichu, z numerem wymalowanym tuż nad ciemną kieszenią, patrzyliśmy w tym samym kierunku i uśmiechaliśmy się, widząc radość staruszka. Dziadunio nie potrafił się nadziwić, jak to możliwe, że to duże, warczące, metalowe pudło na czterech kołach potrafi jeździć!

Staliśmy obok siebie tak zwyczajnie, po prostu. Jak dwoje ludzi stojących ramię w ramię i spoglądających w tym samym kierunku. Przez kilka minut czułem się tak, jakby nie było tego więzienia, pana naczelnika i skazańca numer dwadzieścia dziewięć-jedenaście. Wypełniał mnie spokój i radość. A potem pomyślałem, że warto było przez długie tygodnie pracować tylko po to, żeby doczekać tej chwili.

– Żabikowski – odezwał się nagle naczelnik – chyba sprawiłeś temu staremu człowiekowi wielką radość.
– Po przyjacielsku klepnął mnie w ramię.

– Chyba tak, panie naczelniku – odparłem po chwili.

– Nie wierzę! – zaprzeczył głośno Suchy. – Blacha?! Sam Blacha?! – powiedział z naciskiem. – Ten Blaszański robił za cholernego szofera?! Wciskasz nam kit, prawda? – Najwyraźniej jednak nie był w stanie przyjąć tego do wiadomości.

– Świat się zmienia – skwitował Ojczulek. – Skoro najostrzejsza straż zabawia skazańców, znakiem tego Armagedon jest bliski.

Chłopaki nie mogli się nadziwić.

– Ale patrząc na to z drugiej strony – odezwał się Roman – jak bardzo trzeba być odważnym, albo też głupim, żeby stawiać naczelnikowi żądania?

– Eee tam, po pijaku nie takie rzeczy można robić – skwitował Kazik.

– Po pijaku?! Walnij się, chłopie, w ten pusty łeb. – Suchy od jakiegoś czasu najwyraźniej był cięty na Kazika. – Facet wypił dwa łyeczki jakiegoś francuskiego sikacza, a ty bredzisz nie wiadomo o czym. Pacan.

Jego rozmówca nic nie odpowiedział, zrobił tylko minę, jakby to po nim spłynęło, wzruszył ramionami i dalej spokojnie zjadał kolację.

– Tak czy siak, zrobiłeś coś niebywałego – odezwał się Ojczulek. – Kto wie może za jakiś czas jeszcze bardziej zacieśnisz znajomości z drugą stroną?

– Nie sądzę, żeby to było możliwe – odparłem.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu.

– Słyszeliście już o najbardziej zuchwałej kradzieży w waszej kochanej Rzeczpospolitej? – Ojczulek miał jakąś ciekawą wiadomości. Spojrzał po naszych twarzach i stwierdził, że najwyraźniej nie mamy o niczym pojęcia. – Pod koniec sierpnia z archidiecezji gnieźnieńskiej ktoś ukradł relikwiarz z głową świętego Wojciecha! – powiedział z wyraźnym oburzeniem w głosie. – W Polsce nastał czas okradania kościołów!

– Kompletny idiotyzm – skwitował Suchy. – Raz, że pamiątka narodowa, dwa, że nikt tego nie kupi. Żaden paser się nie połakomi... – Sprawiał wrażenie, jakby się zastanawiał. – Chyba że – zaczął tajemniczo i powoli – była to robota na zlecenie – brzmiał niczym prawdziwy ekspert. – Tylko tak można to wytłumaczyć. Jakiś dziany kolekcjoner ubzdurał sobie coś w swoim rozpieszczonym łbie, wyłożył mamonę, a chętni na zarobienie szybkiego grosza zawsze się znajdą. Nawet sobie nie zdajecie sprawy, na co niektórzy ludzie wywalają forszę!

– Ale żeby kraść z kościoła? – Kazik też był zbulwersowany. – Świat schodzi na psy.

Kiedy leżałem na pryczy, patrząc na wrześnieowy zmierzch po drugiej stronie krat, pomyślałem, że to był bardzo ważny i udany dzień w moim życiu.

Nie wspominałem o tym chłopakom, ale kiedy przejażdżka po dziedzińcu dobiegła końca i zanieśliśmy skrzynki z narzędziami do warsztatu, staruszek spojrzął na mnie oczami pełnymi łez i powiedział:

– Dziękuję. Przypomniałeś mi dzisiaj, jakie to

uczucie, kiedy jeden człowiek robi coś dla drugiego zupełnie bezinteresownie. – Przetarł oczy rękawem bluzy. – Chyba się trochę wzruszyłem – zaśmiał się nieco zawstydzony.

Potem usiedliśmy w rogu na zydelkach i opierając się plecami o ścianę, paliliśmy papierosy i po raz pierwszy tak naprawdę rozmawialiśmy o rzeczach, które nie dotyczyły pracy. Dziadunio wspominał dzisiejsze wydarzenia ze szczerą radością w głosie.

– Ale kiedy powiedziałeś mi, czego chcesz, w pierwszej chwili o mało nie narobiłem w gacie.

– Ja też – przyznałem się.

Przez dłuższą chwilę rechotaliśmy rozbawieni.

– Proszę, zatrzymaj moją działkę. – Podał mi papierosy.

– Nie, nie, nie mogę.

– Proszę, zrób to dla mnie – nalegał.

– Jesteś tego pewien?

– Zrób mi tę przyjemność i weź fajki. Proszę. Tobie się bardziej przydadzą – zabrzmiało w taki sposób, jakby wiedział o moim geszefcie z Hrabią. Oczywiście było to niemożliwe, bo tylko Ojczulek miał pojęcie, jak sprawy się mają. Chyba że... Hrabia paplał ozorem na prawo i lewo. Nie, na pewno nie. Raczej nie. Chyba nie byłby aż takim idiotą? Przecież sam mnie pouczał, że nie mogę nikomu nic gadać. Może moja wyobraźnia zbyt szybko doszukiwała się nieuzasadnionych podejrzeń, a stwierdzenie Dziadunia było tylko czystym przypadkiem.

– Wiesz o tym, że ta stolarnia, że praca tutaj, w tym

miejscu – powiedział – to twoja szansa na znośne życie w tym przeklętym więzieniu.

– Tak, wiem – odpowiedziałem, potakując głową.

– Nie zmarnuj tego, chłopcze, pamiętaj, że nie ma ludzi niezastąpionych. Ja już niedługo pociągnę, ale jeszcze za nim przyjdzie moja kolej, nauczę cię wszystkiego, co umiem. Nie naprawię swojego życia – ciągnął Dziadunio – ale mogę dołożyć starań, żeby twoje było tutaj lepsze. Dawno temu popełniłem straszliwą zbrodnię... – Głęboko zaciągnął się dymem. – Kiedy teraz spoglądam na swoje życie, myślę, że powinienem dostać czapę, a nie dożywocie. Czasami czuję się tak, jakbym trafił na ten świat przez pomyłkę Wszchemogącego, w którego istnienie, swoją drogą, szczerze wątpię. Bo cóż to za Bóg, że stworzył świat pełen ludzkiej złości i nienawiści? Po co to wszystko? Komu to potrzebne? A może to on jest za to wszystko odpowiedzialny? Wierysz w Boga? – zapytał, nagle zmieniając temat.

– Tak, wierzę – odparłem z przekonaniem.

– To dobrze, jeśli będziesz wierzył, jakoś dasz radę, ale jeśli zwątpisz tak jak ja... poczujesz w sobie pustkę.

Potem powiedział mi o więzieniu w Barczewie, w którym spędził blisko dwadzieścia lat. Miałem wrażenie, że przywołuje historie z piekła rodem. Mówił mi o tym, jak nauczył się stolarskiego fechtunku, jak razem z Klocem trafili do Wronek pod koniec ubiegłego wieku, kiedy Prusacy rozpoczęli budowę tej twierdzy odkupienia, jak własnymi rękoma i ciężką, niewolniczą pracą razem z innymi skazanymi wznosili tę budowlę z czerwonej

cegły. Historia jego życia była pełna smutku i bólu. Nie zdradził mi, w jaki sposób to wszystko się zaczęło. Cóż takiego uczynił, że spotkał go taki los? W sumie nie miało to żadnego znaczenia. Domyślałem się. Na pewno było tak, jak powiedział kiedyś Ojczulek: „ Nie musisz mi mówić, co zrobiłeś, wiem, że za każdym wyrokiem dożywocia czai się śmierć”.

W ostatnią niedzielę września przekazałem Hrabiemu według naszej wcześniejszej umowy dziesięć paczek papierosów, za które miałem otrzymać wiadomości od matki. Wydawał się nie lada zadowolony, że wpadła mu taka okrągła liczba skrzyńeczek.

– Nic się nie martw, przyjacielu – powiedział. – Będzie dobrze, moja kobieta tam pojedzie i za miesiąc dostaniesz świeżutkie wieści od Zofii Żabikowskiej, która mieszka przy ulicy Przemysłowej czternaście, w Kaliszu. Zgadza się? – zapytał i uśmiechnął się szeroko, ukazując dwa rzędy śnieżnobiałych zębów. Po raz kolejny odniosłem wrażenie, że traktuje je jak swoją najlepszą wizytówkę.

Muszę przyznać, że tym razem, tak samo jak zawsze, bez wątpienia mi udowodnił, iż wie, jak dbać o zadowolenie klienta. Na koniec wymieniliśmy uścisk dłoni i każdy z nas oddalił się w przeciwnym kierunku.

Rozejrzałem się dookoła, wypatrując chłopaków. Ojczulek siedział sam na stopniach placu apelowego. Ruszyłem w jego stronę.

– Słyszałeś o nowej osobistości, która tutaj zawita-

ła? – Kiwnął głową w kierunku rosnącego mężczyzny przechadzającego się samotnie spacerniakiem.

– Chyba widziałem go jakiś czas temu, kiedy go tutaj przywieźli. Twardy gość. Któż to taki? – zapytałem bardziej przez grzeczność niż z ciekawości.

– Kiedyś Wilhelm Wolf, a później ochrzczono go „Rzeźnikiem z Danzig”. Dla jednych bohater, dla drugich zwyrodnialec. Ponoć facet przez długie lata na własną rękę wymierzał sprawiedliwość. W pewnym sensie wyręczał policję, bo robił porządek z szumowinami wszelkiego kalibru. Został oskarżony o wiele podłych rzeczy, ale udowodniono mu tylko jedno morderstwo. Jest najlepszym przykładem na to, jak szybko człowiekiem może zawładnąć jego mroczna natura. Pamiętam, że jakieś dwa lata temu jego proces należał do najgłośniejszych w kraju. Wolf, zanim stał się tym, kim się stał, tkwił w idealnym świecie. Był dobrze zapowiadającym się chirurgiem i wróżono mu zawrotną karierę. Miał rodzinę i piękny dom. Jednak pewnego dnia, na grubo przed wybuchem wojny, ten bajeczny świat rozpadł się na miliardy kawałków. Ktoś napadł na jego dom i sprawy potoczyły się nie tak, jak powinny. Zwykły rabunek zamienił się w krwawą jatkę. Jego żona i syn zostali zaszlachtowani, a on sam ledwo przeżył. Policja nigdy nie wykryła sprawców zbrodni. Myślę, że bezradność i nieudolność organów ścigania pchnęły Wilhelma Wolfa w sidła szaleństwa. Chęć zemsty i uparte dążenie do ukarania winnych spowodowały, że bardzo szybko przekroczył granicę, zza której już nie było powrotu. *Kto walczy z potworami,*

niech uważa, by sam nie stał się potworem, jak powiedział Nietzsche.

Słuchałem w osłupieniu tego, co mówił Ojczulek. Wydawało mi się nieprawdopodobne, że ludzie mogą być zdolni do takich aktów.

– Skąd o tym wszystkim wiesz? – zapytałem.

– Trochę czytam, trochę rozmawiam, niektóre wieści docierają tutaj podczas odwiedzin, a klawisze też czasami sprzedają informacje o niektórych więźniach.

– Dostał sznurek? – spytałem.

– Nie, dożywocie. Najwyraźniej sędzia doszedł do wniosku, że działalność Wolfa miała w pewnym sensie zbawienny charakter dla społeczeństwa. Czy zauważasz, jaki los potrafi być przewrotny? – zapytał, ale najwyraźniej nie oczekiwał żadnej odpowiedzi. – Rzeźnik z Danzig i my wszyscy w jednym miejscu. – Ojczulek zaśmiał się złowieszczo.

Przez dłuższą chwilę żaden z nas nie odezwał się słowem.

– Widzę, że nieźle karmisz tego wiecznie uśmiechniętego kombinatora – zmienił temat, podrzucając w dłoni mały kamień. – Wywiązuje się chociaż ze swoich zobowiązań? Czy tylko – zerknąłem na niego nieco zaskoczonym wzrokiem – bez żadnych gwarancji inwestujesz w ten interes? Wystarczy tylko wygodnie się rozłożyć i obserwować. Wszystko widać jak na dłoni. Wszystko. Żadnych tajemnic. Widzę, kto z kim trzyma, kogo unikać, gdzie zawiązują się jakieś porozumienia, kto z kim kręci i kogo kręca. – Strzelał wzrokiem w różnych kierunkach, jakby

chciał mi pokazać, o czym konkretnie opowiada. – Suchy z Frankiem też ostatnimi czasy bardziej się zżyli. Nie sądzisz? – Kiwnął głową w stronę budynku, gdzie stali ci dwaj. – A my już mamy jesień, mój młody przyjacielu, kolejną jesień... – powiedział powoli i smutnym głosem.

– Chyba nie przepadasz za tą porą roku, co? – zapytałem, bo nie bardzo wiedziałem, co w ogóle mam powiedzieć.

– Jestem już tym wszystkim zmęczony, naprawdę. – Przegładził dłonią swoje siwe włosy zaczesane do tyłu. – Muszę się przejść. No, to tymczasem. – Dał mi do zrozumienia, że ma ochotę na samotny spacer. Wstając, klepnął mnie w ramię i leniwym krokiem ruszył przed siebie.

Spoglądałem na jego oddalającą się sylwetkę, szedł wolno wzdłuż wschodniej części spacerniaka, a ja, nie wiedząc dlaczego, nagle wyobraziłem sobie ciężar jego wszystkich lat, które spędził w więzieniu.

Z początkiem października świat zapłakał i wydawało się, że już nigdy nie powstrzyma swoich łez. Każdy dzień był szary i dżdżysty. Spacerniak zamienił się w wielką kałużę, a ścieżka prowadząca dookoła była niczym błotnisty szlak, po którym człowiek z trudem stawiał kroki i grzązał po kostki w lepkiej mazi. Oczywiście pogoda nie miała najmniejszego wpływu na obowiązujące przepisy i regulaminy, dlatego bez względu na aurę nasze życie toczyło się według tych samych harmonogramów co zawsze. Muszę przyznać, że były takie dni, kiedy naprawdę czu-

łem się wybrańcem. W związku z tym, że razem z Dziaduniem realizowaliśmy zachciankę naczelnika, mogłem znikać na całe dni i spędzać je w stolarni. Zawsze też z uporem zabiegałem, aby żadnej niedzieli nie traktować w wyjątkowy sposób. Naprawdę szczerze nienawidziłem beczynnego siedzenia w celi. Kiedy my dwaj w świąteczne dni oddawaliśmy się zajęciu, które sprawiało nam satysfakcję, pozostali tonęli w strugach ulewnego deszczu na spacerniaku. Kiedy oni przemakali na wskroś i z całego serca zazdrościli klawiszom ich brązowych, długich pałatek, my siedzieliśmy w suchym pomieszczeniu. Kiedy inni skazańcy nosili wilgotne ubranie, my grzaliśmy się w najlepsze, paląc trocinami i drewnianymi odpadami w specjalnym piecu, którego zadaniem było utrzymać odpowiednią temperaturę w warsztacie. Praca z drewnem to nie łupanie kamieni. Drzewo przeznaczone na meble ma swoje podstawowe wymagania, które trzeba spełnić.

– Pamiętam, jak stawialiśmy ten piec – powiedział kiedyś Dziadunio. – To było ponad ćwierć wieku temu. – Uśmiechnął się do swoich wspomnień. – Jeden z więźniów był zdunem, miał na imię Ginter. Widzisz, spójrz tutaj. – Pokazał na pierwszy od podłogi kafel przylegający do ściany z prawej strony. – Widzisz to? – Dokładnie po środku kremowego szkliva był wygrawerowany symbol. Nieduży. Może miał dwa centymetry na dwa. – To pierwsza litera od jego imienia, „G” jak Ginter. Ja też nie umiem czytać, ale wiem, że to jest litera „G”. Ginter to był prawdziwy szpenio. Kombinował tutaj jak mało kto, he, he – zaśmiał się. – Lubiłem go. Byliśmy kumplami.

Dostał kilka lat, chyba za jakiś rozbój, i niebawem miał wyjść, ale wiedział, że moja odsiadka będzie trwać do końca życia. W sumie to on wymyślił ten piec. Znaczy się, miał zbudować tutaj piec tylko trochę inny, nie taki jak ten. Miał tutaj stać zwykły, typowy kaflak. Wiesz jaki, prawda? Tradycyjny piec, szeroki na metr dwadzieścia, głęboki na metr dwadzieścia i wysoki na dwa i pół. Ale Ginter mówi kiedyś do mnie tak: „taki piec na nic się tobie tutaj nie zda, będzie tylko grzał, i to wszystko. Zrobię coś lepszego, zbuduję ci pieco-kuchnię. Taki piec, którego jedna ćwiartka jest przeznaczony na kuchnię. U góry będzie żeliwna płyta, zrobi się dwa niezależne paleniska i kiedy tylko zapragniesz, będziesz mógł sobie parzyć czaj”. – Spojrzał na mnie i zniemacka zapytał: – Piłeś kiedyś czaj?

– Nie, nie miałem okazji.

– Jaja sobie robisz? – Najwyraźniej nie wierzył w to, co usłyszał.

– Poważnie, wiele razy słyszałem o tym napoju, ale nie znam jego smaku.

– Smaku? Smak czajury jest podły, prawdziwe ścierwo, jednak nieźle wali po łbie i tłoczy po żyłach. Któregoś dnia zrobię czaju. – Uśmiechnął się i posłał mi oko. – Ale wracając do rzeczy – Dziadunio ślizgał się po tematach – Ginter mówi do mnie tak: „musisz tylko przekonać tego inżynierka z biura Fürskera, że takie rozwiązanie jest najlepsze. Nakładź mu bzdur do głowy, że drewno do stolarki potrzebuje nie tylko odpowiedniej temperatury, ale i wilgotności. Powiedz, że kiedy się suszy

drzewo na meble, najlepiej w takim pomieszczeniu postawić na palenisku garnek z wodą, żeby powietrze nie było zbyt suche. Ale woda musi być dobrze posolona, to mu powiedz koniecznie. Będzie miał taką zagwozdkę, że nigdy jej nie rozszyfruje. On jest dumny z tego tematu, wie jak układać fundamenty, cegły i jak robić sklepienia, może wie, jak montować krokwie czy ościeżnice, ale nie ma pojęcia o meblach. Mów tak, jakbyś się na tym znał. Powiedz, że to stara sprawdzona szkoła, że najlepsi stolarze tak robią, że jeśli będzie tutaj za sucho, drewniane deski będą pękać, rozwarstwiać się, wyginać, łamać, że każda z nich będzie po prostu do dupy. Gadaj dużo, gadaj, co tylko ci ślina na język przyniesie, byleby mądrze brzmiało”. Posłuchałem jego rady i tak też zrobiłem. Rzeczywiście, tak jak przypuszczał Ginter, ten inżynier, który kontrolował tutaj prace budowlane, nie miał żadnego pojęcia o stolarce meblowej. Robił mądre miny, kiwał głową, przytakiwał, spisał kilka protokółów i dał pozwolenie na realizowanie naszego pomysłu. I tak oto dzięki Ginterowi mamy tutaj to, co widzisz. – Wskazał na piec, od którego biło przyjemne ciepło.

– Wiesz, co się z nim stało, kiedy wyszedł? – zapytałem.

– Nie, nie mam pojęcia. Zobaczysz zresztą, jak to jest. Polubisz tutaj kogoś, żyjesz się z nim i kiedy będzie zbliżał się termin jego wyjścia, usłyszysz tysiąc obietnic o tym, że będzie cię odwiedzał, że czasami podeśle paczkę, bo przecież jesteście kumplami z pudła i nie mógłby, ot tak, zapomnieć. Prawda jednak jest taka, że nikt tu

potem nie wraca, a kumplostwo kończy się za bramą. Nie wiem, co chciałeś usłyszeć, ale tak właśnie jest – powiedział z lekkim smutkiem w głosie.

Spojrzałem w okno. Świat po drugiej stronie szyby ślinił się od wilgoci, jakby chciał zmyć wszelkie brudy, które na nim osiadły. Po niebie sunęły złowieszcze kołtunny popielatoszarych chmur, a kropelki drobnej mżawki zaciąły z ukosa.

Kiedy w życiu człowieka wszystkie najważniejsze sprawy zaczynają układać się pomyślnie, wtedy jego codzienność jest zroszona przyjemną beztroską. Taki osobnik w pewnym momencie traci wrodzoną czujność i zaczyna ulegać złudzeniu, że tak miło i sympatycznie będzie już zawsze. Potem jednak zdarza się coś, co w brutalny sposób wywraca to niby-poukładane życie na lewą stronę. Oczywiście trudno przewidzieć, czy też w jakikolwiek sposób zapobiec czemuś, co dzieje się niezależnie od nas samych. Chcę jedynie powiedzieć, że zawsze należy być przygotowanym na solidnego i bolesnego kopa, którym może nas poczęstować nieprzewidywalny los.

Wiem, o czym mówię.

Trzynastego października 1923 roku Cytadelą Warszawską wstrząsnęła potężna eksplozja. W powietrze wyleciała główna prochownia wojskowa, a wraz z nią czterdzieści wagonów wypełnionych po brzegi najlepszym artyleryjskim prochem. Ponoć wybuch pozostawił po sobie ogromne zniszczenia, było wiele ofiar śmiertelnych, a nad

miastem unosiła się smuga czarnego, gryzącego dymu. Siła detonacji wyrwała na terenie obiektu dziesięciometrowy krater, a zniszczeniu uległy wszystkie zabudowania w cytadeli i najbliższej okolicy. W różnych częściach Warszawy z budynków powylatywały okna i poddrywały się balkony. Eksplozja naruszyła konstrukcje w obu wieżach kościoła Świętego Floriana na Pradze, a mieszkańcy Żoliborza w panice uciekali ze swoich domów i mieszkań...

Bez wątpienia był to zorganizowany zamach.

W tamtych czasach używano słowa „terror”, ale nie tak nagminnie jak obecnie. Posługiwano się terminami: „terrorysta”, „terroryzm”, „zamach terrorystyczny”, „frakcja terrorystyczna” i całym mnóstwem podobnych określeń. Oczywiście rozumiałym było i jest, że wszystkie te pojęcia służą do wskazania konkretnego wroga przez praworządne organa państwowe. Różnica polega jedynie na tym, jaki ustrój polityczny chowa się za buławą władzy. A tak na dobrą sprawę, terrorystą może być każdy z nas bez względu na wiarę i przekonania. Wystarczy tylko znaleźć się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiednim czasie.

Jeszcze tego samego dnia ta zatrważająca wiadomość obiegła cały kraj, a parę dni później odbiła się echem pośród naszych więziennych murów. Niektórzy klawisze, którzy żyli tą sensacją, rozmawiali o tym bezustannie. Dzięki nim byliśmy na bieżąco i znaleźliśmy wszystkie szczegóły.

O zorganizowanie zamachu oskarżono dwóch

oficerów wojska polskiego, którzy ponoć sympatyzowali z ugrupowaniami komunistycznymi. Trudno powiedzieć, gdzie leżała prawda, ale po latach okazało się, że część dowodów po prostu została spreparowana przez policyjną grupę dochodzeniową żądną spektakularnego sukcesu i awansu. Właściwie do dziś nie wiadomo kto dokonał tej masakry. Nie mam zamiaru udzielać wam lekcji historii, wspominam o tym, ponieważ z tą sprawą wiążą się dwa konkretne wydarzenia i trzech konkretnych ludzi, jednym z nich byłem ja. Pierwsze wydarzenie było istotne tylko dla mnie. Siedemnastego października stuknęły mi dwadzieścia trzy wiosenki, ale nie byłem już na tyle głupi, żeby chwalić się tym faktem. O nie. Wolałem nie ryzykować darmowego lania albo jakiegoś innego debilnego ceremoniału, który odbyłby się ku uciechu kilku znudzonych facetów ze mną w roli głównej. Nie tym razem. Drugie zaś wydarzenie miało nadejść dwa dni później i pojawili się tam inni bohaterowie. Pierwszym był mój kumpel, Franek Wencel, a drugim Józef Muraszko, funkcjonariusz policji państwowej, ale o nim opowiem później.

Franciszek Wencel. Jeśli mam być szczery, to chyba dzięki niemu wryło się w moją pamięć wspomnienie o tym zamachu, który zdarzył się czterysta kilometrów stąd. Nigdy nie byłem w stolicy, nigdy nie widziałem tego miejsca – pomijam oczywiście ludzką tragedię, która się tam rozegrała – ale dla mnie mury tej cytadeli mogłyby nigdy nie istnieć.

Ważniejsze dla mnie było to, co stało się kilka dni

później.

Dziewiętnastego października, tuż przed obiadem, na stolarnię wpadł Blacha z dwoma dozorcami i wskazując na mnie, krzyknął:

– Brać go!

Doskoczyli do mnie niczym dwa wściekłe psy, wykręcili mi ręce i zmusili, abym szedł w pochylonej pozycji, niczym niebezpieczny aresztant. Pospiesznie wyprowadzili mnie z warsztatu. Byłem zaskoczony i kompletnie zdezorientowany całą sytuacją. Kiedy spróbowałem zapytać, o co chodzi, jeden z nich krzyknął, że mam trzymać zamknięty pysk. Szybkim krokiem pokonaaliśmy otwartą przestrzeń między warsztatem a budynkiem dla więźniów. Potem ruszyliśmy znajomymi korytarzami, a ja po raz pierwszy w życiu miałem okazję maszerować i obserwować terakotową posadzkę z pułapu podbrzusza. Wtem ciszę korytarzy rozerwał wściekły krzyk alarmowego dzwonka, a potem wszędzie było słychać rozlegający się tupot biegnących nóg. W bardzo krótkich odstępach czasu minęły nas dwie grupy uzbrojonych strażników. Kiedy zorientowałem się, dokąd idziemy, ogarnął mnie strach. Moje wspomnienia związane z tym miejscem zaliczały się do kategorii najgorszych. Pamiętam, jak aspirant Szumski swojego czasu nazwał tę podziemną kondygnację lochem. Kiedy prawie zbiegaliśmy schodami w dół, uderzył mnie w nozdrza ten sam nieprzyjemny zapach, stęchły i pełen wilgoci. Byłem zaskoczony i przerażony, a na dodatek sam mimowolnie napędzałem swoją machinę lęków, myśląc o tym, co mówił kiedyś

Suchy. Twierdził, nie bez powodu, że „mogą nam tutaj zrobić, co tylko zechcą”.

Ogarnął mnie prawdziwy strach.

Wepchnięto mnie do tego samego obskurnego pomieszczenia, w którym kiedyś już byłem. Gdy zobaczyłem tam naczelnika Wojciechowskiego, opierającego się o kant biurka, i czterech więźniów, stojących pod ścianą, na moim obliczu musiały pojawić się kompozycje przerażonego zdziwienia. Ojczulek, Roman, Kazik i Suchy wyglądali na tak samo zaskoczonych jak ja.

– O proszę – powiedział naczelnik na mój widok. – Jest i nasz piąty as. Młody, zdolny, pracowity i bezustannie pakujący się w kłopoty.

Zupełnie nie wiedziałem, o co chodzi. Stałem w rzędzie razem z moimi kumplami, ale nie miałem odwagi spojrzeć na twarz żadnego z nich.

– Skoro jesteście już w komplecie – kontynuował Wojciechowski – to mam krótką informację i jedno konkretne pytanie. Ufam, że usłyszę, od któregoś z was właściwą odpowiedź. Oficjalnie ogłaszam, że dziś przed południem w drodze do poznańskiego szpitala zbiegł wasz koleżka, Franciszek Wencel. Pytanie zaś brzmi: Dokąd się udał?

Staliśmy w milczeniu, a ja miałem wrażenie, że w tej ciszy będzie słyhać tupot moich myśli biegnących z krzykiem przez głowę.

– Nie wierzę w spontaniczne i niezorganizowane ucieczki. Tylko idioci i desperaci porywają się na takie rozwiązania. Nie sądzę, żeby Wencel należał do tej drugiej

grupy – powiedział naczelnik, kartkując szarą teczkę. – Zostało mu niespełna siedem lat odsiadki... Dlaczego to zrobił i dokąd się udaje? – Ton jego głosu stawał się coraz wyższy. – To wy z nim siedzieliście każdego dnia przy tym samym stole, śmichy-chichy, towarzyskie dyskusje, jesteście kumplami, włóczyliście się razem po spacerniku. Któryś z was musi coś wiedzieć! – Po tych słowach Suchy rozkaszał się niczym stary gruźlik. – Chciałeś coś powiedzieć? – Chwilę później naczelnik wymownie popatrzył na Suchego, któremu właśnie udało się opanować kaszel.

– Nie, panie naczelniku – wydukał.

– Czyli mam rozumieć, że nikt nic nie wie? – padło z ust Wojciechowskiego retoryczne pytanie. – A może wolicie, żeby funkcjonariusz Blaszański porozmawiał z wami w innym języku?

Błacha ostentacyjnie poklepał dłonią uchwyt swojej pałki i wymienił krótkie spojrzenie z naczelnikiem. Wolno podszedł w naszą stronę i po kolei spoglądał każdemu prosto w oczy. Za każdym razem, kiedy stawiał krok na betonowej posadzce, w okolicach karku czułem nieprzyjemne mrowienie. Dwie rzeczy charakteryzowały przodownika służby więziennej Tadeusza Blaszańskiego. Po pierwsze miał swój ulubiony cios, który zadawał uchwytem pałki bezpośrednio w spłot słoneczny, a po drugie był szybki. Był tak cholernie szybki, że potrafił błyskawicznie zaatakować. Wyprowadzał precyzyjne uderzenie w krótszym czasie, niż można to zmierzyć mrugnięciem oka. Tym razem więźniem, który przekonał się o sile jego

bolesnej niespodzianki, był Kazik. Jestem sobie w stanie wyobrazić, co czuł, bo kilka miesięcy temu sam miałem okazję przyjąć na klatę ten popisowy numer. Człowiek nieprzygotowany na takie spotkanie momentalnie traci oddech i wszystkie siły. To newralgiczne miejsce dla organizmu. Możesz walczyć z facetem o posturze niedźwiedzia, ale jak znajdziesz odpowiedni moment i pošlesz mu miazdzące uderzenie w podstawę mostka, pięć sekund później przeciwnik będzie należał do ciebie. Kazik stał dokładnie po środku naszego szeregu, a chwilę później już klęczał, starając się wciągnąć powietrze do płuc. Blacha zerknął przez ramię na naczelnika, który ledwo widocznym skinieniem głowy dał mu znak, że dalej może robić swoje. Człowiek w mundurze wziął potężny zamach i zdzielił Kazika pałką prosto w prawy policzek. Byłem przekonany, że pogruchotał mu szczękę. Głową naszego kumpla trzepnęło w lewą stronę. Na kilka sekund jakby zastygł w bezruchu, po czym bezwiednie padł przed siebie, z charakterystycznym plaskiem uderzając o szary beton.

– Wystarczy. – Naczelnik uniósł do góry prawą dłoń. – Podnieście go! – Kiwnął w stronę dwójki strażników stojących za jego plecami. – Nie widzę za bardzo sensu, żeby teraz przeprowadzać demonstrację siły. Tak na marginesie, jestem zdecydowanym przeciwnikiem kar cielesnych. Z drugiej strony, są one jednak czasami niezbędne. A teraz słuchajcie uważnie. Układ, który proponuję, nie podlega żadnym negocjacjom. Jeśli któryś z was ma informacje, dokąd udaje się Franciszek Wencel, gdzie

może przebywać, dlaczego uciekł, lub wie cokolwiek innego na ten temat, teraz jest ostatnia szansa, żeby to powiedzieć. Z każdym z was porozmawiam w cztery oczy i zostanie to między nami. Jeżeli okaże się, że ja będę nadal z niczym, a dziś lub jutro wspólnie z policją złapiemy Wencła i z jego zeznań będzie wynikać, że któryś z was miał o czymś pojęcie, każdemu z was zamienię życie w piekło. – Zamilkł na chwilę. – Obiecuję wam, a mam w zwyczaju dotrzymywać złożonych obietnic, że wszyscy wtedy zostaniecie ukarani z największą surowością. Nie będzie mnie interesowało, że tylko jeden coś wiedział, a pozostali żyli w błogiej nieświadomości. Aleksander Dumas napisał takie szlachetne zdanie, pasuje ono do tej sytuacji jak ulał. *Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego*. Co prawda, jest was pięciu, a nie czterech, ale w niczym to nie przeszkadza. Pamiętajcie, że Wencel wpędził was w te tarapaty i wątpię, żeby w tej chwili przejmował się kimś innym niż samym sobą. Ty zostajesz – wskazał palcem na Ojczulka – a reszta wyjść na korytarz.

Dozorcy kazali nam stanąć w szeregu pod ścianą. Spojrzałem na Kazika, jego policzek wydawał się puchnąć w oczach, a krwistofioletowa pręga sięgała od połowy górnej wargi aż po nasadę ucha.

– Boli? – szepnąłem w jego kierunku.

Przekręcił nieznacznie szyją, spojrzał na mnie i skinął głową.

– Mam nadzieję, że Frankowi się uda – syknął Suchy, prawie nie poruszając ustami.

A ja mam nadzieję, że nikt z nas nie będzie musiał beknąć za to szaleństwo – to była pierwsza myśl, która przemknęła mi przez głowę. Zaraz potem ogarnęło mnie nieodparte przeczucie, że Suchy coś wie. Musi wiedzieć. W mojej głowie kotłowały się setki myśli i przypuszczeń. Podpierając się jedynie moimi domysłami, byłbym w stanie oskarżyć i skazać. Stojąc pod ścianą, zastanawiałem się, jak to możliwe, że moja najbliższa przyszłość jest teraz w czyjś rękach? To nie było sprawiedliwe! Z każdą minutą czułem w sobie coraz większą złość, wściekłość, żal, strach, czułem, jak moje serce wypełnia się gniewem. Gdybym teraz zobaczył Franka, pewnie zatłukłbym go gołymi rękoma. Nadmiar tych wszystkich negatywnych emocji pompował w moje żyły zbyt dużo adrenaliny i dlatego – choć stałem bez ruchu – w środku mnie szalał huragan. Miałem ochotę zacisnąć pięści, otworzyć usta i wydzierać się ze wszystkich sił.

Nie wiem, co powiedzieli Wojciechowskiemu inni, i przyznam wam szczerze, że nawet nie miałem zamiaru się tym interesować. Ten dzień wstrząsnął fundamentami mojej wiary w drugiego człowieka i przegrupował mój prywatny system wartości.

Pozostało jedynie czekać na rozwój wypadków.

W niedzielę, późnym popołudniem wyprowadzono wszystkich skazańców wronieckiego więzienia na spacer-niak. Ustawili nas w kolumnach, jakbyśmy za chwilę mieli ruszyć na defiladę. I chociaż na dworze dopiero zapadał jesienny zmierzch, świeciły wszystkie latarnie.

Cały więzienny plac tonął w jasnożółtej poświacie.

Parę minut później pojawił się naczelnik Wojciechowski otoczony swiątą mundurowych i cywilnych pracowników. Zatrzymali się dokładnie na środku placu. W tej sporej grupie byli zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Najwyraźniej oprócz służbowych dyskusji toczyli też między sobą przyjacielskie rozmowy, ponieważ czasami dało się usłyszeć czyjś rozbawiony śmiech. Wojciechowski krążył pomiędzy zgromadzonymi. Temu uściśnął dłoń, tamtego klepnął w ramię, tu chwilkę porozmawiał, tam grzecznie skinął głową w kierunku jakiejś paniusi. Na pewno byli tam też dziennikarze, gdyż co jakiś czas błyskały flesze aparatów fotograficznych.

Szeregi zdziwionych więźniów stały w milczeniu, obserwując nietypową sytuację.

W pewnym momencie naczelnik kilka razy klasnął w dłonie i powiedział:

– Poproszę państwa o uwagę! – Kiedy już zapadła cisza, obrócił się na pięcie i podszedł w naszą stronę. Stał jakieś dziesięć metrów przed nami i odezwał się donośnym głosem: – Jak zapewne już wszyscy wiecie, dwa dni temu jeden z więźniów, który był tutaj osadzony, dokonał zuchwałej ucieczki z transportu sanitarnego. Nikt nie może nam zarzucić, że o was nie dbamy. Nikt! Ten, który uciekł, jechał do poznańskiego szpitala na kontrolne badanie pooperacyjne. Od kilku lat jestem naczelnikiem wronieckiego więzienia i zawsze przywiązywałem do tego wagę, żeby w razie potrzeby zapewnić skazanym konieczną i w miarę możliwości najlepszą opiekę. Nie

pozwolę jednak na to, żeby szerzyła się tutaj jakaś samowola albo brak szacunku dla prawa, regulaminów i zasad. Odkąd rządzę tym więzieniem, była to pierwsza i jestem pewien, że ostatnia ucieczka. – Zamilkł na chwilę. – Obrócił się do tyłu i kiwnął w kierunku mundurowych. Jeden z nich podszedł do naczelnika. Wojciechowski wskazał na niego dłonią i powiedział donośnym głosem: – A oto nasz bohaterski funkcjonariusz Edward Szymański. – Naczelnik zaczął klaskać w dłonie i niemal natychmiast zawtórowały mu gromkie brawa zgromadzonej świty.

Pomyślałem, że przedstawienie zaczyna rozkręcać się na dobre.

Wojciechowski uniósł rękę do góry, prosząc tym samym o ciszę.

– Jestem dumny, że dozorca Szymański jest pracownikiem naszego więzienia, że wie, iż swoją pracę i swoje obowiązki należy wykonywać sumiennie i gorliwie. To on skutecznie powstrzymał uciekiniera! – Naczelnik znowu zaczął klaskać, a reszta poszła w jego ślady. Kilka razy błysnęły flesze, oświetlając jasnym blaskiem twarz Wojciechowskiego i Szymańskiego. – Zapewniam was, że każdy uciekinier będzie ścigany z determinacją i zawziętością. Pościg nigdy nie zostanie odwołany i będzie trwał tak długo, dopóki nie dopadniemy dezertera i nie sprowadzimy go tutaj żywego lub martwego. A teraz przyjrzyjcie się uważnie, jak kończą ci, którym wydaje się, że są w stanie dokonać rzeczy niemożliwej. – Naczelnik uniósł prawą rękę do góry i kiwnął dłonią w taki sposób, jakby chciał kogoś do siebie przywołać.

Po przeciwnej stronie spacerniaka w tym samym momencie rozległ się warkot silnika samochodu i zapłonęły dwa okrągłe reflektory. Powoli w naszym kierunku jechała ciemna furgonetka z odkrytą paką. Pojazd zatrzymał się tuż obok naczelnika i kierowca zgasił motor.

Wojciechowski złapał dłonią za szary brezent i energicznym ruchem zrzucił go na ziemię. Na drewnianej pace leżał na brzuchu martwy mężczyzna ubrany w więzienny drelich. Nie trudno było się domyślić, czyje to zwłoki.

– Przegrupować kolumny w szeregi i prowadzić rzędem, począwszy od prawej – rzucił rozkaz dozorcóm i wskazał dłonią, którędy mają iść. – Potem odprowadzić do cel!

Więźniowie powoli kroczyli w milczeniu i gdy mijali furgon każdy spoglądał na martwe ciało. Nie było nikogo, kto odwróciłby wzrok.

Byłem smarkaczem, kiedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłem trupa, ale to było co innego. Wtedy była wojna. Poza tym patrzeć na anonimowe zwłoki to zupełnie coś innego, niż spoglądać na zabitego kumpla.

Kiedy nadeszła moja kolej najpierw spojrzałem na jego plecy, a potem na profil twarzy. Twarz, której oblicze zastygło w dziwnym grymasie. Pomyślałem, że on już nikomu z nas nie zaszkodzi. Ta myśl była pełna swobody, a zarazem pęczniała od okrucieństwa. Poczulem ulgę, ale jednocześnie ogarnął mnie gorzki wstyd. Wstyd przed samym sobą. Oto przed moimi oczami leżał martwy człowiek, który już nic nie mógł powiedzieć, a jego

śmierć bez wątpienia miała wpływ na przyszłość kilku ludzi, w tym i moją. Jego więzienna bluza na wysokości lewej łopatki była przesiąknięta rubinem ciemnej krwi i podziurawiona od kul. Niemal surrealistyczny widok mówił sam za siebie... kilka precyzyjnie wystrzelonych pocisków rozerwało mu serce na strzępy.

Zgadzam się, że dozorca Szymański powstrzymał Franka w najskuteczniejszy z możliwych sposobów. Został bohaterem, burza oklasków, owacje pełne podziwu i pamiątkowe zdjęcie do kroniki.

Zabójca na piedestale.

Świat jest chory albo szalony.

– Miejmy nadzieję – powiedział Ojczulek – że jest już w tym lepszym świecie. Zdecydowanie lepszym niż ten, który nas otacza. – Przeżegnał się i dodał szeptem: – Świeć Panie nad jego duszą.

– Może tobie przychodzi łatwiej takie rozumowanie – burknął Suchy. – Może wierzysz w te wszystkie duperele o aniołkach, o zielonych łączkach, gdzie będziesz hasał po śmierci, o życiu wiecznym, może i masz rację. Nie wiem. Wiem za to, że Franka już nie ma. Widzisz? – Wskazał dłonią przed siebie. – On już tu nigdy nie usiądzie.

– Tak długo żyć będziemy, jak długo pamięć o nas trwać będzie – powiedział Ojczulek.

– Amen – rzucił Roman i uniósł kubek z kawą, jakby chciał wznieść toast.

– Amen – dodał Kazik i zrobił to samo.

Ja i Ojczulek poszliśmy za ich przykładem. Cztery ręce z kubkami w dłoniach zawisły ponad stołem i każdy z nas spoglądał na Suchego. Ten po chwili kiwnął głową, odwzajemnił symboliczny gest i powiedział:

– Amen.

Dalsza rozmowa podczas kolacji zupełnie się nam nie kleiła. Łapałem się na tym, że kiedy tylko zerknąłem na puste miejsce, oczami wyobraźni widziałem puciołowatą, roześmianą twarz Franka. W pewnym momencie chciałem powiedzieć, że niebawem, być może już jutro, ktoś inny będzie tam siedział, ale w ostatniej chwili resztki rozumu powstrzymały mnie od wypowiedzenia tych słów.

Skłamałbym, mówiąc, że śmierć Franka po prostu mnie obeszła, ale skłamałbym również, twierdząc, że wypaliła we mnie wyraźne piętno. Prawda leżała po środku. Wiedziałem, że bez względu na wszystko trzeba żyć dalej, stawiać czoła przeciwnościom i nie rozczulać się zbyt ani nad sobą, ani nad innymi. Kontrola. Oczywiście łatwo się panuje nad swoimi emocjami i namiętnościami, kiedy człowiek ma otwartą świadomość, ale kiedy ludzki umysł podczas naszego snu przejmuje nad nami władzę, nic nie jesteśmy w stanie zrobić. Po prostu nic.

Nie wiem, jaki był powód – nigdy nie znalazłem odpowiedzi, która by mnie przekonała i pewnie już się tego nie dowiem – ale martwa postać Franciszka Wencla setki razy nawiedziła mnie w snach. Dlaczego? Jedynym racjonalnym wytłumaczeniem, jakie mogłem uznać za sensowne, było to, że tego dnia, kiedy naczelnik pokazał

nam ciało leżące na pace furgonetki, mój umysł zadziałał jak aparat fotograficzny. Gdzieś tam, wewnątrz tego najbardziej skomplikowanego narządu, zachowało się to jedno konkretne ujęcie. W każdym moim śnie, kiedy się pojawiał, zawsze wyglądał tak samo. I chociaż zmieniało się otoczenie i tło, zawsze leżał w identycznej pozycji. Widzę jego lewy profil, ten sam grymas zastygły na twarzy, lewa noga nieco wysunięta i zgięta w kolanie, prawa noga wyprostowana, lewa ręka podobnie jak lewa noga wysunięta i zgięta w łokciu, palce i grzbiet dłoni na wysokości barku, prawa ręka obciążona wzdłuż ciała i ukazująca wewnętrzną powierzchnię dłoni. Leży. Leży na zielonej łące, w łóżku, przy drodze, w parku, na korytarzu, w gabinecie naczelnika, w kościele, w łaźni, na spacerniaku. Leży, a ja za każdym razem nie potrafię oderwać wzroku od miejsca, gdzie pociski wdarły się do jego ciała. Nie wiem, ile jest dziur, nie umiem ich policzyć. Za każdym razem to samo.

A może Franciszek Wencel śnił mi się dlatego, że został pochowany w pierwszej trumnie, którą przyszło mi w życiu zbić?

Nie wiem.

Cokolwiek było powodem tego, że pojawiał się w moich snach, z całego serca przeklinam to po tysiąc-kroć.

Ostatni tydzień października był dla mnie wielką nerwówką. W związku z tym, że miałem poznać niebawem najnowsze wieści z rodzinnego domu, byłem tak podeks-

cytowany, jak dzieciak, którego ma spotkać najlepsza rzecz w całym wszechświecie.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał mnie Dziadunio pewnego dnia, kiedy robiłem szufladę do biurka naczelnika i popełniałem błąd za błędem. – Obserwuję cię i widzę wyraźnie, co wyprawiasz – skarcił mnie.

To, że darzyliśmy się sympatią, wcale nie oznaczało, że chciałem się mu zwierzać ze swoich niektórych spraw. Temat moich listów i interesów z Hrabią zamykał się w magicznym trójkącie: ja, facet z filmowymi zębami i Ojczulek. Nie widziałem potrzeby dyskusowania o tym z kimś jeszcze. Miesiące spędzone w więzieniu nauczyły mnie powściągliwości. Każdego dnia doskonaliłem sztukę mozolnej budowy muru, który stawiał dystans pomiędzy kumplostwem a przyjacielską wylewnością.

– To przez tę całą sytuację z Frankiem i jego śmiercią – skłamałem. – Dwa dni temu sklepałem po raz pierwszy w swoim życiu sosnową trumnę. Niby wyglądała jak zwykła skrzynia, ale to była cholerna trumna. Pochowali w niej człowieka, z którym od miesiący jadałem przy jednym stole.

– Możesz być pewien – wpadł mi w zdanie – że jeśli w przyszłości będziesz pracował w tym warsztacie, zbudujesz jeszcze wiele trumien w swoim życiu.

– Gdzie grzebie się martwych skazańców? – wyskoczyłem z pytaniem, które poniekąd naprawdę mnie nurtowało. W zasadzie prosta sprawa, przecież ktoś musiał zająć się pochówkiem, ale...

– Jeśli więzień miał rodzinę, powiadamia się ich

o tym i mają kilka dni, żeby zabrać ciało. Oczywiście załatwienie takiej sprawy w dzisiejszych czasach pewnie sporo kosztuje. Jeżeli rodziny nie stać, wtedy takiego truposza chowa się na lokalnym cmentarzu tak samo jak tych, którzy nie mają najbliższych. Pewnie proboszcz za niemałą opłatą znalazł trochę miejsca pod płotem, w najmniej uczęszczanym miejscu. Kopią tam dół, robi się adnotację w parafialnym rejestrze, a zwykła ludzka przyzwoitości nakazuje umieścić krzyż z tabliczką informującą, kto tutaj leży. – Klemens zaspokoił moją ciekawość.

Chyba nigdy nie lubiłem rozmawiać o umarlakach i pogrzebach. Za każdym razem dostawałem wtedy gęziej skórki i czułem wokół siebie chłód, zupełnie jakby w jednej chwili otulała mnie zimna, niewidzialna peleryna.

Teraz jednak istota śmierci i wszystkiego, co było z nią związane, nie miała najmniejszego znaczenia, żyłem nadchodzącą przyszłością. W niedzielę Hrabia miał dostać dla mnie wiadomość. Na przekazanie jej prawdopodobnie musiałbym czekać kolejny długi tydzień aż do następnego wybiegu na spacerniaku, kombinowałem więc bezustannie, żeby wszystko przyspieszyć. Zaślepiony emocjami knułem w łepetynie na wszelkie możliwe sposoby, jak dotrzeć do mojego pośrednika wcześniej. Chciałem niezwłocznie usłyszeć, jak mają się sprawy po drugiej stronie murów, czy wszystko dobrze u mojej mamy, czy daje sobie radę, czy zdrowa...

W tamtych latach cierpliwość nie była moją mocną stroną. Cierpliwości człowiek musi się nauczyć, oswoić

z nią, trzymać mocno za grzywę niczym narowistego rumaka i spokojnie panować nad sytuacją. Brak cierpliwości sprawia, że ludzie popełniają banalne błędy, które najczęściej są katastrofalne w skutkach. Brak cierpliwości to najlepsza przyjaciółka pośpiechu, a od wieków wiadomo, że jest on złym doradcą.

Blizny na mojej lewej dłoni były tego najlepszym świadectwem.

Nie czułem się też na tyle zdesperowany, żeby bezmyślnie kroczyć do obranego celu. Nie tym razem. O dziwo, rozwiązanie pojawiło się samo, ot tak, za sprawą zawodowej potrzeby. Kluczem do spełnienia zaś okazała się... flanela.

Ostatnia niedziela października od samego rana tonęła w strugach ulewnego deszczu. Zrobiłem latrynę. Dziś nawet poszło mi w miarę szybko. Tradycyjnie na ostatnim piętrze u szczytu schodów czekał jeden prawie pełny kibel. Uwinąłem się i po skończonej pracy zameldowałem na dyżurce. Służbę tego dnia pełnił między innymi Rudolf Frantz. Wysoki, postawny, na pierwszy rzut oka typ bawidamka i niewiele starszy ode mnie. Przyznam się szczerze, że nie lubiłem gościa, zawsze miałem go za gnojka o skrajnie prawicowych poglądach.

Frantz stał i spoglądał w okno.

– Podejdz tutaj – powiedział, wskazując ruchem głowy miejsce obok siebie.

Wykonałem polecenie.

– Widzisz, co tam się dzieje z tą rynną?

Rura odpływowa, która przylegała do budynku kaplicy, na ostatnim odcinku jakimś cudem wysunęła się i nieco przekrzywiła. Kaskady wody zamiast spływać do korytka kanalizacyjnego chlapały we wszystkie strony.

– Idź i popraw to! – rozkazał.

Łało tak, jakby ktoś w niebie odkręcił wszystkie możliwe zawory.

– Mogę dostać pałatkę? – zapytałem nieśmiało.

– Nie, nie możesz – odburknął Frantz.

Wyszedłem z budynku. Zanim dotarłem do właściwego miejsca, zdążyłem przemoknąć na wskroś. Deszcz zaczął wściekłymi kaskadami i dmuchał zimny wiatr. Na dworze było może kilka stopni powyżej zera. Przez dłuższą chwilę mocowałem się z wysuniętą rurą, a woda, która tamtędy spływała, nie miała nade mną litości. Kiedy w końcu udało mi się ulokować odpływ na swoim miejscu, byłem cały mokry i miałem skostniałe z zimna dłonie. Ulewa była tak potworna, że wyręczyła mnie z umycia wiader. Wylałem z nich deszczówkę i wszystkie trzy wstawiłem do pomieszczenia z silosami.

– Więzień dwadzieścia dziewięć-jedenaście melduje o zakończeniu pracy – powiedziałem tak, jak wymagał tego regulamin.

Na dyżurce oprócz Frantza pojawił się Mroczkowski, który spojrział na mnie z politowaniem i rzucił:

– Żabikowski, na rany Chrystusa, wyglądasz jak jakiś cholerny topielec!

Rudolf parsknął śmiechem, a ja czułem, jak woda spływa po mnie i robi się u moich stóp mała kałuża.

– Chodźmy! – rozkazał Mroczkowski. – Ruszaj przodem. Idziemy teraz na stołówkę. Czym prędzej szamiesz swoje śniadanie i żebym cię tu nie widział. Spierdalasz na warsztat robić meble dla naczelnika. Zrozumiano?!

– Tak jest, panie dozorczo – odpowiedziałem, dygocząc z zimna.

Facet był w porządku, naprawdę w porządku. Doskonale wiedział, że na stolarni jest piec, drzewo, trociny... Nie wiem, dlaczego to dla mnie zrobił. Może mnie lubił? A może dlatego, że po prostu z natury był życzliwym człowiekiem? Zresztą nie ważne.

Rozpaliłem w piecu, rozebrałem się do bielizny i rozwiesiłem moje mokre ubrania. Przysunąłem bliżej skrzynkę z narzędziami. Kilka z nich rozłożyłem dla niepoznaki. Trzy sklepane szuflady od biurka i kilka krótkich desek położyłem ze swojej lewej strony, by w razie czego móc po jedną z nich sięgnąć.

Maskarada.

Pełna pozoracja.

Co prawda, siedziałem w takim miejscu, że od strony wejścia nie można mnie było dostrzec, ale musiałem być przygotowany na błyskawiczną reakcję. Kontrola jest wpisana w więzienną rutynę. Chociaż budynek, ulokowany poza głównym arealem, był pomijany, to jednak zdarzało się, że któryś z dyżurujących klawiszy zjawiał się na stolarni nawet kilka razy w ciągu dnia. Nadgorliwców nigdy nie brakowało, ale nie było też tak,

że zostawiano nas samopas i nikt nas nie sprawdzał. Nic z tych rzeczy.

Kiedy już odpowiednio przygotowałem scenę moich działań i rozłożyłem niezbędne rekwizyty, wtedy usiadłem. Przycupnąłem na małym zydelku i oparłem się plecami o ceramiczne kafle, które zdążyły się nieco rozgrzać. Ech, jakaż to była niezwykle zwykła chwila, pełna szczerzej i soczystej przyjemności! Zapaliłem papierosa, zamknąłem oczy i wsłuchany w ciszę, wyobraziłem sobie, że jestem gdzieś daleko, daleko stąd. To było piękne. Przez moment poczułem się naprawdę wolny. Gdyby moje życie potoczyło się inaczej, mógłbym siedzieć w dowolnym miejscu świata, pozbawiony tych smutków i obowiązków, które tutaj wykuwały moją surową rzeczywistość. Pod zamkniętymi powiekami, przewijałem obrazy swoich najcudowniejszych myśli.

Trzask płonącego w piecu polana wybudził mnie z tego rozmarzonego letargu. Spojrzałem w okno. Zniekształcony obraz świata rozmywał się w kroplach deszczu, spływających po tafli szyby. Niebo nadal wylewało rozpaczliwe potoki łez. Smutna ta jesień – przemknęło mi przez myśl. Smutny październik. W mojej pamięci żył inny październik. Złoty, pogodny, tryskający miliardem cudownych jesiennych barw. Nawet dziś bez trudu jestem sobie w stanie przypomnieć tę malowniczą alejkę sunącą wzdłuż kanału Bernardyńskiego i szelest pożółkłych suchych liści, wydobywający się spod naszych stóp. Czuję na twarzy podmuchy ciepłego wiatru, ona trzyma mnie pod rękę, idziemy wolno, bez pośpiechu, a w powietrzu

unoszą się zapach prawdziwej jesieni. Wiecie, o czym mówię, prawda? Chryste, oddałbym wszystko, by móc to przeżyć jeszcze raz! Usiedliśmy na ławce, a ostre popołudniowe słońce biło nam prosto w nasze młode twarze. Spojrzałem na nią i wiedziałem, że patrzę na spełnienie moich marzeń. Delikatnie objąłem ją ramieniem, a ona w pewnym momencie odchyliła nieco do tyłu głowę i szepnęła:

– Pocałuj mnie.

Poczułem drżenie rozpalonych ust i namiętność ukrytą w oddechu. Jej smak był wart tego, by wysadzić w powietrze cały świat.

Kolejne polano strzelio w piecu i jego trzask był dla mnie niczym policzek wymierzony w twarz na ocuwanie. W pierwszym momencie nawet nie zdawałem sobie sprawy, że mam oczy pełne łez. Jedna kropla spłynęła mi po policzku, a chwilę potem poddałem się i pozwoliłem innym. Nie wiem, może wierzyłem w ich moc oczyszczania? A może po prostu chciałem poczuć ulgę i myślałem, że otrzymam ją dzięki wylanym łzom. Powstrzymałem jedynie szloch, który rodził się w gardle.

Jeżeli jakiś facet powie wam, że w swoim dorosłym życiu nigdy nie płakał, to znaczy, że jest kłamcą.

Ludzie czasami płaczą.

Wszyscy.

Bez wyjątku.

Przed południem ulewa zamieniła się w mżawkę, a kiedy zegar na wieży wybił kwadrans po dwunastej, przestało padać.

Moje odzienie było już suche, jedynie przepikowana kufajka wydawała się jeszcze lekko wilgotna. Włożyłem ubranie, ale jakoś nie miałem natchnienia do pracy. To chyba przez to, że dzisiejszy dzień był inny niż wszystkie. Wiele przeszedłem, żeby dotrzeć do tej chwili. Zrealizowałem swój cel, zrobiłem to kosztem wielu wyrzeczeń.

Po drugiej stronie okna, w oddali było widać spacerniak, który tętnił życiem.

Musiałem zamienić kilka słów z Hrabią.

– Siemasz, ziomek – przywitał mnie tym samym co zawsze powiedzeniem.

– Się mam i nie narzekam – odparłem – ale nie miałbym nic przeciwko, żeby kulało się nieco lepiej. Przyjedzie dziś? – zadałem chyba najbardziej idiotyczne pytanie. Przecież to było oczywiste.

– Przyjedzie, przyjedzie – odparł Hrabia i posłał mi swój uśmiech. – Nic się nie martw. Zapamiętam wszystko, co usłyszę. Słowo w słowo. Wiesz, że mam wyśmienitą pamięć, prawda?

Tak, to była prawda. Miał dobrą pamięć.

– Ciekawy, co? Nie dziwię ci się, na twoim miejscu też by mnie skręcało. Ale nic się nie martw, ziomek, niebawem wszystkiego się dowiesz. Słowo w słowo, obiecuję. – Klepnął mnie delikatnie w ramię. – Musze spadać. Wiesz, jak jest, trzeba pozafatwiać inne tematy. Widzimy się za tydzień. – Puścił do mnie oko, obrócił się na pięcie i odszedł.

Stałem przez chwilę i spoglądałem na jego postać.

Widzimy się za tydzień – w myślach zabrzmiały mi jego słowa. Co tam jeden tydzień, skoro przetrwałem długie miesiące!

– Co tak tu sterczysz jak kołek? – Tuż za swoimi plecami usłyszałem głos Suchego. – Nie masz nic lepszego do roboty? I dlaczego, kurwa mać, jesteś taki suchutki – dotknął mojego ubrania – skoro wszyscy dookoła są nasiąknięci jak gąbka?

– Ha, to jeszcze nic – odparłem. – A może chcesz zapalić coś idealnie wysuszonego i pachnącego? – Wyjąłem papierosa i delikatnie rulując go między palcami, podsunąłem mu pod ucho. – Słyszysz jak cudnie szeleści?

– Wyżarłeś się, młodzian – powiedział z lekkim podziwem. – Widzę, że coraz lepiej potrafisz o siebie zadbać. To dobrze. Kiedy opuszczę to parszywe pudło, będę się czuł spokojny, wiedząc, że masz perspektywę na przetrwanie.

– Wal się, chłopie – odparłem, niby doceniając jego żart, ale z drugiej strony nie było w nim nic zabawnego. Bynajmniej dla mnie.

Staliśmy tak przez chwilę i rozmawialiśmy o duperelach. Po pewnym czasie dołączyli do nas najpierw Kazik z Romanem, a potem Ojczulek. Byliśmy niczym klub wzajemnej adoracji, którego członkowie dobrze się rozumieją w swoim towarzystwie. Chociaż nikt z nas o tym nie wspomniał, wszyscy jednak czuli, że do kompletu brakuje nam tego szóstego. Raptem tydzień temu oglądaliśmy zwłoki naszego kumpla. Za wcześniej, żeby wspominać, i za późno, żeby się użalać.

Tej nocy nie mogłem zasnąć. Drażniło mnie poczucie zupełnej bezsilności. Tydzień czekania. Chyba jedyna perspektywa. Żadne pośrednictwo nie wchodziło w grę.

Niepokój. Bezsenność. Zbyt wiele kłębiących się myśli i rozszarpujących duszę emocji przepędzało hen daleko upragniony sen. Kręciłem się na pryczy, bezustannie zmieniając pozycję, a to poduszka zaczęła mi przeszkadzać, a to siennik robił się niewygodny, a to na lewym boku było nie tak, jak powinno, a na prawym jeszcze gorzej. W pewnym momencie usiadłem na krawędzi łóżka, stopy włożyłem w buty, a kocem otuliłem plecy. Siedziałem pośród ciemności i ciszy, wsłuchując się w bicie własnego serca. W głowie co chwila pojawiała się kolejna piekąca myśl.

Każdy skazaniec co pewien czas doświadcza bezsennej nocy. W takim wypadku nie ma żadnej reguły, po prostu coś siada na człowieka, chwytą za łeb i nie zna litości. Niektórzy nie wytrzymują takiej presji. Potocznie mówiło się, że koleś dzisiejszej nocy zwariował. Oczywiście nie chodziło dosłownie o to, że ktoś odszedł od zmysłów, tylko o to, że nadmiar tych wszystkich gorzkich namiętności rozładowywał kopaniem, wrzaskiem, okaleczaniem się lub napadem nieuzasadnionej agresji. Nieraz w środku nocy dało się słyszeć łomot w drzwi celi albo krzyk wydobywający się z okiennych krat. Klawisze też mieli swój sposób, jak pomóc takiemu osobnikowi. Dawali mu chwilę, niech sobie pokrzyczy i pokopie, potem wpadali we dwóch do celi, spuszczaali delikwentowi

solidny łomot i czyjeś problemy natychmiast się kończyły. Większość z nas jednak podczas takich nocy katowała się w mniej spektakularny sposób. Dostać lanie to żaden problem, każdy potrafi przyjąć ciosy i kopniaki. Sztuką jest poradzić sobie z własnymi demonami bez pomocy innych.

Moim sposobem na przetrwanie takich chwil było wyłuskanie z pamięci któregoś z najwspanialszych wspomnień i czepienie się tej myśli tak mocno, jakbym próbował przywrócić ją ponownie do życia. Nie zawsze to się udawało. Niekiedy siedziałem aż po błądy świt i paliłem papierochy jeden po drugim, szepcząc wszelkie możliwe bluźnierstwa.

Jednak tej nocy zdarzyło się coś innego.

W pierwszej chwili miałem wrażenie, że się prześlizgałem. Znałem odgłos kroków strażnika, który dzisiaj miał nocny obchód. Szedł powoli, jakby był na spacerze, czasami przystawał i czegoś nasłuchiwał, a po chwili znowu ruszał tym samym tempem. Poza tym podeszwy butów wydają bardzo charakterystyczną melodię, kiedy ktoś idzie po drewnianych schodach lub podeście.

Taki krok specyficznie postukuje.

Siedziałem na pryczy zatopiony we własnych myślach, kiedy nagle uświadomiłem sobie, że coś było nie tak. Do moich uszu docierał bliżej niesprecyzowany odgłos. Machinalnie obróciłem głowę w kierunku drzwi. Nasłuchiwałem. Po drugiej stronie coś się działo, jakby szuranie albo ciągnięcie po ceramicznej posadzce na najniższej kondygnacji. Podeszedłem cicho do drzwi

i nastawiłem uszu. Znowu coś szurało. Nie byłem do końca pewien, ale chyba toczyła się jakaś rozmowa, a chwilę później rozległ się odgłos, którego dźwięk natychmiast skojarzył mi się z pałką chłostającą ludzkie ciało. Dałbym sobie obciąć prawą dłoń, że w środku ciemnej nocy ktoś zbierał na dole lanie. Nie trwało to długo. Po prostu ktoś przyjął na garba kilka ciosów na lepsze krążenie. Szli po schodach, teraz już słyszałem wyraźnie, było ich trzech. Dotarli na górną kondygnację, gdzie znajdowała się również moja cela. W pewnym momencie doleciało do moich uszu: „Ruszaj się, ty ukraiński skurwysynu!”, a zaraz potem usłyszałem kilka mlaśnieć pałką na ludzkim ciele.

Zdziwiło mnie, że padł cios, i nic. Cisza. Nikt nie zajęczał ani nie krzyknął.

Po chwili gdzieś po prawej stronie z trzaskiem zamknęły się drzwi. Znowu kroki. Dwóch ludzi schodziło w dół.

– Słyszeliście coś dzisiejszej nocy? – zapytałem chłopaków podczas śniadania. Po ich minach wywnioskowałem, że nikt nie ma o niczym pojęcia. Opowiedziałem im, co zaszło.

– Jak to mówią – odezwał się Suchy – kto ma czyste sumienie, ten śpi twardo i spokojnie. Nocą na bloku panuje niczym niezmacona cisza, ale jak widać, są wśród nas tacy, którzy usłyszeliby nawet pierdnięcie pająka.

No tak, czego mogłem się spodziewać? Nie ma to jak pośmiać się z goś na miłe rozpoczęcie dnia.

– Myślicie, że naprawdę trzymają tutaj Ukraińców?
– zapytał Roman.

– Nawet jeśli, to co z tego? Po co sobie tym zawracać głowę? – odparł Kazik.

Rozumowanie naszego kumpla jak zawsze było proste. Z tego powodu czasem naśmiewaliśmy się z niego i przyznaję, że niekiedy był dla nas obiektem drwin. Suchy kilka razy nawet nie mógł zdzierżyć i miał ochotę mu przyłożyć za totalny brak wycucia i rozbrajającą szczerłość. Z drugiej strony jednak wydawało się, że Kazik był ponad to wszystko. Niekiedy powiadał, że chce tylko spokojnie odsiedzieć zasądzony wyrok i wrócić czym prędzej do swojej Bogny. W przyływie bezgranicznej szczerłości kiedyś wyznał, że więzienie pozwoliło mu zrozumieć, jak wielkim uczuciem darzy tę kobietę. Miał swoje marzenia, swoje cele i plany na przyszłość, a cała reszta go nie dotyczyła. To był jego sposób na przetrwanie w tym miejscu.

Pewnego dnia Dziadunio po raz pierwszy nie pojawił się w warsztacie. Sytuacja była o tyle niepokojąca, że Jaśki również nie znali przyczyny jego nieobecności. Zresztą jak zdążyłem zauważyć, ich raczej niewiele obchodziło. Chyba nawiązali między sobą sojusz, który miał im obu zagwarantować spokojną egzystencję przy zbijaniu skrzynek, produkcji trzonek do siekier, tasaków i młotków oraz drzewców do łopat, motyk, grabi i sam Bóg wie czego jeszcze.

Ja miałem swoją robotę.

Przed południem w drzwiach warsztatu pojawił się dozorca i krzyknął donośnym głosem:

– Więzień Żabikowski jest wzywany do naczelnika!

Odłożyłem narzędzia, zarzuciłem na grzbiet kufajkę i ruszyłem za strażnikiem.

Funkcjonariusz doprowadził mnie pod same drzwi gabinetu Wojciechowskiego. Wszedłem do środka.

– Więzień dwadzieścia dziewięć-jedenaście melduje się na wezwanie – powiedziałem zgodnie z regulaminem.

Naczelnik siedział za swoim biurkiem i przeglądał papiery. Po chwili uniósł nieco głowę i spojrzał na mnie.

– Ooo, pan Żabikowski, witam – odezwał się spokojnym tonem. – Jak postępują prace? Kiedy mogę liczyć na nowy mebel? – Palcami dłoni uderzał w blat biurka.

– Myślę, że będziemy gotowi do końca grudnia.

– Dobrze, że przynajmniej masz jakieś prognozy – powiedział. – Pojawiła się jednak pewna drobna komplikacja. Klemens Wilczak podupadł na zdrowiu, i to bardzo. Jest na izbie chorych i trudno powiedzieć, kiedy będzie dyspozycyjny. No cóż, w pewnym wieku ludzki organizm zaczyna poważnie szwankować.

Nie spodziewałem się takiej wiadomości.

– Tak więc jak widzisz – ciągnął – sprawy się nieco skomplikowały. Staruszek trzymał stolarnię w garści, organizował robotę, zarządzał cyklem pracy, szkolił nowych. – Wskazał dłonią na mnie. – I nagle się rozłożył

– powiedział z takim wyrzutem, jakby Dziadunio popełnił niedopuszczalne wykroczenie, ponieważ nie zameldował panu naczelnikowi, że ma zamiar chorować. – Rozmawiałem z nim godzinę temu i wiesz, co mi powiedział? – Spojrzał na mnie, jakby oczekiwał konkretnej odpowiedzi.

– Nie mam pojęcia, panie naczelniku – odparłem.

– Wilczak stwierdził, że ty jesteś najlepszym kandydatem na jego miejsce. Doskonale rozumiem, że ma sentyment do ciebie, zwłaszcza że wyczarowałaś mu, ot tak – pstryknął palcami – przejazdzkę samochodem. Widzę, czego razem dokonaliście. – Wskazał dłonią na regał. – Naprawdę wspaniała robota. – W jego głosie było słyhać szczerłość. – Nasza stolarnia jednak nie jest klubem małego majsterkowicza czy kółkiem modelarskim, to jest poważny warsztat z poważnymi zleceniami. Oprócz cyklu produkcyjnego musimy również zaspokajać nasze bieżące potrzeby. Gdzieś trzeba naprawić drzwi albo okno, tam poręcz, albo schody, w jadalni coraz więcej stołów i ławek zaczyna wołać o pomstę do nieba. To wszystko trzeba ogarnąć, zapanować nad tym, zorganizować, no i przede wszystkim dobrze wykonać swoją pracę. Szczerze powiedziawszy, to nie wiem, czy jesteś odpowiednią osobą na to stanowisko. – Pokiwał lekko głową. – A ty jak myślisz? – zapytał.

– Sądzę, panie naczelniku – ton mojego głosu świadczył o pewności siebie – że nikt inny nie pokieruje warszatem lepiej niż ja. Mam duże doświadczenie, od najmłodszych lat pracowałem przy drewnie. Umiem zrobić dużo, bardzo dużo. Znam się na stolarce. Zanim

zostałem skazańcem, prawie dziesięć lat pracowałem w firmie, która zajmowała się produkcją mebli i zatrudniała kilkanaście osób. – Trochę przesadziłem, mówiąc o dziesięciu latach, ale byłem blisko tego wyniku. No dobrze, może brakowało kilkunastu miesięcy do pełnej dziesiątki, ale był to tylko drobny, nieistotny szczegół. Nie potrafię wytłumaczyć, jak to się stało, że wszystkie słowa tak gładko bez zająknięcia niczym potok płynęły z moich ust. Sprzedawałem się najlepiej, jak potrafiłem. – W swojej drodze zawodowej przeszedłem wszystkie szczeble. Zaczynałem od sprzątanania, potem kiedy już się orientowałem, jakie konkretnie narzędzia do czego służą, zrobiono mnie gońcem. Kursowałem między stolarnią a miejscami, gdzie firma prowadziła montaż mebli. Po pewnym czasie zostałem pomocnikiem i zacząłem się uczyć prawdziwego fechtunku. Nie miałem jeszcze osiemnastu lat, kiedy pomyślnie zaliczyłem egzaminy czeladnicze i zostałem przyjęty na pełny etat. Wiem wszystko o pracy w stolarni. Poradzę sobie, panie naczelniku, może być pan tego pewien.

Wojciechowski spoglądał na mnie i lekko uśmiechał się pod nosem.

– Bardzo ci na tym zależy, co?

– Panie naczelniku, w moim przypadku jedno jest pewne – mówiłem spokojnym i opanowanym tonem – spędzę w więzieniu resztę swojego życia. Nie wiem, jak długo ono potrwa. Może doczekam sędziwej starości, a może umrę w średnim wieku? Kto to wie jaka jest nam pisana przyszłość? – Wzruszyłem ramionami. – Na te

pytania nie znam odpowiedzi, ale wiem, że jeszcze większe zaangażowanie się w pracę, nada odrobinę sensu mojemu zmarnowanemu życiu.

Przez dłuższą chwilę Wojciechowski wpatrywał się we mnie, po czym oparł się wygodnie o oparcie fotela, w którym siedział, i kilkakrotnie klasnął w dłonie.

– Brawo, Żabikowski, brawo! – Uśmiechnął się. – Widzę, że masz potencjał i wiesz, czego chcesz. Będę pilnie obserwował twoje poczynania. Daję ci tę funkcję. Będziesz dowodził stolarnią, tak jak ja dowodzę tym więzieniem. Najpierw okres próbny do końca roku, a potem zobaczymy co dalej.

– Dziękuję, panie naczelniku. – Przez chwilę się poczułem, jak wybraniec bogów. Jednocześnie dotarło do mnie, że choroba Dziadunia niosła ze sobą mnóstwo komplikacji. – Chciałbym o coś zapytać – powiedziałem czym prędzej.

– Pytaj!

– Dwóch ludzi obecnie zajmuje się produkcją, a ja zostałem sam i chyba potrzebuję pomocnika – zasugerowałem.

– Już dziś wydam polecenie, żeby w kadrach przewertowano akta i znaleziono kogoś, kto ma pojęcie o stolarce. Na razie sam sobie dobierzesz jakiegoś bystrego pomagiera i zgłosisz to u dowódcy na swoim bloku.

– Czy po dniu pracy mogę odwiedzać Klemensa?

Naczelnik spojrział na mnie badawczym wzrokiem i rzekł:

– Dobrze, zgadzam się. Rozumiem, że spotkania

będą miały charakter konsultacji związanych z odpowiednim wykonaniem sprzętów do tego gabinetu. – Swoją dobroduszość schował za parawanem moich obowiązków. – Chodźmy! Trzeba to wszystko jakoś poukładać – rzucił komendę, wstał i ruszył w kierunku drzwi.

Niespełna dekadę później, w roku 1932 w polskiej literaturze pojawił się fikcyjny bohater... Nikodem Dyzma. Barwna postać, którą stworzył Tadeusz Dołęga-Mostowicz, wypowiedziała idealnie pasujące do tej sytuacji zdanie: *Umiejętność dowodzenia – to umiejętność podejmowania szybkich decyzji!*

Prężnym krokiem przecięliśmy więzienny plac i bocznym wejściem wkroczyliśmy na teren bloku B. Kilka minut później znaleźliśmy się w gabinecie Szumskiego. Spotkanie trwało krótko. Naczelnik poinformował o swojej decyzji pana aspiranta, który – ku mojej uciechu – zrobił bardzo głupią i zaskoczoną minę. Wojciechowski uczynił go odpowiedzialnym za przekazanie tej informacji swoim podwładnym.

W każdym człowieku jest odrobina niepotrzebnej próżności i każdy z nas co pewien czas lubi się poczuć jak niekwestionowany zwycięzca. Smak takiej satysfakcji jest o tyle lepszy, o ile zwyciężamy z tymi, których nie darzymy zbyt dużą sympatią. Trzeba jednak uważać, ponieważ po drugiej stronie naszej próżności, może czaić się czyjaś chorobliwa zawziętość. Człowiek jako istota rozumna w tej kwestii jest ułomny i upośledzony. Próżność i zawziętość to oręż prowadząca jedynie do wyniszczenia.

Gdzieś tam w głębi duszy wiedziałem, że Teodor Szumski postawi sobie za punkt honoru udowodnienie mi, że nawet sam Wojciechowski w niektórych sprawach ma gównu do powiedzenia.

Kiedy Jaśki dowiedziały się z ust naczelnika, że zostaję szefem stolarzy, obaj zrobili wielkie oczy. Mogę sobie jedynie wyobrazić, ile abstrakcyjnych myśli przeleciało przez ich głowy. Na pewno wysuwali teorie, że jestem konfidentem i kapusiem. Na ich miejscu chyba też bym tak pomyślał. Osobiście nic do nich nie miałem, znaliśmy się, ale nie byli moimi kumplami. Nic o sobie nie wiedzieliśmy. Pierwsi narzucili ten dystans, i nawet wiem dlaczego. Byłem z oddziału dziesiątego, a to wszystkim kojarzyło się źle. Bez wyjątku.

Teraz jednak ważne było co innego. Przyszłość. Moja przyszłość. I nie miało najmniejszego znaczenia, kto i co sobie o mnie myślał, stawka była zbyt wysoka.

Naczelnik opuścił warsztat chwilę po tym, kiedy dzwony na wieży wybiły południe. Nawet w najśmielszych snach nie spodziewałem się takiego dnia jak dzisiaj. Siedziałem i rzez kilka dobrych minut nie mogłem ochłonąć. Jaśki pracowały w tym samym tempie co zwykle, szeptali coś między sobą i chyba nieco częściej zerkali w moją stronę. Wypaliłem dwa szlugi, jeden za drugim, i zastanawiałem się, jak opanować to wszystko. Czy na pewno dam radę? Zerknąłem na surowe biurko. Teraz czekało je kilkutygodniowe politurowanie.

Niewątpliwie potrzebowiałem pomocnika, i to jak najszybciej, a najlepiej od zaraz. Nie wiem dlaczego, ale już wcześniej pomyślałem o Ojczulku.

Przejrzałem dokładnie zasoby stolarni. Niemal niczego nie brakowało, oprócz dobrej jakościowo flaneli, bez której nie było sensu zabierać się do politurowania.

– Idę do magazynu po szmaty – powiedziałem do Jaśków.

Na dworze wyraźnie czuło się jesienny chłód. Niebo ponad więziennym murem było jak żywcem wyjęte z obrazów Chełmońskiego. Wcisnąłem dłonie głębiej w kieszenie i szybkim krokiem udałem się w stronę budynku, w którym znajdowała się więzienna pralnia i pomieszczenia magazynowe.

Tam, gdzie pracowało więcej skazanych, był również większy dozór klawiszy. Zameldowałem się u dyżurnego, pokazałem przepustkę i chwilę później jeden z dozorców zaprowadził mnie do odpowiednich drzwi.

Magazynem okazało się obszerne pomieszczenie wypełnione rzędami ciasno ustawionych regałów, które sięgały aż po sufit. Aby wejść do jego właściwej części, należało najpierw minąć biurko funkcyjnego klawisza przy drzwiach, a potem przejść przez wąski korytarz, zrobiony z metalowej siatki.

– A ty coś za jeden? – zapytał mnie zaskoczony strażnik, który siedział za biurkiem i kołysał się na krześle.

– Więzień dwadzieścia dziewięć-jedenaście. –

Regulamin wyraźnie mówił, że zawsze trzeba podawać swój numer.

– Czego chce? – zwrócił się do mnie bezosobowo.

Podąłem mu swoja przepustkę. Kiedy zobaczył złożony u dołu autograf, od razu przestał się bujać.

– Z polecenia pana naczelnika – odparłem – proszę o wydanie najlepszej jakościowo flaneli.

– Duszański! – krzyknął funkcjonariusz.

Po chwili wrzasnął jeszcze raz:

– Duszański, kurwa twoja mać!

– Idę już, idę – odpowiedział czyjś głos z głębi magazynu.

– Ruchy, Duszański! Tempo! – wydierał się funkcjonariusz z cwaniackim grymasem na twarzy.

Nagle zobaczyłem, że ów Duszański to Hrabia we własnej osobie. Bez dwóch zdań, musiałem wyglądać na zaskoczonego. On na mój widok zareagował podobnie.

– Duszański – odezwał się strażnik. – Jesteś za wolny. Chowasz się między półkami, pokładasz się gdzieś na drugim końcu magazynu, leżysz ciągle jajami do góry i rozleniwiłeś się kompletnie. Kiedy ja wołam: „Duszański”, masz być tutaj w trzy sekundy. Chyba zacniemy ćwiczyć twoją szybkość. No dobra – dodał, podkreślając, że zakończył temat. – Nasz gość potrzebuje flaneli w najlepszym gatunku. Mamy coś takiego?

– Mamy tam jakieś strzępy materiałów, ale nie wiem, który z nich to flanela, a tym bardziej, która jest najlepsza.

– Duszański, rozczarowujesz mnie. W związku

z twoją niewiedzą muszę się osobiście fatygować, żeby to sprawdzić?

Kiedy tylko usłyszałem te słowa, od razu zaświtała mi genialna myśl.

– Mogę wejść i sam wybrać? – zapytałem klawisza.
– Tak będzie chyba najlepiej. Wiem, czego potrzebuję i co spełni moje oczekiwania.

Spojrzał na mnie nieco zaskoczonym wzrokiem, ale po chwili chyba uznał, że to dobry pomysł, ponieważ sam nie będzie się musiał fatygować.

Łypnął na mnie nieco podejrzliwym wzrokiem i po chwili powiedział:

– Dobrze, zdejmuj kufajkę i opróżniaj kieszenie.

Wykonałem posłusznie polecenie.

– To wszystko? – Wskazał głową na paczkę papierosów, zapalki i drewnianą metrówkę. – Chodź no tu. – Kiwnął palcem.

Podszedłem bliżej. Strażnik, nie wstając z krzesła, zrewidował mnie w dość ogólny sposób.

– Możesz wejść. Duszański, zaprowadź go do materiałów i niech sobie wybierze, co mu tam pasuje najlepiej. I żeby mi to nie trwało całą wieczność! – rzucił.

Hrabia prowadził mnie pomiędzy regałami.

– Pracujesz tutaj? – odezwałem się półgłosem. – Niezła fucha.

– Jakoś tak wyszło, że się załapałem. – Obrócił się i puścił mi oko. Nie byłem pewien, co to miało oznaczać.

– Masz dla mnie jakieś wieści? – Nadzieja i bezpośredniość biła z moich słów.

– Oczywiście, że mam – odparł z uśmiechem. – Moja pani spędziła z twoją matką prawie cały dzień, i to nie tak dawno temu. Wiem wszystko, znam prawie całą historię jej życia. Mieszka na poddaszu, wynajmuje je od... – przez moment zastanawiał się, szukając w głowie nazwiska – rodziny Leśniaków, zgadza się? – niby pytał, niby stwierdzał i patrzył na mnie, żeby się przekonać, czy trafił.

– Tak, Leśniaków – potwierdziłem.

Zatrzymaliśmy się obok regału z materiałami. Na trzech drewnianych półkach leżały poukładane w kostkę tekstylia w różnych kolorach i rodzajach.

– Ja mówię, a ty przy okazji sprawdzaj, który ci odpowiada. Twoja mama już ma swoje lata, więc ze zdrowiem jest różnie, ale jakoś sobie radzi – mówił półgłosem. – Na początku tego roku trochę się pochorowała, ale już jest dobrze. Przyjechała tutaj przed świętami Wielkiej Nocy, ale nie zezwolono jej na odwiedziny.

– Tak, wiem – odparłem. – Miałem w tej sprawie audiencję u aspiranta Szumskiego. Cholerny gnojek, ale nie ważne. – Dostrzegłem zaskoczenie w oczach Hrabiego. – To długa historia... Mów dalej.

– Twoje listy docierają. Poczowała się szczęśliwa, wiedząc, że nic ci nie jest, że jesteś zdrowy i że jakoś dajesz sobie radę. Codziennie chodzi do kościoła i modli się za ciebie. Modli się o sprawiedliwość i zadośćuczynienie.

Czułem, jak coś zaczyna mnie ścisnąć za gardło. Nie myślałem, że to będzie takie trudne. Kiedy Hrabia

opowiadał, rozlewało się we mnie poczucie krzywdy, które wyrządziłem otaczającemu mnie światu.

– Ta dziewczyna – kontynuował – do której miałeś poważne plany... to wiesz... ona wyjechała i nie ma z nią kontaktu.

Wiedziałem o tym, ale w głębi serca miałem nadzieję. Właściwie sam nie wiem na co.

– Tak samo ten twój niby-przyjaciel, zniknął, przepadł bez śladu. Nie będę czarował i bajdurzył, powiem to, co usłyszałem od mojej kobiety. – Wziął głębszy oddech. – Sytuacja twojej mamy nie wygląda za dobrze. Stara, schorowana. Żeby jakoś żyć, człowiek potrzebuje pracy i pieniędzy. Ci ludzie, u których mieszka, czasami jej pomogą, ale im też nie jest lekko. Chyba wiesz, co mam na myśli.

Doskonale zdawałem sobie sprawę, o czym mówi. Żal i wściekłość przelewały się w mojej duszy, czułem się bezsilny i winny.

– Ponoć macie rodzinę gdzieś w kraju, ale od lat nie utrzymujecie ze sobą kontaktu – opowiadał. – Nie jest jej łatwo. Pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć, bo jak to mówią, lepsza gorzka prawda niż słodkie kłamstwo.

– Duszański! – dobiegł do nas głos strażnika. – Co się z wami dzieje?! Poszłście tam zrobić sobie dobrze?! Już mi tu wracać z powrotem!

– Jeszcze chwilkę, panie dozorczo! – krzyknął Hrabia. – Który ci odpowiada? – Kiwnął głową w stronę regału.

– Wezmę to i to. – Sięgnąłem po materiał.

Kiedy wracaliśmy z powrotem, Hrabia odezwał się:
– Jeżeli będziesz chciał jakoś wesprzeć matkę, to daj znać. Dogadamy się.

Kiedy opuszczałem magazyn, miałem wrażenie, że moje nogi są miękkie jak z waty. Ściany korytarza wydawały się raz po raz kurczyć, rozciągać i wykręcać. Zaczynało mi brakować tchu, puls w skroniach uderzał szybciej i szybciej, jakby za moment coś krwistego miało eksplodować i rozsadzić moją czaszkę. Do drzwi wyjściowych dzieliło mnie jeszcze niespełna dziesięć, może dwanaście metrów. Czułem, jak moje ciało robi się wilgotne od potu. Przetarłem rękawem czoło, jeszcze pięć metrów, dwa, pochwyciłem metalową klamkę i pchnąłem drewniane wrota przed siebie. Poczulem uderzenie chłodnego, październikowego powietrza. Zatrzymałem się i miałem wrażenie, że moje uda nerwowo dygoczą. Zrobiłem kilka kroków w bok i oparłem się plecami o czerwone cegły budynku. Powoli wracała przytomność umysłu. Kilka głębokich wdechów podziałało niczym cudowne lekarstwo.

Miałem ochotę krzyczeć, żeby wyrzucić z siebie całą wściekłość, bezsilność i rozpacz. Nie byłem przygotowany na tyle emocji. Wyobraźcie sobie, że tego samego dnia, kiedy otrzymujecie upragniony awans zawodowy, wtedy wasz prywatny świat obraca się w perzynę! Jak przez to przebrnąć? Czasami słyszałem, jak ktoś się mądrzył i mówił, że życie potrafi zaskakiwać i wstrząsnąć człowiekiem, ale wydawało mi się, że to tylko wyświech-

tany slogan.

Myliłem się.

Przez kilka kolejnych dni żyłem, jak w ponurym, przynębiającym letargu. Dookoła była tylko szara beznadziejność i egzystencjalny bezsens.

Do pracy w warsztacie jako pomocnika zaangażowałem Ojczulka. Cieszył się chłopina, ponieważ była to zdecydowanie lepsza robota niż monotonne zajęcie na szwalni. Dużo rozmawialiśmy. Pozyskał moją wdzięczność i szacunek za to, że nie starał się mnie uświadamiać, pocieszać i nauczać. Ojczulek był dla mnie niczym gąbka, która wchłaniała moje żale, cierpienia, bóleczki, zwątpienia i wszystkie inne zmagania, z którymi nie potrafiłem skutecznie walczyć. Nie sądzę, żeby nawet sam wielki Zygmunt Freud mógł mi lepiej pomóc niż były ksiądz Erik von Gerswalde.

Moja eksperymentalna, prywatna terapia odniosła skutek i niczym nowo narodzone dziecko w pierwszych dniach listopada powróciłem na łono więziennej rzeczywistości. Ojczulek sprawił, że uporałem się z moimi słabościami, a przy okazji udzielił mi wielu cennych wskazówek. Pewnego razu powiedział:

– Wiem doskonale, jak wygląda życie za kratami. Siedziałem już w celi, zanim ty przyszedłeś na świat. Byłem świadkiem wielu ludzkich dramatów i upadków, widziałem granice, gdzie kończy się człowieczeństwo, znałem ludzi dopuszczających się tutaj gorszych podłości niż te, za które ich skazano. Pamiętaj o jednym, nikt ci

tutaj bezinteresownie nie pomoże, musisz sam zadbać o siebie. Widzę, że szybko się uczysz i postępujesz jak należy. Dlaczego mnie wzięłeś na pomocnika? Bo mnie lubisz? Może i tak – uśmiechnął się – ja też ciebie lubię, miły z ciebie dzieciak. Obaj jednak dobrze wiemy, że będziesz oczekiwał z mojej strony rewanzu – poczułem się dziwnie, bowiem staruszek miał cholerną rację – a ja jako człowiek z zasadami i honorem czuję się zobowiązany i z chęcią się odwdzięczę. – Położył mi swoją dłoń na ramieniu. – Nigdy nie daj się tutaj wciągnąć w jakąś niepotrzebną historię. Rzadko kiedy, a najlepiej wcale, nie szukaj u kogoś rady. W tym świecie, zbudowanym z murów i krat, każdy z nas może bardzo szybko zostać Judaszem. Wiem, że masz skłonności do – spojrzałem na niego zdziwionym wzrokiem – gadulstwa. Weźmy na przykład twoje zainteresowanie i drażnienie tematu zamkniętych cel. Zgadza się? Szperanie w cudzych sekretach, a szczególnie w tych, które skrzętnie ukrywa władza, może się źle odbić na twoim zdrowiu.

Muszę przyznać, że miał świętą rację. Byłem już na tyle rozgarnięty, że wzięłem sobie jego słowa do serca. Postanowiłem bezgranicznie zaufać matczynej sentencji, którą już zdążyłem wam zdradzić i pewnie jeszcze nieraz powtórzę: „Staszek, zawsze słuchaj się starszych”.

Codziennosc wskoczyła na właściwe tory. Prace na stolarni biegły zwyczajowym tempem, Jaśki robili swoje, a ja zmuszałem siedemdziesięciolatka do politurowania okazałego biurka.

Oczywiście dla zachowania równowagi w przyrodzie i utrzymania stabilności we wszechświecie, jakby powiedział Suchy, nieuniknione było moje spotkanie z aspirantem Szumskim.

Pewnego popołudnia, kiedy Szumski miał służbę, zostałem wezwany przed jego oblicze.

– No i co, Żabikowski – zaczął jak zwykle od grzeczności – liżesz dupsko naczelnikowi za ciepłą posadkę? Z tego, co widzę, to się ustawieś. Pałetasz się po obiekcie jak giez po oborze i myślisz, że tak będzie zawsze?

– Czasami jest taka potrzeba, panie aspirancie – odpowiedziałem zgodnie z regulaminem.

– Nie podskakuj, Żabikowski. Nie bądź taki cwany, bo nie z takimi cwaniakami jak ty miałem tutaj do czynienia. Drażnisz mnie, Żabikowski, nie wiem dlaczego, ale drażnisz mnie, i to bardzo – wypowiadał każde słowo wyraźnie i powoli. – Ja cię nie straszę, ja po prostu czekam na okazję, żeby cię udupić. Rozumiesz?

– Chyba tak, panie aspirancie – odparłem.

– Nie bądź beczelny! – wrzasnął. Nerwowo wyjął z kieszeni spodni srebrną papierośnicę. Najwyraźniej palenie relaksowało i dawało Szumskiemu złudzenie spokoju i opanowania, tak samo zresztą jak każdemu prawdziwemu palaczowi. Po chwili jego zdenerwowanie nieco ostygło. – Pamiętam, kiedy tu przyjechałeś, byłeś wtedy młodym, wystraszonym gnojkiem z wyrokiem dożywocia. Myślałem, że cię tutaj wdepczą w ziemię, ale ty jakoś sobie poradziłeś. Dla mnie jesteś kombinator

i krętacz, a ja naprawdę takich nie lubię. Nic na to nie poradzę, że tacy ludzie budzą moje obrzydzenie, i cieszy mnie ich każda porażka. Tak więc chyba rozumiesz, Żabikowski, do czego zmierzam. Rozumiesz? – zapytał.

– Nie bardzo, panie aspirancie. – Naprawdę nie do końca pojmowałem, o co mu chodzi.

– Świetnie, Żabikowski, świetnie. Ja cię nie lubię, a ty uwielbiasz mnie wkurwiać. Uzupełniamy się nawzajem. Dobrze, niech tak będzie. Poczekam cierpliwie, aż któregoś dnia potkniesz się i wtedy będziesz mój. – W jego głosie czaiła się złośliwość i podstęp. – A teraz wynoś się!

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko obrócić się na pięcie i zniknąć mu czym prędzej z oczu. Nie potrafiłem zrozumieć, co takiego zrobiłem lub czego nie zrobiłem, że ten człowiek pluł na mnie jadem. Postanowiłem nie wchodzić mu w drogę.

Przepustka od naczelnika nie tylko otwierała wszystkie drzwi, ale jeszcze działała prawdziwe cuda. Jako jedyny osadzony w Centralnym Więzieniu we Wronkach mogłem swobodnie pojawiać się na izbie chorych. Chodziłem tam, żeby odwiedzać Klemensa Wilczaka, mojego dobrego kumpla i najlepszego nauczyciela w jednej osobie. Byłem niczym niezniszczalny bumerang i co drugi dzień towarzysko nawiedzałem Dziadunia. Słodko kłamałem, mówiąc mu prosto w oczy, że wygląda kwitnąco, ale tak nie było. Widziałem, jak z każdym dniem usychał... i pewnie tak też się czuł.

– Nie pociągnę za długo – powtarzał. – Niebawem

wykituję.

– A dajże spokój – zaprzeczałem banalnym zwrotem.

– Wiem, co mówię. Żałuję tylko, że nie zaparzyłem ci mojego czaju. – Klemens zarechotał starczym głosem. – To byłaby zabawa, jakbyś posmakował.

– Myślę, że jeszcze trochę i zaserwujesz mi ten boski napój.

Oczywiście przychodziłem nie tylko dlatego, żeby sobie pożartować, lecz także zdawałem mu relację, jak mają się sprawy na stolarni i jak posuwa się nasza robótka dla naczelnika. Myślę, że żył pracą w warsztacie, która była dla niego jedyną namiastką normalnego życia. Jako szef czuł się tam ważny i potrzebny, trzymał wszystko w garści, rządził i wydawał polecenia. Tam był jego świat, dzięki któremu chciał oszukać rzeczywistość, w której tkwił.

Podczas kolejnych odwiedzin, kiedy opowiadałem mu, jak daję sobie radę ze stołem, Dziadunio nagle przerwał mi i powiedział półgłosem:

– Możesz coś dla mnie zrobić?

– Jasne, co tylko chcesz. Byleby w granicach ludzkich możliwości – odparłem, udając rozbawienie.

– Niedługo kończy się moja podróż na tym padole...

– Dajże spokój, bo już tego słuchać nie mogę – wpadłem mu z zdanie.

– Zamknij się, kurwa mać, i słuchaj – syknął, a w jego oczach błysnęła złość. Wziął głęboki oddech. –

Chcę cię o coś prosić. Słuchaj uważnie. Mam tyle samo lat co Ojczulek... cieszę się, że facet jest w lepszej formie niż ja, oby trwał w dobrym zdrowiu. Kiedy umrę, zrobisz mi trumnę, nie musi być wygodna – zadrwił. – Proszę cię tylko, niech na wewnętrznej powierzchni wieka będzie napisane moje imię i nazwisko, ile przeżyłem lat i kiedy umarłem. Proszę cię, to dla mnie bardzo ważne. Zrobisz to? – W tonie jego głosu słyszałem nutkę błagania.

– Nie ma sprawy, zrobię – odpowiedziałem. – Obiecuję.

– Świetnie – szepnął. – W takim razie trzymam cię za słowo.

Czułem się nieco idiotycznie. Chociaż może nie, czułem się bardziej... a zresztą nie ważne. Pamiętam, że kiedy usłyszałem prośbę Dziadunia, wydała mi się głupia. Po jaką cholere pisać na wewnętrznej stronie wieka? W każdym razie obiecałem mu i miałem zamiar dotrzymać słowa. Nie potrafiłem pisać, ale znałem takich, którzy byli bardziej edukowani niż ja. A kolejny etap pracy, czyli przerysowanie literek, teoretycznie nie stanowił problemu.

– Przysuń się bliżej – mówił nadal szeptem. – Na stolarni jest coś, co kiedyś w przyszłości – spojrzałem na niego zaskoczonym wzrokiem – może ci się przydać. Mówię ci o tym, bo wiem, że mój koniec jest bliski. To się po prostu czuje, kiedyś się o tym przekonasz. A teraz słuchaj... – Strzelił wzrokiem w stronę sanitariusza, który krzątał się w dyżurce. – Trzecia belka sufitowa, licząc od strony ściany, na której wisi ta spora tablica, a na stojaku spoczywają dębowe deski. Kojarzysz miejsce? – zapytał.

– Jasne – odparłem zaciekawiony.

– Pamiętaj: trzecia belka, stoisz na wprost ściany, trzecia belka. Nie dojdiesz tam bez drabiny. Musisz sobie ją zrobić. Wdrapiasz się wyżej i zerkniesz na belkę od góry. Licząc niecały metr od lewej, od strony okien, kapujesz? – niby zapytał, ale nie czekał na moją odpowiedź – zobaczysz miejsce po sęku, który wypadł. Włożysz palec w dziurę i delikatnie pociągniesz. Jest tam coś, co może ci się kiedyś przydać. Zaufaj mi.

– Co tam jest? – zapytałem zaskoczonym głosem.

– Jeśli chcesz wiedzieć, to musisz sprawdzić. Zrobisz to – uśmiechnął się półgębkiem – każdy by to zrobił. Tylko bądź ostrożny i nikomu ani słowa. Poczekaj do niedzieli, idź do warsztatu, będziesz wtedy sam. Wiesz, że klawisze w niedziele wpadają tam rzadko, ale znienacka. Bądź ostrożny. To, co tam znajdziesz, naprawdę kiedyś może ci się przydać. – Oddychał z trudem, jakby miał za sobą długi, wyczerpujący marsz. – Tylko pamiętaj o jednym... pamiętaj, że dałeś mi słowo.

Wtedy nie mogłem tego przewidzieć, ale to, o co prosił mnie Dziadunio, bardzo szybko stało się dla mnie inspiracją i towarzyszyło mi przez długie lata. Było to równie ponure, jak i chwalebne.

Najbliższa niedziela przypadała jedenastego listopada. Już wtedy był to ważny dzień dla każdego, kto czuł się prawdziwym Polakiem. Dopiero jednak kilkanaście lat później, dokładnie w 1937 roku naród polski doczekał się formalnego ustanowienia tego dnia Narodowym Świętem Nie-

podległości.

Mój 11 listopada 1923 roku zaczął się gówniano, w pełnym tego słowa znaczeniu. Potem był szok i totalna konsternacja. Czasami lubię wpleść w zdanie jakieś mądrze brzmiące słowo, na przykład takie, jak „konsternacja”. Niekiedy mądre słowa robią dobre wrażenie. Jak już wspomniałem, dzień zaczął się gówniano, potem był szok, a finisz miał zapach chryzantem. Wiem, że może to się wam wydawać dziwne lub podejrzanе, a nawet możecie pomyśleć, iż chcę udowodnić, że jestem człowiekiem o niebywalej pamięci. Nie. Zapewniam was, że tak nie jest. Po prostu wiem, że w życiu każdego człowieka trafiają się takie dni, o których nie sposób nigdy zapomnieć. To normalna sprawa. Każdy z was pamięta zarówno najszcześniejsze doznania, jak i te najbardziej przerażające chwile. Prawda? Ja, nie wiem dlaczego, zostałem obdarowany przez Wszechmogącego pamięcią do cyferek, to po pierwsze. Po drugie, taniec niektórych liczb przesła-dował mnie przez całe życie, ale jeszcze przyjdzie czas, żeby o tym opowiedzieć. Pozwólcie, że powrócę do tego... nie mam pojęcia, jakim słowem mógłbym najlepiej określić ten dzień. A może po prostu opowiem o tamtym jedenastym listopada.

Od ponad trzech miesięcy piastowałem zaszczytną funkcję latryniarza, więc przywykłem do nietypowych niedzielnych poranków. Zdążyłem opanować sztukę szybkiego poruszania się z pełnymi wiadrami. Właściwie byłem w tym już tak dobry, że mógłbym reprezentować nasz kraj na międzynarodowej olimpiadzie, jeśli byłaby

taka konkurencja. Opracowałem własną technikę zlewania i szybkiego, bocznego przemieszczania się po schodach... bocznego, bo schody między piętrami były zbyt wąskie, aby iść przodem i trzymać w dłoniach wiadra. Nabrałem pewnych nawyków, które stały się dla mnie rutyną, a jak wiadomo, rutyna czasami bywa zgubna. Na własnej skórze i ubraniu przekonałem się o tym, kiedy robiłem ostatni kurs, dźwigając dwie bomby z ostatniego piętra. Na pewno moim błędem było to, że nawykłem do liczenia schodków, których łącznie od parteru aż na samą górę było pięćdziesiąt jeden. Liczyłem stopnie zarówno wchodząc, jak i schodząc. Ot, taka zabawa dla zajęcia umysłu podczas bezmyślnej czynności. Siedemnaście stopni na każdym prostym odcinku, potem zakręt i znowu siedemnaście.

Ostatnie zejście i – nie wiem, jak to się stało – umknęła mi gdzieś jedna liczba. Stawiając krok, szepnąłem: „siedemnaście”, ale podbicie mojej stopy nie natknęło się na posadzkę, za to końcówką pięty zawadziłem o krawędź schodka, który już policzyłem. Nie miałem najmniejszych szans. Momentalnie straciłem równowagę i poleciałem w przód. W takich niespodziewanych sytuacjach człowiek nie jest w stanie zapanować nad niczym. Jedno z wiader było szybsze ode mnie i na trajektorii mojego lądowania pojawiła się rozlana plama śmierdzących szczyń z archipelagiem gównianych wysepek. Metalowy cylinder odbijał się z charakterystycznym hukiem od kamiennej posadzki. Niczym w zwolnionym tempie widziałem, jak zbliżam się w kierunku brązowej,

cuchnącej plamy. Zdażyłem jedynie wysunąć do przodu dłoń, żeby nie paść prosto na pysk. Drugą rękę, w której jeszcze trzymałem metalowy kabłąk, siła odśrodkowa bezwiednie uniosła nieco w górę i cała zawartość znajdująca się w tym kubie chlusnęła na mnie z prawej strony. W jednej sekundzie prawy bok i plecy od pasa aż po czubek głowy łącznie z moim prawym profilem spotkały się z gównianym wodospadem. Kiedy zetknąłem się z podłogą, dostałem dodatkowego przyspieszenia i leżąc na brzuchu, pomknąłem na wprost, niesiony ślizgiem ludzkiego łajna. Kątem oka widziałem, jak z dyżurki obok wypadł dozorca Robalski. Coś krzyczał, ale nie miałem pojęcia co. Nie słyszałem jego słów. Teraz byłem tylko ja, śmierdząca ślizgawka, ostry ból w biodrze i łomot turlających się wiader.

Po chwili podniosłem się nieco obolały. Spojrzałem po sobie.

– Chryste, Żabikowski – odezwał się klawisz. – Wyglądasz, jak jakaś zaszrana kukła!

Cały byłem umorusany odchodami, coś skleiło mi powieki prawego oka i zatkało prawe ucho, w kąciku ust czułem jakieś miękkie grudki. Jednym ruchem przetarłem twarz rękawem. Splunąłem kilka razy. Cały świat tonął w niewyobrażalnym smrodzie.

– Coś ty, kurwa, narobił, ofiario! – wydzierał się z całych sił Robalski.

Stałem z rękoma opuszczonymi wzdłuż ciała i nie miałem pojęcia, co mam mu odpowiedzieć.

– Łap się za te wiadra i zasuway do piaskarki –

komenderował. – No ruszaj się, człowieku, bo ten smród nas pozabija. Dwa wiadra piachu, biegusiem! – wrzasnął.

Chwyciłem kubły i wybiegłem na zewnątrz. „Pia-skarka” nazywaliśmy dużą skrzynię, która stała tuż obok schodów i zimą używało się jej zawartości do posypywania kamiennych stopni i ścieżki biegnącej wzdłuż ogrodu spacerniaka. Chwilę męczyłem się ze zmarzniętym piachem, starając się rozkruszyć palcami dłoni grudy ziemi. Kiedy widziałem moje ufajdane dłonie, a nozdrza rozsadzał mi parszywy odór, moje wnętrzości skręcało od torsji. Kilka razy pociągnęło mnie, i to całkiem nieźle, ale nie miałem nawet czym zwymiotować. Zaśliniłem się jedynie, a w ustach poczułem gorzki smak żółci.

Wpadłem na blok, dźwigając wiadra z piachem.

– Syp po tym gównie! – rozkazał strażnik. Zobaczyłem, że obok stały oparte o ścianę szufla i miotła. – I daj sobie na ruchy, bo za kwadrans wracają ze śniadania i nie będą mieli którędy przejść! Pozbierać, sprzątnąć, przemyć! Raz-dwa, Żabikowski! Jedziesz z tym światem!

Prawie zmieściłem się w czasie.

Prawie...

Zmywałem podłogę, kiedy zakwaterowani na bloku B wracali z porannego posiłku.

W sumie wcale się chłopakom nie dziwię, że reagowali śmiechem i durnymi docinkami. Gdybym obserwował to wszystko z boku, pewnie też uważałbym, że jest w tym miejsce na humor. W końcu na co dzień nie spotykamy facetów obsranych od stóp po czubek głowy. Co prawda regulamin zabraniał jakichkolwiek dyskusji na

bloku, ale tym razem zrobiono wyjątek. Nawet strażnicy rechotali rozbawieni. Co rusz któryś z więźniów, przechodząc obok, nie mógł się opanować, żeby czegoś nie powiedzieć:

– Kurwa mać, śmierdzi gorzej niż w mojej rodzinnej wsi!

– Stary, zostałeś gównojadem?

– Człowieku, nie powinienes się tak bawić.

– Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś sobie tak zasrał sprawę!

– Przykleiło się do ciebie gówno całego świata?

Pokornie robiłem swoje i właściwie było mi wszystko jedno. Miałem to gdzieś. Wiedziałem też, że przez najbliższe dni, a może nawet tygodnie, Suchy będzie miał niezłą pożywkę dla swoich złośliwości.

Podszedłem do drzwi dyżurki i powiedziałem:

– Więzień dwadzieścia dziewięć-jedenaście melduje, że praca została zakończona.

– Nie podchodź bliżej, bo można się zrzygać od tego smrodu – odparł Robalski. – I co teraz, Żabikowski? Co ja mam z tobą zrobić? Ruszaj przodem, najpierw pójdziemy do łaźni.

Stałem pod natryskiem i rozkoszowałem się strumieniem letniej wody. Chwilę później wziąłem się za solidną przepierkę. Właściwie cała moja odzież nadawała się do prania, nawet onuce. Wszystko było ubabrane zastygłym, śmierdzącym łajnem. Boże, czym sobie na to zasłużyłem? – pytałem sam siebie w myślach, trąc kostką szarego mydła drelichowe spodnie.

Potem wykorzystałem moc mojej przepustki i odziany w mokre ubranie pospiesznym krokiem udałem się do stolarni. Droga do mojego sanktuarium była krótka, ale zdecydowanie nikomu nie polecam spaceru w wilgotnej odzieży na grzbiecie listopadową porą. Można się nieźle załatwić.

W jednej chwili zrzuciłem z siebie ubranie i zabrałem się do rozpalaenia w piecu. Dygotałem z zimna, a moje usta miały siną barwę. Przez blisko kwadrans drzwiczki paleniska były uchylone i przyjemnie huczała cug. Kremowe kafle momentalnie zaczęły się rozgrzewać. Ubrany tylko w bieliznę siedziałem na zydelku i opierałem się plecami o piec, chłonąc przyjazne ciepło. Palilem papierosa, spoglądając w kierunku belki, o której mówił Dziadunio. Rzeczywiście potrzebowałem drabiny. Od podłogi do jej krawędzi, na moje oko, było jakieś trzy metry z małym ogonkiem.

Zostały jeszcze prawie dwie godziny, zanim zaczęą wszystkich wypędzać na spacerniak. Cokolwiek znajdowało się w tej belce, na pewno rozbudzało moją ciekawość. Wiedziałem jednak, że muszę być ostrożny. Właściwie od dnia, kiedy naczelnik udzielił mi zgody na szefowanie w stolarni, a potem Ojczulek nakład mi do łba swoich prawd, stałem się ostrożny aż do przesady. Nie chciałem stracić tego, co mam, przez jakąś bzdurę albo zupełnie niepotrzebną pierdołę. Parokrotnie przerabiałem to już w swoim życiu i wyczerpałem limit na tego typu porażki. Zostałem wyznawcą pierwszej zasady ostrożności: „strzeżonego Pan Bóg strzeże”.

Zanim zbiłem prowizoryczną drabinę, zadbałem, aby teatrzyk pracy miał profesjonalną dekorację. Wszystko porozkładane i w totalnym nieładzie. Narzędzia, kilka desek, nowe biurko naczelnika, wyciągnięte szuflady, otwarty słoik z przefiltrowanym szelakiem, płachty pociętej flaneli i mały stojak, przy którym leżały gotowe tampony do politurowania. Jeśli ktokolwiek stanąłby w drzwiach warsztatu i zobaczył mnie w tym otoczeniu, pewnie pomyślałby, że jestem w trakcie roboty.

Drabinę oparłem pod kątem przy stojaku z deskami. Trudno było ją zauważyć, tak doskonale wtopiła się w otoczenie.

Zapaliłem papierosa i podszedłem do okna.

Dotknąłem dłonią lewego biodra i przypomniałem sobie poranny upadek. Trochę bolało i pewnie będzie spory siniak. Obróciłem głowę i przez chwilę spoglądałem na belkę. Znowu zerknąłem w okno i powiem wam, że naprawdę cholernie bałem się sprawdzić, o czym mówił Klemens. Ciekawość jednak robiła swoje i kusiło mnie ogromnie. Im częściej zerkałem na belkę, tym więcej o tym myślałem, im więcej myślałem, tym bardziej robiłem się pobudzony i niecierpliwy. Najgorsze jednak, że niedziela była o tyle kiepskim dniem, iż dozorczy nie trzymali się schematu. Wiele razy było tak, że któryś z klawiszy zaglądał tutaj dokładnie co godzina. Kiedy indziej co czterdzieści minut. Niekiedy nikt nie przychodził albo pojawiał się dwa, trzy razy w ciągu dnia i nie było w tych odwiedzinach logicznych odstępów.

Chaos.

Dostosowałem się bardzo szybko do więziennego życia, które pulsowało własnym rytmem. Stałem się częścią tego swoistego organizmu i dlatego nie znoszę braku organizacji i nieprzewidywalności. I jak już wspominałem, nienawidzę wszystkich dni, które z jakiś tam powodów są wolne od pracy.

Znowu spojrzałem w okno.

Zegar na wieży wybił kwadrans po dziesiątej.

Zapaliłem kolejnego papierosa.

Przecucie mnie nie zawiodło. Nagle zza rogu budynku wyłonił się funkcjonariusz i prężnym krokiem zmierzał w moim kierunku. Nie zwlekając ani sekundy, podszedłem do biurka, wziąłem jeden z gotowych tamponów, zanurzyłem go w szelaku i zacząłem zwinnie kreślić ósemki na blacie.

Robalski wkroczył do warsztatu.

– No jak tam, Żabikowski? – zapytał, omiatając dookoła badawczym wzrokiem.

– Wszystko w jak najlepszym porządku, panie dozorczo – zameldowałem, nie przerywając wykonywanej czynności.

Klawisz wolnym krokiem spacerował wzdłuż pomieszczenia, rozglądając się ciekawie dookoła. Podszedł w stronę pieca i dotknął dłonią ciepłych kafli.

– Tak sobie myślę – powiedział – że udało ci się z tą stolarnią. Złota fucha. Prawda? Ciepłko, nikt nad głową nie ryczy, przepusteczka od naczelnika, przychodzisz, kiedy chcesz, hmm, żyć nie umierać. – Zaśmiał się i dotknął dłonią moich rozwieszonych ubrań. – Już prawie

suchutkie. Ciekawe, co byś dzisiaj zrobił, gdyby nie ten warsztat? – właściwie nie pytał, tylko się głośno zastanawiał.

– Nie mam pojęcia, panie dozorco. – Uznałem, że lepiej odpowiem. Cokolwiek.

– A ja wiem – obrócił się w moją stronę – siedziałbyś w celi, trząśł zmarzniętym dupskiem i modlił się, żeby twoje ubranie wyszło w ciągu trzech najbliższych dni.

– Co racja, to racja, panie dozorco – odparłem. – Pewnie byłoby tak, a nie inaczej.

Dalej robiłem swoje, a Robalski najwyraźniej rozglądał się, jakby rzeczywiście czegoś szukał. I teraz nie wiem, czy naprawdę miałem rację, czy byłem tak przewrażliwiony, że wszędzie doszukiwałem się irracjonalnych podejrzeń.

– Żabikowski, czy ty mógłbyś coś dla mnie zrobić?
– Pytanie strażnika mnie zaskoczyło. – Miałbym dla ciebie taką malutką, stolarską robótkę.

Facet najwyraźniej miał skłonność do zdrabniania wyrazów.

– Oczywiście, panie dozorco, jeśli tylko będę potrafił. A co potrzeba?

– Mamy w domu taki drewniany świecznik, pamiątka rodzina mojej żony. Jedno z dzieci potraściło o kredens, świecznik spadł i złamało się jedno ramię.

– Nie ma problemu, naprawię – odparłem.

– Świetnie, w takim razie przyniosę go któregoś dnia. – Pokiwał z zadowoleniem głową.

Powoli ruszył w kierunku drzwi. Złapał za klamkę,

obrócił się w moją stronę, spojrzął mi w oczy i kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć: „no, to tymczasem”.

Odwzajemniłem gest.

Wyszedł.

Odczekałem chwilkę, zbliżyłem się do okna i dyskretnie spojrziałem na zewnątrz. Klawisz prężnym krokiem zmierzał tam, skąd przyszedł. Kiedy jego postać zniknęła za rogiem budynku, nie czekałem już ani chwili.

Niemal rzuciłem się w stronę drabiny. Przystawiłem ją do belki i wspiąłem się po jej szczeblach, które złowieszczo trzeszczały pod moim ciężarem. Było tak, jak mówił Dziadunio. Zobaczyłem miejsce z dziurą po sęku. Otwór był na tyle duży, że mogłem w niego swobodnie włożyć mój wskazujący palec, co też uczyniłem. Wyczułem w środku pustą przestrzeń, zgiąłem paluch w hak i delikatnie pociągnąłem w górę. To była skrytka. Ktoś, być może Klemens, wyźłobił belkę, a od góry precyzyjnie dopasował deskę z dziurą po sęku, żeby zamaskować otwór. Doskonała robota, wzrokowo nie do rozpoznania. Uniosłem deskę, która miała jakieś trzydzieści centymetrów długości, około piętnastu szerokości i każdy bok ścięty do środka pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Wewnątrz głębokiego wyźłobienia leżał pakunek owinięty bawełnianą szmatą. Sięgnąłem po niego. Położyłem deskę na swoim miejscu, szybko zszedłem z drabiny i odstawiłem ją na poprzednie miejsce. Wróciłem do stołu, na którym były rzucone flanelowe szmaty i otwarta skrzynka z narzędziami. Położyłem obok pakunek i nieco spanikowany doskoczyłem w kierunku okna.

Pusto.

Odetchnąłem z ulgą.

W środku było coś sztywnego i miało swoją wagę. Powoli odwijalem to tajemnicze zawiniątko. Palce moich dłoni stały się nagle nieco śliskie. Pod opuszkami palców wyczuwałem, że szmata jest nasączona olejem. Rozwijalem kolejną warstwę i coraz wyraźniej ukazywał mi się konkretny kształt. Kiedy zdałem sobie sprawę, co to jest, poczułem nieprzyjemną falę gorąca. Uczucie intensywnego ciepła sprawiło, że mógłbym przysiąc, iż moje małżowiny uszne zajęły się żywym ogniem. Serce łomotało mi w piersiach jak oszalałe, a skronie zrosiły się kropelkami potu. Odwinąłem ostatnią warstwę materiału. Przede mną, na stole obok skrawków flaneli, stolarskiego młotka, kilku dłut i drewnianej skrzynki na narzędzia leżał najprawdziwszy luger, kaliber dziewięć milimetrów! Bardziej znany pod nazwą „Parabellum”. Miałem przed sobą kawałek śmiercionośnego żelastwa. Prędzej chyba spodziewałbym się zobaczyć skradzione tego roku relikwie świętego Wojciecha niż broń! Miałem w swoim życiu do czynienia z takim pistoletem, potrafiłem go obsługiwać i strzelać. Nawet w miarę celnie. Chryste Panie, patrzyłem na bardzo niebezpieczny przedmiot, połyskujący miejscami od nadmiernej ilości oleju. Ktoś, kto go tam ukrył, wiedział, co robi. Olej świetnie konserwuje metal przed niszczącą siłą upływającego czasu i wilgoci. Obok czarnego parabellum leżało też nieduże, zielone, metalowe pudełeczko z niemożliwym do rozszyfrowania malowidłem na wieczku. Było ciut mniejsze od zwykłej paczki

papierosów. Już miałem po nie sięgnąć, kiedy nagle coś usłyszałem. Jakiś nienaturalny szelest na zewnątrz. Przykryłem pistolet szmatami, zamarłem w bezruchu i nasłuchiwałem.

Nic.

Cisza.

Kilka razy głębiej odetchnąłem dla uspokojenia i ponownie podszedłem do okna. Nawet nie byłem sobie w stanie wyobrazić, co by się działo, jeśli któryś ze strażników nakryłby mnie ze spluwą w rękach. Chyba spędziłbym resztę wyroku w lochu.

Zegar na wieży zaczął wybijać godzinę jedenastą.

Musiałem zapalić. Głęboko zaciągałem się dymem. To wszystko... sam nie wiem, nie byłem przygotowany na coś takiego. To był jakiś cholerny żart!

Skąd Dziadunio go wytrzasnął? Jedno było pewne, po obiedzie walę prosto na izbę chorych i dowiem się wszystkiego, choćbym miał mu to siłą wydrzeć z gardła.

Znowu spojrzałem w okno.

Pustka.

Wróciłem do stołu. Odsunąłem szmaty i sięgnąłem po zielone pudełko. Delikatnie je otworzyłem. W środku było coś zawinięte w postrzępiony skrawek ciemnej szmatki. Wyjąłem pakuneczek. Rozchyliłem rogi materiału i ujrzałem coś, co najpierw sprawiło, że moje oczy stały się przerażająco duże, a zuchwa swobodnie opadła w dół. W jednej sekundzie przez moje ciało ponownie przelała się wezbrana fala ciepła, a puls uderzył dwa razy szybciej. Drżącymi palcami dotknąłem te małe przedmioty, żeby się

upewnić, czy naprawdę istnieją. To było kilka złotych obrączek, jeden sygnet z herbem rodzowym w oczku i kilkanaście złotych... ludzkich zębów. Przyjrzałem się z bliska każdej obrączce. Cztery z nich miały po wewnętrznej stronie wygrawerowane daty. Romantyczna pamiątka dnia, kiedy ktoś zawierał sakrament związku małżeńskiego. Wszystkich obrączek było siedem. Zważywszy na ich średnicę, każda raczej należała do mężczyzny. Sygnet był prawdziwym dziełem sztuki i na dodatek, patrząc na niego, człowiek czuł prawdziwą dostojność tego przedmiotu. Musiał należeć do członka znamienitego rodu. Nie ulegało wątpliwości, że pierścień kiedyś był własnością arystokraty. Nie wiem dlaczego, ale nie mogłem się przemóc, żeby dotknąć wykonane ze złotego kruszcu zęby. Sięgnąłem po dłuto i końcówką ostrza trącałem każdy z nich. Było ich czternaście. Różnej wielkości i w różnym odcieniu.

Zegar na wieży wybił kwadrans po jedenastej.

Zawinałem złoto i schowałem do zielonego pudełka. Przez moment patrzyłem na lugera, po czym chwyciłem go w dłoń. Znajomy kształt rękojeści przewinął w głowie slajdy wspomnień. Konstrukcja tego pistoletu była naprawdę przemyślana. Zwolniłem magazynek. Złapałem go drugą ręką, kiedy niemal wyskoczył z chwytu. Wyglądało na to, że mechanizm działał bez zarzutu. Magazynek był pełny. W stalowej trumience spoczywało osiem sztuk ostrej amunicji.

Broń i pudełko zawinałem dokładnie i mocno w tę samą szmatę, w której je znalazłem.

Podszedłem do okna.

Pusto.

Pakunek trafił z powrotem do wyżłobionej belki, a precyzyjnie docięta deska z dziurą po sęku zamaskowała otwór. Czym prędzej zlązłem z prowizorycznej drabiny i natychmiast za pomocą młotka stolarskiego rozebrałem ją na czynniki pierwsze.

Zatarłem ślady.

Było dokładnie tak, jak przypuszczałem. Wystarczyło, że pojawiłem się na spacerniku, a chłopaki już na mój widok pękali ze śmiechu. Nawet Ojczulek, który zawsze dyskretnie ukrywał swoje rozbawienie, tym razem też nie mógł się powstrzymać. Oczywiście Suchy, ku uciesze gawiedzi, pojeździł na mnie jak nigdy dotąd. Samo życie. Niektórzy więźniowie z naszego bloku, przechodząc obok, w demonstracyjny sposób zatykali nos palcami albo rzucali coś w stylu: „Niektórzy mają zasrane życie”.

To nie miało sensu, żebym reagował na te durne gesty albo docinki, poza tym miałem ważniejsze sprawy na głowie.

– Przejdziemy się? – zapytałem nagle Ojczulka.

– Przejdziemy – odparł.

Wstał z miejsca i ruszyliśmy wolno przed siebie.

– Hej, wasza gówniana wysokość – krzyknął Suchy. – A dokąd to?

– Byle jak najdalej od ciebie – rzuciłem przez ramię.

Wolnym krokiem szliśmy przed siebie.

- Dobrze znasz Klemensa? – zapytałem.
- Tyle o ile – odpowiedział. – Trochę razem przeżyliśmy w tym miejscu.
- Wiesz, za co siedzi?
- A co, nie pochwalił się? – odpowiedział pytaniem.
- Kiedyś próbowałem to z niego wyciągnąć, ale nie dowiedziałem się niczego konkretnego.
- A dlaczego to cię interesuje?
- Ot tak, zwyczajnie. – Wzruszyłem ramionami. – Gadamy tutaj o wszystkim, tylko nie o tym, za co przyszło nam pokutować. – Spojrzałem na wprost. Przed nami był tylko więzienny mur, biegnące ponad jego górną krawędzią linie drutu kolczastego i szare, listopadowe niebo. – Kiedyś zapytałem go, za co siedzi, a on spojrzał na mnie i odpowiedział, że za wściekłość. Tyle się tylko dowiedziałem.
- No to dowiedziałeś się prawie wszystkiego. Czego chcesz więcej? Pikantnych szczegółów? Chcesz koniecznie wiedzieć, jak zabił? Zawsze to będę powtarzał, że za każdym wyrokiem dożywocia czai się czyjaś śmierć. Prawda? – Pytanie Ojczulka zabrzmiało tak, jakby czekał na moją twierdzącą odpowiedź, która miała oznaczać przyznanie się do winy.
- Prawda, święta prawda.
- Dziadunio, kiedy był młodym człowiekiem – mój rozmówca zaczął nagle opowiadać – popełnił straszliwą zbrodnię, jak to adwokaci mądrze nazywają „w afekcie”. Tylko czy to może usprawiedliwiać człowieka, który

dopuścił się takiego czynu? Jesteśmy istotami rozumnymi, mamy wolną wolę i dokonujemy takich wyborów, które uznajemy za słuszne. Mord zawsze będzie mordem. Nie znam szczegółów, wiem tylko, że Klemens w pewnym momencie swojego życia znalazł się w trójkącie uczuć. Ona była jedna, a i ich dwóch. Ktoś musiał pójść w odstawkę i padło na Klemensa. Gorycz porażki zrodziła w nim wściekłość, która znalazła dobry grunt, żeby go opętać. Musisz wiedzieć, że miłość od nienawiści dzieli zaledwie krok. Łatwo się w tym wszystkim pogubić. Podłożył ogień pod jej dom. Może tak jak w klasycznym dramacie uroił sobie, że będzie jego lub niczyja. Złapali go od razu. Gdyby skończyło się samym pożarem, nawet gdyby dom spłonął doszczętnie, jego życie byłoby inne. Tylko że płomień, które on zaproszył, nie dość, że strawiły zabudowania do łysej ziemi, to jeszcze zabiły tego drugiego, a kobietę, którą kochał, okaleczyły na resztę życia. I widzisz, jak to jest, jedna młodzieńcza miłość i trzy ludzkie tragedie.

– Przykre – westchnąłem ciężko.

– Jasne, że przykre. Czasami analizuję swoje życie i wspominam te wszystkie ważne chwile – mówił wolno, starając się dobierać słowa. – Dostrzegam błędy, które popełniłem, i bardzo chciałbym cofnąć czas, żeby to naprawić. Nic z tego, nie da się...

Doskonale wiedziałem, o czym mówi, i sądzę, że każdy skazaniec, któremu zbrodnia nie odebrała rozumu, miewa takie myśli.

Przez dłuższą chwilę szliśmy bez słowa.

– A jak się mają sprawy u Dziadunia? – zapytał nagle.

– Kiepsko – odparłem szczerze. – Nie wygląda najlepiej, osłabiony, zmarnowany, wychudzony. Wiesz, taki kompletnie bez życia. Ciągle tylko gada o śmierci, że jego czas się zbliża, że pora się zawiązać z tego padołu, i takie tam. Dziś po obiedzie pójde go odwiedzić – powiedziałem, ale nie dodałem, o jakiej sprawie muszę z nim pogadać.

– To jest po prostu niesamowite, jak szybko może się zmienić świat – oznajmił. – Jeszcze nie tak dawno temu to, o czym mówisz, było nie do wyobrażenia. Więźniowie chadzający w odwiedziny na izbę chorych. Szok! Praca dla każdego, kąpiele w soboty, spacerki w niedziele, trzy posiłki dziennie. Gdyby ktoś dwadzieścia lat temu powiedział mi, że tak będzie wyglądać więzienie w przyszłości, uznałbym go za szaleńca. Świat pomknął do przodu, a ja przestałem za nim nadążać – powiedział z uśmiechem.

Zataczaliśmy kolejne rundy dookoła spacerniaka i rozmawialiśmy o mniej lub bardziej ważnych rzeczach. Lubiłem przebywać w jego towarzystwie. Uczyłem się od niego mówić, używał tak wielu ładnych słów. Był mądry, wykształcony, w jego żyłach płynęła namiastka błękitnej krwi, a mimo to nigdy nie dał nam odczuć, że jest od nas lepszy. Zawsze zniżał swój lot i dostosowywał się do naszego poziomu.

Był jednym z nas.

Podczas obiadu wysłuchałem wiele zdań związanych z fekaliami i defekacją. Zachowałem spokój, chociaż miałem ochotę krzyknąć albo przyłożyć któremuś na opamiętanie. Stawałem się poniekąd takim drugim Kazikiem, po którym wszystko sphywało i rozchodziło się gładko, nie pozostawiając żadnego śladu. To był dobry sposób, ponieważ świadome ignorowanie działało na innych zniechęcająco.

Suchy najwyraźniej także wypinał się na czyjeś sugestie. Podczas posiłku kilka razy zaniósł się dławiącym kaszlem i nadal odpluwał krwią. Niepokoił mnie nieco jego stan zdrowia. To nie było normalne, żeby człowiek blisko pół roku borykał się z taką dolegliwością. Pomyślałem, że ja chodzę do izby chorych, bo chcę, a on powinien tam trafić, bo musi się leczyć.

Kiedy ujrzałem, że łóżko Dziadunia jest idealnie zaślane, jakby czekało na przyjęcie nowego pacjenta, byłem zaskoczony.

– Gdzie staruszek? – zapytałem sanitariusza.

– Klemens? Zabrali go wczoraj do szpitala garnizonowego w Poznaniu – odparł mężczyzna w białym kitlu. – Nie dawał rady, a my tutaj – zakręcił oczami – w niektórych wypadkach nie jesteśmy w stanie pomóc. Poza tym sam wiesz – nieraz widział mnie, kiedy zjawiałem się w odwiedziny – nie było z nim najlepiej. W pewnym wieku niektórych chorób już nie sposób wyleczyć.

– O czym ty gadasz? – zapytałem zaskoczony.

– Mówię, że jeśli Dziadunio przeżyje, to będzie prawdziwy cud.

Leżałem na pryczy i nie mogłem zasnąć. W mojej głowie kotłowały się tysiące myśli. Nie wiem dlaczego, ale jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mi, że ja i Dziadunio nie spotkamy się już na tym świecie. Myśli o broni, złocie i ludzkich zębach skutecznie przepędzały sen.

Wiem, że to było podłe z mojej strony, ale już wtedy wiedziałem, że jeśli Klemens umrze, to dzięki złotu z zielonego pudełeczka będę mógł wesprzeć finansowo moją mamę. Przez moment czułem się źle z tą myślą, ale tylko przez moment.

Takie życie.

Pieniądze.

To chyba najgorsza rzecz, jaką wymyśliła ludzkość. Zastanawialiście się kiedyś, co jesteście w stanie zrobić dla forsy? Do jakich granic się posunąć? Pieniądze z jednej strony mają magiczną moc, potrafią uszczęśliwić, pomagają spełnić marzenia, ratują komuś życie, nakarmią głodnych. Można wymieniać wiele pozytywnych rzeczy, których niekwestionowanym ojcem jest pieniądz. Można jednak te wszystkie zalety zmiażdżyć zaledwie jedną prawdą, którą kryje w sobie pieniądz po mrocznej stronie. Dawno temu był taki jeden, który zdradził drugiego za garść srebrników. Ludzie potrafią zabić za sakiewkę monet albo plik banknotów. Przedsiębiorcy dzięki pieniądzom pływają się w luksusie, a ci, którzy pracują na ich przepych, wypruwają sobie żyły za głodowe stawki.

Pieniądze wywołują wojny, zamachy stanów, rewolucje. Pieniądze, a właściwie ich brak, powodują frustrację i popychają człowieka do podłych czynów. Nieraz słyszałem o ludziach, którzy źle zainwestowali swoje majątki, czy też tracili dorobek całego życia lub rodzinną fortunę, a potem z rozpaczą odbierali sobie życie. Nie wspomnę już o kobietach sprzedających za pieniądze swoje ciała.

Kiedy żyłem na wolności, miałem zdrowe podejście do forsy. Wychowywałem się w biednej dzielnicy i w naszym domu się nie przelewało. W dzieciństwie tylko kilka razy dostałem parę groszy i mogłem iść do sklepu, żeby kupić sobie słodycze, które wtedy były dla mnie spełnieniem marzeń. Tylko kilka razy! Za to kiedy włóczyłem się po mieście z moimi najlepszymi kumplami, Pesteczką i Truflem, nieraz mieliśmy okazję widzieć, jak jakiś rozpieszczony synalek z dobrego domu miał wszystko, czego sobie zażyczył. Świat nigdy nie był sprawiedliwy, i raczej nie będzie.

Dorosły człowiek doskonale rozumie, że niektórzy mają więcej i żyją inaczej, ponieważ urodzili się w dobrze sytuowanych rodzinach albo sprzyjała im fortuna. Dziecko myśli innymi kategoriami. Jego rozumowanie sprowadza się do tego, że jeśli nie dostanę, czego chcę, muszę to sobie wziąć. Jest w tym pewna logika, a niektórym nawet zostaje na zawsze jako życiowa dewiza.

Kiedy ja, Pesteczka i Trufel byliśmy wyrostkami, zbliżającymi się do magicznej liczby dziesięciu lat, również czuliśmy tę dziecięcą niesprawiedliwość. Pamiętam, jak pewnego lata siedzieliśmy w upalne popołudnie na

ławce w parku. Tego dnia mieliśmy potwornego lenia, nie chciało się nam nawet iść nad Prosnę, żeby popluskać się w orzeźwiającej wodzie. Zżerała nas nuda. W parku było miło, spokojnie. Paniusie z jedwabnymi parasolkami spacerowały w towarzystwie adoratorów, alejkami mijali się bez pośpiechu ludzie, tam ktoś siedział na ławce i czytał gazetę, tam grupka mężczyzn dyskutowała o czymś, co chwila wybuchając gromkim śmiechem. Na przystrzyżonych trawnikach hasały maluchy pod baczny okiem swoich opiekunek lub mam, przy fontannie dzieciaki chlapały się wodą, co chwila piszcząc wniebogłosy. W tym całym zgiełku nagle Pesteczka wypatrzył chłopaczka, lalusia w dobrze skrojonym wdzianku, ze słomkowym kapelusikiem na głowie i potężnymi lodami w ręce. Na oko wydawało się, że jest naszym rówieśnikiem. Dziwne było to, że szedł sam. Ludzie z wyżyn społecznych raczej nie pozostawiali swoich małoletnich pociech bez żadnej opieki.

– Patrzcie na tego elegancika z tym wielkim lodem.

– Pesteczka wskazał ruchem głowy w jego kierunku.

Chłopiec szedł powoli i ze smakiem lizał swój deser. Zmierzał akurat w naszą stronę. Kiedy nas mijał, Trufel rzucił:

– Hej, kolego, dałbyś grosik na loda!

Zagadnięty zatrzymał się przed nami i spojrzał na nas.

– Chętnie bym to uczynił – miał taki wdzięczny, piskliwy głosik – ale niestety nie mam przy sobie gotówki.

– Nie mam przy sobie gotówki – przedrzeźniał go Trufel. – Coś ty za jeden?

– Mam na imię Wiktor – przedstawił się grzecznie.

– A wy?

– Ja jestem Trufel, to Pesteczka, a to Ropuch.

– Aha – kiwnął głową – ciekawe przezwiska, miło was poznać.

– Nie widzę w tym nic miłego. Dawaj loda! – wtrącił cwaniacko Pesteczka.

– Naprawdę? – Chłopiec był bardzo zdziwiony. – Chciałbyś moje lody? Przecież to niehigienicznie lizać po kimś. Ludzka ślina zawiera mnóstwo bakterii, nie powinno się po kimś lizać. Może spotkajmy się tutaj jutro, to bardzo chętnie zaproszę was na lody. Ja stawiam. – Uśmiechnął się do nas.

Pesteczka zeskoczył z ławki i podszedł do Wiktora.

– Taki jesteś mądrała? – naskoczył na niego. – No to masz! – Strącił mu z głowy słomkowy kapelusz, chwycił jego rękę, w której trzymał lody, i pchnął ją mu prosto w twarz. – A jak ci teraz, ty przemądrzały gnojku! – Rozsmarował mu lodowy deser po całej twarzy.

Chłopiec próbował się bronić, ale był zbyt drobny, nie miał szans.

– Hej, ty, zostaw go! – zawołał jakiś dorosły facet i szybkim krokiem zmierzał w naszą stronę.

– Chodu! – krzyknąłem i puściliśmy się biegiem.

Pędziliśmy co sił w nogach, wypadliśmy na ulicę i dopiero przy następnym skrzyżowaniu zwolniliśmy kroku.

– Pesteczka, jesteś jakiś głupi, czy co? – zapytałem, z trudem łapiąc oddech. Naprawdę uważałem, że zrobił coś idiotycznego.

– Co jest? Bronisz gogusia? – fuknął.

– Nikogo nie bronię, ale chłopak był miły. Chciał nas zaprosić na lody, a ty co?

– Nie bądź naiwniakiem – odpowiedział prawie z politowaniem. – Poza tym mógł się nie mądrzyć. Prawda, Trufel? – Mój kumpel najwyraźniej szukał sojusznika.

– Jasne, mógł nie podskakiwać – poparł go wywołany do odpowiedzi. Było już dwóch na jednego. – Ale pięknie mu to zrobiłeś, centralnie na papę. – Zaśmiali się.

– No widzisz – Pesteczka zwrócił się do mnie – dobrze zrobiłem, przynajmniej poznał nowy sposób jedzenia lodów – skwitował. – Kto ostatni przy ratuszu, tego matka ma krowie cycki! – krzyknął i puścił się biegiem na wprost.

– Krowie cycki?! – Zdążyłem jeszcze usłyszeć, jak nasz grubasek zajęczał i pognałem przed siebie.

Nie ważne, o co byśmy się ścigali, Trufel zawsze zgarniał wszystkie nagrody i tytuły, które przypadały za zdobycie ostatniego miejsca.

Właściwie mogę powiedzieć, że tego dnia w tych dość nietypowych okolicznościach poznałem Wiktora. Kilka lat później sam wspominał z rozbawieniem, że to był ten jeden jedyny raz w życiu, kiedy poczuł na swojej twarzy słodki, lodowy placek.

Leżałem na plecach i wpatrywałem się w ciemność poszarpaną cieniami, które zastygły na podrapanych

ścianach mojej celi. Kolorowe wspomnienia z dzieciństwa uleciały gdzieś w noc. Zamknąłem oczy.

Jedyną osobą, która najszybciej mogła się zorientować w cenach złota i możliwościach upłynnienia towaru, był Suchy. Nie żebym miał zamiar sprzedawać dobytek Dziadunia, ale pomyślałem, że warto przybliżyć sobie temat.

– Nie mam pojęcia, ile płacą za gram – odparł. – To, co się dzieje po drugiej stronie murów, to istne szaleństwo. Wszystko zaczyna kosztować grube miliony marek! Ceny lecą na ryj, ludzie dostają wypłatę dwa razy dziennie. Czaisz? Dwa razy dziennie! – mówił, niemal sylabizując. – Niedługo wszyscy zaczną chodzić do sklepów nie z portfelami, ale z walizkami wypchanymi forszą. Popytam tu i tam. A co, masz coś do sprzedania? – zapytał mnie z delikatnym błyskiem w oku. Pewnie już widział swój udział w takiej transakcji.

– Osobiście nic nie mam – skłamałem – ale znam gościa, który byłby zainteresowany.

Suchy pracował w pralni i dzięki temu miał kontakt ze światem zewnętrznym. W tamtych latach pralnia w wronieckim więzieniu należała do najnowocześniejszych w okolicy. Pierwotnie zaspokajała tylko potrzeby osadzonych, ale bardzo szybko okazało się, że różne firmy z zewnątrz zarówno prywatne, jak i państwowe bardzo chętnie skorzystają z jej usług. Możliwość kontaktu ze światem zewnętrznym sprawił, że pralnia została największym punktem przerzutowym dla wszelkiej kontrabandy.

Interes kwitł w najlepsze. Nie sposób było powstrzymać tego procederu, w którym każdy zarabiał. Począwszy od stron dokonujących transakcji, a skończywszy na strażnikach. Dopiero w 1926 roku, kiedy Zalewski przejął dowództwo więzienia, jedną konkretną decyzją nie tyle co zlikwidował, ale ukrócił przemyt. Najpierw z pracy wyleciało na zbity pysk trzech dozorców, którzy myśleli, że kontrolują sprawy i niczym zorganizowana mafia brali od każdej transakcji jakiś grosz do kieszeni. Przeprowadzono błyskawiczne, wewnętrzne śledztwo i udowodniono im winę. Ogłoszono również wszem wobec, zarówno straży więziennej, jak i skazańcom pracującym w pralni, że za każdą prawdziwą informację o nielegalnym handlu zostanie wypłacona nagroda pieniężna.

Kiedy biurko naczelnika trafiło do jego gabinetu, nie posiadał się z zachwytu. Muszę przyznać, że oba meble, których byłem współtwórcą, prezentowały się dostojnie i stanowiły doskonałe połączenie.

– Teraz mój gabinet wygląda tak, jak powinien! – Wojciechowski tryskał dumą i radością. – Bardzo dobra robota, Żabikowski, bardzo dobra. – Serdecznie poklepał mnie po ramieniu.

– Dziękuję, panie naczelniku.

Krążył wokół biurka, przyglądając się mu z każdej strony. Wysuwał i wsuwał szuflady, otwierał i zamykał drzwiczki, gładził dłonią połyskujący blat. Widząc jego zadowolenie, pomyślałem, że chyba warto zaryzykować i poprosić o nieznaczne wsparcie tytoniowe. Miałem

zamiar otworzyć usta i wypowiedzieć swoje skromne życzenie, ale naczelnik mnie uprzedził.

– Zasłużyłeś na premię, Żabikowski, jak mi Bóg miły, zasłużyłeś – powiedział z promiennym uśmiechem.

– Pewnie chciałbyś papierosy, tak?

– Tak jest, panie naczelniku.

– Dostaniesz, Żabikowski, świetna robota. – Kłasnął w dłonie i usiadł w swoim fotelu. – Mam dla ciebie jeszcze dwie informacje – spojrzałem na niego zaskoczonym wzrokiem – Pan von Gerswalde pozostanie twoim pomocnikiem do chwili ukończenia prac nad stołem i krzesłami, potem wraca na szwalnię. Na stolarni, tak jak kiedyś, będzie pracowało trzech ludzi. Chyba że zjawi się tutaj w celu odbycia kary jakiś stolarz z prawdziwego zdarzenia, bo teraz nie mamy kogoś takiego. – Uśmiechnął się szeroko, najwyraźniej sądząc, że powiedział powalający dowcip. – To pierwsza wiadomość, druga zaś jest taka, że Klemens Wilczak, w myśl obowiązującego prawa, ze względu na zły stan zdrowia tymczasowo zostaje zwolniony z odbywania kary. Zważywszy na jego wiek i dolegliwości, prawdopodobnie już nigdy nie wróci do więzienia, ale to tylko moje prywatne zdanie. Pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć.

Nie mogłem stanąć obok i spojrzeć na grymas zdziwienia, który malował się na mojej twarzy, ale potrafiłem go sobie wyobrazić. Ta wiadomość była w pewnym sensie oszałamiająca i paraliżująca. Natychmiast przez moją głowę z hukiem przemknęła myśl o zawartości małego, zielonego pudełka, ukrytego w podsufitowej

belce.

Co do jednego Ojczulek miał rację, oczekiwałem jego wdzięczności. Księżulo załatwił papier, kopertę, napisał kolejny list i tym razem nic mnie to nie kosztowało. Byłem do przodu o jedną skrzynkę. Ten list tak samo jak poprzednie musiał być skreślony bardzo ostrożnymi słowami. Miałem również pewien plan i wiedziałem, że nadchodzi pora, aby ubić z Hrabią inny bardzo poważny interes.

Chyba w życiu każdego człowieka pojawiają się takie chwile, kiedy natłok zdarzeń i niespodziewanych sytuacji rozwała w drobny mak oswiałą codzienność albo skutecznie torpeduje niektóre zamierzenia. Kłopoty lub problemy pojawiają się czasami jak niespodziewany deszcz. Niekiedy ścieżka naszego życia krzyżuje się z drogą innego człowieka i oboje pozostawiamy po sobie piętno własnego istnienia.

Tak się właśnie dzieje.

Kiedy ja główkowałem, jak ugryźć sprawę złota i dać zarobić Hrabiemu za pośrednictwo, ale nie więcej niż to było konieczne, w tym samym czasie aspirant Szumski zaserwował mi bardziej manualne zajęcie.

Zanim strażnik pełniący służbę na sterowni uderzy w mosiężny dzwon, którego dźwięk obwieszcza między innymi capstrzyk, człowiek, siedząc w celi, rzadko wsłuchuje się w odgłosy na korytarzu. Chyba że jest jakieś larmo, wrzaski albo coś równie nienaturalnego. Dopiero

gdy ktoś po drugiej stronie walnie dwa razy w drzwi twojej celi, wiesz, że musisz natychmiast stanąć przy ścianie obok okna, opuścić dłonie, trzymając je na widoku i stać bez ruchu, spoglądając przed siebie. Chwilę później słyszysz to specyficzne szurnięcie metalowego krążka i wiesz, że ktoś patrzy na ciebie przez wizjer. Nagle znajomy szczeł, a potem metalowe klaśnięcie odsuwanego rygla. Otwierają się drzwi i widzisz na przeciw siebie gościa, który na pewno nie przyszedł z przyjacielską wizytą.

Kiedy więc tego wieczoru ujrzałem w drzwiach aspiranta Teodora Szumskiego, od razu pojąłem, że coś się komplikuje.

– Co jest, Żabikowski, nudzisz się? – zapytał drwiącym głosem. W prawej dłoni dzierżył pałkę, rękę miał opuszczoną wzdłuż ciała, a jej końcówką delikatnie uderzał w cholewę czarnego buta. Szumski miał dzisiaj nocną służbę.

– Nie nudzę się, panie aspirancie – odpowiedziałem.

– Taak, taak – odparł przeciągle. – Wiem, że się nie nudzisz, obserwuję cię. – Pokiwał głową, jakby chciał mnie przekonać do tego, co powiedział. – Praca na stolarni to świetna fucha, prawda?

– To dobra praca, panie aspirancie. – Wiedziałem, że najlepiej będzie odpowiadać na każde jego pytanie.

– A co my tutaj mamy? – Otworzył drzwiczki niedużej szafki wiszącej po lewej stronie. Przez chwilę patrzył w jej wnętrze. – Coś mi się wydaje, że posiadasz

nieregulaminową ilość papierosów. – W tonie jego głosu czaiła się nutka zwycięstwa.

Miał rację. Każdy więzień mógł posiadać nie więcej niż pięć paczek. W mojej szafce było ich kilkanaście.

– Zgadza się, panie aspirancie. Nadwyżkę papierosów otrzymałem od naczelnika Wojciechowskiego jako premię za dobrze wykonaną robotę – wyrzuciłem z siebie jednym tchem.

Szumski nic nie odpowiedział, patrzył wciąż do wnętrza szafki, ale zauważyłem, że mięśnie jego żuchwy zaczynają się rytmicznie napinać, jakby pulsowały.

– „Jako premia” powiadasz – syknął przez zaciśnięte zęby. Następnie zaczął pałką przesuwac rzeczy w szafce, które wypadaly ze środka, uderzaly o krawędź łózka i spadały albo na pryczę, albo na podłogę. – Nie rozumiem, jak to jest, Żabikowski, że ty, taki śmieć – wolno wypowiadał słowa – dostaje od naczelnika premię, a ja – wysuniętym kciukiem wskazał na siebie – jako uczciwy pracownik służby więziennej nie jestem dodatkowo nagradzany. Możesz mi to wytłumaczyć?

Zrozumiałem, że dyskusja nagle zaczyna balansować na krawędzi przepaści, i z nas dwóch, to ja mogę poszybować w dół. Nie miałem pojęcia, co mu odpowiedzieć.

– Nie wiem, panie aspirancie – odparłem zgodnie z prawdą.

Naturalnie Szumski nie był na tyle głupi, aby zrobić coś nieroztropnego. Był na to za cwany, żeby stać się bohaterem donosu u kogoś na samej górze. Zdawał

sobie sprawę, że każdy skazaniec to jego potencjalny wróg, a wrogowie nie mają skrupułów. Wówczas nie miałem pojęcia, jak klawisze załatwiają swoje sprawy. Byłem wtedy jeszcze naiwny, zielony, pozbawiony podstawowej więziennej wiedzy i zwykłej ludzkiej wyobraźni. Niektóre porachunki, czy też konflikty iskrzące w relacjach pomiędzy strażnikiem a więźniem, ci pierwsi rozwiązywali w bardzo skuteczny sposób, nie brudząc sobie przy tym rąk.

– Masz coś przeciwko? – zapytał mnie, otwierając jedną z moich skrzynek.

– Nie mam, panie aspirancie, proszę się poczęstować – co innego mówiłem, a co innego myślałem.

Szumski wyjął papierosa. Zapalił, a otwartą paczkę schował do kieszeni.

– Mogę? – zapytał tonem udającym pokorną prośbę i klepnął się dłonią w miejscu, gdzie włożył moje papierosy.

Nie wiem, jaki miał zamiar, może mnie tylko testował, a może szukał pretekstu?

– Tak, bardzo proszę, panie aspirancie. Mam nadzieję, że któregoś dnia pan również tak hojnie mnie poczęstuje – dodałem.

Spojrzał na mnie z błyskiem nienawiści w oczach.

– Nie sądzę, żeby do tego doszło – odparł, po czym wyjął paczkę, ostentacyjnie ją rozdarł, a całą zawartość wysypał pod swoje nogi. Opakowanie zgniótł w dłoni w kulkę i cisnął w moim kierunku. – No to chyba nie mam już do ciebie więcej pytań – powiedział i umyślnie prze-

stąpił z nogi na nogę, rozgniatając podeszwami leżące na posadzce papierosy. Przyglądał mi się badawczo, jakby czekał na jakiś niepotrzebny gest z mojej strony. – Posprzątaj ten bajzel – syknął, a następnie wyszedł z celi.

Usłyszałem, jak rygluje drzwi, przekręca klucz, a potem do moich uszu dobiegł dźwięk szurającego o drzwi krążka wizjera. Wiedziałem, że stoi po drugiej stronie i patrzy na mnie. Zrobił to na tyle głośno, jakby chciał mi powiedzieć: „I co ty na to? Jestem tu, obserwuję cię, zawsze o tym pamiętaj”.

Wiedziałem, że nie warto nakręcać spirali jego złośliwości. Byłem na straconej pozycji, ponieważ wojna z nim oznaczała, że w potyczkach zawsze będę ponosił porażkę.

Schowałem wszystkie rzeczy z powrotem do szafki, zebrałem tytoń ze zmiażdżonych papierosów i wsypałem do zmietolonej paczki.

Zanim zasnąłem, w głowie zakiełkował mi sensowny pomysł.

Następnego dnia na stolarni zrobiłem w skrzynce z narzędziami podwójne dno. To była skrzynia, z której korzystałem tylko ja. Gdziekolwiek szedłem, aby coś naprawić, zawsze zabierałem ją ze sobą. W schowku było tyle miejsca, że mogłem ukryć osiemnaście paczek.

Często zdarzało się, że pojawiałem się na stołówce, szczególnie podczas pory obiadowej, nieco spóźniony. Działo się tak, ponieważ wewnętrzne przepisy wyraźnie zabraniały mi pozostawiać narzędzia bez opieki w miejscu

wykonywania pracy poza stolarnią. Chcąc nie chcąc, kiedy była taka konieczność i robiłem coś na drugim końcu więzienia, zawsze musiałem pozbierać wszystkie swoje zabawki i gnać z tym majdanem na warsztat. Dopiero gdy wywiązałem się z regulaminowego obowiązku, mogłem udać się na posiłek.

Tak właśnie było tego dnia, kiedy poznałem Boyko.

Kiedy odebrałem z wydawki przysługujący mi posiłek i ruszyłem w kierunku stołu, dostrzegłem na miejscu świętej pamięci Franka Wencla mężczyznę o kruczoczarnych włosach.

– Witam panów – przywitałem się i zająłem swoje miejsce.

Spojrzałem na nowego biesiadnika. Posiniaczona i miejscami opuchnięta twarz świadczyła tylko o jednym. To był świeżak. I chociaż na znak powitania kiwnąłem głową w jego kierunku, od razu stało się dla mnie jasne, dlaczego nowo przybyłych traktuje się z dystansem. Siedzi ktoś taki z tobą przy jednym stole, nie znasz typa, i nawet nie wiesz, czy chcesz się coś o nim dowiedzieć, bo tak naprawdę, to masz go gdzieś. Jego los jest ci zupełnie obojętny. Jeżeli na początku ktoś taki zrobi na tobie złe wrażenie, będziesz go ignorował i traktował jak powietrze. Jeżeli przy pierwszym kontakcie ktoś taki z jakiegoś powodu sobie nagrabi u ciebie, odnajdziesz w nim swojego prywatnego wroga. Jedynym wyjątkiem był Ojczulek, któremu głęboka wiara nakazywała darzyć sympatią każdego bliźniego i nieść pomoc potrzebującym.

– No to powiedz coś za jeden – rzucił Suchy w jego

kierunku.

Mężczyzna spojrział po naszych twarzach i odezwał się:

– Nazywam się Boyko.

– Dziwne imię – wtrącił Kazik.

Suchy spojrział na kumpla tak, jakby oczami chciał mu wyrwać język.

– Bo jestem Romem, Cyganem – odpowiedział.

– Nie cierpię Cyganów – syknął Roman. – Jeździecie tymi swoimi taborami od miasta do miasta, od wsi do wsi, potraficie tylko śpiewać, tańczyć i kraść. Jesteście jak przybłędy – zaczynało się robić ciekawie i nawet nie miałem pojęcia, że mój kumpel ma takie poglądy – które nie wiedzą, gdzie się podziać. Macie swoje państwo? Swoją ziemię? Swoją wiarę i tradycje?

– Nie mamy swojego kraju – odpowiedział Boyko.

– Od wieków nasz lud przemierza świat jak długi i szeroki. Nikt z nas nie wybiera sobie miejsca swoich narodzin, ty jesteś Polakiem, ja jestem Cyganem, a inny urodził się Niemcem. Czy za to też chcesz mnie obwiniać?

Roman spojrział na niego spode łba i powiedział:

– Nie bądź taki mądrała.

– Nie mówię nic, co mogłoby cię urazić, przyjacielu.

– Nie jestem twoim przyjacielem – wpadł mu w zdanie.

– Nie jesteś, masz rację. Nie powinienem tak cię nazywać. Jestem Romem wyznania chrześcijańskiego, obchodzę te same święta kościelne co wy, lubię śpiew,

taniec i muzykę, znam się trochę na kowalstwie. I jak widać, chyba lepszy ze mnie kowal niż złodziej. Gdybym potrafił dobrze kraść, nie siedziałbym tutaj.

– Ha, dobre. – Suchy uderzył dłonią w stół i zaśmiał się szczerze. – Już cię polubiłem, Boyko. Wołają na mnie „Suchy”, chyba dlatego, że mam taką gładką skórę – zadzwinił ze swojej cery i pogładził się dłonią po zapadniętych policzkach, pokrytych szczecina dwudniowego zarostu. – Ojczulka już znasz, to jest Kazik – wskazał na swojego sąsiada – człowiek, który zadaje pytania w najmniej odpowiednim momencie, czasami można od tego oszaleć. – Spojrzał na Kazika i niemal krzyknął: – Nic ni mów! Milcz! – Zanieśliśmy się szczerym śmiechem. – Ten, który nie lubi twoich pobratymców, to Roman. – Posłał mu mrugnięcie okiem. – Roman? Czy to imię nie ma przypadkiem czegoś wspólnego z Romami? – zapytał, a sekundę później wszyscy jak jeden zachichotaliśmy rozbawieni. – A to jest Stefcio, stolarz, zwany również „Ropuszkiem”, prawda? – Kiedy zobaczył moją minę, zaraz się poprawił. – No dobrze, dobrze, „Ropuszkiem” nazywam go tylko ja, bo mam specjalne względy, a reszta zwraca się do niego „Ropuch”. Najwyraźniej wydaje mu się, że to brzmi poważnie. – Kolejną salwę śmiechu wywołała prezentacja mojej osoby.

Suchy zdecydowanie się nadawał do tego, żeby pełnić rolę nadwornego komika. Wystarczyło, że facet wypowiadał jedno zdanie, a zaraz cała świta miała ubaw.

– Dlaczego tu jesteś? – zapytałem bezpośrednio, nie bawiąc się w żadne delikatne podchody. Bądź co bądź

rodowity Cygan na oddziale dziesiątym to naprawdę coś zaskakującego. Byłem ciekaw, co odpowie.

Boyko spojrział na mnie podbitymi oczami i powiedział:

– Tak jak mówiłem, kiepski ze mnie złodziej. Dostałem trzy lata, bo ukradłem jednemu gościowi piękną, skórzaną teczkę.

– Chcesz nam, kurwa mać, wmówić, że zajmujesz człowiekowi teczkę i dostałeś trójkę we Wronkach na dziesiątym? – powiedział Roman w ten sposób, jakby miał zaraz wstać i dać mu w pysk za gadanie kłamstw.

– Teczka to szczegół – odpowiedział Cygan. – Ważne jest to, co było w środku.

– To znaczy co? – zapytał Kazik.

– Dokumenty wagi państwowej – wyjaśnił.

– Trzy lata za plik papierów? Nie kręcisz, kolego?

– Najwyraźniej nasz nowy biesiadnik również w Suchym wzbudził cię podejrzenia.

– Ilu Romów siedzi w tym więzieniu? – zapytał Boyko.

Przez chwilę milczeliśmy i jeden spoglądał na drugiego.

– Jesteś tutaj jedynym Cyganem – odpowiedział Ojczulek.

– Mój papla, znaczy się adwokat – sprostował Boyko – powiedział mi, że wyrok w moim procesie będzie bardzo spekularny.

– Spektakularny – poprawił go Ojczulek, wymawiając słowo bardzo wolno i wyraźnie.

– No właśnie, tak jak mówisz. Długo musiał mi wyjaśniać, co znaczy to mądre słowo. W ogóle czasami mówił do mnie tak, że mało co z tego rozumiałem. Jestem prostym człowiekiem, mam romskie pochodzenie i w waszym kraju jestem kimś gorszym. Właściwie my, Cyganie, wszędzie jesteśmy ci gorsi. A tych, których uważa się za gorszych, łatwiej się krzywdzi i prześladowuje. Czy sąd był dla mnie sprawiedliwy? Mój papla wiedział już wcześniej, jak się sprawy potoczą. Na procesie opowiadali takie bzdury, że ludzie łapali się za głowy. Ukradłem tylko skórzaną torbę, a zrobili ze mnie jakiegoś spiskowca. Nazywano mnie wrogiem Polski i narodu polskiego. Zgadza się, w torbie były jakieś papiery, ale ja nawet nie potrafię ani pisać, ani czytać. Powiedzieli, że działałem w zмовie z grupami opozycyjnymi, a nikt mi nawet nie wyjaśnił, co to znaczy. Druga Rzeczpospolita zrobiła ze mnie kozła ofiarnego, skazali mnie na trzy lata. Nie rozumiałem połowy rzeczy, które do mnie mówili, a teraz jestem tutaj i mam do odbębnienia wyrok w kryminale. Trzy lata! Dla prawdziwego Cygana to wieczność. Nie wiem, czy tak długo wytrzymam w jednym miejscu. Mam wędrowkę we krwi. Nic gorszego nie mogło mnie spotkać.

Szczerłość, która biła z jego słów, zrobiła na mnie duże wrażenie. Zjadałem posiłek i myślałem o tym, co mówił. Widziałem w swoim życiu nieraz kolorowe, cygańskie wozy. Pamiętam tabory koczujące w pobliżu miasta przez kilka dni, ale nigdy nie spotkałem żadnej romskiej rodziny, która miałaby swoje mieszkanie lub

dom.

Tego nie można podważyć, Cyganie to lud koczowniczy.

– Kiedy okradłeś tego człowieka? – zapytał nagle Ojczulek.

– Pod koniec września – odpowiedział Boyko.

– Twój proces wypadł w najbardziej niekorzystnym okresie, jaki można sobie wyobrazić. – Chyba wszyscy zrobiliśmy równie zdziwione miny jak sam Boyko. – Na początku listopada w Krakowie doszło do krwawych starć ulicznych ludności cywilnej z wojskiem. Pepeesowcy podsycali niepokoje i rozpętali swoje małe piekiełko. Rozpisywały się o tym wszystkie gazety. Władza bardzo szybko zmiażdżyła tę socjalistyczną próbę rewolty. Łącznie podczas rozruchów zginęło ponad dwadzieścia osób. Ty nie dokonałeś zuchwałego napadu, tylko zwykłej kradzieży, problem w tym, że fatalnie wybrałeś swoją ofiarę. To był urzędnik państwowy. No i świeżo po krakowskich zajściach ty masz proces sądowy. Twój adwokat dobrze powiedział, że to będzie spektakularny wyrok. Musieli ci dowalić, tylko ku przestrodze innych. Nie wolno zadzierać z władzą.

Suchy, tak jak obiecał, zorientował się w cenach złota. Temat był cholernie trudny, gdyż po drugiej stronie murów szalało pewne ekonomiczne zjawisko, które w przyszłości zostało nazwane „hiperinflacją”.

– Ropuszku, nie da się dokładnie określić ceny – wyjaśniał. – Mamy listopad, dwa miesiące temu we

wrześniu kilogram słoniny kosztował niespełna sto tysięcy marek polskich, dzisiaj ten sam kawałek słoniny kosztuje ponad trzy miliony. Pojmujesz – oczywiście, że tego w żaden sposób nie rozumiałem – co tam się dzieje? Twój znajomy zrobi najrozsądniej, jeśli wymieni złoto na towar. Co ma do zaoferowania? Kolczyki, łańcuszek, obrączkę? – zapytał.

– Obrączkę – potwierdziłem.

– To zależy, jaką ma wagę. Męskie mają przeważnie około pięciu gramów, gdyby więc chciał dzisiaj zamienić tę obrączkę na słoninę, to byłoby jakieś... – zmrużył jedno oko i sprawiał wrażenie jakby rachował w myślach – to byłoby jakieś dziewięćdziesiąt kilogramów przyzwoitej słoniny. Tylko po cholere mu aż tyle słoniny, prawda? – zaśmiał się, a chwilę później rozkaszał się jak stary gruźlik.

– Powinieneś coś zrobić z tym swoim cherlaniem – poradziłem.

– Nie bój nic, wszystko pod kontrolą – odpowiedział, kiedy już przestało go szarpać za płuca. – Daj znać, jakby twój znajomy chciał upłynnić kruszec. – Starym zwyczajem puścił do mnie oko.

Decyzję o tym, że wykorzystam coś z zielonego pudełka, podjąłem w chwili, kiedy naczelnik powiedział mi o sytuacji Dziadunia. To nie było ani trudne, ani skomplikowane, nie miałem żadnych moralnych dylematów, wewnętrznych skrupułów czy najzwyczajszych wyrzutów sumienia. Nie pojmowałem tego w tych kategoriach, że

coś kradnę, sprzeniewierzę, czy też bezkarnie rozdysponuję cudzą własność. To po prostu było, a ja miałem szczęście, że mogłem z tym zrobić coś pożytecznego. Mój niepokój budziły jednak dwie inne rzeczy. Pierwsza dotyczyła zaufania do Hrabiego. Czy zachowa się jak człowiek honorowy, weźmie swoją zapłatę i wywiąże się z zadania? Czy dopilnuje, żeby jego kobieta załatwiła to jak należy? Za bardzo nie miałem wyboru, właściwie wcale go nie miałem. Musiałem przyjąć za pewnik, że wszystko będzie w porządku. Jak na razie nic nie wskazywało na to, że Hrabia wyciął mi jakiś numer. Za to druga sprawa, która nie dawała mi spokoju, dotyczyła mojej starowinki. Czy poradzi sobie ze sprzedażą lub wymianą kawałka złota? Czy nikt jej nie oszuka? Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej brnąłem w kolejne pytania. Dręczyłem się, a to nie miało najmniejszego sensu.

Ostatnią niedzielę listopada upatrywałem właściwie jako dzień ostatniej szansy. Plan przedstawiał się następująco: dochodzę do porozumienia z Hrabią, potem jego kobieta jedzie do mojej matki, zawozi list, złotą obrączkę i życzy jej ode mnie wesołych świąt, dużo zdrowia i pomyślności w nadchodzącym roku, w grudniu Hrabia ma odwiedziny, a ja przy okazji otrzymuję najświeższe wieści. Prosta, nieskomplikowana historia i wszyscy są zadowoleni.

Szliśmy z Hrabią ramię w ramię, trzymając się z dala od wszystkich wścibskich uszu. Wyjaśniłem mu, o co chodzi,

i zaproponowałem hojną zapłatę za rzetelną usługę. Zareagował zupełnie tak, jak się spodziewałem.

– Nie ma sprawy, ziomek, możesz uważać temat za załatwiony. – Po raz kolejny pochwalił się swoim idealnym uzębieniem.

– Tylko pamiętaj, jak się umawiamy – powiedziałem z lekkim naciskiem. – Dwie wizyty, następna w styczniu, a wszystkie kolejne idą za pięć skrzynek.

– Ziomek, u mnie słowo droższe od pieniędzy. – Położył prawą dłoń na swojej lewej piersi. – Umowa to umowa.

Zatrzymaliśmy się i kiedy przypalałem papierosa, dyskretnie podałem mu list oraz dwa złote przedmioty. Pierwszym była obrączka, którą miała otrzymać moja matka, a drugim był jeden z czternastu zębów. Złoty przedmiot o anatomicznym kształcie stanowił niebywale wysokie honorarium dla mojego pośrednika.

Pogoda zdecydowanie nie nastrajała do spacerowania. Słońce ukrywało się za gęstym całunem szarych chmur, a w powietrzu wyraźnie czuło się chłód nadchodzącej zimy. Od lewej strony spacerniaka dało się dostrzec fragment budynku, w którym znajdowała się brama główna. Po drugiej stronie murów było widać nagie gałęzie drzew, które wyciągały swoje chude, pokrzywione ramiona w stronę smutnego nieboskłonu. Listopadowy wiatr raz po raz delikatnie kołysał tymi czarnymi szkieleciami.

Nieopodal na ławce siedział Boyko. Ruszyłem

w jego kierunku.

– Jak leci? – zapytałem i klapnąłem obok.

Spojrzał na mnie wzrokiem, który idealnie pasował do otaczającej nas aury.

– Tak właśnie wygląda prawdziwy smutek – powiedział i omiół wzrokiem dookoła. – I jeszcze krakanie tej wrony.

Czarne ptaszysko usiadło na wieżyczce strażniczej i co chwila wydobywało z siebie obłądne, złowieszcze dźwięki.

– Zapalisz? – spytałem.

– Nie, dziękuję. Nie zdążyłem się nauczyć – odrzekł. – Mam zamiar zacząć palić, tylko że fajkę, ale to dopiero na starość. – W kącikach jego ust pojawił się lekki uśmiech.

– Niezły plan – powiedziałem, jakbym naprawdę popierał ten pomysł.

Przez dłuższą chwilę żaden z nas nie odezwał się ani słowem.

– Mój dziadek zostawił mi w spadku piękną fajkę – przerwał milczenie, a w jego głosie było coś magnetyzującego. – Cybuch jest zrobiony z prawdziwej kości słoniowej, a główka z wrzośca w kształcie końskiego łba. Wiesz, że on używał tej fajki przez większą część swojego życia? – Chyba sam był zdziwiony, że to trwało aż tak długo. – Myślę, że przepalił razem z nią co najmniej pół wieku, a jak na fajkę to jest szmat czasu. Tylko że starszek miał pewien sposób. Otóż, włożył na dno komina, czyli poniżej miejsca, gdzie główka łączy się z cybuchem

– jego opowieść robiła się interesująca – włożył tam monetę. Tak naprawdę, nawet nie mam pojęcia, co to za pieniądz, ale powiedział mi, że dzięki temu fajkę będą mogły jeszcze palić moje dorosłe wnuki... – Zrobił krótką pauzę. – Mówił, że ten koński łeb jest symbolem naszej cygańskiej wolności i że w życiu każdego Cygana najważniejsza jest wolność. Odkąd sięgam pamięcią, czułem dookoła siebie swobodę, niczym nieograniczoną, nieskrępowaną przestrzeń aż po kres horyzontu, a nawet jeszcze dalej. Rozumiesz, o czym mówię? – zapytał, ale chyba nie oczekiwał odpowiedzi. – I nagle z dnia na dzień wtrącono mnie tutaj, na ten mały skrawek świata zbudowany z murów i krat. Mówią mi, kiedy mam wstać, kiedy jeść, kiedy pracować, zamykają mnie w celi, której ściany sprawiają, że zaczynam się dusić. Jak mam do tego przywyknąć? Jak to zrobić? Można się tego nauczyć? Jestem tu od kilku dni, a ciągle myślę tylko o tym, żeby przeskoczyć przez ten mur. – Kiwnął głową na wprost.

– Wiesz co – wszedłem mu w zdanie – radziłbym ci, abyś nie rozpowiadał o tym. Myśl, co chcesz, ale trzymaj język za zębami. Niektórzy klawisze wychodzą z założenia, że lepiej przeciwdziałać zawczasu, niż później borykać się z problemem.

– Jak długo tu jesteś? – zmienił nagle temat.

– Trafiłem do Wronek w lipcu zeszłego roku – odparłem.

– Długo – westchnął.

– Niby tak, z jednej strony długo, z drugiej to zaledwie chwila. – Chyba mnie wzięło na filozoficzne

rozważania.

Spojrzał na mnie zaskoczonym wzrokiem.

– A jaki masz wyrok? – dociekał.

– Nigdy stąd nie wyjdę – odpowiedziałem i na mojej twarzy zagościł smutny grymas.

Boyko chyba zrozumiał, że z nas dwóch, tak naprawdę to ja mam przesrane, a nie on.

– Współczuję – powiedział po chwili.

Spodziewałem się, że mój rozmówca za chwilę zacznie drążyć temat, ale mnie zaskoczył. Nic nie powiedział i o nic nie spytał, przyglądał tylko dłonią czuprynę swoich czarnych jak smoła włosów i zawiesił markotne spojrzenie gdzieś ponad więziennym murem.

Z prawej powoli zbliżał się do nas Suchy. Kiedy znalazł się już całkiem blisko, zaczął się poruszać jak prawdziwy tancerz i zanucił:

– *Zagraj mi piękny Cyganie... la-la-la la-laaa... –* Stał naprzeciwko nas. – No i co tak siedzicie, jak dwa smutne ciółki? – zapytał i posłał nam swój szyderczy uśmiech.

– A nie mieliśmy nic lepszego do roboty, to zaproponowałem koledze, żebyśmy poczekali na jakiegoś pajaca, który będzie tańczył, śpiewał i opowiadał swoje żałosne dowcipy. – Po przyjacielsku szturchnąłem Boyko w ramię i zauważyłem, że na jego twarzy na moment zagościło radosne spojrzenie.

– Taak? – powiedział przeciągle Suchy. – No to może się przysiądę i z wami poczekam na tego artystę. – Usiadł na ławce. – Powiem wam, chłopaki, że zima idzie.

Łapki coraz częściej kostnieją – przyłożył do ust swoje dłonie i chuchnął – gile ciągną się z nosa, uszy marzną. Idzie zima, jak nic. – Czasami miałem wrażenie, że gadka Suchego niczym potok wypływa z jego ust. – A tobie jak się tutaj podoba?

– Niespecjalnie – odpowiedział Boyko.

– No, cygańska krew, nie dla ciebie klatka, prawda? Świat jest twoim domem, a oni zamknęli cię w takim miejscu. – Wyjął papierosa i zapalił. – Ale dasz radę, zobaczysz – powiedział pocieszającym tonem. – Przez jakiś czas z nerwów będziesz mocniej zaciskał zwieracze, a potem przywykniesz, pogodzisz się ze swoim losem i zaczniesz odliczać dni do końca odsiadki... Ropuch? – wypowiedział moje przezwisko tak, jakby zadał pytanie. – Już ponad miesiąc jak nie ma Franka – jego głos momentalnie zmienił barwę – a ja mam wrażenie, jakby minęły całe lata, aż się nie chce wierzyć.

– Ile on miał jeszcze do odsiedzenia? – zapytałem. Tak właściwie nawet nie miałem pojęcia, za co siedział.

– Gdyby żył, zostałyby mu tyle samo co mnie, sześć lat i pięć miesięcy. Nasza miała być wiosna tysiąc dziewięćset trzydziestego. Nieraz gadaliśmy o tym, co zrobimy, kiedy nas stąd wypuszczą. A teraz co...? Teraz będę musiał, kurwa mać, zmienić swoje plany. – Suchy potrafił jak nikt, obrócić wszystko w żart. Czasami ten dowcip był na pograniczu maskarady, ale mimo wszystko facet miał talent.

To, co powiedział, wiele sugerowało. Nawet bardzo wiele. W jednej chwili w mojej pamięci niczym kolorowe

slajdy pojawiły się wszystkie momenty, w których Suchy i Franek byli głównymi bohaterami. Wspólne wędrówki po spacerniaku, przesiadywania na ławce albo podpieranie muru, wszystkie dyskretne wyszeptane rozmowy, znaczące spojrzenia, i to ich bezwarunkowe, wzajemne poparcie. Teraz zrozumiałem, że łączyło ich coś więcej niż zwykłe kumplostwo. Miałem wrażenie, a właściwie byłem już o tym przekonany, że oni dwaj na wolności dopuścili się razem jakiegoś czynu. Jeszcze nie wiedziałem, co to było, ale w tej chwili dałbym sobie obciąć obie dłonie, że otrzymali za swoje grzechy identyczne wyroki.

– Co się stało z waszym przyjacielem? – zapytał nagle Boyko.

– W zeszłym miesiącu został zabity podczas próby ucieczki – odparłem, żeby zaspokoić jego ciekawość.

– Tak więc, jak widzisz, mój piękny Cyganie – odezwał się Suchy – jeżeli zakiełkuje ci w głowie taki pomysł, to pamiętaj, że mogą cię nafaszerować ołowiem ze skutkiem śmiertelnym.

Wtedy tego nie wiedzieliśmy, dopiero wiele lat później jeden ze strażników wygadał się, że kiedy dochodzi do ucieczki więźnia, niepisany rozkaz brzmi: „dopaść i zabić”. Dla zbiegów nie ma litości.

Dyspozycje związane z produkcją konkretnych elementów drewnianych otrzymywaliśmy w każdy poniedziałek, najpóźniej do godziny dziesiątej. W asyście strażnika zjawiał się na stolarni ktoś z administracji i przynosił wytyczne. Wiadomo, że w okresie zimowym wszystko

zwalniam. W ostatnim kwartale nasza czwórka pracująca na warsztacie miała mniej zajęć niż zazwyczaj. Jaśki czuli się trochę zaniepokojeni, ale zaangażowałem ich do pracy przy krzesłach i określiłem się jasno:

– Chłopaki, nie możecie tego spieprzyć. Dziadunio rozrysował wszystko w najdrobniejszych szczegółach, tutaj są dokładne wymiary i elementy łączeń. – Podałem im duży skoroszyt. – Umiecie czytać rysunek? – Byłem pewien, że tak, ale musiałem o to zapytać. – W takim razie do dzieła. Wy będziecie odpowiedzialni za dziesięć krzesła, ja z pomocą Ojczulka zajmę się stołem. – Spojrzałem na nich, obaj potakiwali głowami. – No to do roboty!

Mieliśmy jeszcze ponad miesiąc, żeby wyrobić się we właściwym terminie. Czterech ludzi na takie zlecenie, to było aż nadto. Oczywiście kalkulowałem wszystko trzy ruchy do przodu i miałem nadzieję, że wyrobimy się do świąt, a dzięki temu gwiazdkowy prezent nie powinien mnie ominąć.

W pierwszych dniach grudnia świat schował się pod pierzyną śniegu. Wtedy też pojawił się w stolarni naczelnik. Obejrzał efekty naszej pracy i wyraził swoje zadowolenie.

– Kiedy te cuda trafią do mojego gabinetu? – zapytał.

– Jeszcze w tym roku, panie naczelniku.

– Dobrze, Żabikowski, bardzo dobrze. Widzę jednak, że dajesz sobie radę i chyba mogę ci zaufać.

– Tak jest, panie naczelniku.

– Będziesz sobie tutaj szefował – powiedział po chwili. – Hej, wy dwaj! Chodźcie no! – krzyknął na Jaśków. Wystraszeni podbiegli w naszym kierunku. Ojczulek stał tuż obok, słuchał i przyglądał się wszystkiemu z niemałym zdziwieniem. Wojciechowski, patrząc na ich twarze, odezwał się: – Jakiś czas temu poinformowałem was, że Żabikowski – wskazał na mnie palcem – będzie tutaj zastępował Wilczaka. I w związku z tym, że sprawdził się jako osoba odpowiedzialna za prawidłowe funkcjonowanie stolarni, od dzisiaj mianuję go tutaj szefem. To, co on powie, macie traktować tak, jakbym to ja powiedział. – Klepnął mnie w ramię. – Można więc uznać, że jest tutaj moim oficjalnym zastępcą. Zrozumiano?

– Tak jest, panie naczelniku – odpowiedzieli.

– Macie go słuchać, on tutaj dzieli pracą i obowiązkami. Możecie wracać do swoich zajęć. – Machnął ręką.

Mój pomocnik cicho zagwizdał z podziwem i szepnął:

– Gratuluję awansu.

Uśmiechnąłem się i odpowiedziałem mu skinieniem głowy.

Naczelnik wolnym krokiem przechadzał się wzdłuż warsztatu i rozglądał się z ciekawością dookoła. Kiedy zobaczyłem, jak zadarł do góry głowę i spoglądał na krokwie i belki, poczułem, jak moje serce przyspieszyło. Nagle zrobiło mi się gorąco.

Przywołał mnie do siebie ruchem palców. Podeszedłem

szybkim krokiem.

– Wilczak zmarł pierwszego grudnia w poznańskim szpitalu garnizonowym – powiedział bez dodawania zbędnych słów

To było dziwne uczucie. Wiadomość przeniknęła przeze mnie bez żadnych silnych emocji, jakbym o tym wiedział i tylko czekał na potwierdzenie tej smutnej informacji.

– A gdzie będzie pochowany? – zapytałem.

– Żabikowski, dlaczego mnie o to pytasz? – Wydawało mi się, że w jego głosie zabrzmiała delikatna kombinacja zaskoczenia i podejrzliwości.

– Nie wiem, panie naczelniku, po prostu chciałem wiedzieć. Przyjaźniliśmy się.

– Aha, rozumiem – rzekł po chwili. – Już jest po pogrzebie. Nie mieliśmy żadnej informacji na temat jego najbliższych. Pochówkiem zajęła się administracja szpitala w Poznaniu. Nic więcej nie wiem. – Klepnął mnie w ramię, spojrzał w oczy i powiedział: – Mimo wszystko świat nadal będzie się kręcił, a my razem z nim. Takie jest życie, Żabikowski, i trzeba przez nie jakoś przebrnąć.

Pewnie miał odrobinę racji. Jedni musieli tylko przebrnąć, natomiast inni byli zmuszeni przetrwać, a to była duża różnica.

Biel śniegu i błękit nieba stanowią wspaniałe, łagodne połączenie, dzięki któremu świat wydaje się piękniejszy, a życie bardziej urocze. Nie wiem, czy wszyscy podzielają moje zdanie, ale od zawsze miałem w sobie coś takiego,

że potrafiłem zachwycić się jakimś elementem pogody lub przyrody, a wtedy wszystko pozostałe oceniałem z innej perspektywy.

Pomiędzy warsztatem a bocznym wejściem do głównego budynku była wydeptana ścieżka, którą maszerowaliśmy gęsiego po zakończeniu pracy. Najpierw Jaśki, potem Ojczulek, a na końcu ja. Z naszych ust wydobywały się kłęby mlecznej pary, a śnieg skrzypiał pod podszwami butów. Szturchnąłem lekko Ojczulka w ramię i powiedziałem:

– Klemens nie żyje, zmarł pierwszego grudnia w poznańskim szpitalu.

Księżulo nic nie odpowiedział, zerknął przez ramię na moją twarz i pokiwał głową. Może zgarbił się nieco bardziej albo głębiej wcisnął dłonie w kieszenie kufajki, bo odniosłem wrażenie, jakby się trochę skurczył.

Kiedy szliśmy korytarzem w kierunku stołówki, zapytałem:

– Chcesz po obiedzie wrócić do stolarni czy wolisz do celi?

– Wolę warsztat – odparł.

Zgłosiłem naszemu blokowemu, że do kolacji razem z Ojczulkiem będziemy pracować nad meblami dla naczelnika. Wiem, że już o tym wspominałem, ale ja po prostu uwielbiałem meldować klawiszom, że mam coś do zrobienia dla najważniejszego faceta w tym więzieniu. To były piękne momenty, kochałem widok ich twarzy i upajałem się świadomością, że żaden z nich nie może wyrazić swojego sprzeciwu. Nikt. W pewnym sensie

byłem nie do ruszenia. Oczywiście nie straciłem całkowitego kontaktu z rzeczywistością i zdawałem sobie sprawę, że taki stan nie będzie trwał wiecznie. Na razie jednak korzystałem z tego pełną gębą i dobrze się z tym czułem.

Siedzieliśmy obok pieca, ciesząc się ciepłem bijącym od jego kremowych kafli. Obok nas była rozłożona dekoracja i gdyby nagle zjawił się strażnik, wykpiłibyśmy się krótką przerwą.

– Wiesz, Dziadunio chciał, żebym coś dla niego zrobił – zacząłem rozmowę, a Ojczulek spojrzał na mnie pytającym wzrokiem. – Zależało mu – kontynuowałem – żeby na wewnętrznej powierzchni wieka od trumny, w której będzie leżał, tak dobrze słyszysz – musiałem to powiedzieć, kiedy ujrzałem zdziwienie malujące się na twarzy mojego słuchacza – chciał, żeby na wewnętrznej stronie wieka było napisane jego imię, nazwisko, data śmierci i wiek, którego dożył. Był święcie przekonany, że umrze w tym parszywym więzieniu, i dlatego prosił mnie, żebym spełnił jego dziwaczną prośbę.

– Nie jest ona do końca taka dziwaczna. Po prostu kiedy osiągasz pewien wiek, zaczynasz się zastanawiać. Myślisz coraz więcej o tym, że nic po sobie nie zostawiłeś, że odchodzisz z tego świata, a twoje życie przeminęło ot tak, jakby go w ogóle nie było. Pogrzebią cię pod cmentarnym płotem, za jakiś czas twój grób porośnie wysoką trawą, po latach zapadnie się na tyle, że trudno będzie stwierdzić, czy tam ktoś leży. Rozumiesz? Zupełnie tak, jakby cię nigdy nie było. Twoja historia umiera

wraz z tobą, a pamięć o tobie znika wraz z tymi, którzy cię znali. Obyś żył jak najdłużej i cieszył się dobrym zdrowiem, ale któregoś dnia przyjdzie koniec i na ciebie, a kiedy to się stanie, wraz z twoją śmiercią umrze pamięć o innych. Wiesz, dlaczego on chciał, żebyś to zrobił?

– Nie mam pojęcia – odparłem szczerze.

– Bo pamiętałbyś o tym do końca życia. Wiele razy opowiadałbyś tę historię innemu skazańcowi, ten z kolei następnemu, tak po prostu w formie ciekawostki. I kto wie może za jakieś sto czterdzieści lat siedzieliby tu dwaj inni więźniowie i rozmawiali o pewnym skazańcu, który zmarł bardzo, bardzo dawno temu, ale przed śmiercią kazał sobie coś wyryć wewnątrz wieka trumny.

Słowa Ojczulka obudziły w moim umyśle pewien niepokój, od którego nie potrafiłem się uwolnić. Nie był on pierwszym człowiekiem, który doceniał potęgę ludzkiej pamięci. Już kiedyś o tym słyszałem.

Od wielu miesięcy starałem się jak najmniej myśleć o moim dawnym życiu. To był dobry sposób na przetrwanie w tym miejscu, tylko że niekiedy po prostu tak się nie dało. Leżałem na pryczy i spoglądałem w czerń nocy po drugiej stronie krat. Latarnie stojące wzdłuż więziennego muru płonęły mdłym, żółtym światłem, które wkradło się do celi. Zapaliłem papierosa i podszedłem do okna. Śnieg padał jak opętany, jakby ktoś tam na górze miał zamiar zasypać świat aż po czubki dachów. Białe płatki targane podmuchami wiatru wirowały w powietrzu i kręciły się w obłądnym tańcu. Nagle ogarnęło mnie takie samo

uczucie jak tamtej zimy, kiedy zamieniliśmy się z Wikto-rem odzieniem. Dałem mu wtedy moją filcową, czarną jesionkę sięgającą do połowy uda w zamian za brązowy płaszcz podbity delikatnym kozuchem. Płaszcz był odrobinę za duży, ale za to zdecydowanie cieplejszy.

– Nie rozumiem, dlaczego chcesz się zamienić? Przecież to kiepski interes – zauważyłem. Byliśmy już wtedy dobrymi kumplami, więc musiałem mu to powiedzieć.

– Oj, Stefek, Stefek – zawsze mnie tak nazywał, no może nie zawsze, ale zaczął tak do mnie mówić, kiedy poznał moją mamę i usłyszał, że ona się tak do mnie zwraca – tu nie chodzi o dobry czy zły interes. Ja po prostu zawsze chciałem mieć taką wysłużoną jesionkę.

– Przecież możesz pójść do pierwszego lepszego sklepu i kupić podobną.

– No właśnie – wpadł mi w zdanie – tylko, że one są nowe, dobrze skrojone, z dwoma rzędami srebrnych guzików, sztywnym kołnierzem i odświeżonym fasonem. A ja chcę mieć właśnie taką znoszoną, nieco wyświechtaną, pachnąca tytoniem, taką... – szukał odpowiednich słów – która opowiedziałaby nam mnóstwo ciekawych historii, gdyby tylko umiała mówić. Rozumiesz?

Wtedy nie bardzo rozumiałem, ale mu przytaknąłem. Miał w sobie coś, co mnie w pewnym sensie fascynowało i intrygowało. Jego osobowość, kultura, wiedza, sposób bycia, mówienia i zachowania. Wszystko, co sobą reprezentował, było przeciwieństwem tego, co mogłem powiedzieć o moich kumplach z ulicy. Może nie on sam,

ale znajomość z nim była dla mnie czymś imponującym. Pochodzenie z różnych klas społecznych niejako dodawało smaku naszej, zaryzykuję określenie, przyjacielskiej więzi. Za to Pesteczka był pierwszym ze wszystkich znajomych mi osób, który nie darzył Wiktora sympatią. Całkiem możliwe, że jego negatywne uczucia zrodziły się w tym dniu, kiedy rozmazał mu lody na twarzy. Nieraz powtarzał, że Wiktor to nadziany, wykształcony gnojek, który na siłę chce się bratać z proletariatem.

Tamtego dnia przechodziliśmy nieopodal cmentarza wojskowego w dzielnicy Majków, a naszą uwagę przykuła odbywająca się tam ceremonia.

– Chowają kolejnego dzielnego wojaka albo zasłużonego oficera – powiedział Wiktor. Nie trudno było się domyślić, gdyż roilo się tam od mundurowych. – Pamiętam dokładnie, jak kilka lat temu przemawiał tutaj niemiecki gubernator wojenny generał Sontag, a potem odsłonięto ten pomnik z kamienia polnego. – Wskazał dłonią w jego kierunku. – Dziś powiewają tam biało-czerwone flagi. Sam widzisz, jak kapryśne potrafią być koleje losu. Na tym cmentarzu leżą żołnierze różnych narodowości, są Rosjanie, Niemcy, Polacy. To takie nasze kaliskie Nekropolis. Dawni wrogowie spoczywają w sąsiednich mogiłach, na ścianach kaplicy wieszają marmurowe tablice, na których są wygrawerowane nazwiska poległych. To są właśnie symbole naszej pamięci, a musisz wiedzieć, że dziś nasza pamięć tworzy historię dla potomnych.

Spoglądałem w okno. Śnieg prószył zajadłe, jakby

chciał udowodnić, że nikt i nic nie jest w stanie go powstrzymać. Wtedy doznałem olśnienia. Wiedziałem, że mój czyn nie zmieni świata na lepsze ani nie wpłynie na dzieje ludzkości. Chciałem tylko złożyć skromny hołd jego pamięci.

Postanowiłem, że to uczynię.

Nigdy nie potrafiłem zrozumieć i właściwie do dziś tego nie pojmuję, jak to możliwe, że ludzie mogą się znienawidzić w imię własnych przekonań. Od pierwszej chwili, kiedy przy naszym stole pojawił się Boyko, czułem się tak, jakby tuż obok przebiegała linia frontu. Nie było takiego dnia, żeby Roman i Cygan sobie odpuścili. Będę jednak sprawiedliwy i przyznam, że to nie Boyko było prowokatorem. Bronił się tylko przed szykanami. Nie miał agresywnego charakteru i nie należał do ludzi porwanych, takich można rozpoznać od razu. Myślę, że nikt z nas nawet nie był w stanie wyobrazić sobie tego, co musiał czuć jako jedyny we Wronkach reprezentant rromskiej mniejszości etnicznej. Błąd, który popełnił Roman, polegał na tym, że uwziął się na człowieka, ale najwyraźniej zapomniał, iż ludzka cierpliwość ma też swoje granice.

O tym jednak miał się dopiero przekonać w niedalekiej przyszłości.

Dzisiaj, zanim zaczęła się kolejna słowna potyczka, zdążyłem zapytać Suchego:

– Ile lat miał Franek?

Spojrzał na mnie zdziwiony i odpowiedział pyta-

niem:

– Dlaczego pytasz?

– Z ciekawości – wzruszyłem ramionami – po prostu chciałem wiedzieć.

– W tym roku skończył czterdzieści siedem.

W podziękowaniu kiwnąłem głową i zabrałem się za moje śniadanie.

Od pewnego czasu podczas każdego posiłku padało pytanie orbitujące na szerokiej trajektorii szowinizmu:

– Co jest? Nie smakuje ci darmowe, polskie jedzenie? – Roman potrafił wypowiadać swoje słowa z nieukrywaną złościwością.

– Nie wydaje mi się, żeby było darmowe. – Boyko czasami odpowiadał, a niekiedy ignorował takie zaczepki milczeniem.

– No to źle ci się wydaje. Tutaj pracujesz za łóżko i dach nad głową, a jedzenie jest darmowe. Nie wiedziałeś o tym? – Roman specjalnie podsycił atmosferę. –

Trochę popracowałeś i łapy odpadają? No tak to jest, kiedy całe życie się kradło, zamiast pójść do uczciwej roboty.

– Nie znasz mnie, więc mnie nie oceniaj – odpowiedział spokojnie Cygan. – Nic o mnie nie wiesz.

– A co niby miałbym o tobie wiedzieć? Wystarczy popatrzeć i wszystko staje jasne. Widywałem takich jak ty...

– Czy możemy zjeść w spokoju? – Czasami ktoś z nas przerywał te dyskusje, a najczęściej robił to Ojczulek.

– Jak coś ci nie odpowiada, to możesz się przesiąść – ucinał Roman, ale tym samym kończył słowne ataki na Boyko. Wystarczyło jednak spojrzeć na tych dwóch, żeby zobaczyć, jak wzrokiem ciskali w siebie milczące błyskawice.

– Długo wczoraj myślałem nad tym, co mówiłeś o pamięci – odezwałem się do Ojczulka, kiedy byliśmy już na stolarni i dorzucałem kilka drewna do pieca.

– I do jakich doszedłeś wniosków?

– O wnioski raczej trudno, ale chyba wiem, co muszę zrobić. – Staruszek spojrzał na mnie zaskoczony. – Chodź, pokażę ci. – Kiwnąłem głową.

Podeszliśmy do stojaka z deskami i wtedy wskazałem ruchem dłoni na niedużą tablicę. Klemens zaszczerpił we mnie pewien nawyk, żeby ją wykorzystać, kiedy pojawiała się potrzeba wytłumaczenia jakiegoś stolarskiego zagadnienia lub sztuki połączenia dwóch czy większej liczby elementów. To było genialne w swojej prostocie, ponieważ za pomocą kawałka białej kredy i ciemnej powierzchni tablicy można było przedstawić pomysł lub rozwiązać każdy zawodowy problem.

– Nie bardzo rozumiem – powiedział Ojczulek, patrząc na wiszący przedmiot.

Uśmiechnąłem się pod nosem. Podeszedłem do tablicy i zdjąłem ją. Następnie obróciłem, oparłem o ścianę i obaj spoglądaliśmy na jej tylną powierzchnię.

– No i co? – zapytał.

Najpierw zrobiłem dwa kroki w lewo i zerknąłem

dyskretnie, co porabiają Jaśki. Najwyraźniej wszystko mieli gdzieś i byli skoncentrowani wyłącznie na swojej robocie. Wróciłem z powrotem. Przykląkłem na wprost tablicy, wyjąłem z kieszeni grafitowy ołówek i w lewym górnym rogu napisałem cyfry: 21.10.1923, a pod nimi, niemal idealnie, kolejne: 01.12.1923

– Teraz rozumiesz? – zapytałem.

– No nie bardzo – odpowiedział staruszek.

– Tego dnia zastrzelili Franka. – Wskazałem na pierwszą datę. – Tego dnia umarł Dziadunio. – Zjechałem palcem poniżej. Potrafię napisać daty, ponieważ znam cyfry, ale nie umiem kreślić liter. Napisz obok: Franciszek Wencel żył lat czterdzieści siedem, a tutaj: Klemens Wilczak żył lat siedemdziesiąt trzy. – Podałem mu rysik. – Tylko zrób to bardzo wyraźnie i dokładnie, żebym mógł potem użyć dłuta.

Ojczulek stał przez dłuższą chwilę i wpatrywał się w tablicę. Odniosłem wrażenie, że jego oczy zrobiły się bardziej wilgotne. Księżuło podszedł do płyty i wykaligrafował równymi i prostymi literami to, o co prosiłem.

Jeszcze tego samego dnia użyłem delikatnego dłuta i z największą precyzją, na jaką było mnie stać, wygrawerowałem znaki skreślone grafitem. Poprzysiągłem sobie w duszy, że dopóki będzie mi dane, dopóty będę kontynuował to dzieło.

Ojczulek z podziwem spoglądał na moją robotę. Kiedy skończyłem, powiedziałem:

– A Bóg Wszechmogący jest mi świadkiem, że imię każdego skazańca, którego będę znał i który umrze we

wronieckim więzieniu lub poza nim, nie doczekawszy uwolnienia, zostanie tutaj wpisane razem z datą jego śmierci i przeżytymi latami.

– Amen – szepnął i wykonał w powietrzu prawą dłonią ruch krzyża, jakby błogosławił ten przedmiot i moje słowa. Po czym razem zawiesiliśmy tablicę na swoim miejscu.

Krzesa i owalny stół dotarły do gabinetu naczelnika tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Wojciechowski zareagował tak, jak się spodziewałem, i co najważniejsze spełniły się wszystkie moje prognozy. Dostałem obiecany prezent gwiazdkowy, który zresztą mnie zaskoczył... dziesięć paczek ekskluzywnych Parisjanów z fabryki Fajwela Janowskiego.

Ach, cóż to był za tytoń! Cóż za tytoń!

W swoim życiu miałem okazję palić różne papierosy, lepsze i gorsze, wykonane solidnie lub byle jak, niektóre smakowały niczym suszone łajno wymieszane z trocinami, jedne były delikatne i aromatyczne, a po drugich człowiek cherlał, bo ich dym drapał w gardło jak jasna cholera. Powiem wam szczerze, że żadne z nich nie mogły się równać z parisjanami. To było mistrzostwo świata w branży tytoniowej. Moim skromnym zdaniem, tym papierosom należałoby postawić pomnik, usypać kopiec lub przynajmniej ochrzcić ich nazwą jedną z głównych ulic w stolicy.

Ech, aż łezka w oku się kręci, kiedy myślę o tych szlugach.

Teraz takich fajek nikt już nie produkuje. Nikt.

Zasadniczo meblowy front robót został zrealizowany, nie miałem jednak zamiaru rezygnować z dotychczasowych możliwości i wszelkich swobód, jakimi się otoczyłem dzięki temu zajęciu. Oczywiście myślałem o tym już wcześniej i miałem cichą nadzieję, że uda mi się podsunąć naczelnikowi kilka ciekawych pomysłów. Wojciechowski bardzo szybko stwierdził, że zdecydowanie brakuje w gabinecie uniwersalnego wieszaka na płaszcze, palta, kapelusze i parasole. Przydałaby się również dostojna lampa z odpowiednim abażurem oraz mały stolik, na którym będzie spoczywać srebrna taca z karafką otoczona rodziną kryształowych szklaneczek. Miałem w głowie jeszcze parę innych projektów, ale doszedłem do wniosku, że więcej zyskam, poruszając się metodą małych kroczków.

Nikomu o tym nie mówiłem, jak jest, bo i po co? Stolarsnia była dla mnie tym miejscem, które w pewnym sensie zapewniało mi ucieczkę od więziennego życia. To była moja enklawa, gdzie mogłem się schronić podczas wszelkich dni, które ze względów religijnych, i nie tylko, były wolne od pracy. Czy wspominałem już o tym, że w więzieniu znienawidziłem te dni? Chyba tak...

– Jutro kolejna Wigilia w pudle – powiedział Suchy i chuchnął w zmarznięte dłonie. – A pamiętacie, jak było w zeszłym roku? Pamiętacie te rozkoszne smakołyki? – powiedział z prawdziwym zachwytem. – Kiedy zamykam oczy – co też uczynił – czuję zapach i smak tych raryta-

sów. – Oblizął językiem usta. – Mniam, mniam, jakaż ta wędzonka była pyszna!

– Zamknij się, Suchy. – Kazik nie dał rady. – Człowieku, chcesz żeby mi żołądek wywróciło na lewą stronę?

– Oddałbym wszystko za jej jeden plaster – ciągnął swój wywód. – Albo ta swojska kielbaska – westchnął – po prostu poezja smaków.

Ja, Ojczulek i Roman, śmiejąc się z naszego dowcipnisa, także zaczęliśmy żądać, żeby przestał wspominać. Boyko tylko stał nieco z boku i nie bardzo rozumiał, o co chodzi. W kilku słowach opowiedziałem mu historię, która zdarzyła się rok temu.

– Czasami fajnie jest powspominać – podsumowałem.

– A może w tym roku też dostaniesz pakiet? – zapytał z nieukrywaną nadzieją Suchy.

– Nie sadzę – odparłem. Miałem jedynie nadzieję, że złoty krążek zapewnił mojej mamie godne święta.

Staliśmy razem na spacerunku, przestępując z nogi na nogę i wdychając mroźne, grudniowe powietrze. Dzień był szary i zimny.

– Czy wy, Cyganie, też dzielicie się opłatkiem? – ni stąd, ni zowąd odezwał się Roman.

Odniosłem wrażenie, że szuka zaczepki.

– Tak, dzielimy się.

– Tak? Ciekawe. A gdzie go kradniecie? – zapytał perfidnie.

– Roman, dajże spokój człowiekowi – powiedział

Kazik. Chyba wszyscy mieliśmy dość jego prowokacji do słownych awantur.

– Nie, nie kradniemy opłatka. Nasze kobiety pieką go z pszennej mąki i wody. I powiem ci coś jeszcze – wypowiadał swoje słowa wyraźnie – wiesz, dlaczego Cyganie kradną?

– Bo te brudne, zasrane lenie nie potrafią robić nic innego – rzucił Roman i zaśmiał się drwiąco.

Wydawało mi się, że jeszcze dwa słowa więcej i zacnie się prawdziwa bójka.

– Dlaczego ciągle obrażasz mnie i mój lud? Ty nawet nie zdajesz sobie sprawy, że sam Chrystus, Syn Boży, pobłogosławił Cygana za to, że kradnie.

– Nie bluźnij, synu! – wkroczył do dyskusji Ojczulek.

– Nie bluźnię, nie wszystkie historie są zapisane w Biblii, ale jest jedna przypowieść, którą Cyganie, rozsiani po całym świecie, przekazują sobie od pokoleń. I chociaż nie mamy swojego państwa, granic, wojska, rządu, więzień, mamy swoje tradycje i historię.

– No masz ci – rzucił Suchy – to co was łączy z Chrystusem?

Boyko spojrział po naszych twarzach i powiedział:

– Kiedy Chrystus, dźwigając swój krzyż, dotarł na szczyt góry, zebrał się tam spory tłum. Większość ludzi przepełniała nienawiści i każdy z nich chciał zobaczyć, jak go zamęczą, ukrzyżują. Tłum krzyczał i sączył jad ze swoich ust, wszyscy nieprawi chcieli widzieć i poczuć jego śmierć. Był też w tłumie jeden Cygan, który widział,

jak żołnierz przybija gwoździem dłoń do krzyża. Kiedy zobaczył ból malujący się na obliczu ofiary i ciernistą koronę, nie zawahał się ani przez chwilę. Ludzie podeszli bliżej, bo każdy chciał widzieć, jak się zadaje taką mękę. Wtedy Cygan zobaczył trzy gwoździe leżące obok oprawcy, który w tym czasie wbijał czwarty gwoździe w dłoń Chrystusa. Wszystkich gwoździ było cztery, na dwie ręce i dwie nogi. Cygan wiedział, że nie może ukraść trzech pozostałych, ale zrobił to, co powinien. Ukradł jeden gwoździe. Żołnierz przybił drugą dłoń do krzyża i kiedy miał przybić stopę, zobaczył, że ma tylko jeden gwoździe. Rozglądał się dookoła i szukał brakującego. Tłum gapiów spragniony krwi wrzeszczał. Żołnierz nie wiedział, co ma zrobić, więc dwie stopy przybił jednym gwoździem. Chrystus zobaczył Cygana, który stał obok, i mimo całego bólu tego świata uśmiechnął się do niego i powiedział: „Błogosławę tobie, temu, coś uczynił, i ludowi, z którego pochodzisz”. – Boyko zamilkł i na chwilę zapadła cisza.

Staliśmy i każdy oczekiwał chyba dalszej opowieści.

– W życiu nie słyszałem nic bardziej głupiego – powiedział Roman.

– Może i nie słyszałeś – odparł natychmiast Boyko – ale od teraz zapamiętasz to już sobie na zawsze. Jeśli wejdiesz do kościoła albo gdziekolwiek indziej, zobaczysz symbol Syna Bożego na krzyżu, duży, mały, na cmentarzu, w domu na ścianie, na obrazie, na łańcuszku, w książce, po prostu wszędzie, to przypomni ci się opowieść o Cyganie, który ukradł czwarty gwoździe. – W jego

głosie było słychać rozkosz zwycięstwa.

– Cholera, masz, kurwa mać, rację – zaśmiał się Suchy i klasnął w dłonie. – Nigdy nie słyszałem takiej sprytnej historyjki. Dobrze! Bardzo dobre! No, Romuś i jak ci teraz w pysku?

– Zamknij się, Suchy – skwitował zapytany.

– Może od dzisiaj powinniśmy cię nazywać „Romek Cztery Gwoździe”? – Kiedy Suchy podłapał temat, momentalnie potrafił z tego zrobić przebój.

Wszyscy jak jeden parsknęliśmy szczerym śmiechem.

– Pierdolcie się – wycedził wściekle przez zaciśnięte zęby Roman, obrócił się na pięcie i odszedł.

– Hej, stary! – krzyknął za nim Suchy. – Roman, to tylko żarty, nie przejmuj się tak.

Na pewno usłyszał, ale nie zareagował.

– Wrażliwy – szepnął Kazik.

Miałem ochotę zabłysnąć jakąś ciekawą sentencją i powiedzieć, że kiedy igra się z ogniem, można się poparzyć, ale stwierdziłem, że lepiej będzie nie nakręcać dalej całej sytuacji.

– Nie ma sensu siać zamętu między sobą – odezwał się Ojczulek. – Zawsze mówiłem, że ludzie powinni się szanować bez względu na kolor skóry, poglądy polityczne i wyznanie. Tym bardziej tu. W takim miejscu jak to. Otoczeni wysokim murem i spoglądający na świat przez okratowane okna. Szkoda czasu, żeby jeszcze budować między sobą mur nienawiści.

– Święta racja, księżulku, święta... – Nasz dowcip-

niś nagle zaniósł się tym swoim parszywym kaszlem. Dłuższą chwilę usilnie starał się wypluć przez gardło własne płuca, ale jak zawsze zdołał jedynie odsączyć trochę krwi.

Kiedy zjadłem obiad, wypowiedziałem przed dyżurnym bloku moje magiczne zaklęcie i otrzymałem natychmiastową zgodę na oddalenie się do stolarni.

Zamiast dusić się w małej celi, wolałem grać półdupki na kafłowej pieco-kuchni, rozkoszować się paleniem papierosów i udoskonalać nowy pomysł na stojak i lampę dla naczelnika. Wymyśliłem, że oba te elementy muszą wyglądać niemal identycznie, aby już na pierwszy rzut oka było wiadomo, iż stanowią komplet. Nagle z zadowoleniem stwierdziłem, że chyba mam artystyczne zacięcie i bardziej twórcze spojrzenie niż przypuszczałem. Nogi od stołu i nogi od dziesięciu krzeseł miały specyficzny kształt, w moim prywatnym nazewnictwie określałem go „łabędzim”. To słowo najbliższej odzwierciedlało profil nóg. Stoliczek pod karafkę miał być taki sam jak stół, tylko proporcjonalnie zmniejszony, taki młodszy brat. Wykombinowałem, że stojak na płaszcze i lampa będą mały podpory w tym samym łabędzim fasonie. Oczami wyobraźni już widziałem ten wspaniały, efektowny, niepowtarzalny komplet.

Nie jako stolarz z zawodu i z zamiłowania, ale jako funkcyjny na latrynie miałem nadzieję, że kiedy pan naczelnik zobaczy tę idealnie komponującą się całość w swoim gabinecie, to zesra się z wrażenia.

Przygotowałem dwa dębowe krawędziaki i przyciąłem je na odpowiednią długość. Wyjąłem podstawowe narzędzia i kiedy już miałem przystąpić do pierwszych czynności, drzwi otworzyły się z trzaskiem na oścież i zobaczyłem w nich aspiranta Szumskiego. Pełnił dziś służbę, o czym świadczył pasek od czapki przeciągnięty pod brodą. Wraz z nim do wnętrza warsztatu niczym rozwydrzony intruz wdarło się mroźne, grudniowe powietrze. Szumski przez chwilę stał w miejscu i patrzył na mnie.

– Jak leci, Żabikowski? – Zrobił krok do przodu i zdjął nakrycie głowy.

Boże, ależ ja tego faceta nie cierpiałem, a szczególnie wtedy, kiedy zaczynał zadawać te swoje idiotyczne pytania. Zupełnie nie wiedziałem, co odpowiadać.

– Tak jak zawsze, panie aspirancie.

– Oczywiście, Żabikowski, oczywiście. – Ton jego głosu był pełen szyderstwa i kpiny. – Niespełna kwadrans temu chciałem cię odwiedzić w celi, zachodzę, pukam, stukam, zerkam przez okienko, a tam pusto... – Zaczesał dłonią włosy. – Wprosiłem się do środka. Zajrzałem do twojej szafki, potem zerknąłem to tu, to tam i wiesz, jakie wielkie było moje zdziwienie, kiedy okazało się, że nie znalazłem żadnych papierosków? – Patrzył na mnie badawczym wzrokiem. – Pewnie trzymasz je gdzieś tutaj, ale dobrze wiesz, że to wbrew przepisom, prawda?

– Niczego tu nie trzymam, panie aspirancie – odparłem.

– Ciii, Żabikowski, ciii... – Przyłożył do ust wska-

zujący palec w geście symbolizującym milczenie. – Zastanów się pięć razy, zanim cokolwiek powiesz, żebyś nie został posądzony o kłamstwo. – Wolnym krokiem ruszył w moją stronę. – Czy zdajesz sobie sprawę, co będzie, jeśli znajdę tutaj jakieś fajki? Na przykład kilka paczek ukrytych gdzieś pośród... – szukał odpowiednich słów – tego całego bajzlu? Wystarczy moje jedno słowo i za pięć minut zjawi się tutaj dwóch funkcyjnych. Będziemy przeglądać każdą rzecz, każdą skrzynię, szafkę, każde pudło, a to, co przejrzymy, będziemy wynosić na zewnątrz. – Palce prawej dłoni oplótł na rękojeści pałki. – Jeśli będzie trzeba, wyniesiemy stąd wszystko, do ostatniej trociny, i jestem pewien, że znajdziemy tu kilka paczek, jeśli nie więcej, prawda? – Utkwił we mnie pytający wzrok.

– Nie ma tutaj żadnych papierosów, panie aspirancie, oprócz tych. – Wyjąłem skrzynkę, którą miałem w kieszeni i położyłem na blacie stołu narzędziowego.

– Tak, tak, Żabikowski – mówił tak, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że z nas dwóch, to ja jestem ten głupi. – Mógłbym zrobić kilka rzeczy, żeby cię udupić, i wiesz dlaczego, prawda? – zapytał i tym razem wyraźnie czekał na odpowiedź.

– Wiem, panie aspirancie – odparłem.

– A dlaczego? – ciągnął dyskusję, żeby nacieszyć się moim upokorzeniem.

– Bo mnie pan nie lubi, panie aspirancie.

– Właśnie tak, Żabikowski – naprawdę wydawał się rozbawiony – ale ja mam lepszy pomysł. Zdecydowanie

lepszy. – Minał mnie i podszedł do pieca. – Wydaje mi się, że zaraz dobrowolnie oddasz mi wszystko – powiedział i uśmiechnął się do mnie tym swoim szczurzym grymasem. – Jeśli oczywiście masz odrobinę oleju w głowie.

Milczałem.

Teodor Szumski odpiął guzik przy kieszeni munduru na lewej piersi i wyjął złożoną wpół kopertę.

– Ten list jest do ciebie – oznajmił, a w jego głosie usłyszałem złośliwość. – Czytałem, bo musiałem. Taki regulamin i takie przepisy. Cenzura, nic na to nie mogę poradzić. I wiesz co, Żabikowski, nie powiem ci od kogo ten liścik. – Przyłożył go do nosa i powąchał tak, jak się wacha coś aromatycznego. – Chcesz go?! – rzucił ostrym tonem, jakby wstąpił w niego zły duch.

– Tak, panie aspirancie, chcę. – Czułem, jak krew w moich żyłach zaczęła płynąć zdecydowanie szybciej.

– To dawaj wszystkie fajki, tu na blat, i to już! – wrzasnął.

Wahałem się tylko przez ułamek sekundy.

– Moje wszystkie papierosy już tutaj leżą, panie aspirancie.

– Dość, Żabikowski – mówił podniesionym głosem. – Chcesz ten jebany list, czy nie?! Jeśli tak, to dawaj coś w zamian, a jeśli nie, to wiesz, co się za chwilę stanie. – Otworzył drzwiczki pieca. – Liczę do trzech... – Pomiedzy nami stała tylko cisza. Przez ten krótki moment słyszałem, jak cug zaczyna znajomo huczeć. – Jeden – patrzył mi prosto w oczy – dwa – zbliżył dłoń z listem do otwartego paleniska – trzyyy – powiedział przesadnie,

ciągnąc ostatnią głoskę. Miałem wrażenie, że nieznacznie wzruszył ramionami, po czym cisnął list w ogień i zamknął drzwiczki. Czułem, jak zaczynają mnie boleć zęby, ponieważ mocno zacisnąłem szczęki. Niektóre partie mięśni w moim ciele były napięte, jakby za chwilę miało je rozerwać na krwiste strzępy. Oddychałem, chociaż trudno to było nazwać oddechem, po prostu sapałem z wściekłości. Niemoc. Patrzyłem na tego człowieka i naprawdę miałem ochotę go zabić. Stał na wprost mnie, a z jego oczu biło całe skurwysyństwo tego świata.

– To tyle, Żabikowski, na dziś – powiedział zupełnie spokojnym głosem. Podeszedł w moim kierunku, sięgnął po moją paczkę papierosów i poczęstował się. Zapalił, zaciągnął się głęboko dymem i dmuchnął mi prosto w twarz. – Nie spóźnij się na kolację. – Obrócił się na pięcie i wyszedł.

Stałem tak przez kilka minut i nie potrafiłem uwolnić się od cholernego napięcia. Sapałem niczym parowóz, który po długiej podróży właśnie dotarł do końcowej stacji. Potrzebowałem dłuższej chwili, aby odzyskać kontrolę nad samym sobą. Czułem, że moje ciało jest złane potem. Podeszedłem do drzwi, złapałem za klamkę i pozwoliłem się schłodzić grudniowym podmuchom.

Nie było szans, żebym poświęcił się dzisiaj jakiegokolwiek pracy. Usiadłem na stole, zapaliłem i gadałem pod nosem sam do siebie. Z moich ust pod adresem Szumskiego leciały jedynie wyszukane bluźnierstwa. W pewnym momencie spojrzałem na podsufitową belkę

i pomyślałem o tym, że chyba powinienem zastrzelić tego chuja o szczurzym uśmiezku.

Nie miałem najmniejszej ochoty na żadne jedzenie. Zwarcie z Szumskim zdecydowanie odebrało mi apetyt. Nie byłem jednak na tyle rozrzutny, żeby rozdawać cały posiłek. Porcję chleba i kawałek kiełbasy dyskretnie schowałem do kieszeni kufajki, a papkę z gotowanych warzyw oddałem Kazikowi.

– A ty co, odchudzasz się? – zagadnął Suchy. – Tylko kawka na wieczór? Lepiej się śpi z pustym brzuchem?

– Właśnie mam zamiar sprawdzić – odparłem.

Suchy chyba zorientował się po tonie mojego głosu, że nie mam ochoty na dyskusję, i odpuścił. Przez chwilę przyglądał mi się uważnie, znał mnie na tyle i wiedział, że nie należę do ludzi, którzy grymaszą z byle powodu.

– Szumski, prawda? – zapytał nieśmiało, a ja nie wiem, jakim cudem jego domysły podążały w dobrym kierunku. – Paczka?

Zaprzeciżyłem ruchem głowy i powiedziałem:

– List. Spalił go na moich oczach.

– A to kutasiński! – syknął z nieukrywaną złością. – Od zawsze miałem o nim takie zdanie i nic tego nie zmieni. A to brązowa szmata! Już kiedyś to zrobił, tak?

– Na Wielkanoc. Najwyraźniej upodobał sobie świąteczne okresy – odparłem.

Pozostali spojłali na nas i nie bardzo wiedzieli,

o czym mówimy. Jedynie chyba Ojczulek w porę się połapał.

– Ale o co właściwie chodzi? – zapytał Kazik, nie odrywając wzroku od zawartości talerza.

– Kaziu, żryj papkę i nie przeszkadzaj, jak starsi rozmawiają – rzucił Suchy. – Myślę, że powinienes coś z tym zrobić – dodał po chwili. – Takie jest moje, kurwa mać, zdanie na ten temat.

– Tak? A niby co? – brzmiałem gdzieś pomiędzy bezradnością a drwiną.

– Masz wejścia na samej górze – powiedział tak, jakbym co najmniej w każdy czwartek grywał z naczelnikiem w brydża.

– Ty chyba czegoś nie rozumiesz – wtrącił się nagle Ojczulek i surowo spojrział na Suchego. – Nie rób tego – powiedział do mnie – to niczego nie zmieni. Pamiętaj, że jesteś więźniem z najcięższym wyrokiem, nawet nie próbuj myśleć o tym, bo cię zniszczą. Rozumiesz? Zniszczą cię. Po prostu cię zniszczą! Masz inne możliwości? – zawiesił na chwilę głos. Doskonale wiedziałem, o kim mówi. – Jeżeli poskarżysz się na szczycie i wybuchnie afera, niczego nie osiągniesz. Ktoś dostanie reprimendę, a ty zamienisz swoje życie w piekło. Klawisze ci tego nie darują. Zapomnij o tym, możesz mi wierzyć na słowo, będziesz bez szans. Nie wiem, co zaszło między tobą a Szumskim, i chyba nie chcę wiedzieć. Cokolwiek spalił na twoich oczach, zapomnij o tym. Zaciśnij zęby, przełknij zniewagę i zapomnij.

Leżałem na pryczy i miałem ochotę wyć. Łatwo powiedzieć „zapomnij” – przemknęło mi przez myśl. Łatwo jest udzielać rad innym, a szczególnie wtedy, kiedy coś nas nie dotyczy. Może gdyby Szumski nie wykonał tego gestu z wachaniem koperty... ale on to zrobił! Był jakiś powód ku temu. Od pierwszej chwili uważałem za oczywiste i naturalne, że koperta po prostu musiała pachnieć. Nie widziałem innego wytłumaczenia. Odpędzałem od siebie tę uporczywą myśl, ale ona natychmiast wracała ze zdwojoną siłą. Sam siebie przekonywałem, że to był list od Agnieszki.

Ja po prostu w to uwierzyłem.

Ludzkie życie to sztuka balansowania pomiędzy skrajnymi uczuciami, to umiejętność znalezienia równowagi między wyobraźnią, emocjami a rzeczywistością. Jeżeli człowiek nie potrafi się odnaleźć i zapanować nad tym, to znaczy, że jego istnienie znalazło się na drodze, która zmierza prosto ku szaleństwu.

Przez wiele miesięcy szarpałem się ze swoimi uczuciami, starałem się zapomnieć i zgasić w sobie miłość do dziewczyny o najpiękniejszym uśmiechu na świecie. Potem przyszedł w końcu taki czas, że pogodziłem się ze wszystkim i pogrzebałem uczucie do Agnieszki gdzieś głęboko w sobie. A teraz co?! Wszystko odżyło ze zdwojoną siłą, w duszy eksplodowały wszelkie możliwe emocje. Nagle mój szary i przygnębiony świat zapłonął milionami jaskrawych braw. Nie byłem na to przygotowany! Poraziło mnie, poczułem się zaślepiony, odurzony, przepelniony. Poczułem w sobie miłość, o której chciałem

zapomnieć.

– A cóż to, nie pospaliśmy dzisiejszej nocki? – zapytał Suchy, patrząc na moją znużoną i zmęczoną twarz. – Sińce po oczami, przekrwione ślepia – diagnozował. – Czyżby dopadła cię zmora?

– Suchy, daj mi spokój – warknąłem.

– Co to jest zmora? – wtrącił się Boyko.

– To ktoś taki jak ty dla kogoś takiego jak ja – wycedził Roman i zaśmiał się drwiąco.

– Odpuść, człowieku. – Kazik aż westchnął. – Mamy dzisiaj Wigilię.

– Chciał wiedzieć, co to jest zmora, to mu wyjaśniłem, prawda? – W jego słowach czuć było ładunek nienawiści.

– Kazik ma rację – odezwał się Ojczulek. – Mógłbyś uszanować dzisiejszy dzień.

Roman fuknął coś pod nosem.

– Zmora – powiedział stary ksiądz do Boyko – według wierzeń to taka nieziemska istota, zagubiony duch, który dręczy ludzi podczas snu. Niektórzy powiadają, że wygląda jak kobieta i można ją dostrzec tylko podczas pełni, kiedy przenika przez nią światło księżyca. Tutaj w więzieniu, kiedy trafia ci się bezsenna noc, mówimy, że zmora usiadła obok ciebie i nie dała ci zasnąć.

– My, Cyganie – Boyko patrzył na Romana i celowo wypowiedział te słowa bardzo dobitnie – nazywamy to „mulo”. I ktoś taki jak Roman jest moim mulo.

– Zatłukę cię, ty czarniawy skurwysynu – prawie

krzyknął. Jego dłoń, w której trzymał łyżkę, zacisnęła się w pięść.

– Spokojnie, dziewczęta – wkroczył do akcji Suchy. – Nie chcemy tutaj żadnych awantur. Jak dla mnie, to możecie się pozabijać, byleby nie przy tym stole, bo wszyscy będziemy mieć problemy. Mam w dupie wasz spór, nie interesuje mnie to i nie chcę w nim uczestniczyć. – Kątem oka zerknął na strażnika przy wejściu. – Dobrze wiecie, że burdy na stołówce kończą się w karcerze. Nie chcę tam trafić przez wasze wygłupy. Mamy święta, chcę odpocząć przez te trzy dni, chcę leżeć na pryczy fiutem do góry, palić fajki i snuć plany na przyszłość. Sram serdecznie na wasz problem, sami się obrzucajcie tym gównem, ale nie wciągajcie w to wszystkich. Prawda, chłopaki? – zwrócił się do nas, żebyśmy wyrazili swoje poparcie.

– Racja, brachu – skwitował Kazik.

– Jestem za – potwierdziłem.

– Ja również. – Ojczulek grał w tej samej drużynie.

Na chwilę zapadła cisza.

– Dobrze – odparł Roman – obiecuję, że nie będę przy tym stole odzywał się do tego romskiego śmiecia. – Posłał mu spojrzenie pełne pogardy.

– Ja nigdy nie szukałem zwady z moim mulo. – Boyko spojrział w oczy Romana wzrokiem pełnym bezczelności i wyzwania. – Chciałbym się od niego uwolnić. Przrzekam, że przy tym stole, z szacunku do was, będę się zachowywał tak, jakby mojego mulo tutaj nie było.

– Zajebię cię – syknął przez zaciśnięte zęby Roman. – Bóg mi świadkiem...

– Przestań! – wpadł mu w zdanie Ojczulek. – Zachowaj się jak mężczyzna, przed chwilą coś nam obiecałeś.

Strofowany uniósł obie ręce w takim geście, jakby się poddawał i powiedział tylko jedno słowo:

– Przepraszam.

Obserwowałem to zajście i czułem się tak, jakbym spoglądał na jakąś totalną abstrakcję. Dwóch dorosłych facetów, którzy przedrzeźniali się niczym zadziorni smarkacze i najchętniej rzuciliby się sobie do gardeł. To było przykre i żalosne zarazem. Podzielałem zdanie Suchego, podpisywałem się pod tym obiema rękami. Miałem to gdzieś. Chcą się tłuc o swoje przekonania i w imię swoich wartości? Proszę bardzo, niech się leją, niech krew płynie strumieniami, niech zadrzą fundamenty całego świata. Ważne, żebym ja jako statysta nie oberwał przy okazji po nosie. Obaj byli siebie warci. To prawda, że Roman rozpoczął tę wojenkę, ale Boyko, jak się z czasem okazało, wcale nie był lepszy.

Gdyby wtedy ktoś mnie zapytał, co mogę powiedzieć jako skazaniec o świętach Bożego Narodzenia, bez namysłu odparłbym, że jak dla mnie to po raz kolejny są takie same. Schemat i sceneria identyczne. Pogoda też. Nawiedziły mnie podobne problemy i wewnętrzne dylematy jak rok temu. Te same wspomnienia, żale i to samo poczucie winy znowu rozsadały mi czaszkę i zabierały spokojny sen. Wedle niepisanego zwyczaju nikt z oddziału dziesiątego nie mógł pójść na mszę. Ojczulek spowiadał chę-

nych na ławce, która robiła za konfesjonał, a na spacer-niaku rozmawialiśmy o tych samych świątecznych bzdu-rach. Zmienił się nieco stan osobowy, jedni odeszli, pojawili się inni, ale mury wciąż były te same. I pewnie cała reszta wyglądałoby podobnie jak rok temu, gdyby nie huk wystrzału, który w wigilijną noc rozerwał ciszę więziennych korytarzy.

W tym momencie, kiedy to się stało, daleki byłem od snu i dlatego natychmiast poderwałem się na równe nogi. Zeskoczyłem z pryczy i zamarłem w bezruchu. Nie wiem, dlaczego tak się zachowałem, to było takie... instynktowne. Powoli podszedłem do drzwi i przyłożyłem ucho. Wyraźnie było słychać tupot biegnących nóg za-równo po schodach, jak i po podeście ciągnącym się wzdłuż cel. Coś się działo. Nasłuchiwałem. Odgłosy zamieszania dobiegały ze strony sterowni. Przez chwilę ktoś coś wrzeszczał, wydawał jakieś polecenia, ale nie rozumiałem słów. Potem znowu tupot biegnących nóg, odgłos przemknął tuż obok drzwi mojej celi, a następnie pognął schodami w dół. Wtem zegar na wieży uderzył trzy razy. Został kwadrans do nie-miałem-pojęcia-której. Na korytarzu zalegała głucha cisza. Usiadłem na łóżku i zapaliłem papierosa. Dałbym się wykastrować, że odgłos strzału był tak potwornie głośny, iż musiał obudzić wszystkich skazanych.

Co może sobie myśleć więzień zamknięty w małej celi, kiedy po drugiej stronie drzwi dzieje się coś takiego? Przyznam się, że przemknęła mi przez głowę pewna szalona myśl. Wyobraźnia powołała do życia krótką

scenkę, w której strażnik staje w świetle drzwi celi, wyciąga spluwę i zabija osadzonego. Nie ważne, jakim kierował się motywem, może więzień go drażnił albo mieli ze sobą na pieńku. W sumie to było nieistotne, powód nie miał żadnego znaczenia, liczyło się tylko zakończenie. Chwilę później usłyszałem jak kilku ludzi zbliża się szybkimi krokami. Ponownie przytuliłem ucho do drzwi. Zegar na wieży zaczął wybijać pełną godzinę. Liczyłem uderzenia. Po ostatnim wyszeptałem sam do siebie:

– Właśnie minęła północ.

Zamieszanie na korytarzu trwało jeszcze jakiś czas, a potem zapanowała ta sama znajoma cisza.

Wróciłem do wyra, opatuliłem się kocem, ale jeszcze długo nie potrafiłem zasnąć. Zmogło mnie dopiero tuż po trzeciej, ale to nie był sen, który pozwolił mi wypocząć.

– Co to były za fajerwerki w środku nocy? Ktoś coś wie? – zapytał Suchy podczas śniadania.

Chyba żaden z nas nie miał pojęcia, co się wydarzyło.

– Pewnie jakiś klawisz bawił się bronią nie tak jak należy, pociągnął za spust i narobił hałasu – skwitował Roman.

– Powiadają, że w wigilijną noc zwierzęta przemawiają ludzkim głosem – odezwał się Boyko. – A mój ojciec twierdził, że broń raz do roku sama potrafi wypalić.

Zauważyłem, że zarówno jeden, jak i drugi, kiedy

wymawiali swoje słowa patrzyli po sobie. Było czuć pomiędzy nimi niebezpieczne napięcie, miałem wrażenie, że jeśli jeden z nich za bardzo pochyli się w stronę drugiego, to zobaczymy iskrzące wyładowania. Odniosłem również nieodparte wrażenie, że ich wymiana zdań zapoczątkowała nową erę polsko-cygańskiego, jeśli ktoś woli cygańsko-polskiego, konfliktu. Chłopaki zaczęli formować front wojny psychologicznej.

– Szymański – powiedział nagle Ojczulek – Edward Szymański. Wiecie, o kim mówię? – zapytał.

– Oczywiście, że, kurwa mać, wiemy – warknął Suchy.

– A co z nim? – zapytał Kazik.

– W nocy palnął sobie w łeb, stąd ten huk, który tak was intryguje – odparł.

Przez chwilę nikt się nie odezwał ani słowem, jakbyśmy czekali na dalszą relację Ojczulka. I tak też się stało.

– Miał wczoraj służbę. Został sam na sterowni, kiedy reszta klawiszy udała się na obchód. Na blacie biurka zostawił list, włożył lufę pistoletu w usta i pociągnął za spust. Strzał był śmiertelny, pocisk wyrwał mu pół potylicy. Za jego plecami wszystko było ubabrane krwią i skrawkami rozszarpanego mózgu. Okropny widok. Kiedy to się stało, jeden ze spanikowanych strażników wpadł do mojej celi i rozkazał mi udać się za nim. Nie wiem, czego oczekiwał, ale kiedy zjawiliśmy się na miejscu, zapytałem, co mam zrobić. A on na to, żebym odmówił jakąś ważną modlitwę albo udzielił ostatniego

namaszczenia, albo zrobił to, co każdy ksiądz w takiej sytuacji zrobić powinien. Cokolwiek. Ludzie pod wpływem silnego bodźca lub paniki robią rzeczy, których potem sami sobie nie potrafią wytłumaczyć. Cóż miałem począć? Pośrodku sterowni leżał trup, więc ukląknęłam i przez dłuższą chwilę modliłam się nad zwłokami. Jeden z klawiszy – słuchaliśmy w osłupieniu tego, co mówił – zaczął czytać list pozostawiony przez Szymańskiego. Samobójca przeproszał wszystkich za swój czyn. Przepraszał swoją ukochaną żonę, którą zostawia razem z małym dzieckiem, i resztę swoich bliskich, a w tym najbardziej matkę, że doczekała takiej chwili. Tłumaczył się, że nie potrafi dalej żyć ze świadomością, iż zabił człowieka. Wyznał, że nie musiał tego robić, że był inny sposób, aby powstrzymać uciekiniera. Wiedział o tym i z pełną świadomością pociągnął za spust. Odebrał człowiekowi życie i przez to sam nie jest w stanie kontynuować swojego. Postanowił się zabić na służbie, aby jego ofiara była przestrogą dla innych funkcjonariuszy. Chciał, aby jego czyn był ostrzeżeniem dla wszystkich strażników, którzy poczują żądzę władzy i zapomną o ciężącej na nich odpowiedzialności.

– Parszywy gnojek – warknął Suchy. – Mam nadzieję, że jak na samobójcę przystało, będzie się smażył w piekle. Z tego, co pamiętam, to człowiek, który sam sobie odbiera życie, jest potępiony, tak? – skierował swoje pytanie do jedyne go eksperta z dziedziny wiary, który siedział przy naszym stole.

– Tak, na równi z tymi, którzy odbierają życie

innym.

– Powiem wam coś, nasz kumpel Franek nie zasłużył na śmierć. Nie mówię, że był święty. Zgadza się, narozrabiał trochę. Właściwie razem żeśmy narozrabiali, ale nikomu nie stała się żadna krzywda. We dwójkę puściliśmy z dymem dość spory majątek. Zrobili z nas sabotażystów i dywersantów, kurwa mać, sabotażystów! – powiedział Suchy w taki sposób, jakby mówił o czymś niezwykłym. – A ze mnie taki sam sabotażysta jak z Ojczulka papież. – Udało mu się wywołać lekki uśmiech na naszych twarzach. – Mieliśmy swoje powody, które pchnęły nas do tego czynu. Cokolwiek bym powiedział, to przeszłości nie da się zmienić. Ze względu na ogrom strat, jakie spowodowaliśmy, plus obwołanie nas dywersantami i jeszcze inne pierdoły dostaliśmy po dziewięć lat. To bardzo surowy wyrok, ale trudno, stało się. Mieliśmy swoje odbębnić, wyjść i zacząć nowe, lepsze życie. Niekoniecznie mądrzejsze – zakpił jak zwykle. – Mam nadzieję, że pamiętacie, co Blacha zrobił Frankowi. – Spojrzał po naszych twarzach. – A ty żebyś wiedział, o czym gadka – wskazał palcem na Boyko – nasz kumpel od jednego klawisza dostał solidnego kopa prosto w jaja. Uderzenie było tak potężne, że zmiażdżyło mu jądra. Amputowali mu zawartość torby, rozumiesz? Został mu się jeno flet – zacytował fragment ludowej przyśpiewki. – Dramat, prawda? Chciałbyś stracić swoje jaja? Nie musisz odpowiadać, nie wyglądasz na idiotę, który chciałby się pozbyć owoców swojej męskości – ciągnął. – Wy nie mieliście pojęcia, ale ja dokładnie wiedziałem, że po tej

nieszczęsnej operacji Franek bardzo się zmienił. W ciągu jednego dnia stał się zupełnie innym człowiekiem. Nie wiem, co mu się we łbie uroiło i dlaczego nawiał, ale wiem, że nie powinni go zabijać. Był dobrym człowiekiem, naprawdę.

Ni stąd, ni zowąd przypomniła mi się ta niedziela, kiedy naczelnik pokazał wszystkim więźniom zwłoki Wencla oraz z dumą wychwalał strzelca i jego wzorową postawę. To wszystko było jakieś nienormalne. Ten cały świat, który mnie otaczał, ci ludzie, z którymi siedziałem przy jednym stole, kraty w oknach, płonące listy, złote zęby, funkcja latryniarza, Teodor Szumski, broń w sufitywej belce, skruszony samobójca i kłamstwa Suchego. Tak. Kłamał. Czułem to, kiedy mówił, że nic nie wie o ucieczce Franka. Łgał w żywe oczy. Spoglądałem po ich twarzach i nagle każda z nich wydała mi się taka... obca.

– Hej, człowieku, wszystko gra? – Poczulem, jak Kazik szturcha mnie w ramię, a pozostali dziwnie mi się przyglądają. – Ropuch, dobrze się czujesz?

Czy dobrze? Miałem wrażenie, jakbym przyleciał z zaświatów.

– Dlaczego tak sapiesz? Wszystko w porządku? – Suchy naprawdę wydawał się zatroskany.

– Sapię? – wyszeptałem i dopiero wtedy zorientowałem się, że mój oddech jest płytki i szybki. – Nie wiem, nagle zrobiło mi się jakoś tak dziwnie i słabo – skłamałem. Dyszałem, czując, jak do mojego grzbietu przykleja się wilgotna od potu koszulka. Miałem wrażenie, jakby na kilka chwil moja dusza wyrwała się z ciała i udała

w makabryczną podróż.

Kiedy obserwowałem innych na spacerniaku, nie potrafiłem zrozumieć, jak mogą być tacy... nie potrafiłem tego nazwać, żadne znane mi słowo nie było nawet w pobliżu stanu ducha, który wszystkich ogarnął. Rozentuzjzmowani? A może wszyscy zostali obdarowani magią świętą, tylko nie ja? Zauważyłem, że nawet taki Góral, który właściwie w każdej chwili mógł zostać stracony, był tak samo pogodny i radosny jak pozostali. Przechadzał się po spacerniaku, czasami z kimś zamienił słowo, tego klepnął w ramię, tamtemu szepnął coś do ucha. Kiedy zobaczył mnie, uśmiechnął się i podniósł w górę dłoń na znak powitania. Odpowiedziałem mu identycznym gestem. Po drugiej stronie, obok drucianej siatki, spacerował Rzeźnik z Danzing. Dłonie, które zabiły wielu ludzi, trzymał schowane w kieszeniach i kroczył bez pośpiechu w tę i powrotem spokojny i opanowany. Na jego twarzy nie malowało się poczucie winy, właściwie wyglądał na człowieka, który nie miał przeszłości. Ciekaw byłem jedynie, czy jest przygotowany na to, że wszystkie święta, jakie mu przyjdzie przeżyć, spędzi w więzieniu. Albo Ojczulek, który powiedział mi, że czasami warto usiąść w tym miejscu i poobserwować, co się dzieje na placu. Chociaż może nie, Ojczulek to zły przykład. Dostał dożywocie za zabójstwo, ale on nigdy nie stracił wiary w Boga i nigdy go nie opuścił. Poza tym z tego, co mówił, wynikało, że kara więzienia stała się dla niego czymś na wzór misji, którą musi wypełnić. Ojczulek zdecydowanie

czuł to samo co pozostali. Czyżbym był tym jedynym, któremu dodatkowo do wyroku w ramach premii dorzucano jeszcze inne oblicze bożonarodzeniowych świąt? W takich chwilach jak ta, byłem niemalże pewien, że Bóg chyba za mną nie przepadał.

Myślę, że w dzisiejszych czasach, każdy doktor „od czubków” znalazłby idealne określenie dla mojego stanu psychicznego. Jeden obstawałby, że to po prostu kryzys, drugi, któremu nie brak fantazji, nazwałby to syndromem ŚBN, w rozwinięciu: „syndrom świąt Bożego Narodzenia”, trzeci i czwarty znaleźliby jeszcze inne, być może ciekawsze nazewnictwo. W jakiegokolwiek słowa zostałyby ubrane moje samopoczucie, było pewne, że miałem problem gdzieś głęboko w głowie i jeszcze głębiej w duszy.

Nie było mi łatwo pogodzić się z tymi wszystkimi wspomnieniami, które wróciły tak nagle i z tak potężną siłą. Choć same wspomnienia to był właściwie szczegół, prawdziwą udrękę budowały uczucia, które przybyły wraz z nimi. Wtedy tego nie wiedziałem, bo nikt mi wcześniej nie wytłumaczył, a sam żyłem zbyt krótko, żeby to zrozumieć. Ludzkie uczucia są wieczne, one nigdy nie gasną. Każde wspomnienie, które nosimy w sobie, dźwiga również bagaż emocji i namiętności. Wystarczy tylko natknąć się na myśl z przeszłości, a wraz z nią powróci burza uczuć. Dziesiątki razy słuchałem tutaj opowieści innych, widziałem ich twarze, iskierki w źrenicach oczu, słyszałem drżący ton ich głosu. O swoich płomiennych uczuciach opowiadali ludzie, którzy mieli za sobą po

kilkanaście lat odsiadki. Wielu z nich popełniło straszne zbrodnie, dopuścili się okrutnych rzeczy, prawie nieludzkich, godnych jedynie potępienia. Powiem wam jednak, że prawie każdy z nich nosił w sobie cząstkę czegoś pięknego i cudownego. W ich wspomnieniach to była namiastka raju, w którym kiedyś żyli. Wiem, o czym opowiadali, miałem za sobą takie życie.

Wspomnienia posiadają również swoje mroczne oblicze. W więzieniu pamięć o tych wszystkich lepszych dniach potrafi człowieka zdręczyć, a nawet zniszczyć. Myślę, że niejeden z tego powodu targnął się na swoje życie. Zdaję sobie sprawę, że moje słowa mogą wydawać się niepoważne lub nawet wręcz idiotyczne, ale różnice, które dzielą normalny świat od więziennej rzeczywistości, czasami bywają większe niż Układ Słoneczny. Wiem, że trudno jest ogarnąć to wyobraźnią komuś, kto nigdy nie był skazańcem. To tak, jakby chcieć wytłumaczyć mężczyźnie, jaka to radość czuć w sobie życie, nosić w łonie dziecko, wydać je na świat, i oczekiwać, że facet to poczuje. Niektórych spraw po prostu nie da się wyjaśnić, trzeba je przyjąć za oczywiste.

Chyba trochę zagalopowałem się w moich wywodach, a chciałem tylko powiedzieć, że w tym samym czasie, kiedy funkcjonariusz Edward Szymański palnął sobie w łeb, ja poznałem niszczycielską siłę własnych wspomnień.

– No i patrzcie państwo – powiedział Suchy – kto by pomyślał, że ostatnia niedziela tysiąc dziewięćset

dwudziestego trzeciego roku będzie taka piękna. – Odechnął pełną pierśią.

Ponad naszymi głowami malował się nieskazitelny błękit jaskrawego nieba. Był tak głęboki i ostry, że człowiek mimo woli musiał mrużyć powieki. Słońce ogrzewało nas swoimi złotymi promieniami i chociaż mróz trzymał jak się patrzy, to zupełnie jednak nie było czuć jego zimna. Świat dookoła chował się pod pierzyną puszystej bieli, śnieg był suchy i sypki, skrzypiał pod podeszwami butów. Ceglaste mury, niebieskie niebo i śnieżna biel miały w sobie coś iście czarodziejskiego. Stanowiły doskonałą harmonię barw. Patrząc na te kolory, czuło się zachwyt, podziw, wręcz namacalne piękno. Raz po raz lekkie podmuchy wiatru porywały swoimi oddechami z krawędzi dachu śnieżną mgiełkę, której drobinki śmiały się wesoło w słonecznym blasku, a długie sopte zawieszzone pod rynnami połyskiwały niczym diamentowe sztylety.

– Tak, cudowny dzień – potwierdził Ojczulek.

Wręcz idealny... żeby umrzeć – przemknęło mi przez myśl.

– Wiecie, z czego się cieszę? – rzucił nagle Kazik.

– No z czego? Zaskocz nas – powiedział Suchy jak zwykle kpiącym tonem.

– Już za dwa dni będę mógł mówić, że wychodzę w przyszłym roku – oznajmił z nieukrywaną radością.

Nie odezwałem się i nie gratulowałem, tak naprawdę to miałem ochotę wstać i przyłożyć mu w mordę. Tak zwyczajnie dać mu po pysku za ten nadmiar szczęścia, który zaczynał go ogarniać. Moje uczucia pęczniały od

zazdrości.

– Chyba się przejdę – powiedziałem i podniosłem się z ławki.

– Idę z tobą – rzucił Ojczulek.

Przez dłuższą chwilę szliśmy w milczeniu.

– Mogę cię o coś zapytać? – zaczął Ojczulek.

– To zależy o co – odparłem.

– Zaprzyjaźniliśmy się, prawda? – zapytał, ale nie czekał na moje potwierdzenie. – Żyję za kratami już tyle lat, że zdążyłem pogodzić się ze swoim losem, chociaż to wcale nie było łatwe. Myślę, że akceptacja przychodzi z czasem. Teraz w tym więzieniu jest trzech skazańców z wyrokiem dożywocia i jeden sznurowiec. Góral, którego znasz, czeka na stryczek. Ja, ty, i Wilhelm Wolf, który sobie tam spaceruje przy siatce – kiwnął głową w jego stronę – zostaniemy tutaj tak długo, dopóki śmierć po nas sama nie przyjdzie. Prawda?

– Czego ty właściwie ode mnie chcesz? – zapytałem nieco poirytowany.

– Coś cię dręczy, mój przyjacielu. Myślisz, że tego nie widać? Naprawdę tak sądzisz?

– Nie wiem, o czym gadasz – odburknąłem.

– Nie zgrywaj się, dobrze wiesz, o czym mówię. – Położył mi dłoń na ramieniu i nieco zacisnął palce. Zatrzymaliśmy się w miejscu. Ojczulek spojrzał mi prosto w oczy i powiedział: – Przez te wszystkie długie lata spędzone w więzieniu widziałem u innych nieraz ten sam wyraz twarzy, który maluje się na twoim obliczu. Mnie nie oszukasz, mam za duże doświadczenie. Wiem, że to

trudne, wiem, bo sam przez to przechodziłem. Czy pomyślałeś kiedyś o tym, że to wszystko, co dzieje się w naszym życiu, ma swój konkretny cel?

– Robisz ze mnie idiotę, czy chcesz mi zamieszać w głowie? – zaczynałem się denerwować.

– Ani jedno, ani drugie, staram ci się tylko pomóc.

– Chcesz mi pomóc? Naprawdę? – odezwałem się dwa tony głośniej. – W takim razie porozmawiaj z Bogiem i powiedz mu, żeby cofnął czas. Pogadaj z nim, może ciebie wysłucha, bo na mnie już się chyba wypiął. Możesz to dla mnie zrobić? – powiedziałem wściekły, czując, jak łzy cisną mi się do oczu. – Nie masz pojęcia, jakie miałem życie po drugiej stronie muru. Nie jesteś nawet w stanie sobie tego wyobrazić. Nie wiesz, co noszę w sercu, nie wiesz, co mnie dręczy, nic, kurwa mać, nie wiesz! – prawie wrzasnąłem.

Ojczulek spojrział na mnie tym samym wzrokiem jak zawsze. Skinął głową i rzekł tonem pełnym opanowania:

– Rozumiem twoje rozgoryczenie i żal. Będę z tobą szczery, uważam, że tam po drugiej stronie zostawiłeś kilka ważnych, niezłatwionych spraw. Wiele razy o nich opowiadałeś, wciągnąłeś mnie w niektóre swoje historie, pisałem twoje listy, pamiętasz? A kiedy siedzieliśmy jednej niedzieli przy piecu i przegadaliśmy prawie całe popołudnie, ha? – mówił łagodnie, mówił tak, jak przystało na księdza. – Albo jak mnie uczyłeś politurować – uśmiechnął się pod nosem – ja kręciłem ósemki po blacie, a ty z takim przejęciem opowiadałeś o jej zielonych

oczach. Dobrze cię znam, mój młody przyjacielu. – Wziął głęboki oddech i westchnął. – Coś ci powiem, ale chciałbym, żebyś zachował to dla siebie. Wiesz, za co zostałem skazany, prawda?

– Za morderstwo – odpowiedziałem.

– Zgadza się. Ale wiesz, dlaczego zabiłem? – Pytanie Ojczulka zaskoczyło mnie. Przez chwilę milczał, a potem obrócił głowę nieco w prawo, spojrzał w niebo ponad więziennym murem i powiedział: – Zabiłem z miłości do kobiety.

Tak jak reszta więźniów sylwestrową noc spędziłem, siedząc na pryczy. W taką noc sen nie przychodzi jak zazwyczaj. Siedzisz, grzebiesz w pamięci i uśmiechasz się pod nosem do własnych wspomnień, bo tak naprawdę tylko tyle ci pozostało. Zegar na wieży zaczyna wybijać północ, liczysz każde uderzenie i mimo wszystko ogarnia cię swoiste poczucie radości i dumy. Przetrwaleś kolejny rok, w myślach robisz bilans swoich sukcesów i porażek za ostatnie dwanaście miesięcy, mimowolnie zaczynasz snuć plany na przyszłość, a w duchu składasz sobie niezliczone przyrzeczenia i obietnice.

Pamiętam jak dziś, że kiedy tuż po północy, gdy nastał 1924, zamiast wychylić lampkę szampana, upiłem łyk wody z metalowego kubka, zapaliłem aromatycznego parisyjana i wypowiedziałem szeptem swoje życzenie:

– Obym odzyskał równowagę ducha i umysłu.

Kiedy w pierwszych dniach nowego roku nagle zacząłem

tryskać młodzieńczą energią i zapałem, pomyślałem, że zdarzył się cud. Naprawdę w to uwierzyłem. Dopiero kolejne lata mojego życia ukazały prawdziwe oblicze problemu, który cyklicznie powracał i bezwzględnie niszczył mnie od środka. To była moja klątwa, która dopadała mnie rok w rok pomiędzy dwudziestym czwartym grudnia a pierwszym stycznia. Obłądne, no nie? Jedno z najbardziej radosnych dni chrześcijańskiego świata, apoteoza wiary i tradycji naszych ojców, a ja za każdym razem staję na krawędzi szaleństwa. Miałem nawet kiedyś takie nierealne marzenie, żeby przespać ten okres. Jednego razu byłem na tyle zdesperowany, że zdecydowałem się narozrabiać. Nie ukrywam, że uczyniłem to z czystą premedytacją, i w 1935 roku, w sumie na własne życzenie, spędziłem święta Bożego Narodzenia w karcerze. Ciemność i samotność wcale nie okazały się magicznym antidotum, a wręcz przeciwnie, to było najgorsze, co mogłem sobie zaserwować. W moim prywatnym rankingu głupot, których się dopuściłem w więzieniu, święta spędzone w lochu w trzydziestym piątym zajmowały drugą pozycję, tuż za samookaleczeniem dłoni, kiedy pracowałem na łodygowni. Blizny po tamtym idiotycznym wydarzeniu zostały mi do dziś.

Powiadają, że człowiek uczy się na błędach. Banalne stwierdzenie, ale tak prawdziwe, że aż parzy. Jak widać nie należałem do najbystrzejszych, bo dopiero po kilkunastu latach spędzonych w celi pojąłem, że nie zmienię tego, co jest mi pisane. Patrząc jednak na mój przypadek z naukowego, czy też medycznego, punktu widzenia, sam

stwierdzam, że poniekąd było to również moje urojenie. Myślę, że każdy człowiek ma jakiś defekt, u jednego taka usterka objawia się bardzo wyraźnie, a drugi nosi w sobie wadę ukrytą.

Idealne organizmy nie istnieją.

Ja w swojej niedoskonałości posunąłem się jeszcze do tego, że ten okres, który mnie niszczył, na rok przed wybuchem drugiej wojny światowej ochrzciłem mianem „czarny tydzień”. Dziś wiem, że na moją dolegliwość nie pomogłyby żadne lekarstwa świata. To jest mój krzyż, który wyciosałem w duszy, i kiedy przychodzi czas, muszę się zmierzyć z jego ciężarem. Zdaję sobie sprawę, że ta męka nie opuści mnie aż do śmierci. Kto wie co będzie dalej?

– Ziomek, wszystko w jak najlepszym porządku. – Hrabia położył mi swoją dłoń na ramieniu. – Stało się tak, jak sobie życzyłeś.

– To dobrze. – Wyjąłem paczkę fajek i poczęstowałem mojego rozmówcę. – Przejdźmy się – zaproponowałem – bo zimno jak cholera.

Hrabia naciągnął nieco bardziej wełnianą czapkę na uszy i ruszyliśmy przed siebie.

– Co u mojej starowinki? – zapytałem.

– Trochę schorowana, narzeka na bóle w palcach, szczególnie podczas zmian pogody. Dobry humor jednak jej nie opuszcza i żartuje, że potrafi przewidzieć, kiedy będzie padać. Czasami pracuje po ludziach, niekiedy pomaga tej gospodyni, u której mieszka. Moja kobieta

mówi, że twoja matka, to bardzo silna kobieta, znaczy się nie w sensie fizycznym, ale rozumiesz, silna charakterem.

– Tak wiem – odparłem. – Ojca prawie nie pamiętam. Zmarł, kiedy byłem dzieckiem. Moja matka nigdy nie wyszła ponownie za mąż, zawsze radziła sobie sama, i stąd też jej siła. A co ze złotem? – powiedziałem pół tonu ciszej.

– Na początku nie chciała tego przyjąć, stanowczo odmawiała. Moja pani musiała ją przekonać i trochę nakłamała... – posłał mi uśmiech razem z mrugnięciem oka – w każdym razie wyjaśniła jej też, że w tych zwariowanych czasach złoto to najlepszy towar na wymianę.

– Obawiam się, że jakiś cwaniak może ją oszukać – wyraziłem swoją obawę.

– Z tego, co wiem, takiej kobiety jak twoja matka nie da się zrobić na szaro – powiedział.

Nie wiem, czy chciał być miły, czy naprawdę tak sądził, ale jego słowa mnie ucieszyły.

– Rozumiem, że pamiętasz o naszej umowie i styczniowej wizycie?

– Ziomek, mówiłem ci już kiedyś, że umowa to umowa, a moje słowo...

– Jest droższe od pieniędzy – wpadłem mu z zdanie i dokończyłem za niego. Hrabia spojrzał z uznaniem i błysnął swoim firmowym uśmiechem. – Chciałbym wiedzieć, jak sprawy się mają, czy zrobiła dobrą transakcję i czy coś wie – głos mi nieco zadrżał – czy coś wie o Agnieszce.

– Nie ma sprawy, ziomek, będzie tak, jak sobie

życzysz. – Klepnął mnie w ramię. – Dowiesz się wszystkiego. Po pierwsze, jak leci, po drugie, jak złoty handelek, i po trzecie, co u laluni imieniem Agnieszka – wyliczył na palcach i posłał mi porozumiewawcze oko. Już miałem zamiar mu powiedzieć, żeby się tak nie wyrażał o mojej... mojej... zabrakło mi odpowiedniego słowa.

– Zgadza się – odparłem po chwili. – To tymczasem. – Kiwnąłem głową, obróciłem się na pięcie i już miałem odejść, kiedy usłyszałem.

– Ziomek, zaczekaj – powiedział nieco ciszej Hrabia. – Wiesz, że możesz na mnie liczyć, prawda?

– Robiąc z tobą interesy, okazuję ci zaufanie – odparłem. – Muszę na ciebie liczyć, bo na razie nie mam innego wyjścia – powiedziałem to celowo. Wiem, że to musiało dla niego zabrzmieć nieco niepokojąco, ale każdy handlowiec powinien wiedzieć, że zawsze można nawiązać współpracę z innym pośrednikiem. Domyśliłem się, o co mu chodzi. Oczekiwał, a być może wyczuwał, że niedługo nadejdzie czas, kiedy ponownie zaoferuję zapłatę w złocie, dlatego nadal chciał pozostać w grze.

Kryzys i kompletne załamanie rynku finansowego, które szalały po drugiej stronie murów, odbiły się również na naszej pracy. W styczniu zdecydowanie wyhamowaliśmy ze wszystkimi zleceniami z zewnątrz. Miało to również swoje dobre oblicze, ponieważ nastał czas, żeby w końcu zająć się całą listą usterek i napraw, które cierpliwie czekały w obrębie więziennych murów. Tu drzwi, tam futryny, w jednym z gabinetów cywilnych pracowników

rozlatywał się parkiet, gdzie indziej odchodziły jakieś listwy albo rozłaziło się komuś biurko, kilka stołów na jadalni wymagało solidnej regeneracji. W więzieniu były też puste cele, w których znajdowała się jedynie prycza, a brakowało wszystkich pozostałych elementów typu szafka, półka, krzesło i mały stolik. Należało to skompletować. W magazynie zaś już od dłuższego czasu domagali się wąskich regałów. To wszystko, co mieliśmy do wykonania, nazwałbym zajęciami relaksacyjnymi, i takimi właśnie były. Ustaliłem z Jaškami, że trzeba szanować robotę i nie ma co wariować z tempem. Pracujemy solidnie, dokładnie i bez zbędnego pośpiechu. Oczywiście nadal chowałem się za żelazną przepustką naczelnika, by móc popołudniami wymykać się do stolarni, gdzie z powodzeniem realizowałem swoje artystyczne wizje. Dopieszczałem łabędzie elementy, które miały dodać smaku i wzbogacić wystrój w najważniejszym gabinecie tej instytucji.

Pewnego dnia zjawił się na stolarni strażnik Robalski ze swoim połamanym świecznikiem.

– Już myślałem, że pan dozorca o nim zapomniał – powiedziałem z uśmiechem.

– Tak, Żabikowski, masz rację. Ja zapomniałem, ale na moje nieszczęście kobieta, z którą dzielę życie, postanowiła odświeżyć moją pamięć – odparł. – I oto jestem.

Spojrzałem na przedmiot. Naprawdę solidna i fachowa robota.

– Piękna rzecz – przyznałem z podziwem. – Teraz

mało kto robi takie cuda.

– Naprawisz? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Oczywiście. Nie ma żadnego problemu. Będzie do odbioru za dwa dni. – Nie wiedziałem, czy Alfred Robalski postrzegał to w kategoriach usługi, ale ja nie miałem nic do stracenia, dlatego z beczelnym uśmiechem na twarzy powiedziałem: – To będzie pana dozorcę kosztować dwie paczki fajek.

Spojrzał na mnie zaskoczonym wzrokiem. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Chyba liczył na to, że naprawię świecznik a potem pocałuję go jeszcze w dupę i podziękuję, że dał mi możliwość, abym mógł się wykazać.

– Dwie paczki? – powtórzył zdziwiony. – No dobrze. Dobrze. Dwie paczuszki, umowa stoi. – Pstryknął palcami w daszek czapki i odszedł.

To była moja pierwsze „robótka” z zewnątrz. Nie pamiętam dokładnej daty, kiedy Robalski zjawił się z tym swoim świecznikiem, a szkoda. Wiem, że stało się to przed dwudziestym pierwszym stycznia. Znowu te liczby! Nie będę teraz wyjaśniał, o co z nimi chodzi, bo musiałbym w mojej opowieści wykonać skok daleko w przeszłość, do dnia, kiedy we wronieckim więzieniu pojawił się pewien matematyczny geniusz, skazany wyrokiem sądu na piętnaście lat pokuty. Nazywaliśmy go „Cyferka”, idealna ksywka, ale w 1924 jeszcze nikt o nim nie słyszał. Nawet nie istniał, a jego matka mogła mieć wtedy raptem kilka lat. Chyba lepiej zrobię, jeśli będę się trzymał chronologii. Mieszanie historii, które w pewien

sposób są ze sobą powiązane, ale dzielą je całe dekady, wprowadzi taki chaos, że sam przestanę nad nim panować i orientować się, co jest właściwie grane.

Tak, świecznik Robalskiego trafił w moje ręce na pewno przed dwudziestym pierwszym stycznia.

Zwykły dzień, taki sam jak wszystkie inne powszednie dni. Środa lub czwartek. Schemat i rutyna. Zajadaliśmy właśnie obiad, kiedy kilka stołów dalej jeden z więźniów oddziału dziesiątego, Marcel Gawroński, wstał i odezwał się donośnym głosem:

– Towarzysze, wczoraj władze sowieckie oficjalnie ogłosiły, że w poniedziałek, dwudziestego pierwszego stycznia zmarł jeden z ojców rewolucji październikowej, Włodzimierz Ilicz Lenin! Cześć jego pamięci! – wypowiedział swoje słowa, zanim którykolwiek ze strażników zdążył zareagować.

– Cisza! Przestać gadać! – wrzasnął klawisz i szybkim krokiem zbliżył się do niego. Stał tuż przed nim i ryknął mu prosto w twarz: – Siadaj na dupie i bądź cicho!!

Gawroński jednak stał, jakby zupełnie nie rozumiał jego słów. Wtem zaczęli się podnosić inni więźniowie i każdy z nich odpowiadał:

– Cześć jego pamięci!

– Cześć jego pamięci!

Słowa ocierały się o siebie i coraz więcej skazańców podnosiło się z siedzeń. Klawisz, który starał się uciszyć prowodyra całego zajścia, omiółł dookoła zaskoczonym wzrokiem. Drugi strażnik wybiegł na korytarz

i dmuchał w alarmowy gwizdek.

– Cześć jego pamięci! – rozlegały się kolejne głosy.

Dozorca niepewnym krokiem zaczął się wycofywać. Zauważyłem, że prawą dłoń owinął wokół rękojeści służbowej pałki i strzelał wzrokiem we wszystkie strony.

Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu przy naszym stole powstał Roman i krzyknął:

– Cześć jego pamięci!

Na korytarzu ciągle rozlegał się alarmowy gwizdek.

– Roman?! Siadaj, kurwa mać! – syknął Suchy. – Co ty wyprawiasz, do ciężkiej cholery!

Szpulski spojrział na niego z góry i odpowiedział z nieukrywana ironią:

– Nigdy tego nie zrozumiesz.

Znaczna większość więźniów z oddziału dziesiątego solidarnie powstała z miejsc. Wtem jeden z nich zain-tonował: *Wyklęty powstań, ludu ziemi*. Momentalnie przyłączyli się do niego pozostali. Akustyka w jadalni była godna profesjonalnej sali koncertowej. Kiedy tekst pieśni dotarł do wersu: *Przed ciosem niechaj tyran drży*, wszyscy stojący śpiewali pełnym gardłem, a ich wspólny głos brzmiał tak, jakby za chwilę miały runąć fundamenty świata. Nasz kumpel zdawał się w ogóle nie zwracać na nas uwagi, śpiewał wraz z pozostałymi. Miałem wrażenie, że ci wszyscy ludzie są w jakimś amoku, którego magia i siła zaczyna się również udzielać mnie. Śpiewacy do-brnęli do refrenu: *Bój to jest nasz ostatni* i wtedy na stołówkę wpadł oddział szturmowy składający się

z kilkunastu klawiszy. Kiedy chór męskich głosów pozwolił ulecieć w przestrzeń słowem *krwawy skończy się trud*, posypały się grzmoty pałek. Dozorcy lali i wywlekali każdego, kto tylko stał na sali. Niektórzy stawiali niepotrzebny opór, bo wystarczyło jedno solidne uderzenie w zgięcie kolan i każdy delikwent klękał. Kiedy już był w takiej pozycji, padała komenda: „ręce na głowę!”. W takt bolesnych uderzeń śpiew szybko milkł. Kilka minut później część stołówki przypominała pobojowisko. Powywracane ławki i stoły, metalowe miski, łyżki i resztki jedzenia walające się po posadzce. Spacyfikowany chór śpiewających rewolucjonistów klęczał pokornie z rękoma oplecionymi na karku, a reszta z nas stała w rozkroku twarzą do ściany i rękami w górze. Z tego, co mi wiadomo, oddział dziesiąty liczył w tamtych dniach niespełna pięćdziesięciu chłopca, a tylko kilkunastu z nas nie ujawniło się ze swoim talentem wokalnym.

– Śpiewu wam się zachciało?! – wydzierał się przodownik Blaszański. – To ja wam, kurwa, zagram, a wy będziecie śpiewać. – Złapał za kołnierz pierwszego z brzegu klęczącego więźnia i odciągnął go na bok. Zaczął go wściekle, bez opamiętania bić pałką. Lał, gdzie popadło. Po kilku razach skazaniec padł na podłogę, a rozwścieczony Blacha na zamianę tłukąc go pałą i kopiąc, wrzeszczał: – No, śpiewać, towarzysze! Wy czerwone, bolszewickie kurwy! Śpiewać, skurwysyny! Co jest z wami?! Zapomnieliście nutek?! – Kto wie czy nie zakatowałby tego nieszczęśnika na śmierć, gdyby nie naczelnik Wojciechowski, który nagle pojawił się

w drzwiach stołówki.

Chwilę później wszystkich, którzy nie brali udziału w śpiewającym incydencie, odeskortowano do cel.

O tym, jak potraktowano pozostałych, przekonaliśmy się kilka godzin później w drodze na kolację. Miałem wrażenie, że do więzienia przybył pododdział świeżaków. Dopiero kiedy do stolika dołączył Roman wraz ze swoją posiniaczoną gębą, poznaliśmy szczegóły.

– Zabierali nas pojedynczo. Dwóch strażników odprowadziło mnie do celi, weszli ze mną do środka i tam spuścili mi solidne manto – opowiadał.

– No i wcale się im nie dziwię – powiedział Suchy. – Fałszowaliście jak jasna cholera.

Po takim komentarzu człowiek nie mógł zachować powagi. Nawet Roman parsknął szczerym śmiechem.

Nie wiem, czy warto było zebrać łomot za Lenina i udowodniać całemu światu, że ma się takie, a nie inne przekonania. W więzieniu jakiegokolwiek oznaki buntu lub spektakularnego sprzeciwu są natychmiast i bezwzględnie tłumione. Skazaniec nie ma takich samych praw jak wolny człowiek, jest osobnikiem gorszej kategorii i podczas odbywania kary zawsze znajduje się na przegranej pozycji. Takie są fakty. Kto ich nie potrafi zaakceptować, musi nabyć odporności na ciosy. Arystoteles powiedział, że *jeśli osoba posiadająca władzę uderzy, nie wolno jej oddać*.

Oprócz bicia władza posiadała również nieograniczone możliwości karania i nagradzania. W więziennych murach nieco inaczej funkcjonuje pojęcie ludzkiej godności i sprawiedliwości. Tutaj, żeby ostudzić wszelkie

niepokoje, sprawdzają się radykalne rozwiązania, a strach potrafi utrzymać lepiej dyscyplinę niż ból. Władze więzienia, żeby osiągnąć posłuszeństwo po tym śpiewanym incydencie, ukarały jedynie Marcela Gawrońskiego. Jednostkowa kara w zupełności wystarczyła, żeby podzielać na wyobraźnię pozostałych. To, że każdy z chórzystów oberwał po tyłku, należało potraktować jak coś zupełnie oczywistego, ponieśli zbiorową karę. Za to prowadyr i inicjator zajścia został jeszcze tego samego dnia zamknięty w karcerze. Jeśli wydaje się wam, że karcer to tylko ciemna cela, cisza, spokój i regularne posiłki, jesteście w totalnym błędzie. Przez te wszystkie lata, które spędziłem w więzieniu, kilka razy dzięki własnej głupocie trafiłem do ciemnego lochu i spędziłem tam trochę czasu, a raz nawet zaliczyłem puszkę. Myślę, że chyba byłbym nieco szczęśliwszy, gdybym tego nie doświadczył, a tym samym nie miałbym takich wspomnień. Karcer to idealne pomieszczenie, które w pierwszej kolejności potrafi głęboko zorać człowiekowi psychikę, później zasiać zaszczucie i w końcu zebrać obfity plon emocjonalnego zniszczenia. Spotkałem w swoim życiu wielu prawdziwych twardzieli i powiem wam jedno: każdego można złamać. Każdego. To tylko kwestia czasu. Co do puszki, o której wspomniałem wcześniej, chyba należy się wam kilka słów wyjaśnienia. Otóż „puszką” nazywaliśmy nietypową konstrukcję obitą arkuszami metalowej blachy i ulokowaną w sąsiedztwie spacerniaka. Pomysłodawcą projektu był SS-Hauptsturmführer Heinrich Kleinstein, przerażający typ. Przybył do Wroniek latem 1940 roku,

a zniknął nagle na kilka miesięcy przed zakończeniem drugiej wojny światowej. Pierwsze szczury już wtedy zaczynały uciekać z tonącego okrętu pływającego pod banderą III Rzeszy. Nie wiem, co się z nim stało, mam jednak nadzieję, że został złapany i osądzony za zbrodnie, których się dopuścił. Wracając jednak do tematu puszkki, Kleinstein pewnego dnia kazał wylać betonowy kwadrat, a następnie postawić na nim to blaszane чудо. Nie mam pojęcia, czy widział coś takiego wcześniej, czy też pomysł zrodził się w jego chorej wyobraźni. Puszka była bowiem straszliwym narzędziem. Solidna, metalowa klatka dwa na dwa, wysoka na metr. Zamykają cię w czymś takim i jedyne, co możesz zrobić, to albo leżeć, albo niewygodnie siedzieć. Nie możesz się normalnie odlać, wstać, wysrać, rozprostować kości, tylko siedzisz, klęczysz albo leżysz. Zimą metalowe ściany i dach nie chronią przed chłodem, natomiast latem efekt jest zupełnie odwrotny, w środku można się ugotować. W puszcze zmarło trzech ludzi, a ja jedyne, co mogłem zrobić, to wyryć ich nazwiska i daty na odwrocie tablicy, która wisiała w stolarni.

Wracając jednak do historii zbiorowego wykonania *Międzynarodówki*, wszyscy dostali łomot, a tylko Marcel Gawroński trafił do karceru. Mężczyzna był starszy ode mnie o pięć lat, ale miał taką urodę, że śmiało mógł uchodzić za mojego rówieśnika, lub nawet za nieco młodszego. Nie znałem go na tyle, żebym mógł powiedzieć, jakim był człowiekiem, wiedziałem tylko, że ma duszę bojownika i rewolucjonisty. Został skazany za przynależność do nielegalnej organizacji komunistycznej,

której wywrotowa działalność uczyniła z jej członków wrogów państwa. W jego sprawie wyrok brzmiał: sześć lat.

Zgrzeszyłbym, użalając się nad sobą, czy też nad moją egzystencją, którą niebiosa pozwoliły mi toczyć tej zimy. Miałem się całkiem dobrze pod każdym względem. Dni leniwie sunęły do przodu, panowałem nad Jaškami, kontrolowałem sytuację na warsztacie i dbałem o to, żeby obowiązki, które na nas spoczywały, były wykonywane wzorowo.

Spełniłem stolarskie oczekiwania naczelnika i kiedy do gabinetu zawitał stojak na ubrania, usłyszałem:

– A niech mnie, Żabikowski! Jesteś prawdziwym artystą!

Wcale się nie dziwię Wojciechowskiemu, stojak rzeczywiście mógł się podobać. Bardziej jednak od jego zachwyty ucieszył mnie kolejny zapas papierosów. Jeszcze trochę, a otworzę tutaj mały sklepik z fajkami – pomyślałem wtedy. Wszystko wskazywało na to, że jeśli tak dalej pójdzie, już nigdy nie będę musiał dokonywać transakcji typu: posiłek za szlugi. W podwójnym dniu mojej skrzynki narzędziowej miałem swoją żelazną rezerwę osiemnastu paczek, ale nie ukrywam, że ku mojej ucieście tytoniu przybywało. Resztę postanowiłem zakamuflować na stolarni. Zrobiłem skrytkę nie do wykrycia pod siedzeniem taboretu, którego używałem każdego dnia.

W niedzielne poranki, wbrew mojej woli, nadal udziela-

łem się jako latryniarz. Miałem już pół roku trudnego doświadczenia i powoli stawałem się prawdziwym, głównianym ekspertem. Przywykłem do wiader stojących u szczytu schodów ostatniej kondygnacji. Niekiedy było jedno, innym razem dwa, ale nie wzbudzało to już we mnie takich emocji jak wcześniej, ponieważ w końcu zdławiłem w sobie moje niezdrowe zainteresowanie tym tematem.

U chłopaków też wszystko było prawie po staremu. Roman i Boyko z oślim uporem utwierdzali się nawzajem, że nadal są na wojennej ścieżce. Suchy nieco podupadał na zdrowiu, ponieważ coraz częściej narzekał na ostry ból w piersiach. Kazik skrupulatnie raz w tygodniu przypominał nam, że już w przyszłym roku wychodzi, a Ojczulek tak jak zawsze sprawiał wrażenie, jakby był z dala lub ponad tym wszystkim.

Nasza rutyna toczyła się tym samym tempem.

Hrabia wciąż pośredniczył w moich kontaktach ze światem zewnętrznym. Po ostatniej wizycie swojej kobiety powiedział:

– Ci ludzie, u których mieszka twoja matka, pomogli jej upłynnić złotą obrączkę. Ze zdrowiem u niej trochę krucho i niedomaga. Przykro mi, ale starowinka nic nie wie o tej dziewczuszcze, o którą pytałeś.

Lutowy ziąb, chłód i pochmurne niebo zawsze kojarzyły mi się z religijną wizją czyśćca. Nie wiem dlaczego. Może nosiłem gdzieś w sobie jakieś upiorne, zapomniane przeżycie z dzieciństwa? A może już tam kiedyś byłem?

Staliśmy na spacerniaku z rękoma wbitymi w kieszenie i przestępując z nogi na nogę, rozmawialiśmy jak zwykle o duperelach. Przytłaczał mnie ten ponury dzień. Miałem wrażenie, że jeśli chmury zniżą jeszcze pułap o kilka centymetrów, zaczną rozpruwać swoje szare brzuchy o ostrą krawędź dzwonnicy.

– Patrzcie kogo prowadzą! – rzucił Kazik, wskazując ruchem głowy.

Od strony głównego budynku przodownik Blaszarzski i dozorca Frantz prowadzili w stronę spacerniaka Marcela Gawrońskiego.

– Dopiero teraz go wypuszczają z lochu? – zapytałem naprawdę zaskoczony.

– Pamiętasz, kiedy koncertowaliście? – Suchy skierował swoje pytanie do Romana.

– To było jakieś – zamyślił się na krótką chwilę – prawie cztery tygodnie temu.

– Długa kuracja – skwitował Ojczulek. – Nie przypominam sobie, że ktoś siedział w ciemnicy dłużej niż dwa tygodnie.

Gawroński szedł zmęczonym krokiem i taki sam stan malował się na jego zarośniętej twarzy. Kiedy znalazł się na spacerniaku, wokół niego natychmiast zaroilo się od innych więźniów. Poklepywali go delikatnie po ramionach i ściskali mu dłoń na powitanie. Najwyraźniej chłopaki cieszyli się na jego widok.

Nie wiem, jak długo mogło to trwać. Pięć minut? Na pewno nie dłużej. Nagle rozległ się ostry krzyk gwizdka, który każdy klawisz nosił przy sobie, i ujrzeliśmy, jak

Blacha i Frantz prężnym krokiem podchodzą do Gawrońskiego, łapią go pod pachy i zabierają ze sobą z powrotem.

– Nie! Puśćcie mnie! Nie! – prawie krzyczał Marcel, stawiając opór.

Blacha chwycił go za czuprynę włosów na potylicy, odciągnął jego głowę nieco w tył, a drugą ręką, w której trzymał pałkę, zdzielił go w trzewia.

Jeden z więźniów, gestykułując rękoma, powiedział coś na znak protestu. Blaszański natychmiast obrócił się na pięcie i szybkim krokiem ruszył w jego kierunku. Kątem oka zerknąłem w stronę wieżyczki strażniczej. W oknie zobaczyłem funkcjonariusza mierzącego z karabinu w kierunku miejsca zamieszania. Blacha nagle wykonał błyskawiczny zamach i zdzielił pałą tego, który miał coś do powiedzenia, prosto w sam środek czoła. Uderzenie musiało oszołomić zaatakowanego, ponieważ kilka sekund później osunął się na ziemię.

– Ktoś jeszcze chciał coś powiedzieć?! – ryknął przodownik i posłał leżącemu zamaszystego kopniaka prosto w żebra. – Ktoś jeszcze?! – wrzasnął ponownie.

Chyba nikt nie miał już nic do dodania, ponieważ nagle dookoła zrobił się pusty krąg, a w środku leżał poturbowany skazaniec. Blaszański pochylił się nad nim, coś mu powiedział i na odchodne trzepnął go jeszcze pałką w plecy.

Po chwili obaj funkcjonariusze i Marcel Gawroński ponownie zniknęli nam z oczu.

– No i jak było widać, proszę szanownego państwa, zawsze można oberwać, stając w czyjejs obronie – skwi-

tował Suchy.

– A co teraz z Gawrońskim? – zapytał Kazik. – Znowu karcer?

– Chyba tak – odparł Ojczulek. – Domyślam się, co planują zrobić.

– Co takiego? – spytał zaskoczony Roman.

– Zabiją w nich ducha solidarności – powiedział księżulek. – Jeden będzie cierpieł za wszystkich, zostanie ofiarą. Za pewien czas przyprowadzą go ponownie na spaceriak, nie wiem kiedy, za tydzień, dwa, cztery. Nie mam pojęcia. Wiem jednak, że kiedy się zjawi, nikt już nie będzie go witał tak jak dziś. Wspomnicie moje słowa. – Pokiwał głową, jakby chciał potwierdzić swoje proroctwo. – Strach to potężna broń. Wśród tych śpiewających rewolucjonistów raczej nie ma fanatyków, każdy z nich myśli o tym, żeby odbębnić swoje i stąd wyjść. Połowa z nich nigdy więcej nie będzie się już angażować w żadne antypaństwowe ceregiele. Znalazłoby się tutaj kilku o przywódczych cechach, ale po takiej nauczce jak dziś, ich zapal został całkowicie ostudzony.

– Romuś, a co ty, jako osobnik utożsamiający się z rozśpiewanym proletariatem, możesz nam powiedzieć na ten temat? – wypalił Suchy. – Czy Ojczulek ma rację?

– Wiesz co, Suchy, odpierdol się ode mnie – warknął.

– Ulala – zaświergotał nasz dowcipniś – czyli jednak klecha ma rację. I jak tutaj człowiek ma zaufać robotniczemu hasłom? Z kim walczyć o lepszy świat, kiedy każdy trzęsie portkami i zaciska zwieracze, żeby tylko

samemu nie oberwać po dupie? Zawsze mówiłem, że trzeba się trzymać z daleka od robotniczej hołoty.

Zauważyłem, że Boyko uśmiecha się drwiąco pod nosem. On i Roman bez względu na wszystko nadal toczyli swoją chorą grę i każde potknięcie jednej ze stron satysfakcjonowało drugiego.

– Suchy, nic o tym nie wiesz, więc daruj sobie – rzucił w jego kierunku.

– Dobrze, dobrze, nie napinaj się, chłopie, bo ci jeszcze żyłka pęknie.

Przez dłuższą chwilę staliśmy w milczeniu, patrząc po sobie i paląc papierosy.

– Oho, chyba pan sznurowadełko idzie do ciebie – skierował do mnie swoje słowa Suchy i strzelił wzrokiem w lewo, skąd nadchodził Góral.

Nie będę ukrywał, ale miałem taki czas, kiedy niemal czekałem na kontakt z jego strony. Zbyt głęboko utkwiły w mojej pamięci słowa, które wypowiedział tego dnia, gdy załatwił mi pracę na stolarni. „Być może któregoś dnia poproszę cię o małą przysługę, a być może nie zrobię tego nigdy, bo na przykład nie zdążę”. Dla mnie jednak oznaczało to, że przyjdzie taka chwila, kiedy będę musiał spłacić swój dług. Czas pogalopował, od tamtej pory minęło wiele miesięcy, a ja w tamtym okresie dwa, może trzy razy zamieniłem z nim kilka słów, i na tym koniec. A teraz Suchy zaczął krakać.

– Jak leci, dobrodzieju? – Głos Górala dobiegł zza moich pleców i poczułem klepnięcie w ramię.

– Wszystko w porządku, a u ciebie? – odparłem

i obróciłem się w jego stronę.

– Nigdy nie było lepiej. – Nawet się nie zatrzymał, może nieco zwolnił kroku, żeby odpowiedzieć na moje pytanie. Posłał mi krótkie spojrzenie, uniósł prawą dłoń w geście, jakby chciał rzec: „no to tymczasem” i kroczył dalej przed siebie.

A jednak to jeszcze nie była ta chwila.

– Dobrodzieju – małpował Suchy nieco śpiewającym tonem. – Wiem, co miałem wam powiedzieć! – wypalił nagle, zmieniając temat. – Dobrze, że ten sznurowiec się pojawił, od razu odświeżyło mi pamięć. Wiecie, co słyszałem kilka dni temu? – mówił rozentuzjasmowanym głosem, jakby miał nam co najmniej obwieścić gigantyczną wygraną na loterii. – Słyszałem, jak Mroczkowski i Robalski gadali o tym, że na początku lutego w amerykańskim więzieniu przeprowadzono po raz pierwszy w świecie udaną egzekucję z użyciem gazu. Wpuścili facetowi gaz do celi podczas snu i już się bidok nie obudził. Szok, no nie?! Ale wiecie, Amerykanie to cwane ówoki, spotkałem kilku z nich podczas wojny. Wiem, jacy są, poznałem się na jankesach, oj, poznałem – wypowiadał swoje słowa tak, jakby nas ostrzegał przed tymi ludźmi. – Najwyraźniej nie mieli pojęcia, jak się sprawy potoczą z tym gazem, to w ramach eksperymentu pierwszą ofiarą został jakiś chiński imigrant. Mówię wam, amerykańce to cwaniaki. Ciekawe, kiedy nasi wpadną na pomysł, żeby zamienić szubienicę na coś takiego.

– Mój Boże, dokąd ten świat zmierza – westchnął Ojczulek. – Nigdy bym nie pomyślał, że dożyję czasów,

kiedy człowiek człowieka będzie uśmiercać trującym gazem...

Lampa, którą dostarczyłem do gabinetu naczelnika, wyglądała jak młodsza siostra stojaka na płaszcze. Brakowało jedynie abażuru, a moim skromnym zdaniem, z którym zgodził Wojciechowski, powinien zostać wykonany z ołowianych ramek i kawałków kolorowego szkła. Tu pasował tylko półkolisty witraż. W tym wypadku moje zadanie skończyło się na zrobieniu stojaka. Za robotę tradycyjnie zostałem wynagrodzony fajkami, tym razem pięcioma paczkami. Nie ma co, naczelnik jednak miał gest i potrafił zachować się z klasą.

Pomyślałem, że kiedy pojawię się za jakiś czas ze stolikiem barowym, który miał być ostatnim elementem wieńczącym wystrój tego idealnego gabinetu, Wojciechowski po prostu oszaleje ze szczęścia.

Moja egzystencja toczyła się spokojnym rytmem, jakbym osiągnął jakiś cudowny poziom, na którym nie przytrafiają cię człowiekowi przykre niespodzianki lub codzienne kłopoty. Nawet aspirant Szumski gdzieś zniknął, zapadł się pod ziemię.

Czasami kiedy szedłem samotnie więziennymi korytarzami albo przemykałem obok spacerniaka w kierunku stolarni, czułem... normalność. Zapominałem, co to za miejsce i dlaczego tutaj jestem, miałem wrażenie, jakbym najzwyczajniej w świecie szedł do pracy. Zaletą pracy w stolarni było też to, że nie sterczał nad nami

żaden klawisz. Co prawda kontrolowali nas nawet kilka razy dziennie, ale były to krótkie odwiedziny. Pewnie gdyby pracowało tu kilkunastu skazanych, a nie trzech, wtedy posadziliby nam na karku dozorcę.

Z perspektywy warsztatu sroga zima za oknem wydawała się jedynie niewinną igraszką. Kremowe kafle pieco-kuchni rozsiewały przyjemne ciepło. Można było zrobić sobie krótką przerwę, usiąść i rozkoszować się przyjemnością wygrzewania pleców. Wystarczył papieros, kubek gorącej, mocnej herbaty i cały świat wydawał się zupełnie inny. Niejednokrotnie w takich chwilach wracałem wspomnieniami do dni, kiedy siedziałem tutaj razem z Dziaduniem, jaraliśmy szlugi i gadaliśmy o zwyczajnych rzeczach. Staruszek zrobił dla mnie coś, co nigdy nie pozwoli mi o nim zapomnieć. Na zawsze pozostanie dla mnie tajemnicą, skąd miał przedmioty ukryte w podsufitowej belce. Żałowałem tylko jednego, że nie udało mi się spróbować czaju, który tak bardzo zachwalał.

Świeć, Panie, nad jego grzeszną duszą.

Ostatniej lutowej niedzieli zasilłem Hrabiego pięcioma skrzynkami w zamian za wysłanie listu, który przekazałem mu równie dyskretnie, jak papierosy.

– Za miesiąc chciałbym, żeby twoja kobieta pojechała w odwiedziny.

– Nie ma sprawy – odparł Hrabia. – Klient nasz pan. – Uśmiechnął się. Właściwie lubiłem ten jego uśmiech i chyba cząstka mnie, ta najbardziej prózna i zmanierowana, zazdrościła mu wspaniałego użębenia. –

Trzeba coś dostarczyć, czy tylko wyjazd na pogaduchy? – zapytał.

– A to się jeszcze okaże. – Puściłem do niego oko i odszedłem.

Miałem już plan, ale nie widziałem sensu, żeby z tak dużym wyprzedzeniem wtajemniczać mojego dostawcę w szczegóły. Jak to powiadają, mniej wiesz, dłużej żyjesz.

Marcel Gawroński przesiedział w karczerze dokładnie dwa tygodnie. Kiedy go prowadzono na spacerunku ledwo powłóczył nogami i wyglądał, jakby postarzał się o całe dziesięć lat. Brak naturalnego światła, wilgoć, zimno, kiepskie jedzenie, utrata rachuby czasu, szykany ze strony strażników i nierówna walka świadomości z demonami własnego umysłu to najskuteczniejsze sposoby, żeby najpierw zawlec człowieka na skraj psychicznego i fizycznego zniszczenia, a potem pchnąć w paszczę szaleństwa.

Teraz nie powitało go tylu towarzyszy co ostatnio.

Nasza szóstka była dwie ławki dalej i na tyle blisko, żeby dostrzec jego cierpienie, ale i na tyle daleko, że nie mogliśmy słyszeć, o czym rozmawiali.

– Nie powinni do niego podchodzić – powiedział ponurym głosem Ojczulek. – Nie powinni.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że go znowu zamkną? – niby pytałem, ale moje słowa zabrzmiały inaczej.

– Widzisz tych dwóch klawiszy? – Kiwnął głową

w kierunku mężczyzn. – Myślisz, że po co oni tam sterczą? Patrz i ucz się, to są stare, wypróbowane metody.

I stało się dokładnie tak jak ostatnim razem. Niepełna pięć minut później strażnicy podeszli prężnym krokiem do Gawrońskiego. Wszyscy, którzy siedzieli przy nim, nagle rozpierchli się i zniknęli w tłumie. Marcel zareagował w przerażający sposób, nie stawiał żadnego oporu, dał się prowadzić podtrzymywany przez funkcjonariuszy, a jednocześnie zanosił się obłądnym, zachrypłym śmiechem. To było nienaturalne, nie miał siły iść, potykał się, przebierał nogami, które ze zmęczenia w zupełnie niekontrolowany sposób uginały się w kolanach, ale z jego gardła wydobywał się głośny, silny, opętany i przerażający śmiech.

– Już po nim – skwitował Suchy. – Stawiam dwie paczki fajek, że nie przetrwa trzeciej kuracji w karcerze. Kto wchodzi?

– Czy ty się dobrze czujesz?! – prawie krzyknął na niego Ojczulek. – Co z tobą jest nie tak?! Chcesz obstawiać i proponujesz zakład, w którym stawką jest ludzkie życie?! Wiesz co, Suchy, jesteś podłą gniądą! – Księżulek machnął ręką, odwrócił się i odszedł.

Przez chwilę staliśmy w osłupieniu, patrząc na jego oddalającą się sylwetkę.

– Co mu się stało? – W głosie Suchego zabrzmiało udawane zdziwienie. – Robi się wrażliwy na starość... No to jak, ktoś przyjmuje wyzwanie?

– Daj spokój, chłopie – odezwał się w imieniu nas wszystkich Kazik.

Suchy spojrział po naszych twarzach i chyba dostrzegł w nich zniesmaczenie. Nie byliśmy świętoszkami, ale każdy z nas miał pewne granice.

– Wiecie co – powiedział z tą swoją zaciętością w głosie – zachowujecie się jak małe, pieprzone cwele! Chrzanię was i wasze porąbane zasady i ideały – poderwał się na równe nogi – banda zakłamanych, pierdolonych kryminalistów o gołębich sercach i ptasich mózdkach! – Wcisnął dłonie w kieszenie kufajki i oddalił się od nas szybkim krokiem.

Tego dnia po raz ostatni widzieliśmy Marcela Gawrońskiego. Nie wiem, co się z nim stało. Później pośród skazańców krążyła plotka o niby-oficjalnym komunikacie, że Gawroński został przeniesiony do innej placówki penitencjarnej. Miałem jednak powód, żeby podejrzewać, iż w pierwszej połowie marca 1924 roku ten młody człowiek o komunistycznych poglądach skończył zamęczony w karcerze wronieckiego więzienia.

Tym powodem, który bardzo szybko utwierdził mnie w moim przekonaniu, było bezpośrednie polecenie od aspiranta Szumskiego. Żywiłem naiwną nadzieję, że mój ulubiony funkcjonariusz zapomniał o moim skromnym istnieniu, ale niestety byłem w błędzie. Kiedy Teodor Szumski pojawił się na stolarni pewnego marcowego poranka, zrozumiałem, że niektóre sprawy nigdy się nie zmieniają.

– Co jest, Żabikowski, nie cieszysz się, że mnie widzisz? – powiedział.

Już chyba o tym wspominałem, że największą

trudnością podczas konwersacji z aspirantem Szumskim było dla mnie odpowiadanie na jego bezsensowne i idiotyczne pytania. W takich momentach wyobrażałem sobie, że podchodzę i leję go po tej szcurzej mordzie, aż się zamienia w krwawą miazgę. Naprawdę pałałem do tego człowieka czystą nienawiścią. Roman i Boyko mieli swoją grę, w którą świadomie brnęli, za to Szumski z premedytacją wciągał mnie w rozgrywkę pod tytułem Pan i Sługa, w której od samego początku było wiadomo, kto jest kim.

– Widzę, Żabikowski, że nadal masz się tutaj w najlepsze. – Aspirant rozglądał się badawczym wzrokiem dookoła. Kiedy nagle zauważył, że jeden z Jaśków przygląda się mu z niezdrowym zainteresowaniem, ryknął: – Co się, kurwa, gapisz, śmieciu, do roboty!! – Przechadzając się po warsztacie niczym bogaty magnat po swych włościach, podszedł do pieco-kuchni i dotknął dłońmi ciepłych kafli. – Przyjemnie. – Obrócił się, spostrzegł taboret i usiadł na nim. – Nie wiem, co masz dziś do zrobienia, i nie interesuje mnie to. W tej chwili – zerknął na zegarek – jest pięć po dziesiątej. Masz czas do obiadu, żeby zbić solidną skrzynię. Długa na dwa metry, szeroka na osiemdziesiąt centymetrów, wysoka na pół metra i przykryta luźnym wiekiem. Zrozumiałeś?

– Tak jest, panie aspirancie!

Zaciągnął się głęboko dymem, spojrzął na mnie i warknął:

– Mam ci pomóc, czy sam się za to złapiesz?!

Ruszyłem w kierunku stojaka z deskami. Mimo

woli mój wzrok ślizgnął się po belce pod sufitem i kolejny raz w mojej głowie zaświtała myśl, że powinienem zrobić użytek z ukrytej tam spluwy.

Zgodnie z życzeniem Szumskiego skrzynia była gotowa o wyznaczonej porze. Nie wiem, kiedy ją zabrali, ale gdy następnego dnia zjawiłem się na stolarni, już jej nie było.

Czas. W miarę jego upływu zmieniają się nasze poglądy, nastawienie, relacje; potrafi zweryfikować wszystko, począwszy od uczuć, a skończywszy na wspomnieniach. Kiedy po latach oglądamy się za siebie, możemy dostrzec prawdziwe oblicze naszych zwycięstw i porażek, ponieważ dopiero wtedy wyraźnie widzimy ich konsekwencje. Podobnie sprawa ma się ze światem i ludzkością. Żyjemy i każdego dnia jesteśmy częścią tego, co inni kiedyś poznają dzięki podręcznikom lub szkolnym lekcjom historii. Oczywiście znacząca większość z nas zostanie anonimowa, gdyż pamięć kocha tylko bohaterów i złooczyńców. Reszta to statyści, którzy wyłącznie służą za tło wydarzeń.

Tego dnia, kiedy zbijałem tę cholerną skrzynię i wyobrażałem sobie, jak miło byłoby posłać aspirantowi Szumskiemu kilka gramów ołowiu pomiędzy oczy, gdzieś daleko stąd rodziła się okrutna ideologia. W tym samym czasie w murach bawarskiego więzienia Landsberg pewien skazaniec, który nazywał się Adolf Hitler, pisał swój szalony, okrutny manifest nienawiści, zatytułowany *Mein Kampf*.

– Ziomek, czy ja ciebie kiedykolwiek zawiodłem?
– zapytał z oburzeniem Hrabia. – No powiedz sam, ale tak szczerze, czy dałem ci jakikolwiek powód, żebyś mógł się czuć przeze mnie oszukany lub wykiwany?

– Mocne słowa, proszę cię nie przesadzaj – odparłem. – Zapytałem tylko, czy tym razem też załatwisz wszystko jak należy.

– Oczywiście, że będzie tak, jak być powinno – skwitował. – Ty i ja robimy interes, ja pomagam tobie, a ty mi za to płacisz. Układ jest zdrowy i prosty. Po co miałbym kombinować i odstawiać jakąś niepotrzebną szopkę? Dlaczego miałbym srać we własne gniazdo? Zawsze możesz skorzystać z usług kogoś innego, wtedy tamten zarobi, a ja stracę. Nie chcę tracić ani twojego zaufania, ani mojego zarobku. Jestem jak firma, która dba o wysoką jakość usług. Rozumiesz? Jeżeli sądzisz, że cię kiwam, to powinienes sprawdzić moją wiarygodność. Powiedz tylko, czego ma się dowiedzieć moja kobieta od twojej matki, coś, co wiesz tylko ty i twoja starowinka. Pasuje? – zapytał z pełną powagą. – Albo wymyśl jakiś inny sposób.

Spojrzałem mu prosto w oczy. Byłem przekonany o jego szczerości.

– Ja po prostu się martwię, nic więcej – odparłem. – Dlatego chcę, żeby wszystko było dobrze załatwione. – Wyjąłem dłoń z kieszeni spodni i pokazałem Hrabiemu obrączkę i złoty ząb. – Zmienimy jednak nieco warunki – powiedziałem stanowczym głosem. – Ten złoty krążek

musi trafić do mojej matki w najbliższych dniach. Ząb jest dla ciebie. I umawiamy się, że dwie następne wizyty są w tej cenie. Pierwsza zaraz po świętach Wielkiej Nocy, żebym za miesiąc dokładnie wiedział, jak się sprawy mają, a termin drugich odwiedzin ustalimy później. Pasuje? – zapytałem tak, jakbym z góry wykluczał negocjacje.

Hrabia potakiwał nieznacznie głową i po chwili odparł:

– Dobrze, niech będzie. Czasami trzeba zarobić mniej. – Uśmiechnął się jednak nie tak szeroko jak zawsze.

Podąłem mu przedmioty. Ktoś, kto mógł nas w tej chwili obserwować, pomyślałby, że doszliśmy do porozumienia, które zostało przypieczętowane uściskiem dłoni.

Kiedy przebojem tygodnia stała się plotka, że Marcel Gawroński został przeniesiony do innego więzienia, podzieliłem się moimi podejrzeniami z Ojczulkiem.

– Ja też nie sądzę, żeby go wywieźli – zgodził się ze mną. – Stąd można wyjść na dwa sposoby: albo po odbyciu kary, albo w drewnianej skrzyni. Sam zresztą wiesz, ostatnim razem wyglądał, jakby niedużo mu było do trupa. Oprócz karceru istnieje jeszcze możliwość, że został zakwaterowany w jednej z zawsze zamkniętych cel. Z nikim o tym nie gadaj – ostrzegł mnie surowym głosem – nikomu ani słowa. Nikogo nie wpytuj i nikomu nie zdradzaj, co wiesz. W tym więzieniu dzieją się jakieś

rzeczy, które nie mają z nami po drodze, rozumiesz?

– Chyba tak – odparłem.

– Lubię cię, Stefan, miły z ciebie dzieciak i dobry człowiek – powiedział. – Oszczędź sobie problemów i posłuchaj starego, doświadczonego skazańca. Masz talent w rękach, wiedzę w głowie, masz wyobraźnię i przestrzenną fantazję, zadbaj o to, żeby wykorzystać odpowiednio te argumenty. Zobacz, jak dużo dzięki temu osiągnąłeś! Jesteś prawdziwą szychą, waśniakiem, tylko ty masz układy na samej górze. Musisz być sprytny i ostrożny, nie daj się wpakować w żadne kłopoty, bo stracisz to, co los zesłał ci w prezencie.

Stolik barowy wyglądał jak prawdziwe cacko. Sprawdziły się również moje przypuszczenia co do reakcji Wojciechowskiego – facet po prostu tryskał zachwytem.

– Jeden z więźniów pracujących w kuźni okazał się bardzo uzdolniony – powiedział naczelnik, widząc mój wzrok utkwiony w kolorowych szkiełkach półkulistego abażuru.

– Wspaniała robota – odpowiedziałem z nieukrywanym zachwytem. Klosz do lampy naprawdę wyglądał fantastycznie.

– Żabikowski, mam dla ciebie dobrą wiadomość. – Uśmiechnął się szeroko. – Pewnego dnia odwiedziła mnie tutaj moja małżonka i kiedy zobaczyła to – naczelnik wykonał rękami taki gest, jakby chciał zaprezentować wszystkie meble w gabinecie – stwierdziła, że chce mieć coś równie ładnego w domu. Domyślasz się, co to ozna-

cza? – zapytał, ale nie czekał na moją odpowiedź. – Zajmiemy się tym zaraz po świętach i chyba będziesz miał co robić przez następne miesiące.

Na zewnątrz starałem się zachować spokój i opanowanie, ale w moim sercu rozlegały się radosne salwy sukcesu. Rozpierała mnie taka sama radość, jaka towarzyszy drobnemu przedsiębiorcy, kiedy trafia mu się kontrakt życia. Natychmiast zdałem sobie sprawę, że zachowam wszystkie swoje przywileje i teoretycznie będę poza regulaminowym zasięgiem. „Nie do ruszenia” – jak mawiał Suchy

Opuściłem gabinet Wojciechowskiego uzbrojony w pewność i nadzieję oraz bogatszy o pięć paczek papierosów.

Pogoda w pierwszych dniach kwietnia nie należała do zachwycających. Temperatura powietrza ledwo wzbijała się do kilku stopni powyżej zera i prawie bezustannie mżyło. Pomiędzy niebem a ziemią rozpościerał się całun szarych, smutnych chmur. Zaśliniony świat wydawał się melancholijny i przepęnlony beznadzieją, a wszechobecna, połyskująca wilgoć przypominała delikatną powłokę szklanej glazury.

Wszelkie prace stolarskie związane z produkcją jakichkolwiek elementów pewnego dnia po prostu ustały. W naszych skromnych progach tuż przed świętami zjawił się w asyście dozorca cywilny lalusz z działu administracyjnego. Biała koszulka, krawacik, okulary na nosie, włosy zaczesane do tyłu i ciemny notatnik, spoczywający

w zadbanych dłoniach.

– Kto tutaj jest odpowiedzialny za cykl produkcyjny? – zapytał, zanim zdążyły się zamknąć za nimi drzwi.

– Więzień dwadzieścia dziewięć-jedenastie – odparłem regulaminowo, przyjmując wyprostowaną sylwetkę.

Podszedł do mnie.

– Jak się nazywasz?

– Stefan Żabikowski – odparłem.

– Krympe. Henryk Krympe, starszy referent do spraw zaopatrzenia – przedstawił się i wyciągnął w moim kierunku dłoń.

Nie ukrywam, byłem mile zaskoczony jego gestem. Wymieniliśmy uścisk.

Chwilę później otworzył notes i coś w nim zapisał.

– Do końca miesiąca zajmiecie się konserwacją i czyszczeniem narzędzi. Prawdopodobnie od maja ruszycie ostro z realizacją zamówień zewnętrznych, więc wszystko ma być przygotowane. Zrozumiałeś?

– Tak jest.

– Za dwa tygodnie zjawię się tutaj ponownie. Wspólnie przeprowadzimy szczegółowy spis z natury zarówno materiałów, jak i wyposażenia. Wszelkie narzędzia zniszczone, zepsute lub z innych powodów niezdatne do użycia od razu niech zostaną odłożone na bok. Czy to jasne – spojrzał w swoje notatki – panie Żabikowski?

– Tak jest – odparłem regulaminowo.

– W takim razie do zobaczenia. – Obrócił się na pięcie, kiwnął na strażnika i wyszli z warsztatu.

Kwiecień 1924 roku był dla naszego więzienia miesiącem, w którym szykowaliśmy się do „skoku w nową erę”. Docierały do nas pogłoski o sytuacji gospodarczej, politycznej, społecznej, o wszelkich zmianach, które zachodziły w naszym kraju. Strzępy informacji jednak nie są w stanie pokazać prawdziwego obrazu wydarzeń. I chociaż byliśmy w tym samym państwie, nasza codzienność toczyła się jakby na innej planecie. Odcięci od świata zewnętrznego wysokim murem, otoczeni kilometrami drutu kolczastego, kratami w oknach i podporządkowani regulaminowej rutynie nie mieliśmy zbytnio pojęcia, jak mają się sprawy po tamtej stronie. Nie trudno dojść do wniosku, że w pewnym sensie rzeczywistość skazańca przypomina życie pod ochronnym kloszem, z dala od problemów prawdziwego świata. Izolacja ma wiele twarzy.

Kiedy razem z Jaškami przystąpiliśmy do wykonania polecenia starszego referenta Krympego, za murami oczekiwano narodzin polskiej waluty.

Dano jej na imię złoty.

Polski złoty.

Było mi wszystko jedno, jak będzie się zwał nasz nowy narodowy pieniądz, dla mnie mógł to być nawet dolar polski. Od ponad dwóch lat przestałem funkcjonować w systemie monetarnym, a jedyną walutą, jaką sobie cenilem i znałem, były papierosy. Fajki. Szlugi. Jarane. Nie ważne, jak na nie mówiono. Tylko dzięki nim mogłeś w pudle zrobić dobry interes lub coś załatwić. Tylko one miały jakąkolwiek wartość.

W wielkanocny poniedziałek siedzieliśmy całą paczką na ławce i wspominaliśmy, jak kiedyś biegaliśmy z wiadrami pełnymi wody, krzycząc rozbawionymi głosami: „śmigus-dyngus”. Przyjemnie było powrócić do tych zabawnych wspomnień.

– Chyba nie wszyscy z nas mają o tym pojęcie – wypalił bezsensownie Roman. Doskonale wiedzieliśmy, do kogo pije z tą gadką.

– Nie, nie wszyscy – odpowiedział natychmiast Ojczulek. – Tam, skąd pochodzę, nie ma takiej tradycji. Chciałbym jednak zauważyć, że wasz zabawny obyczaj polega na wykupieniu się od oblania wodą. A wiesz, co znaczy niemieckie słowo *dingen*? – zapytał, ale nie czekał na odpowiedź Romana. – W dosłownym tłumaczeniu znaczy „wykupywać się”. Ciekawe, prawda? Może wcale to nie jest taki czysto polski zwyczaj – położył nacisk na trzy ostatnie słowa.

Zauważyłem, że na ustach Boyko zagościł delikatny wyraz triumfu.

– A jak wyglądają te święta u Cyganów? – zapytał Kazik.

– Nie oblewamy się wodą, nie malujemy pisanek, ale tak samo jak polscy katolicy idziemy poświęcić potrawy do kościoła – odparł. – Podczas tych świąt ustawiamy dwa stoły biesiadne, przy jednym siadają mężczyźni, a przy drugim kobiety. Uczujemy, bawimy się i radujemy.

– Jakoś nigdy nie widziałem Cygana w kościele – skwitował pogardliwie Roman.

– A ja żadnego komucha – ripostował przeciwnik.

– Hej, dziewczęta! – podniósł głos Suchy. – Możecie sobie darować te złośliwości? Albo idźcie ławkę dalej i tam skoczcie sobie do gardeł.

– Nie ma się co unosić – odburknął Boyko. – Tak sobie tylko gaworzymy.

– Naprawdę będę szczęśliwy, jeśli któregoś dnia dacie sobie po pysku i skończy się ta dziecinada – skwitował nasz etatowy dowcipniś. – To już zaczyna być denerwujące.

– Jestem za – powiedział Kazik. – Może zagłosujemy?

Suchy spojrzał na niego zdumiony i z nieukrywaną rozpaczą zapytał:

– Czy ty naprawdę masz gówno zamiast mózgu? Za czym chcesz głosować?!

– Wiesz co, Suchy... – nie zdążył dokończyć Kazik.

Tuż obok, z lewej strony rozległ się głos strażnika:

– Żabikowski, idziesz ze mną!

Wstałem z ławki i ruszyłem w jego kierunku.

– O co chodzi, panie dozorczo? – zapytałem nieśmiało.

– Aspirant Szumski chce się z tobą widzieć.

Ukradkiem powędrowałem wzrokiem w kierunku znajomych okien i dostrzegłem tam umundurowaną sylwetkę. Stał i obserwował spacerniak z wysokości ostatniego piętra. Patrzył na mnie. Wiem o tym. Czuję to.

Właściwie to chyba podświadomie czekałem na ten

moment. Mógłbym powiedzieć, że święta bez Szumskiego – to dla mnie żadne święta. Łączył nas pewien element gry, która wbrew mojej woli stała się dla nas dwóch świąteczną tradycją.

– Więzień dwadzieścia dziewięć-jedenaście melduje się na rozkaz – powiedziałem, przekraczając drzwi pomieszczenia.

Szumski powoli odwrócił się w moją stronę.

– No i jak tam, Żabikowski? Wszystko dobrze?

– Tak jest, panie aspirancie – odparłem spokojnie, choć już zaczynałem się gotować w środku.

– Siadaj. – Wskazał dłonią na krzesło stojące na wprost biurka.

Posłusznie wykonałem polecenie.

Szumski podszedł do mnie wolnym krokiem. Wyjął z kieszeni papierosnicę w srebrnym kolorze.

– Poczęstuj się, Żabikowski, pamiętam, że jakiś czas temu paliłem twoje, i nie chcę być dłużny – zachęcał, ale w jego głosie jak zwykle było coś niepokojącego. Nie patrząc mu w oczy, sięgnąłem po papierosa. Czuję na sobie jego szczerze spojrzenie.

Zapaliliśmy.

Aspirant wolnym krokiem okrążył biurko i usiadł na wprost mnie.

– Jak zapewne doskonale pamiętasz – mówił do mnie w taki sam sposób, w jaki nauczyciel zwraca się do uczniów – w zeszłym roku zostałeś ukarany. – Stuknął palcami prawej dłoni w okładkę szarej teczki, leżącej tuż

przed nim na blacie biurka.

– Tak jest, panie aspirancie, pamiętam.

– To dobrze, Żabikowski, bardzo dobrze. – Pokiwał głową. – Rozumiem, że nie muszę ci przypominać szczegółów?

– Nie trzeba, panie aspirancie.

– Świetnie się z tobą współpracuje, Żabikowski, po prostu świetnie! – Uśmiechnął się. – W takim razie chciałem cię tylko powiadomić, że miałeś dziś gościa. Niestety – czułem, jak fala ciepła zaczyna się rozchodzić od moich stóp aż po czubek głowy, a serce nagle przyspieszyło i zaczęło bić dwa razy szybciej – wszyscy tutaj musimy przestrzegać regulaminu. No i sam rozumiesz, Żabikowski, że te odwiedziny nie mogły dojść do skutku. Zgodzisz się ze mną?

Przełknąłem ślinę i walczyłem sam z sobą, żeby nie wrzasnąć.

– Tak jest, panie aspirancie – powiedziałem drżącym głosem.

Szumski odepchnął się delikatnie od krawędzi biurka i zaczął się lekko bujać na dwóch tylnych nogach krzesła. Zaciągnął się głęboko dymem i westchnął z zadowoleniem. Widziałem satysfakcję malującą się na jego twarzy i jestem przekonany, że upajał się tą chwilą. Przez moment nic nie mówił, tylko patrzył na mnie tym swoim badawczym wzrokiem. Z trudem wytrzymałem to spojrzenie.

– Mam tutaj coś, Żabikowski. – Przestał się kołysać, otworzył szufladę, wyjął plik kopert i płynnym

ruchem palców rozłożył je w wachlarz. – To są listy, które przychodzą do skazanych, ale nie mogą ich otrzymać, bo z takich czy innych przyczyn regulamin na to nie pozwala. Wydaje mi się, że jest też tutaj coś do ciebie. Rozumiesz jednak, Żabikowski, kara to kara. Zostały ci dokładnie trzy miesiące, co do dnia, jak w mordę strzelił! A potem być może wszystko wróci do normy... albo i nie – dodał po chwili. – To już zależy tylko od ciebie. Na twoim miejscu miałbym się na baczności. Czasami bywa tak, że nawet sam naczelnik nie pomoże. Wypadki chodzą po ludziach. Jedni tracą jaja, a innym odbiera głos na wieki. Mam nadzieję, że wiesz, o czym mówię. Uważaj na siebie, chłopcze. To tyle, Żabikowski – miałem nieodpartą ochotę rzucić się mu do gardła, zacisnąć na nim dłonie w miażdżącym uścisku i zobaczyć, jak jego oczy wyciskają się z czaszki – co chciałem ci powiedzieć. Możesz wracać na spaceriak. – Ruchem ręki wskazał na drzwi.

Podniosłem się z krzesła i czułem, jak moje kolana lekko drżą. Spojrzałem na Szumskiego i wydusiłem z siebie słowa:

– Panie aspirancie, czy mogę wiedzieć, kto się zjawił, żeby mnie odwiedzić?

Mój rozmówca splótł dłonie i założył je na potylicy.

– Nie, Żabikowski, nie możesz się dowiedzieć. A wiesz dlaczego? – zapytał z rozkoszną złośliwością i zrobił taką minę, że nietrudno było się domyślić, iż oczekuje ode mnie odpowiedzi.

– Tak wiem, panie aspirancie. – Z nerwów moje

serce biło jak szalone.

– Dalej, Żabikowski, no dalej! Dlaczego?

– Bo mnie pan nie lubi, panie aspirancie – wydusiłem z siebie.

– Dokładnie, Żabikowski – zawołał z radości i klasnął w dłonie. – Ja cię, kurwa, po prostu najzwyczajniej w świecie nie lubię. Wynoś się! – rzucił rozkazującym tonem.

Obróciłem się na pięcie i zniknąłem po drugiej stronie drzwi.

Wracałem na spacerniak, a w mojej głowie eksplodowały tysiące myśli. Byłem wściekły. Po raz kolejny otrzymałem niepodważalny dowód, że Teodor Szumski jest jedyną osobą, która potrafi mnie doprowadzić do szału. Wiedział, jak zagrać na ludzkich uczuciach. Był sadystą, parszywym, zepsutym sadystą, który przedkładał przemoc emocjonalną nad cielesną.

Dołączyłem do chłopaków i opowiedziałem im, co zaszło. Na koniec dodałem:

– Przydałoby się parabellum z pełnym magazynkiem.

– Oj, przydałoby się, święta racja, Ropuszku. – Suchy ja zwykle od ręki podchwycił temat. – Tylko ja osobiście poprosiłbym o trochę więcej amunicji. Jest tutaj sporo typów do odstrzelenia.

Towarzystwo najwyraźniej czuło się rozbawione jego słowami.

– *Si vis pacem, para bellum* – odezwał się Ojczu-

lek.

– Że niby co, człowieku? – rzucił zdziwiony Kazik.

– To takie łacińskie powiedzenie – odpowiedział księżulo. – *Jeśli chcesz pokoju, gotuj się do wojny*. Stąd wywodzi się potoczna nazwa tego pistoletu. W wolnym tłumaczeniu słowa „para bellum” znaczą „szykuj się na wojnę”.

Staralem się zachowywać w miarę normalnie, wewnątrz jednak byłem roztrzęsiony.

– Muszę się przejść – powiedziałem i kiwnąłem zapraszająco w stronę Ojczulka. Staruszek odczytał mój gest, dźwignął się z ławki i obaj ruszyliśmy wzdłuż spacerniaka.

– Nie mówiłem tego przy chłopakach – odezwałem się dopiero po chwili – ale Szumski powiedział coś, co potwierdza, że Gawroński nie żyje. „Jedni tracą jaja, a innym odbiera głos na wieki” – powtórzyłem jego słowa. – Zabili go, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Niech to szlag, Ojczulku, facet zginął za to, że śpiewał, a mnie Szumski jawnie ostrzega, że wypadki chodzą po ludziach. Oni naprawdę mogą robić wszystko. Są nietykalni, są ponad prawem.

– Niestety to prawda, dlatego pamiętaj, że nie wolno się z nimi wdawać w wojenkę. Przegrasz. Poniesiesz klęskę, potem zamienią twoje życie w koszmar albo po prostu cię ukatrupią – oznajmił. – Pokora i akceptacja otaczającej rzeczywistości to jedyna recepta na spokojną egzystencję. Jak zaczniesz podskakiwać i stwarzać problemy, będziesz jedyną osobą, która na tym ucierpi.

– Ojczulku, on czyta, a potem niszczy listy, które powinny do mnie dotrzeć! Nie mogę mieć widzeń, bo mam jeszcze karę, to rozumiem, ale nawet nie chce powiedzieć, kto do mnie przyszedł! Jak mam sobie z tym poradzić? Dlaczego Szumski to robi? Za co mnie tak gnębi? Po co?

– Jak to po co? Żebyś wiedział, kto tutaj tak naprawdę rządzi – wyjaśnił – i żebyś się bał tej władzy. Strach to potężne narzędzie. Najważniejsze, to nie dać się zaszczuć. Jeśli będziesz kontrolował swoje uczucia, zobaczysz wszystko w innym świetle. Zrozumiesz, że to tylko gra, my i oni.

Rozmawiając o wielu różnych sprawach, po raz kolejny okrążyliśmy spacerniak.

– Mam dla ciebie pewną propozycję – powiedziałem ni stąd, ni zowąd. Ojczulek spojrzał na mnie pytającym wzrokiem. – Naczelnik ma dla mnie poważne zlecenie, a ja będę potrzebował kogoś do pomocy. Co ty na to?

– Stolarka to wciągające zajęcie. – Uśmiechnął się. – Jeżeli uważasz, że będę przydatny, to bardzo chętnie.

– Ale mam pewien warunek – powiedziałem, patrząc mu w oczy. – Nauczysz mnie czytać i pisać. Więc jak, umowa stoi?

Ojczulek zatrzymał się i powiedział:

– To będzie dla mnie przyjemność. – Przypieczę-towaliśmy nasz pakt uściskiem dłoni.

Niedziela czwartego maja 1924 roku pod każdym względem była dla mnie wyjątkowym dniem. Dniem, który

uświadamia człowiekowi, że jego istnienie balansuje pomiędzy smutkiem a radością i szczęściem a pechem. Właściwie co tak naprawdę kieruje naszym losem? Natura, opatrność, przeznaczenie, a może coś boskiego? Jak mam nazwać tę siłę? Jak to się dzieje, że nasze uczucia zapadają się w skrajnościach? Może jakiemuś filozofowi udało się znaleźć odpowiedź na te dylematy, mnie jednak nie było to dane i wciąż pozostaję w błogiej niewiedzy. Teraz jedynie dostrzegam wpływ liczb na moje życie, ale przyjdzie czas, kiedy opowiem historię Cyferki i jego na wpół szalonej teorii, opartej na prostych, matematycznych obliczeniach. Teorii, która się sprawdza.

Tego dnia wszystko toczyło się według przetartych, regulaminowych szlaków. Zrobiłem to, co należało do obowiązków latryniarza, potem w asyście dozorczy udałem się na śniadanie, a następnie zostałem odeskortowany do celi. Leżałem na pryczy, całkowicie oddając się przemilemu NNR, czyli nicnierobieniu. Coś leniwego wisiało w powietrzu i z każdym oddechem czyniło ze mnie oddanego zwolennika. Nie wiem dlaczego, ale zacząłem myśleć o starszym referencie do spraw zaopatrzenia Henryku Krympem. Kilka dni temu pod jego dowództwem przeprowadziliśmy inwentaryzację w stolarni i odniosłem wrażenie, że miły z niego gość. Chyba nie służyło mu miejsce, w którym pracował, i chociaż był jedynie na cywilnym etacie, jak na moje oko, zdecydowanie tutaj nie pasował. Podobało mi się, że odnosi się z szacunkiem należnym człowiekowi nie tylko do mnie, lecz także do każdego więźnia. No i muszę go jeszcze

pochwalić, że używał świetnej wody toaletowej. Leżałem na koi, paliłem papierochy, błdziłem myślami gdzie popadło i chyba czekałem na sygnał do niedzielnego wyjścia na spaceriak.

Nagle rozległy się dwa silne uderzenia w drzwi mojej celi. Poderwałem się na równe nogi i stanąłem, jak nakazywał regulamin, pod przeciwną ścianą. Ktoś spojrział przez żrenicę judasza, odezwało się chrząknięcie rygla i w świetle drzwi ujrzałem przodownika Blaszańskiego.

– Zbieraj się, idziemy! – padła krótka komenda.

Wskoczyłem w buty, do kieszeni włożyłem paczkę fajek, chwyciłem więzienną bluzę i wyszedłem z celi.

– Naczelnik Wojciechowski życzy sobie, żebym doprowadził cię do niego na jakiś obmiar. Możesz mi to wyjaśnić? – zapytał podejrzliwie.

W kilku zdaniach wytłumaczyłem mu, o co chodzi, i powiedziałem, że w takim razie muszę zabrać ze stolarni metrówkę, skoroszyt i ołówek.

Majowe słońce wspinało się po błękitnym niebie. Co za dzień! – przemknęło mi przez myśl. Co za wspaniały dzień! Nie potrafiłem sobie wyobrazić mojej radości, ja ją po prostu czułem. W każdym zakamarku mojego umysłu i ciała. Czułem, jak mój wszechświat wypełnia się błogim zadowoleniem. Od ponad dwóch lat oglądałem tylko mury, kraty, celę... Ponad dwa lata! Chryste, jak ten czas bezlitośnie pędzi do przodu!

Kiedy minęliśmy spaceriak i znaleźliśmy się na więziennym dziedzińcu, miałem wrażenie, że jeszcze chwila i moje serce pęknie od nadmiaru uniesień. Blacha

prowadził mnie na drugą stronę murów! To było dla mnie coś wręcz niezwykłego. Zmierzałyśmy w kierunku masywnej, stalowej bramy, za którą był inny świat. Nie potrafiłem powstrzymać swojego podekscytowania, czułem się tak, jakbym szedł na randkę z najpiękniejszą dziewczyną w mieście.

Zegar na wieży wybił godzinę dziesiątą.

Oczywiście to nie było takie ot sobie podejść do bramy i wyjść. Nic z tego. Chwilę trwały te wszystkie formalności, ponieważ pełniący służbę przy bramie wejściowej działali w myśl przepisów, które jasno określały procedurę postępowania.

Po pewnym czasie z dyżurki wyszedł klawisz. Podeszedł do stalowych wrót, wyjął z kieszeni duży klucz, przyczepiony łańcuszkiem do pasa, włożył go w otwór i przekręcił dwa razy. Zgrzyt zamka zaśpiewał cudowną melodię. Funkcjonariusz położył dłoń na masywnej klamce, która przypominała wygięty w półkole liść dębu i otworzył drzwi ulokowane w lewym skrzydle bramy. Po drugiej stronie zajaśniał fragment utraconego raj.

– Ruszaj. – Blaszański trącił mnie lekko w ramię.

Czas zaserwował mi swoją magiczną sztuczkę. Rzeczywistość, w której się znalazłem, przypominała projekcję filmu puszczonego w zwolnionym tempie. Zmierzałem przez cień w kierunku światła. Postawiłem stopę po drugiej stronie i wkroczyłem w nowy wymiar. Nie rozbrzmiały zniecka trąby niebiańskie ani chóry anielskie, usłyszałem jedynie, jak z charakterystycznym hukiem za naszymi plecami zamykają się stalowe wrota,

i w tym samym momencie czar spowolnienia prysnął.

– Co, fajnie tutaj, no nie? Chciałoby się wyjść na dobre, co? – powiedział Blaszański.

Nie wiem, czy kpił, drwił, czy trenował swoją złośliwość, w każdym razie cokolwiek to było, nie miało dla mnie żadnego znaczenia.

– Oj, chciałoby się, panie przodowniku – odpowiedziałem z nieudawaną tęsknotą.

– Tędy. – Wskazał dłonią przed siebie.

Przed nami na wprost biegła szeroka, wybrukowana ulica. Po obu stronach stały piętrowe czworaki zbudowane z tej samej bordowej cegły. Wzdłuż chodników, w równych odstępach niczym wartownicy trwały wyprostowane latarnie i rzędy pojedynczych drzew. Chłonałem wzrokiem ten świat, jak gdybym chciał nim wypełnić otchłań, którą nosiłem w sobie. Wszystko było zachwycające. Liście drzew, kolorowe kwiaty w przydomowych ogródkach, dywany soczystej trawy, rozłożyste krzewy, płot wykonany z idealnie przyciętych sztachet, firanki w oknach... ta znajoma z przeszłości zwyczajność była w tej chwili kwintesencją prawdziwego życia. Przechożąc obok kolejnego drzewa, musnąłem dłonią jego twardą korę. Ten świat wydawał się przepiękny. W głębi duszy zapragnąłem zatrzymać się i zamienić w kamienny posąg, i trwać tak jak najdłużej. Zwolniłem nieco kroku i zapytałem:

– Mogę zapalić, panie przodowniku?

Spojrzał na mnie i wydał mi się jakiś inny. Miałem wrażenie, że ten groźny i surowy Blacha został na terenie

więzienia, a teraz i tutaj, dziwnym trafem, znalazło się jego drugie ja.

– Możesz – odpowiedział.

Zatrzymałem się i wyjąłem z kieszeni paczkę parisyjanów.

– Po całym? – zapytałem.

– Chętnie. – Poczęstował się. – Ooo, musi ci się dobrze powodzić, skoro palisz takie fajki.

Podąłem mu ognia i wiedziałem, że to nie jest dobry temat do rozmowy.

– Ładna okolica – rzuciłem.

– Tutaj mieszkają strażnicy ze swoimi rodzinami – wyjaśnił. – Mamy blisko do pracy. Dom naczelnika jest tam. – Wskazał ręką w prawą stronę na okazały budynek. Był zdecydowanie mniejszy od tych, które mijaliśmy po drodze, ale i tak zbyt duży jak dla jednej rodziny.

Staliśmy na schodach przed wejściem i Blacha pociągnął za trójkątną rączkę, wiszącą po prawej stronie drzwi. Wewnątrz domu zabrzmiał donośny gong. Chwilę później rozległy się kroki i w drzwiach pojawiła się postać młodej kobiety.

– Dzień dobry – przodownik zsalutował – my do pana naczelnika.

– Proszę wejdźcie do holu, panowie. Zaraz powiadomię pana Wojciechowskiego. – Panienska dygnęła w naszą stronę, obróciła się na pięcie i oddaliła z wdziękiem.

Ostatni raz kobiecą postać widziałem z tak bliska na początku 1922 roku. Teraz miałem okazję spoglądać na

kołyszące biodra nieznajomej, która wchodziła po schodach na piętro. Rozglądałem się z ciekawością dookoła, a mój wzrok przykuwały obrazy i zdjęcia, wiszące na kremowych ścianach. Po chwili na schodach pojawił się naczelnik w ciemnych spodniach od garnituru i białej koszuli. Zszedł do połowy stopni i powiedział do nas:

– Wejdźcie proszę. Proszę za mną na górę.

Widziałem wiele różnych mieszkań w swoim życiu, począwszy od parszywych nor, a skończywszy na nowobogackim przepychu. Muszę przyznać, że to miejsce wyglądało przyzwoicie, w jego wystroju czuło się kobiecą rękę. Weszliśmy na piętro. Wojciechowski czekał na nas przy drzwiach i kiwnięciem głowy zaprosił do środka.

– Zaraz zjawi się moja małżonka i wyjaśni ci, o co chodzi – zwrócił się do mnie. – Zajmuje się meblowaniem domu, więc będziesz musiał spełnić jej zachcianki.

– Mam nadzieję, że mi się uda, panie naczelniku.

Kilka minut później do pokoju weszła filigranowa kobieta ubrana w długą, niebieską sukienkę. W dłoni trzymała jakieś czasopismo.

– Dzień dobry panom – powiedziała, patrząc na nas. Wątpię, żeby uważała mnie za takiego, ale odpowiedziałem na jej powitanie i skinąłem grzecznie głową.

– Kochanie – słodko zwrócił się do niej naczelnik – to jest właśnie ten zdolny stolarz, który zrobił meble w moim gabinecie.

– Jesteś bardzo utalentowany – rzekła i bacznie przyglądała się mojej twarzy lub tylko oczom.

– Dziękuję za uznanie – odparłem. – Mam nadzie-

ję, że będę w stanie sprostać pani oczekiwaniom.

– W takim razie przejdźmy do pomieszczenia, które chciałabym zmienić. – Posłała nam swój promienny uśmiech.

Znaleźliśmy się w sypialni, która znajdowała się na tym samym piętrze domu, a jej okno spoglądało na wschód.

– Wszystko stąd musi zniknąć. – Ręką wskazała na meble. – I chciałabym tutaj coś takiego. – Otworzyła pismo, przekartkowała kilka stron i pokazała mi fotografię, która zajmowała całą stronę. – Takie są teraz trendy w Paryżu, a ja nie ukrywam – zatrzepotała powiekami – chciałabym mieć tutaj przynajmniej jego namiastkę.

– Ech, kobiety – westchnął półgłosem naczelnik.

Zdjęcie przedstawiało meble wykonane w stylu retro. Było na nim szerokie łóżko z fantazyjnym zagłówkiem, nocne szafki, półki, toaletka z owalnym lustrem, dwie komody z szufladami i duża szafa z lustrzanymi drzwiami, ciągnąca się przez całą długość i wysokość jednej ze ścian.

– Pragnę tutaj dokładnie takich samych mebli, jak widać na zdjęciu. – Głos kobiety brzmiał władczo i zdecydowanie. – Czy potrafisz je zrobić?

– Oczywiście, że tak, proszę pani.

– Meble mają być jasne, żeby nieco rozświetliły sypialnię, dodały jej blasku – mówiła z nieukrywaną pasją. – Uwielbiam kremowy kolor i dlatego chcę, żeby wszystkie sprzęty miały koniecznie taką barwę. – Przypadkowo mój wzrok na moment zatrzymał się na twarzy

Błaszarskiego i zauważyłem, jak nieco zniesmaczony jej wywodem powstrzymywał się, żeby nie przewracać oczami.

– Potrzebuję próbkę koloru – powiedziałem. – Może to być skrawek materiału, papieru lub czegokolwiek. Muszę widzieć ten kolor.

– Oczywiście, rozumiem – odparła. – Załatwię to. Kiedy meble będą gotowe?

– To zależy od wielu czynników, proszę pani – odpowiedziałem i zerknąłem na naczelnika. – Przede wszystkim muszę posiadać odpowiednie materiały.

– Przypuśćmy, że wszystko zostanie jak najszybciej dostarczone – prawie wpadła mi w zdanie i posłała znaczące spojrzenie swojemu mężowi.

Przyjrzałem się ponownie zdjęciu i powiedziałem:

– Myślę, że powinienem wyrobić się w pięć miesięcy.

– Tak długo? – zapytała zdziwiona.

– Niestety tyle to trwa – odparłem. – Jak to powiadają, roboty nie da się przegonić. Praca z drewnem wymaga czasu i precyzji. Gdyby meble robiło czterech wyuczonych w swoim fachu stolarzy, skończylibyśmy to w miesiąc, ale ja jestem sam jeden – starałem się jej wyjaśnić realia. – Będę potrzebował pomocnika – zwróciłem się do naczelnika. Nie odpowiedział mi, ale na potwierdzenie, że przyjął informację do wiadomości, skinął głową. – Meble, które pani sobie życzy – wskazałem na zdjęcie – mają bogate detale i ozdoby, więcej w nich sztuki niż stolarskiego kunsztu. Wykonanie ich zajmie

sporo czasu. Pięć miesięcy to najbardziej realny termin. No i oczywiście potrzebuję to zdjęcie, żeby mieć jakiś wzór.

Przyglądała mi się przez chwilę, jakby nie do końca chciała uwierzyć w to, co mówię, po czym rzekła:

– Skoro tak, to niech będzie. – Zerknęła w stronę swojego męża.

– Gdzie ma być szafa? – zapytałem.

– Na tej ścianie. – Wskazała dłonią.

– No to muszę wszystko dokładnie pomierzyć. – Tym razem ja spojrzałem na naczelnika, oczekując z jego strony pozwolenia. Wojciechowski skinął głową i powiedział:

– Działaj, Żabikowski.

Kiedy ja robiłem swoje, oni we troje stali i dyskutowali o czymś w najlepsze.

Jakiś czas później wracaliśmy z Blaszańskim do więzienia. Cicha ulica, którą kroczyliśmy wcześniej, teraz tętniła życiem. Kilkoro rozkrzyczanych dzieci bawiło po lewej między budynkami, nieco dalej spacerowym krokiem szła jakaś kobieta, trzymając za rękę małą dziewczynkę. W jednym z domów na parterze przez otwarte okno ulatywały dźwięki muzyki. Pierwszy raz w życiu słyszałem coś takiego i bardzo mi się spodobało. Blacha chyba zauważył wyraz mojej twarzy i powiedział:

– Ta niby-muzyka nazywa się jazz i dozorca Lepke z bloku A, który ma tutaj swoje mieszkanie – kiwnął głową w kierunku, skąd płynęła zaczarowana melodia – może jej słuchać i gadać o niej całymi godzinami. A swoją

drogą, ma bardzo imponującą kolekcję płyt.

Kiedy kobieta z dziewczynką znalazła się naprzeciwko nas po drugiej stronie chodnika, Blacha uklonił się w jej kierunku. Odpowiedziała mu lekkim dygnięciem głowy i promiennym uśmiechem. Nagle po prawej, dwa domy dalej, wyszło dwóch roześmianych mężczyzn. Jednym z nich był Frantz, a tego drugiego nigdy wcześniej nie widziałem. Frantz ubrany w białą koszulę z krótkimi rękawami, popielate spodnie i czarne buty wydał mi się taki... inny, no i oczywiście szalenie przystojny. Cywilne ciuszki naprawdę potrafią zmienić wizerunek.

Kiedy Rudolf nas zobaczył, rzucił z uśmiechem:

– A cóż to, niedzielny spacerek?

– Coś w tym stylu – odpowiedział mu Blacha.

– Nie ma to jak służba w świąteczne dni – skwitował Frantz z wesołą złośliwością. Kiedy znalazł się tuż obok nas, zwolnił kroku i powiedział: – A my z kolegą idziemy do miasta na piwko. Wychylę jeden kufelek za twoje zdrowie. Miłego dnia. – Klepnął Blasarskiego w ramię.

Najwyraźniej dwie sprawy były zupełnie oczywiste, po pierwsze poza murami nie obowiązywały już regulaminowe zwroty i służbowa ranga – tutaj pracownicy służby więziennej byli znajomymi, kolegami, a może nawet przyjaciółmi – po drugie widok skazańca pod eskortą był tutaj czymś zupełnie normalnym.

– Temu to dobrze, no nie? – powiedział Blacha z nutką żalu w głosie. – Zapowiada się piękny dzionek, cieplutko, maj i człowiek zamiast spędzić go w jakiś

przyjemny sposób, musi wracać do pracy. Użerać się z tą całą bandą zepsutych kryminalistów. – Jego głos z każdym słowem stawał się coraz bardziej zajadły.

– Chętnie bym się z panem przodownikiem zamienił – zażartowałem.

– Nie wątpię, Żabikowski – odpowiedział. – Nie wątpię.

Spojrzałem w błękit nieba przebijający przez korony zielonych drzew i pomyślałem, że przyjemnie byłoby pójść na kufel piwa...

Kiedy zegar na wieży wybijał południe, siedziałem z chłopakami na ławce i opowiadałem im o mojej dzisiejszej wycieczce poza mury, o domu naczelnika, jego filigranowej żoneczce i jej paryskich marzeniach.

– *Paris, sacrebleu, madam, mon dieu.* – Suchy zaczął błaznować, popisując się znajomością kilku oklepnych, francuskich słówek. – Paryż? Panowie, no przecież dzisiaj zaczyna się Letnia Olimpiada w Paryżu! – powiedział zupełnie tak, jakby obwieszał nam jedną z najważniejszych informacji świata.

– Skąd wiesz? – rzucił Roman.

– No jak to skąd?! Pracuje się w miejscu, które ma kontakt ze światem, prawda? Nie każdy z nas widzi na co dzień tylko ciasto, drożdże, piekarski czerpak i piec – szydził najwyraźniej z zajęcia Romana, który miał przydział do więziennej piekarni.

– Boyko – Suchy przerzucił się na Cygana – byliście kiedyś z taborem w Paryżu?

– Nie, no coś ty. – Zaśmiał się tamten. – Nawet nie mam pojęcia, gdzie to jest.

– Co tam Paryż – skwitowałem. – Nie umywa się do tego, co jest po drugiej stronie tej bramy. – Kiwnąłem głową w jej kierunku.

– O bracie, ty to masz się dobrze w tym pierdlu – skwitował Kazik – nie to co my. Ale na szczęście jeszcze piętnaście miesięcy i znikam stąd na zawsze. – Poruszał ramionami, jakby tańczył sambę.

– Możesz mnie nie podkurwiać z tym bezustannym liczeniem miesięcy? – powiedział półżartem Suchy, ale słyszałem w jego głosie cichą nutkę zazdrości. – Chcesz żebym się rozchorował od tego myślenia, ile miesięcy mi zostało?

– Tak? A ile ci zostało? – zapytałem.

– Jeszcze – zastanowił się przez moment – dokładnie siedemdziesiąt jeden – rzucił w moją stronę. – A tobie ile? – Nie byłby sobą, gdyby nie opluł człowieka namiastką złośliwego jadu.

– Jeśli nie umrę jako piękny i młody i uda mi się dożyć sędziwej starości, to nazbiera się tego kilka setek – powiedziałem żartobliwie. – Nie ma szans, Suchy, w tej dyscyplinie nie dasz rady. Nie ze mną.

Chłopaki zachichotali.

– Wal się. Albo zaszkodziła ci wycieczka za mury, albo zaczynasz mieć nierówno pod sufitem – odparł i klepnął się dłonią w czoło.

Siedzieliśmy skąpani w promieniach majowego słońca i świat wydawał mi się zupełnie inny niż zazwy-

czaj. Przyszłość jawiła się w kolorowych barwach, gdyż prywatna robota dla Wojciechowskiego stwarzała dla mnie fantastyczne możliwości. Ta praca była jak magiczny bilet w długą i daleką podróż.

Wtem na wprost zobaczyłem Hrabiego. Kiedy nasze spojrzenia natknęły się na siebie, mój krajan kiwnął na mnie głową w przywołujący sposób. Podniosłem tyłek z ławki i ruszyłem w jego kierunku.

– Siemasz, ziomek – przywitał mnie swoimi ulubionymi słowami.

– Siemam. Co słyhać? – zapytałem.

– Nie jest dobrze, ziomek. – Głos Hrabiego zabrzmiał złowieszczo.

– Co się stało?

– Twoja matka jest poważnie chora. To artretyzm – powiedział.

Walnął z marszu kilka słów, a mnie aż zamurowało z wrażenia.

– Wiedziałem, że to się kiedyś odbije na jej zdrowiu – odezwałem się po chwili, a mój głos był pełen żalu. – To przez te cholerne zajęcie. Matka całe życie pracowała jako praczka. Wiem, co to za choroba, bo babka od mojego kolegi cierpiała na tę dolegliwość. Niech to szlag! Czy zawsze wszystko musi się tak układać? Wydaje ci się, że złapałeś szczęście za nogi, a tu nagle trach! Zupełnie tak, jakbyś dostał w pysk na ocucenie. Kurwa mać!

– O czym ty mówisz, ziomek? – Hrabia był bardzo zaskoczony.

– Aaa, nieważne. – Machnąłem ręką. Niby co

miałem mu powiedzieć? Pochwalić się, że godzinę temu zostałem władcą życia, że jeszcze pięć minut temu nie miałem sobie równych, a teraz znowu klęczę pokornie przed nieznanym? Czy na tym polega utrzymanie równowagi sił w przyrodzie? Dostajesz, ale chwilę potem w zamian tracisz coś innego. – Jak ona się czuje? – spytałem.

– To zależy od dnia, więcej jest tych złych. Choroba najbardziej zaatakowała stopy i dłonie – powiedział. Wiedziałem, o czym mówi. Pamiętam, jak matka wiele razy uskarżała się na te bóle. – Kiedy po raz pierwszy moja pani widziała twoją starowinkę, wyglądała całkiem dobrze. Teraz jej stawy są nieludzko opuchnięte. Coraz mniej pracuje, a życie jest kosztowne. Za mieszkanie trzeba dać kilka groszy, jedzenie trzeba kupić, ale przede wszystkim musi mieć na lekarza, na lekarstwa i na maści.

Stałem i wpatrywałem się w niebo ponad więziennym murem.

– Czy ty załatwiasz nasz interes, tak jak powinieś? – zmieniłem temat ni stąd, ni zowąd i zapytałem z beczelną podejrzliwością.

– Ziomek, no coś ty! Jak możesz w to wątpić?! – odparł oburzony. – Mówiłem ci ostatnim razem. Albo mnie sprawdzasz, albo mi ufasz.

– Albo zmieniam dostawcę – przypomniałem mu jeszcze trzecią możliwość.

– Dobrze, jak chcesz. – Podniósł obie dłonie na wysokość ramion, jakby chciał powiedzieć, że on się poddaje. – Jeżeli masz mnie obrażać za przynoszenie

złych wieści, to może rzeczywiście powinniśmy sobie darować naszą współpracę.

Poczułem się głupio. Facet miał rację, robił swoje, a ja strugałem waśniaka, któremu nie podobają się fakty.

– Przepraszam – zdobyłem się na to, żeby wypowiedzieć szeptem to magiczne słówko. – Wybacz, powiedziałem coś głupiego. Nie powinienem na ciebie naskakiwać ani cię winić za to, że mówisz otwarcie, jak się sprawy mają.

Spojrzał tak, jakby szukał na moim obliczu potwierdzenia szczerości wypowiedzianych przeze mnie słów.

– Rozumiem twoją sytuację i wiem, że masz kłopot, ale dla nas obu będzie lepiej, jeśli oddziolisz swoje prywatne problemy od naszego interesu.

Stałem przez dłuższą chwilę, przerzucając w głowie setki przeróżnych myśli. W końcu nieco ostudziłem swoje emocje i powiedziałem:

– Tak, właśnie tak postaram się zrobić. – Sięgnąłem do kieszeni po fajki. – Zapalimy? – Wyciągnąłem w jego stronę paczkę papierosów i wyglądało to tak, jakbym chciał tym drobnym gestem załagodzić sytuację. – Przejdźmy się – zaproponowałem.

Przez kilka minut szliśmy w milczeniu, a ja starałem się uspokoić moje galopujące myśli.

– Nie mamy żadnych krewnych w Kaliszu. W ogóle nasza rodzina nie jest liczna, mam tylko matkę i jednego stryja – odkrywałem się przed Hrabią. – Ostatni raz go widziałem, kiedy byłem małym chłopcem. Gdyby

teraz stanął przede mną, raczej bym go nie rozpoznał. Nawet nie mam pojęcia, gdzie mieszka. Jak mam go teraz znaleźć? To jest po prostu niemożliwe.

– Hm, co mogę powiedzieć... – odezwał się mój kompan. – Przemyśl sprawę. Zgodnie z umową w tym miesiącu moja kobieta jeszcze raz pojedzie do twojej matki i zorientuje się, co jest grane. Zastanów się na spokojnie, może wpadnie ci do głowy jakieś ciekawe rozwiązanie.

Szliśmy wolno w północnym kierunku, a majowe słońce grzało nam plecy.

– Wiesz, tuż przed świętami ktoś przyjechał do mnie w odwiedziny – zacząłem. Właściwie nie wiem, dlaczego o tym powiedziałem. Spojrzałem na Hrabiego i odniosłem wrażenie, jakby przez moment na jego twarzy pojawił się wyraz totalnego zaskoczenia. – Tylko ten cholerny aspirant Szumski. Raz, że nie zezwolił na widzenie, a dwa, nie chciał mi powiedzieć, kto to był. Ten facet to kawał parszywego gnoja... – Nagle obudziła się we mnie ta myśl, która najwyraźniej nie dawała mi spokoju, i szybko wyrzuciłem z siebie kolejne słowa: – Kiedyś powiedziałaś mi, że ludzie, u których mieszka moja matka, pomogli jej spieniężyć obrączkę, prawda?

– Tak – potwierdził. – Powtórzyłem tylko to, co usłyszałem od mojej kobiety.

Wyobraźnia niemal natychmiast podsunęła mi jeden z wariantów. Kaliska dzielnica, zwana potocznie „Złote Dachy” w przeciwieństwie do swojej bogato brzmiącej nazwy nie miała nic wspólnego z dostatkami

i przepychem. Było wręcz przeciwnie. Mieszkali tam najbiedniejsi, a ja doskonale wiem, że ubóstwo potrafi pchnąć człowieka do niecznych czynów. Rodzinę Leśniaków pamiętałem jak przez mgłę, właściwie nie znałem tych ludzi.

– A teraz przed świętami? Też pomogli mojej matce?

– Nie wiem, ziomek, naprawdę nie wiem – mówił tak, jakby odgrzebywał w pamięci wspomnienia z ostatniej rozmowy ze swoją kobietą. – Mogę się zorientować, jeśli sobie życzysz.

– Tak, dowiedz się. Koniecznie – powiedziałem.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Ziomek, nie jestem pewien, czy nadażam za tobą, ale czy myślisz, że jedno z nich przyjechało tutaj, żeby, że tak powiem, coś ci zaproponować? – zapytał.

– Podążasz dobrym śladem, przyjacielu – potwierdziłem.

W jednej chwili taki scenariusz zdarzeń wydał się całkiem prawdopodobny.

– Posłuchaj – zatrzymałem się – chcę wiedzieć wszystko, dokładnie wszystko. Kto jej pomógł przehandlować złoto i na czym polegały te transakcje? A twoja kobieta, jak ona właściwie ma na imię? – spytałem.

– Krystyna.

– Kiedy przyjeżdża?

– Jak zawsze w ostatnią niedzielę miesiąca – odpowiedział.

– Za ile to wypada? – zapytałem sam siebie

i szybko porachowałem, używając palców obu dłoni. – To będzie za trzy tygodnie. Dam ci list. Będzie tam napisane, żeby powiedziała Krystynie wszystko, o co tamta ją zapyta. A ty jeszcze wyjaśnisz swojej pani, o co chodzi. Ważne, żeby załatwiła sprawę od ręki i zjawiła się tutaj od razu w następnym tygodniu. Nie będziesz stratny, dostaniesz za ten ekspres dziesięć skrzynek. Pasuje?

– Pasuje, ziomek. – Poklepał mnie po ramieniu. – Wszystko będzie załatwione, tak jak sobie tego życzysz. – Urażył mnie swoim niepowtarzalnym uśmiechem.

Noc była pogodna, ale zamiast okrągłej tarczy na niebie połyskiwał tylko sierp księżyca. Było tak ciemno, że nie miałem najmniejszych szans, żeby dostrzec moją zmurę. Pewnie siedziała gdzieś tutaj obok mnie i nie pozwalała, żeby sen zbliżył się do powiek.

Leżałem na wznak i wpatrywałem się w cienie przychepione do sufitu. Już nie miałem siły myśleć i zastanawiać się nad tym wszystkim. Chciałem przestać. Zatrzymać się. Chciałem poczuć, jak spuchnięte myśli, które tłoczyły się pod czaszką, ulecą ze mnie jak powietrze z nabrzmiałego balonu.

Miałem plan i teraz pozostało już tylko działać.

Kolejka do okienka wydawki ciągnęła się wzdłuż ściany. Stałem tuż za Suchym. Pochyliłem się nieco i szepnąłem mu do ucha:

– Pamiętasz, jak kiedyś rozmawialiśmy o cenie złota?

W odpowiedzi skinął głową.

– Mam coś do sprzedania, będzie tego ponad trzydzieści gramów, albo i więcej.

Obrócił głowę i spojrzał na mnie kompletnie zaskoczonym wzrokiem.

– Interesuje mnie tylko forsa – dodałem.

Odsiadywałem swój wyrok pod wieloma naczelnikami i muszę przyznać, że z nich wszystkich tylko Wojciechowski podejmował błyskawiczne decyzje. Ten facet działał szybciej, niż myślał, a przy tym był cholernie konsekwentny. Zaledwie wczoraj podziwiałem jego dom, zapoznałem się z wizją pani naczelnikowej i dokonałem obmiarów, a dziś przed południem już padły konkretne dyspozycje i postanowienia. Otrzymałem wzór koloru w postaci skrawka materiału wielkości chusteczki do nosa. Aspirant Szumski został poinformowany, że ja i mój pomocnik, na którego wybrałem Ojczulka, mamy pełną swobodę działania. Musiał również zdjąć ze mnie inne dodatkowe obowiązki. To nie zostało powiedziane dosłownie, ale chodziło o moje niedzielne zajęcie latryniarza. Wojciechowski zaangażował również starszego referenta Henryka Krympego, którego uczynił odpowiedzialnym za dostawę wszelkich koniecznych materiałów oraz niezbędnych narzędzi. To bezpośrednio jemu miałem zgłaszać wszystkie potrzeby.

Naczelnik wydawał rozkazy i oczekiwał efektów. Dzięki jego postawie nasze działania przypominały sprawnie funkcjonującą maszynę, w której wszystkie

trybiki są na swoich miejscach.

– Przeniesiemy się bardziej w głąb. – Wskazałem miejsce ruchem głowy. – Tam będziemy poza zasięgiem Jaśkowych oczu i przed każdym, kto wpadnie z niespodziewaną kontrolą. Przesstawimy co nieco, zrobimy więcej miejsca, przesuniemy stojaki, a tam ulokujemy się z narzędziami. To co? Od kiedy zaczynamy naukę? – zmieniłem temat.

– Jeśli jesteś gotów, to choćby od dziś – odpowiedział Ojczulek.

– Myślę, że najbezpieczniej będzie popołudniami. Cisza, spokój i tylko my dwaj. Co ty na to?

– Sądzę, że to dobry pomysł. Potrzebujemy kredę, ołówek i najlepiej jakiś zeszyt.

– Mam wszystko, co jest potrzebne – zapewniłem dumnie. Jak to się mówi, byłem przygotowany do zajęć.

Zanim tego popołudnia rozpoczął się mój rok szkolny, najpierw zdjęliśmy ze ściany tablicę, a na jej odwrocie pojawił się kolejny wpis: 03.1924, Marcel Gawroński żył lat 29.

Wiedziałem, że nauka pisania i czytania nie należy do łatwych. No i jeszcze to kaligrafowanie liter! Naprawdę można się zniechęcić. Wiem coś o tym, bo kilka lat temu Agnieszka podjęła parę nieudanych prób zrobienia ze mnie pisarza. Jak widać, nic nie wskórała, a ja najwyraźniej byłem odporny na wiedzę. Jakaś część informacji jednak zakorzeniła się gdzieś w zakamarkach mojego

umysłu i teraz dzięki Ojczulkowi wyłuskałem te drobne ziarenka wiedzy.

– Mówiłeś, że jesteś zielony w temacie – powiedział księżulek w taki sposób, jakby przyłapał mnie na drobnym oszustwie.

– Moja narzeczona próbowała wyprowadzić mnie na ludzi – rzekłem – ale wtedy stawiałem silny opór.

– Jedyną receptą na naukę jest chęć przyswojenia wiedzy. Jeżeli będziesz chciał się nauczyć, to pójdzie nam gładko. W głównej mierze nasz wspólny sukces zależy od twojego nastawienia.

Złamałem przepisy i przeschmuglowałem ołówek oraz kilka kartek do celi. Byłem jednak na tyle zuchwały, że nie ukrywałem tych przedmiotów, tylko po prostu włożyłem je do szafki. Postanowiłem, że każdego wieczoru bez względu na wszystko będę ćwiczył pisanie liter. Skłamałbym, twierdząc, że nagle obudził się we mnie głód wiedzy. Po prostu przysięgłem sobie, że będę ćwiczył swój opór i konsekwencję, aby w przyszłości stać się niezależnym od innych. Taki przyświecał mi cel.

Następnej niedzieli, właściwie już z przyzwyczajenia, wstałem nieco wcześniej. Ubrany i obuty siedziałem na krawędzi łóżka, paliłem papierosa i czekałem na przyście strażnika. Zupełnie wyleciało mi z głowy, że naczelnik wspomniał Szumskiemu o zdjęciu ze mnie dodatkowych obowiązków. Dopiero kiedy jeden ze strażników uderzył w dzwon na sterowni i obwieścił pobudkę, zrozumiałem,

że skończyłem ze swoim głównianym obowiązkiem. Kiedy wyszedłem z celi, pierwsze, co zrobiłem, to zerknąłem w kierunku dyżurki na parterze bloku i zobaczyłem mojego zmiennika stojącego obok drzwi. To był Boyko.

– Naprawdę nie pamiętam, kiedy ostatni raz jadłem grupowe, niedzielne śniadanie – powiedziałem, siadając przy stole.

– Możesz mi wierzyć na słowo, że niewiele straciłeś – skwitował Suchy. – Popatrz tylko na te gęby – omiół wzrokiem po twarzach biesiadników – przecież to nudziarze jakich mało.

– Wolę takie towarzystwo niż dźwiganie zasranych wiader.

– Na szczęście ktoś mądry podjął w końcu rozsądną decyzję w tym więzieniu – odezwał się Roman – i odpowiedniemu osobnikowi dał odpowiednie zajęcie.

– Coś się tak czepił, człowieku, tego nieszczęsnego Cygana? – zapytał Kazik.

– Ja się go nie czepiłem, ja po prostu nie lubię brudasów i obiboków – odparł. – Każdy Cygan to złodziej i oszust. Ten, kto się czuje prawdziwym Polakiem powinien dbać o czystość, wiarę i siłę swojego narodu. Jeżeli coś z tym nie zrobimy, Cyganie będą się rozmnażać i płodzić kolejne pokolenia nierobów i złodziei, będą budować nowe tabory, będzie ich coraz więcej, aż któregoś dnia wtopią się w nasze społeczeństwo. A gdyby twoja córka, jeśli będziesz ją kiedyś miał, wyszłaby za Cygana? Chciałbyś ciawę w swojej rodzinie? Pozwoliłbyś

na to, żeby twoja krew zmieszała się z ich nasieniem?

– No dobrze, dobrze – wtrącił się Suchy. – Ale w takim razie w pierwszej kolejności powinniśmy coś zrobić w kwestii czwartego gwoźdźcia, prawda? – Oprócz Romana ryknęliśmy wszyscy śmiechem.

Spojrzał na nas wzrokiem pełnym współczucia i machnął dłonią, dając tym samym wyraz swojego zrezygnowania.

– Nic, kurwa mać, nie rozumiecie – powiedział i zabrał się za swój posiłek.

Ledwo wyprowadzono nas na spaceriak, a tuż obok pojawił się Suchy. Chwycił mnie za mankiet bluzy i pociągnął w swoją stronę.

– Musimy pogadać – powiedział.

Wolnym krokiem poszliśmy w kierunku placu apelowego.

– To co dzisiaj jaramy? – zapytał i posłał mi uśmiech osoby oczekującej na poczęstunek.

Usiedliśmy na kamiennym stopniu.

– Czego się dowiedziałeś? – przeszedłem od razu do rzeczy.

– W związku z tym, że prawie od dwóch tygodni mamy w Polsce twardą, stabilną i oficjalną walutę – mówił tak, jakby miał przynajmniej doktorat z ekonomii – nie ma już żadnych szaleństw. Za jeden gram złota najwyższej próby można dostać między sześć a siedem złotych. Polski złoty, czaisz? – rzucił z niedowierzaniem. – Mamy swoją własną forszę. Narodowcy podobni Romu-

siowi chyba zesrali się ze szczęścia. – Zachichotał niczym złośliwy gnom i zaraz potem paskudnie się rozkaszał. Napady tej dolegliwości chyba już na stałe wpisały się w jego codzienność.

– Chłopie, dlaczego ty nic z tym nie zrobisz? – Pytanie nie wynikało z wielkiej troski o Suchego, ale samo wskoczyło mi na język, kiedy zobaczyłem, jak obficie odpluwa krwią.

– Nic mi nie jest – burknął – za dużo palę, ot co. Ale nie ważne, wróćmy do naszych spraw – powiedział i przetarł dłonią usta. – Jest taki jeden gość, od dawna robimy interesy. Konkretny facet. Mam z nim kontakt dwa razy w tygodniu. Naświetliłem mu temat w poniedziałek, a on w czwartek dał odpowiedź, że kupi każdą ilość. Mogę ci pomóc w tej transakcji, ale biorę dziesięć procent. Co ty na to?

– Jak miałby wyglądać ten interes? – spytałem.

– On chce przede wszystkim wiedzieć, co to jest. Pierścionki, łańcuszki, kolczyki czy inne cuda? Musi znać orientacyjną wagę. Ty dajesz mi towar, ja przekazuję jemu, on płaci gotówką, ja zgarniam swoją działkę, a reszta należy do ciebie. Czysty, pewny biznes.

– Rozumiem, że on płaci tego samego dnia, kiedy odbiera towar? – chciałem się upewnić.

– Oczywiście – powiedział tak, jakby miał mnie za kompletnego idiotę.

– A co jeśli wpadniesz?

– Kto?! Ja?! – Był bardzo pewny siebie. – Nie ma takiej opcji, Ropuszku.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– No to jak będzie? – zapytał. – Wchodzisz?

– Wchodzę, tylko nie chciałbym później zostać na lodzie i usłyszeć, że po prostu coś się spierdoliło – powiedziałem całkiem poważnie.

– Hej, no ale za kogo ty mnie masz? – westchnął.

– Ciebie? Za gościa, który powinien załatwić ten temat bezboleśnie – wyraziłem moją opinię. – Ja tylko dmucham na zimne.

– Będzie dobrze. Graba? – Podał mi dłoń i wymieniliśmy uścisk. – To co masz za fanty? Łańcuszki? Obrączki? Pierścionki?

Spojrzałem mu prosto w oczy i powiedziałem jedno słowo:

– Zęby.

Suchy o mało nie dostał wytrzeszczu.

– Jaja sobie ze mnie robisz? – wydukał po chwili.

– Nie, mówię całkiem poważnie. Uśredniając, jeden ząb ma około trzech gramów wagi, a ja mam ich prawie pół szczęki – mój pośrednik patrzył na mnie jak na kosmitę – a konkretnie rzecz ujmując, mam ich dwanaście sztuk. – Uśmiechnąłem się i pokazałem mu moje uzębienie. – I nie wyrwałem ich sobie – dodałem, zdobywając się na makabryczny żarcik.

– Chryste Panie, kurwa mać! – zaklął. – Ropuch, kim ty jesteś?

Nie byłem pewien, czy stara się być zabawny, czy tym razem zachowuje się zupełnie naturalnie.

– Jestem bankiem, który może wypłacić prowizję.

Wchodzisz w to? – zapytałem, oczekując tym razem potwierdzenia od Suchego.

– Z różnym głównym miałem w życiu do czynienia, ale coś takiego zdarza mi się pierwszy raz. – Zgasił czubkiem buta niedopałek i splunął przed siebie. – Handlowałem wieloma rzeczami nie tylko w pierdlu, ale także na wolności. Lubię czasami o sobie mówić, że jestem człowiekiem interesu. Fajnie brzmi, no nie...? Człowiek interesu – powtórzył z dumą. – Muszę trzymać fason, oczywiście, że wchodzę. Jednego tylko nie chcę – wykonał dłonią taki ruch, jakby kreślił poziomą kreskę – nie chcę wiedzieć, skąd masz ten szajs.

Gdyby to, co nas spotyka, było tak proste i miłe, jak sobie czasami wyobrażamy, wszyscy ludzie mogliby nazywać siebie szczęściarzami. Tak to już bywa, że kiedy człowiek marzy o realizacji swoich planów, gdzieś w głębi duszy roztacza najbardziej optymistyczne wersje. Życie jednak bardzo szybko weryfikuje nasze fantazje i sprowadza je bliżej gruntu. Ja też miałem nadzieję, że złote zęby pójdą za atrakcyjną cenę i będę miał forsy jak diabeł gwoździ. Tymczasem sprawa nieco się skomplikowała.

Wyjaśnienie, które usłyszałem po kilku dniach z ust Suchego, brzmiało całkiem sensownie. Tylko że natura człowieka ma taką szufladkę z napisem „podejrzliwość” i prawie zawsze będzie się doszukiwać spisku, kowań i matactwa.

Po drugiej stronie murów można wszystko sprawdzić, wypytać, zdobyć potrzebne informacje lub skorzy-

stać z usług konkurencji, więzienie natomiast zupełnie ogranicza pole manewru. Musisz obdarzyć zaufaniem człowieka, który został osadzony za swoje grzechy, i tak właściwie to nie masz pojęcia, co przeszkrobał. Może był oszustem, złodziejem, malwersantem, gwałcicielem, mordercą lub porywaczem? Czy na kogoś takiego można liczyć i powierzyć mu drogocenne przedmioty? Zero gwarancji. Pudło to takie miejsce, gdzie szukasz sposobu na przetrwanie, martwisz się wyłącznie o siebie, trzymasz sztamę z kilkoma ludźmi, a całą resztę masz głęboko w dupie.

Takie są fakty.

Wiadomo również, że jeśli w grę wchodzi pieniądze, tam nie ma kumpli.

– Zanim mu powiedziałem, co jest do upłynnienia – relacjonował Suchy – facet postawił sprawę jasno. Pięć złotych za gram. Wyłożył karty i oświadczył, że taki interes nie jest bezpieczny, a on nie będzie narażał tyłka za jakieś śmieszne pieniądze. Sam rozumiesz, trzeba mu przyznać odrobinę racji. Handel z osadzonym więźniem to przestępstwo. Hm, ciekawe czy za to można trafić za kratki? – odbił nieco od istoty sprawy. – Mówię do niego, że przekażę ofertę sprzedającemu. Wtedy on zapytał o przedmioty – Suchy wziął głęboki oddech – i kiedy powiedziałem, że chodzi o ludzkie zęby, jego zdziwienie niemal wypchało mu oczy na policzki. Powinieneś widzieć tę minę. Bezcenna! – Zachichotał rozbawiony. – Tak jak wspominałem wcześniej, to konkretny gość. Stwierdził, że w takim wypadku jest w stanie zaoferować najwy-

żej połowę swojej ceny, bo takie złoto ma wartość jubilerskiego złomu. Oświadczył, że za dwanaście sztuk zapłaci sto złotych. Jeśli się zgodzisz, ja kasuję dyszkę, a ty dziewięćdziesiąt. Nie ulega wątpliwości, że na taką forszę trzeba pracować kilka miesięcy. Przemyśl, zastanów się i daj mi znać.

W mojej codziennej rutynie musiałem ogarnąć wszystkie sprawy. Teoretycznie priorytetem były meble dla naczelnika, a zaraz po nich – oficjalna produkcja wychodząca ze stolarni. Pomiedzy tymi zajęciami przemykałem z moją nauką pisania i czytania, tak samo ważną jak biznes z Suchym. Niczego nie mogłem zawalić ani zlekceważyć, ale w pierwszej kolejności musiałem załatwić ten złocisty interes.

Miałem tylko dwie możliwości: albo przerzucam na drugą stronę towar, albo żywą gotówkę. Pierwsza wersja po serii ostatnich zdarzeń obudziła we mnie sporo podejrzeń i wątpliwości, drugi wariant zaś wiązał się z poniesieniem większych strat finansowych. Tylko czy na pewno?

Biorąc wszystkie argumenty za i przeciw, zdecydowałem, że lepiej będzie wymienić kruszec na forszę. To było bezpieczniejsze zarówno dla mnie, jaki i dla mojej mamy. Dręczyła mnie myśl, że ktoś jeszcze poza murami więzienia jest zaplątany w tę historię ze złotem, a ja nie znam jego intencji. Wewnętrzny głos czasami mi szeptał, że sprawy mają się nie tak, jak powinny.

Bez sensu było odwlekać temat, ponieważ czas

także odgrywał istotną rolę. Facet, który chciał kupić, musiał najpierw dostać informację i przygotować się do operacji. Szczerze wątpię, żeby nosił po kieszeniach tyle gotówki.

Jeszcze tego samego dnia, po kolacji zagadnąłem do Suchego:

– Chyba masz dzisiaj swój szczęśliwy dzień – powiedziałem półgłosem, żeby nikt nas nie usłyszał. – Pogadaj z kupcem.

– Jasne, chłopie. – Posłał mi oko i swój szelmowski uśmiech pełen zadowolenia.

W tym samym czasie, kiedy ja uruchamiałem maszynę do rozwiązania mojego problemu, w Moskwie przyszedł na świat Bułat Szałwowicz Okudźawa.

Uzgodniliśmy z Ojczulkiem, że jeśli w niedzielne dni pogoda dopisuje, darujemy sobie wszelkie zajęcia, zarówno fizyczne, jak i umysłowe. Wszak trzecie przykazanie mówi: *Pamiętaj, abyś dzień święty święcił*. Prawdą jest, że wszystkim chłopakom z oddziału dziesiątego, którzy tak jak ja zostali wychowani w wierze katolickiej, nie było dane obchodzić takich dni zgodnie z zasadami naszej wiary. Pamiętam, jak – kiedy jeszcze żył Franek Wencel – jednego razu prowadziliśmy zażartą dyskusję na ten temat. Jeśli przyjąć za wytyczne, że nieprzestrzeganie lub łamanie jednego z dziesięciu przykazań bożych czyni człowieka grzesznikiem, to jak wytłumaczyć nasze położenie? Jak ma się do grzechu sytuacja więźnia, któremu świadomie odmawia się dostępu do posług religijnych? Kto w takim

wypadku grzeszy? Więźniowie czy ludzie, którzy ustanowili takie przepisy? W pewnym momencie ta filozoficzna dysputa zboczyła na zupełnie inne tory i padły pytania, na które nikt nie potrafił odpowiedzieć. Czy żołnierz walczący na froncie jest mordercą? Czy doktor, który popełnił błąd w sztuce lekarskiej i przez to pacjent umarł, wystąpił przeciw szóstemu przykazaniu? Niestety nie ogarnialiśmy naszymi umysłami tak skomplikowanych dylematów. Ojczulek tylko przysłuchiwał się naszym wnioskom i odezwał się dopiero wtedy, kiedy Kazik po raz nie wiem który zapytał:

– No a ty, co o tym myślisz?

– Bóg jest wszędzie, jeśli nosisz go w sercu, jeśli masz w sobie wybaczenie, pokorę, żałujesz, że dopuściłeś się złego. Jeśli masz w sobie miłość do człowieka i ufasz Chrystusowi, to wiesz, co jest słuszne. Nie szukasz odpowiedzi, bo je znasz.

Kiedy w niedzielne przedpołudnia wyprowadzano nas z bloku, wszystko odbywało się według utartego zwyczaju. Opuszczaliśmy w milczeniu budynek, idąc w rzędzie, a na zewnątrz ustawialiśmy się w dwójkową kolumnę. Następnie prowadzono nas do przejścia w wysokim ogrodzeniu, które było wykonane z drucianej siatki i otulało teren spacerniaka. Gdy tylko wkraczaliśmy na jego obszar, momentalnie robił się gwar, a towarzystwo rozchodziło się we wszystkich kierunkach.

Poczułem, jak ktoś obejmuje mnie swoim ramieniem. To był Suchy.

– Interes dograny – szepnął. – Musisz mi dostarczyć fanty, najlepiej jutro podczas śniadania. Nie chcę mieć do czynienia z tym towarem dłużej, niż powinienem.

– Nie ma sprawy – odparłem. – Będzie tak, jak sobie życzysz. To co, dzisiaj jaramy?

Po obiedzie zameldowałem dozorcę, że w związku z obowiązkami muszę się udać na stolarnię. Funkcjonariusze nawet nie żądali ode mnie przepustki. Ta część mojego ja, ta bardziej zmanierowana, czuła się prawie jak ktoś znany, popularny, a może nawet ważny. Nieraz widziałem, jak niektórzy z więźniów spoglądali na mnie zaskoczonym wzrokiem, kiedy podchodziłem do klawisza, zamieniałem z nim kilka słów i oddalałem się w przeciwnym kierunku niż cała reszta. Wiem, że niektórzy ze skazańców podejrzewali mnie o skurwioną współpracę, a inni snuli jeszcze bardziej absurdałne domysły na mój temat. Był nawet taki jeden, który twierdził, że jestem tajnym oficerem służby więziennej. Nie starałem się jednak nikogo uświadamiać, jaka jest prawda. Dzięki temu znajdowałem się w komfortowej sytuacji, ponieważ nikt nie szukał ze mną konfliktu. Więzienie to nie kurort i nieraz widziałem, co się dzieje, szczególnie między osadzonymi w oddziałach przestępstw pospolitych. Mieli swoje zasady, które wcielali zarówno na spacerunku, stołówce, w łaźni, jak i w miejscach pracy. Niejednokrotnie dochodziło do przykrych lub nieciekawych sytuacji. Upokarzanie, dominacja i perswazja z użyciem siły fizycznej były czymś zupełnie naturalnym. Sam przecież kiedyś oberwałem po

ryju od Prezesa i jego przydupasów. Większość strażników wypinała się na takie zajścia, bo jeśli nie było skargi od pokrzywdzonego, to znaczy, że nic niepokojącego się nie działo. Z drugiej strony takie postępowanie mundurowych, co może się wydać dziwne, pozwalało utrzymać dyscyplinę. Układ był prosty: więzień, który chciał rządzić innymi, musiał swoją watahę trzymać za pysk. Jeśli nie dawał rady albo zaczynał za bardzo podskakiwać, albo nagle zapragnął rozszerzyć swoje wpływy, mógł sobie napytać biedy i na przykład zakończyć szefowanie w karczerze. Sposobów na degradację w więziennej hierarchii było wiele. System stworzony i wykreowany przez regulaminy miał jednak swoje słabe punkty i właśnie tam królowały niepisane prawa i zasady.

I teraz wyobraźcie sobie mnie dokładnie w środku tego bałaganu. Nikt z więźniów nie zaryzykuje, żeby mnie nękać, bo każdy widzi i swoje wie. Żaden klawisz na widok przepustki podpisanej przez naczelnika nie zgrywa wszechmogącego i każdy z nich zdaje sobie sprawę, że mam względy u Wojciechowskiego.

Idealna pozycja.

„Nie do ruszenia!” – jeszcze raz posłużę się słowami Suchego.

Miałem już wprawę w opróżnianiu skrytki znajdującej się w belce sufitowej. Tym razem również poszło gładko i sprawnie. Tuzin złotych zębów leżał na skrawku szarego materiału, a ja patrząc na nie, zastanawiałem się, do kogo one należały? Kim byli ich właściciele? Pożegnali się

z zawartością swojej szczęki jeszcze za życia czy dopiero po śmierci? Już nie czułem tego wstrętu, który mnie ogarnął, kiedy ujrzałem je po raz pierwszy. Przełamałem się jakiś czas temu i w tej chwili nie stanowiło dla mnie problemu, żeby je dotknąć opuszkami palców, czy też położyć na dłoni. Tamten etap minął bezpowrotnie. Teraz kawałki tego cennego metalu, używając literackiej metafory, traktowałem jako złoty środek do osiągnięcia wyznaczonego celu.

Wiecie, jak to jest, kiedy człowiekowi przychodzą do głowy najczarniejsze myśli albo roztacza w swojej wyobraźni najbardziej pechowe scenariusze zdarzeń? Też to znam.

Kiedy w poniedziałkowy rano razem z innymi więźniami szedłem gęsiego w kierunku stołówki, przyszło mi na myśl, że zaraz jeden ze strażników zrobi mi rewizję osobistą. Myśl zupełnie niedorzeczna, wręcz abstrakcyjna. Nigdy przecież nie widziałem, żeby kogoś rewidowano na korytarzu! Złote zęby zawinięte w kawałek starej szmaty spoczywały na dnie mojej kieszeni, a ja miałem nieodparte wrażenie, że w tamtym miejscu zaczynam odczuwać intensywne ciepło. Pośrodku prawego uda powstał gorący punkt. Zaczynało mnie parzyć, zupełnie jakbym miał w kieszeni kawałek rozżarzonego węgla. Brakowało tylko, żeby nagle materiał zaczął się tlić. Gdyby teraz klawisz krzyknął coś do mnie albo przywołał do siebie, to natychmiast zerznąłbym się w gacie.

Pokonanie odcinka od celi do stołówki było dla

mnie prawdziwą mordęgą. Odebrałem z wydawki śniadanie, przywitałem się z chłopakami i usiadłem obok Suchego. Trąciłem go delikatnie łokciem i kiedy podałem mu pod stołem zawiniątko, poczułem ogromną ulgę. Moi współbiednicy pałaszowali jedzenie i klepali dziobami, rozmawiając Bóg wie o czym. Za to przez moją głowę mknęła lawina myśli. Sam nie wiem dlaczego, ale przypomniały mi się wydarzenia sprzed roku. Okaleczona dłoń, tabletki morfiny, karcer i reszta problemów, które z tego wynikły. Nie nadawałem się na przemytnika. Zdecydowanie nie było to zajęcie dla kogoś takiego jak ja.

Dozorca Frantz dwa razy dmuchnął w gwizdek, co oznaczało, że oddział dziesiąty opuszcza stołówkę.

– Forsę dostaniesz podczas obiadu – szepnął mi Suchy prosto do ucha, kiedy wstawaliśmy od stołu.

W odpowiedzi skinąłem mu tylko głową.

Dzisiejszy dzień pracy wydawał się nie mieć końca. Bynajmniej dla mnie. Nie potrafiłem skoncentrować się nawet na najprostszych czynnościach.

– Nie moja sprawa – zapytał Ojczulek. – Ale czy coś cię dręczy?

Zaskoczył mnie tym pytaniem. Poczułem się tak, jakbym doświadczył *déjà vu*. Spojrzałem na niego i naprawdę miałem szaloną ochotę powiedzieć mu wszystko jak na spowiedzi. O ironio losu!

– Wiem, że czasami chęć wyznania jest bardzo silna – rzekł swoim dobrotliwym głosem. – Powody są różne. Niekiedy dopada człowieka przeszłość, bo przed nią nigdy nie udaje się nam uciec. Innym razem są to

sprawy bieżące, które trudno udźwignąć samemu. Ten cień, który czai się w twoich oczach jest mi znany...

– Nie w tym rzecz, Ojczulku – wpadłem mu w zdanie. Jak na księdza dobrze kombinował. Martwiłem się tylko o to, co miało się stać albo już się stało w więziennej pralni, a efekty tych działań miały do mnie dotrzeć podczas obiadu. Tylko to mnie dręczyło. Nic więcej. – Jeśli chcesz wiedzieć, czy żałuję – pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli pozostawię go w niewiedzy – to nie ma takiego dnia, żebym nie żałował. Sam mówiłeś, że czasu nie da się cofnąć. A dzisiaj – spojrzałem mu prosto w oczy – dzisiaj po prostu mam zły dzień. Wiesz, jak to jest, niekiedy człowieka dopadają takie chwile, że wszystko, czego się tknie, zaraz spapra. – Sięgnąłem po papierosa. – Właśnie ja mam dzisiaj taki parszywy dzień. Nie mam chęci ani na pracę, ani na naukę. – Mimowolnie zasygnalizowałem mojemu pomocnikowi dalszy rozkład naszych wspólnych zajęć, chociaż tak naprawdę wcześniej miałem zupełnie inny plan.

– Rozumiem – odpowiedział i uśmiechnął się. – Bądź ostrożny – dodał po chwili, przyglądając się badawczym wzrokiem. – Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jak dużo masz do stracenia.

Słyszac jego słowa, poczułem się, jakbym dostał łopatą prosto w twarz. Dotarło do mnie, że jeśli będę zaprzeczał, zachowam się tak, jakbym świadomie starał się go obrazić.

– To aż tak widać? – zapytałem po chwili, kompletnie zaskoczony.

– Kto dobrze patrzy, ten wszystko zobaczy. Po prostu bądź ostrożny .

Nie wiem, o co Ojczulek martwił się bardziej, o mnie czy o swoją fuchę? Naiwność, która kiedyś tkwiła w mojej naturze, dzięki więziennej rzeczywistości przeobrażała się w doskonałą formę cynizmu. Nie było w tym nic niezwykłego, każdy skazaniec prędzej czy później podlegał obowiązującym tutaj regułom ewolucji.

Suchy niczym świetny aktor lub zawodowy pokerzysta potrafił doskonale maskować emocje. Skoro pojawił się podczas obiadu, mogło to oznaczać dwa rozwiązania: albo interes nie wypalił, albo wszystko poszło gładko.

Usiadłem obok. W ogóle nie miałem ochoty na jedzenie.

– Co jest, Ropuszku? – zagadnął do mnie w znajomy, irytujący sposób. – Chwytaj za łyżkę i wiosłuj kartoflankę. A może ci nie smakuje? Nie mieli nic innego w meny?

Towarzystwo przy stole szybko podłapało temat.

– Zjadłbym schabowego z ziemniakami i zasmażaną kapustą – powiedział z nieukrywanym rozmarzeniem Kazik.

– A ja chrupiącego kurczaka, takiego prosto z ogniska. – Cygan aż się oblizał na samo wspomnienie.

– Zdecydowanie rolada z ciemnym sosem, kluski ziemniaczane i buraczki. – Ta potrawa była faworytem Romana.

– A ty na co masz ochotę? – zapytał Suchy Ojczul-

ka i w tym samym momencie trącił mnie lekko łokciem.

To był ten znak, na który czekałem. Oczy wszystkich obecnych powędrowały w kierunku starego księdza.

– Bo ja wiem... – odparł tak, jakby nie umiał się zdecydować. – Teraz chciałbym mieć w dłoni pęto wędzonej kiełbasy i pajdę świeżego chleba z masłem.

Kiedy Ojczulek wypowiadał swoją kulinarną fantazję, ja wkładałem do kieszeni spodni banknoty zwinięte w rulon. Serce łomotało mi dwa razy szybciej i dwa razy mocniej.

– A dla mnie poproszę o kopiasty talerz pierogów z ziemniakami, obficie polane gorącym tłuszczem i skwarkami słoniny. I setkę wódki, albo nawet dwie setki.

– Suchy mówił takim tonem, jakby naprawdę składał zamówienie niewidzialnemu kelnerowi. – A co dla ciebie? – skierował do mnie pytanie.

– Dla mnie? Ja mam ochotę na truskawki ze śmietaną – odparłem.

– A kiedy podać szparagi i krem z raków? – zapytał mnie mój sąsiad, modulując głos, który w karykaturalny sposób naśladował dystyngowanego kamerdynera. Chłopaki parsknęli szczerym śmiechem. – Szampan ma być tylko schłodzony czy zimny? – pociągnął kwestię, zadając jeszcze jedno pytanie, a potem powrócił do rzeczywistości. – Truskawki ze śmietaną! – Wykonał ruch głową, jakby chciał czołem przyłożyć w blat stołu. Facet potrafił nas rozbawić.

– Wal się – rzuciłem wesoło w jego kierunku.

Kiedy zamknąłem za sobą drzwi i znalazłem się w stolarni, poczułem ulgę. Zupełnie tak, jakbym zdjął ze swoich ramion niewygodny ciężar. Wyjąłem z kieszeni plik zwinięty w cienki cylinder. Stojąc przy stole, na którym leżała moja skrzynka z narzędziami, spoglądałem na nowe, polskie pieniądze. Każdy banknot nosił ten sam pięciozłotowy nominał. Przeliczyłem papierki. Osiemnaście sztuk. Było dokładnie tak, jak umówiłem się z Suchym. Dziewięćdziesiąt złotych dla mnie, dziesięć dla niego. Trzymałem w garści prawdziwą kupę szmalu. Biorąc pod uwagę, że w normalnym świecie średnio za dzień pracy płacono człowiekowi ciut więcej niż złotówkę, byłem w tej chwili dzianym kolesiem. Aż nie chciało się wierzyć, że te skrawki papieru pokryte drukarską farbą są odpowiednikiem kilku miesięcy ciężkiej harówki. Zamknąłem oczy i powąchałem banknoty, starając się zapamiętać ich wyjątkowy zapach.

Wyciągnąłem narzędzia z mojej skrzynki, podniosłem podwójne dno i ukryłem tam całą gotówkę.

Ostatnia niedziela maja 1924 roku szczególnie zapadła mi w pamięci, i to nie ze względu na mój interes z Hrabią. Nasze sprawy załatwiliśmy, zanim zegar na wieży wybił południe. Jego kobieta miała dostarczyć mojej matce list oraz gotówkę. Postanowiłem, że będzie to równe pięćdziesiąt złotych, ponieważ większa kwota mogłaby stanowić ogłupiającą pokusę. Widząc jednak minę jasnie wielmożnego pana Hrabiego, którą zrobił na widok forsy, przemknęło mi przez myśl pytanie, czy na pewno powi-

nieniem go o to prosić? Wróćmy jednak do tego, co wydarzyło się tamtego dnia wieczorem.

Dzień był upalny i słoneczny, prawdziwy wiosenny przebój. Wiecie, taki dzień, który niemal ociera się o doskonałość. Nieskazitelnie błękitne niebo, lekkie podmuchy ciepłego wiatru, uroczy zapach majowego powietrza i roześmiane słońce. Czy może być coś bardziej powalającego?

Nasza szóstka rozłożyła się w tym samym miejscu co zawsze, tuż przy kamiennych stopniach okalających plac apelowy. Roman, Kazik i Boyko rozebrali się do pasa, ja i Suchy mieliśmy na sobie podkoszulki, a Ojczulek grzał się w bluzie.

– Poczekaj, aż dożyjesz mojego wieku – powiedział klecha do Suchego w odpowiedzi na jego zdziwione spojrzenie. – Wtedy się przekonasz, czy będziesz tak wyskakiwał z ciuchów przy byle okazji.

– A czy ja coś powiedziałem? – oburzył się.

– Ty nie musisz mówić, żeby się odezwać.

– Zgadzam się – potwierdził Kazik.

– Z czym się zgadzasz, ćwieku – przeszedł do ofensywy Suchy. – Ty nawet nie masz pojęcia, o czym rozmawiamy. Znaleźli się specjaliści z bożej łaski od czytania z ludzkiej twarzy.

– A kto mówi, że z ludzkiej – włączył się Roman.

Wszyscy oprócz Suchego zachichotali rozbawieni.

– Bardzo zabawne, ha! ha! ha! – powiedział drwiącym głosem. – Normalnie można się zeszczuć ze śmiechu. – Suchy położył się na wznak i włożył pod głowę wię-

zienną bluzę zwiniętą w kłębek. – I cisza mnie tutaj, bo pancio będzie drzemał.

– Niektórym naprawdę na wiosnę odbija – skwitował Roman i z politowaniem pokiwał głową.

Chwilami nasz świat wydawał się wyrwany z tego miejsca, jakby nie było dookoła tych wszystkich murów, krat i kolczastych zasieków. Odchyliłem do tyłu głowę i spojrzałem prosto w niebo. W zasięgu mojego wzroku był tylko nieprzenikniony błękit. Cholerny los – przemknęło mi przez myśl. Gdyby niektóre sprawy ułożyły się trochę inaczej, każdy z nas mógłby mieć normalne życie.

Zamknąłem powieki i przez dłuższą chwilę trwałem w tej pozycji.

– Mógłbym tak tutaj siedzieć do końca życia – westchnąłem.

– No przecież będziesz tyle siedział. – Suchy był czujny, palnął kwestię, zanim zdążyłem dokończyć. – Chyba że coś się zmieniło w sprawie twojego wyroku, a ty się nie pochwaliłeś.

To było normalne, człowiekowi wymknęło się nieopatrznie jakieś zdanie, a zaraz cała reszta miała z niego ubaw.

– Kazik, a tobie ile jeszcze zostało? – zapytałem, chcąc sprawdzić swoje przypuszczenia.

– Milcz, Kaziu, milcz, i ani słowa więcej. – Suchy, udając wzburzenie, zaprezentował nam swoje aktorskie zdolności. – Widzę, Ropusiasty, że bardzo się starasz, żeby mnie podkurwić.

To wszystko były niby-żarty, tylko że nie potrafię

wyjaśnić, dlaczego miałem wrażenie, iż w takich sytuacjach w słowach Suchego zawsze czaiła się odrobina żalu. Może nawet nie tyle żalu co zazdrości.

– Jeszcze dokładnie piętnaście miesięcy i dziewięć dni. – Kazik był bardzo skrupulatny.

– Roman, a tobie? – Prawdę powiedziawszy, nie miałem pojęcia, za co został skazany, kiedy i na ile.

– Ja jeszcze trzy lata i dziewięć miesięcy – odpowiedział.

– Boyko?

– Cztery lata i pięć miesięcy. – Nasz Cygan też odliczał.

– Suchy, a tobie ile?

– Sześć lat bez jednego miesiąca. A co jest? – rzucił do mnie pytaniem. – Zbierasz dane do kroniki?

– Nie, po prostu byłem ciekaw, jak to jest – odpowiedziałem.

– Jak jest co? – Kazik najwyraźniej chciał znać wynik moich przemyśleń.

– Jak to jest wyczekiwać na dzień swojego wyjścia. Chciałem się przekonać, czy naprawdę odliczacie.

Właściwie ta wiedza do niczego nie była mi potrzebna. Nawet wręcz przeciwnie. To chyba wszystko przez to majowe niebo. Nagle coś w środku ścisnęło i zabolowało. Ja i Ojczulek zawsze będziemy trzymać nasze miejsca przy stole. Z niektórymi sprawami człowiek musi się pogodzić.

Wiosenne słońce otulało nas ciepłem swoich promieni.

Stąd, gdzie siedzieliśmy, był doskonały widok na cały spacerniak, a nasza szóstka była niczym wielce szanowna komisja obserwująca pozostałych skazańców. Zupełnie tak, jakby do nas należały wszystkie kluczowe decyzje, los świata i przyszłość tego więzienia. W gruncie rzeczy, jaraliśmy tylko papierochy i toczyliśmy rozmowy o naszych zwykłych, codziennych sprawach.

– Ty byłeś funkcyjnym na latrynie – zwrócił się do mnie Boyko. – Kogo trzymają w celach na drugim piętrze od strony sterowni?

Spojrzałem na niego i powiedziałem:

– Nie mam pojęcia, ale dam ci pewną radę, którą sam dostałem kiedyś od mojego przyjaciela, i weź ją sobie do serca. Dla własnego dobra nie interesuj się tym. – Zerknąłem na Ojczulka i zobaczyłem delikatny uśmiech na jego twarzy. – Kiedyś zapytałem o to jednego ze strażników, i to był błąd. Prawie oberwałem po nosie. Nie chcesz wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, rób swoje, o nic nie pytaj, a twoje życie będzie prostsze. – Zrobiłem pauzę i po chwili dodałem, zmieniając temat: – Jak dajesz sobie radę na łodygowni?

– Ciężka praca – odparł. – Nigdy bym nie pomyślał, że to zajęcie potrafi pochłonąć tyle trudu i bólu. – Spojrzał na swoje zniszczone dłonie. Ich widok przywrócił moje niemiłe wspomnienia.

– Wiem coś o tym – powiedziałem.

– Dziewczęta, a może przestaniecie się już nad sobą rozczulać? – rzucił Suchy.

– Jeśli ktoś jest chodzącą cipą, to zawsze będzie

stękał. – Roman z premedytacją wkraczał na niebezpieczny grunt.

– Lepiej być złodziejem i stękającą cipą niż tchórzliwym skurwielem napadającym na staruszków – rzucił z pogardą Cygan.

Spojrzałem na Romana i zobaczyłem, jak w jednej sekundzie jego oblicze przybiera kolor purpury. Najwyraźniej Boyko dowiedział się o swoim przeciwniku czegoś, co tamten starał się skrzętnie ukryć przed całym światem.

Zapadła cisza i chyba pozostali tak jak ja czekali na dalszy rozwój wypadków. Trudno powiedzieć, co mogło się tutaj wydarzyć. Atmosfera pośród nas nagle stała się duszna, gęsta i pełna niecierpliwości. Wtem z lewej strony do naszych uszu dobiegł czyjś głos:

– Hej, Boyko, zbieraj się! – zawołał Tadek Wójcik. Niski, krępy koleś o głowie, która kształtem przypominała sześcian. Dwanaście lat do odsiadki za napad z bronią w rękę. – Masz odwiedziny.

– Ja?! – zapytał z ogromnym niedowierzaniem w głosie.

– A kogo wołam? Ciebie czy świętą Tereskę? Ruszaj swój zasrany cygański tyłek!

Po chwili obaj oddalili się w kierunku wyjścia ze spacerniaka.

Zapaliłem papierosa, spojrzałem po pozostałych i nagle uświadomiłem sobie, że żaden z nich nigdy nie był wzywany na odwiedziny. Bynajmniej nie w mojej obecności.

– O co mu chodziło z tymi starszuchami? – Kazik jak zwykle albo zadawał najbardziej idiotyczne z możliwych pytań, albo budził się po czasie.

– To chyba tylko Romcio mógłby nam wyjaśnić – dociekał Suchy. Może robił sobie kpiny jak zawsze, ale odniosłem wrażenie, że chciałby poznać temat. Pewnie tak samo jak reszta z nas.

Roman zaś sprawiał wrażenie, jakby nic do niego nie docierało. W pewnym momencie po prostu wstał, założył na siebie wyświechtany podkoszulek, przełożył bluzę przez ramię i odszedł.

– Co mu się stało? – wypalił Kazik.

– Chyba nie miał ochoty na rozmowę o swojej przeszłości – skwitował Ojczulek.

– Myślicie, że naprawdę napadał na starszuchki? – Suchy był zaskoczony.

– Boyko nie powiedział na starszuchki – sprostowałem – tylko na starszuchów. A to chyba różnica, prawda? I nie sądzę, żeby to było takie proste, jak może się z pozoru wydawać. Za napady nie zamyka się faceta na oddziale dziesiątym.

– Kaziu, a co ty przeskrobałeś? – Suchy zmienił obiekt swoich zainteresowań.

– Eee tam takie – wymamrotał. Najwyraźniej chciał się wymigać od odpowiedzi.

– Nie ekaj mi tutaj, tylko bądź mężczyzną i powiedz – naciskał na niego. – Wiesz, za co ja siedzę i co zrobiłem razem ze świętej pamięci Frankiem. Ojczulek też się kiedyś otworzył. Boyko już pierwszego dnia powie-

dział nam wszystko jak na spowiedzi. Ropuszek siedzi cichutko i ani piśnie o swoich grzeszkach. Chociaż jeśli wziąć pod uwagę, że dostał bezterminówkę, to musiał narobić niezłego bajzlu. Romuś patriota też trzyma język za zębami.

– Co z tobą, Suchy? – wpadł mu w zdanie Ojczulek. – Czym się tu szczycić i chwalić? Każdy z nas dopuścił się złych, głupich i bezmyślnych rzeczy. Grzech. Wiesz, czym jest grzech? – zapytał, ale nie czekał na jego odpowiedź. – Uważasz, że każdy chce rozmawiać o swoich winach? Wracać pamięcią do tych chwil, które zniszczyły dokładnie wszystko? Daruj sobie. Lepiej pogadajmy o czymś innym.

– Nie przesadzaj – westchnął Suchy

Znowu przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w kompletnej ciszy.

– Ciekawe, kto przyszedł do Boyko na odwiedzi-ny? – zastanawiał się głośno Kazik.

– No jak to kto? Też masz pytania, chłopie – zakpił jak zwykle Suchy. – No pomyśl, kto może odwiedzać Cygana? Jego rodzina. Tabor. Prawda?

– To chyba ich wszystkich nie wpuszczą, bo przepisy pozwalają tylko na odwiedziny dwóch osób jednocześnie.

– Mieliście kiedyś odwiedzających? – zapytałem z ciekawości.

– Kiedyś miałem – odparł Ojczulek.

– Ja nigdy – przyznał się Suchy.

– Moja Bogna tylko raz do mnie przyjechała –

powiedział nieco przygnębionym głosem. – Zaraz potem napisała list, że to były jej pierwsze i ostatnie odwiedziny w takim miejscu. Była nim przerażona. Teraz dostaję tylko listy.

– A tobie kiedy kończy się post? – zagadnął mnie Suchy.

– Za niespełna dwa miesiące.

– Masz kogoś, kto przyjedzie cię zobaczyć? – dociekał.

– Nie chciałbym, żeby ktokolwiek mnie odwiedzał – odpowiedziałem po chwili. – Ludzie z takim wyrokiem jak ja powinni mieć zakaz odwiedzin.

– Masz rację – wtrącił się Ojczulek – ale nie wytłumaczysz tego osobie, która darzy cię bezwarunkową miłością. Wszyscy mogą cię porzucić, zapomnieć o tobie, wykreślić cię ze swojego życia. Przyjaciele, koledzy, brat, siostra, żona, kochanka, współnicy, towarzysze broni, wszyscy mogą to zrobić, ale nie matka. Widziałem to wiele razy i wiem, o czym mówię. Spotkałem w swoim życiu wielu skazańców, popełnili przestępstwa, o jakich się wam nie śniło. Cały świat ich przekreślił, wszyscy się ich wyrzekli, tylko nie ich rodzicielki. Jak to powiadają, matczyzna miłość jest ślepa. Też tego doświadczyłem. Moja matka była jedyną osobą, która mnie odwiedzała.

Podczas kolacji nie mogłem oderwać wzroku od twarzy Boyko. To było niesamowite, gdybym tylko posiadał taki dar jak Matejko albo Malczewski, to namalowałbym jego portret i dał mu tytuł „Szczęście”. To uczucie niemal

krzyczało z tej śniadej, cygańskiej twarzy. Szczęście.

– Jak tam po odwiedzinach? – zagadnął Ojczulek.

– To mój najlepszy dzień w życiu – odpowiedział. – Dobrze jest widzieć swoich, a jeszcze lepiej wiedzieć, że o tobie pamiętają. I na dodatek widziałem się ze wszystkimi.

– Jak to ze wszystkimi? – zapytał z niedowierzaniem Suchy.

– Mój stryj, który jest w taborze najważniejszą osobą, kimś w rodzaju waszego wójta, pogadał dobrze ze strażnikami – wykonał dłonią gest kojarzący się z płaceniem pieniędzmi – i tamci pozwolili im wchodzić na zmianę dwójkami. Zobaczyłem i uściskałem każdego. Wszystkich.

– Wszystkich, to znaczy ilu? – pytanie Kazika wcale nie było takie dziwne.

– Nasz tabor razem ze mną liczy trzydzieści osiem osób, niedługo się powiększy, bo Jaelle za miesiąc ma rodzić. Będą świętować, oj, będą! – powiedział z prawdziwą radością. – Przyjadą tu znowu za rok. Mam na kogo czekać.

Kiedy Boyko opowiadał o swoich pobratymcach, zdałem sobie sprawę, jak bardzo są inni od nas. Podróżują razem po kraju, tułają się z miejsca na miejsce, trzymają się w kupie, pomagają sobie, dbają o swoich, pamiętają o bliskich. Wydaje się, że ich mentalność nie przystaje do naszego świata. Znałem doskonale życie w wielorodzinnej kamienicy, ponieważ wychowałem się w takim budynku. Nie ze wszystkimi udaje się utrzymać dobre stosunki.

Pamiętam te małe sąsiedzkie złośliwości, trzymanie się na dystans, czy też zupełny brak kontaktu z innymi.

– W takiej grupie to chyba wszyscy są krewniakami – rzucił niby od niechcenia Roman.

– Wiem, do czego zmierzasz – odpowiedział mu Boyko. – Możesz być pewien, że nie zepsujesz mi dzisiajszego dnia. Nie ma szans. I nie wszyscy jesteśmy spokrewnieni, jeśli chciałbyś wiedzieć.

Powoli zapadał majowy wieczór. Leżałem na pryczy, myślami błądziłem gdzieś daleko stąd, kiedy nagle do moich uszu zaczęły docierać pojedyncze dźwięki muzyki. Wstałem i zerknąłem w okno. Sięgałem wzrokiem poza więzienny mur. Widziałem zabudowania, za którymi rozpościerał się zagajnik, dalej uprawne pola, a za nimi linia ciemnego lasu ciągnąca się wzdłuż falującego horyzontu. Tuż obok więzienia, prosto jak strzełił, biegła w zachodnim kierunku droga. To właśnie na tym trakcie sunącym wzdłuż muru dostrzegłem końskie łby i kolorowe dachy cygańskich wozów. Było ich osiem i stały w rzędzie. Panował tam radosny gwar. Wtem ktoś gwizdnął przeciągle i natychmiast umilkły wszystkie roześmiane głosy. Zabrzmiała muzyka. Najpierw odezwały się skrzypce, a potem dołączyły harmonia, gitary, grzechotki, tamburyno i przepiękny śpiew. Nigdy w życiu nie słyszałem tak wiele cudownie współbrzmiących głosów. Męskie, żeńskie i dziecięce tony zabrzmiały poruszającą melodią, pełną ekspresji i szczerych namiętności. W przestrzeń uniosły się słowa: *My, Cyganie, co pędzimy*

z wiatrem. *My, Cyganie, znamy cały świat...* W przerwach pomiędzy wersami piosenki ktoś krzyczał na całe gardło imię jedyne go Cygana osadzonego w wronieckim więzieniu. Kochali Boyko, co do tego to nie miałem najmniejszych wątpliwości.

Niespodziewanie ciszę więziennych korytarzy rozszarpał dźwięk syreny alarmowej. Funkcjonariusze błyskawicznie zareagowali na niecodzienne wydarzenie. Jak się później dowiedziałem, wewnętrzne przepisy dokładnie określają sposób reagowania i działania na podobne zajścia. Kiedy w strefie okalającej teren więzienia dochodzi do nieformalnych zgromadzeń ludności cywilnej, strażnicy mają konkretne wytyczne.

Pomyślałem, że jutro będzie o czym opowiadać Suchemu i Ojczulkowi, ich cele bowiem znajdowały się po przeciwnej stronie bloku. Nie mam pojęcia, co się wydarzyło na zewnątrz, ale w pewnym momencie muzyka umilkła. I wtedy stało się coś niesamowitego. Jeden z więźniów, który miał okno skierowane na tę stronę świata, wydobył ze swojego gardła odgłos, jakby starał się naśladować szczekanie psa: hau! hau! hau! hau! Każde hau dzieliło od następnego około sekundy i brzmiało tak, jakby szczekający zapadł w trans. Podsunąłem się bliżej. Poczułem chłód stalowych prętów na moich policzkach. Odgłos szczekania miał w sobie coś zaraźliwego, coś, czemu trudno się było oprzeć. Odniosłem wrażenie, że ze wszystkich okien po tej stronie naszego bloku rozlega się rytmiczne hau, hau na znak poparcia dla śpiewaków, którym tutejsza władza rozkazała zamilknąć. Zanim

zdążyłem cokolwiek rozsądnego pomyśleć, też dałem się temu porwać. Chyba nie trudno sobie wyobrazić, jaki może być efekt, kiedy kilkudziesięciu dorosłych mężczyzn jednocześnie wściekle wykrzykuje ten sam odgłos. My czekaliśmy ze swoich cel, a Cyganie zaczęli klaskać w dłonie w tym samym rytmie. Wtedy nie było czasu myśleć o tym, co robimy. Porwał nas zew, któremu nie sposób się oprzeć, to była demonstracja naszej jedności i solidarności. Któż miał czas zastanawiać się nad konsekwencjami? Brnęliśmy w bardzo niebezpieczną uliczkę. Na zewnątrz nagle zaroilo się od ludzi w brązowych mundurach. Po kilku chwilach ustało klaskanie i tym samym nasze hau również zaczynało słabnąć. Narodził się chaos. Z więziennych okien dobiegały pojedyncze wyzwiśka w kierunku strażników. Dostrzegłem, jak dozorca Frantz cofnął się nieco i obserwował budynek naszego bloku, prawdopodobnie rejestrując w pamięci najbardziej zagorzałych krzykaczy. Po drugiej stronie muru sytuacja została chyba wyjaśniona, ponieważ wozy powoli ruszyły przed siebie. Chwilę później jednak ponownie rozległ się donośny śpiew i muzyka, a między wersami ktoś wykrzykiwał znajome imię. Było dokładnie jak przedtem.

Spoglądałem na tabor, który wolno sunął w stronę zachodzącego słońca, i wsłuchiwałem się w słowa piosenki: *Bo to słońce świeci tylko we mnie. Bo tę ziemię zmyślam sobie sam. Jak odejdę, będzie ciemniej. Cały świat odbiorę wam...* Stałem w oknie i nie potrafiłem oderwać od nich oczu. Dobry Boże, ależ ja im zazdrościłem tej swobody i wolności!

Na korytarzu panowało zamieszanie, podszedłem do drzwi i nasłuchiwałem. Ktoś wydawał komendy, tupot nóg, stukanie do cel i regulaminowe procedury. Kwadrans później prawa strona naszego bloku stała przed swoimi celami. Wyprowadzono nas na więzienny dziedziniec. Na dworze zapadał zmierzch, ale miejsce, gdzie staliśmy, tonęło w świetle żółtych latarni. Rozglądałem się dookoła, szukając znajomych twarzy. Był Roman i Kazik, ale nigdzie nie widziałem Boyko. Stało nas w grupie blisko sześćdziesięciu chłopa, z czego ponad połowa była z oddziału dziesiątego. Padła komenda, żeby ustawić się w dwuszeregu.

W głównych drzwiach pojawił się aspirant Szumki. Podszedł do poręczy balustrady i spojrział na nas z góry.

– Pierwszy szereg dwa kroki w przód! – rozkazał donośnym głosem. – Zachciało wam się szczekać?! No to sobie teraz poszczekacie! Klękać! Wszyscy na czworaka! Wykonać! – wrzasnął.

Kilkunastu klawiszy krążyło dookoła nas. Więzień, który się ociągał lub miał jakiś problem, natychmiast przyjmował uderzenie pałą na plecy albo w zgięcie kolan.

– A teraz szczekać, skurwysyny! Tak samo jak przedtem! – Uderzał pałą w stalową poręcz, nadając właściwy rytm.

Cóż było robić? Upokorzeni trwaliliśmy w pozycji na czterech, czując, jak garby brukowej kostki twardo odciskają się na kolanach. Opuściłem nieco głowę i spoglądałem z góry na moje dłonie. Z gardła wyrzucałem

ten sam dźwięk co pozostali. Szczekałem. W pewnym momencie poczułem końcówkę pałki, która dotykała mojego policzka. Uniosłem wzrok.

– Do góry łeb, kundlu! – rozkazał dozorca.

Byłem w drugim rzędzie, więc bez kręcenia karkiem strzeliłem wzrokiem po pozostałych. Każdy z więźniów miał głowę uniesioną ponad ramiona.

Szczekaliśmy.

Zapadła ciemna noc.

Szczekaliśmy ponad cztery godziny.

Dopiero kilka minut po drugiej w drzwiach ponownie pojawił się Szumski. Podeszedł do balustrady i krzyknął:

– Cisza! Powstać!

O nie, to nie było takie łatwe. Dźwigaliśmy się powoli i z nieukrywanym bólem. Zdrętwiałe nogi odmawiały posłuszeństwa i z trudem utrzymywały ciężar ciała.

– Czy ktoś ma jeszcze ochotę na szczekanie? – Szumski stał w rozkroku i spoglądał na nas z góry. Miał na sobie tylko czarne oficerki, brązowe spodnie, białą koszulę z podwiniętymi rękawami i rozpiętym pod szyją guzikiem. Taki właśnie wizerunek do dziś kojarzy mi się z człowiekiem o sadystycznych skłonnościach. – Jak to? Naprawdę macie już dość? – zapytał zdziwionym głosem. – Za to ja bardzo chętnie jeszcze raz posłucham, i cieszcie się, że nie musicie aportować. Klękać! – Nikt nie śmiał się zbuntować. Chwilę później znowu rozległo się rytmiczne hau, hau. Szczekaliśmy dopóki aspirant Teodor Szumski nie skończył palić papierosa. Kiedy zgaśnił peta, klasnął

dwa razy w dłonie i rzucił:

– Milczeć i powstać! – Ponownie z trudem wracaliśmy do pozycji stojącej. – Odprowadzić więźniów na blok – wydał rozkaz dozorcóm.

Kiedy znalazłem się w celi, padłem na pryczę i pomyślałem, jaka to rozkosz leżeć na plecach. Czułem, jak ból rozsadza moje umęczone i opuchnięte stawy kolanowe. Zamknąłem oczy i zapadłem w sen.

Przez kilka następnych dni szczekanie było jedynym tematem, który krążył pośród więziennych murów. Niektórzy z nas na pamiątkę swojego uczestnictwa mieli jeszcze dodatkowo sine i obolałe kolana.

Jedynym, który ucierpiał bardziej niż reszta towarzystwa, był Boyko. Szumski i Frantz tak dotkliwie go pobili, że przez dwa dni nie mógł się ruszać, a prawie tydzień spędził w izbie chorych. Oczywiście to było świadome i zaplanowane działanie z ich strony. Boyko właściwie niczego złego nie zrobił, ale jako osoba, która stała się punktem zapalnym, był dla strażników symbolem całego zajścia. Nasz okienny popis, noszący znamiona emocjonalnej więzi pomiędzy skazanymi został wywołany spontanicznym impulsem. Jeśli się nad tym jednak głębiej zastanowić, był to bardzo niebezpieczny objaw. Aspirant Szumski, wydając polecenie, które upokarzało i uwłaczało ludzkiej godności, złamał być może nie we wszystkich, ale na pewno we mnie ducha walki. Kara zaś, którą na swoje ciało przyjął Boyko, była wyraźnym sygnałem dla wszystkich, że nasze nocne szczekanie zawdzięczamy

właśnie jemu. Osobiście nie odbierałem tego w ten sposób, ale na przykład Roman był zupełnie odmiennego zdania.

– To stary, sprawdzony sposób – powiedział Ojczulek. – Taktyczne zagranie. Wszyscy ponoszą zbiorową karę, potem wskazujesz im, komu to zawdzięczają, i następuje rozłam. Nie wszyscy rodzą się Chrystusami, nie każdego jest stać na to, żeby wycierpieć za bliźniego. Gdybym był na miejscu Boyko, nie liczyłbym teraz na zyczliwość innych. Nie w tym miejscu.

To szczekające wydarzenie było na tyle niezwykle, że w pewnym sensie przeszło do historii, którą osadzeni przekazywali sobie z ust do ust. Po wielu latach przypomniało mi się to zajście i z przerażeniem stwierdziłem, że oprócz mnie jest w więzieniu jeszcze tylko kilku skazanych, którzy brali w tym udział.

Aż w końcu przyszedł taki dzień, że zostałem jedynym świadkiem.

To była smutna chwila.

Nagle okazało się, że obok mnie nie ma już nikogo, z kim mógłbym dzielić tamto wspomnienie i zacząć zdanie od słów: A pamiętasz, jak...

Od początku czerwca cała Polska żyła procesem, który dotyczył krwawych zająć sprzed ośmiu miesięcy na krakowskich ulicach. Po długim i mozolnym śledztwie przyszedł czas na pociągnięcie do odpowiedzialności winnych. Niektóre gazety ochrzciły tę sprawę jako *Zbrodnia PPS*. Na łamach prasy trwała polityczna przepychan-

ka, walka o elektorat i państwowe stołki.

Większość więźniów we Wronkach robiła zakłady, czy skazani w tej sprawie trafią tutaj, żeby odbyć karę.

Kilku kolesi z oddziału dziesiątego było pepeesowcami i dlatego stali się oni „celem” dla dozorczy Rudolfa Frantza. Funkcjonariusz był już wtedy znany ze swoich skrajnie prawicowych poglądów politycznych. Miał też pewną cechę charakteru, którą można oceniać w dwojaki sposób – był kurewsko zawzięty. Nie wiem, czy dobrze mu się z tym żyło, ale wiem, że niektórzy mieli przez to przechlapane.

Osobiście miałem gdzieś tę całą rozprawę i wybryki Frantza. Moją głowę zaprzętały ważniejsze sprawy.

– Nie będę ukrywał, nie jest dobrze, ziomek – chyba spodziewałem się właśnie takich słów, a nie innych – to ciężka choroba, trudna do wyleczenia. Lekarz stwierdził, że jeśli coś się rozwija przez długie lata, to nie da się tego pozbyć w ciągu kilku dni. Ten proces może potrwać nawet wiele miesięcy. Przykro mi – nie wiem, czy naprawdę było mu przykro, czy powiedział to tylko przez grzeczność – twoja mama bardzo dziękuje za pieniądze, które jej posłałeś, i modli się za ciebie. Co do transakcji ze złotem to rzeczywiście pomogli jej w tym ludzie, u których wynajmuje poddasze. Moja kobieta twierdzi, że wydają się mili. Próbowwała wyciągnąć z twojej starowinki, co dostała w zamian za obrączki, ale ona wciąż powtarzała, że wszystko było w jak najlepszym porządku.

– Widzisz, ona zawsze taka była, zawsze – mówi-

łem tak, jakbym chciał udowodnić Hrabiemu swoją rację. – Nigdy się nie skarżyła na swój los. Mam nadzieję, że dobrze jej się tam mieszka.

– Chyba tak – odparł mój rozmówca. – Krystyna mówiła, że kiedy zawitała tam zimową porą, to i ciepło w piecu było, i posprzątane, i schludnie.

– Ech – westchnąłem ciężko. – Mama zawsze taka była. Musiała mieć wokół siebie porządek. Wiecznie mnie o to strofowała, a ja robiłem jej na przekór. A teraz? Proszę bardzo, wystarczy tylko zobaczyć, w jakich warunkach pracuję. Wszystko musi być na swoim miejscu, nic nie ma prawa pałętać się pod nogami, żadnego bajzlu. Jak widać, udało jej się zaszcześcić we mnie porządek... No nic, dzięki za wieści. Jesteśmy w kontakcie. – Klepnąłem go w ramię.

– Trzym się, ziomek. No i rozumiesz, jakby co, to wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Nie miałem ochoty siedzieć i gadać z chłopakami. Wolnym krokiem dreptałem wzdłuż siatki okalającej teren spacerniaka. Zastanawiałem się, czy zrobiłem wszystko, co powinienem? Czy mogłem uczynić coś więcej? Jednocześnie czułem niemoc, która mnie przygniatała, dusiła i więziła w swoich okowach.

Nie wiem, jak mają i jak radzą sobie z tym inni, ale kiedy ja napotkam na problem, po prostu zaczynam nim żyć. Przeważnie miałem tak, że nie potrafiłem tego wyrzucić ze swojej głowy i zamęczałem się nieustannie. Z takimi sytuacjami nie radziłem sobie najlepiej. Tamtego jednak dnia, zataczając kolejne rundy po spacerniaku,

przypadkowo znalazłem antidotum na moją dolegliwość. To był alfabet. Szedłem przed siebie, a w głowie powtarzałem wyraźnie każdą literę. Kończyłem i znów zaczynałem od początku. Koncentrowałem się na tym zajęciu i czułem w środku coraz mniejsze napięcie. Uwalniałem się od ciężaru. Utrwalałem jednocześnie swoje wiadomości, które Ojczulek wbijał mi do łba.

Znalazłem idealne rozwiązanie – wiedza i odpoczynek w jednym.

– To jest wręcz nie do pomyślenia – powiedział oburzony Ojczulek, kiedy w pewien czerwcowy poranek, po śniadaniu wolnym krokiem zmierzaliśmy do stolarni. – Czasami w głowie mi się to nie mieści.

– Ale co? – zapytałem zdziwiony. Nie miałem pojęcia, o czym mówi.

– No właśnie to, co my teraz robimy. Ty i ja – wyjaśniał. – To przestaje przypominać więzienie. Chwilami nie czuję się jak skazaniec. Czy świat naprawdę aż tak bardzo się zmienił? Czy to możliwe, żeby to wronieckie więzienie, które jeszcze kilka lat temu uchodziło za jedno z najcięższych, nagle zmieniło swoje oblicze? Czasami wieczorem, kiedy kładę się spać, boję się, że po przebudzeniu nie zastanę tej rzeczywistości.

Wtedy nie wiedziałem tak do końca, co Ojczulek miał na myśli. Obaj byliśmy z innych światów. On, stary pokutnik, którego los przeciągnął przez różne cele i więzienia, i ja, młody skazaniec, który tak naprawdę niczego jeszcze nie doświadczył. To, co dla mnie wyda-

wało się czymś normalnym i oczywistym, dla niego było zjawiskiem z pogranicza cudu. Nieraz powtarzał, że jest mi bardzo wdzięczny, ponieważ praca na stolarni była dla niego najśłodszą nagrodą, jaką kiedykolwiek otrzymał. Cóż mogłem odpowiedzieć w takich chwilach? Nic. Uśmiechałem się pod nosem, kiwałem głową i żartowałem, żeby się za bardzo nie rozczulał.

W głębi duszy myślałem o tym, że jeśli dobrze zrobimy utrzymane we francuskim klimacie mebelki dla pani naczelnikowej, to na tym się nie skończy. Nie mówiłem tego głośno, gdyż nie chciałem, żeby mój pomocnik zaczął żyć złudzeniami. Obawiałem się, że pewnego dnia trafi do tego więzienia ktoś, kto będzie miał pojęcie o stolarce. Wtedy naczelnik na pewno wrzuci takiego delikwenta do warsztatu. Jaśki mieli przed sobą długie terminy, jeden wychodził za niespełna trzy lata, a drugi za cztery i pół. Nie klepałem więc dziobem o swoich meblarskich domysłach.

Nasze wspólne godziny, dni i tygodnie spędzone przy pracy i podczas mojej edukacji na zawsze wryły się w mojej pamięci. Ja szefowałem w pracy, a Ojczulek przejmował dowodzenie podczas przekazywania mi wiedzy. Pełniąc funkcję prywatnego nauczyciela, mój przyjaciel nie znał litości. Był wymagający i surowy. Uparcie dążył do tego, abym spełniał jego wygórowane oczekiwania. No cóż, niewątpliwie miał rację, tego samego bowiem życzyłem sobie ja, kiedy rozchodziło się o stolarkę.

W połowie lipca, czyli po dwóch miesiącach intensywnej nauki, potrafiłem już samodzielnie przeczytać tekst, ale nieco gorzej było z pisaniem. Kreśliłem tak straszne kulfony, że czasami sam nie mogłem na nie patrzeć. Zapisałem już resztę wolnych kartek w skoroszybie, który został mi jako scheda po Klemensie Wilczku, i zostałem bez podstawowego atrybutu ucznia. Ta sytuacja zbiegła się akurat w czasie, kiedy dopieszczaliśmy ostatnie detale szafy do sypialni państwa Wojciechowskich. Używając odpowiedniego roztworu wody utlenionej, amoniaku i zmielonej kredy, wybieliliśmy wszystkie drewniane elementy i uzyskaliśmy żadaną, kremową barwę.

– Nie wiedziałem, że masz jeszcze inne talenty – powiedział z podziwem Ojczulek, obserwując, jak mieszam proporcje i dokonuję prób na kawałkach drewna, żeby uzyskać odpowiednią barwę. – Jakieś dwieście lat temu mógłbyś być uczniem alchemika – zażartował.

Wnętrze szafy potraktowaliśmy woskiem, a fragmenty czołowe zostały pieczołowicie wykończone politurą stworzoną według mojej receptury. Brakowało jedynie czterech prostokątnych luster.

– Więzień dwadzieścia dziewięć-jedenaście do starszego referenta Henryka Krympego – zameldowałem, stając na baczność przed drzwiami dyżurki, obok której znajdowało się wejście do części administracyjnej. Wyjąłem z kieszeni moją magiczną przepustkę i podałem dozorczy, który pełnił tam służbę.

Funkcjonariusz spojrział na mnie, zanotował coś w dużym zeszytcie i zanim zezwolił mi na wejście, powiedział:

– Pokój numer dwadzieścia trzy.

Skinąłem głowę.

Doskonale wiedziałem, gdzie urzęduje starszy referent, ponieważ byłem już tutaj dwukrotnie. Za drzwiami z numerkiem dwadzieścia trzy znajdowało się dość duże pomieszczenie, oczywiście nie tak bogato wyposażone jak gabinet naczelnika.

Moim skromnym zdaniem, Krympe idealnie nadawał się na stanowisko, które zajmował. Chociaż na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie nieporadnego kolesia, w rzeczywistości był bardzo skuteczny. Nie znał definicji słowa „niemożliwe”, a jego kochanka, dla której byłby w stanie zabić, miała na imię „skrupulatność”.

Taki właśnie był starszy referent do spraw zaopatrzenia Henryk Krympe.

Zapukałem do drzwi, zameldowałem się i przedstawiłem listę swoich potrzeb.

– Lustra będą w ciągu dwóch, najdalej trzech dni – odpowiedział mężczyzna za biurkiem. – Za to te trzy skoroszyty możesz odebrać z magazynu jeszcze dziś, a nawet zaraz – powiedział, kreśląc na urzędowym druczku swój podpis. Przybił pieczętkę i podał mi ten prostokątny świstek. Podobało mi się, że Krympe nie stawiał żadnych pytań. Ciekawe, czy jeśli zgłosiłbym się z jakąś abstrakcyjną potrzebą również poszłoby tak gładko? Jakby zareagował, słysząc, że potrzebuję flaszki wódki, słoik

kiszonych ogórków i dwie paczki fajek?

Kiedy wolnym krokiem pokonywałem korytarze, zmierzając do magazynu, przypomniał mi się poznański areszt garnizonowy i słowa wachmistrza Łapickiego:

– Gówno tam, a nie przypadek – mówił z tą swoją wściekłością w głosie. A właściwie wtedy nie mówił, tylko się wydzierał. – Takie przypadki po prostu nie istnieją – miał na myśli aferę, która wybuchła w garnizonie, kiedy okazało się, że dwóch oficerów sztabowych było uwikłanych w skandal dotyczący potężnych pieniędzy i związanych z nimi malwersacji. – Przypadkiem to można spotkać dziwkę na ulicy, a nie wydać fortunę na rzeczy, które nie dość, że były warte tylko ćwierć tej astronomicznej kwoty, to na dodatek nigdy nie dotarły do magazynu!

Jak powiadają, nic nie trwa wiecznie. Wreszcie nastał ten dzień, kiedy mogłem bez żadnych problemów utrzymać kontakt ze światem zewnętrznym. Listy, paczki, odwiedziny, teraz wszystko było na wyciągnięcie ręki. Jeszcze jakiś czas temu wydawało mi się, że to będzie bardzo szczególny dzień. I kiedy wreszcie nadeszła ta chwila, uświadomiłem sobie, jak bardzo się zmieniłem. Już nie byłem tym samym przerażonym dzieciakiem.

Zgodę na wysyłanie i otrzymywanie korespondencji postrzegałem oczywiście jako coś najważniejszego, tylko że... patrzyłem na to przez pryzmat papierosowej oszczędności. Z tego powodu sam przed sobą czułem się zawstydzony i zażenowany. Zdawałem sobie sprawę, że

moja mama ze względu na chorobę i trudy dalekiej podróży, raczej nie wybierze się w odwiedzin. Na paczkę z domu nie liczyłem, chociaż chętnie zjadłbym plaster wędzonej szynki. Pieniądze, które dostała, miały jej służyć i zapewnić godną egzystencję. Poza nią nie miałem nikogo, kto mógłby o mnie pamiętać. Kumple i przyjaciele? Chyba nie ci sami, którzy zniknęli z mojego życia, zaraz po tym, kiedy mnie aresztowano. Agnieszka? Sam już nie wiem, jak wiele razy pytałem się o to w myślach. Nie wierzyłem, że mogła ot tak sobie po prostu zapomnieć o mnie i o tym wszystkim, co nas łączyło. A co jeśli mogła?

Regulamin wyraźnie mówił, że więzień, który chce wysłać list, musi go dostarczyć do funkcjonariusza dyżurnego na bloku, a koperta ma być otwarta, ponieważ treść podlegała cenzurze. Cała korespondencja zarówno wychodząca, jak i przychodząca była kontrolowana przez aspiranta Szumskiego. Do jego obowiązków należało prowadzenie specjalnej karty, zwanej „pocztową”.

W gabinecie Szumskiego znajdował się szary, metalowy regał z czterema wysuwanymi szufladami. Mieściły się w nim teczki wszystkich więźniów, którzy aktualnie byli osadzeni na bloku B. Istna kopalnia wiedzy. W każdej teczce był formularz z danymi osobowymi, dokumenty z sądu oraz wszelkiego rodzaju raporty potwierdzające historię pobytu w placówce. Kartoteki były prowadzone precyzyjnie, a dokumenty układano w chronologicznej kolejności. Poczynając od pierwszego dnia

pobytu, gromadzono tam informacje dotyczące szczegółów zakwaterowania, pobranego ekwiwalentu, przydziału do pracy, meldunków dozorców na temat zachowania i dyscypliny oraz notatki dotyczące popełnionych przewinień i nałożonych na więźnia dodatkowych kar.

Kiedy na biurko aspiranta Szumskiego trafiał list, nasz cenzor Teodor najpierw zapoznawał się z jego treścią. Następnie sięgał do kartoteki danego delikwenta i wypełniał jego kartę pocztową. Tam stało wszystko czarno na białym. Regulamin dokładnie określał, że każdy więzień może tylko raz w miesiącu wysłać list. Szumski najpierw sprawdzał na karcie pocztowej ostatni wpis. Jeśli od tamtej pory nie minął jeszcze równy miesiąc, list był zwracany skazanemu, jeśli zaś termin był prawidłowy, nanosił na kartę aktualną datę oraz dane adresata i przekazywał korespondencję do wysyłki w sekretariacie. Teoretycznie.

Teoretycznie również inny punkt tego samego regulaminu zezwalał na przychodzenie korespondencji z zewnątrz bez ograniczeń. Oczywiście teoretycznie bez ograniczeń. Listy, jak nie trudno się domyślić, stanowiły kartę przetargową i stwarzały idealną okazję do szantażu, którą taka szuja jak Szumski potrafił idealnie wykorzystać.

Kiedy po dwóch latach pobytu we wronieckim więzieniu oddałem na dyżurce list do matki, napisany w moim imieniu przez Ojczulka, nie miałem najmniejszych wątpliwości, że zostanę wezwany przed oblicze niepodzielne-

go władcy bloku B.

Na audiencję czekałem tylko trzy dni.

– Więzień dwadzieścia dziewięć-jedenastie melduje się na wezwanie – wyrzuciłem z siebie regulaminową formułkę, meldując aspirantowi Szumskiego swoje przybycie.

Spojrzał na mnie, pokiwał głową, sięgnął do szuflady i wyjął białą kopertę.

– Widzę, że dostarczyłeś coś do wysłania. – Położył list na blacie biurka, tuż obok szarej teczki z moim imieniem i nazwiskiem.

– Tak jest, panie aspirancie – odpowiedziałem.

– Kto ci pomógł napisać list? Twój pomagier Gerswalde? Oj, przepraszam – poprawił się – von Gerswalde? – Słyszałem w jego głosie ironię.

– Tak jest, panie aspirancie – potwierdziłem. Na razie wolałem zataić informację, że uczyniłem spore postępy w nauce pisania i czytania. Poza tym nie byłem jeszcze na tle dobry w pisarskich, manualnych czynnościach, żeby samodzielnie kreślić listy.

– Czyli jak domniemywam – otworzył srebrną papierośnicę – zamiast uczciwie pracować, marnujecie czas na twoje prywatne sprawy. Tak? – Spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.

– Nie, panie aspirancie – starałem się mówić pewnym głosem. – Eryk von Gerswalde pomógł mi napisać ten list w czasie wolnym, o którym jest mowa w przepisach regulaminu.

– Żabikowski, czy starasz się mnie zirytować? –

Uniósł dłoń na znak, jak gdyby chciał powstrzymać moje dalsze słowa. – Chcesz mnie uświadamiać, o czym mówi regulamin? Przepisy to ja znam na pamięć. – Zaciągnął się głęboko dymem. – Jeżeli stwierdzę, że w stolarni zamiast pracy wykonujecie inne czynności, uczynię wszystko.... Rozumiesz? Wszystko, żeby odebrać ci na jakiś czas przywilej korespondencji i odwiedzin.

– Rozumiem, panie aspirancie – zmusiłem się do odpowiedzi dopiero po chwili, cisza stawała się bowiem zbyt niepokojąca.

– A to tylko z jednego powodu, który znasz. – Uśmiechnął się. – Udowodnij mi, że pamiętasz z jakiego. No dalej. – Wykonał taki ruch dłonią, jak nauczyciel zachęcający nieśmiałego ucznia do odpowiedzi.

– Bo mnie pan aspirant nie lubi – odparłem beznamyślnym głosem.

– Właśnie. – Szumski starym zwyczajem klasnęła z radości w dłoń. – Kurwa, Żabikowski, zacznym lubić to, że cię nie lubię. Ależ mnie to bawi. Musimy się chyba częściej spotykać na takich pogaduchach, bo od razu mi się poprawia humor. – Patrzył na mnie z wyrazem triumfu. – To wszystko, możesz odejść.

– Mam pytanie, panie aspirancie – zacząłem niezdecydowanym głosem. Szumski uniósł brwi w pytającym grymasie. – Kiedyś powiedział pan, że jest do mnie jakiś list. – Miałem nadzieję, że pamięta o tamtej sytuacji.

– Do ciebie? – Otworzył szufladę i zaczął przeglądać plik kopert. Spojrzał na jedną, wyjął ją, zbliżył do swoich nozdrzy i powąchał. – Ładnie pachnie – poczułem,

że moje serce zabiło szybciej – niestety, nie jest adresowana do ciebie. – Przeglądał pozostałe. – Nic z tego, Żabikowski, nikt do ciebie nie pisał. Może mnie wtedy źle zrozumiałeś? – Włożył listy z powrotem do szuflady. – A teraz wynoś się stąd!

Obróciłem się na pięcie i opuściłem jego gabinet. Kiedy zamknąłem za sobą drzwi, miałem ochotę wrzeszczeć.

Prace nad meblami do sypialni pani naczelnikowej posuwały się w zadowalającym tempie. Drzwi z lustrami stały oparte w najdalszym zakamarku stolarni, na tyle daleko, żeby nic nie mogło ich uszkodzić.

Ojczulek z równym zapałem przykładał się do roboty, jak ja do nauki.

Tworzyliśmy zgrany duet.

Z każdym dniem zbliżał się nieuchronnie termin pierwszego montażu, a to wiązało się z wyjściem na zewnątrz. Planowałem, że najpierw zabudujemy ścianę, przy której miała stać szafa z lustrami. Informację o wyjściu chciałem trzymać przed Ojczulkiem w tajemnicy, żeby zrobić mu któregoś dnia niespodziankę, stawiając go przed faktem, że dziś wychodzimy. Po głębokim namyśle jednak stwierdziłem, że lepiej nie serwować mu takiej atrakcji. Nie wiedziałem, jak może zareagować na otwartą przestrzeń, w końcu siedział w więzieniu grubo ponad czterdzieści lat.

Dla skazańca to nie było takie proste, jak mogłoby się wydawać. Nie dało się ot tak sobie wyjść poza mury

i potraktować to jako coś normalnego. Wiedziałem sam po sobie, pamiętam ten mój majowy zachwyt światem po drugiej stronie, kiedy Blacha prowadził mnie do domu naczelnika.

Kiedy powiedziałem Ojczulkowi o moich planach, wydawał się bardzo poruszony.

– Miałem dwadzieścia osiem lat – powiedział – kiedy wtrącili mnie do więzienia. Kilka razy zmieniałem miejsce odbywania kary, ale wtedy za bardzo nie było okazji do podziwiania okolic, przez które przejeżdżaliśmy. – Zamilkł i dopiero po dłuższej chwili dodał: – Lękam się tego – zabrzmiało smutno.

W pierwszą niedzielę sierpnia na spacerunku doszło do ostrej zadymy między kilkoma więźniami z bloku A. Tak zaciekle lali się po mordach, że aż miło było popatrzeć. Oczywiście reszta skazanych doskonale wiedziała, że w takich wypadkach należy się trzymać z dala od centrum wydarzeń.

My jak zawsze siedzieliśmy na stopniach placu apelowego, które znajdowały się w bardzo bezpiecznej odległości, i podziwialiśmy bokserskie umiejętności.

– Człowiek jednak ma w sobie coś zepsutego – skwitował Suchy. – Lubi niekiedy popatrzeć na takie zjawiska.

Zauważyłem, że wykonywał lekkie ruchy barkami i głową, zupełnie jakby sam unikał nadlatujących ciosów.

– To wyobraź sobie, co musiało się dziać w starożytnym Rzymie – odezwał się Ojczulek – kiedy toczono

walki gladiatorów albo kiedy na arenie Koloseum dzikie zwierzęta rozszarpywały na strzępy pierwszych chrześcijan.

– Tam musiała być prawdziwa rzeź – w głosie Suchego zabrzmiała niezdrowa fascynacja – nie to co tutaj.

– Nie narzekaj, też się dzieje – skwitował Roman.

– Tadzio Wójcik daje radę – włączył się do rozmowy Kazik. – Dobry jest! – Najwyraźniej mu kibicował.

– Zaraz ich wszystkich wyprostują i sprowadzą do jednego poziomu – powiedział Ojczulek i kiwnął głową w kierunku, skąd truchtem nadbiegał oddział interwencyjny.

Funkcjonariusze wpadli na spaceriak i po chwili wszyscy uczestnicy bójki zostali skutecznie spacyfikowani. Czarne pałki tylko świstały w powietrzu i z charakterystycznym mlaskiem lądowały na ludzkich ciałach.

– Ciekawe, o co im poszło? – zapytał Suchy.

Spojrzałem na Ojczulka, który uśmiechnął się tylko do mnie. My dwaj chyba znaleźmy przyczynę tej bójki.

Kiedy wczoraj po południu poszliśmy do stolarni, księżulo przemycił najświeższe wydanie „Kurjera Poznańskiego”. Wyjął gazetę z za pazuchy i położył ją na stole. Patrząc na pismo, czułem, jakbym miał przed sobą owoc zakazany.

W 1924 roku w myśl wewnętrznych przepisów obowiązujących we wronieckim więzieniu posiadanie przez któregokolwiek ze skazanych z oddziału dziesiątego materiałów czytelnich typu ulotki, broszury, gazety lub

książki było bardzo poważnym wykroczeniem.

– No to sobie dzisiaj trochę poczytamy – powiedział rozkazującym tonem.

To był mój drukarski debiut, ponieważ do tej pory czytałem jedynie z tablicy albo z zeszytu.

Wziąłem gazetę w dłoń, pod opuszkami palców zaszeleścił lekko chropowaty papier. Spojrzałem na czołową stronę pisma. Utkwiłem wzrok w literach i półgłosem, wolno wypowiadałem słowa:

– „Kurjer Poznański”, dzisiaj dwanaście stron, nakład trzydzieści dwa tysiące pięćset, cena piętnaście groszy, Poznań, sobota, drugi sierpnia tysiąc dziewięćset dwudziesty czwarty rok. – Spojrzałem na Ojczulka i uśmiechnąłem się z zadowoleniem. – Są trzy tytuły na głównej stronie. Który mam czytać?

– A jakie mamy tytuły? – zapytał księżulek.

– Pierwszy to *Zbrodnia krakowska* – brakowało mi płynności, ale dawałem radę – drugi: *Uwolnienie zbrodniarzy krakowskich* i trzeci: *Przyjęcie projektu francuskiego w Londynie* – przeczytałem, czując niepoohamowaną radość. Potrafiłem rozszyfrować napisy.

– Tematy zagraniczne możemy sobie darować. To, co stało się zeszłego roku w Krakowie, bardziej nas zainteresuje – powiedział. – Myślę, że powinniśmy się czegoś dowiedzieć o decyzji sądu.

– Skąd masz tę gazetę? – musiałem zadać to pytanie.

Ojczulek tylko się uśmiechnął i powiedział:

– Nie ważne skąd. Powiedzmy, że to prezent od

znajomego. Przynajmniej możemy zapoznać się z twoją wiedzą. – Uśmiechnął się. – No dobra, my tu gadu- gadu, a nie ma co marnować cennych minut – zmienił temat. – Bierz się za czytanie.

Spojrzałem na jego starą twarz, uśmiechnąłem się i zacząłem dukać:

– *Uwikłanie zbrodniarzy krakowskich. Ława przysięgłych uniewinniła morderców. Prokurator zastrzegł sobie zażalenie nieważności...* – Nie bardzo rozumiałem, co czytam. – Co to znaczy? – zapytałem Ojczulka.

– Na razie się na tym nie skupiaj, czytaj dalej – powiedział i zamknął oczy.

– *Kraków. Na początku dzisiejszych rozpraw w procesie o zajścia listopadowe w Krakowie odczytywano przez półtorej godziny werdykt przysięgłych...* – brnąłem słowo po słowie przez resztę artykułu. Kilka razy Ojczulek poprawiał mnie, kiedy błędnie przeczytałem jakiś wyraz albo zjadałem literkę. Prawdę powiedziawszy, przeczytałem tekst, ale nic z niego nie wiedziałem. Nie potrafiłem jeszcze wydobyć sensu przeczytanych zdań, ponieważ bardzo koncentrowałem się na łączeniu liter w pojedynczych słowach.

– Całkiem nieźle jak na pierwszy raz – pochwalił mnie mój nauczyciel.

– No nie wiem, zmęczyło mnie trochę to czytanie i nic nie rozumiałem.

– To typowe, nic się nie martw. Im więcej będziesz czytał, tym prędzej zaczniesz do ciebie docierać sens tekstu. Ten artykuł mówi o tym, jaki zapadł werdykt w sprawie

winnych krakowskiej zbrodni. To jest kpina z narodu polskiego, bo wymiar sprawiedliwości wydaje śmieszne wyroki, zapominając, że zginęło wtedy kilkanaście osób. Zajmują się marionetkami i figurantami, podczas gdy prawdziwi architekci tych zająć są nietykalni. Polityka, mój przyjacielu, to jest właśnie polityka.

Niedzielna bójka została wywołana właśnie przez ten werdykt. Stał się zapalnikiem tego mordobicia, które miało miejsce na spacerniaku. Już podczas śniadania dało się słyszeć przy niektórych stołach pierwsze odgłosy kłótni i wzajemnych wyzwisk. A później jak się okazało, byli pośród nas tacy, którzy nie tylko gębą, ale i pięściami potrafili zajadle bronić swoich ideologicznych przekonań.

Przez kolejny tydzień popołudniami czytałem prasę, którą załatwił Ojczulek. Tak szczerze, to dość opornie mi szło. I chociaż przebrnąłem przez artykuł, który opowiadał, co wspólnego mają ze sobą Bank Polski, nasza sytuacja ekonomiczna i kryzys gospodarczy, to i tak niczego nie zrozumiałem. Ojczulek zaś stwierdził, że wyjaśnianie mi tej zagmatwanej sprawy zupełnie mija się z celem. Było trochę o zagrywkach politycznych w sejmie, krótka wzmianka o rewolcie wojskowej w dalekiej Brazylii, sporo informacji o naszej rodzimej gospodarce, kulturze, sporcie i... nie wiem po co, ale przejrzałem po raz pierwszy w swoim życiu indeks giełdowy. Kompletna magia.

Zaintrygowała mnie sprawa dwóch młodych Żydów z Zamościa. Chłopaki mieli po dwadzieścia parę lat i zostali skazani za pohańbienie chrześcijańskiego krzyża.

Jeden z nich dostał pięć miesięcy aresztu, a drugi – sześć. Incydent miał miejsce podczas jakiejś żydowskiej maskarady. Sądzeni byli przebrani za diabła i błazna. Według zeznań świadka dla hecy zaatakowali trzeciego uczestnika zabawy, który miał na sobie kostium kardynała i w teatralny sposób bronił się przed tamtymi za pomocą krzyża zawieszzonego na szyi. Wtedy tamci pluli na symbol, który bądź co bądź jest bliski każdemu Polakowi.

– Jeśli ktoś ich sypnie za co siedzą, to nie będą mieć za kratami łatwego życia – skwitował Ojczulek. – Kiedy słyszę takie wiadomości, ubolewam nad istotą człowieczeństwa. Zwierzęta mają dla siebie więcej szacunku. Wspomnisz kiedyś moje słowa, ludzie będą się mordować w imię wiary lub pochodzenia z taką samą zawziętością, z jaką to czynili w średniowieczu.

Zawarte w gazecie wiadomości z kraju i ze świata na pewno były ważne i ciekawe, ale ja zakochałem się w drobnych reklamach i anonsach. Dzięki tym rubrykom czytanie prasy miało dla mnie sens. Najbardziej jednak cieszyło mnie, że te krótkie wiadomości były dla mnie zrozumiałe i nie potrzebowałem pomocy w przetłumaczeniu tekstu z polskiego na nasze.

Od tamtej pory zostałem miłośnikiem miniaturowych ogłoszeń.

Tego dnia kiedy mieliśmy dokonać zmian w sypialni naczelnika, Ojczulek od samego rana chodził podekscytowany.

– Czuję się jak dzieciak, który czeka na to, żeby

dziś doświadczyć największej przygody swojego życia – powiedział mój pomocnik, kiedy pakowaliśmy na pakę samochodu elementy szafy. – Ale jestem też nieco przerażony.

Byłem sobie w stanie wyobrazić jego uczucia. Przerabiałem już ten temat.

Odpowiednio zabezpieczone drzwi z lustrami opierały się o lewą burtę. Dwa razy sprawdziłem, czy wszystko zostało zabrane.

– Proszę jechać ostrożnie – powiedziałem do dozorca siedzącego za kierownicą. – Tak żeby lustro nie popękały.

– Jasne – padła odpowiedź i po chwili samochód odjechał w kierunku bramy.

Nie wiem, co mówiły więzienne przepisy na temat wyjścia więźniów poza teren obiektu, ale nas eskortowało dwóch uzbrojonych strażników. Dozorca Frantz i jego kumpel, Ignacy Drywulski, na którego wszyscy klawisze wołali „Drywul”. Moim zdaniem, koleś nie należał do najsympatyczniejszych. Na prawym policzku miał kilkucentymetrową szramę, która na pewno nie dodawała mu urody. Ponoć tę bliznę zawdzięczał walce na bagnety, którą stoczył na froncie podczas wojny.

Kiedy znaleźliśmy się po drugiej stronie więziennego muru, znowu poczułem się tak, jakbym wkroczył do innej rzeczywistości, chociaż to była ta sama znajoma ulica, drzewa, latarnie, budynki... Otaczająca nas zieleń wydawała się jednak nieco inna w porównaniu do tej, którą zapamiętałem z majowego wyjścia. Bądź co bądź

mieliśmy środek upalnego lata i natura wręcz eksplodowała, ukazując całą swoją potęgę. Nawet powietrze miało inny zapach niż na spacerniaku. Kiedy zerkałem pomiędzy budynkami, chwilami widziałem otwartą przestrzeń aż po kres horyzontu. Sięgałem wzrokiem do miejsc, gdzie niebo tuliło się do kolorowych połaci pól. Patrząc na ten cudowny widok, miało się ochotę puścić biegiem, żeby tylko tam dotrzeć. W jednym z okien zauważyłem urodziwe kwiaty pelargonii w krwistopurpurowym kolorze. Łodygi uginały się pod ich ciężarem. I nagle zdałem sobie sprawę, że prawie zapomniałem o czymś takim jak kwiaty. Czy jesteście sobie w stanie wyobrazić świat bez kwiatów?

Ojczulek kroczył obok mnie i niczym ciekawski turysta rozglądał się dookoła. Przez moją głowę co chwila przebiegały dziwne myśli. Gdyby tylko w naszym życiu niektóre sprawy potoczyły się zupełnie inaczej, równie dobrze moglibyśmy być dwójką przyjaciół, którzy wybrali się na krótki przedpołudniowy spacer.... zamiast więziennych drelichów mielibyśmy wówczas na sobie cywilne wdzianka. Czy taki scenariusz mojego życia byłby możliwy?

– Mam nadzieję, że żadnemu z was nie strzeli coś głupiego do głowy – odezwał się nagle Frantz i jego słowa sprowadziły mnie na ziemię.

– Nie ma takiej obawy, panie dozorczo – zapewniłem.

W domu naczelnika była tylko młoda gospoia. Kiedy my

z Ojczulkiem wnosiliśmy materiały na piętro, gdzie znajdowała się sypialnia, dozorca Drywulski flirtował z dziewczyną.

Widziałem, jak mój pomocnik rozgląda się dookoła podekscytowanym wzrokiem, i wcale nie byłem zdziwiony. Każdy człowiek, który przesiedziałyby w pudle tyle lat co ten stary księżulek, też nie potrafiłby obojętnie przejść obok ścian, na których wiszą czyjeś rodzinne zdjęcia i kolorowe obrazy. Ojczulkowi trudno było się powstrzymać, żeby nie musnąć dłonią sprzętów czy zatrzymać na chwilę wzroku na koronkowych firanach i ciężkich, aksamitnych zasłonach. To wszystko, co nas teraz otaczało, musiało w pewnym sensie nosić znamiona domu, który pamiętał ze swojej zamierzchłej przeszłości. Najbardziej mnie jednak zaskoczyło, kiedy zauważyłem, jak niemal z namaszczeniem dotykał puszystego dywanu w sypialni. Musieliśmy go zwinąć, żeby przygotować sobie miejsce pracy i zrobić plac dla naszych gratów. Wszystkie przedmioty, łącznie z dużym łóżem, przestawiliśmy dalej, w drugi koniec pomieszczenia.

Dozorca Frantz rozsiadł się wygodnie w pobliżu okna i oddał się czytaniu prasy.

– Wszystko dobrze? – szepnąłem w stronę Ojczulka.

Uśmiechnął się smutno i skinął głową.

Robota szła nam całkiem sprawnie. Kiedy około południa nagle obok strażnika Drywulskiego, który stał w drzwiach sypialni, pojawiła się filigranowa małżonka naczelnika, mieliśmy już zamontowaną ponad połowę

podstawowej konstrukcji.

– Dzień dobry panom. – Nie czekając na naszą odpowiedź, podeszła do dozorca Frantza, który natychmiast poderwał się na równe nogi. Przez chwilę o czymś z nim rozmawiała, a potem zwróciła się do mnie:

– Stolarzu.

– Tak, proszę pani? – odezwałem się, podnosząc głowę.

– Kiedy szafa będzie gotowa?

– Jurto, proszę pani – odparłem bez zbędnych tłumaczeń.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się z zadowoleniem, obróciła na pięcie i wyszła z pokoju.

Niespełna kwadrans później ujrzeliśmy młodą gosposię niosącą tacę, na której spoczywały duży dzban i cztery szklanki z grubego szkła.

– Pani Wojciechowska kazała podać kompot z rabarbaru – powiedziała do Drywula, stojącego w drzwiach, który niby się cofnął, żeby zrobić jej przejście, ale i tak jego dłoń nieznacznie otarła się o talię dziewczyny. Najwyraźniej podobał jej się sposób, w jaki strażnik okazywał jej swoje zainteresowanie. Dziewczyna położyła tacę na komodzie i wychodząc, posłała mu zalotne spojrzenie.

Patrząc na twarz Drywulskiego, trudno mi było zrozumieć kobiece zachowanie. No cóż, najwyraźniej facet miał chyba w sobie coś magnetyzującego.

– Chce wam się pić? – zapytał Frantz.

– Chętnie umoczymy usta, panie dozorczo – odpo-

wiedział Ojczulek.

Strażnik napełnił wszystkie szklanki.

– Może zrobimy przerwę na papierosa? – zapytałem nieco nieśmiałym głosem.

– To idziemy na zewnątrz, sam chętnie puszcę dymka. – Drywul kiwnął głową.

Całą czwórką wyszliśmy z domu.

Na dworze królował letni upał. Usiedliśmy z Ojczulkiem na stopniach werandy, skąpanych w promieniach sierpniowego słońca. Chłodny, rabarbarowy kompot idealnie pasował do pogody. Kilka metrów dalej przed nami klawisze niczym paniska rozsiedli się w wiklinowych fotelach, otulonych cieniem owocowych drzew.

– I co myślisz? – zapytałem półszepsem mojego pomocnika i nauczyciela w jednej osobie.

– Sam już nie wiem – odpowiedział dziwnym głosem.

– Nie rozumiem – powiedziałem zaskoczony jego słowami.

– Ja też nie rozumiem. – Zaśmiał się, ale nie było w nim radości. – Zbyt dużo czasu spędziłem w więzieniu, żebym teraz miał normalne i zdrowe podejście do tego świata. Chyba nie potrafiłbym się tutaj odnaleźć. Dzięki Bogu, wcale mi to nie grozi.

Spojrzałem na wprost. W oddali ponad czubkami drzew, na tle błękitnego nieba wznosiła się więzienna wieża. Na jej spadzistym dachu, który od czoła przypominał trapez, wyraźnie odznaczał się duży kształt krzyża ułożony z ciemniejszej dachówki niż pozostała. Zamkną-

łem oczy i rozkoszowałem się ciepłem ogrzewającym moją twarz. Z jednej strony miałem w sobie tak dużo wspomnień, że tęskniłem za tym światem, który nas teraz otaczał, a z drugiej przeraziło mnie to, że kiedyś mogę poczuć tę samą gorycz co Ojczulek. W takiej chwili jak ta, liczyło się tylko tu i teraz. Wszystko inne tak naprawdę było zupełnie nieistotne. Nawet strach. Zamiast dręczyć się swoimi słabościami, wolałem sobie wyobrazić, że mógłbym teraz siedzieć na schodach prowadzących do mojego domu.

Jak pięknie było zanurzyć się w tym złudzeniu!

Sierpień zbliżał się ku końcowi, reszta mebli do sypialni naczelnika była już prawie gotowa, a ja nadal nie dostałem od matki żadnej odpowiedzi. Wysłałem swój list ponad miesiąc temu. Postanowiłem nie czekać w nieskończoność.

Pomyślałem, że w sprawie moich przesyłek najlepiej postąpię tak, jak sobie poprzysiągłem ponad rok temu. Będę pisał miesiąc w miesiąc. Pod koniec sierpnia zaniósłem swój list na dyżurkę. Wbrew moim oczekiwaniom i kompletnemu zaskoczeniu nie zostałem wezwany przed oblicze Szumskiego.

Postanowiłem działać na dwa fronty. Skoro oficjalny kanał wysyłkowy z jakiś nieznanymi mi przyczyn zawodził, zgłosiłem się do Hrabiego.

Według wcześniej ustalonych warunków odpaliłem mu dziesięć skrzynek, a w zamian jego kobieta miała sprawdzić, co jest grane.

– Może Szumski po prostu nie wysłał twoich listów – powiedział mój pośrednik, kiedy wyjaśniłem mu, o co chodzi.

– Biorę taką możliwość pod uwagę – odparłem. – Aspirant to chodząca gnida.

Nasza egzystencja toczyła się utartym rytmem. Każdy dzień przypominał poprzedni. Dookoła działały się jakieś drobne sprawy, ale nie miały one żadnego wpływu na naszą rutynę. Podczas posiłków rozrywkę zapewniali nam Boyko i Roman, którzy opętani własną zawziętością i złośliwością nadal toczyli rasową wojenkę. Kazik jak zawsze wydawał się oddalony od wszystkich i wszystkiego. Myślę, że po prostu skupił się już tylko na odliczaniu dni, które mu pozostały do wypełnienia pokuty. Suchy w końcu trafił ze swoim kaszlem do więziennego lekarza. Zatrzymali go na kilka dni w lazarecie, a potem dwa razy dziennie dreptał do izby chorych, w której faszzerowali go jakimiś proszkami.

Nie wiem, czy to był tylko przypadek, czy też dozorczy Drywulski i Frantz mieli wyłączność na eskortowanie nas do domu naczelnika. Nie wietrzę żadnego spisku, ale trzy razy z rzędu...?

Tylko my i oni.

Nasze wspólne, milczące wyjścia.

Minęło południe, kiedy skręciliśmy z Ojczulkiem wszystko, co nadawało się do skręcenia, a potem pod dyktando pani Wojciechowskiej zaczęło się przestawianie

mebli w tę i we w tę. Ku naszej ucieście klawisze przesuwali je razem z nami. Szafki tu, komody tam, łóżko nieco w prawo, szafki bliżej, łóżko na drugą stronę bokiem do okna, toaletka tam, komody bardziej do siebie... Chryste, dobrze, że nie kazała nam rozkręcać szafy!

Dobłą godzinę targaliśmy meble z kąta w kąt. Były solidnie zrobione, nawet nic nie zaskrzypiało. Trzymały się twardo i sztywno.

– Teraz jest idealnie – powiedziała w pewnym momencie, a nasza czwórka poczuła zbawienną ulgę. – Niech tak zostanie.

Wszystkie nasze narzędzia i materiały pomocnicze wynieśliśmy na zewnątrz.

– Nazbierało się trochę tych gratów – rzucił Frantz, spoglądając na przedmioty poukładane pod ścianą budynku. – Czekamy na furgonetkę czy zostawiamy to tutaj i idziemy? – zapytał Drywula.

– Czekamy – odparł tamten.

Tak samo jak ostatnio funkcjonariusze rozsiedli się w fotelach, a my z Ojczulkiem na schodach.

– Czuć już jesień w powietrzu – odezwał się mój partner i wziął głęboki oddech. – Jaką porę roku lubisz najbardziej? – zapytał nagle ni stąd, ni zowąd.

– Wiosnę – odparłem bez zastanowienia. – A najbardziej maj.

– Ja tam wolę jesień – powiedział. – Taką wiesz, prawdziwą, barwną i zaczarowaną jesień – dodał z uśmiechem. – Kiedy byłem młody, uwielbiałem jesienne spacerować. Niedaleko mojego rodzinnego majątku w Friedberg był

wspaniały, dębowy las. Jeśli tylko miałem okazję, wymyślałem się tam na samotne wędrówki. Pomiędzy wiekowymi drzewami prowadził leśny trakt, którym w godzinę marszu można było dotrzeć do malowniczego miasta Augsburg. Słyszałeś kiedyś o tej miejscowości? – zapytał. Przecząco pokręciłem głową. – Zostało założone jeszcze przed narodzinami Chrystusa. Kochałem chodzić do tego lasu – westchnął. – Miał w sobie jakąś majestatyczną magię. Lubiłem słuchać szumu wiatru baraszkującego pośród dębowych liści, upajałem się delikatnym zapachem dębiny, a widok gałęzi wyrastających z masywnych konarów napawał mnie siłą. Całkiem niedaleko było łagodne wzgórze, chociaż może bardziej wzniesienie niż wzgórze, skąd roztaczał się wspaniały widok na całą okolicę. Ponad koronami drzew w oddali malowały się zabudowania Friedberg z królującą ponad nimi strzelistą, kościelną wieżą. Spadziste dachy kamienic mieniły się wszelkimi odcieniami barw, od subtelnej, pomarańczowej łagodności, poprzez krwistą czerwień, aż po dostojną, bordową srogość. Hen daleko na południu ciemną, postrzępioną linię horyzontu rysowały alpejskie szczyty – mówił, a ja miałem wrażenie, jakbym spoglądał na nasycony kolorami obraz. Jego słowa działały na moją wyobraźnię. – Mogłem tam przesiadywać godzinami. Tam najbardziej czułem istotę Boga. Nie w murach katedry lub pośród kościelnych ścian, nie w księżowskiej sutannie i nie podczas modlitwy, ale właśnie tam, na tym wzniesieniu w dębowym lesie... – Milczał przez chwilę. – Po naszej pierwszej wizycie, tutaj – zerknął w stronę wejścia

do domu – powróciły wspomnienia. Przypomniałem sobie wszystko, nawet zapach tamtego powietrza i zacząłem o nim śnić. Myślisz, że to normalne? – zapytał, ale nie byłem pewien, czy oczekuje jakiegokolwiek odpowiedzi z mojej strony. – Stary już jestem, to pewnie i dziwaczeję z wiekiem – westchnął nieznacznie. – Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz o tym myślałem.

– Ale o czym? – zapytałem, ponieważ zaczynałem gubić wątek jego opowieści.

– O dębowym lesie – odparł. – Chyba nie powinienem wystawiać nawet stopy poza teren więzienia. To raczej mi nie służy. Oczywiście nie bierz tego do siebie – dodał pospiesznie. – Ty nie masz z tym nic wspólnego. Miałaś dobre intencje i ja naprawdę to doceniam, mój młody przyjacielu. Nie ukrywam, że chociaż rozsądny, wewnętrzny głos starał się mnie powstrzymać, ja jednak pokusiłem się, żeby tego doświadczyć. Poznać, jak to jest po drugiej stronie. Nie chciałem cię stawiać w przykrej sytuacji i pomyślałem, że muszę dokończyć z tobą to, co razem zaczęliśmy. Za kilka lat, o ile dożyję, będę obchodził okrągły jubileusz. Pół wieku w pudle. A to zobowiązuje – zadrwił z samego siebie. – Ja i te mury – kiwnął głową w kierunku więzienia – staliśmy się jednością. Nie chcę już nigdy wychodzić na drugą stronę. To nie dla mnie. Tacy jak my, mam na myśli ludzi z wyrokiem dożywocia, muszą się odciąć od swojej przeszłości. Pozbyć się jej jak niepotrzebnego balastu albo upchnąć gdzieś w zakamarkach umysłu, zamknąć ją tam na cztery spusty i nigdy nie wypuszczać. Wspomnienia spoza

murów mogą cię tylko zniszczyć. Jak długo jesteś już więźniem? – zapytał nagle.

– Od chwili aresztowania spędziłem za kratkami dwa i pół roku – odparłem.

– Dwa i pół roku – powtórzył. – Z jednej strony niby dużo, a z drugiej tyle co nic. W więzieniu czas jest największym kpiarzem. Inaczej traktuje ludzi z konkretnym wyrokiem, a inaczej takich bezterminowców jak my. Zastanów się na tym kiedyś, bo warto.

Czy wziąłem sobie wtedy do serca jego słowa? Nie jestem pewien, ale chyba nie. Myślę, że chciał mi oszczędzić rozczarowań, na które spoglądał przez lupę własnych doświadczeń. Jednak byliśmy różnymi ludźmi i wcale nie uważałem, że to, co ścisnęło boleśnie jego duszę, mogło mieć taki sam wpływ na moją. Oczywiście przez głęboki szacunek, który do niego żywiłem, nie powiedziałem mu tego.

Dla mnie wspomnienia były czymś ważnym i stanowiły fundament mojej świadomości, dlatego chciałem je pielęgnować i nosić w sobie. Nie zamierzałem zamienić się w kogoś, kto poczułby nierozzerwalną więź z tymi murami i kratami. Mało tego, chciałem się przed tym obronić.

Tak myślałem w tej sprawie, kiedy miałem za sobą zaledwie dwa i pół roku odsiadki.

Czasami, kiedy człowiek sam ocenia efekty własnej pracy, może nieco zawyżać swoją średnią albo spojrzeć na to

zupełnie bezkrytycznym okiem. Całkiem możliwe, że w moim życiu były sytuacje, kiedy brakiem obiektywizmu głąaskałem to, co tak naprawdę powinienem skrytykować. Jednak w przypadku mebli do sypialni państwa Wojciechowskich nie będę udawał skromnisia... były po prostu świetne. Nie tylko ja tak sądziłem, ale także Ojczulek, zleceniodawcy, zaryzykuję stwierdzenie, że ich młoda gosposia również oraz dwóch zupełnie bezstronnych świadków: dozorca Drywulski i Frantz. Klawisze podzieliли się swoimi spostrzeżeniami z innymi strażnikami, a wtedy swoje zeznania na temat moich zdolności stolarskich dorzucił jeszcze funkcjonariusz Robalski, opowiadając wszystkim o świeczniku, któremu przywróciłem dawną świetność. I w ten oto sposób rozeszło się po więziennych korytarzach i gabinetach, że jest taki jeden, który potrafi dłubać w drewnie... Oczywiście ta informacja zaowocowała w przyszłości.

Szczerze powiedziawszy, nie spodziewałem się szczególnego wynagrodzenia ze strony naczelnika. Czegoż mogłem oczekiwać? Równie dobrze mogło się skończyć na zwykłej pochwalie słownej i spojrzeniu pełnym uznania. Kiedy więc trzymałem w dłoniach dwa kufry parisjanów, po dziesięć skrzynek w każdym, niczym pokorne cielątko udawałem, że po prostu rozsadza mnie ze szczęścia.

Z moim pomagierem rozliczyłem się tak, jak przystało na prawdziwego szefa. Uznałem, że zasłużył na pięć skrzynek, i tyle też dostał.

Czy można sobie wyobrazić tańszego wykonawcę

dla prywatnej usługi niż człowieka osadzonego w więzieniu? Chyba nie. W dawnych czasach, żeby posiadać niewolnika, właściciel musiał ponieść związane z tym koszty. Naczelnik jako urzędnik państwowy nikogo nie musiał utrzymywać za własne pieniądze. O to dbało państwo, które płaciło również jemu kupę forsy, żeby umiejętnie zarządzał zasobami ludzkimi spoza marginesu społecznego. Po prostu komfortowa sytuacja. Więzień ma słuchać, być posłusznym i robić to, co mu każą. Nie będzie żądał zapłaty, nikomu nie wytoczy procesu, nie będzie się użalał i skarżył.

Taki stan rzeczy zupełnie mi nie przeszkadzał i błyskawicznie dostosowałem się do sytuacji. Kiedy naczelnik Wojciechowski kilka dni później zjawił się w stolarni i niczym rybak z bajki o złotej rybce wypowiedział swoje kolejne życzenie, odparłem z uśmiechem na ustach:

– Nie ma problemu, panie naczelniku.

Wojciechowski chciał, żebym zrobił dla niego identyczny stół i krzesła, jakie miał w swoim gabinecie. Te nowe miały trafić do jego domu i stanąć w przestronnej jadalni.

– Jeśli mogę zasugerować – odezwałem się – dobrze byłoby użyć zielonego sukna na obicia krzeseł. Będą się ładnie komponować z ciemnym dywanem i łagodną barwą ścian. – Nie wiem dlaczego, ale zapamiętałem ten duży dywan w perskie wzory, w którym dominował ciemnozielony kolor.

Wydawało mi się, że w jego oczach dostrzegłem

błysk podziwu, jakby chciał powiedzieć, że mam poczucie estetyki, dobrego smaku, a przy tym jestem bardzo spostrzegawczy.

– Dobrze – odparł. – Wiesz, gdzie masz się meldować w sprawie zaopatrzenia. – Obrócił się na pięcie i odszedł.

Minęły już prawie dwa miesiące, kiedy wysłałem mój list do matki i nadal nie przyszła żadna odpowiedź. Coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że aspirant Szumski z premedytacją cisnął mój list na dno szuflady swojego biurka. Pozostało mi jedynie czekać na wieści, które przywiezie ze sobą kobieta Hrabiego.

Od wielu tygodni konsekwentnie dzień w dzień ćwiczyłem pisanie. Litery, które kreśliłem, wreszcie zaczynały przyzwoicie wyglądać. Popołudniami Ojczulek pakował mi do łba część swojej wiedzy. Nauka czytania i pisania bowiem była jednocześnie nauką o historii, geografii, świecie i polityce. Zdobywałem wiedzę ogólną oraz poznawałem obowiązujące w języku polskim zasady gramatyki i ortografii.

– Brakuje nam podstawowej rzeczy – powiedział pewnego dnia. Spojrzałem na niego pytającym wzrokiem. – Brakuje nam czegoś do czytania. To – wskazał na wymiętoloną gazetę z drugiego sierpnia – znasz już chyba na pamięć. Postaram się załatwić jakąś świeżą prasę.

– Chcesz nas pogrążyć? – zażartowałem, mając na uwadze przepisy dotyczące oddziały dziesiątego i materiałów czytelniczych.

Ojczulek kompletnie zignorował moje pytanie i powiedział:

– Myślę, że powinieneś pogadać z naczelnikiem i poprosić go o jakąś książkę. Facet ma do ciebie słabość i jeśli znam się na ludziach, a jak wiesz, to trochę się znam, dostaniesz od niego jakąś lekturę.

– Hm, zapytać nie zaszkodzi – odparłem po chwili.

Późnym popołudniem pierwszego dnia jesieni Ojczulek sprezentował mi najnowszy numer „Kurjera Poznańskiego”. Muszę przyznać, że mój kumpel sporo dla mnie ryzykował, a z drugiej strony mógł również nas obu wpuścić w niezłe tarapaty.

Kiedy ja szlifowałem swoje umiejętności czytelnice, Ojczulek jak zawsze siadał wtedy na krawędzi stołu, w pobliżu okna i czuwał, żeby nas nikt nie nakrył. Wydanie gazety miało szesnaście stron, z czego tylko na siedmiu znajdowały się artykuły prasowe, a na pozostałych było to, co lubiłem najbardziej, czyli reklamy i prywatne anonse. Z najświeższej prasy dowiedzieliśmy się, że w dalekich Chinach rozpętała się zawierucha wojenna, a nieco bliżej nas, bo we Włoszech, ruch faszystowski miał się coraz lepiej. Prawie na naszym podwórku, a konkretnie w niedalekim Poznaniu, było głośno o defraudacji podatków przez pewnego Żyda, właściciela firmy związanej z branżą włókienniczą. Obaj z Ojczulkiem niezłe się uśmialiśmy, kiedy przeczytałem słowa dziennikarza, który napisał ów artykuł. Szef firmy w momencie, kiedy pojawił się u niego urzędnik skarbo-

wy i cała sprawa się ryła, miał powiedzieć: „szkoda, że ja pana prędzej nie poznałem”. To zdanie z korupcyjnym podtekstem stało się dla nas przez pewien czas złotym powiedzeniem, którego używaliśmy w przeróżnych sytuacjach. Kiedy ktoś poczęstował cię papierosem, zamiast odburknąć „dzięki” albo coś w tym stylu, mówiłeś, umyślnie modelując głos i używając odpowiedniego akcentu, „szkoda, że ja pana prędzej nie poznałem”. Załatwiałeś z kimś drobny interes, który najczęściej sprowadzał się do wymiany papierosów, jedzenia, herbaty albo rysunków z roznegliżowanymi kobitkami, i na koniec mówiłeś: „szkoda, że ja pana prędzej nie poznałem”. Dość długo ten rozbrajający slogan był prawdziwym szlagierem.

Z tego, co mówił Ojczulek, a sędzę, że orientował się w temacie lepiej ode mnie, w wolnej Polsce antysemityzm zaczynał przybierać niebezpieczną formę. W tym wydaniu gazety był również nagłówek, który dobitnie świadczył o napiętych nastrojach społecznych, zatytułowany *Walka z zalewem żydowskim*.

Skoro już nawiązałem do osobników narodu wybranego, powinienem chyba wspomnieć, że we wronieckim więzieniu jak na razie mieliśmy tylko jednego Żyda. Był nim dozorca Dawid Lepke. Całkiem możliwe, że jego nazwisko wydaje się wam znajome albo macie wrażenie, że już kiedyś mieliście okazję je słyszeć. Swojego czasu na ziemskim padole żył pewien mężczyzna. Nazywał się Louis Buchalter. Żyd amerykańskiego pochodzenia, który od wczesnej młodości używał pseudonimu „Lepke”.

Błysznię nieco wiedzą i zdradzę wam, że „Lepke” pochodzi od słowa „Lepkeleh”, czyli w dosłownym tłumaczeniu „mały Louis”. Nasz Lepke, ten z Wronek, był porządnym człowiekiem, sumiennym strażnikiem, który nie trwał ślepo zapatrzony w twarde przepisy i żelazne regulaminy, a prywatnie do szaleństwa kochał dźwięki jazzu i swingu. Nasze losy, znaczy mój i dozorczy Lepkego, splotły się ze sobą dzięki potomkowi żydowskiego krawca z Warszawy, ale to stało się dopiero w 1935, więc jeszcze nie pora, żebym o tym opowiadał. Za to ten drugi Lepke, Louis „Lepke” Buchalter, zasłynął w czasach prohibicji jako nowojorski gangster i morderca. Za swoje nieczne czyny został stracony na krześle elektrycznym. Jego gwiazda zgasła w pierwszej połowie lat czterdziestych, a egzekucja miała miejsce w znanym więzieniu Sing Sing.

Odkąd zacząłem się uczyć pisać i czytać, Ojczulek niejednokrotnie mówił, że te umiejętności są podstawą do dalszego zgłębiania wiedzy. Było to dla mnie oczywiste i zrozumiałe, szkoda tylko, że mój nauczyciel nie przestrzegł mnie przed tym, że nie każdy zasób wiadomości ma dobry wpływ na nasze zdrowie.

Nieco wcześniej złożyłem u starszego referenta zamówienie, które pokrywało zapotrzebowanie na nową robótkę dla naczelnika. W związku z tym, że Krympe działał błyskawicznie, nie byłem zaskoczony, kiedy kilka dni później pod drzwi stolarni zajechał furgon z dostawą. Z rozładunkiem towaru czekaliśmy do chwili przybycia naszego referenta, który pojawił się w asyście strażnika.

W rękach trzymał swój czarny notatnik i plik luźnych kartek. Wymieniał nazwę oraz ilość i wskazywał dłonią, wtedy ja z Ojczulkiem zabieraliśmy te przedmioty, a on odhaczał pozycję na fakturze. Kiedy na pace samochodu zostały już tylko drewniane deski, stojąc blisko Krympego, przypadkowo zauważyłem, że odfajkował linijkę, przy której było napisane cztery przecinek dwa metra sześciennego. Jak na moje oko, a do liczenia drewnianych desek miałem oko, za nic w świecie nie było tutaj takiej ilości. Co najwyżej na furgonetce leżała połowa tej objętości. Nie byłem na tyle głupi, żeby nie zauważyć, iż stan rzeczywisty nie zgadza się ze stanem napisanym na dokumencie. Byłem jednak na tyle durny, że zapytałem wprost:

– Panie referencie, ile mamy tego drzewa?

Spojrzał na mnie przez te swoje okrągłe szkiełka, a ja miałem wrażenie, jakby wbił we mnie dwie ostre piki.

– Jest go na tyle, że powinno wystarczyć – odpowiedział, a w moim pustym łbie natychmiast rozległ się wrzask, który skarcił mnie za to, że nie powinienem się interesować niektórymi tematami.

Kurwa mać! – zabłądziłem w myślach.

– Wiesz, myślę, że Suchy ma rację – powiedziałem do Ojczulka, kiedy ustawialiśmy na właściwym miejscu dostarczony towar.

– O czym ty mówisz? – zapytał zaskoczony.

– Ano o tym, że niektórzy z administracji kręcą tutaj na boku – wyjaśniłem i opowiedziałem mu o dzisiaj-

szym zdarzeniu.

Potem snuliśmy przeróżne mniej i bardziej fantastyczne domysły na temat kombinacji i wszelakich możliwych defraudacji, których teoretycznie mogli się dopuszczać pracownicy wronieckiego więzienia. Dyskusja była na tyle pasjonująca i rozbudzała naszą wyobraźnię, że w końcu sami zaczęliśmy wysuwać ciekawe pomysły na temat sposobów przywłaszczenia państwowej własności.

Tego samego dnia, tylko że późnym popołudniem, pod bacznym okiem mojego nauczyciela po raz pierwszy w życiu samodzielnie napisałem list. Moje pismo nabrało odpowiednich kształtów. Litery nie przypominały już kulfonów stawianych dziecięcą ręką czy dłonią dorosłego nieuka. Oczywiście w treści pochwaliłem się swoimi nowymi umiejętnościami. Rozpierała mnie duma, naprawdę czułem się tak, jakbym dokonał czegoś wielkiego.

Jako pokorny więzień, który przestrzega regulaminu, swój list dostarczyłem następnego dnia rano na ręce funkcjonariusza pełniącego służbę na naszym bloku. Teraz pozostało mi jedynie czekać na wezwanie aspiranta Szumskiego.

– Coś wam powiem – odezwał się konspiracyjnym głosem Boyko podczas śniadania. – Wczoraj wieczorem w jednej z tych wiecznie zamkniętych cel na ostatnim piętrze powiesił się taki jeden.

– Skąd wiesz? – zapytał Suchy, a my wszyscy jak jeden nadstawiliśmy uszu.

– Kładłem się już spać, kiedy nagle otworzyły się drzwi do mojej celi i stanął w nich Frantz. Powiedział: „Zbieraj się, idziesz ze mną”. Trochę się zląkłem, bo nie bardzo wiedziałem, co takiego może chcieć ode mnie. Ruszyliśmy schodami w górę do jednej z tych cel, wiecie, tych, co są zawsze zamknięte, a w niedzielne poranki tylko bomby stojące przy schodach – ostatnie słowa skierował do mnie, w końcu przecież był moim zmiennikiem na latrynie – świadczą o tym, że kogoś tam trzymają. Wchodzę do tej celi, a tam smród straszliwy, że aż się rzygać chce. Podłoga pod oknem upačkana, a na łóżku ktoś leży bez ruchu. Twarz chuda, zarośnięta, w świetle lampy wydawała się sztuczna, jakby z wosku ktoś ją zrobił. Ciemna pręga na szyi niczym odcisnięta obroża, no i ten niemiłosierny smród. Trup, myślę sobie i czuję, jak zimne ciarki skubią mnie po plecach. No trup, bez dwóch zdań, chłodem bije i śmiercią pachnie dookoła. I chociaż źle się czuję w obecności martwego człowieka, wzroku od niego oderwać nie mogę. Wtedy Frantz mówi do mnie: „Posprzątaj ten syf z podłogi”. Cóż robić, pomyślałem. Patrę, wiadra są dwa, woda w jednym, gówno w drugim, a szmaty żadnej. Szmaty nie ma, zwracam się do nich. A ci dwaj w śmiech, no to myślę, kiepska sprawa. I dziwię się straszliwie, zwłoki na łóżku leżą jak na katafalku, a oni weseli, jakby ktoś dowcipy opowiadał. A wtedy ten drugi mówi: „Z niego coś zedrzymy”. Odpiął guzik w dolnej klapie marynarki i wyjął majcher, wiecie, taki na sprężynie. Pstryk i ostrzem błysnęło, podszedł, bluzę mu nieco rozchylił i ciach jedno ramię z koszulki, ciach drugie,

potem po boku materiał rozpruł, złapał i pociągnął z całej siły. Trochę zwłokami rzuciło w bok, ale szmatę zdobył. Patrzę na tego nieszczęśnika, który leży, trupio blade ciało spod bluzy wystaje, skóra mizerna jakimiś wrzodami rozsiana, żebra można mu było porachować, taki był wychudzony. Klawisz rzucił we mnie koszulką, którą zdarł z nieboszczka i powiedział, żebym się zabrał do roboty. Ścieram gówno z podłogi i zastanawiam się, skąd się tam wzięło, i słyszę, jak oni rozmawiają. Frantz chyba już niejednego wisielca widział, bo mówi, że jak się który powiesi, to zawsze flaki puszczają i wszystko z takiego wycieka, aż do ostatniej kropli. Swoje robię i nawet chrząknąć się boję, a smród, no mówię wam, straszliwy. W życiu swoim takiego paskudztwa nie wahałem. Wtedy Frantz zapytał swojego kumpla: „A ile on już tu siedział?”. Na co ten drugi: „Będzie już blisko dwa lata, jak ich tu przywieźli. On pierwszy w tej małej, ciasnej celi zakończył swoją wojenkę o wielką Ukrainę. Jak myślisz, przyszło mu kiedy do tego durnego łba, że może zdechnąć na stryczku, który sam sobie splecie?”. Spojrzałem wtedy ukradkiem na stół. Leżał tam powróż skręcony z cienkich pasków koca. Zrobiłem swoje i Frantz odprowadził mnie do celi.

Boyko zakończył swoją opowieść.

– No to pewnie przyjdzie nam dzisiaj kolejną skrzynię zbić – rzuciłem w stronę Ojczulka.

Nic nie odpowiedział, tylko pokiwał głową.

– Dlaczego oni ciągle siedzą w zamknięciu? – dociekał Cygan.

Na chwilę zapadła cisza, wydawało mi się, że nikt z nas nie zna odpowiedzi na to pytanie, kiedy nagle odezwał się Ojczulek:

– W tym więzieniu siedzi kilka kategorii więźniów, są złodzieje, bandyci, gwałciciele, mordercy, pospolicci przestępcy i są również, tak zwani, polityczni. Widzisz, z ciebie zrobili politycznego, bo ukradłeś papiery wagi państwowej. To głupie, prawda? – zakończył smutną refleksją.

– Co jest głupie? – oburzył się nieco Boyko.

– No jak to co? – Ojczulek jak zwykle zachował spokój i opanowanie. – Głupie jest to, że ze zwykłego złodzieja zrobili politycznego demona. Czy uważasz, że kradzież, której się dopuściłeś, powinna podlegać tak srogiej karze? – zapytał. Cygan nic nie odpowiedział, tylko pokiwał głową. – Są działacze partii komunistycznych, związków robotniczych, ludzie ogarnięci ideałami, które w oczach praworządnej władzy działają zarówno na szkodę narodu polskiego, jak i struktur państwowych. Wszystko, co jest niewygodne dla władzy, można podciągnąć pod przestępstwo polityczne, a jak wiadomo, takie przestępstwo to już inna para onucy. Boyko jest żywym przykładem tego, że polityczni otrzymują surowsze wyroki. Wiecie, który to Góral, prawda? – zapytał. – Facet jest sznurowcem, a nadal łązi po spacerniaku i w sumie nikt nie wie, kiedy przyjdzie decyzja sądu z datą egzekucji. Gdyby jego czyn zakwalifikowano jako przestępstwo polityczne, dawno już byłoby po nim. Wyroki na politycznych wykonuje się niemal od ręki. Kara śmierci dla

pospolitych złoczyńców czasami bywa kartą przetargową poza murami więzienia. – Myślę, że żaden z nas nie miał pojęcia, o czym opowiadał Ojczulek. – Niektórzy z was wiedzą, że siedziałem kiedyś w niemieckim więzieniu w Spandau. Tam naprawdę było koszmarnie... – Wspomnienia sprawiły, że księżulek zamilkł na chwilę. – Pewnego dnia w więzieniu pojawił się niejaki Karl Glauber. Odrażający typ. Ów człowiek został skazany na karę śmierci za zabójstwo swojego współnika. A swoją drogą, obaj byli siebie warci. Minął rok, a Karl nadal żył i czekał na dzień, kiedy oddadzą go w ręce kata. Jakiś czas później nowym cesarzem został Wilhelm Drugi i ogłosił amnestię dla wszystkich skazanych na karę śmierci, zamieniając ich wyroki na dożywocie. Władców kocha się przede wszystkim za wspaniałomyślność. Tak to się właśnie kręci. Całkiem możliwe, że kiedy w Polsce ktoś inny zostanie prezydentem, również posypią się amnestie, lawiny ułaskawień i zostaną złagodzone wyroki. Może pewnego dnia zdarzy się tak, że i tutaj sznurowcom zamienią szubienicę na dożywocie, a bezterminowcom ogłoszą, że mają odbębnić po dwadzieścia pięć latek, a potem wypędzą do domu.

– No widzisz, Ropuszku – podłapał temat Suchy. – Jest jakaś szansa, że przed pięćdziesiątką będziesz wolny.

Odpowiedziałem mu udawanym uśmiechem. Niby głupie gadanie, ale gdzieś tam błysnęła iskierka nadziei.

– Tylko dlaczego niektóre cele na ostatnim piętrze są zawsze zamknięte? – dociekał Boyko.

Wszyscy jak jeden utkwiliśmy nasze spojrzenia

w obliczu Ojczulka.

– Bo tam siedzą cudzoziemcy skazani za przestępstwa polityczne, których dopuścili się na terenie Polski – dzielił się z nami swoją wiedzą księżulek. – To specyficzna grupa skazańców. Pospolity przestępca kocha swój kraj, polityczny więzień też darzy miłością swoją ojczyznę, tylko chciałby ją nieco zmienić. Sami sobie odpowiedzcie na pytanie, jakie będzie wasze nastawienie do więźnia narodowości ukraińskiej, białoruskiej, czy też niemieckiej albo jakiegokolwiek innej, który dopuści się w Polsce czynów godzących w jej suwerenność i niepodległość. Pał licho panujący ustrój i ludzi siedzących za sterami władzy, chodzi mi o to, czy wy jako Polacy przejdziecie obok tego obojętnie? – Zamilkł i spojrzał po naszych twarzach. – Nie sądzę. Myślę, że gdyby wypuszczono ich razem z pozostałymi na spaceriak, mogłoby się to dla nich źle skończyć. Z tego, co wiem, dozorczy im nie pobłażają.

– Czyli wychodzi na to – odezwał się Kazik – że niby obcego mordercę albo złodzieja będziemy traktować lepiej niż politycznego?

– Właśnie tak, jak mówisz – potwierdził jego słowa Ojczulek.

– Ty wiesz coś więcej o tych zamkniętych celach, prawda? – zagadnąłem Ojczulka, kiedy znaleźliśmy się w stolarni.

Klecha spojrzał na mnie i kiwnął głową.

– Coś tam słyszałem – odpowiedział. – Dlaczego

się tak tym interesujesz? Dlaczego cię to męczy?

– Nie wiem – odparłem szczerze. – Nie potrafię tego wytłumaczyć, kiedyś skręcało mnie z ciekawości, jak byłem funkcyjnym na latrynie, potem mi przeszło, a dzisiaj, kiedy usłyszałem opowieści Boyko, wszystko wróciło.

– Na naszym oddziale w zamkniętych celach siedzą cudzoziemcy. Skazani wyrokami sądów Drugiej Rzeczpospolitej za przestępstwa przeciwko narodowi polskiemu. W waszym kraju jest ponoć tylko kilka więzień, w których przetrzymuje się więźniów tej kategorii. Nie wiem, czy każda z zamkniętych cel ma swojego pensjonariusza, może niektóre są po prostu puste? – Wzruszył ramionami. – Wiem za to, że pewnej nocy, późną jesienią tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego przywieźli do Wronek sześciu młodziutkich Ukraińców. Jeden z nich był potwornie skatowany. Blaszański, który wtedy jeszcze nosił na kołnierzyku patkę z insygniami starszego dozorczy, wyrwał mnie ze snu i kazał mi udzielić temu młodemu człowiekowi ostatniego namaszczenia.

– Blacha? – zapytałem zaskoczony.

– Tak, obecnie pan przodownik Blaszański – odpowiedział Ojczulek. – Widzisz, jak łatwo można się zwieść. Taki bezwzględny typ jak on, a taki bogoboyny zarazem. Tamtej nocy usłyszałem, jak klawisze rozmawiali o tych dzieciakach, że to są członkowie młodzieżówki związanej z Jewhenem Konowalcem. Kojarzysz jego nazwisko? – zapytał. W odpowiedzi skinąłem głową. W tamtych latach to była bardzo znana postać, i nie tylko na politycz-

nej arenie. – Ludzie z otoczenia Konowalca zorganizowali we Lwowie zamach na marszałka Piłsudskiego, który cudem uszedł z życiem – kontynuował Ojczulek. – W wyniku szeroko zakrojonego śledztwa, bądź co bądź próbowano zabić głowę państwa, posypały się aresztowania. Ci chłopcy byli w jakiś sposób zamieszani w ten atak. Pamiętam dokładnie, jak większość gazet straszyla nagłówkami, że polski wymiar sprawiedliwości nie może pobrażać w tym wypadku, a winnych należy surowo ukarać. Myślę, że władze naszego więzienia dostały konkretne polecenia i muszą dbać o to, żeby skrzętnie ukryć obecność tych więźniów przed resztą świata.

Rozmawialiśmy sobie w najlepsze, kiedy nagle w drzwiach warsztatu pojawił się dozorca Robalski.

– Żabikowski, zbieraj się. Aspirant Szumski chce się z tobą widzieć! – padła krótka komenda.

– A jednak będziemy zbijać skrzynię – szepnąłem w stronę Ojczulka, po czym obróciłem się na pięcie i ruszyłem w kierunku wyjścia.

W dobrze znanym mi gabinecie aspiranta Szumskiego unosił się aromatyczny zapach tytoniu. Władca tego pomieszczenia siedział wygodnie rozłożony na swoim krześle za biurkiem i tradycyjnie kołysał się na nim, jakby cierpiał na sierocy syndrom.

– I znowu mnie odwiedzasz, Żabikowski – powiedział na powitanie. – Rozwijasz się, idziesz ostro do przodu – nie bardzo wiedziałem, co ma na myśli – a za tobą tylko pasmo sukcesów. Jak tam pani naczelnikowa?

Zadowolona z nowej sypialni...?

– Mam nadzieję, że zadowolona, panie aspirancie – odparłem, ponieważ czekał na odpowiedź.

– A którą wolałbyś dosiąść, żonkę szefa czy ich gosposię? – Zaśmiał się szyderczo. Pytanie wydało mi się idiotyczne i chamskie. Milczałem. – Dobra, rycerzyku – odezwał się po chwili. – Do obiadu ma być gotowa skrzynia w znanych ci rozmiarach. Pamiętasz w jakich?

– Długa na dwa metry, szeroka na osiemdziesiąt centymetrów, głęboka na pół metra i przykryta luźnym wiekiem.

– Dobrze, Żabikowski, uczysz się. A do czego te skrzynie służą? – zapytał podejrziwym głosem.

– Nie mam pojęcia, panie aspirancie.

Szumski przyglądał mi się bacznie i odezwał się po chwili.

– Ja myślę, że wiesz do czego. Zacznieś o tym plotkować, to wpakuję cię do karceru. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem, panie aspirancie – odpowiadałem jak automat.

Aspirant przestał się kołysać, otworzył szufladę i wyjął list.

– Skąd u ciebie taki zapal do nauki pisania i czytania? – zapytał mnie takim tonem, jakby mnie przesłuchiwał.

– To nie zapal, panie aspirancie, po prostu pewnego dnia pomyślałem, że sam powinienem pisać swoje listy.

– Listy powiadasz. – Otworzył srebrną papierošnicę i zapalił. – Zobaczmy. – Podniósł się z krzesła, podszedł

do metalowego regału i zerknął na moją kartotekę. – Z tego, co widzę, to jak na razie jeszcze nikt do ciebie nie napisał. – Spojrzał na mnie i uśmiechnął się ze swoim cholernym, szczurzym grymasem.

Chwilę później odhaczył coś w moich dokumentach, schował je na miejsce i powoli przechadzał się po pomieszczeniu. Przez cały czas uważnie mi się przyglądał. W końcu podszedł do mnie.

– Wiesz, na co czekam, prawda? Zrób coś, o czym nie ma mowy w regulaminie, a sprawisz mi prezent. – Zbliżył swoje usta do mojego ucha. Poczulem na małżowinie jego ciepły oddech. – Już nie mogę się doczekać – wyszeptał.

Taki właśnie był aspirant Szumski.

Kawał dziada i gnoja.

– Twoje listy nie docierają – powiedział Hrabia, a ja wcale nie byłem tym faktem zaskoczony.

– Spodziewałem się tego – westchnąłem i wciągnąłem głęboko w płuca papierosowy dym. – Co u niej?

– Nie będę cię czarował, ziomek, różnie u niej bywa. Gdyby nie choroba, to pewnie jej sprawy miałyby się znacznie lepiej. Mimo wszystko jednak twoja matka wiąże koniec z końcem, nadal mieszka na Przemysłowej i pracuje, kiedy tylko może. Oczywiście przesyła ci pozdrowienia. Powiedziała: „Uściskajcie tam mojego Stefka”. – Gdy usłyszałem te słowa, jakoś tak smutno zrobiło mi się na duszy. Znowu rozlało się we mnie

gorzkie poczucie winy. – Dobra informacja to taka, że być może przyjedzie do ciebie w grudniu przed świętami. Krystyna zaproponowała jej wspólny wyjazd. – Hrabia spojrzał na moją twarz.

Nic nie odpowiedziałem. Miałem ochotę usiąść gdzieś z boku, zamknąć oczy i po prostu zniknąć z tego świata. Przez chwilę szliśmy w milczeniu.

– Zgłoszę się do ciebie w ostatnią niedzielę miesiąca – odezwał się.

Miałem już gotowy plan i wiedziałem, co muszę zrobić.

– Zawsze do usług. – Błysnął swoim śnieżnobiałym uśmiechem.

– To tymczasem. – Klepnąłem go w bark, obróciłem się na pięcie i odszedłem w przeciwnym kierunku.

Nie czułem się najlepiej, gdzieś pod czaszką paętał się ten moralny robak i kąsał zajadle. Wypełniała mnie przerażająca bezsilność. Szedłem powoli wzdłuż siatki, biegnącej przy dłuższej krawędzi spacerniaka i toczyłem w swojej głowie wojnę. Wtem czyjaś dłoń dotknęła mojego ramienia, obróciłem się i ujrzałem za swoimi plecami Wilhelma Wolfa. Wcześniej nie miałem okazji spotkać się z nim twarzą w twarz. Nasze spojrzenia wpadły na siebie, a ja odniosłem wrażenie, że patrzę w nieprzeniknioną otchłań. Zimny dreszcz otulił mój kark. Wystraszyłem się w pierwszej chwili. Rzeźnik z Danzing spoglądał mi prosto w oczy, a ja czułem, jak zionie z nich pustka i śmierć.

– Chodzą słuchy, że jesteś zdolnym stolarzem –

odezwał się smutnym głosem. – Chciałbym zamówić pewną małą rzecz.

– Tak? A czego potrzebujesz? – zapytałem z nieudawaną ciewawością.

– Krzyż. Zwykły krzyż, takiej wielkości, jak to mają w zwyczaju ludzie wieszac w swoich domach ponad drzwiami.

Nie zastanawiając się, odparłem:

– Nie ma sprawy. To będzie cię kosztować dwie skrzynki. Dostaniesz go dokładnie za tydzień.

Przyszłość. Czy jest ktoś na świecie, kto nie skusiłby się, aby poznać swój los, dowiedzieć się, co go spotka i czego doświadczy na swojej drodze życia? Szczerze? Wątpię. To zbyt kuszące. Człowiek mógłby uniknąć błędów i porażek, mógłby zapanować nad wieloma sprawami. Gdybym miał pojęcie, jaki użytek zrobi z krzyża Wolf za kilka miesięcy, nigdy nie doszłoby do tej parszywej transakcji.

Za plecami usłyszałem znajomy głos Ojczulka:

– O czym tak dumasz, młodzieńcze?

Obróciłem głowę i spojrzałem na jego oblicze.

– Sam nie wiem – odparłem. – Po prostu siedzę i patrzę przed siebie.

Chyba nie miałem ochoty zwierzać się z moich przemyśleń. Spoglądałem na korony drzew, które zerkwały na spaceriak z drugiej strony więziennego muru i były jak fragment otaczającej nas tajemnicy. Tylko dzięki tym drzewom mogłem sobie wyobrazić, a właściwie przypomnieć, obraz normalnego świata. Ich widok mówił mi

o tym, że za murami istnieje coś pięknego i niepowtarzalnego. Drzewa sprawiały, że wracałem myślami do życia, które straciłem przez własną głupotę.

Ojczulek usiadł obok mnie.

– No to powiedz mi chociaż, jak się czujesz od dwóch dni jako dwudziestoczteroletni mężczyzna?

– Pamiętałeś?! – odparłem naprawdę zaskoczony. Pytanie księżuła sprawiło mi wielką radość.

– W końcu jesteśmy przyjaciółmi, prawda? – Posłał mi swój uśmiech. – Mam dla ciebie skromny prezent. – Sięgnął do kieszeni bluzy, ponad którą widniał numer 12-06 i wyjął małą rzecz zawiniętą w szary papier. – Wszystkiego najlepszego, Ropuszku. Tylko ostrożnie, bo to delikatna rzecz.

Powoli i niemal z namaszczeniem rozpakowałem upominek. W środku była szklana lufka. Wiecie, taka do papierosów.

– Tylko błagam cię – poprosiłem zupełnie szczerze. – Nie mów nic chłopakom, bo wiesz, jak to się może skończyć.

– Jasne, nie szepnę nawet słówkiem – odparł z uśmiechem. – Wiesz, teraz z petem w zębach będziesz wyglądał jak prawdziwy waźniak – w sumie miał rację, nie było w tym pudle żadnego więźnia, który miał takie cudo – no i poza tym chyba zaoszczędzisz na tytoniu. Chociaż z tego, co wiem, nie cierpisz na brak fajek – skwitował.

– Jak to mówią, od przybytku głowa nie boli. – Sięgnąłem do kieszeni po paczkę papierosów, wcisnąłem

parisjana w mój nowy nabytek i zapaliłem. Poczułem się... bardzo elegancko.

Przez długą chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Kiedy ja miałem dwadzieścia cztery lata – odezwał się Ojczulek – byłem młodym klerkiem, któremu się wydawało, że zrobi w swoim życiu coś bardzo ważnego. Postrzegałem siebie jako człowieka, który ma misję do zrealizowania. Czułem w sobie powołanie i natchnienie. Hm – westchnął – i kto by pomyślał, że przeznaczenie zaprowadzi mnie w takie miejsce jak to? – Omiótł smutnym wzrokiem spacerniak. – Może któregoś dnia obaj dowiemy się, dlaczego Bóg doświadczył nas właśnie w taki sposób... – Na chwilę zamilkł. Miałem wrażenie, jakby urwał swoją myśl w połowie zdania. – Wiesz co, życzę ci, abyś pewnego dnia opuścił te mury jako wolny człowiek.

– To raczej nierealne, ale dziękuję – odparłem.

Niespełna dwa tygodnie później prawie co drugi więzień był radosnym posiadaczem szklanej lufki do papierosów. Spryciarz Suchy został pierwszym dostawcą tego unikatowego towaru i z tego, co wiem, zrobił na tym świetny interes.

Tej jesieni wpadłem w pułapkę złudzeń. Mój świat zamknął się w hermetycznym, magicznym trójkącie: stolarnia, cela, spacerniak. Mogę nawet pokusić się o paradoksalne stwierdzenie, że straciłem kontakt z więzienną rzeczywistością. Prywatna fucha dla naczelnika roztaczała nade mną i nad Ojczulkiem parasol ochronny. Roman

niejednokrotnie twierdził, że chyba jesteśmy nietykalni, a Suchy z nieukrywaną zazdrością powtarzał, że wiele by dał za taką egzystencję.

– Jeśli jesteś dobrym człowiekiem, to zawsze masz z górki – kwitował Ojczulek za każdym razem ich wywoady. – A swoją drogą, czy to nie dziwne, jak bardzo szybko potrafimy przyzwyczać się do odrobiny luksusu?

Obaj ulegliśmy tej samej fikcji, żadne znaki na ziemi i niebie bowiem nie zapowiadały tego, z czym mieliśmy się niebawem zderzyć. Nieuchronnie nadciągał rok 1925, a wraz z nim cała seria fatalnych zdarzeń, które miały wypalić koszarne piętno na moim życiu.

Tak to już jest, że kiedy masz wszystko poukładane, inni ci zazdroszczą. Wtedy cały świat czeka na twoją klęskę i chce jak najszybciej karmić się twoim niepowodzeniem. Nic tego nie zmienia, tacy właśnie są ludzie. Kiedy jednak każdy jest ociosany tak samo i nie odstaje od szablonu, wtedy zawiść znika i odchodzi w nieznane.

Wtedy panuje symbioza.

Pod koniec listopada zakończyliśmy prace nad stołem i krzesłami do jadalni Wojciechowskiego. Meble prezentowały się doskonale, niczym z żurnala. Ze zwykłej przyzwoitości zaproponowałem Ojczulkowi, żeby pomógł mi zmontować stół w domu naczelnika. Mebel trzeba było złożyć na miejscu, ponieważ był zbyt duży, żeby w całości przetransportować go furgonetką. Oczywiście wiedziałem, że odmówi i doskonale rozumiałem jego decyzję. Jeśli idzie zaś o mnie, cieszyłem się, że znowu zobaczę świat

po drugiej stronie murów.

W pewien mglisty poranek w asyście dozorca Frantza ponownie przekroczyłem bramę więzienia. Na dworze było mroźno. Mgła i szron owinęły wszystko swoim białym całunem. Świat spowity mlecznym oparem trwał w bezruchu i wydawał się się ponury i opuszczony. Z każdym oddechem z moich ust wydobywały się kłęby pary, a pod podszwami budów trzaskały grudki zamrożonej ziemi. Dźwigałem skrzynkę z narzędziami i czułem, jak z każdą chwilą kostnieją mi palce prawej dłoni. Maszerowaliśmy w milczeniu.

Zanim Frantz zapukał do drzwi, zapytałem nieśmiało:

– To może po całym, panie dozorczo? – Wyjąłem z kieszeni paczkę parisjanów.

W pierwszej chwili funkcjonariusz spojrzał na mnie groźnie, ale kiedy dostrzegł na opakowaniu ekskluzywny, czerwony napis, jego wzrok natychmiast złagodniał.

– A czemu by nie – odparł.

Zapaliliśmy.

W płuca uderzył tłok mieszanki dymu i zimnego powietrza, a w ustach zagościł znajomy kwaśny smak.

– Palisz dobre fajki, Żabikowski – powiedział Frantz, patrząc mi prosto w źrenice, po czym zaciągnął się głęboko i z namaszczeniem wypuścił z ust chmurę sinego dymu. – Skąd masz ten towar? – zapytał tonem, w którym czaiła się zarówno ciekawość, jak i podejrzliwość.

– Od naczelnika – odparłem zgodnie z prawdą.

Przez kilka chwil po prostu staliśmy w milczeniu,

rozkoszując się smakiem przedniego tytoniu.

– Więc to prawda, co mówią o tobie – powiedział ni stąd, ni zowąd. Od razu wyczułem zagrożenie. Spojrzałem mu w oczy, w których zauważyłem coś bardzo niepokojącego. Frantz poprawił nieco czapkę, pod którą kryły się czarne włosy. – Krążą słuchy, że jesteś kolesiem, który bardzo szybko i całkiem nieźle się ustawił. Pytanie brzmi, jak to zrobiłeś? – Znowu zaciągnął się głęboko. – Pewnie zdajesz sobie sprawę, że nie wszystkim się to podoba. – Na jego ustach zagościł bardzo dziwny grymas, coś między uśmiechem a oczekiwaniem. – Wiesz jak to jest, Żabikowski – położył lewą dłoń na moim prawym ramieniu, delikatnie zacisnął palce i dokończył półgłosem – każdy potrzebuje przyjaciół, którzy mogą otoczyć ochroną.

Gdzieś w zakamarkach mojego umysłu wszystkie dzwony biły na alarm.

Czego ty chcesz ode mnie człowieku?!

Kiedy masywny stół i dziesięć krzeseł obitych zielonym suknem stały już dumnie pośrodku jadalni, żona naczelnika była pełna podziwu. Światło dnia, które wpadało do pomieszczenia przez duże okno, odbijało się w politurze blatu niczym w tafli spokojnej wody. Chwilę później gospościa postawiła na nim wazon z bukietem czerwonych róż i tym samym dopełniła dzieła, które – moim skromnym zdaniem – ocierało się o doskonałość.

– No to możesz mieć problem – skwitował Ojczulek, kiedy opowiedziałem mu ze szczegółami o dzisiaj-

szym, porannym zajściu.

– Problem? O czym ty mówisz, do cholery? – zapytałem zaskoczony.

– Słyszałem kilka plotek na temat Frantza i jego upodobań.

– Jakich upodobań? – wpadłem mu w zdanie.

– Nadal nie rozumiesz? – zapytał głosem pełnym rozczarowania. – Frantz to uranista.

– Że niby kto? – nie pojmowałem istoty sprawy.

– To taki facet, który lubi mężczyzn. Mówi się o nich samcołożnik, a ich skłonności określa się pederastią. Pojmujesz, o czym mówię? – Spojrzał mi prosto w oczy i w jednej chwili wszystko stało się dla mnie jasne i przejrzyste.

– No to niech sobie będzie – skwitowałem, ale w moim głosie zabrzmiała obawa. – Ja nie jestem taki, ja...

– To nie ma żadnego znaczenia – przerwał mi. – On nie szuka partnera na dalszą drogę życia, on potrzebuje kogoś, kto zaspokoi jego chorą żądzę.

– Na litość boską – westchnąłem zrezygnowany. – Co ja mam teraz robić?

– Nic. Po prostu nie daj się osaczyć – mówił jak zwykle swoim spokojnym tonem. – Teraz kiedy ujawnił się przed tobą, będzie szukał sposobu, żeby dotrzeć do ciebie. – Milczał przez chwilę. – Obym się mylił.

Rudolf Frantz był pierwszym homoseksualistą, którego miałem okazję poznać w swoim życiu. Począwszy od tamtego pamiętnego poranka, kiedy jego dłoń spoczęła

na moim ramieniu, popadłem w jakąś obsesję. Kiedy tylko dozorca Frantz pojawiał się w zasięgu moich oczu, uparcie śledziłem go wzrokiem. Nie potrafiłem się powstrzymać. Wiem, że to było idiotyczne i zarazem prowokujące z mojej strony.

Dobry obserwator bardzo szybko potrafi wyciągnąć wnioski z tego, co widzi. Wystarczy się tylko uważnie rozglądać i być świadkiem drobnych zająć, które mają miejsce każdego dnia. Problem był w tym, że w swoim patrzeniu nie zachowywałem odpowiedniej ostrożności. Wiele razy nasze spojrzenia zderzyły się na ułamki sekund.

– Tak, Żabikowski, przyznaję, że po raz kolejny zasłużyłeś sobie na moją wdzięczność – powiedział naczelnik Wojciechowski, wręczając mi karton dziesięciu paczek parisjanów. – Świetna robota, po prostu świetna.

Na te słowa czekałem kilka dni i już myślałem, że tym razem obejdę się z niczym, a tu proszę, nadal miałem fart.

– Dziękuję, panie naczelniku – odparłem. Cóż miałem rzec innego?

– Na razie nie będziesz miał dodatkowych zajęć i dlatego skupisz się na zwyczajnej pracy w stolarni – zmienił temat. – Tym samym twój pomocnik, Gerlswade, kończy swoją przygodę z drewnem i wraca na stare stanowisko w szwalni. Swoje przepustki oddajcie dyżurnemu na bloku. To wszystko. – Skinął lekko głową tak, jakby chciał dać znać, że nasze spotkanie w gabinecie

dobiegło końca, a ja powinienem powiedzieć, że więzień dwadzieścia dziewięć-jedenaście prosi o pozwolenie odejścia. Stałem jednak nieruchomo obok drzwi i milczałem.

– Coś jeszcze? – zapytał, marszcząc czoło.

– Mam sprawę, panie naczelniku – zacząłem. Zauważyłem, że był nieco zaskoczony. – Chciałbym prosić o pozwolenie na czytanie książek.

Wojciechowski spojrział na mnie badawczym wzrokiem. Na jego obliczu zagościł grymas, w którym czaiła się odrobina podziwu i zapytał:

– Lubisz czytać książki?

– Tak się składa, że nie miałem jeszcze okazji, ale chciałbym – odparłem zgodnie z prawdą.

– A jaki rodzaj literatury cię interesuje?

– W sumie, to nie wiem. – Wzruszyłem ramionami.

Wojciechowski podszedł w stronę regału, wyciągnął rękę w stronę półki, na której stały w szeregu książki, i opuszkami palców muskał grzbiety ich twardych okładek.

– To nie – odezwał się półgłosem, jakby mówił sam do siebie. – To zbyt ciężkie, to zbyt trudne jak na pierwszy raz... o, to będzie odpowiednie. – Wyjął książkę w twardej, ciemnozielonej okładce. – Słyszałeś kiedyś o Karolu Mayu? – zapytał.

– Nie miałem okazji, panie naczelniku.

– To był twórca, który, moim skromnym zdaniem, jeszcze za życia uchodził za króla pisarzy, a po śmierci został jednym z bogów literatury. – Podał mi książkę.

Zerknąłem na okładkę. Wytłoczone litery na twardej obwolucie błyszcząły od czerwonej farby drukarskiej. Karol May *Old Shatterhand* – przeczytałem w myślach.

– Tak, Żabikowski – powiedział i uśmiechnął się łagodnie. – Oto jedna z najwspanialszych księzek, jakie zostały napisane ludzką ręką. Dostałem ją od żony w prezencie. Właściwie regulamin zabrania więźniom z dziesiątki dostępu do słowa pisanego, ale myślę, że dla ciebie mogę zrobić wyjątek. Tylko – uniósł nieco wskazujący palec prawej dłoni – żebyś mi jej nie zniszczył! – powiedział to takim tonem, jakim mają w zwyczaju odzywać się ojcowie do swoich synów, kiedy starają się ich przestrzec przed zrobieniem czegoś głupiego.

– Dziękuję, panie naczelniku.

Podczas obiadu chłopaki zauważyli, że trzymam coś w dłoniach. Kiedy im opowiedziałem o całym zajściu, Suchy był kompletnie zaskoczony.

– Ten Wojciechowski?! Jaja sobie robisz? Co jest? Jesteście jakimiś cholernymi ziomami, którzy robią sobie dobrze?

– Może nasz Ropuszek działa na dwa fronty? – rzucił Roman.

Spojrzałem na Ojczulka. Na jego starej twarzy baraszkowały cienie uznania. Myślę, że był ze mnie dumny.

– Wiecie, kim był autor tej książki? – zapytał nagle były ksiądz. Nasze oblicza mówiły same za siebie. Cóż mogli wiedzieć na temat literatury tacy kołesie jak my?

Ludzie wywodzący się z nizin społecznych, którzy nigdy w życiu nie byli w bibliotece? Nic. – Był Niemcem tak jak ja i kilka razy siedział nawet w więzieniu za jakieś drobne przestępstwa.

– Poważnie? – Suchy miał dzisiaj popołudnie pełne zaskoczeń.

– Ta książka to wspinała opowieść o dalekiej krainie, zwanej Dzikim Zachodem. Historia o wielkiej przyjaźni – ciągnął – o wielu wspinałych rzeczach, odwadze i sprawiedliwości, gdzie honor, lojalność i walka z niegodziwością są tym, za co każdy mężczyzna byłby w stanie oddać życie. Dzięki słowom zapisanym na kartkach tej książki będziesz mógł oczami wyobraźni zobaczyć bezkresną prerię – skierował do mnie swoje słowa – poczujesz, jak pędzisz galopem na koniu, a wiatr rozwiewa ci włosy, dowiesz się, że to, co my nazywamy rajem, dla innych jest krainą wiecznych łowów. Ta książka będzie dla ciebie podróżą do innego świata.

– To chyba książka o prawdziwych Cyganach – zażartował Boyko.

– Nie słyszysz, o czym on mówi? – warknął Roman. – To nie jest historia o nierobach i złodziejach.

– Hej, co z wami? – rzuciłem z nieukrywanym oburzeniem.

Mężczyźni popatrzyli na siebie, ciskając nawzajem błyskawice nienawiści.

– Pozwolą ci ją zabrać do celi? – zmienił temat Kazik.

– Widzisz, co to jest? – Pokazałem mu dedykację,

skreśloną granatowym atramentem na pierwszej stronie. – *Najdroższemu mężowi z okazji imienin w podziękowaniu za wszystko. Kochająca żona Magdalena Wojciechowska. Dwudziesty trzeci kwietnia tysiąc dziewięćset dwudziesty* – przeczytałem i zrobiłem krótką pauzę. – To chyba wszystko wyjaśnia. Prawda?

W myśl regulaminu zameldowałem dyżurnemu na bloku, że wnoszę ze sobą papierowy przedmiot i wyjaśniłem, skąd go mam. Służbę pełnił Robalski. Spojrzał na książkę, potem na mnie, a ja poczułem się tak, jakby patrzył na mnie ktoś młodszy rangą. Klawisz nie odezwał się ani słowem, dokonał tylko adnotacji w dzienniku i kazał mi odejść.

Usiadłem na pryczy. Trzymałem książkę w dłoniach i przez dłuższą chwilę przyglądałem się okładce. Wcześniej słyszałem od Ojczulka, że w każdej książce kryje się magia, ale szczerze powiedziawszy, nie miałem pojęcia, co chciał mi przez to powiedzieć.

Moja pierwsza książka.

Otwierałem zadrukowane kartki pożółkłego papieru i chłonałem każde słowa.

Wiele lat później, kiedy polskie więziennictwo zupełnie zmieniło swoje oblicze, dzieliłem celę z pewnym zadziornym młodzieńcem. Nazywał się Michał Migdał, nosił krótko ostrzyżone włosy, miał fatalny tatuaż na prawym ramieniu i pozował na groźnego kolesia. Dobrze go poznałem, spędziliśmy razem szmat czasu. Nie był złym dzieciakiem, po prostu należał do tej kategorii ludzi, którzy nie potrafili się przystosować. Zamiast spokojnej

pracy i upartego dążenia do celu, wybrał drogę na skróty. Uzbrojony w niebezpieczne narzędzie dokonał w dniu wypłaty zuchwałego napadu na zakładową kasę dużego kombinatu. Skok był kompletnie nieprzemysłany i skończył się wyrokiem pięciu lat.

Były to już czasy, kiedy więźniowie mieli wolny dostęp do określonych książek i prasy, a władza kładła nacisk, żeby nie hodować na państwowym wikcie armii analfabetów. Pewnego dnia Michał powiedział:

– Nie znam drugiego takiego człowieka jak ty, który bezustannie ślęczy z nosem w książkach lub gazetach. Ile książek przeczytałeś w swoim życiu?

Spojrzałem na niego i zdałem sobie sprawę, że nie znam odpowiedzi na to pytanie.

– A pamiętasz swoją pierwszą książkę? – rzucił kolejne pytanie.

– Pierwsza książka to jak pierwsza dziewczyna, z którą posmakowałeś słodkich uniesień. Nigdy jej nie zapomnisz. Moja miała tytuł *Old Shatterhand*.

– Że niby jak?

Opowiedziałem mu historię mojej pierwszej książki, a on słuchał z nieukrywanym zaciekawieniem.

Jakiś czas później wpadł mi w ręce tygodnik literacko-społeczny o szumnej nazwie „Literatura”. Był tam artykuł na temat twórczości Karola Maya, z którego dowiedziałem się, że autor na drzwiach swojego domu w Radebeul umieścił ceramiczną wizytówkę z wykaligrafiowanym napisem: *Karol May zwany Old Shatterhandem*.

W ostatnią niedzielę listopada przekazałem Hrabiemu resztę gotówki, którą zarobiłem na sprzedaży zębów, i dodatkowo odpaliłem mu pięć skrzynek.

Jak to się mówi, interes to interes.

Za wszystko trzeba płacić.

Nie miałem złudzeń ani oczekiwań, nie brałem za pewnik tego, że moja matka przyjedzie do mnie za niespełna miesiąc na odwiedziny. Ufałem jednak, że tak czy siak pieniądze na pewno się jej przydadzą.

Cykl moich codziennych zajęć drastycznie się zmienił. Nagle wpadłem w ten sam schemat, w którym obracali się prawie wszyscy pensjonariusze Centralnego Więzienia we Wronkach. Skończyła się moja swoboda i praca na życzenie. Zajęcia na stolarni pochłaniały mnie do chwili wyjścia na obiad, a potem toczyłem samotne godziny w małej celi. Byłem tylko ja i zadrukowane stronicy.

Wszelakie wieści bardzo szybko mkną po więziennych korytarzach i dlatego moje nieuniknione spotkanie z aspirantem Szumskim było tylko kwestią czasu.

Wieczorem, w pierwszych dniach grudnia pojawił się w mojej celi wraz z dozorcą Frantzem.

– Widzisz, Rudolf – zwrócił się do swojego towarzysza – tak właśnie wygląda śmieć, który zaczyna się intelektualnie rozwijać. Im więcej zdobywa wiedzy, tym bardziej staje się cwany. To mówisz, że sam naczelnik pożyczył ci lekturę? – zapytał, kierując do mnie swoje słowa.

Podniosłem wzrok i odważnie spojrzałem mu

prosto w oczy.

– Tak jest, panie aspirancie.

– Pewnie się nudzi całymi popołudniami – skwitował Frantz. – Może powinien mieć jakieś dodatkowe zajęcia?

Szumski sięgnął po książkę, która leżała na łóżku.

– Widziałeś? – Aspirant pokazał dozorczy stronę z dedykacją. – Żonka Wojciechowskiego ma ładne pismo.

– Ton głosu niósł w sobie melodię kpiny.

– Masz jakieś specjalne względy u naczelnika? – zapytał Frantz. Nie wiem dlaczego, ale doszukiwałem się w jego słowach seksualnego podtekstu.

– Przymknij drzwi – rzucił Szumski w stronę swojego towarzysza.

Strażnik natychmiast wykonał jego polecenie.

Aspirant podszedł do mnie bliżej.

– Myślisz, że jesteś lepszy od całej reszty skazanych? – zapytał z pogardliwą zawziętością. Sekundę później poczułem potworne uderzenie w splot słoneczny. Mój oddech zatrzymał się gdzieś pomiędzy gardłem a mostkiem. Poczułem, jak nogi bezwiednie uginają mi się w kolanach, a zaraz potem grad uderzeń zadanych drewnianą pałką rozbił się na moich plecach. – Ty parszywa gnido! Ciepła posadka, listy, fajki, książka. – Po każdym słowie zadawał mi jeden cios. – Co to ma być, do kurwy nędzy?! To nie sanatorium, tylko pierdolone więzienie! – Szumski sapał z wściekłością.

– Teodor, wystarczy! – zaoponował jego podopieczny. – Już wystarczy. – Złapał go za ramię i nieznacz-

nie odciągnął w tył.

Szumski zdjął czapkę i przetarł dłonią spoczone czoło.

– Nie lubię skurwiela – zwrócił się do dozorca. – Pamiętaj o jednym – rzekł po chwili, spoglądając na moją twarz, przytuloną do zimnej posadzki – jeszcze z tobą nie skończyłem. – Obrócił się w kierunku Frantza i powiedział władcym tonem: – Zorganizuj mu takie zajęcia, żeby nie miał czasu się wysrać. – Obciągnął bluzę brązowego munduru i wyszedł z celi.

Frantz podszedł do mnie, przykucnął i powiedział cichym głosem:

– Powiem to raz jeszcze, każdy potrzebuje przyjaciół, którzy mogą otoczyć ochroną. Zastanów się dobrze – zrobił krótką pauzę i dokończył myśl: – mogę się tobą zaopiekować. Teraz czekam na twój ruch.

Od tamtej pory, każdego dnia przez długie tygodnie, strażnicy popołudniami zapędzali mnie do roboty. To były bzdurne zajęcia. Zamiataniem więzienne korytarze, myciem podłogi, drewniane podesty przed celami, schody, poręcze balustrad, a wszystko po to, żeby skraść mi czas, który mogłem poświęcić dla siebie. Kiedy po kolacji wracałem z powrotem do swojej celi, dyżurny bloku gasił mi światło i siedziałem otulony mrokiem. Książka naczelnika leżała na półce, a okładka pokrywała się kurzem. Czas na czytanie miałem tylko w niedzielę, zanim wyprowadzano nas na spacer. W sumie nie było tak źle, bo przez głupi przypadek zacząłem jeszcze zarabiać na zajęciach, które

miały być moją karą.

Powoli zbliżały się święta Bożego Narodzenia, ale z nieba nie spadł ani jeden płatek śniegu. Świat wydawał się potwornie szary i nijaki. Nawet słońce bezustannie ukrywało się przed naszymi oczami ponad bezkresnym całunem popielatych chmur. Wystarczył kwadrans na spacerniaku, a człowiek czuł, jak palce dłoni momentalnie kostnieją w podmuchach zimnego, grudniowego wiatru.

– Coś taki markotny? – zapytał Kazika, który siedział samotnie na ławce i wpatrywał się gdzieś przed siebie.

Przez dłuższą chwilę nawet nie drgnął.

– Wszystko się zawaliło – wyszeptał smutnym głosem. – Wszystko straciło sens.

– O czym ty mówisz, do licha? – zaintrygował mnie.

– O moim życiu – westchnął. – O moim pierdolonym życiu.

Oho, facet ma doła – to była pierwsza myśl, która przegalopowała mi przez głowę.

– Sam zobacz. – Wyjął z kieszeni bluzy wymiętoną kopertę. – Masz – podał mi list – przeczytaj sobie.

Nie za bardzo wiedziałem, jak się zachować. Czuję się nieco niezręcznie, ale skoro sam zaproponowałem... List był z datą dwudziesty szósty listopada. Zacząłem czytać. Wystarczyło kilka pierwszych zdań i wszystko stało się jasne. Bogna, której imię tak wiele razy wymawiał niemal z namaszczeniem i za którą tak tęsknił każde-

go dnia, kiedy odliczał dni do spotkania, przysłała mu jedną kartkę papieru o brutalnej treści. Przyznała się szczerze do tego, że poznała starszego o trzynaście lat faceta, i stało się.

– Przykro mi, Kazik – odezwałem się, kiedy poznałem fakty. – Kurwa mać. Stary, naprawdę mi przykro. – W sumie to nie wiedziałem, co mu powiedzieć. Chyba do końca nie rozumiałem tego bólu, który rozrywał mu serce. – Mówiłeś chłopakom?

– A o czym tu mówić? Zresztą i tak chyba już wiedzą – odparł głosem pełnym zrezygnowania. – Ale wali mnie to serdecznie. Była moją nadzieją, kapujesz?! – Słyszałem wyraźnie jak narasta jego wściekłość. – Jak mogła mi to zrobić?! Rozumiesz to? Bo ja nie! Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo musiałem być jej obojętny? Nie potrafię się pogodzić z tą myślą. Była dla mnie całym światem. Całym jebanym światem, rozumiesz to, człowieku?!

Nie mogłem mu powiedzieć, że wiem, o czym mówi. Gdybym to zrobił, byłbym cholernym kłamcą. Sądzę, że Kazik potrzebował to z siebie wyrzucić, a ja się napatoczyłem, i tym sposobem trafiło na mnie. Przez dłuższą chwilę siedziałem przy nim w milczeniu.

– Trzymaj się, chłopie. – Klepnąłem go w ramię i podniosłem się z ławki. – Wszystko będzie dobrze, dasz sobie radę.

Na polecenie Szumskiego dozorczy wymyślali mi przeróżne zajęcia, które wzorowo wykonywałem każdego popo-

łudnia. Pewnego dnia, tuż przed Wigilią, Mroczkowski wpadł na pomysł, żebyśmy umył od strony zewnętrznej drzwi każdej celi na naszym bloku. Uzbrojony w wiadro z wodą, szczotkę z twardym i krótkim włosiem oraz dwie szmaty zabrałem się do dzieła. Na korytarzu panowała błoga cisza.

To nie było zajęcie, które mogło mnie wypalić intelektualnie lub zmęczyć fizycznie. Właściwie postrzeżałem je bardziej jako relaks. Powoli, bez pośpiechu przechodziłem od drzwi do drzwi. Czas pracował na moją korzyść.

Na parterze po tej samej stronie co dyżurka strażników było pięć izolatek. Trzymano tam więźniów, którzy z różnych powodów nie mogli uczestniczyć w zwyczajnym codziennym cyklu. Siedzieli zamknięci w czterech ścianach, jedzenie dostarczano im do celi, a na spacerach byli wypuszczani w zupełnie innych godzinach niż pozostali.

Kiedy zacząłem szorować drzwi izolatki z numerem 055 z drugiej strony nagle dobiegł do moich uszu czyjś głos.

– Hej, co tam robisz?

– Myję drzwi – odparłem szeptem, zbliżając głowę do wąskiej szczeliny pomiędzy masywnymi drzwiami a futryną.

– Kim jesteś? – padło krótkie pytanie.

– A co za różnica kim jestem?

– Bo chciałbym wiedzieć, z kim gadam.

Strzeliłem wzrokiem najpierw w jedną, a potem w drugą stronę korytarza. Pusto. Trzech klawiszów siedziało

piętro wyżej na sterowni.

Nie mogę sobie przypomnieć, czy już wam wspominałem albo wyjaśniałem, czym była sterownia? Nie? A nawet jeśli tak, to zrobię to ponownie. W moim wieku mam prawo się powtarzać, a poza tym nie chce mi się wertować moich zapisków. Wronieckie więzienie zostało wybudowane w kształcie krzyża. Kiedy człowiek stał centralnie w miejscu, gdzie spotykały się jego wszystkie ramiona, i obracał się dookoła własnej osi, widział jak na dłoni wszystkie korytarze i kondygnacje. Sterownia była ulokowana tak, żeby klawisze mogli w pełni kontrolować sytuację i panować nad ruchem skazańców.

– Hej, jesteś tam jeszcze?

Oczywiście, że byłem, przecież słyszał wyraźnie, jak szoruję drewnianą szczotą drzwi izolatki.

– Czego chcesz, człowieku? – szepnąłem.

– Chcesz zarobić skrzynkę? – w odpowiedzi usłyszałem pytanie.

– To zależy.

– Jak się nazywasz? – ponowił wcześniejsze pytanie.

Tak do końca nie byłem przekonany, czy to dobry pomysł.

– Wołają na mnie Ropuch.

Na krótką chwilę z drugiej strony zapadło milczenie.

– Ten ze stolarni?

– Tak – potwierdziłem.

– To jak będzie, chcesz zarobić? Przekażesz tylko

mojemu kumpłowi krótką wiadomość – zaproponował.

– Komu? – ponownie rozejrzałem się dookoła.

– Czarnemu z bloku C. Wiesz, który to jest?

– Wiem – odparłem.

Znałem go z widzenia, a z tego, co słyszałem, Czarny był ostrym gościem. Żadna z niego figura, po prostu twardy rzezimieszek. Napady, rabunki, kradzieże... standard.

– To jak będzie? Chcesz ze mną ubić ten interes?

– Co mam mu przekazać? – Pomyślałem, że mogę to zrobić.

– Słuchaj uważnie. Powiedz Czarnemu, że Maniek się szczerze skundlił. Powiedz też, że wiadomość przekazuje Walet. Zapamiętałeś?

– Walet mówi, że Maniek się szczerze skundlił – powtórzyłem.

– Dobrze. Tylko zrób to czym prędzej, bo czas nagli, a to bardzo ważne.

– Facet kompletnie nie daje rady – skwitował Suchy, mając na myśli Kazika. – Popatrzcie tylko na niego – powiedział, kiedy staliśmy na spacerniaku. Powędrowaliśmy wzrokiem w kierunku, który nam wskazał. Nasz kumpel wolno przechadzał się wzdłuż siatki. Zmęczony krok, zgarbiona sylwetka, dłonie wciśnięte w kieszenie szarych spodni. – Z nikim nie chce gadać – ciągnął. – Nie pojmuję, jak można zadręczać się z powodu jakiejś baby? Nie ta, to inna – wygłosił takim tonem, jakby tylko on jeden znał idealne rozwiązanie.

– To nie z powodu jakiejś baby – odparł Ojczulek.
– To z powodu duszy, którą mu ta kobieta rozszarpała.

– Eee tam, słodkie pierdoły. – Suchy miał własne podejście do tematu. – Ile mu jeszcze zostało? Osiem? Dziewięć miesięcy? Wyjdzie, posmakuje życia, cały świat stanie otworem, pozna jakąś zmysłową larwę – zachichotał – wiecie co mam na myśli, no nie? Nie ma sensu rozpaczać i pakować sobie bzdury do łba. Babok się skurwił i powinien na nią machnąć ręką. A jak już wyjdzie, jeszcze na dokładkę powinien jej posłać kopa prosto w dupsko. Tak dla zasady.

– Byłeś kiedyś zakochany? – zapytał go nagle Roman.

– Oczywiście, że tak – odparł natychmiast. – Z tą tylko różnicą, że mój obiekt miłosnych uniesień nigdy mi nie wytnie takiego numeru. A wiesz dlaczego? Bo ja, ówoku, jestem zakochany sam w sobie. Kapujesz?

– Oj, Suchy, Suchy. – Ojczulek pokręcił głową z politowaniem i odszedł.

– Klecha ma rację – rzucił Roman – jesteś żałosny.
– Po czym obrócił się na pięcie i też się oddalił.

– Znaleźli się, kurwa mać, eksperci od miłości. – Splunął. – A ty co, nie zaklaszczesz, nie przyznasz im racji?

– Nie wiem, kto ma rację, i nie będę sobie zaprzętał tym głowy. – Wyjąłem papierosa i zapaliłem. – Mam inne zmartwienie. Czy możesz mi powiedzieć, co znaczy, jeśli jeden więzień mówi o drugim, że ten się szczerze skundlił?

– Ooo, a kogo masz na myśli? – zapytał, żeby wyciągnąć ode mnie informacje.

– Wiesz, co to znaczy, czy nie? – uciałem.

Suchy przeszył mnie wzrokiem.

– „Szczerze skundlony” oznacza, że ktoś poszedł na układ. Wyznaje wszystko jak na spowiedzi, sypie swoich kumpli, a sam w ramach rewanżu ze strony władzy może liczyć na łagodne traktowanie, zmniejszenie wyroku, zawieszenie kary, uniewinnienie. Krótko mówiąc, jest tak, że skundlony zgarnia całą pulę, a pozostali znajdują się w ciemnej i ciasnej dupie.

– Rozumiem.

– No ale nawijaj, powiedz, o kogo chodzi – nie odpuszczał Suchy.

– Wiesz co, lepiej idź pogadać z Kazikiem. Ja muszę się zbierać – powiedziałem i ruszyłem przed siebie.

Za swoimi plecami usłyszałem jego głos pełen pretensji:

– Co się z wami wszystkimi dzieje? – Zerknąłem przez ramię i zauważyłem jak w bezradnym geście rozkłada obie ręce. – Dopadło was jakieś świąteczne oszołomienie?!

Wolnym krokiem sunąłem środkiem spacerniaka. Mój wzrok biegał po twarzach skazańców. Czarnego dostrzegłem w towarzystwie kilku kompanów. Rozmawiali o czymś, palili fajki, niektórzy dreptali w miejscu, żeby oszukać uczucie chłodu. Podszedłem do rosnącego mężczyzny, na którego policzkach malował się cień dwudniowego zarostu. Zauważyłem, że na prawej dłoni, pomiędzy

kciukiem a palcem wskazującym, miał wytatuowany symbol. To był sztylet.

– Ty jesteś Czarny? – zapytałem wprost, pomijając wszelkie konwenanse.

Facet, do którego się zwróciłem, spojrzął na mnie, a na jego ustach pojawił się cierpki grymas.

– Może i jestem, a bo co?

– Musimy pogadać w cztery oczy. To ważne.

Nie chciałem w obecności innych chwalić się tym, że przynoszę wiadomość.

Ledwo skończyłem mówić, a on złapał mnie za poły kufajki i mocno przyciągnął do siebie. Czulem, jak jego oddech rozbija się o moje nozdrza.

– Kim ty, kurwa mać, jesteś, że przychodzisz do mnie jak do swego? – wycedził przez zęby.

Typy stojące obok nas najwyraźniej uznały te słowa za dowcip.

Zdążyłem jednak szepnąć na tyle głośno, żeby tylko on usłyszał.

– Mam wiadomość od Waleta.

Słowa zabrzmiały jak zakłęcie. Czarny natychmiast zabrał swoje dłonie z mojego ubrania. Spojrzął na mnie świdrującym wzrokiem.

– Pospacerujcie sobie – warknął w stronę swoich kamratów.

Prawie wszyscy z nich patrzyli na mnie zupełnie zaskoczeni.

Kilka sekund później zostaliśmy sami. Usiadłem obok mojego rozmówcy. Wyjąłem paczkę parisjanów,

poczęstowałem Czarnego i podałem mu ognia.

– Ty jesteś tym frajerem ze stolarni – na wpół pytał, na wpół stwierdził. – Nie znam cię, dlaczego miałbym ci wierzyć?

– Nie masz wyjścia. Twój kumpel Walet siedzi w izolatce, zgadza się? – Nie czekałem na żadną odpowiedź. – Rozmawiałem z nim kilka dni temu... – zrobiłem krótką pauzę i specjalnie z naciskiem podkreśliłem kolejne słowo – prosił, żebym przekazał ci bardzo ważną wiadomość. Ta informacja będzie cię kosztować jedną skrzynkę – mówiłem takim tonem, żeby było jasne, iż zapłata nie podlega żadnym negocjacjom.

– Jeżeli wiadomość będzie tego warta, dostaniesz to, czego chcesz. – Zaciągnął się dymem. – Jeżeli będzie gównem warta, dostaniesz po ryju. Rozumiemy się?

– Słyszałem kiedyś, iż w starożytnym Rzymie panował taki zwyczaj, że kiedy posłaniec przynosił złą wiadomość, mógł nawet za to zostać święty. Od tamtej pory minęło ponad dwa tysiące lat, a zasady, jak widać, bardzo podobne.

– Do rzeczy, frajerze, bo zaczynam tracić cierpliwość – burknął.

– Wiadomość od Waleta brzmi – spojrzałem mu prosto w jego błyszczące oczy – Maniek się szczerze skundlił.

Na dźwięk tych słów Czarny odwrócił swój wzrok i spojrzał przed siebie. Miałem wrażenie, że twarz tego człowieka w jednej sekundzie zmieniła się w kamień. Gdyby nie aorta pulsująca na jego szyi, przysięgłbym, że

patrzę na posąg. Przez kilka dobrych chwil siedzieliśmy bez słowa. Jestem przekonany, że ta wiadomość była miażdżąca.

Czarny kiwnął głową w kierunku jednego z mężczyzn, którzy stali tu wcześniej.

– Przynies mi dwie skrzynki – rozkazał. – Tylko biegusiem. – Po czym zwrócił się do mnie: – Dasz radę skontaktować się z Waletem?

– Jest taka szansa, ale nie mogę tego zagwarantować – odparłem zgodnie z prawdą.

– Postaraj się, a będę twoim dłużnikiem – udzielił mi konkretnego zapewnienia, którego ja nie mogłem mu obiecać. – Jedną pakę dostajesz za to, co przekazałeś, a drugą masz na zachętę, żebyś znalazł sposób na dotarcie do Waleta. Muszę być z nim w kontakcie. Na pewno na tym zarobisz, to nie ulega wątpliwości. Ty pomożesz nam teraz, być może my pomożemy tobie w przyszłości. Jak długo już tutaj jesteś? – zapytał ni stąd, ni zowąd.

– Ponad dwa lata.

– A na jak długo się tutaj zatrzymałeś? – dociekał.

Nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się, że o takich wyrokach jak mój wiedzą wszyscy więźniowie.

– Trudno powiedzieć, to tylko zależy od tego, jak długo pociągnę – zdobyłem się na makabryczny żart.

Czarny spojrział na mnie zaskoczonym wzrokiem. A jednak nie wiedział.

– Za co cię skazali? – zapytał wprost.

– Nie przyszedłem tutaj rozmawiać o sobie i nie widzę powodu, dla którego miałbym ci o tym mówić. Nie

obchodzi mnie, za co siedzisz i kim jesteś. To nie ma żadnego znaczenia, liczy się tylko teraz i tutaj.

– Masz rację – wtrącił. – To rzeczywiście nie ma żadnego znaczenia. Proponuję, żebyśmy sobie pomogli nawzajem. W takim miejscu jak to – omiół dookoła wzrokiem – każdy potrzebuje przyjaciół, którzy mogą otoczyć ochroną.

To, co powiedział, wydało mi się cholernie znajome.

Walet siedział w izolatce jeszcze przez blisko dwa miesiące. Zostałem kurierem, który przekazywał wiadomości, i każdej niedzieli czesałem dwie skrzynki. Nigdy się nie dowiedziałem, o co chodziło w tej całej sprawie, ale jeśli mam być szczerzy, to nawet nie specjalnie mnie to interesowało. To był tylko biznes, a ja sprawdziłem się w roli pośrednika. Znajomość z tymi ludźmi wyszła mi na dobre, ale zaowocowała dopiero w przyszłości.

Czarny nigdy więcej nie nazwał mnie frajerem.

Wigilia 1924 roku wypadła dokładnie w środku tygodnia. Fatalny termin. Już rano, podczas śniadania chłopaki cieszyli się z perspektywy kilku dni wolnego. Ja natomiast miałem zupełnie odmienne zdanie. Jedyнным pocieszeniem było to, że istniała duża szansa, iż będę mógł zatracić się w czytaniu. Gdzieś w mojej głowie błędziła również myśl, chociaż nie żyłem tą nadzieją, że może zobaczę moją mamę. Właściwie to chyba obawiałem się tego spotkania. Minęło przecież tak wiele czasu...

– No to czego wam życzyć, jełopy, z okazji świąt?

– zapytał Suchy, przeżuwając kolejny kęs razowego chleba.

– Amnestii – rzucił Roman.

– Facet, błagam cię, skończ z fantazjami – rzucił Suchy.

– Ja mam skromne życzenia – wtrącił Boyko. – Chciałbym, żeby mój los się odmienił. Chciałbym wyrwać się z łodygowni i skończyć z obowiązkami kalefaktora.

– Ale to są zajęcia, do których doskonale pasujesz – wycedził z nieukrywanym szyderstwem Roman.

– Musisz? Naprawdę? – odezwał się zirytowany Ojczulek. – Dlaczego do licha w taki dzień jak ten zaczynaś znowu siać złośliwości? Dlaczego to robisz? Dlaczego nie jesteś w stanie uszanować rocznicy narodzin Chrystusa? Co z tobą jest nie tak? Musisz się ciągle karmić swoją nienawiścią?

Roman spojrział na Ojczulka groźnym wzrokiem i odparł:

– Jak coś ci się nie podoba, to możemy sobie to wyjaśnić inaczej!

Kazik, który od pewnego czasu bardzo rzadko się odzywał, uniósł wzrok, omiół nim po naszych twarzach i prawie krzyknął:

– A ja życzę sobie końca świata i zamknijcie w końcu swoje parszywe mordy!

Spoglądaliśmy po sobie zupełnie zaskoczeni jego słowami. Przy naszym stole zapadła cisza, nawet Suchy darował sobie jakikolwiek komentarz.

Resztę posiłku zjedliśmy w milczeniu.

Dzisiejszy dzień pracy toczył się na leniwych obrotach. Właściwie zajęliśmy się z Jaškami pieczołowitym sprzątaniami stolarni, a wszystkie śmieci paliliśmy w kaflowej pieco-kuchni.

W pomieszczeniu panoszyło się przyjemne ciepło.

Kiedy nadarzyła się okazja, wyjąłem z mojej skrytki w taborecie trzy paczki fajek i schowałem je do kieszeni więziennego drelichu. Pomyślałem, że warto być przygotowanym, szykowało się bowiem kilka dni wolnego, a ja nie miałem pojęcia, jaka przyszłość mnie czeka.

Pisałem wam już wcześniej o moim nie najlepszym samopoczuciu, które niczym bumerang zawsze powracało podczas chrześcijańskich świąt. Tym razem było identycznie, więc nie ma się nad czym rozwlekać. Nawet świat wyrrywający się ze stron książki pożyczonej od naczelnika wydawał się tylko rozsypanym makiem drukarskiej czcionki.

Pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia Roku Pańskiego tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego przypadł w czwartek. Śmiało. Możecie sprawdzić, czy się zgadza dzień tygodnia. Ja wiem. Wiem, bo są takie dni w ludzkim życiu, które człowiek zapamiętuje na resztę swojego żywota, jakikolwiek on by nie był. Takie dni pamięta się za ten ładunek najintensywniejszych emocji. Eksplozja pod czaszką jest potężna, rozrywa, miażdży i kąsa najgłębiej jak się da. Okaleczone wspomnienia porastają napuchniętymi bliznami. Czas pędzi do przodu. Mijają długie lata, a w pamięci nadal czai się ból. Blizny są

delikatne. Zawsze już takie będą. Napęczniałe, pokryte delikatną błoną. Każde dotknięcie myśli będzie raniło jak rzeźnicki nóż. Zawsze. Już zawsze tak będzie. Blizny są duże. Zbyt duże, nie mogą się bowiem prześlizgnąć przez lukę wiodącą do krainy zapomnienia.

Nigdy nie odejdą.

Dlatego właśnie pamiętam ten dzień.

Od samego rana towarzyszyło mi niepokojące poruszenie. Nie mogło być inaczej. Te wszystkie listy, wiadomości od mojej matki, przekazane złoto i pieniądze, wszystko, dosłownie wszystko zmierzało w kierunku nieuniknionego. Nabrałem przekonania, że podczas tych świąt wydarzy się coś ważnego. Coś bardzo ważnego. Zanim wyprowadzono nas na spacer, próbowałem uwolnić się od tych uczuć oraz myśli i uciec w książkę, ale nie dałem rady. Nie potrafiłem pokonać bariery, która skutecznie broniła dostępu do mojej wyobraźni. Wszystkie litery klejone w słowa, a słowa w zdania przemykały przez mój umysł i nie pozostawiały po sobie żadnych śladów. Pustka.

Dzień był pogodny. Ponad naszymi głowami rozpościerało się nieskazitelnie błękitne niebo, a słońce, niczym dumny imperator odziany w szatę bijącą złotym blaskiem, samotnie królowało na bezkresnym nieboskłonie. Mroźne powietrze szczypało w nozdrza, a zimny, grudniowy wiatr bezlitośnie chłostał porywistymi podmuchami.

Jak to powiadają, tradycji stało się zadość. Ojczulek znowu miał szansę, żeby poczuć się jak prawdziwy

sługa boży i pełnił swoją powinność, rozgrzeszając tych, którzy czuli taką potrzebę. Pomimo przenikliwego chłodu spaceriak tętnił gorącą życzliwością i pogodnymi uśmiechami. I tylko nieliczni, do których ja również się zaliczałem, znosili ten świąteczny czas w zupełnie odmienny sposób.

Usiadłem na ławce obok Kazika, który beznamietnym wzrokiem wpatrywał się w czubki własnych butów.

– Jak leci? – rzuciłem banalne pytanie, żeby nawiązać rozmowę.

Mój kumpel podniósł na chwilę wzrok, spojrzął na mnie i odparł posępnym głosem:

– Do dupy, człowieku. Totalnie do dupy.

Wyjąłem z paczki jednego parisjana i wetknąłem go w końcówkę szklanej fifki. Zapaliłem. Wypuściłem z płuc kłęby dymu, które przez krótką chwilę wyglądały niczym gęsta mgła, a sekundę później rozpięzchły się w powietrzu.

– Nie pojmuję, człowieku, jak mogła mi to zrobić? – mówił wolno i z wielkim żalem. – Jak mogła? Tyle wspólnych wspomnień, przeżytych lat... – urwał w pół zdania. – A teraz to wszystko obróciło się w perzynę. Nie ma już nic. Nie potrafię uwolnić się od tych myśli. Człowieku, oddałbym wszystko byle tylko zapomnieć ostatnie dwadzieścia lat mojego życia. Czasami myślę o tym, jak pięknie byłoby obudzić się któregoś dnia, spojrzeć po ścianach celi i mieć kompletną pustkę w głowie. Ropuch, kurwa mać, nie umiem sobie z tym poradzić... – powiedział łamiącym się głosem, powstrzymując łzy.

– Potrzebujesz czasu – próbowałem dodać mu otuchy. – Za kilka miesięcy będziesz wolnym człowiekiem, wyjdiesz za bramę, a cały świat stanie otworem. Ułożysz sobie życie. Dasz radę, chłopie.

Cóż mogłem mu jeszcze powiedzieć? Każdy z nas dźwigał swój krzyż.

– Nie wiesz, jak to jest, i obyś tego nigdy nie doświadczył – odparł, a po chwili dodał: – Muszę już iść. Na razie. – Wstał i nawet nie spojrzawszy na mnie, obrócił się w prawo i podreptał przed siebie.

Przez moment spoglądałem na jego oddalającą się sylwetkę. Nieco zgarbiony, z dłońmi wciśniętymi w kieszenie spodni szedł wolno, właściwie powłóczył nogami, zupełnie tak, jakby na jego barkach spoczywał żal całego świata.

Zegar na wieży wybił południe. Krążyłem po spacerniaku w tę i z powrotem, czasami zamieniłem z kimś słówko, ale tak naprawdę bezustannie szukałem wzrokiem Hrabiego. Chwilami znikał mi z pola widzenia, by za moment ukazać się zza czyichś pleców. Ślizgał się pośród skazańców, błyszczał tym swoim filmowym uśmiechem i zachowywał się jak dusza towarzystwa.

W tym samym czasie od strony wyjścia ze spacerniaka co chwila jeden z klawiszy nawoływał jakiegoś więźnia na widzenie. W końcu mieliśmy cholerne święta, więc czas odwiedzin nie był uzależniony od konkretnego dnia tygodnia.

Nagle usłyszałem tuż nad uchem głos Suchego:

– Hej, co jest? – Poczulem solidne klepięcie

w ramię. – Widzę, że kręcisz się po tym placu jak mucha po silosie pełnym gówna. Szukasz kogoś? – zapytał niby od niechcienia, ale nieco podejrzliwym głosem.

– A ty co? – rzuciłem zawadiacko. – Śledzisz mnie? Masz jakiś problem? Wiem, że masz fajki, i wiem, że chcesz mnie poczęstować. To co dzisiaj palimy? – zmieniłem temat i posłałem mu oko.

– Aś się wyszczekał, Ropuszku – ripostował jak złośliwy jaszczur. – No dobrze, niech będzie – spokorniał w isticie aktorskim stylu – dzisiaj wujek Suchy zostaje częstującym – dokończył z triumfem, jakby ogłosił coś nadzwyczajnego.

– Jesteś wspaniałomyślny, bardzo cieszy mnie twoja szlachetna decyzja – odparłem. – Będę dziś palił na umór, choćby miało mnie jutro zesrać popiołkiem. Obiecuję, że dam z siebie wszystko.

– Wal się – parsknął Suchy i wyjął po szlugu na pierwszą rundę.

Snuliśmy się teraz we dwóch. Z każdym podmuchem wiatru ziąb wydawał się coraz ostrzejszy, jakby ktoś ciskał człowiekowi w twarz szpileczkami zamrażającego lodu. Postawiłem kołnierz kufajki i nieco skuliłem ramiona. Mój towarzysz opowiadał kolejną zabawną historię, ale tak go słuchałem, że jej sens kompletnie mi umknął. Jestem pewien, że dręczyło mnie wtedy bliżej nieokreślone, niepokojące przecucie.

Zegar na wieży wybił kwadrans po trzynastej.

Wtem usłyszałem od strony wyjścia donośny głos dozorczy:

– Duszański! – Chwila pauzy i jeszcze raz. – Duszański!

Dostrzegłem Hrabiego zmierzającego w stronę wyjścia, kiedy nagle rozległo się kolejne nazwisko:

– Żabikowski! – Oniemiałem w pierwszej chwili. I jeszcze raz. – Żabikowski!

Suchy spojrział na mnie tak, jakby po raz pierwszy zobaczył przybysza z obcej planety.

Obróciłem się na pięcie i szybkim krokiem ruszyłem w tamtym kierunku. Widziałem, jak Hrabia kilka razy oglądał się przez ramię. Przyspieszyłem kroku, właściwie to prawie biegłem. Spotkaliśmy się tuż przy siatce.

– Duszański na odwiedziny, a Żabikowski melduje się do aspiranta Szumskiego – rzucił dozorca stojący przy wyjściu.

Na twarzy Hrabiego dostrzegłem ślad zaskoczenia. Sam prawdopodobnie wyglądałem identycznie.

Klawisz prowadził mnie pustym korytarzem. Do moich uszu docierało echo naszych kroków rozbijających się o kamienną posadzkę, a w głowie rozpętał się huragan myśli. Przecież mam odwiedziny! – wierzyłem w to mocno. Ten chuj Szumski chce mnie załatwić! Dlaczego to robi! Chryste, powstrzymaj to! Przecież mam odwiedziny! – głos pod czaszką wydierał się rozpaczliwie. Serce rzuciło się do galopu, fala gorącego ciepła zaatakowała moje ciało, wyraźnie czułem, jak krople zimnego potu wciskają się przez skórę czoła.

Gdy tylko przekroczyłem próg gabinetu, rzuciłem drżącym głosem regulaminową formułkę:

– Więzień dwadzieścia dziewięć-jedenaście melduje się na wezwanie!

Aspirant Szumski siedział za swoim biurkiem, odchylił głowę nieco w tył i spojrzał na mnie spod wpeł przymkniętych powiek.

– Miło cię widzieć, Żabikowski, w ten radosny czas – odezwał się chwilę później. – Sam już nie wiem, ale wydaje mi się, że nasze poważniejsze spotkania zawsze przypadają w świątecznym okresie. Prawda?

– Prawda, panie aspirancie – odparłem, chociaż nie wiem, czy oczekiwał mojej odpowiedzi.

– No popatrz, kto by pomyślał, że w taki sposób narodzi się nasza wspólna tradycja. Co o tym sądzisz? – zapytał.

Sądzę, że powinienem gołymi rękami wyrwać ci twoje jebane serce! – wrzasnąłem w myślach.

– Jestem tego samego zdania co pan aspirant – odparłem pokornie. Wiedziałem, że tego właśnie oczekuje, żebym się ukorzył. Chciał się tym karmić, sycić, czerpać satysfakcję z posiadanej nade mną władzy.

– A jak tam książka, którą pożyczył ci naczelnik? – zapytał znienacka.

– Trudno mi znaleźć czas na czytanie, panie aspirancie.

– To dobrze, Żabikowski, to bardzo dobrze. – Podniósł się z krzesła i podszedł do okna. – Bo widzisz, Żabikowski, więzienie to nie szkółka niedzielna – mówił, spoglądając z góry na panoramę spacerniaka. – A na dodatek nie przepadam za tobą i nie podoba mi się wiele

spraw. Doskonale pamiętam, jak kiedyś w tym gabinecie – podkreślił ostatnie słowo i obrócił się w moim kierunku – chciałem wejść z tobą w komitywę. Ubzdurałeś sobie coś we łbie i pokąsałeś dłoń, którą do ciebie wyciągnąłem. Potem jakimś cudem wszedłeś w komfortowy układ z naczelnikiem. – Zamilkł na moment, przysiadł na krześle dużego biurka, wyjął z kieszeni srebrną papierośnicę i zapalił. – Zdajesz sobie sprawę, że bezustannie mam na ciebie oko? – zapytał, zmieniając temat.

Miałem nieodpartą ochotę rzucić się na niego. Mógłbym go łać po tej szcurzej mordzie do końca swoich dni. Wiedział, że mam odwiedziny. Jestem pewny, że to wiedział, i specjalnie wezwał mnie do siebie. Ty podły skurwysynu! – zakląłem w myślach. Mówił coś o listach i czytaniu, potem znowu o tym, jaki to ze mnie cwaniak i kombinator. Ubliział mi przez cały czas.

Ta idiotyczna sytuacja wydawała się trwać całą wieczność. Z jednej strony ja, któremu miażdży duszę, a z drugiej pajac w brązowym mundurku, który mówi o przegównianych sprawach. Nie dałem rady. Nie potrafiłem się powstrzymać i w końcu wypaliłem:

– Panie aspirancie, mam odwiedziny, czy mogę już odejść? – starałem się, żeby mój głos był stanowczy.

Szumski spojrzał na mnie badawczym wzrokiem, po czym powiedział spokojnie:

– Nie masz żadnych odwiedzin, ćwoku – rzucił podniesionym głosem, a potem wrzasnął: – Skąd ten kretyński pomysł!

– Mam odwiedziny, panie aspirancie, mam...

– Milczeć, Żabikowski! – krzyknął mi prosto w twarz. Wziął głęboki oddech i znowu odezwał się opanowanym głosem: – Nie masz żadnych odwiedzin, rozumiesz? Nikt nie przyszedł i nikt nie przyjdzie cię odwiedzić. Czy byłeś wzywany na odwiedziny? – Patrzył na mnie przenikliwie przez chwilę. – Kurwa, pytam się coś ciebie! Byłeś wzywany na odwiedziny?! – wydarł się znowu.

– Nie, panie aspirancie – wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

W mojej głowie zrodziła się myśl, że najlepsze, co mogę w tej chwili zrobić, to zabić tego gnojka. Dać upust swoim wszystkim lękom i wspomnieniom związanymi z osobą Teodora Szumskiego.

– Strażnik!! – aspirant ryknął ze wszystkich sił.

Niemal natychmiast drzwi otworzyły się z trzaskiem.

– Odprowadzić więźnia na plac! – wydał krótkie polecenie.

Dozorca złapał mnie za ramię. Nie powinienem był tego robić, ale straciłem nad sobą kontrolę, szarpnąłem się nerwowo i powiedziałem donośnym głosem:

– Dlaczego mi to robisz?! Za co mnie tak, kurwa mać, nienawidzisz?!

Nie wiem, co było dalej, poczułem tylko potężny ból z lewej strony głowy i zapadłem się w ciemność.

Ocknąłem się w celi. Ból, który czułem z lewej strony głowy, bezlitośnie rozłupywał mi czaszkę. W pamięci miałem tylko pojedyncze kadry, niczym

przebłyski rozbitych wspomnień. Dwóch dozorców prowadzi mnie, podtrzymując pod ręce. Jesteśmy na dziedzińcu, powłóczę nogami. Ciemność. Prowadzą mnie pustym korytarzem. Świat znika. Wspinamy się po schodach. Budzę się, czując na policzku chłód szorstkiej podłogi. Powoli wraca przytomność umysłu. Ból głowy jest potworny, nawet nie staram się poruszyć szyją, bo wiem, czym to grozi. Oczy przyzwyczajają się do mroku. Cisza dzwoni w uszach. Nagle słyszę, jak zegar na wieży kościelnej wybija pełną godzinę. W myślach liczę uderzenia. Dwudziesta trzecia.

Usiadłem na pryczy i miałem ochotę wyć najgłośniej, jak tylko potrafię. Wyć z całych sił, aż rozerwie mi gardło na krwawe strzępy. Głowa eksplodowała zarówno na zewnątrz, jak i w środku. Myśl o tym, co się dziś wydarzyło, była jak rozgrzany do czerwoności pręt, który ktoś wsadza ci prosto w ucho, żeby czym prędzej zatopić rozżarzoną końcówkę w twoim mózgu. I masz wrażenie, że za chwilę usłyszysz jeszcze ten charakterystyczny syk, kiedy rozpalona stal zanurza się w wilgotnym, galaretowatym mięszu.

Prawdziwa kwintesencja bólu.

Tę noc spędziłem w towarzystwie zmory. Nie widziałem jej, ale za to doskonale czułem jej obecność. Siedziała tuż obok mnie. Szeptała mi do ucha, odgrzebywała wspomnienia i spokojnie czekała na to, kiedy się rozpadnę. Zmora jest przebiegła i cierpliwa. Prawdziwym zwycięstwem rozkoszuje się dopiero wtedy, kiedy cię pokona i dziko zatańczy na prochach twojej duszy.

Każda bezsenna noc w więzieniu wydaje się nie mieć końca, a godziny wloką się niczym żałobny kondukt. Siedzisz na pryczy i torpedujesz swój umysł obrazami z przeszłości, zadręczasz się pytaniami, szukasz odpowiedzi, a jedyne, co wiąże cię z tym światem, to ciepło łez spływających po policzkach i gorzki krzyk rodzący się na dnie gardła. Czujesz wszechwładną niemoc. Łatwo powiedzieć, że trzeba zacisnąć zęby, być twardym i nie ulegać uczuciom. W teorii wszystko jest możliwe.

W takich chwilach dopadają cię podłe myśli. Dochodzisz do wniosku, że najlepiej byłoby skończyć ze sobą i raz na zawsze uwolnić się od tej całej zgryzoty.

Siedziałem na pryczy, a moje plecy przenikał chłód pomarszczonej ściany. Paczka parisjanów wydawała się topnieć w oczach. Nadmiar wypalonego tytoniu zamienił mój język w zwęglone polano.

Zniszczony psychicznie i zmaltretowany cieleśnie dotrwałem o własnych siłach do brzasku dnia.

Kiedy wyprowadzono nas na spaceriak, natychmiast pośród tłumu odszukałem Hrabiego.

– Co się stało? – zapytał głosem, w którym słyhać było zaskoczenie i naturalna ludzką ciekawość.

– To ten skurwiel, Szumski – syknąłem przez zęby.

– To on wykombinował sobie, jak mnie udupić. Była? Powiedz mi tylko, czy była?! – Moje słowa drżały.

– Była – potwierdził, patrząc mi prosto w oczy. – Na nic się zdały jej prośby i błagania, nikt nie chciał z nią rozmawiać.

– Niech to szlag, niech to, kurwa mać, szlag jasny trafi! – wyrzuciłem z siebie. – Co u niej? Jak się sprawy mają?

Mój ziomek opowiedział mi wszystko ze szczegółami.

Czułem rozgoryczenie tak wielkie jak cały wszechświat. Nic nie mogło ukoić mojego cierpienia. Zachodziłem w głowę, co powinienem zrobić. Przemknęła mi nawet taka myśl, żeby donieść naczelnikowi o całej sytuacji. Ale zdrowy rozsądek kazał mi zażegnać ten pomysł.

Przebrnąłem przez to wszystko, karmiąc się nienawiścią.

Oduściłem sobie jakiegokolwiek zwierzenia w kumpelskim gronie, żeby uniknąć później wysłuchiwania życzliwych rad, czy też dawania innym powodu do rozmowy.

To i tak niczego by nie zmieniło.

Wiecie, jak to jest, kiedy człowiek wpakuje sobie do głowy myśl, w którą uwierzy i trzyma się jej uparcie jak rozbitek dryfującej kłody. Tak też stało się ze mną. Wmówiłem sobie, że wszystko, co mnie dręczy, umrze wraz z nastaniem roku 1925. Ta idea urosła w mojej wyobraźni do rozmiarów zaklęcia i miała się ziścić wraz z ostatnim uderzeniem zegara, które oznajmi światu, że rok dwudziesty czwarty spoczął na półkach historii.

To zupełnie normalne, że ludzie wraz z nastaniem czegoś nowego oczekują zmian i mają nadzieję na lepsze

życie. Taka sugestia zyskuje na sile szczególnie wtedy, kiedy na wszystkich kalendarzach świata pojawia się kolejna czterocyfrowa liczba.

Pierwszy dzień nowego roku miał w sobie coś symbolicznie oczyszczającego. Zanim za oknami nastał świt, niebo splunęło na ludzki padół kaskadami deszczu i śniegu. Niektórzy twierdzili, że to anomalia pogodowa, inni nazwali to boską interwencją, ja zaś byłem przekonany, że zarówno jedni, jak i drudzy mają poniekąd rację.

Na spacerunku człowiek nie znalazł takiego miejsca, gdzie mógłby się ukryć. W niespełna kwadrans nasze ubrania nasiąknęły wodą i przypominaliśmy armię topielców snującą się chaotycznie po placu, opasanym zasiekami kolczastego drutu i wysokim płotem z drucianej siatki.

– Co to ma być, do ciężkiej cholery? – Suchy zadał rozpaczliwie brzmiące pytanie, spoglądając wprost w zachmurzone niebo. Krople deszczu ciurkiem spływały po jego pomarszczonej twarzy. – Jestem w stanie wiele zrozumieć, ale tej pogody nie czaję w ogóle!

– Możemy tylko pozazdrościć tym fiutom w brązowych pałatkach – rzucił Roman i wskazał wzrokiem w kierunku grupy strażników, którzy stali po drugiej stronie.

Przypuszczam, że wszyscy skazańcy myśleli tylko o tym, aby jak najszybciej skończyło się dzisiejsze wietrze.

Paskudna aura była jedynie drobnym szczegółem, który idealnie pasował do prologu nadchodzących wyda-

rzeń. Wspominałem już wcześniej o tym, że 1925 był naprawdę parszywym rokiem. Można obarczyć winą opatrność, że co ćwierć wieku doświadczają nas w podły sposób, można również szukać innego wytłumaczenia. Tylko po co? Czy nie lepiej pochylić czoła przed siłami, które są tak potężne, że jesteśmy dla nich jedynie pyłem na wietrze?

Tak na dobrą sprawę, to nie ma sensu się nad tym zastanawiać.

Rok 1925 obfitował w wiele wydarzeń przeróżnego kalibru. Wiele się działo. Kiedy jednak spoglądam na tamte czasy z perspektywy minionych lat, widzę tylko siebie i moją koszmarną metamorfozę, której doświadczyłem siedemnastego października, w dniu moich dwudziestych piątych urodzin. Zanim opowiem wam o tym dniu, muszę najpierw wspomnieć o kilku sprawach, które również głęboko odcisnęły się w mojej pamięci.

Tego roku śmierć parokrotnie przeszła korytarzami wronieckiego więzienia.

Pierwszym, który ruszył w podróż w nieznaną, był Kazik.

Mój kumpel.

Nasz kumpel.

Kazimierz Furman, któremu zostało raptem osiem miesięcy odsiadki, targnął się na swoje życie nocą pierwszego stycznia. Ja, Ojczulek, Suchy, Roman i Boyko doskonale wiedzieliśmy, dlaczego to zrobił. Kazik po prostu nie poradził sobie z miłością. Ludziom trudno jest

to zrozumieć i zaakceptować. Mnie też było trudno pojąć, że było to dla niego takie ważne. Wiele miesięcy później zmieniłem jednak zdanie, kiedy musiałem zderzyć się z moim przeznaczeniem.

Kazik otworzył swoje żyły na obu nadgarstkach kawałkiem szkła i w ten sposób uszło z niego życie. Nie wiem, skąd wytrzasnął ten fragment zielonej butelki z krawędziami ostrymi jak brzytwa. Zresztą, jakie to ma teraz znaczenie? Nie takie rzeczy ludzie trzymali po celach. Sprawa wyszła na jaw następnego poranka. Funkcyjny klawisz zastał go leżącego na wznak. Ponoć na jego obliczu malował się błogi spokój, oczy miał zamknięte zupełnie tak, jakby kostucha zaskoczyła go we śnie. Na posadzce tuż obok łóżka błyszczała rozlana plama szkarłatnej krwi.

Konsekwentnie trzymałem się swojej przysięgi i jakiś czas później nazwisko Kazimierza Furmana umieściłem na rewersie tablicy wiszącej w stolarni.

Dobry Boże, zdaję sobie sprawę, że facet popełnił śmiertelny grzech, ale bądź mu łaskaw i w swoim całym miłosierdziu nie skazuj go na wieczne potępienie.

Po śmierci Kazika dużo rozmawialiśmy, o tym co zrobił, i staraliśmy się zrozumieć, dlaczego targnął się na swoje życie. Nasze zdania były podzielone. Za każdym razem, kiedy dysputy wkraczały na tematy damsko-męskie w moich myślach jawiła się dziewczyna, której kiedyś oddałem serce.

Agnieszka.

Jej imię do dzisiaj wydaje mi się najpiękniejsze

w świecie.

Agnieszka nigdy nie obchodziła uroczystości swoich imienin. Oczywiście nie miała nic przeciwko życzeniom i prezentom z tej okazji, ale nie świętowała tego dnia w szczególny sposób. Ja jednak zawsze pamiętałem i będę pamiętać, że dwudziesty pierwszy stycznia będzie należał do niej.

Skazany na śmierć dowiadywał się o swojej egzekucji tuż przed jej wykonaniem. Takie były cholerne wytyczne. Dlatego żadnego sznurowca nie informowano o tym fakcie wcześniej. Ponoć taki system pozwalał uniknąć różnych zaskakujących sytuacji, i poniekąd muszę się z tym zgodzić. Pewnie każdemu by odbiło, gdyby dowiedział się, że za kilka dni zadynda na szubienicy. Zgodzicie się ze mną, prawda?

Góral, który ukatrupił swoją żonę i rodzzonego brata za to, że ci dwoje zgrzeszyli, łamiąc wszelkie zasady i świętości, został stracony o świcie 24 stycznia 1925 roku. Morderca miał uczciwy proces i udowodniono mu winę, a co najważniejsze sam przyznał się do tego okropnego czynu, ale – jak słyszałem – nigdy nie okazał skruchy.

Wyrok został wykonany.

Powiem wam jednak, że kiedy wspominał ten dzień, czuję na karku ten sam znajomy, lodowaty dreszcz co wtedy.

Góral zawisł na stryczku dokładnie o godzinie 6.00. Pluton egzekucyjny spełnił swoją powinność,

a godzinę później rozpoczął się w więzieniu normalny dzień wypełniony rutyną. Przypuszczam, że jeden z klawiszy rozpuścił język i podczas śniadania większość więźniów już wiedziała, iż dusza jednego z nas udała się w zaświaty.

Pogoda tamtego dnia była niemal doskonała. Co prawda było mroźno, ale za to słońce i niebo – jak najśłodsze, wakacyjne marzenie. Zbliżało się południe, kiedy nagle z minuty na minutę świat zaczął pogrążyć się w mroku. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Byliśmy na stolarni we trójkę, tylko ja i Jaśki. To był zaledwie moment, kiedy w środku dnia zstąpiła na nas noc. Przerażeni i zaciekawieni rzuciliśmy się ku drzwiom. W tamtych latach moje słownictwo było jeszcze ubogie i nie znałem odpowiedniego określenia. Dziś powiedziałbym o tym, że było to całkowite zaćmienie Słońca. Imponujące zjawisko! W przeszłości miałem jeszcze doświadczyć tego widoku, ale nie w takim wydaniu jak w 1925. No i chyba domyślacie się, jakie później snuto teorie na temat niewinności Górala. Przez kolejny miesiąc był to temat numer jeden. Przypuszczam, że klawiszom biorącym udział w egzekucji nie było łatwo pogodzić się z tym zajściem. Prawdopodobnie niejeden z nich żył z gorzkim dylematem po kres swoich dni. Sam też nie znam odpowiedzi. Możliwe, że to tylko niefortunny zbieg okoliczności. Może jakiś mądryła piastujący ciepłą posadkę w ministerstwie sprawiedliwości wybrał datę i nawet przez myśl mu nie przeszło, że trafi w taki czas, kiedy w bezkresach kosmosu nastąpi koniunkcja planet. A może

to był boski znak, w który uparcie wierzyła większość skazanych i strażników...

Nie wiem, jak wyglądałoby moje więzienne życie, gdyby nie Góral i kilka fajek, które mu podarowałem. Wiem jednak, że wszystkie czyny i decyzje, które podejmujemy każdego dnia, odbijają się głośnym echem w naszej przyszłości.

Zanim nastąpiła wiosna, przeczytałem książkę i miałem znikomą przyjemność spotkać się kilka razy ze zniechęconym aspirantem Szumskim. Za każdym razem to samo gówno, te same durne dyskusje i złośliwości. Kiedy musiałem patrzeć na tego palanta, w głębi duszy nieustannie towarzyszyła mi chęć popełnienia brutalnego mordu.

Dwa lub trzy razy miałem też do czynienia z Rudolfem Frantzem. Nie będę tego ukrywał, ale ze względu na jego zwyrodniałe skłonności budził we mnie swoiste obrzydzenie.

W tym samym czasie poza murami więzienia dokonywała się radiofonizacja w Polsce, a w eterze pojawiły się doświadczalne audycje. Dopiero jednak kilka lat później miałem okazję zobaczyć na własne oczy odbiornik radiowy i usłyszeć głos płynący z głośnika. To było zaskakujące przeżycie.

W marcu napięcie na tle etnicznym pomiędzy Boyko, przedstawicielem mniejszości romskiej, oraz Romanem, reprezentantem prawdziwych Polaków, przybrało formę

konfliktu fizycznego. Pewnego dnia chłopaki rzucili się na siebie z pięściami, ale zanim ich starcie rozpiętało się na dobre, obaj wylądowali na kilka dni w karczerze. W całej swojej głupocie i absurdalnej zawiści jednomyślnie twierdzili, że warto było.

Podczas świąt wielkanocnych doszło w więzieniu do zabójstwa. Sprawca nigdy nie został odnaleziony, ale ja doskonale widziałem, kto to zrobił. Miałem w tym swój pośredni udział. W łaźni znaleziono martwego skazańca, który był osadzony na bloku przestępstw pospolitych. Nie mnie jednak wyrokować, czy ten człowiek zasłużył na śmierć.

Nagie zwłoki Edmunda Napierskiego z drewnianym krzyżem wbitym prosto w serce stały się tematem przeróżnych spekulacji. Więzienna plotka głosiła, że Napierski był zafascynowany Friedrichem Haarmannem, który bestialsko mordował nastoletnich chłopców. Nie wiem, jak Napierski, ale Haarmann był potworem, który przekroczył wszelkie granice. Swoje ofiary ćwiartował, a ich mięso sprzedawał na targu, twierdząc, że to wieprzowina. Ponoć nie miał zbyt wielu klientów, ludzie bowiem narzekali, że mięso było mdłe i dziwne w smaku. Napierski pożegnał się z tym światem prędzej niż jego idol. Haarmanna stracono w Hanowerze osiem miesięcy później, odcinając mu łeb toporem.

Niejednokrotnie wyobrażałem sobie, jak spokojny i opanowany Wolf siedzi w swojej celi i powoli ostrzy w szpic najdłuższe ramię dębowego krzyża. Kolejny kadr:

Wolf usadowiony okrakiem na brzuchu Napierskiego bierze potężny zamach i zatapia trzonek w jego piersi, jakby unicestwiał wampira osikowym kołkiem.

Trudno mi powiedzieć, co by było gdyby sprawa się ryła. Przypuszczam, że istniało podejrzenie co do tego, kto może być sprawcą czynu, ale to tylko moje domysły.

Pewnego dnia zdobyłem się jednak na odwagę i podszedłem na spacerniku do Rzeźnika z Danzing.

– Nigdy więcej nie proś mnie o żadną przysługę – powiedziałem stanowczym głosem.

Wolf spojrział na mnie wzrokiem kompletnie pozbawionym wyrazu, wzruszył ramionami i odszedł bez słowa.

Kimkolwiek był Napierski i czegokolwiek się dopuścił, czułem się poniekąd odpowiedzialny za jego makabryczną śmierć.

W maju los znowu się do mnie uśmiechnął. Naczelnik Wojciechowski zapragnął, aby w jego przydomowym ogrodzie stanęła okazała altana. Wiedziałem, że Oczulek nie będzie zainteresowany robotą po drugiej stronie murów. Postanowiłem więc ubić interes i zaproponowałem tę fuchę Suchemu. To był majstersztyk z mojej strony. Suchy za każdy dzień spędzony w ogrodzie naczelnika miał mi odpalić jedną skrzynkę. Biorąc pod uwagę, że nadal za pośrednictwem Hrabiego raz w miesiącu słałem wieści do mojej matki, każda darmowa paczka papierosów była jak najbardziej wskazana.

Zarobiłem czternaście skrzynek.

W tym samym czasie zwróciłem naczelnikowi powieść Karola Maya, a on uraczył mnie kolejną lekturą. Teraz miałem okazję poznać świat Juliusza Verne'a. Z Fileasem Foggiem, angielskim dżentelmenem, odbyłem podróż *W osiemdziesiąt dni dookoła świata*.

Dni mknęły nieubłaganie. We wrześniu był jeszcze incydent z Klocem, ale tę historię już znacie.

Nastał październik.

Zbliżały się moje dwudzieste piąte urodziny.

Szczególna data, prawda?

Ćwierć wieku.

Siedemnasty października przypadał w sobotę.

Oczywiście nauczony doświadczeniami nie miałem zamiaru upominać się o życzenia, prezenty i laurki.

Dzień pracy zakończyliśmy tuż przed obiadem, potem był posiłek, po którym odprowadzono nas do cel. Siedziałem na pryczy, paliłem papierosy i nie tryskałem radością. Wręcz przeciwnie. To był czas moich przemyśleń i podsumowań. Tysiące myśli kołatało się pod czaszką, a w duszy płonęły uczucia, których w nijaki sposób nie potrafię opisać.

Wtem po drugiej stronie drzwi rozległy się dwa znajome uderzenia. Poderwałem się na równe nogi i regulaminowo stanąłem posłusznie pod ścianą.

Schemat królował.

Najpierw szurnięcie wizjera, potem zgrzyt zasuw i drzwi otworzyły się z rozmachem. Na wprost ujrzałem

dozorcę Mroczkowskiego z czarną opaską na oku, a chwilę później usłyszałem krótką komendę:

– Zbieraj się, masz odwiedziny.

– Odwiedziny? – bardziej szepnąłem, niż powiedziałem i nadal stałem w miejscu, jakby moje stopy zapuściły korzenie.

– No dajesz, chłopie! Ruszasz się! Mam ważniejsze sprawy na głowie. Idziemy! – W jego głosie dzwoniło zniecierpliwienie.

Strażnik prowadził mnie pustymi korytarzami. Chociaż w mojej głowie panoszył się chaos, byłem pewien, że ta sytuacja to kolejne, perfidne zagranie Szumskiego. Kiedy jednak wyszliśmy na dziedziniec i klawisz skierował swoje kroki w stronę budynku administracyjnego, gdzie była sala widzeń, zniknęły wszelkie wątpliwości. Poczulem narastającą euforię.

– Masz dokładnie godzinę – powiedział Mroczkowski i w tym samym momencie nacisnął na klamkę masywnych drzwi.

Moim oczom ukazał się po raz pierwszy widok sali, w której skazańcy spotykali się ze swoimi bliskimi. Na drugim końcu dużego pomieszczenia przy stole siedziała... Agnieszka!

– Godzina, Żabikowski, zrozumiałeś? – powtórzył.

– Tak jest, panie dozorco. – Z moich ust samoczynnie wyskoczyły cztery krótkie słowa.

Dozorca zamknął drzwi.

Stałem w miejscu i patrzyłem na jej oblicze. Byłem tak zaskoczony, że nie mogłem nawet drgnąć. Wydawało

mi się, że tętno, które pulsowało mi w uszach, niosło swoimi kanałami echo bijącego serca. Wszechświat napinał się do granic swoich możliwości. Trzeszczał. Zgrzytał złowieszczo. Zupełnie tak, jakby tylko czekał na moje ostatnie mrugnięcie powiekami. Ostatnie mrugnięcie, a potem wszystko eksploduje w ułamku sekundy i rozerwie się z hukiem przepelnionym krzykiem i rozpaczą. Rzeczywistość rozpadnie się na miliardy drobnych kawałków.

– To ty – wyszeptałem z niedowierzaniem.

Powoli podnosiła się z krzesła. Miała na sobie długi, bordowy płaszcz.

– Stefan – odezwała się cichym głosem, który wcześniej często snił mi się po nocach.

Chociaż staliśmy daleko od siebie, widziałem doskonale jej zielone oczy. Chryste! Ależ ona była zjawiskowa! Mimowolnie szedłem w jej stronę, chłonąc wzrokiem jej oblicze. Świat dookoła przestał istnieć. Nie było tego miejsca, nie było żadnych wspomnień. Tylko ja i ona. Wtem mój wzrok prześlizgnął się po jej postaci... była przy nadziei.

Zatrzymałem się w pół kroku.

– Stefan – powtórzyła moje imię w ten sam sposób jak chwilę wcześniej.

Spoglądałem na nią i miałem wrażenie, że czas zatrzymał się w miejscu. Nie wiem, jak długo to trwało. W pewnym momencie po prostu otworzyłem usta i powiedziałem:

– Witaj, Agnieszko.

– Witaj – odparła i ruszyła w moim kierunku.

Podeszła i objęła mnie w przyjacielskim uścisku, otulając ramionami. Odwzajemniłem gest powitania, przylgnąłem do niej jak dziecko i wtuliłem twarz w jej rozpuszczone włosy. Nie dałem rady. Rozniosło mnie. Wodospady łez popłynęły z moich oczu. Oddech przerozdził się w szloch, a uścisk stał się nieco mocniejszy.

– Agnieszko – załkałem.

– Już dobrze, Stefan – poczułem jej dłoń na potylicy – już dobrze.

Chwilę później siedzieliśmy przy stole. Łzy sprawiły, że poczułem się bardzo niezręcznie, w taki sposób, w jaki może czuć się mężczyzna, okazując swoją słabość w obecności bliskiej mu kobiety.

Potrzebowałem chwili, żeby się opanować.

– Jak sobie tutaj radzisz? – zapytała.

Zatopiłem swoje spojrzenie w węglkach źrenic otoczonych szmaragdową tęczą.

– Sądziłem, że o mnie zapomniałas – powiedziałem bez najmniejszego wyrzutu.

– To nie tak, Stefan... to wszystko nie tak. – Odwróciła swój wzrok, kręcąc głową. Jej długie, proste włosy opadały leniwie na ramiona. – Mój ojciec, pamiętasz go, wiesz, jaki był, a właściwie nadal taki jest. Wywiózł mnie, kazał mi zamieszkać u naszej rodziny pod Krakowem. Nie wiedziałam, z kim mam się skontaktować, nie miałam żadnych wieści – mówiła smutnym głosem. – To nie tak miało wyglądać...

Byłem pewien, że płacze.

– Po co właściwie tutaj przyjechałaś?

– Nie wiem. – Spojrzała na mnie. Nie myliłem się, dwie wilgotne stróżki znaczyły swój ślad na jej twarzy. – Chcesz, żebym sobie poszła? – zapytała niepewnym głosem.

Nie! – wrzasnąłem w myślach.

Przez krótką chwilę było tylko słyszeć nasze oddechy. Za moimi plecami ktoś chrząknął, machinalnie obróciłem głowę i dopiero wtedy ujrzałem, że w rogu sali, za dużym biurkiem wygodnie siedzi znudzony klawisz. Nawet nie patrzył w naszą stronę.

Przeniosłem wzrok na Agnieszkę.

– Wiesz, jedyne, co tutaj mam, to mnóstwo czasu. Nauczyłem się pisać i czytać – pochwaliłem się, jakby to było coś istotnego. Zamilkłem na moment. – Jesteś szczęśliwa? – zmieniłem temat.

Nic nie odpowiedziała, tylko znowu ukryła swoje spojrzenie i skinęła głową.

– Stefan, przyjechałam się z tobą pożegnać. – Przetarła oczy białą chusteczką z koronkowym obszyciem.

– Zawsze tutaj będę, jakby co – próbowałem się wysilić na durnowaty dowcip.

– Wiem i przykro mi z tego powodu.

Położyłem dłonie na blacie stołu, a palce splełem jak do modlitwy. Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w jej zaokrąglony brzuch, schowany pod połami bordowego płaszcza. Dobrze jej w tym kolorze – pomyślałem.

– Kiedy rozwiązanie? – spytałem.

– Termin wypada za dwa miesiące.

Poczułem ciepło jej dłoni, kiedy położyła ją na moich skrzyżowanych palcach. Refleks światła błysnął na krawędzi złotej obrączki.

W tym samym momencie w moich myślach zapłonął żywym ogniem kalejdoskop najcudowniejszych wspomnień. Mogliśmy mieć wspaniałe życie! – przemknęło mi przez myśl.

– Zmusili mnie do wyjazdu – wypowiadała wolno każde słowo. – Przez wiele miesięcy wyplakiwałam oczy i bezskutecznie próbowałam się czegokolwiek dowiedzieć. Obiecałam sobie, że muszę cię jeszcze kiedyś zobaczyć. – Wzięła głęboki oddech. – Pisałam listy do domu, pisałam do twojej mamy, ale nie dostałam odpowiedzi. Ojciec zabronił mi przyjeżdżać i mówił, że tak będzie dla mnie najlepiej. Wysłałam za mąż za dobrego człowieka. Ślub mieliśmy latem zeszłego roku. Za pół roku wyjeżdżamy we trójkę. – Drugą dłonią dotknęła swojego brzucha. – Jedziemy do Ameryki. Mój mąż nie wie, że tutaj jestem. – Spojrzała mi w oczy. – Zataiłam to przed nim. Długo planowałam spotkanie i uparcie wierzyłam, że jeśli uda mi się ciebie odnaleźć, to muszę cię zobaczyć właśnie dziś. W dniu twoich dwudziestych piątych urodzin. Ojcu mojego dziecka powiedziałam, że przed naszym wyjazdem chcę jeszcze odwiedzić rodziców i pożegnać się nimi, bo prawdopodobnie możemy się już nigdy więcej nie spotkać. Ostatnie trzy dni spędziłam w Kaliszu. Od starej Leśniakowej dowiedziałam się, gdzie jesteś. Dziś rano miałam wsiąść do pociągu, który jedzie

do Krakowa...

– Widziałaś się z moją mamą? – wpadłem jej w zdanie.

– Z twoją mamą? – Agnieszka była zaskoczona. – Stefan, przecież twoja mama zmarła ponad dwa lata temu – powiedziała z takim wyrzutem, jakby chciała mi przypomnieć o czymś, o czym kompletnie zapomniałem. Przypuszczam, że grymas, który pojawił się na mojej twarzy, wyjaśniał wszystko. – Nie wiedziałeś? – zapytała, marszcząc brwi. Patrzyła na mnie najbardziej zdziwionym wzrokiem, jaki w życiu widziałem. – O Boże, ty naprawdę nie wiedziałeś – szepnęła po chwili. – Przykro mi, że z moich ust słyszysz tę smutną wiadomość.

Poczułem się tak, jakby wszystkie szaleństwa świata zdrwiły ze mnie w tym samym momencie. W mojej głowie zabrzmiały słowa Ojczulka: „Widzę, że nieźle karmisz tego wiecznie uśmiechniętego kombinatora. Wywiązuje się chociaż ze swoich zobowiązań? Czy tylko bez żadnych gwarancji inwestujesz w ten interes?”. Moje serce rzuciło się do galopu. Tętno w skroniach uderzyło wściekłym rytmem. To niemożliwe! To po prostu niemożliwe! Czy naprawdę byłem aż tak ślepy i naiwny? Dlaczego pozwoliłem się tak łatwo zwieść? Jak to się mogło stać? Lawina pytań toczyła się przez moją głowę z głośnym hukim.

– Twoja mama zmarła na początku stycznia dwudziestego trzeciego. Pamiętam, że przyjaźniła się z rodzinną Leśniaków, i dlatego to do nich najpierw skierowałam swoje kroki. Leśniakowa powiedziała, że pewnego dnia

odwiedziła ją jakaś kobieta i wypytywała o twoją mamę. Mówiła, że ma dla niej wiadomość od syna.

– Nie wierzę – odezwałem się półgłosem – po prostu nie wierzę.

– W co nie wierzysz, Stefan?

– Jak jeden człowiek może zrobić drugiemu coś takiego? – zastanawiałem się głośno, a jej pytanie puściłem mimo uszu.

– O czym ty mówisz?

Kiwałem głową z niedowierzaniem, wpatrując się tępych wzrokiem w szarą ścianę. Przed oczami mojej wyobraźni jawił się klarowny obraz. Hrabia, ten skurwiel o uśmiechu amanta, okazał się najpodlejszym człowiekiem, jakiego do tej pory spotkałem. Wielu niegodziwych ludzi przewinęło się w moim życiu, ale Hrabia zjadał każdego z nich, nawet gwiazda aspiranta Szumskiego zdawała się przy nim płonąć mdłym blaskiem. Oczywiście Szumski też ze mną pogrywał, ale nie aż w tak perfidny sposób.

– Stefan, wszystko dobrze? – Głos Agnieszki docierał do mnie z głębin otchłani. Spojrzałem na jej twarz.

– Nie wiedziałem, że umarła – odparłem. – Nikt mi nie powiedział.

– Naprawdę ci współczuję. – Pogłaskała moje splecione dłonie.

– A Wiktor? Słyszałaś coś o nim? – musiałem zmienić temat, żeby nie zwariować.

– Wiem tylko tyle, że zaraz po twoim aresztowaniu

cała rodzina Kozłowskich wyjechała. Niestety nie mam pojęcia dokąd. – Zawsze kiedy o nim mówiła, jej głos był pozbawiony jakiegokolwiek cienia życzliwości.

Żałuję, gorzko żałuję, że nie słuchałem w przeszłości jej ostrzeżeń. Teraz już nawet za późno, żeby o tym myśleć.

– A pamiętasz, jak...

– Nie mówmy o tym, co było – uciałem. – Wybacz, ale nie chcę o tym rozmawiać. Musisz już iść – powiedziałem. – Szkoda twojego czasu, wracaj do domu. Do swojego męża. Tak będzie najlepiej – dodałem, ale czułem, jak pęka mi serce.

– Nigdy cię nie zapomnę – odparła, wpatrując się w moje smutne oczy. – Nigdy. Byłeś dla mnie całym światem – wyznała drżącym głosem, a chwilę potem wybuchnęła płaczem. – Myślałam, że razem przejdziemy przez życie. Miałam plany, marzenia, miałam nadzieję, że ty i ja...

– Tamten świat umarł i biorę na siebie odpowiedzialność za jego śmierć. Wszystko to moja wina. Nie śmiem cię prosić o wybaczenie, po prostu odejdz i zapomnij, że kiedykolwiek istniałem. – Podniosłem się z krzesła.

Ona też wstała.

– Przytul mnie jeszcze ten ostatni raz – wyszeptwała.

Objąłem ją i staliśmy niczym dwa splecione ze sobą posągi. Kosmyki jej długich blond włosów dotykały mojego policzka, a ich zapach zniewalał.

Ta chwila była tak piękna, że gotów byłem oddać

za nią życie.

Chciałem się cofnąć o krok, ale ona sekundę wcześniej pochwyciła moją twarz w swoje dłonie i nasze usta spotkały się na krótką chwilę.

– Co, już koniec widzenia? – warknął brutalnie strażnik siedzący za biurkiem.

– Jeszcze momencik – rzuciłem odpowiedź.

Cofnąłem się o mały krok, ale moje dłonie nadal spoczywały na jej ramionach.

– Jak się teraz nazywasz? – zapytałem.

– Stokłosa.

– A jak on ma na imię? – Nie wiem, dlaczego chciałem to wiedzieć.

– Andrzej.

Patrzyłem na nią takim wzrokiem, jakbym chciał jej twarz zapamiętać na wieczność.

– Żegnaj – powiedziałem.

– Żegnaj – odparła. – Pamiętaj, że na zawsze pozostaniesz w moim sercu.

Po raz ostatni w życiu spojrzałem w jej cudownie szmaragdowe oczy. Obróciłem się na pięcie i ruszyłem w stronę drzwi. Dozorca podniósł się z krzesła.

Nie odwracaj się! Tylko się nie odwracaj! – powtarzałem w myślach.

Kiedy klawisz nacisnął mosiężną klamkę, usłyszałem za swoimi plecami jej rozpaczliwy głos:

– Stefan!

Nie obejrzałem się.

– Stefan! – zawołała głośniej.

Przystanąłem na moment, ale nie miałem odwagi odwrócić się za siebie.

Czy jesteście sobie w stanie wyobrazić, co czułem, kiedy z powrotem znalazłem się w małej celi? Czy ktoś z was miał w swoim życiu taką chwilę, kiedy nagle wszystko straciło sens?

Wiecie, jak to jest?

To tak, jakby umrzeć i narodzić się na nowo. Powstać na powrót do życia, ale mieć świadomość, że w środku ciebie mieszka już tylko bestia. Masz wtedy dwa wyjścia: albo własnymi rękami zabijesz potwora... albo się nim staniesz.

Pragnienie zemsty towarzyszy rodzajowi ludzkiemu od zawsze i jest wpisane w naturę człowieka. Nie bez powodu mówi się „oko za oko” czy „ząb za ząb”. Tacy już jesteśmy. Każdy z nas taki jest. Łatwo jest teoretyzować, ale dopiero kiedy poznasz coś na własnej skórze, wtedy możesz określić swoje stanowisko. Łatwo wyciągać wnioski, kiedy przyczyna dotyczy innych. Kiedy jednak coś dotyka bezpośrednio ciebie, wtedy wszystko się zmienia. Tracisz rozum, ustanawiasz nową hierarchię wartości i brniesz na oślep, siejąc wokół koszmar i spustoszenie. Wiesz, że jesteś w stanie zapłacić każdą cenę za osiągnięcie ukojenia.

Konsekwencje nie mają znaczenia.

Jeśli miałbyś działać nawet na własną zgubę i wraz z wrogiem pogrzebać samego siebie.

Nienawiść, która wlała się w moją duszę, umysł i serce, w ciągu jednej nocy zniszczyła we mnie dawnego Stefana. Dziś mógłbym napisać o tym epopeję, przelać na papier tysiące słów, a i tak oddałbym jedynie namiastkę swojego przeistoczenia. Armia demonów żądnych zemsty obudziła się we mnie z potwornym rykiem. To było niczym krzyk wydobywający się z miliona wściekłych gardeł.

Kiedy podczas niedzielnego śniadania Suchy stwierdził, że wyglądam tak, jakby mnie ktoś zjadł, a zaraz potem wysrał, darowałem sobie jakiegokolwiek wyjaśnienia.

– Miałem fatalną noc – odparłem zmęczonym głosem i na tym się skończyło.

Tego dnia Robalski pełnił dyżur na naszym bloku. W głowie miałem okrutny plan i postanowiłem go konsekwentnie realizować. Wychodząc ze stołówki, podszedłem do strażnika i powiedziałem:

– Więzień dwadzieścia dziewięć-jedenaście melduje się z zapytaniem.

– O co chodzi, Żabikowski? – Spojrzał na mnie spod daszka czapki, opuszczonej niemal na krzaczaste brwi.

– Chcę prosić o pozwolenie udania się na stolarnię. Kończę pewne zlecenie dla pana naczelnika – skłamałem. Doskonale zdawałem sobie sprawę, jak działała taka informacja na większość klawiszowskiej braci. Żaden z nich nie chciał się narazić swojemu szefowi. – Zostało mi do poprawienia kilka detali i wyrobię się, zanim

wszyscy zostaną wyprowadzeni na spaceriak.

Odniosłem wrażenie, że przygląda mi się badawczym wzrokiem.

– Dobrze. Idź – odparł. – Tylko za dwie godziny widzę cię przed wejściem na spaceriak. I żebyś mi się sam nie pałętał po obiekcie!

Właśnie takiej odpowiedzi się spodziewałem

– Tak jest, panie dozorco – powiedziałem.

Stałem w oknie stolarni, zapaliłem szluga i przez długą chwilę wpatrywałem się w pusty plac. Mimo wszystko musiałem być ostrożny.

Moje ruchy były szybkie i precyzyjne. W niespełną minutę sklepałem prowizoryczną drabinę, cisnąłem ją w kąt i znowu podbiegłem do okna. Teren był czysty. Oprócz strażników na dwóch wieżyczkach, które widziałem z tego miejsca, nie było żywej duszy. Oparłem drabinę o podsufitową belkę, błyskawicznie wdrapałem się na górę i wyjąłem ze skrytki broń, która była zawiniętą w szmatę nasiąkniętą olejem. Czym prędzej zszedłem w dół, śmiercionośny pakunek wrzuciłem do skrzynki z narzędziami, a drabinę oparłem tuż przy stojaku z deskami. Ponownie doskoczyłem do okna. Zastałem ten sam widok co poprzednio. Moje serce dudniło w pierśsiach, pachy były wilgotne od nadmiaru potu, a oddech krótki i szybki. Pochwyciłem w dłoń wysłużony stolarski młotek i rozczłonkowałem elementy drabiny. Chwilę później znowu stałem przed oknem. Świat po drugiej stronie wciąż trwał zastygły w bezruchu niczym kadr uwieczniony na zakłętej fotografii.

Zapaliłem kolejnego papierosa i utonałem w potwornych myślach.

Moje demony i chęć zemsty kotłowały się w szalonym tańcu.

Spojrzałem w pogodne, październikowe niebo i pomyślałem, że to dobry dzień na spotkanie ze śmiercią. Widziałem nadchodzącą przyszłość. Wolnym krokiem podchodzę do Hrabiego, przystawiam mu otwór lufy do potylicy i pociągam za spust, a potem... potem niech się dzieje, co chce!

Mój plan miał tylko ogólny zarys i był totalnie niedoskonały. Gdyby któryś ze strażników wpadł do stolarni, miałbym nie lada kłopoty. Robalskiemu skłamałem, że mam jakąś robótkę, a nawet nie zadbałem o to, żeby chociaż pozorować działania.

Poszedłem po skrzynkę narzędziową i wróciłem z nią do okna.

Sięgnąłem po spluwę. Odwinąłem postrzępioną szmatę i tęym wzrokiem wpatrywałem się w połyskującą tłustym olejem broń. Sprawdziłem magazynek. Przeładowałem. Zamek szczęknął i pierwszy z pocisków wskoczył do komory spustowej. Odbezpieczyłem broń. Wciągnąłem głęboko powietrze do płuc, a w nozdrzach poczułem wyimaginowany zapach krwi.

Wyrok zapadł.

Palilem wściekle fajkę za fajką, a upływ czasu odmierzał zegar na wieży kościelnej, wybijając kolejne kwadransy.

Już niedługo!

Wtem zza rogu budynku wyłoniła się kolumna więźniów.

Ścisnąłem mocniej masywną kolbę lugera.

Wetknąłem pistolet za pasem na plecach.

Więzienna bluza luźno opadła do połowy pośladków i ukrywała przed oczami wścibskich moją morderczą tajemnicę.

Jeszcze raz wciągnąłem potężny haust powietrza.

Zdecydowanym krokiem ruszyłem w stronę drzwi i warknąłem sam do siebie:

– Na pohybel całemu światu!